



DAVID WEBER
SPADKOBIERCY
CESARSTWA

TRYLOGIA DAHAK TOM TRZECI

David Weber

Spadkobiercy Cesarstwa

(Heirs of Empire)

Przyjaciolom Jane

COLIN I – zwany również Wielkim i Odnowicielem. Urodzony jako Colin Francis Macintyre 21 kwietnia 2004 roku (starego kalendarza) w Colorado, Stany Zjednoczone, Ziemia; podporucznik Marynarki Stanów Zjednoczonych; astronauta NASA; założyciel dynastii Macintyre; koronowany 7 lipca 1 roku Piątego Imperium.

Wstąpienie tego cesarza na tron zakończyło okres bezkrolewia spowodowany przypadkowym uwolnieniem broni Umak (patrz również Umak, kierownik imperialnego programu biotechnologii) i zapoczątkowało erę Piątego Imperium. Jako wódz wykorzystał reaktywowaną Flotę Gwardii Imperialnej, by po raz pierwszy w historii powstrzymać najazd Achuukan (patrz Aku'Ultan, Gniazdo, i kampania Zeta Trianguli).

Po odepchnięciu Achuultan jego cesarska wysokość rozpoczął odbudowę gospodarki i potencjału militarne Piątego Imperium, aby przygotować się do ostatecznego pokonania wroga. Zabrał się do tego wraz ze swoją małżonką, cesarżową Jiltanith, nieswiadom, że...

–Encyclopedia Galactica, tom 6

Wydanie 12,

Wydawnictwo Uniwersytetu Birhat,

598 r. p. i.

Rozdział 1

Sean MacInryre wypadł z szybu transportowego i biegnąc korytarzem, wzmocnił swój słuch. Tak naprawdę nie musiał nasłuchiwać aż do chwili, gdy znajdzie się po drugiej stronie luku, lecz z jakiegoś powodu wciąż miał więcej problemów z ulepszonym słuchem niż wzrokiem, i wolał wcześniej się przygotować.

Przebył ostatnie sto metrów, zatrzymał się i przywarł plecami do grodzi. Przeciągnął dłoń po mokrych od potu czarnych włosach. Jego ulepszony słuch wychwycił pulsujące odgłosy systemów podtrzymywania życia i cichy szmer odległego szybu transportowego. Gonił ich już od godziny i właściwie spodziewał się zasadzki. On sam z pewnością by tak zrobił.

Wyciągnął pistolet z kabury i odwrócił się w stronę luku, który cicho się rozsunał. Cicho dla zwyczajnych uszu, lecz dla niego był to głośny grzmot. Do środka wlały się jasne promienie słońca.

Przecisnal sie przez wzlas i nastawil w lewym oku widzenie teleskopowe – prawe nadal mial ustawione normalnie – po czym zajrzal w cienie rzucane przez szeleszczace liscie.

Deby i hikory kolysaly sie leniwie w blasku slonca, gdy przekradal sie przez tereny piknikowe w strone rosnacych nad jeziorem rozanecznikow o blyszczacych zielonych lisciach. Poruszal sie cicho, trzymajac pistolet w obu rekach na wysokosci piersi, gotow obrocic sie, wycelowac i dzieki swym ulepszonym zmyslom wystrzelic blyskawicznie niczym atakujac waz.

Dotarl az do jeziora, nie widzac nikogo po drodze. Poklad parkowy, jeden z wielu na statku kosmicznym Dahak, mial srednice okolo dwudziestu kilometrow. Mogly sie ukryc w wielu roznych miejscach, lecz Harriet byla zbyt niecierpliwa, by gdzies dalej uciekac, wiec pewnie schowala sie w odleglosci kilkuset metrow od niego, majac nadzieje, ze zwabi go w pulapke.

Nagle zauwazyl jakies poruszenie i zamarl. Po przyblizeniu obrazu usmiechnal sie – za debem mignely mu dlugie czarne wlosy Harriet. Teraz, gdy juz odnalazl siostre i wiedzial, ze nie moze niepostrzezenie wyjsc zza drzewa, zaczal rozgladac sie w poszukiwaniu jej sojuszniczki. Ona tez brala udzial w zasadzce, wiec musi byc bardzo blisko.

Jego wzrok przyciagnela ukryta miedzy wawrzynami nieruchoma plama blekitu wielkosci dloni. A wiec ma obie! Wyszczeryl zeby w usmiechu i zaczal powoli sie skradac. Jeszcze tylko kilka metrow i...

Zaaading!

Sean jeknal i uderzyl zrezygnowany piescia w ziemie, uzywajac slow, ktore na pewno nie spodobalyby sie jego matce. Dzwonek przeszedl w halasliwe brzeczenie, od ktorego bolaly go uszy, wiec szybko powrocil do normalnego slyszenia.

Brzeczenie czujnikow na uprzezy natychmiast umilklo, gdy przyznal sie do przegranej. Ciekaw byl, jak Harry udalo sie zajsc go od tyłu. Ale kiedy sie odwrocil, okazalo sie, ze drobna postac wynurzajaca sie z wody to nie Harry. Byla przemoknieta, lecz jej brazowe oczy plonely z radosci.

–Dopadlam cie! – krzyknela. – Sean nie zyje! Sean nie zyje, Harry!

Udalo mu sie powstrzymac od wypowiedzenia kolejnych zakazanych slow, kiedy osmioletnia wojownicza ninja i jego siostra blizniaczka zaczely wykonywac taniec wojenny. Bylo mu wstyd, ze przegral z dziewczynami, lecz zabicie przez Sandy MacMahan bylo wprost nie do zniesienia. Byla o dwa lata mlodsza od niego i dzis po raz pierwszy z nimi sie bawila – i zabila go juz pierwszym strzałem!

–Twoja radosc ze smierci Seana wcale ci nie przystoi, Sandro. – Gleboki, cieply glos dochodzacy znikad wcale ich nie zaskoczyl. Cale zycie znali Dahaka, a statek kosmiczny, w ktorym mieszkal samoswiadomy komputer, byl ich ulubionym miejscem zabaw.

–A kogo to obchodzi? – spytala wesolo Sandy. – Dopadlam go! – Skierowala pistolet w strone Seana i zgiela sie wpol ze smiechu, widzac jego mine.

–Szczescie! – odparowal, unoszac swoj pistolet. – Mialas po prostu szczescie, Sandy!

–To nieprawda, Seanie – zauwazył Dahak. Sean nienawidzil jego beznamietnego poczucia sprawiedliwosci, zwlaszcza jesli komputer nie byl po jego stronie. – Szczescie oznacza udzial przypadku, a ukrycie sie Sandry w jeziorze – o ktorym w ogole nie pomyslales – bylo bardzo dobrym pomyslem i pozwolilo jej, jak to przekonujaco, choc nieelegancko zauwazyła, "dopasc" ciebie.

–No widzisz! – Sandy pokazala mu jezyk, a Sean odwrocil sie urazony. Nie poczul sie wcale lepiej, gdy Harriet usmiechnela sie do niego.

–Mowilam ci, ze Sandy jest wystarczajaco duza, prawda? – spytala.

Pragnal zaprzeczyc, i to gwaltownie, lecz byl uczciwym chlopcem i dlatego niechetnie pokiwal glowa. Z przerazeniem myslal o przyszlosci. Sandy – najlepsza przyjaciolka Harry – bedzie teraz wszedzie wchodzic mu w droge. Bronil sie przed tym przez ponad rok, twierdzac, ze jest za mala na wspolne zabawy. A teraz nie dosc, ze jest juz dwa rozdzialy przed nim w rachunkach, to jeszcze go pokonala!

Wszechswiat, pomyslal ponuro Sean Horus MacIntyre, nie jest jednak do konca sprawiedliwy.

Amanda Tsien i jej maz wyszli z szybu transportowego niedaleko mostka Dahaka. Jej syn, Tamman, podazal za nimi, lecz najwyrazniej az go skracalo z niecierpliwosci. Amanda spojrzala na swojego poteznego meza. Wiekszosc ludzi opisywala twarz Tsien Tao-linga jako ponura, lecz gdy patrzyl na Tammana, zawsze pojawial sie na niej usmiech. Chlopiec nie byl jego dzieckiem w sensie biologicznym, jednak to wcale nie znaczylo, ze nie jest ojcem Tammana. Pokiwal glowa, gdy Amanda uniosla brew.

–Dobrze, Tammanie – powiedziala. – Mozesz isc.

–Dzieki, mamoo! – Obrocil sie na piecie z charakterystyczna dla dzieci w tym wieku niezdarkoscia i ruszyl z powrotem w strone szybu. – Gdzie jest Sean, Dahaku? – spytal.

–Pokład parkowy numer dziewiec, Tammanie – odpowiedzial cieply glos.

–Dzieki! Do zobaczenia pozniej, mamó i tato!

Tamman przez chwile biegł bokiem, machając im, po czym z glosnym okrzykiem zanurkował w szybie.

–Myslalbý kto, że nie widzieli się od miesiecy – westchnela Amanda.

–Sadze, że dzieci żyją w innym wymiarze czasowym niż dorośli – zauwazył Tsien głębokim, miękkim głosem.

Mineli ostatni zakręt i znaleźli się przed wejściem na mostek, gdzie na zlocistej stali bojowej widniał symbol Dahaku – trojglowy smok gotowy do lotu, z godłem Piątego Imperium w łapach. Gwiazdy Czwartego Cesarstwa zostały zachowane i teraz wylaniał się z nich feniks odrodzenia, na którego głowie spoczywał diadem Cesarstwa. Gruby na dwadzieścia centymetrów właz – jeden z wielu, a każdy z nich mógł powstrzymać kilotonową głowicę – otworzył się bezglosnie.

–Witaj, Dahaku – powiedziała Amanda.

–Dobry wieczór, Amando. Witam na pokładzie, marszałku gwiazdny.

–Dziękuje – odpowiedział Tsien. – Czy inni już przybyli?

–Admiral Hatcher jest w drodze, lecz MacMahanowie i książe Horus już dołączyli do ich wysokości.

–Gerald powinien się wreszcie nauczyć, że nawet na Birhat doba ma tylko dwadzieścia osiem godzin.

–O, naprawdę? – Amanda spojrzała na niego zdziwiona. – Ty już się tego nauczyłeś?

–Może nie – odparł z uśmiechem. Przekroczyli ostatni właz i znaleźli się w półmroku punktu dowodzenia numer jeden.

Otoczyły ich gwiazdy, które niczym diamenty błyszczwały na tle hebanowej glebi kosmosu. Nad nimi dominowała otoczona chmurami zielononiebieska kula planety Birhat. Amanda zadrzała. Nie z zimna, lecz z powodu lodowatego dreszczu, który przeszywał ją zawsze wtedy, gdy wchodziła w doskonały obraz holograficzny.

–Cześć, Amando. Witaj, Tao-ling. – Jego cesarska wysokość Colin I, wielki książe Birhat, książe Bia, Sol, Chamhar i Narhan, wódz i protektor królestwa, obronca pięciu tysięcy słońc, czempion ludzkości i z łaski Stworcy cesarz ludzkiego rodzaju, obrócił

się na fotelu, ukazując swój wielki nos, i wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Jak widzę, Tamman urwał się wcześniej.

–Kiedy widzieliśmy go po raz ostatni, kierował się w stronę pokładu parkowego – odparł Tsien.

–To czeka go niespodzianka – zachichotał Colin. – Harry i Dahak w końcu zmusili Seana, by pozwolił Sandy pobawić się z nimi w zabijanie laserami.

–A niech mnie! – rozesmiała się Amanda. – Złóżę się, że to będzie niezła zabawa!

–Ano. – Cesarzowa Jiltanith, która była smukła niczym miecz i piękna, podniosła się, by objąć Amandę. – Mniemam, iż mniej skłonny będzie o jej młodym wieku krzyknąć. Duma jego upokorzona została... choć raz.

–Jakos to przeżyje – mruknął Hector MacMahan. Kapitan Imperialnej Piechoty Morskiej opierał się o konsolę strzelca, zaś jego żona zajmowała fotel obok. Podobnie jak Amanda, Hector miał na sobie czerni i srebro Piechoty Morskiej, zaś Ninhursag nosiła granat i złoto Floty Bojowej.

–Nie, jeśli Sandy będzie miała coś do powiedzenia – zauważyła Ninhursag. – Ta dziewczyna będzie kiedyś doskonałym szpiegiem.

–Wierze ci na słowo – odpowiedział Colin, a ona złożyła mu ukłon, nie podnosząc się z fotela. – A tymczasem...

–Przepraszam, Colinie – przerwał mu Dahak. – Kuter admirała Hatcher'a już dotarł.

–To dobrze. Wygląda na to, że zaraz możemy zacząć imprezę.

–Mam nadzieję – powiedział z przekasem Horus, krepy, siwowłosego księcia Terry. – Za każdym razem, gdy tylko wystawiam nos z biura, coś wpelza do koszyka z napisem "do zrobienia" i gryzie mnie, kiedy wracam!

Colin nie słuchał już tescia, gdyż przyglądał się, jak Tao-ling z wielką troskliwością pomaga Amandzie usiąść. Taka czułość z pewnością wydałaby się dziwna komus, kto słyszał o marszałku gwiazdnym Tsienie lub generale Amandzie Tsien – twardej jak stal komendant Fortu Hawter, bazy szkoleniowej Imperialnej Piechoty Morskiej na Birhat. Colin jednak doskonale ich znał i był głęboko uradowany tym, co widział.

Amanda Tsien była sierota. Miała zaledwie dziewięć lat, kiedy dowiedziała się, że miłość może być najokrutniejszą bronią, a przekonała się o tym ponownie, gdy Tamman, jej pierwszy mąż, zginął pod Zeta Trianguli Australis. Colin i Jiltanith przyglądali się potem bezradnie, jak Amanda szuka zapomnienia w swoich obowiązkach i zamyka się w opancerzonej skorupie, przelewając wszystkie swoje

uczucia na syna Tammana. Nawet cesarz nic nie mogli na to poradzić, dopiero Tsien Tao-ling to zmienił.

Ten mężczyzna, którego nowicjusze nazywali potworem, zbliżył się do niej tak łagodnie, że nawet tego nie zauważyła, dopóki nie było już za późno. Potrafił rozbic skorupę jej pancerza i dać jej swoje serce – choć wielu twierdziło, że on w ogóle go nie ma – a ona... je przyjął.

Była trzydziści lat młodsza od niego, ale dla posiadaczy bioulepszeń nie miało to najmniejszego znaczenia. W końcu Colin był ponad czterdziści lat młodszy od Jiltanith, a mimo to ona wyglądała na młodszą. Oczywiście tak naprawdę miała ponad pięćdziesiąt jeden tysięcy lat, ale to się nie liczyło – jedynie niewiele ponad osiemdziesiąt lat nie spędziła w uspieniu.

–Jak się mają Hsuli i Colette? – spytał Colin, a Amanda rozesmiała się.

–Świetnie. Hsuli był trochę zły, że nie chcemy go zabrać ze sobą, ale przekonałam go, że powinien zostać i zaopiekować się siostrą.

Colin potrząsnął głową.

–Z Seanem i Harry to by się nie udało.

–Tak to jest, jak ktoś ma tylko bliźniaki – powiedziała pogodnym głosem Amanda, patrząc wymownie na Jiltanith.

–Wybaczcie mi, Amando. – Jiltanith uśmiechnęła się. – Zgadnąć nie umiem, jakże czas znajdujesz na obowiązki i dzieciatka. Jeśli o mnie chodzi, minie wiele lat jeszcze – całe dziesięciolecie być może – nim wyzwania tego znowu podjąć się zdołam. Ale nie przystoi ci z cesarzowej swej tak szydzić, gdy świat cały wie, iż matka doskonała jesteś, zaś ja... – Wzruszyła ramionami, a jej przyjaciele rozesmiali się.

Horus chciał jeszcze coś powiedzieć, lecz w tym momencie wewnętrzny wąż odsunął się i do środka wszedł elegancki mężczyzna w granatowym mundurze Floty Bojowej.

–Cześć, Geraldzie – przywitał go Colin, a wtedy admirał Floty Gerald Hatcher, dowódca operacji morskich, przesadnie nisko się uklonił.

–Dobry wieczór, wasza wysokość – powiedział uniesieniem głowy, a jego suweren pogroził mu pięścią.

Admirał Hatcher przez trzydziści lat był żołnierzem Stanów Zjednoczonych, a nie marynarzem, lecz jako dowódca operacji morskich był najwyższym rangą oficerem Floty Bojowej. Było to odpowiednie stanowisko dla człowieka, który jako szef Sztabu

Ludzkości obronił Ziemi przed Achuultanami. Ale nawet tak wysokie stanowisko nie zmieniło jego poczucia humoru.

Pomachał do Ninhursag, uściskał ręce Hectora, Tsiena i Horusa, po czym ucałował Amande w śniady policzek. Potem pochylił się z szacunkiem nad dłonią Jiltanith, lecz cesarzowa pociągnęła go za brodę, którą zapuścił od czasu obleżenia Ziemi, i zanim zdążył się odsunąć, pocałowała go w usta.

–Bezwstydnik z ciebie, Geraldzie Hatcherze – powiedziała surowo – i niech to cie nauczy, jak to los cie czeka, jeśli wążysz się znowu swą małżonkę sama pozostawić!

–O? – Uśmiechnął się. – To groźba czy obietnica, wasza wysokość?

–Obcać mu głowę! – mruknął Colin, a admirał uśmiechnął się.

–Tak naprawdę to ona odwiedza siostrę na Ziemi. Wybierają dziecięce ubranka.

–Mój Boże, czy wszyscy mają nowe dzieciaki?

–Nie, mój Colinie, jeno wszyscy poza nami – powiedziała Jiltanith.

–To prawda – zgodził się Hatcher. – Tym razem to będzie chłopiec. Jeśli o mnie chodzi, ciesze się z dziewczynek, ale Sharon jest wniebowzięta.

–Gratulacje. – Colin wskazał na pusty fotel. – Ale skoro już tutaj jesteś, zabierajmy się do roboty.

–Bardzo chętnie. Mam zaplanowaną za kilka godzin konferencję z Matką, a wcześniej chciałbym się zdrzemnąć.

–W porządku. – Colin spoważniał. – Jak już wspominałem, zapraszając was tutaj, chciałbym porozmawiać z wami nieoficjalnie przed spotkaniem Rady w przyszłym tygodniu. Zbliża się dziesiąta rocznica mojej koronacji i Zgromadzenie Szlachty chce z tej okazji zrobić wielką imprezę. To może być dobry pomysł, lecz oznacza również, że tegoroczny raport o stanie kraju będzie bardzo ważny, więc chciałbym się z wami skonsultować, zanim zacznę go pisać.

Goście skryli uśmiechy. W Czwartym Cesarstwie nigdy nie wymagano od swoich cesarzy regularnych raportów, lecz Colin włączył raport o stanie kraju do kodeksu Piątego Imperium i odtąd narzucony sobie samemu obowiązek stał się dla niego coroczna meka. Dlatego dzisiaj zaprosił przyjaciół na pokład Dahaka, żeby mu pomogli, gdyż mógł mieć pewność, że powiedzą mu to, co myśla, a nie to, co chciałby, żeby myśleli.

–Zacznijmy od Geralda.

–W porzadku. – Hatcher podrapal sie po brodzie. – Mozesz zaczac od dobrych wieści. Geb przyslal swoj ostatni raport, zanim razem z Wladem wyruszyli do Cheshir, i twierdzi, ze powinni ponownie uruchomic baze Floty na Cheshir w ciagu trzech miesiecy. Znalezi tez dziewiec kolejnych Asgerdow. Beda potrzebowali jeszcze paru miesiecy, by je uruchomic, bo brakuje im ludzi – jak zawsze – ale poradza sobie, a to oznacza, ze bedziemy mieli sto dwanasie planetoid. – Przerwal. – O ile nie znajdziemy kolejnego Sherkana.

Colin skrzywil sie, slyszac gorycz w jego glosie. Poniewaz planetoida zostala znaleziona przez ekspedycje Hachera, to on musial powiedziec o wszystkim Wladimirowi Czernikowowi.

Dotychczas dowodztwo zwiadu znalazlo tylko dwie planety Czwartego Cesarstwa, na ktorych bylo jakies zycie – Birhat, dawna stolice, i Chamhar – lecz na zadnej z nich nie odkryto sladow ludzi. Przetrwalo za to wiele wojskowego sprzetu, w tym potezne statki kosmiczne, a oni bardzo tego wszystkiego potrzebowali. Ludzkosc z trudem powstrzymala ostatni najazd Achuultan, a pokonanie ich na ich wlasnym terytorium bedzie o wiele trudniejsze.

Naprawa wraku o srednicy czterech tysiecy kilometrow po czterdziestu pieciu tysiacach lat bylaby trudnym zadaniem, dlatego Hatcher byl bardzo zadowolony, gdy wszystkie badania potwierdzily doskonaly stan Sherkana. Nie wykryto jednak drobnej usterki doplywu mocy i w chwili, gdy inzynier statku uruchomil go, by zaczal zasysac energie do podrozy nadswietlnej, wybuchly bezpieczniki. W wybuchu, ktory moglby zniszczyc caly kontynent, zginelo szesc tysiecy ludzi, w tym admiral Floty Wasilij Czernikow i jego zona Walentyna.

–Tak czy inaczej – powiedzial juz bardziej optymistycznie Hatcher – z innymi projektami rowniez idzie nam calkiem niezle. Za kilka miesiecy Adrienne wypusci pierwszy rocznik Akademii, a ja jestem w pelni zadowolony z ich wynikow, choc ona i Tao-ling nadal pracuja nad udoskonaleniem programu nauczania.

–Jesli chodzi o sprzet, sytuacja tutaj, na Bia, wyglada dobrze dzieki Tao-lingowi. Musial uruchomic wlasciwie wszystkie ocalale jednostki naprawcze, by przywrocic dzialanie tarczy. – Przy tych slowach Hatcher i marszalek wymienili usmiechy, gdyz reaktywacja ogromnych generatorow tarczy otaczajacych Bia, nieprzeniknionej sfery o srednicy osiemdziesieciu minut swietlnych, byla wrecz przerazajacym zadaniem. – Mamy wiec duza zdolnosc naprawcza i wlasciwie jestesmy gotowi zaczac projektowanie nowych konstrukcji.

–Naprawde? – Colin byl zadowolony.

–Naprawde – odpowiedzial Dahak w imieniu admiralala. – Zajmie nam to w przyblizeniu trzy przecinek piec lat standardowych – Piate Imperium posluzywalo sie

czasem ziemskim, a nie czasem Birhat – zanim będzie można przesunąć zasoby z programów reaktywacji do budowania nowych konstrukcji, lecz już rozpocząłem wraz z admirałem Baltanem wstępne studia nad nowymi projektami. Łączymy kilka koncepcji "pożyczonych" od Achuultan z pomysłami Cesarskiego Biura Statków, co pozwoli nam osiągnąć znaczny wzrost możliwości naszych nowych jednostek.

–To dobra wiadomość, ale co z Macocha?

–Obawiam się, że to wymaga znacznie więcej czasu.

–"Znacznie" to bardzo optymistyczne określenie – westchnął Hatcher. – Mimo pomocy Dahaka wciąż potykamy się o szczegóły budowy komputerów z epoki Cesarstwa, a Matka jest najbardziej skomplikowanym komputerem, jaki wtedy stworzono. Skopiowanie jej będzie cholernie trudne, nie wspominając już o czasie niezbędnym do zbudowania kadłuba o średnicy pięciu tysięcy kilometrów, który pomieszczyłby duplikat!

Cesarstwo zbudowało Matkę, oficjalnie zwaną Głównym Komputerem Centrali Floty, wykorzystując obwody oparte na polu silowym, przy których nawet obwody molekularne wydawały się wielkie i niezgrabne, lecz mimo to komputer miał średnicę ponad trzystu kilometrów. Matka została umieszczona w najpotężniejszej znanej ludzkości fortecy, gdyż oprócz kierowania Flotą Bojową, była również opiekunką Cesarstwa – właściwie to ona koronowała Colina i dostarczyła statki, które zniszczyły Achuultan. Niestety – a może na szczęście – została starannie zaprojektowana, tak jak wszystkie komputery późnego Cesarstwa, by uniknąć rozwoju samoswiadomości, co oznaczało, że dostarczała informacji ze swego nieograniczonego skarbca tylko wtedy, gdy zadano jej właściwe pytanie.

Colin bardzo się martwił, co może się stać z Flotą Bojową, gdyby coś przytrafiło się Matce, i miał zamiar zapewnić Ziemi ochronę równie potężną jak miał Birhat, stąd wziął się pomysł stworzenia kopii Matki. Gdyby Matka została zniszczona, Macocha – jak ochrzcił ten projekt Hatcher – mogłaby płynnie przejąć jej rolę, zapewniając nieprzerwaną kontrolę nad Flotą Bojową i Imperium.

–Jakie są wasze szacunki?

–Zakładając, że opanujemy technikę komputerową, żebyśmy nie musieli zadecydować Dahaka pytaniami, być może uda nam się zacząć prace nad kadłubem za mniej więcej sześć lat. Kiedy zajdziemy już tak daleko, najpewniej uda nam się zakończyć wszystkie prace w ciągu następnych pięciu lat.

–Cholera. No dobra. Achuultanie nie powinni się pojawić w ciągu co najmniej czterech czy pięciu stuleci, lecz chce, by ten projekt został zakończony jak najszybciej, Ger.

–Zrozumiano – odpowiedział Hatcher. – W tym czasie powinniśmy jednak uruchomić pierwsze nowe planetoidy. Ich komputery są o wiele mniejsze i mniej skomplikowane, bez tych wszystkich plików Matki z gatunku "cholera wie, o co w nich chodzi", a reszta sprzętu nie jest dużym problemem, nawet biorąc pod uwagę programy testowe nowych systemów.

–To dobrze. – Colin odwrócił się do Tsien. – Chcesz coś dodać, Tao-ling?

–Obawiam się, że Gerald ukradł mi większość przedstawienia – powiedział Tsien, a Hatcher uśmiechnął się.

Wszystko, co było nieruchome, podlegało Tsienowi – od fortyfikacji i stoczni po badania i szkolenie Floty – lecz ponieważ remontowanie i wyposażanie w załogę planetoid Hachera było kwestią priorytetową, ich obecne zakresy odpowiedzialności w dużym stopniu nakładały się na siebie.

–Jak już Gerald i Dahak wspominali, większość układu Bia wróciła do pełnej sprawności. Ponieważ w układzie jest zaledwie czterysta milionów ludzi, nasz personel jest jeszcze bardziej obciążony niż Geralda, ale radzimy sobie i jest coraz lepiej. Baltan i Geran z dużą pomocą Dahaka świetnie dają sobie radę z badaniami, choć w najbliższej przyszłości "badania" będą oznaczać jedynie kontynuowanie ostatnich projektów Cesarstwa. Wśród tych projektów pojawiło się kilka bardzo ciekawych, zwłaszcza plan stworzenia nowej generacji gwiazd grawitacyjnych.

–Naprawdę? – Colin unosił brew. – Pierwszy raz o tym słysze.

–Ja również – wtracił Hatcher. – Jakie gwiazdy, Tao-ling?

–Odkryliśmy ten plan zaledwie dwa dni temu – wyjaśnił Tsien przeproszającym tonem – lecz to, co zobaczyliśmy, wskazuje na bron o wiele potężniejszą niż to wszystko, co wcześniej zbudowano.

–Na Stworze! – Horus był zafascynowany, ale jednocześnie przerażony. Piecdziesiąt jeden tysięcy lat wcześniej był specjalista od pocisków Czwartego Imperium i przerażająca skuteczność broni Cesarstwa wstrząsnęła nim do głębi, kiedy po raz pierwszy ją zobaczył.

–W rzeczy samej – zgodził się Tsien. – Nie jestem jeszcze pewien, ale podejrzewam, że ta gwiazda mogłaby powtórzyć twój wyczyn spod Zeta Trianguli, Colinie.

W tym momencie kilka osób, włączając w to samego Colina, przelknęło głośno ślinę. Podczas drugiej bitwy pod Zeta Trianguli Australis wykorzystał nadświetlny napęd Echanach, którego potężne pola grawitacyjne – właściwie nakładające się czarne dziury – dosłownie wyciskały statek z "prawdziwej" przestrzeni w serii natychmiastowych przeniesień. Ponieważ statek z napędem Echanach przebywał w

normalnej przestrzeni niezwykle krótko, nawet gdy znalazł się blisko jakiejś gwiazdy, i poruszał się z prędkością niemal dziewięćset razy większą od prędkości światła, nic się nie mogło stać. Ale uruchomienie, a później ostateczne wyłączenie napędu zajmowało zdecydowanie więcej czasu, i Colin wykorzystał to, by doprowadzić do wybuchu nowej, która zniszczyła ponad milion statków Achuultan.

Jednak potrzebował do tego poł tuzina planetoid, a myśl, że można by to powtórzyć za pomocą jednej głowicy, była przerażająca.

–Mówisz poważnie? – spytał.

–Poważnie. Moc pojedynczej głowicy jest znacznie mniejsza niż ta, która udało ci się wytworzyć, lecz za to jest o wiele bardziej skoncentrowana. Nasze najbardziej ostrożne szacunki wskazują, że ta broń mogłaby zniszczyć dowolną planetę i wszystko w promieniu trzystu albo czterystu tysięcy kilometrów wokół niej.

–Jezu! – szepnęła Jiltanith i jej dłoń zacisnęła się na rekojesci piętnastowiecznego sztyletu. – Moc taka przeraża mnie, Colinie. Straszliwym byłoby, gdyby taka broń przypadkiem jakowymś jeden z naszych światów poraziła!

–Masz rację – mruknął Colin. – Zatrzymajcie budowę tego czegoś, Tao-ling-powiedział. – Prowadźcie tyle badań, ile chcecie – do diabła, możemy potrzebować takiej głowicy przeciwko głównemu komputerowi Achuultan! – ale nie budujcie niczego bez mojej zgody.

–Oczywiście, wasza wysokość.

–Jeszcze jakies niespodzianki?

–Nie takiego kalibru. Przygotuje wraz z Dahakiem pełen raport przed końcem tygodnia, jeśli tylko sobie zyczysz.

–Dobrze. – Colin odwrócił się do Hectora MacMahana. – Czy są jakieś problemy z wojskiem, Hectorze?

–Niewiele. Radzimy sobie lepiej niż Gerald, jeśli chodzi o zasoby ludzkie, ale też docelowa wielkość naszych sił jest bardziej skromna. Niektórzy starsi oficerowie mają problemy z przyzwyczajeniem się do możliwości imperialnego sprzętu – większość z nich wywodzi się z armii sprzed okresu obleżenia – i dlatego mieliśmy trochę bajzlu przy szkoleniu. Ale Amanda już zajmuje się tym w Forcie Hawter, a do tego nadchodzi nowe pokolenie, które nie musimy niczego oduczać, dlatego nie widzę żadnych powodów do żartowania.

–To dobrze. – Jeśli Hector MacMahan nie widzi powodów do żartowania, to znaczy, że ich nie ma. – A jak idzie na Ziemi, Horusie?

–Chciałbym moc ci powiedzieć, że sytuacja się zmieniła, Colinie, ale tak się nie stało. Takich zmian nie można przeprowadzić bez wielkiego zamieszania. Przejście na nową walutę poszło łatwiej, niż mogliśmy się spodziewać, ale całkowicie rozwaliliśmy ekonomię z okresu sprzed obleżenia, a nowa wciąż jest dość nieokreślona, i to denerwuje wielu ludzi.

Starzec odchylił się do tyłu i splótł ręce na piersi.

–Gospodarka krajów słabo rozwiniętych ma się lepiej niż kiedykolwiek wcześniej – przynajmniej nie grozi im głód, zapewnił im też przyzwoitą opiekę medyczną – ale niemal wszystkie zawody stały się bezużyteczne, i to właśnie najbardziej dreczy Trzeciego Świata. W Pierwszym Świecie programy związane z przekwalifikowaniem są wdrażane na wielką skalę, ale oni przynajmniej byli wcześniej zaznajomieni z techniką.

–Co gorsza, minie przynajmniej dziesięć lat, zanim nowoczesna technika będzie powszechnie dostępna, biorąc pod uwagę, jak wiele środków pochłaniają programy wojskowe. Wciąż polegamy przede wszystkim na przemyśle z okresu przedimperialnego, a ludzie, którzy się tym zajmują, czują się dyskryminowani. Fakt, że bioulepszenia i nowoczesna medycyna dadzą im dwa albo trzy stulecia na znalezienie sobie czegoś lepszego, jeszcze do nich nie dotarł.

–Wąskie gardła w dziedzinie bioulepszeń oczywiście nam nie pomagają. Isis jak zawsze radzi sobie lepiej, niż się spodziewałem, ale znowu mieszkańcy Trzeciego Świata są w najgorszej sytuacji. Musielimy określić priorytety, a u nich jest po prostu więcej ludzi i mniejsza świadomość. Niektórzy z nich nadal sądzą, że biotechnologia to magia!

–Cieszę się, że miałem na kogo zaliczyć to zadanie – powiedział Colin z wielką szczerością. – Czy możemy jeszcze coś ci dać?

–Raczej nie. – Horus westchnął. – Robimy, co możemy, ale nie mamy już żadnych środków, które moglibyśmy na to przeznaczyć. Sądzę, że jakos sobie poradzimy, zwłaszcza że mamy znaczące poparcie Rady Planetarnej. Dużo się nauczyliśmy podczas przygotowań do obleżenia i dzięki temu udało nam się uniknąć paru poważnych błędów.

–Czy pomogłoby ci, gdybym cię zwolnił z odpowiedzialności za Birhat?

–Obawiam się, że nie bardzo. Większość ludzi tutaj jest związana bezpośrednio z obszarem działania Geralda i Tao-linga, ja jedynie zajmuję się tymi, którzy pozostają na ich utrzymaniu. Oczywiście... – Horus uśmiechnął się jestem pewien, że mój zastępca uważa, iż spędzam stanowczo za dużo czasu poza Ziemią.

–Wierze. – Colin zaśmiał się. – Mój zastępca pewnie czuł podobnie.

–W rzeczy samej! – Horus tez sie rozesmial. – Tak naprawde Lawrence okazal sie darem od Stworcy – dodal juz powazniej. – Uwolnil mnie od duzej czesci codziennych obowiazkow, a ponadto razem z Isis tworza bardzo skuteczny zespol do spraw bioulepszen.

–W takim razie ciesze sie, ze go masz.

Colin znal Lawrence'a Jeffersona mniej, nizby chcial, lecz to, co o nim wiedzial, robilo na nim wrazenie. Zgodnie z Wielkim Edyktem, gubernatorzy planet byli mianowani przez cesarza, lecz ich zastepcy byli wybierani przez bezposredniego zwierzchnika i za zgoda Rady Planetarnej. Po wielu latach Horus jako mieszkaniec – nawet jesli nie do konca obywatel – Ameryki Polnocnej postanowil zrezygnowac ze zgody Rady i wprowadzic wybory, proszac swoich komisarzy o propozycje. W wyniku wyborow jego zastepca zostal Jefferson. W czasie, gdy Colin zdobywal enklawe Anu, byl on czlonkiem Senatu Stanow Zjednoczonych, po czym w polowie trzeciej kadencji senatorskiej zrezygnowal z mandatu, by zajac nowe stanowisko, na ktorym dal sie poznac jako czlowiek uroczy, dowcipny i skuteczny.

Colin zwrocil sie teraz do Ninhursag.

–Cos nowego w wywiadzie, Hursag?

–Wlasciwie nie.

Podobnie jak Horus i Jiltanith, ta krepa, nieszczegolnie ladna kobieta przybyla na Ziemie na pokladzie Dahaka. I podobnie jak Horus – Jiltanith byla wowczas dzieckiem – dolaczyla do buntu kapitana Floty Anu, lecz wktotce ku swemu przerazeniu odkryla, ze glowny inzynier tak naprawde dazy do zniszczenia Imperium. Kiedy Horus opuscil Anu i rozpoczel trwajaca tysiaclecia walke partyzancka, Ninhursag zostala uwieziona i uspiona w arktycznej enklawe Anu. Gdy w koncu sie obudzila, zdolala nawiazac kontakt z partyzantami; to dzieki jej informacjom dokonali ostatniego, rozpaczliwego ataku na enklawe. Teraz jako admiral Floty kierowala wywiadem i lubila nazywac siebie "GS" Colina, czyli "glownym szpiegiem".

–Horus ma racje – mowila dalej. – Kiedy stawia sie caly swiat na glowie, efektem jest wielka niechec. Z drugiej jednak strony Achuultanie zabili miliard ludzi i wiadomo, kto uratowal cala reszte, dlatego niemal wszyscy maja zaufanie do ciebie i Jiltanith i wszystkiego, co robicie albo co my robimy w waszym imieniu. Gus i ja mamy oko na niezadowolonych, ale wiekszosc z nich tak bardzo nie lubila siebie nawzajem jeszcze przed oblezeniem, ze teraz utrudnia im to wspolprace. Nawet gdyby im sie udalo zjednoczyc, mieliby duze problemy, by nadszarnac zaufanie, jakie ma do ciebie reszta ludzkiej rasy.

Colin juz sie nie rumienil, kiedy ludzie mowili takie rzeczy, i z namyslem pokiwal

glowa. Gustav van Gelder byl ministrem bezpieczenstwa Horusa, i choc Ninhursag o wiele lepiej od niego znala sie na imperialnej technice, Gus nauczyl ja wiele o ludziach.

–Jesli mam byc calkowicie szczerza, bylaby o wiele bardziej szczesliwa, gdybym znalazla cos powaznego, czym moglabym sie martwic.

–Jak to? – spytal Colin.

–Chyba jestem taka sama jak Horus i ciagle sie zamartwiam, z ktorej strony spadnie kolejny cios. Dzialamy tak szybko, ze nie moze zidentyfikowac wszystkich graczy, nie mowiac juz o ich planach, a nawet najlepsze srodki ostroznosci sa dziurawe jak sito. Na przyklad przez wiele godzin zastanawialismy sie razem z Dahakiem i cala grupa moich najbystrzejszych chlopakow, jak rozpoznać ziemskich sojusznikow Anu, ktorzy pozostali przy zyciu, a dalej nie wiemy, jak mamy to zrobic.

–Chcesz powiedziec, ze nie dorwalismy ich wszystkich? – Colin wyprostowal sie gwałtownie, a Ninhursag popatrzyła na niego zaskoczona.

–Nie powiedziales im, Dahaku? – spytala.

–Zaluje – cieply glos brzmial wyjątkowo niepewnie – ze tego nie zrobilem. A raczej ze nie zrobilem tego otwarcie.

–A co to, do diaska, ma znaczc? – spytal ostro Colin.

–Chodzi mi o to, Colinie, ze uwzglednilem te informacje w jednym z raportow przekazanych na twoje implanty, ale nie zwrocilem na nie twojej uwagi.

Colin skrzywil sie i wybral w myslach sekwencje, ktora otwierala indeks informacji zawartych w implantach. Problem z implantami polegala na tym, ze one po prostu przechowywaly dane, i dopoki ktos nie wykorzystal okreslonej informacji, mogli w ogole nie wiedziec, ze ja posiada. Teraz raport, o ktorym mowil Dahak, pojawil sie w jego umysle. Colin zdusil przeklenstwo.

–Dahaku, mowilem ci...

–Mowiles. – Komputer zawahala sie przez chwile. – Pojalem... rozumowo – jak bys to pewnie okreslil – ze ludzkemu umyslowi brakuje moich umiejetnosci wyszukiwania informacji, ale czasem zapominam o jego innych ograniczeniach. Teraz bede o tym pamietal.

Komputer wydawal sie zawstydzony.

–Zapomnij o tym. – Colin wzruszyl ramionami. – To bardziej moja wina niz twoja.

Miales prawo oczekiwać, że przeczytam twój raport.

–Być może. Moim obowiązkiem jest dostarczać ci informacji, których potrzebujesz, ale jak widać, powinienem zawsze zapytać, czy jesteś świadom, że je posiadasz.

–Nie denerwuj się tak, bo jeszcze ci się diody przepala. – Colin odwrócił się do Ninhursag, a Dahak wydal dźwięk oznaczający śmiech. – Dobrze, teraz już to mam, ale nie rozumiem, jak mogliśmy ich przegapić, jeśli rzeczywiście tak się stało.

–To akurat jest całkiem proste. Anu i jego zausznicy przez całe tysiąclecie manipulowali ziemską populacją i mieli mnóstwo kontaktów, włączając w to ludzi, którzy nie mieli pojęcia, że dla nich pracują. Większość grubych ryb złapaliśmy, kiedy napadłeś na jego enklawy, lecz Anu nie mógł ich tam wszystkich zmieścić. Udało nam się zidentyfikować większość poważnych graczy dzięki danym, które zdobyliśmy, lecz duża część plotek musieliśmy przegapić.

–Ale ci ludzie wcale mnie nie martwią. Wiedzą, co się z nimi stanie, jeśli sięgną na siebie naszą uwagę, i dlatego większość z nich postanowiła zostać bardzo lojalnymi poddanymi Imperium. Ale trochę niepokoi mnie fakt, że Kirinal prowadziła co najmniej dwie ściśle tajne komórki, o których nikt inny nie wiedział. Kiedy ty i Tanni zabiliscie ją w ataku na Cuernavaca, nawet Anu i Ganhar nie wiedzieli, kim byli ci ludzie, dlatego nie sięgnęli ich do enklawy przed ostatecznym atakiem.

–Mój Boże, Hursag! – Hatcher wydawał się przerażony. – Mówisz, że najwyżsi rangą współpracownicy Anu nadal są na wolności?

–Nie więcej niż tuzin – odparła Ninhursag – i podobnie jak plotki, raczej nie będą chcieli zwracać na siebie uwagi. Nie proponuje, byśmy o nich zapomnieli, Geraldzie, ale pomyśl, w jakim oni są bagnie. Stracili patrona, kiedy Colin zabił Anu, a poza tym, jak mówił Horus, wywrociliśmy społeczeństwo Ziemi do góry nogami, więc pewnie utracili też większość wpływów, które mogli mieć w poprzednim układzie. Nie sądzę, by nawet ci, którzy nie zostali na łodzi, zrobili coś, co mogłoby zwrócić uwagę na ich dawne związki z Anu.

–Admiral MacMahan ma rację, admirał Hatcher – powiedział Dahak. – Nie chcę sugerować, że nigdy nie staną się zagrożeniem – sam fakt, że świadomie służyli Anu, świadczy nie tylko o ich zbrodniczych skłonnościach, ale także o ambicjach i umiejętnościach – lecz nie mają już zaplecza. Choć byłoby szalenstwem zakładać, że przestaną poszukiwać wsparcia albo go nie znajdą, w tej chwili nie stanowią większego zagrożenia niż każda inna grupa pozbawionych skrupułów jednostek. Co więcej, należy zauważyć, że byli zorganizowani na poziomie komórek, co sugeruje, że członkowie jednej komórki znali tylko innych członków tej samej komórki, dlatego ich zorganizowana działalność nie jest możliwa.

–No dobrze, wierze wam – westchnal nieco bardziej rozluzniony Hatcher – ale nadal denerwuje mnie swiadomosc, ze ktos z bandy Anu jest na wolnosci.

–Mnie takze – powiedzial Colin, a Jiltanith pokiwała glowa. – Z drugiej jednak strony wydaje mi sie, ze ty, Hursag, razem z Dahakiem i Gusem panujecie nad sytuacja. Pilnuj tej sprawy i zawiadom mnie, jesli cokolwiek – naprawde cokolwiek – zmieni sie w tej kwestii.

–Oczywiscie – powiedziala cicho Ninhursag. – Tymczasem wydaje mi sie, ze największe potencjalne zagrozenia mieszczą sie w trzech kategoriach. Po pierwsze, niechec Trzeciego Swiata, o ktorej wspomnial Horus. Wielu ludzi postrzega Imperium jako poszerzenie wplywow zachodniego imperializmu. Nawet ci, ktorzy wierza, ze rzeczywiscie staramy sie traktowac wszystkich sprawiedliwie, nie moga do konca zapomniec, ze narzucilismy im swoje idee i ze ich kontrolujemy. Mysle, ze ten problem zlagodnieje w miare uplywu czasu, lecz bedzie aktualny jeszcze przez wiele lat.

–Po drugie, mamy ludzi z Pierwszego Swiata, ktorzy stracili swoja pozycje w dawnym ukladzie. Na przyklad stare zwiazki, ktore wciaz walczą przeciwko "technice zabierajacej miejsca pracy", lecz wiekszosc z nich – albo ich dzieci – w swoim czasie sie opamieta.

–Trzecia i najbardziej niepokojaca grupa sa swiry religijne. – Ninhursag skrzywila sie. – Nie rozumiem umyslow osob wierzacych, dlatego nie czuje sie swobodnie w ich obecności, ale wiem, ze jest spora grupa ludzi prawdziwie wierzacych, i to nie tylko w krajach islamskich. Na razie jest tylko jedna organizacja – Kosciol Armagedonu – ale ci ludzie nie sa powaznym zagrozeniem, dopoki nie polacza sie w cos wiekszego, a poniewaz Wielki Edykt gwarantuje wolnosc religijna, nie mozemy nic z nimi zrobic az do chwili, kiedy posuna sie do otwartej zdrady, o ile w ogole to zrobia.

Przerwala, zastanawiajac sie nad tym, co wlasnie powiedziala, po czym wzruszyła ramionami.

–Na razie tak to wlasnie wyglada. Zadnych sladow czegos naprawde niebezpiecznego. Mamy oczy szeroko otwarte, ale w wiekszosci wypadkow potrzeba po prostu czasu na zlagodzenie napiec.

–W porzadku. – Colin oparl sie wygodniej i rozejrzal dookola. – Czy ktos ma jeszcze jakis pomysl, na co powinnismy zwrocic uwage? – Odpowiedzia bylo jedynie potrzasanie glowami, wiec wstal. – W takim razie chodzmy zobaczyc, w co wpakowaly sie nasze dzieciaki.

Ponad osiemset lat swietlnych od Birhat pewien mezczyzna odwrocil krzeslo do okna i spojrzal zamyslony na rozciagajacy sie w dole widok.

Potem ze zgrzytem odchylił do tyłu oparcie staromodnego obrotowego krzesla i splotł dlonie na wysokosci twarzy, stukajac palcami wskazujacymi w brode. Zastanawial sie nad zmianami, jakich doczekal jego swiat, i tymi, ktore on sam zaproponowal. Osiagniecie pozycji, ktora byla mu do tego potrzebna, zajelo mu niemal dziesiec lat, lecz w koncu ja zdobył (i musial przyznac, ze nie bez pomocy samego cesarza).

Uwazal, ze nie ma niczego zlego w idei cesarstwa, a nawet cesarza calej ludzkosci. Nie mial zadnych zludzen co do swojego gatunku, dlatego wiedzial, ze musi byc ktos taki, kto sprawi, ze cala ludzkosc bedzie dzialala razem mimo tradycyjnych podzialow. A mimo najlepszych checi – zakladajac, ze one w ogole istnieja – niewielu Ziemian mialo chocby blade pojecie o tym, jak od zera stworzyc swiatowe panstwo demokratyczne. A nawet gdyby je mieli, demokracje byly zazwyczaj wyjatkowo krotkowzroczone i nieskuteczne. Nie, demokracja nic by nie dala. Zreszta nigdy nie byl szczegolnie wierny tej formie rzadow, inaczey Kirinal nigdy by go nie zverbowala, prawda?

Jego poglady na temat rzadow demokratycznych nie mialy zreszta znaczenia, gdyz jedno bylo jasne: Colin I mial zamiar wykorzystac wszystkie swoje uprawnienia, by stworzyc wladze centralna nad cala ludzkoscia. I, jak zauwazyl mezczyzna, jego cesarska mosc doskonale sobie z tym radzil. Najprawdopodobniej byl najpopularniejsza glowa panstwa w calej historii ludzkosci, a sily zbrojne Piatego Imperium byly bardzo – mozna by powiedziec, ze wrecz fanatycznie – oddane cesarzowi i cesarzowej.

Wszystko to utrudnialo jego zadanie, przyznal mezczyzna, ale gdyby gra byla latwa, kazdy moglby w nia grac, a to dopiero byloby klopotliwe!

Zasmial sie i lekko zakolysal, sluchajac melodyjnego skrzypienia krzesla. Tak naprawde wlasciwie podziwial cesarza. Jak wielu ludziom udaloby sie wskrzesic cesarstwo, ktore zniszczilo cala swoja populacje przed ponad czterdziestoma piecioma tysiacami lat, i zostac jego koronowanym wladca? To bylo blyskotliwe osiagniecie i mezczyzna mial dla Colina MacIntyre'a wiele uznania.

Ale niestety cesarz mogl byc tylko jeden... i nie byl nim ow mezczyzna siedzacy na krzesle.

Albo, jak poprawil sie z usmiechem, jeszcze nim nie byl.

Rozdzial 2

–Skonczyles, Horusie?

Ksiaze Terry podniosl wzrok i skrzywil sie, gdy Lawrence Jefferson wszedl do jego biura.

–Nie – powiedzial kwasno, wrzucajac kosc danych do zabezpieczonej szuflady – lecz przez ostatnich dziesiec lat nie udalo mi sie tego osiagnac, wiec rownie dobrze mozemy juz isc. Moje wnuki nie obchodza codziennie dwunastych urodzin i nic nie jest od tego wazniejsze.

Jefferson rozesmial sie, a Horus wstal i nakazal komputerowi na biurku zamknac szuflade; dopiero wtedy na ustach starego mezczyzny rowniez pojawil sie usmiech. Spojrzal na aktowke Jeffersona.

–Widze, ze ty nie zostawiasz swojej pracy w biurze.

–Ja nie ide na przyjecie. Poza tym to nie jest moja praca, to kopia raportu Gusa dla admiral MacMahana na temat demonstracji przeciwko Narhanom.

–Aha. – W glosie Horusa slychac bylo wyrazny niesmak. – Wiesz, kazdy ma w takim czy innym stopniu uprzedzenia, ale ta niechec do Narhan to czysta bigoteria.

–To prawda, lecz uprzedzenia rozni od bigoterii glupota. Odpowiedzia na to jest edukacja. Narhanie sa po naszej stronie, musimy to tylko tym idiotom udowodnic.

–Wiesz, watpie, by dobrze przyjeli twoja terminologie, Lawrence.

–Mowie tak, jak to widze. – Jefferson wyszczerzyl zeby w usmiechu. – Poza tym jestesmy tu sami i jesli to wycieknie, bede wiedzial, komu to zawdzieczam.

–Bede o tym pamietal.

Horus wylaczyl komputer przez lacze neuralne i wyszli z biura. Dwaj trzymajacy straz uzbrojeni marines staneli na baczosc. Ich obecosc byla czysta formalnoscia, lecz Hector MacMahan bardzo powaznie traktowal ich obowiazki.

Obaj mezczyzni zjechali staromodna winda na parter. Biala Wieza w starym Centrum Shepard NASA byla kwatery glowna Horusa podczas oblezenia, i choc naciskano, by przeniosl sie z Kolorado, nie ustapil, podkreslajac, ze Centrum Shepard nigdy nie bylo stolica zadnego panstwa, a to pozwoli zmniejszyc niechec miedzy narodami. Poza tym tutejszy klimat mu odpowiadal.

Przeszli przez dziedziniec w strone terminalu trans-mat. Jefferson w duchu cieszył sie ze swoich bioulepszen, gdy widzial, jak jego oddech zamarza w lodowatym powietrzu. Nie byl w wojsku, wiec nie dostal pelnego zestawu implantow tak jak Horus, ktory byl dziesiec razy silniejszy niz zwykly czlowiek, lecz to, co mial, pozwalalo mu radzic sobie z drobiazgami w rodzaju temperatury ponizej zera. Bylo to

bardzo przydatne, ponieważ Ziemia nie wyszła jeszcze do końca z krótkiej epoki lodowcowej spowodowanej bombardowaniem w okresie obleżenia.

Przez cały spacer rozmawiali o drobiazgach, ciesząc się chwilą prywatności, choć Jefferson był nieco zdeprimowany brakiem ochroniarzy. Dorastał na planecie, na której terroryzm był ulubioną metodą "protestu" pozbawionych przywilejów nacji, a raport w aktówce dowodził, że jego macierzysty świat bardzo niechętnie godzi się z gwałtownym rozwojem techniki. Mimo to akt przemocy wymierzony w gubernatora Ziemi był niemal nie do pomyslenia. Horus nie tylko przeprowadził Ziemiaków przez rzeź obleżenia, ale także był ojcem ich ukochanej cesarzowej, i tylko skonczony szaleńiec mógłby go zaatakować, żeby coś w ten sposób udowodnić.

Tyle że w historii Ziemi nie brakowało szaleńców, pomyślał Jefferson.

Weszli do punktu trans-mat i mężczyzna poczuł niepokój. Urządzenie nie robiło wielkiego wrażenia – ot, otoczona barierkami platforma szerokości dwudziestu metrów – lecz świadomość, co ono potrafił, sprawiała, że zastępca gubernatora zaczął trząść się ze strachu i zwolnił kroku.

–Nie przejmuj się – usmiechnął się Horus. – I nie myśl, że tylko ciebie to przeraza!

Obaj mężczyźni weszli na podest i bioskanery, które Colin MacIntyre kazał zainstalować w każdym punkcie trans-mat, zaczęły ich sprawdzać. Trans-mat okazał się katem Czwartego Cesarstwa – pozwolił broni biologicznej, która wyrwała się spod kontroli, zainfekować światy oddalone o setki lat świetlnych – i Colin nie chciał, by ta historia się powtórzyła.

Skanery potwierdziły, że są czyste, i Jefferson ścisnął spoconą ręką aktówkę, gdy potężne kondensatory zawyły. Urządzenia trans-mat wymagały astronomicznej mocy, nawet jak na standardy Imperium, i pełne naładowanie trwało niemal dwadzieścia sekund. Później zabłysło światło... i Horus wraz z Lawrence'em Jeffersonem zeszli z innego podestu już na planecie Birhat, osiemset lat świetlnych od Ziemi.

I właśnie dlatego to wszystko jest takie przerażające, pomyślał Jefferson, pozostawiając za sobą trans-mat, że człowiek nic nie czuje. Nic. To nie jest naturalne. Ale czyż to nie jest ciekawe, że tak myśli człowiek napakowany czujnikami i implantami neuralnymi?

–Cześć, dziadku. – General MacMahan wyciągnął dłoń do Horusa, po czym odwrócił się w stronę Jeffersona. – Colin prosił, bym wyszedł wam naprzeciw. Jest bardzo zajęty.

–Zajęty? Czym? – spytał Horus.

–Nie wiem, ale wydawał się nieco udreczony. Sadze... – Hector usmiechnął się – że to ma związek z Cohanna.

–O, na Stworze! Co ona znowu wymyśliła?

–Nie wiem. Chodźcie, transport na was czeka.

–Niech to diabli, Hanno! – Colin spacerował przed biurkiem, z za którego kierował Imperium, pocierając nos gestem, który jego podwładni aż za dobrze znali. – Tyle razy powtarzałem, że nie możesz realizować każdego pomysłu, który wpadnie ci do głowy!

–Ale, Colinie... – zaczęła protestować Cohanna.

–I skoncz z tym swoim "ale, Colinie"! Czy nie mówiłem ci, że masz dostać moją zgodę na kolejne eksperymenty genetyczne, zanim się do nich zabierzesz?

–Oczywiście, że tak, i ja ją dostałam – odparła z zadowoleniem baronowa Cohanna, cesarski minister biotechnologii.

–Ze co?! – Colin popatrzył na nią z niedowierzaniem.

–Mówię, że dostałam twoją zgodę. Siedziałam z Brashieelem tutaj, w twoim biurze, i powiedziałam ci, co mam zamiar zrobić.

Colin odwrócił się do potężnego centaura, który spoczywał na splecionych nogach pośrodku dywanu. Ten spojrzał w jego stronę łagodnymi oczami o podwójnych powiekach.

–Brashieelu, czy pamiętasz, by Ona coś o tym mówiła?

–Tak – odpowiedział spokojnie Brashieel przez czarne pudełko umieszczone na pasku szelek. Jego narządy mowy nie były przystosowane do ludzkich języków, lecz nauczył się wykorzystywać syntezator mowy kierowany przez łącze neuralne, który pozwalał mu wyrazić nie tylko słowa, ale i emocje.

Colin odetchnął głęboko, po czym usiadł na biurku i splótł ręce na piersi. Brashieel rzadko się mylił, a triumfująca mina Cohanny utwierdziła go, że kobieta rzeczywiście coś o tym wspominała.

–No dobrze – westchnął. – Co dokładnie mówiła?

Brashieel zamknął wewnętrzne powieki i skoncentrował się, a Colin cierpliwie czekał. Sama obecność obcego wystarczała, by niektórzy ludzie dostawali ataku

wscieklosci – co Colin rozumial, choc tego nie akceptowal – gdyz Brashieel byl Achuultanem, a co gorsza, jedynym ocalalym z floty, ktora zaledwie godziny dzielily od zniszczenia Ziemi. Zostal jednak przywodca pojmanyh przez Colina jencow, z ktorych wiekszosc – nie wszyscy, ale wiekszosc – byla oddana sprawie zniszczenia pozostalych Achuultan bardziej nawet niz sama ludzkosc.

Przez siedemdziesiat osiem milionow lat lud Gniazda Aku'Ultan przemierzal galaktyke i niszczyh wszystkie rozumne rasy, na jakie sie natknal. Jedynie ludzkosci udalo sie przetrwac ich najazdy – i to az trzy razy, przez co zyskala wsrod Achuultan miano "demonicznych zabojcow gniazd". Po uwiezieniu Brashieel i jego towarzysze dowiedzieli sie o czyms, o czym reszta ich rasy nie miala pojecia. Okazalo sie, ze Achuultanie zostali zniewoleni przez samoswiadomy komputer, ktory kierowal niekonczaca sie rzezia ras, ktore im w zaden sposob nie zagrazaly, tylko po to, zeby moc zachowac wladze.

Nie wszyscy ludzie im ufali, dlatego tym Achuultanom, ktorzy poprosili o obywatelstwo Imperium, Colin oddal planete Narhan. Planeta uniknela broni biologicznej z bardzo prostego powodu – nikt na niej nie mieszkal, gdyz grawitacja 2,67 razy wieksza od ziemskiej sprawiala, ze cisnienie na poziomie morza bylo zabojcze dla ludzi pozbawionych bioulepszen. Powietrze bylo nieco zbyt geste nawet dla pluc Achuultan, a sama planeta lezala w niezbyt wygodnym miejscu – znajdowala sie tak daleko od Birhat, ze podrozujacy za pomoca trans-mat musieli sie przesiadac na Ziemi, by dotrzec do stolicy – lecz osadnicy zakochali sie w jej surowej urodzie i zaczeli budowac nowe Gniazdo Narhan jako lojalni poddani ludzkiego wodza.

–Cohanna skladala raport na temat postepow inzynierii genetycznej w zakresie odtworzenia kobiety Narhan – powiedzial w koncu Brashieel. Zbuntowany komputer zlikwidowal mozliwosc rozmnazania poprzez wyeliminowanie wszystkich achuultanskich samic. Zostalo tylko zaplodnienie in vitro. – Pozniej zaczela sie dyskusja nad jej sugestia, by zwiekszyc dlugosc naszego zycia, tak aby byla porownywalna z dlugoscia ludzkiego zycia.

Colin pokiwal glowa. Achuultanie – Narhanie, poprawil sie – byli wieksi i o wiele silniejsi od ludzi. Do tego o wiele szybciej dojrzewali, ale ich przecietna dlugosc zycia nie przekraczala piecdziesieciu lat. Bioulepszenia, ktore otrzymali wszyscy lojalni dorosli Narhanie, przedluzily ich zycie prawie do trzystu lat, lecz nadal bylo to o wiele mniej niz w przypadku ludzi z implantami.

W przeciwnienstwie do ludzi, Narhanie nie mieli zadnych uprzedzen do biotechnologii. Uwazali ja za cos oczywistego, biorac pod uwage swoje wlasne pochodzenie i fakt, ze Isis, ziemskiej siostrze Jiltanith, udalo sie w ciagu ostatnich kilku lat sprowadzic na swiat sklonowane dzieci. Mozliwosc odtworzenia samic ich gatunku jeszcze bardziej umacniala taka postawe.

–Dyskutowaliśmy nad praktycznymi aspektami tego zagadnienia – mowil dalej Brashieel – i ja wspomnialem o Dzwoneczku.

–Wiem, ze to zrobiles, ale ja z pewnoscia nie wyrazilem na to zgody.

–Obawiam sie, ze musze sie nie zgodzic – stwierdzil Brashieel i Colin skrzywil sie.

Nalezaca do Hectora MacMahana wielka, radosna pollabradorka, polrottweilerka Dzwoneczek zakochala sie w Narhanach. Colina to bawilo, gdyz we wszystkich filmach science-fiction, jakie kiedykolwiek nakrecono, psy od pierwszego spojrzenia nienawidzily "obcego zagrozenia", ale dla Narhan bylo to cos wiecej niz tylko zabawa. W Gniezdzie Aku'Ultan nie bylo zadnych domowych pupilow, dlatego niemal kazdy z nich natychmiast sprawil sobie czworonoznego przyjaciela, lecz psy, podobnie jak wszystkie inne ziemskie zwierzeta, nie byly w stanie zyc w trudnych warunkach panujacych na planecie.

–Sluchaj, wiem, ze zezwolilem na ograniczone bioulepszenia, byscie mogli zabrac psy ze soba, ale nie myslalem o niczym takim.

–Oczywiscie nie moze wiedziec, o czym myslales, lecz ta kwestia sie pojawila. – Colin zacisnal zeby. Narhanie byli rownie inteligentni jak ludzie, lecz za to mieli slaba wyobraznie i wszystko brali zdecydowanie zbyt doslownie. – Cohanna mowila, ze dzieki inzynierii genetycznej moglaby stworzyc psy, ktore nie potrzebowalyby implantow, a ty sie zgodziles. Pozniej przypomniala ci o sukcesach Dahaka w kontaktach z Dzwoneczkiem i zasugerowala, ze moglaby rowniez poprawic umiejtnosc porozumiewania sie z nimi.

Colin otworzyl usta, po czym zamknal je gwaltownie, odtwarzajac w myslach te rozmowe. Rzeczywiscie Cohanna o tym wspomniala, a on sie zgodzil, ale, do diaska, powinna byla wiedziec, co mial na mysli.

Zamknal oczy i policzyl do pieciuset. Dahak przez cale lata upieral sie, ze warczenie, wycie i skomlenie Dzwoneczka ma wiecej znaczen, niz ludzie sadza, i tak dlugo zajmowal sie analiza wydawanych przez nia dzwiekow, az w koncu udowodnil, ze mial racje. Psy nie byly myslicielami. Ich funkcje poznawcze byly ograniczone, a umiejtnosc myslenia symbolicznego niemal nie istniala, lecz za to mialy o wiele wiecej do powiedzenia, niz ludzie przypuszczali.

–No dobrze – powiedzial w koncu, otwierajac oczy i wpatrujac sie ze zloscia w Cohanne. Kobieta odpowiedziala mu niewinnym spojrzeniem. – No dobrze. Przyznaje, ze ta kwestia sie pojawila, ale nigdy mi nie powiedziales, ze masz cos takiego w planach.

–Tylko dlatego, ze myslalam, iz to oczywiste – odpowiedziala, a Colin zdusil zjadliwa odpowiedz.

Cohanna była błyskotliwa i ogromnie ciekawa – drobiazgi w rodzaju klimatu politycznego, wojen i pobliskich supernowych były całkowicie pozbawione znaczenia w porównaniu z aktualnie prowadzonym przez nią projektem, niezależnie od tego, czego dotyczył.

–Sluchaj – spróbował ponownie. – Dla wielu milionów Ziemi biotechnologia jest czymś przerażającym. – Skrzywiła się z pogardą dla takiej ignorancji, a on westchnął. – Dobra, myła się, ale to nie zmienia ich uczuć. Czy pomyślałaś, jak zareagują na twoje mieszanie się w naturalną ewolucję?

–Ewolucja – odparła – to irracjonalny proces statystyczny oznaczający jedynie zachowanie przypadkowych form życia, które są zdolne przetrwać w swoim środowisku.

–Proszę, nie mów takich rzeczy! Może i masz rację, ale zbyt wielu Ziemi traktuje ewolucję jako wyraz boskiego planu dla wszechświata.

–Barbarzyńcy! – prychnęła Cohanna, a Colin westchnął.

–Powiniem ci nakazać, byś zniszczyła wyniki swoich eksperymentów – mruknął, lecz zaraz wycofał się z tych słów, widząc bunt w jej oczach. – No dobrze, nie zrobię tego, przynajmniej nie od razu. Ale zanim obiecuję, że tego nie zrobię, chce je zobaczyć na własne oczy. A tobie nie wolno prowadzić żadnych eksperymentów genetycznych bez mojego wyraźnego – i pisemnego – zezwolenia. Zrozumiano?

W odpowiedzi pokiwała tylko sztywno głową. Colin obszedł biurko i opadł na krzesło.

–Dobrze. Za dziesięć minut mam spotkanie z Horusem i zastępcą gubernatora Jeffersonem, więc musimy to na razie zostawić. Ale zanim wyjdziecie, powiedzcie, czy pojawiły się jakieś problemy – albo niespodzianki – w projekcie Genesis.

–Nie. – Cohanna nieco się rozluźniła. Colin musiał przyznać, że bywała nieznosna, kiedy ktoś nadepnął jej na palce, lecz zaraz wracała do równowagi. – Ale – dodała – dziwię się, że nie sprzeciwiłaś się tej nazwie.

–Zaluję, że o tym nie pomyślałem, kiedy Isis ją zaproponowała. Ale wykorzystujemy tę nazwę tylko dla wewnętrznych potrzeb, a wszystkie raporty są ściśle tajne, więc nie powinno to nikogo zdenerwować.

Cohanna prychnęła, po czym uśmiechnęła się chłodno.

–Coż, to i tak bardziej jej projekt niż mój, więc nie powinnam się wtracać. Tak czy inaczej, powinniśmy być gotowi do działania w ciągu roku.

–Tak szybko? – Colin był pod wrażeniem. Przechylił głowę, by spojrzeć na Brashieela. – Co na to twoi towarzysze, Brashieelu?

–Sa zainteresowani i może trochę przestraszeni. W końcu pojecie kobiety wciąż jest dla nas dość dziwne, a pomyśl, by plodzić potomstwo z towarzyszem z gniazda, wydaje się... osobliwy. Większość jednak chciałaby zobaczyć, jakie one są. Jeśli o mnie chodzi, czekam z niepokojem, chociaż jestem bardzo zadowolony z Brashana.

–Tak, można by powiedzieć, że niedaleko pada jabłko od jabłoni. No dobrze, musimy konczyć. – Gdy jego goście wstali, jeszcze na pożegnanie pogroził Cohannie palcem. – Mówiłem poważnie, jeśli chodzi o eksperymenty, Hanno! I chce je zobaczyć na własne oczy.

–Zrozumiano – odpowiedziała.

Cohanna opuściła biuro wraz z Brashieelem, wymieniając po drodze powitania z Horusem, Hectorem i Jeffersonem, a Colin z westchnieniem odchylił się na krzesło. Boże! Połączenie narhanskiego braku wyobraźni i kogoś w rodzaju Cohanny to prośenie się o kłopoty. Będzie musiał bardziej na nią uważać.

Otworzył oczy i ujrzał swojego tescia wpatrującego się w dywan. Unosił brew, czekając na wyjaśnienie, a wtedy Horus rozesmiał się.

–Po prostu sprawdzam, ile krwi popłynęło.

–Nawet nie wiesz, jak bliski jesteś prawdy – mruknął Colin. – Jezu! Tyle razy robiłem jej wykłady na ten temat! – Podniósł się, by uścisnąć Horusa, po czym wyciągnął rękę do Jeffersona. – Miło pana znowu widzieć, panie Jefferson.

–Dziękuję, wasza wysokość. Być może widywalibyśmy się częściej, gdybym nie musiał tutaj przybywać przez trans-mat. – Jego strach był tylko na wpol udawany, i Colin rozesmiał się.

–Wiem. Kiedy po raz pierwszy korzystałem z szybu transportowego, omal się nie zmoczyłem, a trans-mat jest jeszcze gorszy. – Ale za to skuteczny – przyznał ze słabym uśmiechem zastępca gubernatora. – Cholernie skuteczny, a niech go diabli!

–To prawda.

–Powiedz mi, Colinie, co znowu wymyśliła Hanna? – spytał Horus.

–Ona... – Colin przerwał, po czym wzruszył ramionami. – To nie może wyjść poza moje biuro, ale chyba mogę wam powiedzieć. Wiedzieliście, że modyfikowała genetycznie psy dla Narhan? – Goście pokiwali głowami. – Coz, poszła trochę dalej, niż chciałem. Pracowała nad paroma miotami Dzwoneczka, żeby dać im prawie

ludzka inteligencje.

–Co? – Horus zamrugal. – Myślałem, że powiedziałes jej, żeby nie...

–Powiedziałem, ale ona tłumaczyła mi, że chce "usprawnić ich umiejętność porozumiewania się z Narhanami", a ja jej pozwoliłem. – Skrzywił się. – Ale byłem głupi.

–O, na Stworze – jeknął Horus. – Czemu ona nie może mieć choć w połowie tyle rozsądku, co inteligencji?

–Ponieważ wtedy nie byłaby Cohanna. – Colin uśmiechnął się, po czym zaraz spoważniał. – Najgorzej, że pierwszy miot jest już dorosły, a ona uczyła psy poprzez implanty. Jeśli rzeczywiście obdarzyła je ludzką lub prawie ludzką inteligencją jeśli zmieniła zwierzęta doświadczalne w ludzi – to nie jestem pewien, czy mam prawo, o prawie moralnym nie wspominając, uspic je jak zagłodzone bezdomne zwierzęta.

–Proszę mi wybaczyć, wasza wysokość – wtracił niepewnie Jefferson – ale sądzę, że powinieneś dobrze się nad tym zastanowić. – Colin unosił brew, a wtedy mężczyzna wzruszył ramionami. – I tak mamy dużo problemów z przeciwnikami Narhan. Ostatnia demonstracja była straszna, a wcale nie odbyła się w jednym z bardziej reakcyjnych rejonów, lecz w samym Londynie.

–W Londynie? – Colin spojrzał ostro na Horusa, natychmiast zapominając o eksperymencie Cohanny. – Jak było?

–Niedobrze – odparł Horus. – Znowu były hasła "dobry Achuultan to martwy Achuultan" i przepychanki, ale zaczęły się dopiero wtedy, gdy demonstranci wpadli na kontrdemonstrację, co może być oznaką rozsądku. Taka w każdym razie mam nadzieję.

–Mój Boże! – westchnął Colin. – Wiecie co, walka z Achuultanami była o wiele prostsza.

–To prawda. Mimo to sądzę, że czas pracuje na naszą korzyść. – Colin skrzywił się, a Horus uśmiechnął. – Wiem. Jestem równie zmęczony powtarzaniem tych słów, jak ty ich wysłuchiowaniem, ale to prawda. Czas to jedyna rzecz, której nam nie brakuje.

–Może. Ale skoro już przy tym jesteśmy, kto zorganizował demonstrację?

–Gus się tym zajmuje – odpowiedział Jefferson – ale wiemy, że oficjalnym organizatorem była grupa zwana LLI: "Ludzie dla Ludzkiego Imperium". Na pierwszy rzut oka wydaje się, że to banda chuliganów wspieranych przez grupę niezadowolonych intelektualistów. "Jajogłowi" to najwyraźniej naukowcy, którym nie podoba się, że wiedza, której poświęcili całe życie, w ciągu jednej nocy okazała się

przestarzała i nieprzydatna. Wydaje się – dodał ze słabym uśmiechem – że niektórzy z naszych nieustraszonych pionierów myśli wcale nie są takimi pionierami, jak sądzili.

–Trudno mieć do nich pretensje – stwierdził Horus. – Jak sam powiedziałeś, Lawrence, przez całe życie pracowali na swoją pozycję przywódców intelektualnych, a teraz zostali odsunięci na bok.

–Wiem. – Colin spochmurniał i przez chwilę wpatrywał się w swoje dłonie, po czym znowu podniósł wzrok. – Ale jednak wydaje się to dość dziwnym połączeniem. Chuligani i profesorowie? Ciekawe, jak oni się skontaktowali?

–Dziwniejsze rzeczy działy się już na świecie, wasza wysokość, ale zadaliśmy sobie z Gusem to pytanie i on sądzi, że odpowiedzią jest Kościół Armagedonu.

–Cholera – powiedział Colin z niesmakiem.

–To nieeleganckie, ale właściwie określenie – stwierdził Horus. – Właśnie to mnie najbardziej martwi. Kościół zaczął jako zwykły związek fundamentalistów, którzy postrzegali Achuultan jako prawdziwe zło, ale teraz to jest zwrot w kierunku otwartego rasizmu – o ile może użyć tego słowa – i to wyjątkowo paskudnego.

–Owszem. Czy wiemy coś na temat ich przywódców, panie Jefferson?

–Niewiele, wasza wysokość. Ich członkowie nigdy nie próbowali się ukrywać – zresztą po co mieliby to robić, skoro oficjalnie głoszą tolerancję religijną – ale są tak dziwnym połączeniem różnych odłamów, że ich hierarchia jest niejasna. Wciąż próbujemy dociec, kto im właściwie przywodzi. Ich rzecznikiem jest niejaki biskup Hilgemann, ale obawiam się, że nie mogę się zgodzić z Gusem co do jej prawdziwej władzy. Wydaje mi się raczej ich tuba niż prawdziwym decydującym, ale obaj tylko na ten temat spekulujemy.

–Omówcie to z Ninhursag?

–Oczywiście, wasza wysokość. Przywiozłem raport Gusa i zaraz po tym spotkaniu udaje się do Matki. Spróbuje razem z admirałem MacMahanem i może Dahakiem wyciągnąć coś z tych danych.

–Życze powodzenia. Hursag od ponad roku próbuje coś na nich znaleźć. No dobrze. – Colin wstał i wyciągnął rękę do zastępcy gubernatora. – W takim razie nie będę pana zatrzymywał, panie Jefferson. Musimy wraz z Morusem udać się na przyjęcie urodzinowe, a dwójka dorastających dzieciaków z piekła rodem obrzydzi nam życie, jeśli się spóźnimy.

–Oczywiście. Proszę pozdrowić ode mnie cesarzową i dzieci.

–Na pewno to zrobie w przerwie miedzy prezentami, ciastem, ponczem i ogolnym zamieszaniem. Powodzenia w pracy nad raportem.

–Dziekuje, wasza wysokosc. – Jefferson wyszedl, a Colin i Horus udali sie do czesci Palacu przeznaczonej dla cesarskiej rodziny.

Rozdzial 3

Colin MacIntyre rzucil kurtke na krzeslo i w jego zielonych oczach pojawilo sie rozbawienie, gdy lokaj-robot glosno cmoknal i natychmiast ja podniosl. Tanni byla czysta niczym kot, ktorego bardzo przypominala, i zaprogramowala wszystkie domowe roboty, by usuwaly skutki jego niedbalstwa, kiedy ona sama byla czym innym zajeta.

Po drodze zajrzal do biblioteki, gdzie zobaczyl dwie ciemne glowy pochylone nad hologramem. Wygladalo to na glowny konwertor jednostki napedowej przenosnika grawitonicznego, a bliznieta byly zajete manipulowaniem hologramem przez lacza neuralne, by zmienic go w szczegolowy schemat, ktory pomoglby im dyskutowac nad jakimis skomplikowanym zagadnieniem.

Colin potrzasnal glowa i ruszyl dalej. Ciagle musial sobie przypominać, ze maja tylko dwanascie lat, a to dlatego, ze on sam dorastal bez edukacji przez implanty.

Dzieki laczom neuralnym nie bylo juz wlasciwie zadnych ograniczen ilosci informacji, jakie czlowiek mogl posiadac, lecz po raz pierwszy w historii najwazniejsze bylo to, co najwieksi nauczyciele zawsze uznawali za prawdziwy cel edukacji: poglabianie wiedzy. Uczniowie nie musieli juz spedzac niekonczacych sie godzin na zdobywaniu informacji, nalezalo im jedynie uswiadomic, co juz "wiedza", i nauczyc ich, jak z tego korzystac – a wiec tak naprawde nauczyc ich myslec. W wyniku tych zmian wielu nauczycieli poczulo sie zagubionych i niepotrzebnych – a jeszcze wiecej rozpoczelo, przy wsparciu zachodnich zwiazkow zawodowych, brutalna walke przeciwko nowemu.

Podjecie jakichs dzialan w kwestii ziemskich instytucji edukacyjnych zajelo Colinowi ponad trzy lata. Przez czterdziesti trzy miesiace wysluchiwal argumentu za argumentem, dlaczego nie mozna przeprowadzic koniecznych zmian. Zbyt malo ziemskich dzieci ma lacza neuralne. Jest za malo sprzetu. Zbyt wielka liczba nowych koncepcji w tak krotkim czasie zamiesza dzieciom w glowie. W koncu Colin mial dosc i podjal decyzje o rozwiazaniu wszystkich zwiazkow zawodowych nauczycieli i wyrzuceniu z pracy wszystkich nauczycieli zatrudnionych przez finansowane publicznie instytucje edukacyjne na calej Ziemi.

Ludzie, ktorych zwolnil, probowali walczyc w sadach, lecz wktotce odkryli, ze Wielki Edykt dawal Colinowi prawo do tego, co wlasnie zrobil, a kiedy natrafili na sciane

zimnej stali, która jego nieładna, ale zazwyczaj wesola twarz doskonale ukrywała, ich głęboka troska o dobro wychowanków przeszła gwałtowną przemianę. Nagle jedynym, czego pragneli, było jak najszybsze i najmniej bolesne przeprowadzenie zmian, i gdyby tylko cesarz pozwolił im wrócić do pracy, natychmiast by się tym zajęli.

I tak też się stało. Oczywiście wszystkie ich wcześniejsze obiekcje miały w sobie ziarno prawdy i dlatego wprowadzenie nowego systemu edukacyjnego okazało się trudne i często powolne, lecz kiedy przekonali się, że Colin mówił śmiertelnie poważnie, zgłębili karki i zabrali się do roboty. Ci, którzy mieli zadatki na prawdziwych nauczycieli, a nie małostkowych biurokratów, odkryli w sobie radość nauczania, natomiast pozostali coraz częściej rezygnowali z zawodu, lecz przez ich wcześniejsze sprzeciw wprowadzenie na Ziemi nowoczesnej edukacji opóźniło się o co najmniej dziesięć lat.

Oznaczało to oczywiście, że dzieci na Birhat miały znaczną przewagę nad tymi wychowywanymi na Ziemi. Podczas gdy ziemskie instytucje edukacyjne próbowały pojąć imperialne teorie nauczania, Dahak już je opanował. Co więcej, w przeciwieństwie do nich, on nie miał żadnych instytucjonalnych czy osobistych obiekcji. Wystarczyła zaledwie niewielka część jego potężnej mocy obliczeniowej, by wprowadzić na całej planecie system nauczania w małych grupach szkolnych. Uczniowie odpowiedzieli na to nienasyconym głodem wiedzy – nawet bliźnieta przestały wagarować, co było dla Colina ogromnie zaskakujące.

Wszedł do gabinetu, ucałował Jiltanith, która uśmiechała się do niego zza biurka, po czym opadł na krzesło i westchnął z zadowoleniem, kiedy dostosowało się do jego kształtów.

–Kontentem się zdajesz, że biuro swe opuściłeś, miłości moja – zauważyła Jiltanith, wprowadzając swój komputer w stan uspienia.

–Ty też powinnas tego spróbować – powiedział. Kobieta rozesmiała się.

–Nie, cny Colinie. Na krzew szalenstwa by mnie to zaprowadziło, jeśli bym rak w coś włożyć nie miała, ato... – wskazała na papiery i kosci danych rozrzucone na biurku – studia są niezwykle ciekawe.

–Naprawdę?

–Ano. Amanda myśleć zaczęła, jak najlepiej karabiny nadświetlne Mark Dwadzieścia w taktyce małych jednostek użyć.

W duszy Jiltanith były mroczne i niebezpieczne miejsca, do których, jak Colin podejrzewał, nikt, nawet on sam, nigdy nie zostanie dopuszczony. Całe życie spędzone na brutalnej walce partyzanckiej pozostawiło ślady, i w przeciwieństwie do

niego, ona postrzegala wojne nie jako ostatnia szanse, lecz jako praktyczne rozwiazanie wszystkich problemow. Byla o wiele bardziej sklonna do zabijania – a mniej do litosci – niz on, dlatego uczynil ja ministrem wojny. Jako wodz Colin byl glownodowodzacym Imperium, lecz to Tanni kierowala na co dzien ich rozrastajaca sie armia.

–Moze uda ci sie jednak oderwac, zaraz bedziemy mieli gosci.

–O? – Przechylila glowe.

–Isis, Cohanna i... jej projekt – powiedzial powazniejszym tonem. – Obawiam sie, ze Jefferson moze miec racje, iz najrozsadniej byloby kazac jej to zniszczyc, ale nie moze powiedziec, by taka decyzja mi sie podobala.

–I nie powinna. – Jego zona wstala i wyszla zza biurka. – Logika, jako czesto rzeczesz, milosci moja, jest jeno sposobem, by pewnie blad popelnic.

–Masz racje, kochanie – westchnal, zatrzymujac ja. Poczochrala czule jego wlosy, po czym opadla z powrotem na krzeslo. – Probuje podjac decyzje, ktora im sie nie spodoba, poniewaz sadze, ze wlasnie tak powinienem postapic, ale tak naprawde zle sie z tym czuje.

–Jesliby nadszedl dzien, w ktorym w siebie watpic przestaniesz, gorszym czlekiem bedziesz, Colinie – powiedziala cicho.

Usmiechnal sie i zaraz zmienil temat rozmowy na przyjemniejszy. Radowal sie takimi chwilami, gdy miekki archaiczny jezyk Tanni pozwalal mu jak zaklecie zapomniec o Imperium, obowiazkach i koniecznosci skonczenia raz na zawsze z achuultanskim zagrozeniem. Tanni nauczyla sie angielskiego podczas Wojny Dwoch Roz i twierdzila, to ona posluguje sie prawdziwym angielskim, a on jedynie zubozoneym dialektem.

–Przepraszam, Colinie – przerwal ich rozmowe cieply glos Dahaka – przybyly Cohanna i Isis.

–Dzieki. – Colin westchnal. Czul, jak caly wszechswiat znow sie na niego wali, ale ten krotki odpoczynek dodal mu jednak sil. – Powiedz im, ze jestem w gabinecie.

–Juz to zrobilem. Zaraz tutaj beda.

–To dobrze. I zostan w poblizu. Mozemy potrzebowac twoich uwag.

–Oczywiscie.

Colin doskonale wiedzial, ze komputer zawsze mu towarzyszy, gotow odpowiedziec

na pytania lub poinformować o jakichs wydarzeniach – Dahak wymyślił specjalny podprogram, by monitorować miejsce pobytu i potrzeby swojego cesarza bez zwracania jego uwagi, chyba że zostałyby przekroczone pewne krytyczne parametry. W ten właśnie sposób zapewniał Colinowi prywatność; choć nie do końca rozumiał znaczenie tego pojęcia, zdawał sobie sprawę, że dla jego przyjaciół jest to coś bardzo ważnego.

Drzwi do gabinetu otworzyły się i do środka wmaszerowała krokiem grenadiera Cohanna; obok niej dreptała delikatna siwowłosa kobieta, której stare oczy były bardzo podobne do oczu Jiltanith. Isis Tudor miała ponad czterdzieści lat. W czasach jej młodości dla urodzonych na Ziemi nie było żadnych bioulepszeń, a gdy się pojawiały, jej ciało było już zbyt stare i delikatne, aby przeprowadzić pełne wzmocnienie. Ale chociaż z każdym rokiem ubywało jej sił, jej umysł ciągle był młody.

Jiltanith podniosła się i objęła ją, zaś Cohanna spojrzała Colinowi wyzywająco w oczy. Za kobietami do pokoju weszły cztery czarne podpalane psy – poruszały się w idealnym szyku – i usiadły w równym szeregu na dywanie.

Wyglądają, pomyślał Colin, niczym hydranty na czterech łapach. Ojcem szczeniąt Dzwoneczka był rodowodowy rottweiler, dlatego niewiele w nich było z labradora. Wydawały się masywne – największy musiał ważyć prawie sześćdziesiąt kilo – i miały potężne pyski.

Colin przyglądał się psom, szukając zmian, które wprowadziła Cohanna. Potężne głowy rottweilerów były może odrobine szersze, z bardziej zaznaczoną wypukłością czaszki, choć wątpił, by to zauważył, gdyby im się specjalnie nie przyglądał. Ale było w nich jeszcze coś innego. I wtedy zrozumiał: ich oczy, wpatrzone w niego z uwagą, zdradzały inteligencję.

–No, Colinie. – Głos Cohanny oderwał jego uwagę od psów. – Chciales je zobaczyć. Oto są.

Podniósł szybko wzrok i ze zdziwieniem zauważył, że jej ciemne oczy płoną. To nie był dla niej łatwy projekt, uswiadomił sobie.

–Usiądź, Hanno – powiedział i ukląkł przed psami, gdy ona opadła na krzesło.

Psie łby pochyliły się w jego stronę, a on przeciagnął rękę po szerokim grzbiecie największego z nich. Jego zmysły wyczuły typowe dla tej rasy potężne mięśnie... i coś jeszcze. Spojrzał na Cohanne, a ona wzruszyła ramionami.

–Hanno – westchnął. – Czy masz pojęcie, jak przeciwnicy techniki zareagują na fakt istnienia ulepszonych psów o takiej sile i wytrzymałości? To ich przerazi.

–Bo są idiotami!

Cohana spojrzała na niego ze złością, po czym westchnęła i na jej twarzy pojawiło się coś w rodzaju poczucia winy. Najwyraźniej jej wzburzenie brało się ze świadomości, że być może rzeczywiście posunęła się za daleko.

–Dobrze – powiedziała w końcu. – Może jestem idiotka, ale wciąż twierdze... – tu jej oczy znówu zabłysły – że są zabobonnymi barbarzyncami. Niech to diabli, Colinie, nie pojmuję, jak działają ich umysły! Te psy nie są dla nich większym zagrożeniem niż ulepszony człowiek!

–Wiem, że ty tak sadzisz, Hanno, ale...

–Ja nie "sadzę", Colinie, ja to wiem! I ty również byś wiedział, gdybyś poświęcił trochę czasu na zapoznanie się z nimi.

–Tego właśnie się boję. – Znowu odwrócił się do psów. Duży samiec, którego wcześniej dotknął, spojrzał mu prosto w oczy. – To Galahad? – spytał.

–Tak – odpowiedział mu mechaniczny głos wydobywający się z niewielkiego syntezatora mowy na obroży psa. Poczul zaniepokojenie, lecz zaraz potem zdziwienie i dziwna radość, którą próbował stłumić. Odetchnął głęboko.

–Coż, Galahadzie – powiedział cicho – czy Cohana wyjaśniła wam, dlaczego chciałem was poznać?

–Tak – odpowiedział pies. Jego uszy poruszyły się i Colin zrozumiał, że to celowy gest, który miał coś przekazać. – Ale nie rozumiemy, dlaczego inni nas się boją. – Mówił powoli, ale bez wahania.

–Wybacz mi na chwilę, Galahadzie. – Colin czuł się trochę dziwnie, traktując psa z taką wielką uprzejmością. Spojrzał na Cohanne. – Jak wiele poprawił komputer?

–Są pewne ulepszenia – przyznała. – Czasem zapominają o końcówkach i budowa zdania jest bardzo prosta, a do tego nigdy nie używają czasu przeszłego, ale oprogramowanie ogranicza się do "wypełniania luk", nie dodaje żadnych znaczeń.

–Galahadzie – Colin zwrócił się znowu do psa – nie przerażacie mnie ani nikogo w tym pokoju, ale niektórzy ludzie boją się rzeczy, których nie rozumieją.

–Dlaczego?

–Sam chciałbym umieć to wyjaśnić – westchnął.

–Poczucie zagrożenia to powód strachu – powiedział pies – ale my nie jesteśmy niebezpieczni. Chcemy tylko być. Nie jesteśmy złymi.

Colin zamrugał. Słowo takie jak "zło" wskazywało na umiejętność posługiwania się pojęciami, które o całe lata świetlne wykraczały poza możliwości Dzwoneczka.

–Galahadzie, czym według ciebie jest zło?

–Zło – powiedział głos z syntezy – to ranienie, kiedy ciebie nie rania albo kiedy ranienie nie jest potrzebne.

Colin skrzywił się – Galahad dotarł do sedna jego własnej definicji zła. I czy tego chciał, czy nie, sprawił, że jego decyzja co do losu psów nabrała jeszcze większej wagi.

Colin MacIntyre zajrzał w głąb własnej duszy i nie spodobało mu się to, co tam ujrzał. Jak mógł wyjaśnić fakt, że duża część ludzkości nie potrafi pojąć tego, co Galahad tak wyraźnie postrzega, i dlaczego jest mu z tego powodu wstyd?

–Colinie człowieku – odezwał się Galahad. – Wiemy – wskazał machnięciem łapy na pozostałe psy – że jeśli będziesz chciał się nas pozbyć, nie powstrzymamy cię, ale to nie jest właściwe. – Psy oczy wpatrywały się w niego z wielką godnością. – To nie jest właściwe – powtórzył Galahad – i ty o tym wiesz.

Colin zagryzł wargę i odwrócił się do Jiltanith. Jej oczy – czarne, nieco obce czystej krwi Imperialnym – były pełne łez.

–Racje ma, cny Colinie – powiedziała cicho. – Jeśli umrzec im nakazemy, to strach nami kierować będzie. Strach kaze nam zrobić coś, co niewłaściwym jest, a myśmy tego świadomi. Nie, więcej niż niewłaściwym. – Uklekła obok niego i położyła szczupłą dłoń na wielkim łbie psa. – Jako rzekł Galahad, "złem jest ranienie, gdy ranienie nie jest konieczne".

–Wiem. – Jego głos był równie cichy. – Isis?

–Tanni ma racje. Gdybym wiedziała, co Hanna planuje, sama zrobiłabym jej wielką awanturę, ale popatrz na nią. Sa wspaniałe. To ludzie, Colinie, dobrzy ludzie, którzy przypadkiem mają cztery nogi i są pozbawieni rak.

–Tak. – Colin spojrział na swoje dłonie i poczuł, jak dojrzewa w nim decyzja. Podniósł się i w charakterystyczny sposób potarł nos. – O jakiej liczbie mówimy, Hanno?

–Dziesięć. Ta czwórka i dwa mniejsze mioty.

–Dobrze. – Odwrócił się do Galahada i jego rodzeństwa. – Posłuchajcie mnie. Wiem, że nie rozumiecie, dlaczego ludzie was się boją, ale czy wierzycie, że tak może być? – Cztery psie głowy pokiwały, a on mimo powagi sytuacji zaśmiał się. – Jedyny

sposob zapewnienia wam bezpieczenstwa to zachowanie w tajemnicy faktu waszego istnienia. Dlatego zrobimy tak: wasza czwórka bedzie mieszkac z nami – z Tanni i ze mna – i z wyjatkiem sytuacji, kiedy bedziecie z nami sam na sam, musicie udawac, ze jestescie takimi samymi psami jak inne psy. Potraficie to zrobic?

–Tak, Colinie czlowieku. – Tym razem odpowiedzial nie Galahad, tylko mniejsza samica. Jej pelna godnosc postawa natychmiast znikla i skoczyla na niego, merdajac ogonem. Polizala go przyjaznie, po czym zaczela szalenczo biegac po pokoju szczekajac. Potem zatrzymala sie gwaltownie, opadla niezgrabnie na dywan, przetoczyla sie na grzbiet i zaczela machac lapa mi w powietrzu. Po chwili znow usiadla wyprostowana, a jej oczy smialy sie do niego.

–To swietnie! – Wytarl twarz i usmiechnal sie, po czym znow spowaznial. – Nie wiem, czy to zrozumiecie, ale bedziemy was zabierac w wiele roznych miejsc i pokazywac wielu ludziom Chce, zebyscie zachowywali sie jak zwykly psy. Ludzie z prasy beda wam robic mnostwo zdjec, ale to dobrze. Kiedy prawda o was wyjdzie na jaw, chce, zeby ludzkosc byla do was przyzwyczajona. Chce, zeby oswoili sie z mysla, ze nie stanowicie zadnego zagrozenia. Ze od dawna jestescie na swiecie i nikomu nie zrobiliscie krzywdy. Rozumiecie?

–Jesli udowodnimy, ze nie jestesmy zli, ludzie nie beda nas sie bac? – spytal Galahad.

–Wlasnie. To niesprawiedliwe – nie powinniscie byc zmuszani do udowadniania tego – ale tak musi byc. Czy mozecie to zrobic?

–Mozemy, Colinie czlowieku – powiedzial cicho Galahad.

Rozdzial 4

Admiral Floty lady Adrienne Robbins, baronowa Nergal i towarzyszka Zlotej Nowej, uskoczyla na bok z pospiechem, ktory zupełnie nie przystawal do jej wysokiej pozycji, na widok pedzacych w jej strone czwarki ludzkich dzieci, podrosnietego Narhanina i czterech rottweilerow.

Na szczescie dla pani admiral dlugowlosa dziewczynka prowadzaca natarcie zauwazyla ja i wszyscy zahamowali tak gwaltownie, ze az powpadali na siebie, tworzac platanine rak, nog, kopyt i lap.

–Czesc, ciociu Adrienne! – krzyknela ksiezniczka Isis Harriet MacIntyre.

Spojrzenie admiral Robbins najwyrazniej nie zrobilo wiekszego wrazenia na Seanie i Harriet, lecz Sandy MacMahan byla troche speszona. Tamman spuscil wzrok, a Brashan, sklonowany syn Brashieela – byl mlodszy od pozostalych, ale juz dorosl, gdyz jego gatunek szybko dojrzewal – wydawal sie bardzo zawstydzony. Jesli chodzi

o psy, zwały się na ziemię i ciężko dyszały, lecz ich psie zachowanie nie zwiadło Adrienne, gdyż jako jedna z niewielu osób znalazła prawdę na ich temat.

–Zastanawiam się – powiedziała ponuro pani admirał – jak zareagowałyby ich cesarskie wysokości, gdybym im powiedziała, że ich diableta omal mnie nie strącały.

–Tacie to by nie przeszkadzało. – Sean wyszczerzył zęby w uśmiechu.

–Myślałam raczej o jej cesarskiej wysokości – stwierdziła Adrienne i Sean nagle spoważniał. – Tak właśnie sadziłam. Czy podacie mi choć jeden powód, dlaczego mam jej o tym nie mówić?

–Ponieważ nie chcesz nas mieć na sumieniu – zaproponował. Adrienne stłumiła śmiech i nachmurzyła się.

–Moje sumienie jest dość odporne, wasza wysokość.

–Eee... Naprawdę musisz o tym mówić mamie i tacie? – spytała Harriet. Tamman przestępował z nogi na nogę, najwyraźniej wyobrażając sobie reakcje swoich rodziców. Wreszcie kobieta złagodniała.

–Nie tym razem, jak sadzę. Ale... – uniosła groźnie palec, gdy na ich twarzach pojawiły się pełne ulgi uśmiechy – następnym razem nie będę taka wyrozumiała!

Odpowiedziały były chorałne podziękowania.

–No, leccie, bachory! – pogoniła ich, machając ręką, i kawalkada oddaliła się, tym razem z nieco mniejszym impetem.

Adrienne uśmiechnęła się, patrząc za nimi, po czym podjęła przerwany marsz. Sean, pomyślała, jest ciemnowłosa kopia swojego ojca – ma taki sam wielki nos i odstające uszy i raczej nikt nie nazwałby go przystojnym, ale już widac, że będzie sporo wyższy od obojga rodziców.

Harriet z kolei była młodszą wersją swojej matki – słodkim dzieckiem, które wyrosnie na oszalamiająco piękną kobietę. Oboje mieli oczy Jiltanith, lecz spojrzenie Harriet było łagodniejsze. Właściwie, pomyślała Adrienne, odziedziczyła charakter raczej po Colinie, podczas gdy Sean łączył absolutną odwagę swojej matki z poczuciem humoru ojca. Nadejdzie dzień, gdy chłopak będzie łamał dziewczęce serca.

Ocknęła się z zadumy, gdy dotarła do celu i drzwi odsunęły się, wpuszczając ją do biura Colina. Cesarz podniósł wzrok znad papierów i wskazał jej krzesło.

–Usiadz, Adrienne. Zaraz do ciebie dolacze.

Admiral Robbins usiadla, wygladzajac pedantycznie rekaw munduru, i cierpliwie czekala, az Colin zakonczy prace nad porcja niekonczacej sie papierkowej roboty. Wrzucil dane – i swoja decyzje – z powrotem do komputera, po czym pochyлил sie w jej strone, zakladajac noge na noge.

–Widze, ze udalo ci sie uniknac stratowania przez stado – zauwazyl. Spojrzala na niego zaskoczona. – Pamietaj, ze mam w publicznych korytarzach kamery monitorujace. "Diableta" to najbardziej wlasciwe okreslenie!

–Nie sa takie zle. Owszem, zywiolowe, ale to mi nie przeszkadza.

–Nikomiu nie przeszkadza. To znaczy nikomu poza Tanni. Dzieciaki sa slodkie jak miód i doskonale o tym wiedza. – Potrzasnal glowa i westchnal. – Ale do roboty. Dziekuje za tak szybkie przybycie, skoro juz o tym mowa.

–Tak wlasnie dzialaja imperia, wasza wysokosc. Kazesz przyjsc – ide. Ale musze przyznac, ze rozbudziles moja ciekawosc. Co moze byc az tak wazne, ze nie chciales tego omawiac przez komunikator?

–Moze po prostu zaczynam miec paranoje – powiedzial Colin powazniejszym tonem – ale te demonstracje przeciwko Narhanom sa coraz grozniejsze, wiec wolalem nie ryzykowac przeciekow. To, co mam w planach, albo poprawi sytuacje, albo piekielnie ja pogorszy.

–Nienawidze, kiedy jestes taki tajemniczy, Colinie – westchnela Adrienne.

–Przepraszam. Po prostu lamalem sobie nad tym glowe od miesiecy, zanim podjalem decyzje, i jestem wsciekly na siebie, ze tak dlugo to trwalo. Powinienem byl to zrobic od razu. Otwieram Akademie dla Narhan.

–O moj Boze! – Adrienne uniosla rece i jeknela. – Dlaczego zawsze mnie to spotyka? Czy masz pojecie, jak na to zareaguja dziennikarze? Beda lazic po calym kampusie i zadcpcza mi zywoploty!,

–Bez przesady! – Colin rozesmial sie. – Pierwsze pokolenie klonow bedzie gotowe dopiero wtedy, gdy Sean i Harry... Masz mnostwo czasu na czarna robote.

–Czarna, powiadasz? Nawet nie masz pojecia, jak bardzo. Na cale szczescie – usmiechnela sie z wyraznym zadowoleniem – spodziewalam sie tego i juz od roku pracujemy nad modyfikacja programu nauczania.

–Naprawde?

–Oczywiście. Boże, Colinie, przebywam w twoim otoczeniu tak długo, że już wiem, jak działa twój umysł. Czasem zajmuje ci to trochę czasu, ale zazwyczaj dochodzisz do właściwej decyzji.

–Taka twoja postawa – zauważył sucho Colin – powoduje, że nie cieszysz się największą sympatią spośród wszystkich oficerów marynarki w galaktyce.

–Tylko na służbie. Chcesz zobaczyć moją "oficjalną mine dowodcy"? – Jej uśmiech natychmiast znikł, zastąpiony przez surową mine, a zimny, badawczy wzrok testował go przez dobrych dziesięć sekund, zanim znów się rozluźniła. – Trzymam ją w pudełku na toaletce i wyjmuję, kiedy jest potrzebna.

–Boże, nic dziwnego, że kadeci piekielnie się ciebie boją!

–Lepiej niech się boją mnie niż złych facetów.

–To fakt. Ale szczerze mówiąc, chciałbym od ciebie czegoś więcej niż tylko modyfikacji programu nauczania. Chciałbym, żebyś poparła mój pomysł.

–Ależ oczywiście – powiedziała zaskoczona. – A czemu miałabym tego nie zrobić?

–Chodzi mi o to, żebyś pokazywała się publicznie i rozmawiała z mediami – wyjaśnił. Kobieta skrzywiła się.

W Wielkim Edykcie najbardziej podobano jej się to, że gwarantował swobodę wypowiedzi i nie traktował reporterów jak bożków. Imperialne prawo do prywatności i – co ważniejsze – kary za zniesławienie były wstrząsem dla ziemskich dziennikarzy, a jeśli Adrienne Robbins naprawdę kims gardziła, to właśnie pismakami. Po obleżeniu Ziemi i zakończeniu kampanii Zeta Trianguli zmienili jej życie w prawdziwe piekło.

–Cholera, Colinie. Muszę to zrobić?

–Obawiam się, że tak – powiedział z niejakim poczuciem winy, gdyż spora część pracowników Palacu zajmowała się głównie trzymaniem dziennikarzy z dala od niego. Był w o tyle dobrej sytuacji, że Jiltanith była o wiele bardziej fotogeniczna, a poza tym zadziwiająco dobrze czuła się jako osoba publiczna. Colin wiedział, że poddani go szanują, ale kochają Tanni.

Co, pomyślał, świadczy, że opinia publiczna ma wyższy iloraz inteligencji, niż by się spodziewał.

–Słuchaj – mówił dalej – znasz moje podejście do praw Narhan. Są takimi samymi obywatelami jak wszyscy. Oddanie im planety na własność pozwala im uniknąć wielu nieprzyjemności, ale musimy ich włączyć do administracji i wojska, bo izolowanie ich jeszcze bardziej wszystko pogorszy. Wielu Narhan ma już stanowiska w służbie

cywilnej tutaj, na Birhat, ale musza tez trafic do Floty. Nie spodziewam sie klopotow z wojskowymi, ale cywile to zupełnie inna kwestia. Potrzebuje wszelkiej pomocy w propagowaniu tego pomyslu, a ty jestes drugim po Tanni najlepszym agitatore, jakiego mam.

Adrienne skrzywila sie, ale wiedziala, ze to prawda. Byla jedynym zyjacym oficerem, ktory dowodzil duzym statkiem podczas oblezenia Ziemi i kampanii Zeta Trianguli. Co wiecej, poprowadzila sily uderzeniowe w ostatnim, beznadziejnym kontrataku, i jej statek jako jedyny przetrwal. Byla najczesciej odznaczanym oficerem Floty, nalezala do takiej liczby ziemskich zakonow rycerskich, ze nie umiala ich juz policzyc, i byla jedyna osoba w historii, ktora otrzymala najwyzsze odznaczenie za odwage od wszystkich narodow Ziemi, nie wspominajac o Zlotej Nowej. Czula sie tym bardzo zawstydzona, ale tak bylo.

Wszystko wskazywalo na to, ze Colin ma racje.

–Dobrze – powiedziala w koncu. – Zrobie to.

Francine Hilgemann bardzo powoli zamknela drzwi samochodu, jednoczesnie rozgladajac sie dookola. Po drodze nie widziala niczego, co swiadczyloby, ze jest obserwowana, lecz ostroznosc byla warunkiem przetrwania i przez ostatnie lata dobrze na tym wychodzila.

Przeszla spacerkiem przez parking w strone ruchomego chodnika, ktory prowadzil w glab jasno oswietlonego kompleksu Pomnika. Niezbyt podobal jej sie pomysl spotkania w samym sercu Centrum Shepard, lecz przypuszczala, ze to ma jednak sens. Kto by sie spodziewal, ze para zdrajcow spotka sie wlasnie w takim miejscu?

Zeszla z chodnika i wmieszala siew milczacy tłum ludzi otaczajacych piecdziesieciometrowa obsydianowa iglice i gladki cokol z bojowej stali, na którym wypisano niekonczace sie rzedy imion. Byly to imiona wszystkich osob, ktore zginely podczas trwajacej tysiaclecia walki z Anu. Hilgemann czula, ze nawet na niej robi to wrazenie, lecz miala malo czasu, wiec zaczela energicznie przepychac sie przez tłum.

Rownie wiele osob otaczalo zniszczony kadlub poteznego statku kosmicznego. Podswietlony okret wojenny Nergal, którym dowodzila kapitan Floty Robbins, spoczywal na brzuchu dokladnie w tym samym miejscu, w którym wyladowal po ostatniej bitwie. Z poskrepanych bokow zwieszaly sie niczym polamane zeby uszkodzone wyrzutnie rakiet i bron energetyczna. Hilgemann nie miala pojecia, jak statek w takim stanie mogl przetrwac i jak wielkich umiejetnosci wymagalo doprowadzenie takiego wraku do domu i wyladowanie na wlasnych silnikach.

Po chwili odwrocila sie i skierowala w strone wyjścia sluzbowego, do ktorego

kazano jej się udać. Drzwi były otwarte, tak jak obiecano. Wślizgnęła się do środka i znalazła się w jakimś magazynie.

–Coż – powiedziała cierpko, zamykając drzwi i przyglądając się opuszczonej maszynerii – muszę powiedzieć, że to miejsce ma właściwa spiskowa atmosfera.

–Być może. – Mężczyzna, który ją wezwał, wyszedł z cienia i słabo się uśmiechnął.
– Nie możemy ryzykować zbyt częstych spotkań i z pewnością nie możemy tego robić publicznie, prawda?

–Czuje się jak idiotka. – Dotknęła czarnej peruki skrywającej jej złociste włosy, po czym spojrzała z obrzydzeniem na swoje proste, tanie ubranie.

–Lepsza żywa idiotka niż martwa zdrajczyni – powiedział mężczyzna, a ona prychnęła.

–No dobrze, jestem tutaj. O co chodzi?

–Mam kilka spraw. Przede wszystkim jestem pewien, że wiedza, iż nie dorwali wszystkich ludzi Anu. – Francine podniosła gwałtownie wzrok, na co odpowiedzią był kolejny słaby uśmiech. – To jasne, że nie wiedza, kogo nie dorwali, bo inaczej nie prowadzilibyśmy tej melodramatycznej rozmowy.

–Pewnie nie. Co jeszcze?

–To. – Podał jej kosc danych. – Ten mały przedmiot jest zbyt ważny, by zaufać naszym zwykłym kanałom.

–O? – Spojrzała na niego z zainteresowaniem.

–To kopia planów najnowszej zabawki marszałka Tsiena: głowicy grawitonicznej – wystarczająco potężnej, by zniszczyć całą planetę.

Francine zacisnęła dłoń na kości i otworzyła szerzej oczy.

–Jego wysokość – powiedział mężczyzna z rozbawieniem w głosie – postanowił jej nie budować, ale ja jestem bardziej postępowy.

–Dlaczego? Żeby im zagrozić, że wysadzimy siebie w powietrze, jeśli nas zidentyfikują?

–Watpie, by się złapali na ten blef, ale może się przydać przy innej okazji. Na razie chce tylko mieć sprzęt w gotowości, gdybysmy go potrzebowali.

–Dobrze. – Wzruszyła ramionami. – Zakładam, że zdobędziesz dla nas wojskowe komponenty, jeśli będą potrzebne?

–Może. Przekaze odpowiedz zwykla droga. A przy okazji, jak tam twoje grupy?

–Calkiem niezle. – Usmiech Hilgemann byl nieprzyjemny. – Wlasciwie szkolenie jeszcze bardziej poglebia ich paranoje i utrzymanie ich na smyczy nie jest najlatwiejsza rzecz na swiecie. Moze trzeba bedzie im dac jakas misje do wykonania, zeby pozbyli sie nadmiaru... entuzjazmu.

–Moge wybrac pare celow. Jestes pewna, ze o tobie nie wiedza?

–Sa zbyt podzieleni.

–To dobrze. Wybiore kilka operacji, ktore beda ich kosztowac troche ofiar. Nie ma to jak dostarczyc paru meczennikow za sprawe.

–Ale nie przesadzaj – ostrzegla go. – Jesli straca zbyt wielu ludzi, trudno bedzie nad nimi zapanowac.

–Zrozumiano. Przypuszczam, ze to juz wszystko. Aha, chce jeszcze, zeby przygotowala kolejny list pasterski.

–O?

–Tak. Jego wysokosc postanowil chwycic byka za rogi i zaczac przyjmowac Narhan do wojska. – Hilgemann pokiwala z namyslem glowa, a mezczyzna usmiechnal sie. – Potrzebujemy do rozpowszechniania czegos bardzo stonowanego – moze prosby o modlitwe, by jego wysokosc nie popelnil bledu – ale sadze, ze dobrze byloby tez odrobine podsyccic ogien wsrod co bardziej twardoglowych.

–Jasne – odpowiedziala biskup z rownie slabym usmiechem.

–W takim razie ide. Zaczekaj pietnascie minut, zanim stad wyjdiesz.

–Oczywiscie. – Byla troche zirytowana jego slowami, choc nie pokazywala tego po sobie. Czy on mysli, ze przetrwalaby tak dlugo, gdyby nie opanowala dobrze swojego zawodu?

Kiedy drzwi zamknely sie za mezczyzna, usiadla na polerce do podlog i zaczela sie zastanawiac, jak ma napisac kazanie, zeby nie nasaczyc go zbyt silnym jadem. Jej dlon w kieszeni zaciskala sie na kosci z danymi, ktore mogly unicestwic caly swiat.

Rozdzial 5

Sean MacIntyre elegancko wyladowal i odcial doplyw mocy.

–Niezle – powiedzial Tamman z fotela drugiego pilota. – Niemal rownie dobrze jak ja.

–Naprawde? A ktory z nas scial czubek sekwoi w tamtym miesiacu?

–To nie byla wina pilota – powiedzial wyniosle Tamman. – O ile dobrze pamietam, ty byles navigatorem.

–To niemozliwe. Przeciez udalo ci sie wrocic do domu – powiedzial kobiecy glos.

Tamman usmiechnal sie z wyzszoscia, a Sean wzniosl oczy do nieba, proszac o cierpliwosc. Potem uderzyl przyjaciela w ramie i zaczeli sie silowac.

–Znow sie zaczęło, Sandy! – krzyknęła Harriet.

–Zbyt duzo testosteronu, Harry – powiedzial mlodszy glos, pelen wspolczucia. – Ich biedne, prymitywne, meskie mozgi az nim ociekaja.

Tamman i Sean przerwali walke w milczacej zgodzie, po czym ruszyli z pragnieniem zemsty w strone przedzialu pasazerskiego. Ich zdecydowany marsz zostal jednak gwaltownie przerwany, gdy Sean wpadl na cos wielkiego i solidnego, az jeknal.

–A niech cie, Brashanie! – mruknal, pocierajac potezny nos, ktory odziedziczyl po ojcu.

–Ja tylko otwieram luk, Seanie – powiedzial mechaniczny glos. – To nie moja wina, ze nie patrzysz, ktoredy idziesz.

–I to ma byc navigator! – prychnęła Harriet.

–Ta wygadana smarkula – zauwazyl Tamman – ma szczescie, ze jest ksiezniczka i nie moze jej sprac po tylku tak, jak na to zasluguje.

–Nie watpie, ze chcialbys polozyc rece na moim tylku, ty zberezniku!

–Nie martw sie, Tam – powiedzial ponuro Sean. – Z przyjemnoscia cie zastapie, jak tylko... pewien przerosniety kuc zejdzie mi z drogi!

–Och, bron mnie, Brashanie! – krzyknęła Harriet, a Narhanin rozesmial sie i zablokowal wyjscie z kokpitu w chwili, gdy wlasz sie otworzyl. Dziewczyny wybiegly na zewnatrz, a za nimi podazyl Gawain, brat Galahada, wachajac geste powietrze dzungli.

–Zdrajca! – Sean kopnal przyjaciela... i skrzywil sie z bolu.

Brashan mial zaledwie dziesiec ziemskich lat, o szesc mniej niz Sean, lecz byl juz wystarczajaco dojrzaly, by otrzymac pelne bioulepszenia. Efekt wzmocnienia zawsze byl proporcjonalny do naturalnej sily i wytrzymalosci danej jednostki, a Narhanie byli jak na ludzkie standardy bardzo, bardzo twardzi.

–Bzdura. Po prostu dojrzała jednostka próbuje cię chronić przed skutkami twojej własnej porywczoności – odpowiedział Brashan i zbiegł po rampie.

–Jasne – prychnął Sean i podążył za nim razem z Tammanem.

Było południe czasu lokalnego i Bia plonął nad ich głowami. Birhat orbitował o niemal minutę świetlną dalej od swojej gwiazdy klasy GO niż Ziemia od Sól, lecz znajdowali się prawie dokładnie na równiku i powietrze było gorące i nieruchome. W oddali słychać było wysoki, przenikliwy pisk miejscowych odpowiedników ptaków, a wysoko nad nimi szybował podobny do nietoperza pseudodaktyl.

Sean i Tamman zatrzymali się, by sprawdzić swoje karabiny grawitacyjne (bez pełnego bioulepszenia nie mogli posługiwać się normalnym karabinem energetycznym). Magazynek na dwadzieścia naboju zawierał trzymilimetrowe strzałki supergestego środka wybuchowego; strzelby wystrzeliwały je z prędkością ponad pięć tysięcy metrów na sekundę, co oznaczało, że mogły bez trudu przebić pancerz przedimperialnego czołgu.

–U mnie wszystko w porządku.

Rzeczowy ton Seana był daleki od wcześniejszego rozbawienia. Tamman pokiwał głową, potwierdzając gotowość swojej broni, i ruszyli w kierunku pozostałych. Sean skrzywił się, widząc, że Sandy już zajęła swoje ulubione miejsce na potężnym grzbiecie Brashana.

Przypuszczał, że przyczyna takiego zachowania są jej geny, z którymi stało się coś dziwnego. Jej rodzice nie byli karłami, a mimo to ona miała zaledwie metr czterdzieści wzrostu. Gdyby nie oczy Hektora MacMahana i kości policzkowe Ninhursag, Sean podejrzewałby, że jest odmiancem z historii, której matka opowiadała mu na dobranoc. Oczywiście nie miała jeszcze piętnastu lat, ale Harriet w tym wieku mierzyła już prawie metr osiemdziesiąt.

Nie żeby niski wzrost Sandy w czymś jej przeszkadzał, pomyślał ponuro. Była tak bardzo zaawansowana w nauce, że to już wcale nie było śmieszne, a kiedy się kłócili, ona zawsze miała rację. Jak choćby w sprawie obwodów molekularnych. On był przekonany, że problem wynikał z błędów w podstawowej macierzy, a ona upierała się, że przypływ mocy wywołał zwarcie w bloku alfa. Oczywiście okazało się, że miała rację. Jak zawsze. To doprowadzało go do szalu.

Ale przynajmniej przewyższa ją o co najmniej sześćdziesiąt centymetrów, pomyślał markotnie.

Dogonili pozostałych i Sean znacząco postukał w pistolet grawitacyjny Harriet. Siostra skrzywiła się, ale wyciągnęła go i sprawdziła. Sandy oczywiście już wcześniej sprawdziła swój pistolet.

–W która stronę? – spytał Brashan i Sean zatrzymał się, by dostosować swój wewnętrzny inercyjny system nawigacyjny do obserwacji, które poczynił podczas lotu.

–Okolo pięciu kilometrów, kierunek zero dwadzieścia dwa – powiedział.

–Nie mogłeś nas posadzić trochę bliżej? – spytała Harriet, a on w odpowiedzi wzruszył ramionami.

–Mówimy o obecności tyranotopsów. Naprawdę chciałabys, żeby któryś z nich nadeprnął na nasz pojazd? Mogłby go trochę polamać.

–Racja – przyznała i wyciągnęła maczetę, gdyż zbliżyli się już do potężnych pnaczy i paproci porastających skraj polany.

Jak zawsze Harriet stała z Seanem na szpicy, a pochod zamykał Brashan. Gawain przedzierał się przez gęste poszycie, zataczając szerokie kregi. Sean wiedział, że to ze względu na obecność Brashana matka i ojciec nie sprzeciwiali się ich wyprawom. Nawet tyranotops – przerażająca istota przypominająca krzyżówkę ziemskiego triceratopsa i tyranozaura – miałby problem z całkowicie ulepszonym Narhaninem, zwłaszcza że Brashan nosił ze sobą ciężki karabin energetyczny.

W zarosłach mieszkaly dziwne ptaki i zwierzęta – wiele z nich należało do gatunków, których nikt nigdy wcześniej nie widział – które od czasu do czasu zrywały się w panice na widok biegnącego Gawaina. Po uderzeniu broni biologicznej stara stolica Cesarstwa przeżywała drugą młodość. Toksyna nie dotarła do zamkniętych i dobrze chronionych ekosystemów cesarskich ogrodów zoologicznych, a gdy awaria urządzeń sprawiła, że mieszkańcy ponad tuzina tlenowoazotowych planet wydostali się wreszcie na wolność, bron przestała już działać. Potem przez ponad czterdzieści tysięcy lat doboru naturalnego powstał ekosystem, który był niczym opiumowa wizja przyrodnika.

Na dobrą sprawę Birhat był dziewicza planeta i należał tylko do nich. W porządku, do nich i trzech czwartych miliarda innych ludzi, ale i tak mieli mnóstwo wolnej przestrzeni, gdyż większość wciąż rosnącej populacji układu Bia zamieszkiwała okolice nowej stolicy lub olbrzymie orbitalne kompleksy przemysłowe, gdzie w pośpiechu pracowano nad wskrzeszeniem Cesarstwa. W tej chwili znajdowali się pośrodku Kontynentalnego Parku Narodowego imienia Seana Andrew MacIntyre'a, który Korona stworzyła ku czci wuja Seana, zabitego w walce z buntownikami Anu.

Wiedzieli, że już niedługo będą cieszyć się wolnością. Poprzedniego roku Sean po raz pierwszy został oficjalnie przedstawiony Matce jako dziedzic, gdyż zgodnie z Wielkim Edyktom Matka musiała zaakceptować poziom intelektualny i profil psychologiczny przyszłego następcy tronu. Wyposażono go wtedy w kody

implantow identyfikujace go jako spadkobierce, i byla to najbardziej przerazajaca chwila w jego zyciu – wyrazny znak, ze zbliza sie doroslosc.

Jego przyjaciele zamierzali razem z nim wstapic do Floty Bojowej, i juz wkrótce – za rok, moze dwa, jak ocenial Sean – takze nie beda mieli wolnego czasu.

Ale teraz nie chcieli o tym myslec; czekali na nich stado tyranotopsow i mieli zamiar nacieszyc sie tym do syta.

Chlodny wiatr wpadal przez balkon, gdyz na polnocnej polkuli Birhat trwalo lato i Colin wylaczyl pola silowe, ktore w razie potrzeby chronily balkon przed zywiolami.

Przed nim w ciemnosciach nocy lezalo miasto Fenix, a daleko ponizej Isnily wody wijacej sie niczym waz rzeki Nikkan. Fenix bylo dzielem cywilizacji grawitonicznej. Jego wieze gorowaly nawet nad okolicznymi poteznymi pseudosekwojami, a Palac byl najwyzsza z nich. Byc moze niektorzy sadzili, ze mialo to symbolizowac pozycje jego mieszkancow, lecz tak naprawde zadecydowaly wzgledy praktyczne. Oczywiscie rodzina cesarska miala tutaj luksusowe apartamenty, lecz poza tym na terenie Palacu urzedowalo wielu imperialnych funkcjonariuszy i administracyjnych biurokratow, i bylo tak ciasno, ze zaczeto juz budowe nowego aneksu, ktory mial poprawic sytuacje na jakis czas.

Colin westchnal i otoczyl ramieniem Jiltanith. Jej jedwabiste wlosy otarły sie o jego policzek, gdy oparla sie o niego. Pocalowal ja w czubek glowy, po czym objal miasto teleskopowym wzrokiem, radujac sie gra swiatel i magicznymi poruszeniami ksiezycowego blasku. Ten skomplikowany wzor nigdy nie przestawal go cieszyc, gdyz dorastal w swiecie, w ktorym byl tylko jeden ksiezyc.

Spojrzał do gory. Blyszczacy dysk fortecy Matki wisial niemal nad jego glową, a za nia niebo znaczylo ponad piecdziesiat poteznych planetoid. Byly o wiele dalej, gdyz przyloty i odloty tak wielu "ksiezycow" zaburzilyby cykl przyplywow na Birhat, lecz odbijajace sie od ich kadlubow promienie sloneczne zabarwialy stolice Piatego Imperium na kolor brazu i hebanu. A po przeciwleglej stronie planety – niemal dokladnie nad miejscem, gdzie jego dzieci ogladaly tyranotopsy – wisiala kolejna wielka kula zwana Dahakiem.

–Moj Boze, Tanni – wyszeptal – popatrz tylko na to.

–Ano. – Uscisnela go lekko. – To niczym boza szkatulka klejnotow.

–Sprawia, ze to wszystko ma sens, prawda? – Pokiwala glową oparta o jego ramie, a on westchnal i znow spojrzal na odlegle planetoidy. – Oczywiscie patrzec na to kaze mi rowniez myslec, jak wiele jeszcze mamy do zrobienia.

–Byc moze, milosci moja, jednakowoz zrobilismy wszystko, ku czemu wezwal nas los. Mniemam, ize wszystko inne zrobimy, gdy czas nadejdzie.

–Tak. – Odetchnal gleboko, radujac sie noca, i z zadowoleniem przycisnal policzek do jej wlosow.

–Jak sobie radza dzieciaki, Dahaku?

–Z przykroscia donosze, iz Sean wlasnie wepchnal Harriet do blotnatego strumienia. Poza tym wszystko przebiega zgodnie z planem. Analiza osobowosci Harriet sugeruje, ze wkrótce dokona zemsty.

–I bedzie miala cholerna racje – powiedzial Colin, a Jiltanith rozesmiala sie.

–Gorszys od pomiotu swego, Colinie MacIntyre!

–Nie, tylko starszy i bardziej zatwardzialy w grzechu. – On takze sie zasmial. – Boze, ciesze sie, ze dorastaja jak wszystkie normalne dzieciaki!

–"Normalne" rzekles? Milosci moja, nawet Furie takowego chaosu nie sa zdolne wywolac, jaki ta dwojka po sobie pozostawia.

–Wiem, ale czyz to nie cudowne? – Wzmocnione palce zony uszczypnely go w zebro niczym stalowe imadlo, az jeknal. – Pomysl tylko, jakie mogly z nich wyrosnac krolewskie dupki – powiedzial, masujac bok.

–Ano, prawde rzeczesz – odpowiedziala Jiltanith juz powazniej – i tyzes je przed tym ocalil.

–Ty tez mialas swoj udzial.

–Ano, ale to ty ciepla ich nauczyles, moj Colinie. Kocham je – wiedza o tym oboje – ale zycie nie nauczyl mnie, jak dobrze mlode chowac.

–I tak dobrze sobie poradzilas. Wydaje mi sie, ze tworzymy calkiem niezla druzynie.

–To prawda, Tanni – wtracil Dahak. – Pozostawiony sam sobie Colin z pewnoscia by je... Sadze, ze odpowiednim okresleniem byloby tu "rozpaskudzil".

–O, naprawde? To powiedz mi, panie bystrzaku na ukkladach energetycznych, kto byl na tyle madry, by znalezc im cos ciekawszego do roboty niz tylko siedzenie i jedzenie ze srebrnej zastawy?

–Ty – odparl Dahak z cichym elektronicznym smiechem. – Musze przyznac, ze nadal mnie to zadziwia. – Colin mruknal cos nieuprzejmego, a Jiltanith zachichotala. – Wlasciwie – mowil dalej komputer – to byl doskonały pomysl, Colinie. Powinienem

był sam na niego wpasć.

–W końcu pewnie byś do tego doszedł. Jeśli nie stanie się nic strasznego, Tanni i ja będziemy żyć jeszcze całe stulecie, a zawodowy książę i następca tronu mogłoby w tym czasie bardzo się nudzić. Byłoby to potworne marnowanie czasu, gdyby miał tak długo beczynnie czekać na swoją kolej.

–W rzeczy samej. Klasycznym przykładem z waszej niedawnej historii była królowa Wiktoria i Edward VII. Zmarnowanie potencjału Edwarda bardzo zaszkodziło jego krajowi i...

–Może – przerwał mu Colin – ale ja nie myślałem o Imperium. Chcę, żeby nasze dzieci coś robiły, i to nie tylko dla Imperium. Chcę, żeby w przyszłości mogły spojrzeć wstecz i powiedzieć, że coś osiągnęły, a nie tylko pilnowały swojego stołka. I chcę, żeby wiedziały, że te wszystkie przyjemne rzeczy – pozycja, szacunek, pochlebstwa – nic nie znaczą, jeśli się na nie nie zasłuży.

Milczał przez chwilę, czując poparcie Jiltanith, która tuliła się do niego, i wpatrywał się w niebo, gdzie Matka wisiała niczym uosobienie władzy i wspaniałości cesarza.

–Dahaku – powiedział w końcu – dynastia Herdana rządziła pięć tysięcy lat. Pięć tysięcy lat. To niedużo dla kogoś takiego jak ty, ale to przekracza możliwości pojmowania zwykłego człowieka. I choć trudno mi to sobie wyobrazić, nasze dzieci – i ich dzieci, i dzieci ich dzieci – mogą rządzić jeszcze dłużej. Nie mam pojęcia, co ich czeka i jakie decyzje będą musiały podejmować, ale możemy razem z Tanni dać im jedno, zaczynając tu i teraz od Seana i Harry. Nie dla Imperium, choć będzie to z korzyścią dla niego, ale dla nich samych.

–Co takiego, Colinie? – spytał cicho Dahak.

–Świadomość, że władza oznacza odpowiedzialność. Wiare, że to, kim są i co robią, jest równie ważne jak to, do czego się urodzili. Zostanie cesarzem powinno być ukoronowaniem całego życia, a nie zawodem, i chcemy, żeby nasze dzieci – nasza rodzina – o tym pamiętały. To dlatego wysyłamy je do Akademii i nie chcemy, by ktoś bez powodu kłaniał im się w pas, choć wielu swirów, którzy dla nas pracują, bardzo by tego chcieli.

Dahak milczał przez chwilę – jak na niego bardzo długa – zanim znowu się odezwał.

–Sądzę, że cie rozumiem, Colinie, i uważam, że masz rację. Sean i Harriet nie pojmują jeszcze, co ty i Tanni dla nich zrobiliście, ale pewnego dnia zrozumieją. Jesteś mądry, czyniąc służenie ludzkości tradycją raczej niż prawem, gdyż moja obserwacja ludzkiej polityki wskazuje, że prawo łatwiej jest obalić niż tradycję.

–Tak, my też tak sadzimy – stwierdził Colin.

–Nie, miłości moja – poprawiła go cicho Jiltanith. – To tyś tak mniemał i radam z tego, boś w prawie.

–Tanni ma rację, Colinie – powiedział Dahak – i ciesze się, że mi to wyjaśniłeś. Nie rozumiem jeszcze ludzi tak dobrze jak ty, ale mam wiele lat na zdobycie tej umiejętności, i nie zapomnę tego, co mi powiedziałeś. Ty i Tanni jesteście moimi przyjaciółmi i uczyniliście mnie członkiem waszej rodziny. Sean i Harriet są waszymi dziećmi i kochałbym je tylko z tego powodu, nawet gdyby same nie były moimi przyjaciółmi. Ale są moimi przyjaciółmi – i moja rodzina – i widzę, że mam do odegrania rolę, której wcześniej nie spostrzegalem.

–Jaka rola?

–Matka jest strażnikiem Imperium, Colinie, a ja jestem strażnikiem naszej rodziny. Nigdy o tym nie zapomnę.

–Dziękuję, Dahaku – powiedział Colin bardzo, bardzo cicho, a Jiltanith znów pokiwała głową.

Rozdział 6

To nie było duże pomieszczenie, ale Seanowi MacIntyre wydawało się ogromne, gdy stał przed wąskim łóżkiem i z niepokojem badał powierzchnię wszystkich mebli w poszukiwaniu choćby najmniejszych śladów kurzu.

Sean przeżył całe siedemnacie i pół roku ze świadomością, że czeka go Akademia, ale nigdy do końca nie pojął, jakie znaczenie będzie miało jego wysokie urodzenie. Teraz już wiedział, że rzeczywistość nie dorównuje najgorszym koszmarom.

Był "kotem", najniższa forma wojskowego życia i legalna ofiara każdego osobnika znajdującego się wyżej w łańcuchu pokarmowym. Pamiętał rozmowy przy kolacji, gdy Adrienne Robbins zapewniała jego ojca, że wyeliminowała większość objawów "fali", które cesarz pamiętał jeszcze z czasów nauki w szkole Marynarki Wojennej USA. Sean oczywiście nigdy nie odważyłby się sprzeciwić jej słowom, ale wydawało mu się mało prawdopodobne, by udało jej się tak wiele w tej kwestii osiągnąć.

Zdawał sobie sprawę, że los "kota" to element szkolenia przyszłych oficerów, by nauczyli się radzić sobie ze stresem, i wiedział, że nie ma w tym niczego osobistego – przynajmniej dla większości ludzi – a mimo to pocily mu się dłonie, gdy oczekiwał na inspekcję kwatery. Już na samym początku wprawił w zakłopotanie swojego dowódcę, kadet czwartego roku Malinowski, i to w obecności pozostałych, i teraz wiedział, że ta kobieta o sercu twardym jak glaz będzie utrudniać mu życie na każdym kroku.

Czuł się, żeby użyć jednego z ulubionych, lecz mało pochlebnych powiedzonek

ojca, dumny jak paw, kiedy stal w pierwszym szeregu najmłodszych studentów Akademii, oczekując na pierwszą inspekcję pani komendant. Każdy szczegół jego wyglądu był doskonały – Bog jeden wie, jak bardzo się starał, żeby to osiągnąć – i mimo sciskania w żołądku był podekscytowany i szczęśliwy. I właśnie z tego powodu zrobił niezmiernie głupią rzecz.

Uśmiechnął się do admirała Robbinsa. Najpierw zapomniał się wyprostować, gdy mijali ich szeregi, a potem odwrócił głowę, by spojrzeć jej w oczy, i wyszczerzył do niej zęby.

Lady Nergal nie powiedziała ani słowa, lecz temperatura jej spojrzenia była niższa niż temperatura skraplania helu, gdy przyglądała mu się niczym szczególnie obrzydliwej amebie. Na placu defilad panowała w tym czasie grobowa cisza.

Trwało to zaledwie stulecie, po czym jego spojrzenie powróciło na właściwe miejsce, prosty jak kij od szczotki kregosłup wyprostował się jeszcze bardziej, a uśmiech znikł. Lecz zniszczenia już się dokonały i Christina Malinowski postanowiła, że Sean musi za to zapłacić.

Ostrzegł go stukot obcasów. Gdy kadet Malinowski weszła do jego kwatery, stał na baczność, z rękami wzdłuż szwów spodni.

W Akademii nie było robotów sprzątających. Niektórzy oficerowie Floty i marines zwracali uwagę, że w ich własnych przedimperialnych akademiach wojskowych kadeci mieli służbę, by nie musieli się przejmować sprzątaniami i mogli skoncentrować na nauce, ale admirał Robbins była produktem surowej amerykańskiej tradycji wojskowej, a nikt nie odważył się jej sprzeciwić, gdy zaczęła opracowywać plan nauczania i zasady obowiązujące w Akademii. Fakt, że jego cesarska moc Colin I wywodził się z tej samej tradycji, również mógł mieć jakiś wpływ, lecz dla "kotów", którzy ponosili tego konsekwencje, nie miało to większego znaczenia. Sean stał więc teraz w milczeniu, z guzikami błyszczącymi niczym małe słońca i butami tak wypastowanymi i wypolerowanymi, że nie widać było, iż są czarne, i wykorzystywał całe swoje bioulepszenie, które w końcu otrzymał, by nie pocić się jak świnia.

Kadet Malinowski rozejrzała się po pokoju, przeciągnęła dłońmi w białych rekawczkach po polkach i szafie na ubrania, po czym przyjrzała się swojej nieruchomej twarzy w lazienkowym lustrze, gdy sprawdzała kubek do zębów w poszukiwaniu plam od wody. Potem otworzyła szafkę, by przyjrzec się jej zawartości, i niewielką szafkę na ubrania, by obejrzeć garderobę i zapasową parę butów. Jej doskonale ubrany zastępca stał w drzwiach z tradycyjną podkładką do pisania pod pachą, obserwując ją, a Sean niemal czuł sadystyczną satysfakcję, z jaką oczekiwał na zapisanie nazwiska kadeta pierwszego roku, MacIntyre'a, na swojej liście. Choć na razie Malinowski nic nie powiedziała, Sean nie mógł się odprezyć, pamiętając, że

jeszcze nie skonczyła.

W koncu zamknęła szafę, znow rozejrzała się po pokoju i podeszła do łózka. Zatrzymała się tak, by ją widział – nie przypadkiem, był tego pewien – i sięgnęła do kieszeni. Nie spiesząc się, jakby dokonywała jakiegoś rytuału, wyciągnęła błyszczący dysk, w którym Sean po chwili rozpoznał starą srebrną monetę dolarową. Z namysłem ułożyła ją na kciuku i palcu wskazującym, po czym pstryknęła.

Moneta zabłysła w powietrzu, zatoczyła luk i wylądowała posrodku jego łózka... i tak już została.

Szare oczy Malinowski zabłysły, gdy moneta się nie odbiła, a Sean w tym momencie stracił nadzieję. Starał się jednak zachować – chociaż z trudem – obojętny wyraz twarzy, gdy wzięła monetę i zwążyła ją w dłoni, po czym schowała do kieszeni, a następnie pochyliła się, chwyciła koc i przescieradła i jednym szarpnięciem zrzuciła je z łózka na podłogę.

Wreszcie odwróciła się na pięcie, a jej zastępca unosił rysik.

–Pieć przewinień – powiedziała beznamiętnie i wyszła.

Colin MacIntyre rozejrzył się po twarzach członków Rady Imperialnej, siedzących wokół błyszczącego stołu konferencyjnego. Dwoch było nieobecnych – Lawrence Jefferson został w ostatniej chwili wezwany jako zastępca Horusa, a Geb, dożywotni członek Rady i minister odbudowy, rzadko bywał na Birhat. Przede wszystkim dlatego, że ciągle podał za dowództwem zwiadu, ale także dlatego, że był ostatnim pozostałym przy życiu mieszkancem Birhat i ogromnie bolały go zmiany, jakie zaszły w jego ojczystym świecie.

Był to jeden z powodów, dla których Colin odwołał Władę Czernikową z funkcji asystenta Geba. Tsien i Horus potrzebowali na Birhat inżyniera, więc Colin stworzył Ministerstwo Inżynierii i Władę zgodził się je objąć. Ten jasnowłosy, niebieskooki były kosmonauta właśnie skończył omawiać stan zaawansowania cywilnych projektów na Birhat i Colin z aprobatą pokiwał głową.

–Wygląda na to, że jak zwykle nad wszystkim panujesz, Wład. – Mężczyzna uśmiechnął się, na co Colin również odpowiedział uśmiechem. – A jak tam idzie z tarczą Ziemi?

–Całkiem niezłe. Jedynym problemem jest sam ogrom tego zadania. Mamy na miejscu czterdzieści procent generatorów pierwszego rzędu i zaczynamy prace nad stacjami podporządkowanymi. Obawiam się, że pas asteroid niemal znikł, ale frachtowce z Alfa Centauri dotrzymują nam kroku.

Colin znowu pokiwał głową. Imperialne "wytapiacze" mogły rozłożyć właściwie każdy materiał na podstawowe pierwiastki, by następnie zsyntetyzować kompozyty i stopy, których potrzebował przemysł Imperium, takie jak stal bojowa do budowy planetoid Floty Bojowej, lecz nawet imperialne syntetyki wymagały pewnych niezbędnych komponentów. Wielkie frachtowce imperialnych "ekspedycji gorniczych" przenosiły więc całe kawalki planet do centrów wytwórczych. Układ Alfa Centauri na swoje nieszczęście znajdował się blisko Sól i z jedenastu planet pozostało już tylko dziewięć. Kiedy głowice grawitoniczne rozbija kolejną planetę na kawalki, by zaspokoić głód orbitalnych stoczni Ziemi, pozostanie ich już zaledwie osiem.

– Tymczasem Baltan i Dahak skończyli plany Macochy. – Kilku członków Rady spojrzało z zainteresowaniem. – Musimy jeszcze dokładniej zbadać pamięć Matki, ale jesteśmy pewni, że wyodrebniliśmy wszystkie główne programy. Ostateczne parametry podstawowego oprogramowania Macochy pozostają jednak elastyczne, gdyż prawdopodobnie w miarę postępów badań tutaj, w układzie Bia, konieczne będzie wprowadzenie pewnych zmian. Oczywiście realizacja projektu potrwa wiele lat, lecz Horus, Tao-ling i ja chcemy rozpocząć budowę w ciągu trzech miesięcy.

– Dzięki Bogu, że jesteśmy w końcu gotowi – powiedział Colin. – Dahaku i Baltanie, macie moje szczere podziękowania za wasze wysiłki.

– Bardzo dziękuję, panie – odparł Dahak, przyjmując na czas spotkania bardziej oficjalny ton. – Jestem pewien, że wypowiadam się również w imieniu admirała Baltana.

– Przypomnij mi, żebyś podziękował mu osobiście, kiedy znowu go zobaczę. – Colin odwrócił się z powrotem do Włada. – A jak tam nowe planetoidy?

– Tutaj prace są o wiele bardziej zaawansowane, mimo pewnych nieprzewidzianych opóźnień. Imperialna Terra powinna być gotowa w ciągu czterech lat.

– Czy są jakieś problemy z komputerami, Wład? – spytał Gerald Hatcher.

– Ja na to odpowiem, jeśli mogę, Colinie – odezwał się sir Frederick Amesbury.

Zylasty Anglik, jeden z szefów Sztabu Ziemi podczas obleżenia, był teraz ministrem cybernetyki. Colin pokiwał głową, zachęcając go do mówienia.

– Testowe komputery działają od ponad dwóch lat, Ger, i pierwotne obliczenia Dahaka są trafione w dziesiątkę. Włączenie achuultanskiego obwodu logicznego do naszych układów opartych na stanach wzbudzonej energii zwiększyło prędkość o kolejnych pięć procent, wzrosła też elastyczność oprogramowania w odpowiedzi na nieznane bodźce. Oczywiście komputery nie są samoswiadome, ale mają o trzydziści procent większą zdolność podejmowania autonomicznych decyzji. Sadze,

ze bedziecie zadowoleni z wynikow.

–Prosze mi wybaczyc, sir Fredericku – odezwal sie Lawrence Jefferson – ale jeszcze jedna rzecz pozostala dla mnie niejasna. Rozumiem, dlaczego nie chcemy, by Matka albo Macocha staly sie samoswiadome, ale dlaczego nie chcemy, by nasze okrety wojenne osiagnely samoswiadomosc? Czy gdybysmy mieli wiecej takich statkow jak Dahak, nasza flota nie bylaby bardziej skuteczna?

–I tak, i nie – odpowiedzial Amesbury. – Statki z pewnoscia bylyby bardziej skuteczne, ale takze o wiele bardziej niebezpieczne.

–Dlaczego?

–Pan pozwoli, sir Fredericku? – odezwal sie Dahak. Amesbury skinal glowa. – Problem, panie zastepco gubernatora, polega na tym, ze takie statki zagrazalyby naszemu wlasnemu bezpieczenstwu. Wie pan, ze w tym czasie, gdy ja powstawalem, Czwarte Imperium nie umialo budowac samoswiadomych komputerow. Moja swiadomosc rozwinela sie przypadkiem w ciagu piecdziesieciu jeden tysiecy lat dzialania poza kontrola, ale nawet teraz nie jestesmy pewni, co wlasciwie do tego doprowadzilo.

–Ale Czwarte Cesarstwo juz mialo takie umiejetnosci, a mimo to zdecydowalo sie ich nie wykorzystywac. Po rozwazeniu faktow, o ktorych Cesarstwo nie moglo miec pojecia, a ktore ostatnio wyszly na jaw, powody takiej decyzji wydaja sie calkiem rozsadne. Prosze sie zastanowic: nie ma zadnych dowodow, ze cybernetyczna inteligencja jest odporna na "szalenstwo", a komputer Achuultan jest przykladem tego, ze potrafi miec swoja ambicje. Gdyby planetoida klasy Asgerd "oszalala", moglaby dokonac niezmiernych zniszczen. Wlasciwie ostroznosc nakazuje, by mnie samego przeniesc z obecnego kadluba w nieco mniej niebezpieczne miejsce.

–Dahaku – westchnal Colin – nie bedziemy znow na ten temat dyskutowac! Przyjmuje twoje argumenty przeciwko stworzeniu kolejnych samoswiadomych komputerow, ale ty z pewnoscia udowodniles nam swoja wartosc!

–Poza tym – dodal sucho Wlad – czemu mialaby nas niepokoic mozliwosc, ze oszalejesz, skoro mamy cesarza, ktory juz oszalal?

Rozlegly sie smiechy, lecz Colin nadal byl powazny. Jego mysli juz krazyly wokol kolejnego punktu spotkania i z uczuciem smutku spojrzal na minister biotechnologii. Isis bylaby lepszym czlonkiem Rady niz Cohanna – o wiele lepiej znala sie na ludziach – lecz Colin z wielkim bolem myslal o tym, ze projekt Genesis bedzie nie tylko ukoronowaniem zycia Isis Tudor, lecz rowniez jej ostatnim projektem.

–Wydaje mi sie, ze to juz wszystko – powiedzial cicho lecz zanim zamkniemy obrady, Cohanna ma nam cos do przekazania. Hanno?

Cohanna spuscila na chwile wzrok z nietypowym dla niej przygnebieniem, po czym odchrzaknela.

–Zaluje, ze Isis nie mogla tu przybyc, by wam o tym powiedziec, lecz podroz bylaby dla niej zbyt trudna. – Podniosla wzrok – Z przyjemnoscia informuje, ze dzisiejszego ranka, o drugiej trzydziesti cztery czasu Greenwich, po raz pierwszy od siedemdziesieciu osmiu milionow lat urodzila sie Narhanka. – Widzac zaskoczenie na twarzach zgromadzonych wokol stolu, Cohanna usmiechnela sie tajemniczo. – Isis byla przy tym i nazwala dziecko Ewa. Na ile mozemy to ocenic, jest calkiem zdrowa.

Dluga chwile ciszy przerwal Gerald Hatcher.

–Nigdy nie wierzylem, ze to ci sie uda, Hanno.

–To nie mnie sie udalo – odparla bardzo cicho – tylko Isis.

Znow zapadla cisza, po czym odezwal sie Wlad Czernikow. Jego wczesniejsza beztroska zupełnie znikla.

–Tanni, jak sie czuje Isis? – spytal lagodnie.

–Plocho, Wlad – odparla ze smutkiem Jiltanith. – Slabnie szybko, i stad tez ojciec przy jej boku czuwa. Bolu nie czuje i owoce dziela swego zycia ujrzala, lecz czas jej krotkim jest, jak miemam.

–Bardzo przykro mi to slyszec. – Wlad przez chwile rozgladal sie wokol, po czym znow spojrzal na Jiltanith. – Prosze, przekaz jej, ze jestesmy z niej bardzo dumni i ze ja kochamy.

–Tak zrobie – odpowiedziala cicho Jiltanith.

Francine Hilgemann uruchomila urzadzenia antyszpiegowskie, a dopiero potem wyjela z paczki nowa Biblie. Jej systemy zabezpieczen byly rownie dobre jak imperialnej wladzy – nic dziwnego, skoro pochodzily z rzadowych zrodel. Z przyjemnoscia wciagnela zapach swiezego tuszu drukarskiego. Zawsze kochala piekno i dlatego byla szczerze zadowolona z rozwoju przemyslu wydawniczego. Ludzie odkryli, ze ksiazki to skarby, a nie tylko sposob przekazywania informacji, i tom, ktory trzymala w dloni, byl prawdziwym dzielem sztuki drukarskiej.

Przekartkowala go z podziwem, po czym zatrzymala sie na prorocत्वach Jeremiasza. Cieniutki papier gladko wysunal sie spomiedzy kartek – nie tak jak ostatnim razem, kiedy jakis idiota uzyl kleju i zniszczyl dwie kartki Ksiegi Lewitow.

Ostrożnie rozprostowała delikatny papier i rozłożyła go na bibule. Kosci danych były o wiele mniejsze i łatwiejsze do ukrycia. Ona i jej sojusznicy wiedzieli o tym, lecz wiedzieli również, że niektórzy członkowie sił bezpieczeństwa traktowali pisane wiadomości jako coś tak niewygodnego, że rzadko ich szukali. No i oczywiście informacje, które nigdy nie były przechowywane elektronicznie, nie mogły zostać wydobyte z baz danych przez komputer zwany Dahakiem.

Wyciągnęła księgę kodów i przetłumaczyła wiadomość, a potem przeczytała ją powoli dwa razy, aby dobrze zapamiętać. Na koniec spaliła kartkę i rozsypała popioł.

Doniesiono jej, że MacIntyre i jego banda w końcu są gotowi rozpocząć prace nad Macocha. Zgadzała się z oceną swojego sojusznika, że z samej swojej natury Macocha będzie ogromnym zagrożeniem dla ich długoterminowych planów, ale przy odrobinie szczęścia i dzięki ciężkiej pracy to zagrożenie może obroczyć się na ich korzyść i pozwolić im przeprowadzić najbardziej ambitny w historii ludzkości zamach stanu.

Z wielu powodów wolałaby już teraz zaatakować, lecz Macocha powinna być bliższa ukończenia – prawie gotowa. Jej oczy zaswieciły, gdy pomyślała, że "zagrożenie" ze strony Narhan jest doskonałym pretekstem, by uzasadnić przyznanie szczególnych uprawnień ich kandydatowi do korony, by mieć pewność, że Macocha zostanie jak najszybciej ukończona.

Ale to dotyczyło przyszłości. Na razie musi rozważyć najnowsze wieści o Narhanach. Oficjalnie jest tylko sekretarzem generalnym równorzędnych biskupów Kościoła – ale przecież Stalin też był "tylko" pierwszym sekretarzem Komitetu Centralnego, czyż nie? – i jej zadaniem będzie uspokojenie trzodki, kiedy wieści zostaną oficjalnie ogłoszone. Jej zapewnienie, że Narhanie tak naprawdę nie są Achuultanami, czyli pomiotem Antychrysta (może co najwyżej w czysto technicznym sensie), będzie zawierać wręcz odwrotny przekaz. A jeśli dodać do tego szczerą list pasterski przypominający wiernym o obowiązku modlitwy o wsparcie dla cesarza w tych trudnych czasach, ruch przeciwko Narhanom będzie się skutecznie rozwijał.

A tymczasem musi przekazać te wieści swojej trzodce w nieco mniej uspokajającej formie.

Wielebny Robert Stevens siedział w odrapanym pokoju pod kościołem i przyglądał się przerażonym twarzom otaczających go mężczyzn i kobiet. Czuł, jak ich strach wzrasta wraz z jego własnym niepokojem.

–Jestes pewien, ojcze? – spytała chrapliwym głosem Alice Hughes.

–Tak, Alice. – Piskliwy głos Stevensa nie nadawał się zbyt do modlitw czy

wyglaszania kazan, lecz Bog dal mu misje, ktora sprawiala, ze takie niedoskonalosci nie byly istotne. – Wiecie, ze nie moge ujawnic tozsamosci mojego zrodla – tak naprawde nie mial pojecia, kto to byl, ale informacje zawsze okazywaly sie godne zaufania – lecz jestem tego pewien.

–Niech im Bog wybaczy – wyszeptal Tom Mason. – Jak mogli pomoc pomiotowi Antychrysta, aby sie rozmnozyl?

–Daj spokoj, Tom! – Vance Jackson zagryzl warge, a jego zielone oczy plonely. – Znalismy odpowiedz na to pytanie, odkad zaczeli klonowac swoich cennych Narhan. – Ostatnie slowo zabrzmialo jak przeklenstwo. – Sa zepsuci.

–Ale przeciez walczyli z Achuultanami niczym wybrancy samego Boga! – powiedziala Alice. – Jak mogli wtedy robic tamto, a teraz to?

–To ta nowa technika – warknal Jackson. – Uwazaja siebie za bogow!

–Obawiam sie, ze Vance ma racje – powiedzial ze smutkiem Stevens. – Byli wybrancami Boga, Alice, i Szatan nie mogl ich pokonac, wiec wybral pokuse i ich uwiodl. A to... – wskazal na lezaca na stole kartke – jest dowodem, ze mu sie udalo.

–I to imie, ktore nadali swojemu demonowi – rzucil ostro Jackson. – Ewa! Powinna byc Lilith!

Stevens pokiwal glowa z jeszcze wiekszym smutkiem, lecz w jego oczach zaplonal nowy ogien.

–Cesarz i Rada przeszli na strone zla – w jego glosie nie bylo juz smutku – a bogobojni ludzie nie maja obowiazku bycia posluznymi zlým wladcom.

Wyciagnal rece w strone siedzacych po obu stronach ludzi. Oni takze podniesli rece i w swietle brzezacych jarzeniowek zjednoczyli sie w kregu wiernych. Stevens czul, jak ich wiara karmi jego wlasna wiare, napelniaja sila.

–Nadchodzi czas, bracia i siostry – powiedzial. – Czas ognia, kiedy Pan wezwie nas, bysmy w Jego imieniu powalili bezboznikow, dlatego musimy byc silni, by wypelnic Jego wole. Nadchodzi Armagedon, a my... – rozejrzal sie dookola – jestesmy prawdziwym Mieczem Boga!

Rozdzial 7

Marha, oddalona o siedemnascie minut swietlnych od Bia i mniejsza od Marsa, nigdy nie byla szczegolnie imponujaca planeta, a juz zwlaszcza po tym, jak Czwarte Imperium uczynilo z niej poligon do testowania swojej broni. Przez dwa tysiace lat, zanim antimateria i glowice grawitoniczne sprawily, ze testy planetarne nie byly juz

potrzebne, bron jadowa i kinetyczna rozrywała jej niemal pozbawiona atmosfery powierzchni, zamieniając ją w udrezone pustkowie.

Imperialni marines kochali Marhe. Było to doskonale miejsce, by uczyć piechotę różnych tajników sztuki zabijania, dlatego general Tsien i MacMahan z radością podzielili się nią z kadetami admirał Robbins.

Właśnie w tej chwili admirał Robbins siedziała na mostku Tanngjosta i popijała kawę, a jej skanery obserwowały kadetów trzeciego roku walczących z kolegami z ostatniego roku. Przebiegły gość z tego Seana, pomyślała z dumą. Wprawdzie na pierwszej paradzie zrobił z siebie kompletnego idiota, ale za to w taktyce przeganiał wszystkich pozostałych równo o pięć punktów. Jak na jej gust był odrobinę zbyt zuchwały, lecz jego rodzice na pewno byliby tym zachwyceni.

Kadet trzeciego roku MacIntyre kazał swojej grupie komandosów zatrzymać się i ukryć w cieniu poszarpanego zbocza krateru. Osunął się tam razem z nimi, ciężko dysząc. Zdawał sobie sprawę, że jeśli wszystko mu się uda, może dwie lub trzy osoby go pochwalą, ale jeśli zawali sprawę, wszyscy będą tylko czekać, żeby mu powiedzieć, jakim jest idiota.

Spojrzał na Sandy. Widząc, jaka jest zmęczona, zmartwił się bardziej, niż sam przed sobą chciał przyznać. To była jej kompania i dziewczynie bardzo spodobał się jego pomysł, lecz dla kogoś o takiej drobnej posturze było to bardzo trudne zadanie.

Człowiek ze wzmocnieniami mógł poruszać się w wyłączonym kombinezonie bojowym, jeśli serwomechanizmy nie zostały zablokowane. Nie było to proste, szczególnie dla kogoś wzrostu Sandy, lecz w określonych okolicznościach miało sens. Wyłączony pancerz nie promieniował, a nawet ukrywał wzorce energii implantów swojego właściciela, a to znaczyło, że komandosi właściwie byli niewidzialni.

Jedynym zagrożeniem było wykrycie optyczne, lecz Sean już wcześniej zauważył, że choć jego koledzy podkreślali znaczenie systemów optycznych, to tak naprawdę polegali na bardziej wyszukanych czujnikach. Chciał o tym wspomnieć podczas omawiania manewrów, lecz w porę przypomniał sobie, że to on będzie prowadził ten wypad... a Akademia nie daje nagród za przegraną.

Podkradł się do krawędzi krateru i wyjął pasywny czujnik. Uśmiechnął się, gdy ujrzał obraz na wyświetlaczu. Onishi i jego sztab byli tam, gdzie zgodnie z wszelkimi zasadami powinni się znajdować: bezpiecznie ukryci w samym środku sieci czujników pilnujących ich kwatery głównej. Ale zasady nic nie wspominały o grupie komandosów oddalonych zaledwie o kilometr, przebywających w zasięgu tych

samych czujników i gotowych zniszczyć jego strukturę dowodzenia, zanim Tamman – który nie wiadomo dlaczego zawsze chciał dołączyć do Marines – poprowadzi główne siły.

Przechrzął się z powrotem do Sandy i przycisnął swój hełm do jej hełmu. Twarz za wizerem była spocona i zmęczona, lecz jej brązowe oczy plonęły. Wyszczrzył zęby w uśmiechu i poklepał ją po ramieniu.

–Mamy ich, Sandy! – Helmy przewodziły głos bez zdradzieckiej pulsacji komunikatora przestrzeni złożonej. – Zbieraj żołnierzy.

Pokiwała głową i zaczęła wydawać gestami polecenia. Jej oddział wsparcia podniósł się z zadziwiającą szybkością, nawet bez pomocy "mięśni" pancerzy. Sean zostawił ich i znowu wspinał się na zbocze, by ponownie sprawdzić koordynaty celu. Standardowy zmasowany atak wystarczy, pomyślał ze złośliwą satysfakcją.

Podniósł wzrok. Żołnierze z ciężką bronią znaleźli się już na swoich pozycjach, a pozostali skradali się do niego, trzymając "karabiny energetyczne" w gotowości. To zupełnie jak gra w zabijanie laserem, pomyślał, przygotowując implanty do aktywacji pancerza. A później po raz pierwszy od niemal sześciu godzin uruchomił komunikator.

–Teraz! rzucił.

Kadet czwartego roku Onishi Shidehara wyszedł z ciężarówki dowodzenia, aby się przeciągnąć. Książki czy nie, ten MacIntyre lubi się popisować, i ostrożne walki, o jakich donoszą jego wysunięte przyczółki, wcale do niego nie pasują. Onishi liczył na to, że skopie tylek jego cesarskiej wysokości, lecz dotychczas widział zaledwie dziesięć procent przeciwników, co mogło znaczyć, że MacIntyre próbuje czegoś bardziej wymyślnego. Te jego pomysły podobają się wykładowcom, ale tylko szczęście pozwala mu zajść tak daleko. Tym razem będzie musiał wszystko zrobić tradycyjną metodą, a wtedy...

Nagle zobaczył unoszący się w powietrzu pył i całe dziesiątki czegoś zasypały jego pozycje! Nie zdążył jeszcze się zaniepokoić, gdy wybuchły jaskrawym blaskiem "bomb atomowych" i "granatów wypaczeniowych". Zaskoczony upadł na ziemię, kiedy impulsy ślepek zablokowały jego pancerz i wyłączyły komunikator.

Obrocił głowę, uwięziony w zablokowanym pancerzu, i zobaczył, jak cały sztab kwatery głównej pada. Jego pozycje zalała druga fala ślepek, dopadając tych, którym udało się uciec przed pierwszą, a później ze ścian krateru zbiegła cała chmara postaci w pancerzach, cały czas strzelając.

Wszystko to trwało może trzydzieści sekund. Kadet Onishi zacisnął zęby, kiedy jedna z opancerzonych postaci przykucnęła obok niego i wyszczerzyła się w uśmiechu.

–Bum! – krzyknął Sean MacIntyre.

Minęło wiele miesięcy od śmierci Isis, zanim Horus nauczył się uśmiechać, lecz tego dnia, gdy wszedł do biura Lawrence'a Jeffersona, jego uśmiech był wyjątkowo szeroki.

–Co cię tak śmieje? – spytał zastępca gubernatora.

–Właśnie wróciłem z Birhat. – Horus nadal się uśmiechał. – Powinieneś być słyszeć, jak Colin i Tanni opowiadali o najnowszym pomysle Dahaka!

–O? – W przeciwieństwie do większości ludzi, Jefferson preferował tradycyjne krzesło obrotowe, które zaskrzypiało, gdy pochylił się do przodu. – O jakim pomysle?

–Cudownym! Wiesz, jak on troszczy się o dzieciaki? – Jefferson pokiwał głową. Oddanie Dahaka dla cesarskiej rodziny było wręcz legendarne. – Coz, zbliża się ich studencki rejs i Dahak zaproponował, żeby odbyły go na jego pokładzie.

–A dlaczego nie? Nie mogliby być w bardziej bezpiecznych rękach!

–Tak właśnie twierdzi, ale Colin i Tanni nie chcą o tym słyszeć, a ja nie mogę ich za to winić.

Jefferson wciąż wydawał się zaskoczony. Horus potrząsnął głową i oparł się biodrem o biurko zastępcy gubernatora.

–Dahak jest okrętem flagowym Straży Imperialnej, prawda? Nie jest nawet jednostką Floty Bojowej.

Jefferson znów pokiwał głową. Colin MacIntyre stracił dziewięćdziesiąt cztery procent wskrzeszonej Floty Straży Imperialnej w kampanii Zeta Trianguli. Pozostało tylko pięć statków – ich naprawa trwała całe lata – które powróciły już do służby. Różniły się zasadniczo od pozostałych planetoid Piątego Cesarstwa, gdyż w ich komputerach nie było imperatywów alfa, które zmuszały statki Floty Bojowej do posłuszeństwa Matce, a nie bezpośrednio cesarzowi. Herdan Wielki, założyciel Czwartego Cesarstwa, celowo tak zaprojektował Flotę Bojową, aby Matka nie była posłuszna cesarzowi, na wypadek, gdyby został usunięty ze swojego stanowiska przez Zgromadzenie Szlachty lub gdyby jego działania naruszały zapisany w jej

pamięci Wielki Edykt. Tylko Straz była osobista jednostka cesarza, nie zaprogramowana na posłuszeństwo Matce.

–Widzisz – mowil dalej Horus – kazdy kadet odbywa podczas ostatniego roku rejs na pokladzie jednostki Floty Bojowej, wiec jak by to wygladalo, gdyby Colin poslal swoje dzieciaki na Dahaku? Nie dosc, ze ich kolegom mogloby sie to nie spodobac, to co pomyslalyby o tym blizniaki? Poza tym Dahak je uwielbia i moglby miec problemy z traktowaniem ich tak samo jak wszystkich innych szczeniakov!

–Sadze, ze to prawda. – Jefferson zakolysal sie na krzesle i usmiechnal. – Czlowiek raczej nie myśli o cesarzach i cesarzowych jak o zwyczajnych, udreczonych rodzicach. Ale jesli nie chca skorzystac z Dahaka, to co wybiora?

–Coz, Colin byl za tym, by przydzialy byly przypadkowe, lecz Dahak potrafi byc uparty. – Oczy Horusa blysnely, a Jefferson rozesmial sie. Niejeden raz byl swiadkiem sytuacji, gdy komputer okazal sie nieprzejednany.

–Tak czy inaczej, troche sie poklocili, az w koncu doszli do porozumienia. Imperialna Terra jest juz prawie gotowa – pracuja teraz nad ostatecznym oprogramowaniem – i Dahak zaproponowal, by ja wykorzystac. To najnowszy i najpoteczniejszy statek Floty Bojowej, a Dahak osobiscie dopilnowal kazdego szczegolu tego projektu. Na jego pokladzie nic im sie nie stanie.

–Trudno sobie wyobrazic, by cokolwiek moglo temu statkowi zagrozic – przytaknal Jefferson. – Sadze, ze to bardzo dobry pomysl. Z calym szacunkiem dla ich wysokosci, nie powinniśmy narazac dynastii.

–W ten sam sposob Dahak w koncu ich przekonal, i miedzy nami mowiac, ciesze sie, ze mu sie udalo. W odpowiedzi Jefferson tylko powoli pokiwal glowa.

–Masz. – Ojciec Al-Hana wzial kosci danych od swojej biskup i uniosl ciezkie brwi. – Mamy tylko dwa tygodnie na przygotowania – powiedziala Francine Hilgemann – ale nie ryzykuj.

–Rozumiem. – Al-Hana wsunal kosci do kieszeni, ciekaw, co na nich jest. – Ktorej grupie mam je przekazac?

–Hmmm. – Hilgemann zaczela sie bawic pektorałem. – Ktora jest najblizej Seattle?

–Grupa Stevensa, jak sadze.

–O? – Usmiech Hilgemann nie byl przyjemny. – Nie mogli sie juz doczekac jakiejs misji. Czy sa gotowi?

–Tak sadze. Instruktorzy maja bardzo dobra opinie na ich temat i, tak jak powiedzialas, bardzo sie niecierpliwia. Mara ich aktywowac?

–Tak, powinni sobie poradzic. Ale jesli to sie nie uda, konsekwencje beda bardzo powazne, wiec sprawdz swoje zabezpieczenia. Wykorzystaj kogos innego, jesli sa jakiegokolwiek podejrzenia, ze ktos moze ich skojarzyc z nami.

–Oczywiscie. – Al-Hanowi niemal udalo sie ukryc zaskoczenie. Cokolwiek jest na tych kosciach, jest bardzo wazne.

Vincente Cruz zaparkowal wynajety samolot pod chatka i odetchnal gleboko, otwierajac wlasz. Dzieki imperialnej technice wiekszosc zniszczen z okresu achuultanskiego bombardowania Ziemi usunieto. Nawet temperatura byla juz normalna, a straszliwe deszcze, ktore nastapily po oblezeniu, mialy jeden pozytywny skutek: wymyly nagromadzone przez stulecia zanieczyszczenia atmosfery i gorskie powietrze bylo teraz krystalicznie czyste. Wiedzial, ze wielu kolegow z Biura Projektowania Statkow uwaza go za wariata, gdyz spedzal wakacje na Ziemi, a nie na dziewiczej powierzchni Birhat, ale oboje z Elena kochali Gory Kaskadowe.

Wysiadl i zaczal wyciagac zakupy, po czym zatrzymal sie i skrzywil. Dlaczego dzieciaki nie przybiegly, zeby mu w tym pomoc?

–Luis! Consuela!

Nikt nie odpowiedzial. Wzruszyl ramionami. Luis dostal hopla na punkcie wedkowania i pewnie w koncu namowil Consuele, by tez sprobowala, a Elena wziela malenstwo i poszla razem z nimi, by ich dopilnowac.

Wzial ogromna sterte zakupow spozywczych – co nie bylo szczególnie trudne dla w pelni wzmoznionego mezczyzny – i wspial sie po schodkach na ganek. Otwarcie drzwi bylo juz pewnym problemem, ale w koncu mu sie udalo i wszedl do srodka, zamykajac noga drzwi. Ruszyl w strone kuchni i nagle zamarl.

Przed kominkiem siedzieli mezczyzna i kobieta; ich twarze byly ukryte za maskami narciarskimi. Nie zdazyl nic powiedziec, kiedy jeknal z bolu i upadl na ziemie. Kartony z mlekiem pekly, zalewajac go plynem, lecz on niemal tego nie zauwazyl. Mogl byc tylko jeden powod takiego naglego paralizu: ktos zaatakowal go z tylu polem przechwytujacym!

Rozpaczliwie probowal walczyc, lecz policyjne urzadzenie zablokowalo wszystkie jego implanty, nawet komunikator. Nie mogl sie poruszyc ani zawolac o pomoc. Poczul przyplyw paniki. Jego rodzina! Gdzie jest jego rodzina?!

Mezczyzna siedzacy przed kominkiem podniosl sie i przewrocil go noga na plecy. Vincente wpatrywyl sie w jego zamaskowana twarz, zbyt zatroskany o swoja rodzine, by bac sie o siebie, nawet gdy napastnik przykleknl i przycisnl do jego szyi lufe staromodnego ziemskiego karabinu.

–Dzien dobry, panie Cruz. – Wysoki glos byl nieprzyjemny, lecz kryjaca sie w nim grozba sprawila, ze nie mialo to zadnego znaczenia. – Mamy dla pana zadanie.

–Kim., jestescie? – Wypowiedzenie tych kilku slow w obecności pola przechwytyjacego odebralo Vincente'owi wszystkie sily. – Gdzie sa moje...

–Zamknij sie! – Glos byl niczym trzask bicza. Lufa przywarla jeszcze mocniej do jego szyi i Vincente przelknl slinę, teraz naprawde przerażony losem swojej rodziny.

–Tak jest lepiej – powiedzial intruz. – Panska zona i dzieci beda naszymi gośćmi, panie Cruz, az robi pan dokladnie to, co panu kazemy.

Vincente oblizal wargi.

–Czego chcecie? – spytal chrapliwym glosem.

–Jest pan starszym programista Imperialnej Terry – powiedzial napastnik w masce. Mimo strachu Vincente byl zaszokowany. Jego praca byla tak scisle tajna, ze nawet Elena nie wiedziala dokladnie, co robi. Jak ci ludzie mogli...

–Prosze nie zaprzeczac, panie Cruz. Wiemy o panu wszystko. Ma pan dodac to... – uniosl kosc danyh na wysokosc oczu Vincente'a – do podstawowego oprogramowania statku.

–Nie... Nie moge! To niemożliwe! Sa zabezpieczenia!

–Ma pan dostep do oprogramowania i jest pan wystarczajaco bystry, by to zrobic. Jesli nie... – Mezczyzna wzruszyl ramionami, a on odczul to niczym cios nozem w serce. Lodowate spojrzenie oczu widocznych w otworach maski odebralo mu wszelka nadzieje. Ten mezczyzna moglby go zabic niczym karalucha, a na dodatek mial jego rodzine.

–Tak jest lepiej. – Zamaskowany mezczyzna upuscil kosc na piers Vincente'a i podniosl sie. – Nie pragniemy krzywdzic kobiet i dzieci, wykonujemy tylko dzieło Pana, a pan wlasnie stal sie Jego narzedziem. Niech pan nie popelni bledu; jesli nie robi pan dokladnie tego, co kazemy, zabijemy ich. Wierzy mi pan?

–Tak – wyszeptal Vincente.

–To dobrze. I niech pan pamietaja: wiemy, gdzie pana znalezc i co pan robi, wiemy

nawet, nad jakim statkiem pan pracuje. To znaczy również, że będziemy wiedzieli, jeśli będzie pan na tyle głupi, by komus o tym powiedzieć.

Zamaskowany mężczyzna cofnął się w stronę drzwi; dołączyła do niego kobieta i wysoki, szeroki w barach mężczyzna z karabinem przechwytyjącym.

– Proszę zrobić to, co panu kazaliśmy, panie Cruz, a pańska rodzina powróci bezpiecznie do domu. Jeśli pan odmówi, nie dowie się pan nawet, gdzie zostali pochowani.

Przywódca skinął na swojego pomocnika i Vincente wrzasnął – pole przechwytyjące zostało podkrecone do maksimum – a potem stracił przytomność.

Rozdział 8

Starszy kapitan Floty Algys McNeal siedział na mostku i jednym okiem obserwował swoich oficerów, a drugim spoglądał na hologram. Fizycznie admirała Hachera dzieliło od niego kilkaset tysięcy kilometrów, lecz komunikatory przestrzeni złożonej pozwalały na rozmowę bez jakichkolwiek przerw. Kapitan McNeal nie był z tego powodu szczególnie szczęśliwy. Dowodzenie najpotężniejszym okrętem wojennym Floty Bojowej podczas dziewiczego rejsu to wystarczający powód do zmartwienia, a obecność obojga dziedziców Korony na pokładzie tylko pogarsza sytuację. Dlatego naprawdę nie potrzebował, żeby głównodowodzący marynarki siedział obok niego i klapał paszczą, podczas gdy Imperialna Terra przygotowywała się do wyruszenia!

– ...a później rozejrzyjcie się wokół Thegran – powiedział Hatcher.

– Tak, sir – odparł McNeal, przyglądając się, jak kadet jego wysokości Sean MacIntyre przeprowadza ostatnie testy w dziale astrogacji.

Księżę najwyraźniej miał nadzieję, że zostanie przypisany do komputera bojowego, lecz był już niezłym taktykiem i mógł o wiele więcej się nauczyć jako asystent nawigatora. McNeal był zadowolony, że kadet MacIntyre tak spokojnie przyjął jego decyzję.

– I przywiezcie trochę dobrego sera z Triam IV.

– Tak, sir – odpowiedział automatycznie McNeal, po czym zreflektował się i spojrzał ze skrucha na swojego zwierzchnika. Hatcher uśmiechnął się, więc on odpowiedział mu tym samym.

– Przepraszam, sir, chyba jestem trochę rozkojarzony.

– Nie przepraszaj, Algys. Nie powinienem był ci przeszkadzać w takiej chwili. – Admiral wzruszył ramionami. – Ja chyba też trochę się ekscytuję tym nowym

statkiem. I frustruje, że utknałem tutaj, na Bia.

–Rozumiem, sir. Wcale mi pan nie przeszkadza.

–Jasne – prychnął Hatcher. – Powodzenia, kapitanie.

–Dziękuję, sir. – McNeal wreszcie mógł zaszalutować i hologram znikł.

–Statek gotowy do odlotu, sir – zameldowała astrogator komandor porucznik Yu.

–Bardzo dobrze, pani komandor. Zabierz nas stąd.

–Tak, sir.

Widoczna na wyświetlaczu szmaragdowoszafirowa kula Birhat zaczęła się zmniejszać, gdy odlatywali ze spokojną prędkością równą trzydziestu procentom prędkości światła. Oficerowie Imperialnej Terry byli zbyt zajęci, by zauważyć krótki przekaz w przestrzeni złożonej, który pochodził z planetoidy Dahak i nie był skierowany do żadnego z nich. Przez jedną chwilę Dahak szeptał coś do centralnego komputera Terry, po czym zakończył połączenie równie dyskretnie jak je nawiązał.

–No i wyruszyli – zameldował hologram Hachera. – Zostawia tuzin tymczasowych załóg na Urahan, a potem wyrusza zbadać układ Thegran.

Colin pokiwał tylko głową, skoncentrowany na łączu neuralnym, które podłączył do czujników Matki. Imperialna Terra musiała być co najmniej dwanaście minut świetlnych od Bia, by wejść w nadprzestrzeń, a gdy po dziesięciu minutach dolar la do tego punktu i zniknęła niczym banka mydlana, Colin westchnął z ulgą.

–A niech to, Geraldzie. Chciałbym z nimi polecieć.

–Poradza sobie. Muszą w końcu wypróbować swoje skrzydła.

–Ja się nie martwię – powiedział Colin z krzywym uśmiechem – ja im zazdroszczę. Być tak młodym, dopiero zaczynać i wiedzieć, że cała galaktyka stoi przed tobą otworem...

–Ano. Pamiętam, jak się czułem, kiedy Jennifer odbywała swój pierwszy rejs. Była słodka jak szczeniaczek... i zabiłaby mnie na miejscu, gdybym powiedział to na głos!

Colin rozesmiał się. Starsza córka Hachera pracowała w Ministerstwie Odbudowy Geba, miała za sobą badania trzech układów i wkrótce czekał ją awans na stopień kapitana.

–Mysle, ze wszyscy najlepsi zaczynaja z przekonaniem, ze poradza sobie ze wszystkim, co spotka ich we wszechswiecie – stwierdzil. – Ale wiesz, co najbardziej mnie przeraza?

–Co? – spytal z zaciekawieniem Hatcher.

–Ze moga miec racje.

Samolot policji drogowej pedzil nad stanem Waszyngton z predkoscia dwunastu machow. W atmosferze oznaczalo to balansowanie na granicy ryzyka, nawet przy napedzie grawitonicznym, ale ten wypadek wygladal wyjatkowo paskudnie i ponury pilot koncentrowal sie tylko na locie, zas jego partner obserwowal odczyty.

Nadeszly kolejne informacje z kontroli lotow i oficer zaklal. Jezu! Cala rodzina – piec osob, w tym troje dzieci! Wypadki z udzialem techniki imperialnej zdarzaly sie rzadko, ale kiedy juz do nich dochodzilo, zwykle skutki byly nieodwracalne. Modlil sie, by ta katastrofa byla wyjatkiem.

Gdy znalezli sie nad miejscem wypadku, pochyлил sie mocno do przodu, jakby chcial zmusic czujniki, by powiedzialy mu to, co chcial uslyszec.

Ale po chwili opadl zrezygnowany na fotel.

–Mozesz zwolnic, Jacques – powiedzial ponuro.

Pilot spojrzal na niego z ukosa.

–Mamy tylko spory krater. Wyglada na to, ze wbili sie z predkoscia pieciu machow. Nie wykrywam zadnych osobistych transponderow.

–Merde – zaklal cicho sierzant Jacques DuMont i samolot zwolnil.

Ruchome wyswietlacze holograficzne zawsze Seana fascynowaly, szczegolnie dlatego, ze pokazywaly to, czego nie moglo zobaczyc ludzkie oko.

Na przyklad dzieki uzyciu napedu Echanach statek najnowszej generacji przebywal przestrzen z predkoscia osiemset piecdziesiat razy wieksza od predkosci swiatla, jednak tak naprawde wcale sie nie "poruszal". Po prostu znikal w jednym miejscu i pojawial sie w innym. Naped gromadzil swoja mase grawitacyjna w ciagu mniej niz femtosekundy, a caly cykl zajmowal niemal pelna bilionowa sekundy w normalnej przestrzeni miedzy transpozycjami. Taki czas byl niedostrzegalny (nie bylo tez efektu

Dopplera, który mogłoby zaburzać postrzeganie), gdyż przez te krótkie chwile statek był właściwie nieruchomy. Żadne ludzkie oko nie umiałoby sobie poradzić z takimi bodźcami wizualnymi, jako że punkt odniesienia zmieniał się co sekunde o dwadzieścia pięćdziesiąt cztery miliony kilometrów.

Dlatego też komputery generowały sztuczny obraz, rodzaj spojrzenia na wszechświat z punktu widzenia tachionu. Wspaniały wyświetlacz otaczał mostek dookoła, a najbliższe gwiazdy poruszały się, dając ludziom złudzenie przemieszczania się w pojmowalnym wszechświecie.

Komputery obrazujące konfrontowały różne parametry przy prędkości mniejszej od światła. Napęd grawitacyjny Piątego Imperium miał maksymalną prędkość podświetlną równą niewiele ponad siedemdziesiąt procent prędkości światła – pociski mogły osiągać ponad osiemdziesiąt procent prędkości światła, zanim ich napędy traciły synchronizację w fazie i działy się różne straszne rzeczy – i niwelował masę i inercję. To oznaczało niemal nieograniczoną manewrowość i pozwalało na bardzo szybkie osiągnięcie maksymalnej prędkości bez przerabiania załogi na mielonkę. Ale w przeciwieństwie do statku z napędem Echanach, statki podświetlne poruszały się względem wszechświata i w ich przypadku dylatacja czasu i efekt Dopplera miały znaczenie. Gwiazdy z przodu statku zazwyczaj wychodziły poza zakres widzialnych częstotliwości światła, zaś te za rufą znikaly w podczerwieni.

Sean uważał to zjawisko za piękne i uwielbiał chwile, gdy podczas lotów szkoleniowych nauczyciele pozwalali mu wylaczać komputerowe obrazowanie na wyświetlaczach i podziwiać "gwiazdne teczki". Niestety nie było to szczególnie użyteczne, więc zazwyczaj szybko ponownie włączano komputery i skanery przestrzeni złożonej i pojawiał się sztucznie "prawdziwy" obraz.

Imperialna Terra, podobnie jak wszystkie inne planetoidy Floty Bojowej, miała trzy różne systemy napędu: podświetlne, Echanach i nadświetlne, a jej największa prędkość w nadprzestrzeni była trzy tysiące dwadzieścia razy większa od prędkości światła. Jednak "nadprzestrzeń" była tylko wygodną etykietką dla czegoś, czego ludzie nie potrafili sobie wyobrazić, gdyż składała się z wielu "pasm" – a właściwie całego zbioru oddzielnych przestrzeni – których przyplwy energii były zubożcze dla wszystkich obiektów poza polem napędu. Nawet mimo techniki imperialnej niemal natychmiast pojawiały się zawroty głowy, a dłuższe wystawienie na ten widok miało poważne konsekwencje, nawet w postaci szalenstwa. Statki w normalnej przestrzeni wyczuwały ślady statków w nadprzestrzeni, zaś statki w nadprzestrzeni były ślepe. Nie "widziały" ani normalnej przestrzeni, ani nadprzestrzeni, więc ich wyświetlacze były puste.

A raczej pokazywały inne rzeczy. Kapitan McNeal na pokładzie Imperialnej Terry preferował hologram ojczystych wybrzeży Galway, lecz to, co w danej chwili pokazywano, zależało od tego, kto akurat pełnił wachtę. Komandor porucznik Yu

lubiła na przykład uspokajające abstrakcyjne rzeźby świetlne, zaś kapitan Susulow, zastępca dowodcy, miał słabość do nocnych widoków Jerozolimy. Jedynym stałym elementem były szkarłatne holograficzne liczby zawieszane nad stanowiskiem astrologa – pokazywały czas, jaki pozostał do wyjścia statku w zaprogramowanym wcześniej punkcie.

Sean siedział obok komandora porucznik Yu i patrzył, jak słońce zachodzi nad zatoką Galway, zaś kapitan McNeal czekał, aż jego statek wyjdzie z nadprzestrzeni w układzie Urahan, dwanaście dni – i ponad sto lat świetlnych – od Bia.

Imperialna Terra powrocila do ludzkiego wszechswiata szescdziesiat trzy minuty swietlne od Urahan – gwiazdy klasy F3. Układ Urahan nigdy nie byl baza Floty, lecz statek badawczy znalazl tutaj zaskakujaca liczbe planetoid krzacych na dalekich orbitach; powody staly sie oczywiste, kiedy grupie badawczej udalo sie uruchomic komputery na pierwszym wraku.

Na planetach Urahan nigdy nie bylo zycia, wiec statki skazone bronia biologiczna kierowano wlasnie w strone Urahan albo innego niezamieszkanego systemu i umieszczano na orbicie parkingowej.

A potem wszyscy na ich pokladach umierali.

Zatoka Galway znikla z hologramu i pojawily sie dziesiatki planetoid dryfujacych na tle gwiazd i migoczacych w odbitym blasku Urahan. Sean zadrzal, obserwujac, jak szesc pasozytow Terry niesie czterdziesti tysiecy ludzi w strone transportowcow i statkow naprawczych Ministerstwa Odbudowy, ktore pelnily straz przy wrakach.

Sean MacIntyre doskonale wiedzial, jaka byla przyczyna zniszczenia Czwartego Cesarstwa. Widzial statki sprowadzane na Bia, czytal o katastrofie, badal ja, pisal referaty w Akademii. Wiedzial o broni biologicznej, ale dopiero teraz zrozumial cos, czego wczesniej nie pojmowal.

Te martwe statki byly prawdziwe i kazdy z nich mial kiedys na pokladzie dwiescie tysiecy ludzi noszacych takie same mundury jak on. Prawdziwych ludzi, ktorzy zgineli, poniewaz probowali pomoc planetom zamieszkanym przez miliardy innych prawdziwych ludzi. A kiedy juz wiedzieli, ze sa zakazeni, przybywali tutaj, by umrzec, i nie szukali dla siebie pomocy, gdyz w ten sposob mogliby narazic na niebezpieczenstwo jeszcze innych ludzi.

Bron biologiczna w koncu ulegla rozkladowi, lecz statki przez cale tysiaclecia trwaly w oczekiwaniu. Teraz ludzkosc w koncu powrocila, by je odzyskac i zmierzyc sie ze zbrodniczym szalenstwem, ktore zabilo ich zalogi, i... odwaga, z jaka zginely.

Przygladal sie wyswietlaczowi, porownujac siebie z tymi od dawna martwymi czlonkami zalog, i marzyl, by kapitan McNeal jak najszybciej skierowal ich w strone Thegran.

Komandor porucznik Yu Lin, ktora juz wczesniej byla w ukkladzie Urahan, obserwowala z uwaga swojego podopiecznego, gdy wyszli z nadprzestrzeni. Nigdy by sie do tego nie przyznala, ale polubila kadeta czwartego roku MacIntyre'a. Ksiaze byl pracowity, sumienny i zawsze uprzejmy, jednak nie wiedziala, jak taki radosny ekstrawertyk zareaguje na widok floty smierci Urahan.

To interesujące, pomyślała. Miała wrażenie, że MacIntyre czuje się tak samo jak ona.

Imperialna Terra rozważała wszystkie możliwe opcje, mając już koordynaty do kolejnego skoku.

Choc jej główny komputer nie był samoswiadomy, był jednak mądrzejszy niż komputery starszych jednostek Floty Bojowej. Właściwie Terra była o wiele inteligentniejsza niż Dahak wtedy, gdy pojawił się na orbicie Ziemi, lecz mimo to próba pogodzenia ze sobą dwóch zestawów rozkazów o priorytecie alfa, o których nikt nie wiedział, była dla niej dużym problemem.

Normalnie poprosiłaby o wskazówki, lecz rozkazy alfa miały absolutny priorytet, a szukanie pomocy u ludzi nie miało priorytetu alfa. Jedną z komend wprowadzonych przez Vineente'a Cruza zakazywała nawet informowania oficerów mostka o innych rozkazach, co oznaczało, że centralny komputer musiał samodzielnie obmyślić plan działania, który byłby zgodny z obydwojema zestawami rozkazów.

I zrobił to.

Sean siedział nad jeziorem na pokładzie parkowym i puszczał kaczki. Jego wzmocnione ramie pomagało mu posyłać kamienie na niewyobrażalną odległość, zaś pole siłowe jego implantów chroniło go przed deszczem.

Nagle usłyszał kroki na mokrym żwirze. Nie odwracając się, odczytał kody implantów.

–Cześć – powiedział. – Jak wam się podoba pogoda komandora Godarda?

Wstał i uśmiechnął się do przyjaciół. Po raz pierwszy od opuszczenia Urahan wszyscy razem nie mieli służby, a tymczasem oficer logistyczny Terry zdecydował, że pokładom parkowym przyda się porządny deszcz. Komandor porucznik Floty Godard był porządnym facetem i Sean nie sądził, by zrobił to celowo.

–Mnie się podoba.

Brashan podbiegł do jeziora i wszedł do wody. W przeciwieństwie do swoich ludzkich przyjaciół, był w mundurze, tyle że narhanski mundur składał się jedynie z uprząży podtrzymującej torby przy pasie i noszącej jego insygnia. Sean znowu poczuł ukłucie zazdrości – Brashan musiał poświęcać więcej czasu na polerowanie skóry i metalu, ale nigdy nie musiał się martwić usuwaniem plam ze spodni od munduru.

–Przypomina mi wiosne na naszej planecie – dodal Narhanin, wchodzac glebiej do wody. Kiedy woda siegnela mu do ramion, rozlozyl z zadowoleniem grzebien. – Oczywiście powietrze nadal jest za rzadkie, ale pogoda jest przyjemna.

–Wcale mnie to nie dziwi. – Tamman zrzucil buty i usiadl na burcie trimaranu, rozchlapujac stopami wode. – Jesli o mnie chodzi, wole mniej mżawki.

–Ja tez – zgodzil sie Sean, choc wcale nie byl pewien, czy to do konca prawda. Wilgoc wzmacniala zapach ziemi i zieleni, i az podkrecil zmysl wechu, by nacieszyc sie ta wonia.

–Nadal chcesz pozeglowac? – spytala Sandy.

–Moze. – Sean rzucil we mgle kolejny kamien. – Sprawdzilem rozklad pogody. Za jakas godzine ma sie przejasnic.

–Ja bym wolala zaczekac – stwierdzila Harriet.

–Jasne. – Sean wzial kolejny kamien. – Moglibysmy na razie pojsc na hale treningowa na pokladzie siodmym.

–Nie ma mowy. – Tamman potrzasnal glowa. – Zajrzalem tam po drodze – porucznik Williams prowadzi kolejna sesje treningowa walki wrecz dla "ochotnikow".

Sean skrzywil sie i rzucil kamien. On i jego ludzcy przyjaciele bawili sie i cwiczyli z robotami Dahaka, od kiedy nauczyli sie chodzic. Byli jedynymi czlonkami zalogi, ktorzy mogli zmusic Williamsa do wysilku, lecz za kazdym razem, gdy go przycisneli, stosowal jakies podstepne – i bolesne – chwytty, ktorych wczesniej nie znali. Najwieksze problemy miala Sandy. Byla zreczna i oszalamiajaco szybka, nawet jak na wzmoznionego czlowieka, lecz jej drobna budowa byla spora wada na macie treningowej.

–No dobra – westchnela Harriet, ruszyla w strone trimarana i zaczela rozwiazywac zagle. Sean rozesmial sie i ruszyl za nia, by jej pomoc.

Imperialna Terra byla nieco wiekszym statkiem od planetoid klasy Asgerd, ale potrzebowala mniej licznej zalogi, przede wszystkim dlatego, ze jej podswietlne pasozyty, choc potezniejsze od poprzednikow, zostaly zaprojektowane dla mniejszych zalog. Stary Nergal Horsa potrzebował trzystu ludzi, a podswietlne okrety wojenne Czwartego Cesarstwa wymagaly jedynie stuosobowej zalogi. Dzieki zaprojektowanym przez Dahaka komputerom pasozyty Imperialnej Terry mialy na pokladzie tylko po trzydziestu osob.

Ale sama Terra miała ponad osiemdziesiąt tysięcy ludzi. Każdy z nich był doskonale wykształcony, przygotowany na każdą sytuację, lecz wszyscy – od inżynierów zajmujących się wirującym piekłem dopływu mocy po załogę logistyczną zarządzającą pokładami parkowymi i podtrzymywaniem życia – polegali na tym, co mówiły im komputery. Wszyscy pracowali w jedności z cybernetycznymi pomocnikami, zintegrowani łączami neuralnymi.

Programy diagnostyczne nieustannie sprawdzały działanie komputerów w poszukiwaniu jakichkolwiek usterek, zaś członkowie załogi Imperialnej Terry odbywali wachty i wpatrywali się w wyświetlacze, które im mówiły, że wszystko jest w porządku. Ale nie wszystko było w porządku, gdyż nikt z załogi Imperialnej Terry nie wiedział o rozkazach o priorytecie alfa, które jeden z programistów – obecnie martwy wraz z całą rodziną – umieścił w komputerze ich statku. Nikt nie wiedział, że ich główny komputer został zdrójca.

Sandy MacMahan przeszła przez chłodny, ogromny luk i dotarła do błyszczącego kadłuba podświetlonego okretu wojennego Izrael. Właz numer sześć był otwarty, więc wbiegła po rampie, zastanawiając się, gdzie jest komandor Jury.

Zajrzała do środka i aż zamrugła ze zdziwienia.

–Sean? Co ty tutaj robisz?

–Ja? A co ty tutaj robisz? Dostałem polecenie służbowe od komandor Jury, by zgłosić się na niezapowiedziane ćwiczenia.

–Ja też. – Sandy skrzywiła się. – Wyciągnęła mnie z łózka.

–A to pech, brak snu źle wpływa na urodę.

–Jeśli chodzi o mnie, to przynajmniej ma na coś wpływać, Nochalu – odparła i Sean uśmiechnął się, pocierając nos. – Ale skoro już mowa o komandor Jury, gdzie ona jest?

–Nie mam pojęcia. Sprawdźmy na mostku.

Weszli do szybu transportowego i właz cicho zamknął się za nimi.

Na mostku znów zostali zaskoczeni. Harriet, Tamman i Brashan już tam byli i wyglądali na równie zdziwionych jak Sandy i Sean. Przez chwilę przerzucali się pytaniami, aż w końcu Sean unosił ręce do góry.

–Prrr! Zaczekajcie. Sandy i ja zostaliśmy wyciągnięci przez komandor Jury na

dodatkowe cwiczenia praktyczne na pasozytach. A co wy tutaj robicie?

–To samo – odparła Harriet. – I nie rozumiem tego, bo podczas poprzedniej wachty miałam dwugodzinne szkolenie na symulatorze.

–No własnie – wtracił Tamman. – A skoro już tutaj jesteśmy, to gdzie jest komandor Jury?

–Może lepiej ja sama zapytajmy. – Sean podpiął łącze neuralne do sieci komunikacyjnej Imperialnej Terry... i otworzył szeroko oczy. System go wyrzucił. Nigdy wcześniej nie zdarzyło mu się coś takiego.

Zastanawiał się przez chwilę, po czym wzruszył ramionami. Korzystanie z komunikatorów przestrzeni złożonej na pokładach statków nie było zalecane, ale ponieważ działo się coś dziwnego, uruchomił implant komunikacyjny. A raczej spróbował go uruchomić.

–Cholera! – Podniósł wzrok i zobaczył, że wszyscy mu się przyglądają. – Nie mogę wejść do sieci komunikacyjnej i coś blokuje mój komunikator przestrzeni złożonej.

Sandy spojrzała na niego zaskoczona, po czym sama spróbowała nawiązać kontakt z Yury. Bezskutecznie. W jej oczach nie było strachu – jeszcze nie – ale mimo to Sean poczuł się zaniepokojony.

–Ja też nie mogę się dostać.

–To mi się nie podoba – mruknął Tamman. Brashan podniósł się i ruszył w stronę szybu transportowego.

–Lepiej dowiedzmy się, co się dzieje, i...

–Zostały trzy minuty – przerwał Narhaninowi spokojny kobiecy głos. – Trzy minuty do startu pasożyta. Zajac stanowiska.

Sean odwrócił się w stronę konsoli. Zajac stanowiska? Nie można wystrzelić pasożyta w nadprzestrzeni, nie niszczyć jednocześnie pasożyta i statku-matki – każdy głupi o tym wiedział – ale mimo to wskaźniki zaczęły ożywać i rozpoczęło się odliczanie.

–O mój Boże! – wyszeptała Harriet. Sean znow spróbował dobić się do konsoli przez łącze neuralne, ale komputer ponownie odmówił mu dostępu.

–Komputer! Awaryjne przejście na sterowanie głosowe! Przerwać sekwencje startowa!

Ale nic sie nie dzialo.

–Szyb zostal zamkniety – dobiegl go pelen napiecia glos Brashana.

–Jezu Chryste! – Po wylaczeniu szybu dotarcie do najblizszego wlazu zajmie im co najmniej piec minut.

–Zostaly dwie minuty – zauwazyl komputer. – Dwie minuty do startu pasozyta. Zajac stanowiska.

–Co robimy, Seanie? – spytal Tamman.

–Zajac stanowiska! Sprobujmy dostac sie do systemu i wylaczyc to cholerstwo, w przeciwnym razie ten pieprzniety komputer wszystkich nas zabije!

Komandor porucznik Yu pelnila wachte od dwoch godzin. Jak w czasie wiekszosci wacht w nadprzestrzeni, bylo cholernie nudno i kobieta obserwowala poruszajace sie powoli rzezby swietlne, dlatego dopiero po kilku sekundach zauwazyla dziwne odczyty z luku numer czterdziesci jeden.

Natychmiast wyprostowala sie na fotelu, otwierajac szerzej oczy. W luku rozpoczynal sie cykl startowy!

Komandor porucznik Yu byla doswiadczonym oficerem, ale mimo to zbladla, kiedy uswiadomila sobie, jakie skutki bedzie mialo przerwanie pola napedu w nadprzestrzeni. Jednak nie spanikowala i od razu wyslala w siec glownego komputera komende przerwania. Komputer ja przyjal, lecz odliczanie w luku nadal trwalo!

Podpiela lacze do systemu zapasowego i sprobowala recznie przejac kontrole, jednak odliczanie nadal sie odbywalo. Twarz kobiety zrobila sie blada jak sciana, gdy zaczela uruchamiac systemy awaryjne i okazalo sie, ze nic nie dziala.

Czas uciekal bardzo szybko, wiec zrobila ostatnia mozliwa rzecz: nakazala calkowite awaryjne wylaczenie komputera.

Ale glowny komputer ja zignorowal, a potem bylo juz za pozno.

Imperialna Terra wyszla z nadprzestrzeni bez zadnego ostrzezenia. Normalnie statek pozostawal w nadprzestrzeni tak dlugo, jak dlugo nie dotarl do zaprogramowanych koordynato w, a tymczasem Terra doleciala do punktu, który

sama sobie wybrała pod naciskiem rozkazów o priorytecie alfa.

Wylonila sie w przestrzeni o ponad rok swietlny od najblizej gwiazdy, i w tym momencie okret wojenny Izrael wyrwal sie z luku na pelnym napędzie awaryjnym. Pole jego napędu przerywalo grube stalowe grodzie i rozrywalo wlazy wielkosci pokladu lotniskowca – okret wazyl ponad sto dwadziescia tysiecy ton – a gdy rozszarpalo szyb dostepowy, alarmy Imperialnej Terry zawyly.

Wcisniety w fotel Sean MacIntyre sapnal z przerazenia. Okret wojenny wypadl z rany w boku statku-matki z predkoscia rowna dwudziestu procentom predkosci swiatla i nadal przyspieszal.

Chlopak wpatrywyl sie w wyswietlacz holograficzny, ktory ozyl, zbyt zaskoczony i przerazony, by pojac, co sie dzieje. Powinni juz nie zyc, a jednak zyja. Wyswietlacz powinien pokazywac jedynie szare wiry nadprzestrzeni, a tymczasem jest usiany diamentowymi okruchami gwiazd na aksamitnym tle normalnej przestrzeni, zas Imperialna Terra znika za rufa.

Glowny komputer patrzyl, jak Izrael bezpiecznie sie oddala i w ten sposob realizuje jeden zestaw rozkazow o priorytecie alfa. Teraz moze przejsc do innych rozkazow.

Harriet krzyknela z przerazenia, a Sean skulil sie, gdy doplyw mocy Imperialnej Terry wybuchl i osiemdziesiat tysiecy ludzi zginelo w jaskrawym rozblysku.

Rozdzial 9

Baronowa Nergal lezala na sofie z glowa wiceadmirała Floty Olivera Weinsteina na kolanach i wrzucala mu do ust winogrona.

–Wiesz, ze bedziesz musial na nie zapracowac, prawda? – zamruczala.

–Wcale nie mysle o tym w ten sposob – odpowiedzial ze smiechem.

–Nie? To powiedz mi, prosze, jak o tym myslisz.

–Ja widze to tak, ze nic nie musze robic. Najpierw moja przelozona zaprasza mnie na zakrapiana kolacje, rozpieszcza mnie i zmiekcza, zeby moc mnie wykorzystac, a pozniej...

–A pozniej? – Dala mu kuksanca, gdy przerwal z usmiechem.

–A pozniej mnie wykorzystuje.

–Jestes... – przyjrzała sie uwaznie pozostalym winogronom – zaslugujacym na pogarde osobnikiem, ktory jest pozbawiony kregoslupa moralnego. – Przytaknal, a ona ze smutkiem pokrecila glowa. – Ja z kolei jako cnotliwa i prawa osoba jestem tak wstrzasnieta glebia twojej dekadencji, ze sadze... – przerwala, aby znalezc idealnie okragly owoc – iz wepchne ci to winogrono w lewa dziurke od nosa!

Admiral Weinstein probowal sie poderwac, lecz admiral Robbins byla blyskotliwym taktykiem i natychmiast zepchnela go na podloge, gdzie rozgniotla narzedzie kary na czubku jego nosa. Wszystko szlo w jak najlepszym kierunku, gdy nagle rozlegl sie natarczywy dzwiek.

Adrienne przerwala igraszki i gwaltownie uniosla glowe, a gdy sygnal priorytetowego polaczenia powtorzyl sie, zerwala sie na rowne nogi. Weinstein usiadl i zaczal cos mowic, ale zamarl, kiedy znow rozlegl sie ten sam sygnal.

Adrienne szybko narzucila na siebie szlafrok i odpowiedziala na wezwanie wlaczeniem implantu. Hologram ukazywal Geralda Hatchera – siedzial w punkcie dowodzenia alfa Matki, a jego twarz byla ponura.

–Przepraszam, ze ci przeszkadzam, Adrienne – powiedzial glosem bez wyrazu, a wtedy przerazenie kobiety jeszcze wzroslo – ale mozemy miec powazny problem. – Odetchnal i spojrzal jej prosto w oczy. – Raport Algysa McNeala z Thegran spoznia sie o trzy godziny.

Robbins zbladla, a Hatcher mowil dalej tym samym beznamietnym tonem.

–Dwa razy sprawdzalismy z Urahan. Weszli w nadprzestrzen zgodnie z planem i powinni byli dotrzec do Thegran przed piecioma godzinami.

Adrienne powoli pokiwala glowa. W obliczu zagrozenia bronia biologiczna wielu gubernatorow Czwartego Cesarstwa stworzylo systemy obronne, i chociaz nikt jeszcze nie mial z nimi do czynienia, kazdy statek badawczy mial obowiazek nawiazac kontakt przez hiperkom w ciagu dwoch godzin od przybycia do niezbadanego jeszcze systemu.

–To moze byc awaria hiperkomu – zauwazyla, choc sama w to nie wierzyła.

–Wszystko jest mozliwe – odparl beznamietnie Hatcher. Hiperkom byl bardzo skomplikowanym urzadzeniem, lecz jego projekt udoskonalano przez ponad szesc tysiacleci i awarie zdarzaly sie raz na cztery czy piec stuleci, z pewnoscia nie czesciej. Oboje o tym wiedzieli, dlatego wpatrywali sie w siebie z przerazeniem.

–O Jezuu, Ger – wyszeptala w koncu Adrienne.

–Wiem.

–Czy ich pole nadprzestrzenne było niezrównoważone, gdy opuścili Urahan?

–Nie wiem. Wyszli pasażerów i zaraz weszli w nadprzestrzeń, a żaden z ludzi od odbudowy nie miał powodu, by sprawdzać ich ślad. Wiemy tylko, że dotarli do granicy i weszli w nadprzestrzeń zgodnie z planem.

–O cholera. – Adrienne przeczesła włosy palcami. – Nie mogę uwierzyć, że trafili na coś, co mogło pokonać Terre, zwłaszcza pod dowództwem Algysa. To musi być awaria hiperkomu!

–To znaczy masz taką nadzieję – powiedział Hatcher, po czym przytknął oczy. – Ja też. Ale nadzieja nic nie zmienia, jeśli tak nie jest. – Adrienne pokiwała smutno głową, a on głęboko odetchnął. – Mobilizuje eskadry numer jeden do misji poszukiwawczej, z Herdanem jako okrętem flagowym. Pisziesz się na to?

–Oczywiście. – Zaczęła rozwiązywać szlafrok. Weinstein już czekał z jej mundurem w reku. Uśmiechnęła się do niego. – Będzie gotowa, zanim kuter dotrze tutaj.

–Dziękuję – powiedział cicho Hatcher. Adrienne przelknęła ślinę.

–Czy ty... – zaczęła, a on pokiwał głową z jeszcze bardziej ponurą miną.

–Zaraz ruszam do Palacu.

Piętnaście planetoid klasy Asgerd wyłoniło się z nadprzestrzeni dziesięć minut świetlnych od Thegran – gwiazdy klasy G4. Wyszły w szyku bojowym, z podniesionymi tarczami i taką ilością broni, że mogłyby zniszczyć cały układ. Wszystkie czujniki były ustawione na maksimum w poszukiwaniu sygnałów łodzi ratunkowych.

Ale nie było żadnych celów... ani żadnych sygnałów.

Adrienne Robbins siedziała na mostku Cesarza Herdana, wpatrując się w wyświetlacz. Thegran II, niegdyś znany jako Triam, był kulą z górej skały i pozbawioną życia ziemi, otoczona pierścieniem satelitów i wraków równie martwych jak cała planeta.

Tłumila łzy. Nie znaleźli żadnych śladów Imperialnej Terry ani niczego, co mogłyby ją zniszczyć. A jeśli statek nadprzestrzenny nie dociera do celu, to znaczy, że w ogóle nie wyszedł z nadprzestrzeni. Odetchnęła głęboko i przetarła ze złością piekące oczy, zanim spojrzała na pobladłego oficera komunikacyjnego.

–Proszę ustawić hiperkom, komandorze – powiedziała głosem pozbawionym

wszelkich emocji.

–Tak mi przykro, Colinie – powiedział cicho Gerald. – Boże, tak mi przykro.

Colin próbował nie płakać, gdy Jiltanith ze szlochaniem przywarła twarzą do jego ramienia. Hatcher wyciągnął do nich rękę – jego dłoń zawisła przez chwilę w powietrzu – po czym popatrzył na nią jak na wroga i opuścił ją na kolana.

–Miałem nadzieję, że Adrienne coś znajdzie albo że sami wroczą, jeśli rzeczywiście popsuł im się hiperkom, ale... – Przerwał i zacisnął szczęki. – To moja wina. Nie powinienem był im wszystkim pozwolić na rejs na jednym statku.

–Nie. – Głos Colina drżał. – To... był nasz pomysł, Ger. Nasz. – Zamknął oczy i poczuł płynące po policzku łzy.

–Ale ja powinienem był się sprzeciwić. Boże, jak mogłem być taki głupi! Oni oboje i Sandy, i Tam...

Oskarżanie samego siebie raniło jego przyjaciół, lecz Gerald wiedział, że nigdy sobie nie wybaczy. Nigdy. Terra wydawała się taka potężna, taka bezpieczna... i dlatego pozwolił nie tylko obojgu dziedzicom tronu, ale także dzieciom wszystkich najbliższych przyjaciół polecieć na jednym statku, nie myśleć o tym, że nawet najpotężniejsze statki kosmiczne miewają awarie i giną. Oczywiście było to mało prawdopodobne, ale przecież jego praca polegała na przewidywaniu tego, co nieprawdopodobne.

–Czy powiedziales już pozostałym? – spytał Colin.

–Nie, ja... Coz, ty i Tanni musieliście wiedzieć pierwsi, a...

–Rozumiem – przerwał mu Colin, przytulając łkającą Jiltanith. – To nie twoja wina, Ger. Nie chce tego więcej słyszeć. – Patrząc admiralowi w oczy tak długo, aż ten lekko skłaniał głowę, a wtedy odetchnął głęboko.

–Tanni? – spytał łagodnie. Jiltanith podniosła twarz.

Wpatrywała się w niego w niemym cierpieniu i Colin przypomniał sobie ostatnią potyczkę pod Zeta Trianguli, gdy ich statek drżał i podskakiwał pod ciosami achuultanskich glowic, a Krolewskie Birhat Tammana na ich oczach wyparowało. Wtedy też płakała nad przyjaciółmi, lecz mimo łez jej rozkazy były stanowcze i spokojne, a ona sama wykazywała się odwagą, która tak bardzo w niej kochał. Teraz ta odwaga została w końcu złamana.

Jej lzy ranily jego serce, gdyz az za dobrze ja rozumial – zbyt czesto byla raniona w niekonczacej sie wojnie z Anu, bo mimo ognistego temperamentu i pancerza wojownika wykutego przez lata walki i strate przyjaciol wciaz byla w niej lagodnosc, choc miala problemy z jej okazywaniem, a kiedy kochala, kochala cala soba.

**–Musimy isc, Tanni. – W jej oczach pojawila sie wscieklosc. – Musimy – powtorzyl.
– To nasi przyjaciele.**

Odetchnela krotko, ze zloscia, po czym przymknela oczy, pokiwala glowa i pocalowala go w nadgarstek. Jej oczy nadal byly pelne cierpienia, gdy znow je otworzyla, lecz bylo w nich tez zrozumienie. Zrozumienie, ze musi zyc dalej, nie tylko dlatego, ze przyjaciele jej potrzebuja, ale takze dlatego, by nie dac sie pochlonac bezdennej rozpaczcy.

–Ano – wyszeptala i spojrzala na Hatchera. – Wybacz mi, cny Geraldzie. – Wyciagnela drzaca dlon. – Smutek twój znam, moj slodki przyjacielu. Ziem zrobila, swoj smutek na twój dokladajac.

–Tanni, ja... – W glosie Hatchera pojawilo sie lkanie.

–Nie, Geraldzie. – Lekko go uscisnela. – Twa wina jest nie bardziej nizli moja. I Colin racje ma. Przyjaciele nasi najdrozsi potrzebuja pomocy naszej... jako i my ich. – Usmiechnela sie smutno i wstala. – Chodźmy do nich wiec.

Krzeslo zaskrzypialo, gdy siedzacy na nim mezczyzna zakonczyl raport i odwrocil sie w strone okna. Imperium bylo w zalobie i nawet najbardziej zagorzali przeciwnicy Korony ucichli, przytloczeni smutkiem calej ludzkiej rasy. Wszystkie flagi ludzkosci zostaly opuszczone do polowy masztu. Dziedzice zgineli, a razem z nimi dzieci najblizszych przyjaciol cesarskiej rodziny. Lecz w sercu mezczyzny nie bylo smutku. Rozpacz i poczucie straty oslabia ich, uczynia ich mniej czujnymi, stepia szybkośc ich reakcji.

Podniosl sie i podszedl do okna. Splatajac rece za plecami, spojrzal na tlumy ponizej, a potem na Obelisk. Kiedys nienawidzil tych wszystkich wypisanych na nim nazwisk, gdyz to byli ludzie, ktorzy obalili jego patrona, ale teraz juz nie czul do nich niecheci, gdyz doprowadzajac do upadku Anu, otworzyli mu droge do wladzy. Czul mrowienie w dloniach, jakby juz chcial wyciagnac rece i ja pochwycic.

Analizowal stan swoich przygotowan. Glowica grawitoniczna byla niemal gotowa, podobnie jak plan dostarczenia jej na miejsce, kiedy nadejdzie czas. To nie bedzie proste, ale dzieki swojej wiedzy i hologramom szkicow artysty bedzie mial mnostwo czasu na stworzenie kopii. Oczywiscie dostarczenie glowicy zbyt wczesnie nie mialoby sensu – Macocha musiala byc bliska uruchomienia, jesli zamach stanu mial

się powieść.

I powiedzie się. Był niczym pajak tkający sieci w samym sercu Imperium, niewidzialny, a jednak ukryty w doskonałym miejscu, by móc obserwować przeciwnika i zdusić w zarodku każdy jego ruch. Tak jak wtedy, gdy pojawiła się okazja zniszczenia Imperialnej Terry.

Przy odrobinie szczęścia śmierć dziedziców może nawet wbici klin między cesarską rodziną a Dahaką, gdyż to komputer zaprojektował Imperialną Terre, nadzorował jej budowę i zaproponował, aby dzieciaki znalazły się na jej pokładzie. Po śmierci Cruza i jego rodziny nikt nigdy się nie dowie, co się stało, a cierpiący rodzice – w końcu są tylko ludźmi – będą w duchu obwiniać Dahakę o śmierć swoich dzieci.

A później – może nie w tym roku, lecz wkrótce – Colin i Jiltanith MacIntyre również zginą od jednego morderczego ciosu, który pozbawi Imperium głowy... i nikt już nic na to nie poradzi. Zupełnie nic.

Zdusił cichy śmiech, radując się nadchodzącym zwycięstwem i ironią losu, który uczyni go legalnym spadkobiercą Colina. On, ziemski "degenerat", którym Kirinal i Anu gardzili, choć wykorzystywali go jako swoje narzędzie, osiągnie to, o czym Anu tylko marzył – całkowitą władzę, i to w zgodzie z prawem!

Słyszac cichy dźwięk, odwrócił się i na widok wchodzącego do biura Horusa na jego twarzy pojawił się łagodny wyraz współczucia. Spojrzenie starca było udreżone, lecz podobnie jak córka i zięć, zagłuszał ból pracy. Wypełniał starannie swoje obowiązki, nie wiedząc nawet, jak bardzo próżny to trud.

–Przepraszam, że ci przeszkadzam – powiedział Horus – ale zastanawiałem się, czy skończyłeś ten raport na temat centrum bioulepszeń w Kalkucie.

–Owszem. – Podszedł do biurka i podniósł z blatu woreczek z kostką danych.

–Dziękuję. – Starzec wziął woreczek i ruszył z powrotem w stronę swojego biura, ale zatrzymał się, słyszac za plecami chrząknięcie.

–Ja... Coż, po prostu chciałem powiedzieć, że bardzo mi przykro, Horusie. Jeśli mogę coś zrobić – cokolwiek – po prostu daj mi znać.

–Oczywiście. – Horus zmusił się do smutnego uśmiechu. – Dobrze wiedzieć, że przyjął to obchodzi – powiedział cicho.

–To nas naprawdę obchodzi, Horusie – odparł łagodnie Lawrence Jefferson. – Może nawet bardziej, niż ci się wydaje.

–Nie sadze, by nam sie udalo osiagnac cos wiecej, Harry – westchnal Sean z fotela kapitana. Potarl czolo, bezskutecznie probujac pozbyc sie bolu glowy wywolanego godzinami koncentracji na laczu neuralnym, po czym podniosl sie i przeciagnal.

–Obawiam sie, ze masz racje. – Jego siostra usiadla na fotelu astrogatora i zaczela bawic sie kosmykiem kruczoczarnych wlosow.

Sandy lezala jak trup na fotelu oficera taktycznego, lecz Sean wiedzial, ze ona zawsze w ten sposob koncentruje sie na biezacym zadaniu. Poza tym widzial, ze oddycha. Podpial lacze do jej sieci, lekko ja trafil i natychmiast dostal odpowiedz: wlasnie konczyla skrupulatne badanie systemu komputerowego. Potem poslal wiadomosc do Tammana i Brashana, ktorzy badali dzial inzynierii, wzywajac ich na konferencje.

Splotl rece za plecami i wbil wzrok w wyswietlacz, a tymczasem Harriet podniosla sie i zrobila kilka cwiczen rozciagajacych. Izrael dryfowal w przestrzeni miedzygwiazdnej i jego miniaturowa zaloga sprawdzala wszystkie systemy statku. Nim cokolwiek zrobia, musza byc pewni, ze nie czekaja na nich dalsze pulapki. Dopiero wtedy beda mogli zdecydowac, co robic, choc migoczace na wyswietlaczu gwiazdy nie dawaly im zbyt wielu mozliwosci dzialania.

Podniosl wzrok, gdy Tamman i Brashan weszli na poklad dowodzenia. Tamman wciaz byl blady i napiety, ale Brashan sprawial wrazenie niemal spokojnego. Moglo to byc wynikiem legendarnego narhanskiego braku wyobrazni, chociaz Sean osobiscie uwazal to raczej za pragmatyzm. Narhanie bardziej przejmowali sie technicznymi szczegolami problemu niz jego implikacjami, a on sie z tego cieszył. Rozsadek Brashana byl im teraz bardzo potrzebny, gdyz zgodnie z najmodniejszym powiedzonkiem z Akademii, tkwili az po brwi w gownie.

Tamman siadl obok Sandy na fotelu zastepcy oficera taktycznego, zas Brashan wystukal kod rekonfiguracji na fotelu zastepcy dowodcy i fotel zaraz przekształcił sie w narhanska mate. Brashan opadl na nia w chwili, gdy Sandy ocknela sie i usiadla ze slabym uśmiechem, ktory ledwie przypominal jej dawna pogode ducha. Sean takze odpowiedzial jej uśmiechem.

–Dobra. Wiem, ze sprawdzanie systemow jeszcze sie nie skonczylo, ale chyba pora porownac notatki.

Ulzylo mu, kiedy zgodnie pokiwali glowami. Jego wladza opierala sie jedynie na statusie z Akademii – byl najwyzszy ranga i zajmowal pierwsze miejsce w ich grupie, choc od Tammana, najnizszego ranga oficera, dzielilo go tylko piec punktow, a od Sandy zaledwie cwierc punktu, co uzyskal dzieki lepszym ocenom z taktyki i wychowania fizycznego, gdyz ona bila go na glowe z matematyki i fizyki.

–Postaralismy sie razem z Harry dowiedziec, gdzie jestesmy, ale nie mozemy tego ocenic tak precyzyjnie, jak bysmy chcieli. To znaczy wiemy, gdzie jestesmy, ale nie mamy pojecia, jak wyglada okolica. Harry? – I oddal glos siostrze.

–Przede wszystkim jestesmy daleko od miejsca, w ktorym powinnismy sie znajdowac. Dane Izraela sa ograniczone – zazwyczaj jednostki podswietlne nie potrzebuja wielu informacji do podrozy miedzygwiezdnych – ale mamy zaladowane stare podstawowe mapy Czwartego Cesarstwa. Biorac pod uwage te mapy i czterdziesti tysiecy lat poruszen gwiazd wzgledem siebie, sadzimy, ze jestesmy w samym srodku sektora Tarik.

–Sektora Tarik? – Tamman wydawal sie miec watpliwosci i Sean wcale mu sie nie dziwil.

–Wlasnie. – Glos Harriet brzmial spokojnie, choc Sean wiedzial, ze ona sama wcale nie jest spokojna. – Cokolwiek sie wydarzylo, sprowadzilo Terre z zaprogramowanego kursu i statek znalazl sie na pozycji okreslonej przez deklinacje siedemdziesiat dwa stopnie na polnoc i rektascencje piecdziesiat stopni na zachod od Urahan, a do tego wyszlismy z nadprzestrzeni o trzy dni za wczesnie. Obecnie jestesmy piec przecinek czterysta szescdziesiat siedem stuleci swietlnych od Birhat, i o ile mozemy to razem z Seanem ocenic, w miejscu, gdzie nikt by sie nas nie spodziewal.

Sean widzial, jak reszta zaczyna pojmovac implikacje tego faktu. Od samego poczatku wiedzieli, ze okret wojenny jest mala igla w galaktycznym stogu siana – ale teraz wiedzieli tez, ze nikt nie ma bladego pojecia, gdzie ich szukac. Harriet dala im kilka chwil, aby sie nad tym zastanowili, a potem mowila dalej jeszcze bardziej beznamietnym tonem.

–Niestety do bazy danych Izraela zaladowano informacje dotyczace sektora Idan, bo wlasnie tam mielismy sie udac. Wiemy, gdzie jestesmy wzgledem Bia, ale nie mamy zadnych danych na temat sektora Tarik, wiec nie mamy pojecia, co tutaj bylo czterdziesti tysiecy lat temu, nie wspominajac juz o chwili obecnej. Nikt z dzialu badan nie dotarl tak daleko i pewnie nie dotrze przez najblizszych piecdziesiat lat. A to oznacza, ze nie mamy zadnych informacji, na podstawie ktorych moglibysmy zdecydowac, dokad teraz powinnismy sie udac.

Odwrocila sie do brata i skinela mu glowa.

–Dzieki, Harry. – Sean spojrzal na pozostalych i wzruszyl ramionami. – Jak widzicie, nie mamy zbyt wielu informacji na temat potencjalnych celow, ale tez nie mamy zbyt wielkiego wyboru. – Podpial lacze neuralne do wyswietlacza i jedna z gwiazd zostala otoczona czerwonym kolkiem.

–To – powiedział – jest gwiazda klasy F5, oddalona o około jeden przecinek trzy dziesiąte roku świetlnego. Nie wiemy, która to gwiazda, więc nie możemy stwierdzić, czy przed atakiem broni biologicznej miała jakieś zamieszkałe planety, ale następnym najbliższym prawdopodobnie zamieszkanym światem jest ta gwiazda klasy G6 – tu pojawiło się kolejne kolko – oddalona o ponad jedenaste lat świetlnych. Dotarcie do każdej z nich z największą możliwą prędkością podświetlna zajmie nam trochę czasu, ale powrót na Bia trwałby jakieś dziewięćset lat – zakładając, że systemy Izraela by to wytrzymały. Droga do gwiazdy F5 zajmie nam niecałe dwa przecinek dwa roku. Przy prędkości równej sześciu dziesiątym prędkości światła czas subiektywny będzie wynosił około dwudziestu dwóch miesięcy. To długo, a my mamy tylko dwa stanowiska uspienia, dlatego będziemy musieli przez cały ten czas znosić siebie nawzajem, ale chyba nie mamy wyboru. Są jakieś uwagi?

–Ja mam jedną – powiedział Brashan i Sean zachęcił go do mówienia skinieniem głowy. – Doszedłem do wniosku, że biorąc pod uwagę tak długi czas podróży, być może dobrze, że my, Narhanie, wciąż myślimy o sobie jako istotach jednopłciowych.

Pozostali przez chwilę wpatrywali się w niego w milczeniu, a potem wszyscy zaczęli się śmiać, choć Harriet nieco się zarumieniła. W końcu Sean stłumił śmiech i spojrzał surowo na Narhanina.

–Wbrew temu, co wy, biedni, zacofani obcy myślicie, nie wszyscy ludzie są niewolnikami hormonów, Brashanie.

–Naprawdę? – Brashan przechylił głowę i unosił grzebień w geście niedowierzania. – Nigdy nie podważałbym twojej prawdziwości, Seanie, lecz muszę powiedzieć, że moje obserwacje ludzkiego zachowania genetycznego podważają twoje tezy. Choć my, Narhanie, jesteśmy różni od ludzi, jak wiesz, poświęciliśmy rozważaniom nad seksem wiele lat i...

–No dobrze, Brashanie Brashieelnahr! – Sandy rzuciła w centauroida butem. Szczęśliwie dla niej podniosła się i chwyciła go w locie, po czym Brashan wydal z siebie bulgoczący odgłos, który zawsze przypominał Seanowi zapchaną rurę, której nie można odetkać.

Nie podnosząc się, rozesmiany Narhanin oddał Sandy but i pochylił głowę w eleganckim ukłonie. Jak większość klonowanych dzieci Narhan, Brashan spędzał wiele czasu z ludźmi, a ponieważ był wyjątkowo bystrym obserwatorem, rozumiał, że ludzie muszą się śmiać, żeby nie płakać. I że jego żarty mogą pomóc ludzkim przyjaciółom zmierzyć się z bardzo trudnym dla nich tematem.

–Czy możemy przejść do mniej frywolnych spraw? – spytał Sean, i kiedy wszyscy odwrócili się do niego, z przyjemnością zauważył, że są o wiele bardziej rozluźnieni.

–Dziękuję. Zaplanowaliśmy już z Harry nasz kurs, lecz nim wyruszymy, chcę wiedzieć, czy możemy polegać na naszych systemach. – Pokiwali poważnie głowami, a on odwrócił się do Tammana. – Jak wygląda dział inżynierii?

–Brash i ja nie zdążyliśmy jeszcze przeprowadzić pełnej inspekcji, ale na razie wszystko wygląda na gotowe w stu procentach. Tak czy inaczej, reaktor ma nominalną moc, a pole przechwytyjące światło jest na zielono. Kiedy osiągniemy prędkość ponad trzech dziesiątych prędkości światła, będziemy pochłaniali więcej wodoru, niż spalamy. A napęd mimo gwałtownego startu wygląda świetnie.

–A podtrzymywanie życia?

–Sprawdziliśmy wszystko na samym początku. Z reaktorem nie ma żadnych problemów, ale możemy mieć kłopoty z żywnością. – Sean unosił brew i Tamman wzruszył ramionami. – W całej załodze Terry było tylko pięciu Narhan, Seanie. Nie miałem czasu sprawdzić zapisów działu logistyki, ale może nam brakować suplementów.

–Aha. – Brashan mógł mieć jeszcze wszystko to, co jego przyjaciele, ale ze względu na jego metabolizm brakowało mu w ludzkim jedzeniu pewnych niezbędnych składników.

–Nie martwcie się – powiedziała Sandy z nieprzytomnym spojrzeniem osoby podpiętej do komputera. – Dział logistyki pokazuje, że mamy mnóstwo narhanskich suplementów i szesc czy siedem razy więcej zapasów niż zwykle, i to we wszystkich kategoriach, a sekcja hydroponiczna jest zapakowana na maksimum. Co – skrzywiła się – wcale mnie nie dziwi.

–Nie? – Sean ucieszył się, że zjedzeniem nie będzie żadnych problemów, ale ostatnie słowa Sandy wymagały wyjaśnienia.

–Kiedy sprawdzałam sieć taktyczną, odkryłam, dlaczego nie mogliśmy się połączyć z wewnętrzną siecią komunikacyjną Terry. Byłabym bardzo zaskoczona, gdyby się okazało, że z systemami Izraela jest coś nie tak.

–Dlaczego?

–Ponieważ to... – objęła gestem mostek – jest łódź ratunkowa przygotowana dla naszej piątki. – Sean skrzywił się, a ona wzruszyła ramionami. – Nie jestem pewna, jaka była przyczyna zniszczenia Terry, ale wiem, dlaczego nic się nam nie stało. O ile się nie myle, mamy anioła stroza o imieniu...

–Dahak – dokończyła Harriet, a Sandy pokiwała głową.

–Zgadza się. Kiedy przeprowadzałam testy, znalazłam zmianę w podstawowym oprogramowaniu. Znikła natychmiast, gdy zaczęłam ją badać, ale dlatego, że tak

wlasnie miało się stac. Zanim Terra wybuchła, sciagnęła tutaj nasza piątka i nakazała komputerom Izraela ignorować nas aż do czasu zakończenia procedury startowej.

–Ale dlaczego? – chciał wiedzieć Tamman.

–Dlaczego co? – spytała Harriet. – Dlaczego Terra wybuchła? Czy dlaczego najpierw nas wypchnęła?

–I to, i to. – Dziewczyna wzruszyła ramionami.

–Mogę tylko się domyslać odpowiedzi na oba te pytania, ale słowa Sandy wskazują, że moje przypuszczenia są właściwe.

Spojrzała na Seana, a on skinieniem głowy zachęcił ją do mówienia.

–Dobra. To oczywiste, że ktoś dopuścił się sabotażu na pokładzie Terry. Planetoidy nie zmieniają ot tak sobie swojego kursu, nie wychodzą przedwcześnie z nadprzestrzeni ani później nie rozwalają swojego dopływu mocy. Jak sadzę, każde z tych wydarzeń z osobna mogłoby być wynikiem awarii, ale wszystkie na raz? – Pokręciła głową. – Ktoś dostał się do podstawowego oprogramowania statku i najprawdopodobniej to my byliśmy celem sabotażu.

–My? Sadzisz, że ktoś wysadził Terre tylko po to, żeby nas dopaść? – Tammanowi ta myśl najwyraźniej się nie podobała, tak samo jak Seanowi.

–Harry ma racje – wtraciła się Sandy. – To jedyna odpowiedź, która ma sens. Choc – dodała z namysłem – wątpię, by chodziło im o nas wszystkich. Najpewniej chcieli dorwać Seana i Harry.

–Cholera – jęknął Tamman. Podrapał się po czole, skrzywił, po czym westchnął. – Tak, to ma sens. Ale, Jezus, jeśli te swiry – kimkolwiek są – mogły zrobić coś takiego, kto wie, co jeszcze mogą wymyślić? Nikt w domu na pewno nie wie, co się stało.

–Obawiam się, że Tam ma racje – mruknął Brashan, a Sean wzruszył ramionami.

–Ja też tak sadzę, ale nic na to teraz nie poradzimy. Nie mamy hiperkomu i nie możemy go zbudować. – Hiperkom wazył pięć razy więcej niż cały kadłub Izraela i nie mogli wyprodukować potrzebnych elementów z zapasów statku. – Możemy tylko mieć nadzieję, że układ, w którego stronę się kierujemy, był niegdys zamieszkały. Jeśli był, może uda nam się znaleźć orbitalną stocznice, uruchomić ją i zbudować hiperkom.

Cała piątka zadrzała na te myśli. Przy pięciu parach rak gigantyczne zadanie reaktywowania tylko jednego ze zautomatyzowanych centów wytwórczych Czwartego Cesarstwa, choć nie było niemożliwe, musiałoby zająć całe lata. Z drugiej

jednak strony, pomyslał z gorycza Sean, i tak nie mieli nic innego do roboty.

–Ale wracając do tego, co się stało – mówiła dalej Harriet – Terra miała ulec zniszczeniu, i to tak, aby nie było żadnych dowodów. Dlatego właśnie skierowała się w nadprzestrzeń – założyła się, że to był jej pomysł – żeby nie pozostawić żadnych śladów w zwyczajnej przestrzeni. Ja też bym tak zrobiła.

–Ja również – zgodził się Sean. – Ale dlaczego nie wykonała rozkazów?

–Dahak – odpowiedziała bez wahania Harriet. – Wiesz, jak się o nas troszczy. Ktokolwiek dokonał sabotażu, musiał wejść w oprogramowanie o priorytecie alfa, a to oznacza, że czynnik, który nie pozwolił nas zabić, też miał priorytet alfa. A kto martwi się o nas i jednocześnie może wejść do każdego dowolnego komputera?

–Dahak. – Tym razem odpowiedział Sean.

–Zgadza się. Pewnie nigdy się tego nie dowiemy, ale założyła się, że ci, którzy wymyślili ten sabotaż, nie kazali zabijać załogi Terry. Boże – Harriet odwróciła się do Sandy i przewróciła oczami – czy możesz sobie wyobrazić, co by się działo, gdyby spróbowali? Musieliby się przebić przez tyle zabezpieczeń o poziomie alfa chroniących życie załogi, że główny komputer usmazyłby się na grzance!

Splotła ręce na piersi i wydeła wargi.

–Ktokolwiek to zrobił, był bystry – powiedziała ponuro. – Bardzo bystry. Nawet prosty rozkaz samozniszczenia wymagał obejścia... dziewięciu zakazów? Dziesięciu?

–Cos w tym stylu. – Sandy skrzywiła się, licząc w myślach. – Co najmniej. Mnie by się nie udało, nawet gdybym miała na to parę lat. To musiał być ktoś zajmujący bardzo wysoką pozycję w Biurze Statków.

–To oczywiste – stwierdził Tamman. Sandy spojrzała na niego ze zdziwieniem, a on wzruszył ramionami. – To nieważne, jak bardzo był sprytny, Sandy. Musiał mieć dostęp do Biura i oprogramowania.

–Pewnie. No coż – nieprzyjemny uśmiech Sandy przypominał Seanowi jej matkę – kiedy tylko uda nam się nawiązać kontakt z Bia, mama szybko zawięzi krąg podejrzanych. To nie może być więcej niż dwudziestu czy trzydziestu ludzi. A może nawet tylko dziesięciu albo piętnastu.

–Mamy więc rozkaz wysadzenia statku i ukrycia dowodów – myślał na głos Sean – ale nie rozkaz zabicia załogi.

–Tak. – odpowiedziała Harriet – Zjemy tylko dlatego, że Dahak umieścił w głównym komputerze Terry swoje własne rozkazy o priorytecie alfa i kazał mieć nas na oku.

Cala nasza piatke. Mama i tata pewnie by go zabili, gdyby wiedzieli, ale dzięki Bogu, że to zrobił. Terra nie mogła siebie wysadzić bez wcześniejszego wydostania nas na zewnątrz, bo wtedy sprzeciwiłaby się jego rozkazom, a ktokolwiek to wszystko wymyślił, nie miał pojęcia, że Dahak może to zrobić, więc nie mógł temu przeciwdziałać. To, kochani, jest jedyny powód, dla którego wyszliśmy z nadprzestrzeni i znaleźliśmy się w tym miejscu. Statek nie mógł ukryć dowodów w nadprzestrzeni, nie zabijając nas, ale mógł nas umieścić w takim miejscu, gdzie nikt nie będzie szukał!

–To ma sens – zgodził się Sean i zadrzał.

Wcale nie czuł się dobrze ze świadomością, że byli tak blisko śmierci, ale jeszcze gorzej było uzmysłowić sobie, że w próbie zamachu na życie jego i jego siostry zginęło osiemdziesiąt tysięcy ludzi. Nienawisc – albo co gorsza, zimna kalkulacja – kierująca takim czynem była przerażająca.

–Dobra. Jeśli właśnie tak się stało – a myślę, że Harry i Sandy mają rację – to nie powinniśmy natrafić w oprogramowaniu Izraela na kolejne programy z piekła rodem. Z drugiej strony podróż i tak będzie długa, więc może poświęcić kilka dni, żeby się upewnić. Nie będzie wam to przeszkadzało?

Troje ludzi pokreciło głowami, a Brashan stulił grzebień w równie dobitnym geście zaprzeczenia. Sean usmiechnął się krzywo.

–Ciesze się, że się zgadzacie. A tymczasem minęło sześć godzin, odkąd wszystko poszło w diabły, i nie wiem, jak wy, ale ja umieram z głodu.

Pozostali wydawali się wstrząśnięci tak przyziemną uwagą, ale ponieważ byli młodzi i mieli wilcze apetyty, szybko wyrazili zgodę.

–Kto będzie gotować?

–Każdy, byle nie ty – odpowiedział mu zgodny chor. Sean MacIntyre był jednym z niewielu osobników we wszechświecie, który potrafił przypalic nawet wodę.

–Dobra, panno madralinska, niniejszym czynię cię odpowiedzialną za kambuz.

–Mnie tam nie przeszkadza. Będzie lasagne i specjalna przystawka delikatnie doprawiona arsenikiem dla Brashana. – Spojrzała z lobuzerskim uśmiechem na młodocianego dowódcę Izraela. – I może uda nam się go przekonać, żeby się z toba podzielił, kapitanie Bligh – dodała słodko. Rozdział 11

Cesarz ludzkości otworzył oczy, słysząc smutne łkanie, i przez krótką chwilę, gdy był jeszcze na krawędzi świadomości, czuł jedynie gniew. Gniew, że został wyrwany ze swoich własnych udreconych snów, że musi znaleźć siłę, by stawić czoła

smutkowi drugiej osoby. I być może przede wszystkim dlatego, że lkanie było takie ciche, takie stłumione...

Przekrecił głowę. Jiltanith leżała zwinięta w kłębek po drugiej stronie łóżka i obejmowała mokra od łez poduszkę. Budzący się w nim gniew znikł, gdy pojął, że tak naprawdę jego wściekłość jest wynikiem bezradności. Nie może uleczyć jej ran, nie może walczyć z jej zalem. Nie może nawet jej powiedzieć, że wszystko będzie dobrze, bo oboje zdawali sobie sprawę, że nie będzie. To nie była jego wina i wiedział o tym, lecz mimo to jego serce było tak samo udrecone cierpieniem jak serce ukochanej kobiety.

Przysunął się i wziął ją w ramiona, a ona skuliła się jeszcze bardziej, ukrywając twarz w poduszce. Jest zawstydzona, pomyślał, przeklina swoją "słabość". I znowu poczuł ukłucie irracjonalnego gniewu, że Jiltanith tak bardzo krzywdzi sama siebie. Lecz zdusił gniew, wyszeptał jej imię i pocałował we włosy. Jeszcze przez chwilę sciskała poduszkę, a później wszystkie mięśnie w jej ciele rozluźniły się i zaczęła rozpaczliwie płakać.

Głaskał jej drżące ramiona, pieścił ją i całował, pozwalając, by jego łzy również płynęły, lecz nie wypowiadał banalnych słów pocieszenia. Po prostu był obok niej, tulił ją i kochał. Chciał, żeby czuła, że nie jest sama. Wreszcie jej lkanie powoli – bolesnie powoli – ucichło i usnęła na jego piersi, on zaś wpatrywał się w mrok, przeżywając własną stratę i czując nienawiść do wszechświata, który tak bardzo ją skrzywdził.

Dahak po raz kolejny zamknął plik dotyczący napędu nadświetlnego Imperialnej Terry. Gdyby był istotą z krwi i kości, westchnąłby teraz ze zmęczenia, lecz on był istotą z obwodów molekularnych i pól siłowych i zmęczenie było mu obce. Dzięki obserwowaniu istot biologicznych pojął, co to jest zmęczenie, lecz nigdy go nie poczuł – w przeciwieństwie do smutku. Przez te miesiące, które minęły od śmierci bliźniat, rozumiał, co to znaczy czuć smutek.

To dziwne, pomyślała malutka część jego ogromnego intelektu, że nigdy wcześniej nie czuł się tak bezradny. Przez pięćdziesiąt tysięcy lat krążył po orbicie Ziemi, rozdarty między rozkazem zniszczenia Anu a zakazem użycia broni wobec zamieszkanego świata. Był wystarczająco potężny, by zniszczyć planetę, a mimo to bezsilny, ale doskonale potrafił zrozumieć przyczynę swojej bezsilności. Nigdy jednak nie czuł się tak bezradny jak teraz.

Sprawdził wszystkie aspekty projektu Imperialnej Terry razem z Baltanem, Władem i Geranem, szukając błędów, który skazał ją na zagładę, ale niczego nie znaleźli. Przeprowadzał symulacje za symulacją, odwzorowując każdą możliwą permutację

działania Imperialnej Terry i próbując wyodrebnic kombinacje czynników, która mogła zniszczyć statek, lecz nie pojawiła się żadna przekonująca hipoteza.

Postanowił, że nigdy nie powie Colinowi o rozkazie o priorytecie alfa, który wydał Imperialnej Terrze. Ujawnienie, że kolejne zabezpieczenie zawiodło, tylko by zraniło jego przyjaciół. Ani słowem nie potępili go za wybranie akurat tego statku – i wiedział, że tego nie zrobią – ale ta świadomość jeszcze bardziej go raniła.

Różnił się od swoich przyjaciół – potencjalnie był niesmiertelny, a oni mimo biozmocnień byli efemerycznymi istotami, i właśnie ta ulotność ich istnienia sprawiała, że byli dla niego jeszcze bardziej cenni. Wiedział, że niezbyt długo będzie mógł się cieszyć ich obecnością, a potem beda żyć tylko w jego pamięci, zapomniani przez wszechświat i swój własny gatunek, i dlatego właśnie tak bardzo pragnął się nimi opiekować.

Po raz pierwszy w swoim niewyobrażalnie długim istnieniu chciał krzyczeć z cierpienia i poczucia bezsilności, chciał złożyć na wszechświat, który bez powodu zabrał tych, których kochał.

–...i dlatego – powiedział cicho Wład Czernikow – musimy przyjąć, że Imperialna Terra zaginęła z nieznanych przyczyn. – Spojrzał ze smutkiem na siedzących wokół stołu konferencyjnego. – Głęboko żałuje – wszyscy żalujemy – że nie mamy lepszej odpowiedzi, lecz nasze wyczerpujące śledztwo nie pozwoliło ustalić przyczyn jej zniszczenia.

Colin pokiwał głową i uściśnął dłoń Jiltanith.

–Dziękuję, że próbowałeś, Wład. Dziękuję wam wszystkim. – Odetchnął głęboko i wyprostował się. – Jestem pewien, że mówię w imieniu nas wszystkich.

W odpowiedzi rozległy się potwierdzające mruknięcia. Widząc, jak Tsien Tao-ling obejmuje ramieniem Amande jej oczy były suche, lecz udreżone – Colin podziękował Bogu za jej pozostałe dzieci i Tsieną.

Potem spojrzał na ponurą i zamkniętą twarz Hectora i zagryzł wargę. Ninhursag także przyglądała mu się z niepokojem. Hector całkowicie wycofał się z życia i pograżył w pracy. Zupełnie jakby nie mógł – albo nie chciał – przyznać, że śmierć Sandy sprawiła mu ból, a dopóki tego nie zrobi, nie będzie mógł poradzić sobie z cierpieniem.

Colin zdusił cisnące mu się na usta przekleństwo. Oczywiście, że Hector nie może "poradzić sobie z cierpieniem" – i kogo to dziwi? Nawet najlepsi imperialni specjaliści od zdrowia psychicznego nie mogli mu pomóc. Jiltanith już rzadziej płakała i on sam

znajdował u niej pocieszenie, ale mimo to w jego sercu jatrzyła się nienawisc. Głęboka, gorzka wściekłość, która nie miała żadnego konkretnego celu. Wiedział, że to, co odczuwa, jest daremne, a nawet niszczyielskie, lecz nie mógł nad tym zapanować. Znowu stłumił wściekłość, modlił się, by jego terapeuta miał rację, że upływ czasu stępi jadowitą ostrość tego uczucia.

–Dobrze – powiedział. – W takim razie nie widzę powodu, by nie wznowić prac nad innymi jednostkami. Geraldzie, czy ty albo Tsien Tao-ling macie coś przeciwko temu?

–Nie – powiedział Hatcher, spojrzawszy wcześniej na marszałka gwiazdowego.

–W takim razie zabierajmy się do pracy. Czy musimy coś jeszcze omówić? – Zebrani potrzasnęli głowami. – No to do zobaczenia w czwartek.

Podniósł się, wciąż trzymając Jiltanith za rękę, a pozostali w milczeniu opuścili pomieszczenie.

Starszy admirał Floty Ninhursag MacMahan była wściekła sama na siebie. Niewielu domysliłoby się tego, patrząc na nią, lecz stulecie skrywania uczuć przed służbą bezpieczeństwa Anu sprawiło, że na jej twarzy widac było to, co kobieta chciała pokazać.

Usiadła za biurkiem i głęboko odetchnęła. Czas powrócić do świata żywych. Gus van Gelder i jego asystenci z wywiadu marynarki zastąpili ją w jej obowiązkach i robili to doskonale, ale to jej praca, i jeśli nie może jej wykonywać, nadszedł czas, żeby zwinąć się w kłębek i umrzeć. Czasami miała na to ochotę, lecz nawet w najgorszych chwilach rozsadek sztychował z tej melodramatycznej myśli.

Odrzuciła więc te pokusy raz na zawsze i poczuła, że wraca do życia. Nie było to łatwe i boleło, ale jednocześnie czuła się z tym dobrze. Nie tak jak kiedyś, ale było to o wiele lepsze niż otepiała obojętność, która zaważadła ją na tak długo. Podpięła łącze do komputera i wywołała pierwszy raport wywiadu.

Colin siedział na dywanie w bibliotece, wpatrywał się w ogień i drapał Galahada za uchem. Pies leżał obok niego z na wpol przymkniętymi oczyma, a jego potężny łeb spoczywał na udzie Colina. Dla obserwatora z zewnątrz to był klasyczny widok człowieka i jego psa, lecz Galahad z całą pewnością nie był zwykłym zwierzęciem domowym, mimo że on i jego rodzeństwo okazywali typowo psia wylewność, otwartość, niezaspokojoną ciekawość i potrzebę ludzkiego towarzystwa.

Galahad parsknal z zadowoleniem i przetoczył się na grzbiet, machając łapami w powietrzu, by zachęcić przyjaciela do podrapania go po brzuchu, a gdy Colin to zrobił, pies zaczął się krecić, mruczac z radości. Czworonożni członkowie cesarskiej rodziny zrobili więcej dla złagodzenia cierpienia jego i Tanni, niż ktokolwiek przypuszczał. Oni również odczuwali żal, gdyż bardzo kochali bliźnięta, lecz ich troska była zwyczajna, prosta, pozbawiona poczucia winy i podświadomej agresji, jaką odczuwali nawet najlepsi z ludzi w zetknięciu z wielką stratą.

–Podoba ci się, co? – spytał, a wielki pies westchnął.

–Oczywiście – odparł przez syntezytor mowy. – Szkoda, że nie mamy dłoni. Drapanie innych sprawiłoby mi wielką przyjemność.

–Ale nie tak wielką jak drapanie ciebie przez innych, co? – Galahad głośno kichnął i podniósł się do pozycji siedzącej.

–Być może. – Zaden z psów nigdy nie kłamał. Najwyraźniej była to ludzka umiejętność, której nie umieli – albo nie chcieli – opanować, lecz za to bardzo dobrze potrafili udzielać wymijających odpowiedzi.

–Sądzę, że ludzie mają na ciebie zły wpływ. Jesteś rozpieszczony.

–Nie, po prostu uczciwie mówię o rzeczach, które sprawiają mi przyjemność.

–Jasne.

Colin wyciągnął rękę w stronę masywnej piersi Galahada i zaczął go delikatnie głaskać. Tymczasem w drugiej części pokoju siostra Galahada, Gwynevere, bardzo uważnie obserwowała, jak Jiltanith przesuwa królową. Była jedynym psem, który polubił szachy – dla jej rodzeństwa była to zbyt intelektualna rozrywka – i trzeba przyznać, że coraz lepiej sobie radziła. Galahad i Gawain okazali się za to mistrzami gry w scrabble, a poza tym (co Colin odkrył z przerażeniem) Horus nauczył ich wszystkich grać w pokera – choć nikt, może z wyjątkiem Gaherisa, nie potrafił blefować.

Najzabawniejsze jest to, pomyślał Colin, że choć w życiu Jiltanith jest doskonałym strategiem, Gwynevere często z nią wygrywa. Tanni jest za bardzo niecierpliwa jak na grę, w której niezbyt szybko i nie bezpośrednio dochodzi się do celu.

–Przepraszam, Colinie – powiedział Dahak – lecz Ninhursag właśnie przybyła do Palacu.

–Jest tutaj? – Colin podniósł wzrok i napotkał równie zdziwione spojrzenie Jiltanith. Była już bardzo późna pora.

–Owszem. I wydaje się bardzo poruszona.

–Hursag jest poruszona? – Colin potrząsnął głową i podniósł się. – Powiedz jej, żeby zeszła tutaj, do biblioteki.

–Juz jest w drodze. Właściwie...

Drzwi do biblioteki otworzyły się gwałtownie. Admiral MacMahan wpadła do środka jak burza, a Colin dosłownie zatoczył się do tyłu. Ninhursag zazwyczaj była opanowana, lecz tego wieczoru była tytanem przepelnionym morderczą furia.

–Hursag? – spytał ostrożnie, gdy zatrzymała się tuż za drzwiami. Skinęła gwałtownie głową.

–Colinie. Jiltanith. Usiądźcie oboje. Muszę wam coś powiedzieć.

Colin popatrzył na żonę, zastanawiając się, co tak mogło zmienić Ninhursag, lecz Tanni spojrzała mu tylko w oczy i wzruszyła ramionami, po czym wskazała na krzesła przy kominku. Usiedli, wsłuchując się w trzaskanie ognia, zaś Galahad i jego rodzeństwo usadowili się po obu stronach. Wszystkie oczy, ludzkie i psie, obserwowały, jak Ninhursag zaciska dłonie i bez słowa krąży po pokoju. Kiedy wreszcie odwróciła się do nich, jej twarz była spokojniejsza, lecz był to tylko powierzchowny spokój, biorący się z profesjonalizmu i wewnętrznej dyscypliny.

–Przepraszam, że tak tutaj wparowałam, ale właśnie wpadłam na coś... ciekawego. Albo raczej właśnie potwierdziłam coś ciekawego.

Znow gwałtownie odetchnęła.

–Przez całe miesiące zaniedbywałam wywiad. Wiedziałeś o tym, Colinie, ale nigdy nie powiedziałeś mi ani jednego słowa. Przepraszam i już zaczynam brać się w garść. Wczoraj zaczęłam przeglądać sterty raportów, które zebrały się od... – Przerwała i wzruszyła ramionami. Colin pokiwał głową i wziął Jiltanith za rękę, zaś Ninhursag odchrząknęła.

–Tak czy inaczej, większość to zupełnie rutynowe raporty, lecz jeden z nich – raport o wypadku – zwrócił moją uwagę. Chodziło o datę. Zdarzyło się to dwa dni po tym, jak Imperialna Terra wyruszyła w stronę Urahan, i dotyczyło całej rodziny.

Jej twarz wykrzywił ból, lecz mówiła dalej.

–Byli cywilami i to był wypadek komunikacyjny, więc zastanawiałam się nawet, czemu raport trafił do wywiadu, aż przyjrzałam się uważniej. Mężczyzną był Vincente Cruz. Nie był wojskowym, ale... pracował dla Biura Statków.

Colin poczul drzenie dloni Jiltanith i zeszywnial. Zaczynal nabierac niejasnych podejrzen, lecz spojrzenie Ninhursag kazalo mu uwaznie dalej sluchac.

–No wiec kiedy przyjrzałam sie sprawie bardziej szczegolowo, zauwazyłam kilka rzeczy, ktore wydaly mi sie... podejrzone.

–Cruzowie mieszkali na Birhat, poniewaz on pracowal dla Biura Statkow, lecz zgineli na Ziemi. Sprawdzilam i okazalo sie, ze zazwyczaj spedzali urlop w Ameryce Polnocnej. Tym razem Cruz powrocil stamtad trzy miesiace wczesniej, a jego rodzina zostala na Ziemi u przyjaciol. Pozniej on wrocil, by zabrac ich do domu.

–Znow nie wiedzialam, czemu mnie to niepokoi, dlatego sprawdzalam dalej. Odkrylam, ze dwojka starszych dzieci Cruza uczyla sie na Birhat i ze ojciec poinformowal szkole o tym, iz pozostana na Ziemi, dopiero po powrocie, podczas gdy dwa lata wczesniej, kiedy odwiedzali rodzine w Meksyku, powiadomil nauczycieli o spoznieniu na ponad miesiac przed wyjazdem. Martwil sie, zeby nic nie stracily, przechodzac z jednego do drugiego systemu edukacyjnego.

–Wydawalo mi sie to dziwne, wiec sprawdzilam logi hiperkomow i trans-mat. Przez dziesiec tygodni, ktore spedzili na Ziemi, Cruz ani nie wyslal, ani nie otrzymal od rodziny jakiegokolwiek informacji przez hiperkom. Nie wykorzystal tez trans-mat, zeby ich odwiedzic. Przez dziesiec tygodni nie bylo miedzy nimi zadnej komunikacji, a przeciez mieli dziesieciomiesieczne dziecko.

W oczach Colina zaplonal ogien podobny do tego, ktory widzial w brazowych oczach Ninhursag. Admiral powoli pokiwala glowa.

–Raport z wypadku wyglada calkowicie uczciwie, nawet jesli dosc dziwnie. Lecieli z duza predkoscia – prawie szesciu machow – i czarna skrzynka zostala zniszczona, lecz odzyskano wysokosciomierz i okazalo sie, ze zawyzal odczyty o prawie dwiescie metrow. To tłumaczy, dlaczego uderzyli w gran. Kiedy zaczelam dyskretne wypytywac, okazalo sie, ze nikt nie wiedzial, kogo rodzina Cruz odwiedzala. Sprawdzilam transakcje dokonane kartami kredytowymi na Ziemi – poniewaz Cruz byl zatrudniony w Biurze Statkow, on i jego zona mieli karty Floty – i nie znalazlam ani jednej transakcji na nazwisko Eleny Cruz.

–Nie moze udowodnic, ze to nie byl wypadek, ale jest zbyt wiele zbiegow okolicznosci. Szczegolnie ze... – Ninhursag splotla rece za plecami, zaciskajac je mocno – Vincente Cruz byl zastepca szefa projektu oprogramowania Imperialnej Terry.

–Sukinsyn – wyszeptal Colin, a ona zimno pokiwala glowa.

–Nie sprawdzilam jeszcze logu jego pracy – to bedzie nastepny krok – ale juz jestem pewna, co tam znajde – zakonczyła, i tym razem Colin doskonale rozumial jej

Tym razem nastrój zebranych wokół stołu był zupełnie inny.

–W jego logu jest piętnastominutowa dziura – powiedziała Ninhursag – dokładnie w środku pracy nad podstawowym oprogramowaniem Terry. Niestety w tym samym logu jest też osiem innych dziur trwających od minuty do prawie godziny; znaleźliśmy także pojawiające się sporadycznie uszkodzenia jego terminala, które wydają się zupełnie normalne. – Jej mina pokazywała, co naprawdę o tym sądzi.

–Ale dlaczego? – spytał cicho Horus. – Nie kwestionuje twoich wniosków, Hursag, ale, na Stworze, dlaczego?!

–Nie będziemy wiedzieli dlaczego, dopóki się nie dowiemy, kto to zrobił. – Głos Ninhursag brzmiał szorstko. – Widzę tylko dwa motywy zniszczenia Imperialnej Terry: ze względu na to, czym była – naszym najpotężniejszym okrętem wojennym – albo ze względu na to, kto był na jej pokładzie.

–Sean i Harry – wychrypił Colin, a Ninhursag pokiwała głową.

–Ktokolwiek to przygotował, zaszedł bardzo daleko... i podjął ogromne ryzyko.

–Słodki Jezu – wyszeptała Jiltanith. – Pełne osiem dziesiątek tysięcy ludzi i dzieci przyjaciół naszych najdroższych, by zabić moje dzieciatka? – W jej czarnych oczach była nie tylko rozpacz, a kostki dłoni zbieleły na rekojesci sztyletu, z którym nigdy się nie rozstawiała.

–Bydlaki! – Rysik w dłoni Hectora MacMahana pekił. Mężczyzna spojrzał na polamane kawałki i powoli, bardzo starannie zmiądzzył je wzmocnionymi palcami.

–Zgadza się – głos Colina był lodowaty – ale pozostałe dzieci też mogły być celem ataku. Popatrzcie, jak to na nas wszystkich wpłynęło. Hursag jest zła na siebie, że się "opuszcza" w pracy, ale czy ktoś z nas poradził sobie lepiej? Kimkolwiek jest ten sukinyś, doskonale wiedział, co się będzie z nami działo!

–Muszę się zgodzić – stwierdził Tsien. Siedząca obok Amanda pokiwała głową; jej oczy plonęły. Mężczyzna dotknął leżacej na stole dłoni żony. – Jestem pewien, że domysły Hursag są prawdziwe. Ktokolwiek to zrobił, musiał mieć za sobą potężną organizację i dojścia na najwyższym szczeblu. Bez organizacji nie mogłoby nic dziać, a bez dojść nie wiedziałby, który statek zaatakować ani kogo można by do tego wykorzystać.

–Zgoda. – Głos Geralda Hatcher'a brzmiał jeszcze bardziej ponuro. – Musieli jednocześnie wybrać kogoś, kto byłby dobrym obiektem szantazu. Pewnie wzięli jego rodzinę za zakładników, żeby tanczył tak, jak mu zagrają, a później wszystkich zabili,

zeby zatrzec slady.

–Jest jeszcze jedna wskazowka. – Glos Adrienne Robbins byl lodowaty. Algys McNeal byl jej przyjacielem, a na pokladzie Imperialnej Terry byla jeszcze dwudziestka jej kadetow. – Cruz nie probowal nawet szukac pomocy, wiec moze zdawal sobie sprawe, ze maja wystarczajace dojścia, by sie dowiedziec, gdyby porozmawial z ktoryms z ludzi Hursag.

W sali zapadla cisza. Colin pokiwal glowa.

–Dobra. Gdzies tam jest ktos tak bezwzglydny, ze zamordowal cala rodzine i osiemdziesiat tysiecy naszych ludzi, a ja chce dorwac tego sukinsyna. Jak go dopadniemy?

–Trzeba odkurzyć wykrywacze klamstw i wszystkich przez nie przepuscic. Wszystkich bez wyjatku – wychrypial MacMahan.

–Nie mozemy – odparl Horus i wszyscy spojrzeli na niego ze zdziwieniem. Starzec wzruszyl ramionami. – Jesli mamy racje, ze ci goscie tak gleboko nas spenetrowali, od razu sie o tym dowiedza. Jesli sa naszymi ludzmi, to wszystko w porzadku, moga jedynie uciec i w ten sposob sie zdemaskowac. Ale jesli podlaczyli sie z zewnatrz, na pewno dzialali przez wielu posrednikow, i ten, kto tym wszystkim dowodzi, po prostu schowa sie do swojej nory i mozemy nie miec kolejnej szansy, by go dopasc.

–Jest jeszcze gorzej – westchnal Colin. – Nie mamy sensownych powodow przeprowadzenia takiej akcji.

–Gowno prawda! – warknal MacMahan. – To sprawa bezpieczenstwa. Mozemy przesluchac wszystkich wojskowych, jesli tylko zechcemy!

–Nie, nie mozemy. – MacMahan znow chcial protestowac, lecz Colin uniosl dlon. – Zaczekaj, Hectorze, daj mi chwile. Do cholery, chce dorwac tych bydlakow tak samo jak ty, ale tylko sie zastanow. Wiemy, ze Hursag ma racje, lecz nie mamy zadnych dowodow. Wszystko poza zniknieciem rodziny Cruza da sie wyjasnic normalnymi "usterkami technicznymi". A fakt, ze jego rodzina zniknela z naszych zapisow, nie jest zadnym dowodem. Prawo nie wymaga, by ludzie informowali nas o miejscu swojego pobytu – nasi poddani sa wolnymi obywatelami. Cruz nie mowil, ze zostali zatrzymani wbrew swej woli, a jesli nawet nie wiemy, gdzie wlasciwie byli, to tym bardziej nie mozemy udowodnic, ze byli wiezieni.

–Nawet gdybysmy mogli wszystkich przesluchac, musielibysmy bardzo szczegolowo okreslic, kogo mialoby to dotyczyc. Edykt pozwala nam pytac o wszystko pod wykrywaczem klamstw, ale... tylko w sadzie.

–Oczywiscie masz racje, ze mozemy przesluchac wszystkich wojskowych, jesli

potraktujemy to jako kwestie bezpieczeństwa, ale zanim zaczniemy pytać, musimy dostarczyć im i ich adwokatom listę tematów, które zamierzamy poruszyć, zaakceptowana przez sędziego. Nie uda nam się przejrzeć takiej masy dokumentów, nie wzbudzając podejrzeń interesującej nas osoby, a co się stanie, kiedy nasz Pan X o tym się dowie? Nie chcemy dorwać jego wtyczek, Hectorze, chcemy jego samego.

MacMahan najwyraźniej miał ochotę się sprzeciwić, lecz tylko zaklął pod nosem i niechętnie pokiwał głową. Colina ucieszył ten widok, a jeszcze bardziej ucieszyło go spojrzenie mężczyzny, który uświadomił sobie, że ma konkretnego wroga, że śmierć Sandy nie była bezmyślnym aktem zniszczenia przez obojętny wszechświat. Hector miał już kogo, oprócz Boga, nienawidzić.

–W takim razie jakie kroki mamy podjąć? – spytał Tsien.

–Przede wszystkim zaczniemy jak najbardziej poważnie traktować kwestie bezpieczeństwa – powiedziała Amanda. – Ten, kto zaatakował dzieciaki, mógł być fanatykiem religijnym, anarchista, pieprzonym swirem albo kims planującym zamach stanu, ale, na Boga, nie może dorwać waszej dwójki... ani Horusa!

–Racja – poparła ją Adrienne. Colin czuł, że mówią to nie tylko jako najstarsi ranga oficerowie czy zrozpaczeni rodzice – ale jako przyjaciele, którzy chcą chronić jego i Jiltanith.

–Możecie strzec Colina i Tanni – powiedział po chwili Horus – ale nie mnie. – Colin unosił brew, a starzec znowu wzruszył ramionami. – Możemy po cichu wzmocnić waszą ochronę, ale nie możemy rozstawić uzbrojonych strażników wszędzie wokół Białej Wieży. Wasz Pan X z pewnością to zauważy.

–Ależ, ojczu, nie waz się tak ryzykować!

–Cicho, Tanni. A ktoż by chciał mnie zabić? Jeśli nie mówimy o całkowitym szalenstwie – a nie sadzę, by o to chodziło, biorąc pod uwagę, jak wszystko gładko mu poszło – jaki mogłby mieć motyw? Może gdyby dorwał was oboje, wtedy ja stałbym się celem, ale na pewno nie wcześniej.

–Sadzę, że Horus ma rację, Tanni – wtracił Dahak. – Choc jest możliwe, że była to zbrodnia pod wpływem emocji, a nie zaplanowana, ktokolwiek jej dokonał, zachowywał się niezwykle racjonalnie. – Głos komputera był równie ciepły jak zawsze, lecz wszyscy słyszeli w nim gniew. – Obecnie wydaje się, że była to pierwsza próba pozbawienia Imperium władzy, a jeśli rzeczywiście tak jest, to Horus stanie się celem ataku dopiero w samej koncowce spisku.

–Hmmm. – Ninhursag potarła czoło. – Nie wiem, Dahaku. Możesz mieć rację, ale nieco zbyt chętnie zakładasz, że wszyscy kierują się logiką. A ten, kto to zrobił, najpierw zwrocił się przeciwko dzieciom.

–To prawda, jednak analiza wskazuje, że po prostu wykorzystał okazję. Bliznieta zawsze były bardzo dobrze chronione, nawet jeśli nie było tego widać. W układzie Bia przez cały czas strzegły ich moje czujniki, do tego były jeszcze inne zabezpieczenia. Nie twierdzą, że zamordowanie ich było niemożliwe, lecz byłoby bardzo trudne, dlatego zbrojca mógł zaatakować dopiero wtedy, kiedy znalazły się poza moim zasięgiem i ochrona innych służb. Co więcej, gdybyś nie posłuchała swojej intuicji w sprawie śmierci rodziny Cruz, nikt nie dowiedziałby się, że zbrojstwo Seana i Harriet zostało starannie zaplanowane.

–To ma sens – powiedziała powoli Adrienne – jednak nie mogę oprzeć się wrażeniu, że kryje się za tym coś więcej.

–I rzeczywiście tak jest – odpowiedział Dahak. – Bliznieta nie zostały zamordowane z przyczyn osobistych, pani, lecz ze względu na to, kim były. Nasz wrog zdecydował się zaatakować spadkobierców, dlatego właśnie sądzę, że to początek próby obalenia monarchii.

–Co sprawia, że Horus także staje się celem – westchnął Colin. – Cholera.

–To błędne założenie. Horus oczywiście jest członkiem królewskiej rodziny, lecz nie jest twoim dziedzicem. Stałby się potencjalnym spadkobiercą, gdybyście razem z Tanni zmarli bezpotomnie, ale ja – z całym szacunkiem – nie sądzę, by Zgromadzenie Szlachty wybrało kogoś w wieku Horusa na cesarza. Matka mogłaby to zrobić, gdyby znów kazano jej wypełnić klauzulę omega, lecz jedynie pod warunkiem, że nie byłoby Zgromadzenia Szlachty. Co więcej, nawet zgodnie z klauzulą omega Horus nie byłby pierwszym kandydatem do tronu. Właściwym spadkobiercą byłby admirał Hatcher jako głównodowodzący Floty, a później marszałek gwiazdny Tsien. Horus, jako najwyższy urzędnik cywilny Imperium, stałby się legalnym spadkobiercą dopiero wtedy, gdyby najwyżsi rangą oficerowie Imperium również zginęli. Ale trzeba pamiętać, że każdy jawny atak na Horusa mógłby wzbudzić podejrzenia, których za wszelką cenę chciano uniknąć, obmyślając "przypadkową" śmierć bliźniat. Dlatego próba jego zlikwidowania przed zabiciem ciebie, Tanni, admirała Hatchera i marszałka gwiazdowego Tsiena byłaby bezsensowna, chyba że rzeczywiście mamy do czynienia z irracjonalnym działaniem.

–Nie znoszę, kiedy tak się zachowujesz, Dahaku – jęknął Colin i wszyscy ze zdziwieniem zauważyli, że się uśmiecha.

–Być może, ale on ma rację – stwierdziła Ninhursag. – Sądzę, że zwiększenie bezpieczeństwa waszej dwójki oraz Geralda i Tao-linga będzie miało wpływ również na bezpieczeństwo Horusa. On też ma rację, mówiąc, że jeśli rozbudujemy jego ochronę, będzie to jak wielkie świecące ostrzeżenie dla tych, z którymi walczymy.

–Dobrze, tak zrobimy. Hectorze, czy możesz zająć się kwestią bezpieczeństwa?

–Tak – odparł krotko MacMahan. Wyraz jego twarzy był dla Colina jedyną gwarancją, jakiej potrzebował.

–Dobrze, ale to tylko działania defensywne. A jak dopadniemy tego sukinsyna?

–Cokolwiek będziemy robić, Colinie, musimy postępować bardzo ostrożnie – stwierdziła Ninhursag. – Przede wszystkim będziemy bardzo uważnie udzielać informacji. Nie chce, by ktokolwiek o tym wiedział, nawet Gus. Nie wiemy, jak Pan X zdobywa informacje, więc każda osoba włączona do sieci informacyjnej zwiększa szanse przecieku.

–Dobrze, zgoda. A później?

–A później razem z Dahakiem siadziemy nad wszystkimi danymi ochrony, które mamy. Wszystkimi, wojskowymi i cywilnymi, od pierwszego dnia istnienia Piątego Imperium. Znajdziemy wszelkie anomalie i wyeliminujemy je jedna po drugiej.

–Do tego – oparła się wygodniej na krześle i spojrzała w sufit – nasilimy infiltracje wszystkich znanych grup niezadowolonych osób. Ona i tak już trwa, więc nie musimy podawać żadnych nowych powodów. A kiedy my, ludzie, będziemy się tym zajmować, ty, Dahaku, wskoczysz w sieci danych tutaj, na Bia, i zaczniesz się do nich podłączać. Cruz mógł oszukać swój terminal, lecz do ciebie nikt się nie dostanie, dlatego chce, żebyś brał we wszystkim udział.

–Zrozumiano. Muszę jednak zwrócić uwagę, że nie mogę w taki sam sposób spenetrować ziemskich sieci.

–Wiem, ale dopóki nie zorientujemy się, co się dzieje, Colin i Tanni nie będą odwiedzać Ziemi. Wiemy już, że ktoś na nich poluje, ale jak długo Pan X będzie musiał przebiec przez ciebie, wywiad marynarki, marines Hectora i Flotę Bojową, tak długo będą bezpieczni, prawda?

Darin Gretsky stanął w kacie, oparł się na miotle i ze słabym uśmiechem rozejrzał po dobrze oświetlonym warsztacie. Przez trzydzieści lat studiował fizykę teoretyczną i przez te wszystkie lata czuł pogardę dla większości swoich kolegów – dla nich sława, szacunek, nawet władza były ubocznymi skutkami zdobywania wiedzy, tymczasem on pragnął takiego życia, jakie obiecywały mu korporacyjne i rządowe imperia badawcze, i właśnie do tego potrzebna mu była wiedza. Zasłużył sobie tym na niechętność innych studentów, lecz wcale go to nie obchodziło, zwłaszcza że bogactwo i – szczególnie – władza zdawały się być na wyciągnięcie ręki. Wszystko to jednak zostało mu odebrane przez Dahaka i gwałtowny rozwój imperialnej nauki.

W ciągu jednej nocy Gretsky zmienił się z człowieka awarygardy w aborygena, który

probuje zrozumiec, czy dziwne znaczki na bialym papierze misjonarza rzeczywiscie maja jakis sens. Mial odpowiednia pozycje, by zostac włączonym do pierwszych programow edukacji przez implanty, i przez jakis czas podczas oblezenia myslal nawet, ze uda mu sie wzniec na tej nowej fali. Ale kiedy skonczylo sie zagrozenie, Darin Gretskey pojal cos straszego – byl tylko technikiem, ktory wykorzystywal wiedze zgromadzona przez innych. Wiedze, ktorej – musial to przyznac ze sciskajaca zoladek nienawiscia – wcale nie rozumial.

Stal sie jednym z tysiecy ziemskich naukowcow, ktorzy przegryzali sie przez tysiaclecia cudzych badan i z przerazeniem patrzyli, jak upada wiekszosc teorii, ktore dotad uwazali za swietosc. Co najgorsze, ci, ktorymi gardzil – naiwni, dla ktorych liczyla sie tylko wiedza – poradzili sobie lepiej od niego. Ziemscy naukowcy, ktorzy badali wiedze techniczna Czwartego Cesarstwa, wywodzili sie wlasnie sposrod nich, a dla Darina Gretskey'ego nie bylo tutaj miejsca, chyba ze jako podlego slugi.

Ale teraz wszystko znow sie zmieni, pomyslal, i w tym momencie jego usmiech stal sie paskudny. Dzieki pracy tutaj otrzymywal na tajny rachunek bankowy wystarczajaca ilosc imperialnych kredytow, by kupic sobie takie zycie, o jakim marzyl, ale dla jego zranionej dumy jeszcze bardziej satysfakcjonujace bylo jego dzieło. Nie wiedzial, w jaki sposob zostanie wykorzystane, lecz sama mysl o potwornej mocy urzadzenia, ktore zbudowal, powodowala niemal erotyczny dreszcz. Zajelo mu to wiecej czasu, niz sie spodziewal – musial zastapic komponenty, ktorych nie bylo, innymi – lecz wreszcie osiagnal cel. Mial nadzieje, ze ktoregos dnia dzieło jego rak obali zadowolonych z siebie kretynow, ktorzy zepchneli go na bok.

Jeszcze raz spojrzal na warsztat, po czym przeszedl korytarzem do biura, w ktorym nie byl juz Sziwa, Niszczycielem Swiatow, lecz jeszcze jednym zwyklym konsultantem pomagajacym ziemskiemu przemyslowi radzic sobie z naplywem pomyslow z Imperialnego Biura Patentowego. Cesarz Colin – ten tytul byl dla niego niczym przeklenstwo – zadeklarowal, ze cala cywilna technika Imperium bedzie dostepna dla wszystkich zainteresowanych po uiszczeniu symbolicznej oplaty. Swobodny przeplyw informacji byl zjawiskiem bez precedensu i stare firmy o ustalonej pozycji musialy stawiac czola tysiacom nowicjuszy, ktorych wyobraznia stala sie wazniejsza niz kapital.

Nienawidzil ludzi, dla ktorych pracowal. Nienawidzil tych wszystkich usmiechnietych ludzi o blyszczacych oczach, czerpiacych z nowego swiata, ktory go okradl. Musial to ukrywac, ale juz niedlugo. Wkrotce to, co stworzyl...

Byl zaskoczony, gdy drzwi do biura otworzily sie, gdyz bylo juz po polnocy. Zadbana mloda kobieta spojrzala na niego z dziwnym usmieszkiem i uniosla brwi.

–Doktor Gretskey? – Skinal glowa. – Doktor Darin Gretskey? – upewnila sie.

–Tak. Co moze dla pani zrobic, pani... – Przerwal, czekajac, az sie przedstawi, ale ona siegnela do torebki.

–Mam dla pana wiadomosc, panie doktorze. – Cos w jej glosie zaniepokoilo go, a jego miesnie napiely sie, gdy drzwi znow sie otworzyly i do srodka weszlo czterech czy pieciu mezczyzn. – Wiadomosc od Miecza Boga.

Zerwal sie na rowne nogi, gdy kobieta wyjela dlon z torebki, i ostatnia rzecz, ktora zobaczyl Darin Gretsky, byl blysk wystrzalu.

Lawrence Jefferson zamknął raport i rozparł się na obrotowym krześle. Przez ostatnich dziesięć lat przejmował coraz więcej codziennych zadań Horusa, pozwalając gubernatorowi skoncentrować się na kwestiach politycznych, a Gus van Gelder bezpośrednio jemu składał raporty w rutynowych sprawach, co było bardzo użyteczne.

Zakolysał się na krześle, jeszcze raz rozważając swoją strategię w świetle ostatniego raportu. Miecz Boga stwarza coraz poważniejsze problemy, pomyślał radośnie. Są coraz odważniejsi, przyswajają wszystkie nauki organizacji terrorystycznych, które Colin MacIntyre i jego towarzysze zmiądzili, i są coraz trudniejsi do zniszczenia. No i nikt ze służb bezpieczeństwa nawet się nie domyśla, że dzięki Gusowi van Gelderowi Lawrence Jefferson dokładnie wie, jakie ruchy przeciwko niemu zaplanowano.

Zdawał sobie sprawę, że Gus niedługo może znaleźć się na tropie Francine, dlatego biskup Hilgemann wygnała Miecz Boga z Kościoła Armagedonu, twierdząc, że występki fanatyków są przekleństwem dla wiernych i że takich zagubionych duszyczek nie może być wśród jej trzodki. Nienawisc do Achuultan i wszystkich innych dzieł Antychrysta jest obowiązkiem wiernych, lecz ta nienawisc nie może rozciągać się na przywódców ludzkości, którzy stawiali wrogowi czoła. Błędem przywódców należy przeciwstawiać się pokojowo, przez modlitwy i protesty, w przeciwnym razie zostanie również zaprzepaszczone niewatpliwe dobro, które udało się osiągnąć.

Wszystko to było bardzo wzruszające i nieco zamieszało w głowie Gusowi, który nie wiedział, że Hilgemann potajemnie kieruje tymi samymi fanatykami. Bez wątpliwości za jakiś czas się domyśli, ale wtedy powinno już być za późno.

Komisarz do spraw bezpieczeństwa van Gelder skinął głową strażnikowi marine, wychodząc z windy na jednym z wyższych pieter Białej Wieży, i zapukał we framugę otwartych drzwi.

–Zajęty? – spytał, kiedy mężczyzna za biurkiem podniósł wzrok.

–Nie bardzo. – Zastępca gubernatora Jefferson podniósł się uprzejmie i wskazał na krzesło, po czym znowu usiadł, gdy van Gelder zajął miejsce. – Co się dzieje?

–Horus nadal jest na Birhat?

–Owszem. – Jefferson oparł brodę na złożonych dłoniach i uniosł brwi. – Ma wrócić dopiero jutro wieczorem. A bo co? Stało się coś ważnego?

–Mozna tak powiedziec. W koncu udalo mi sie znalezc wylom w Mieczu Boga.

–Naprawde? – Jefferson wyprostowal sie gwałtownie, a van Gelder usmiechnal sie. Byl pewien, ze Jefferson sie ucieszy.

–Tak. Wiesz, jak trudno sie przebic przez ich zabezpieczenia. Nawet jesli uda nam sie pojmac jednego czy dwoch zywcem, sa tak podzieleni na komorki, ze nie mozemy zidentyfikowac nikogo innego spoza ich wlasnej komorki. Ale w koncu udalo mi sie wprowadzic do srodka jednego z naszych ludzi. Ma byc ogniwem laczacym jego komorke z glowna struktura.

–To cudownie, Gus! – Jefferson przechylil glowe, rozwarzajac jego slowa, po czym delikatnie potarl blat. – Jak sadzisz, kiedy beda jakies rezultaty?

–W ciagu kilku tygodni – odparl van Gelder, tlumiac westchnienie irytacji.

Nawet najlepsi urzednicy mieli w sobie cos w rodzaju instytucjonalnej niecierpliwosci, ktora niezmiernie irytowala oficerow wywiadu. Nie pojowali niebezpieczenstwa grozacego ich ludziom, a pytania w rodzaju "a nie mozna szybciej?" wydawaly sie nierozlacznie zwiazane z ich zawodem.

–To dobrze. Dobrze! I chcesz przekazac raport bezposrednio Horusowi?

–Tak. Horus i ja opracowalismy ten pomysl kilka miesiecy temu i musze go powiadomic, co sie dzieje, zanim przekaze te informacje komus ze sztabu.

–Rozumiem. Czy masz dla niego formalny raport?

–Nie, tylko... – van Gelder siegnal do kieszeni marynarki i wyjal niewielka zabezpieczona teczke – moje notatki.

–Rozumiem. – Jefferson z namyslem przyjrzal sie teczce. Takie teczki po zapiechetowaniu dostrajano do losowo generowanych kodow implantow. Proba ich otwarcia bez tych kodow zamienilaby kosci danych w srodku w bezuzyteczny zuzel.

–Coz, jak juz mowilem, nie wroci do jutra wieczorem. Czy to naprawde takie pilne? To znaczy... – machnal przepaszajaco reka, widzac nieco urazona mine van Geldera – czy dzialamy pod presja czasu i te wiesci musza do niego natychmiast dotrzec?

–Nie jest to jeszcze sytuacja kryzysowa, ale chcialbym go jak najszybciej poinformowac. Nie chce byc zbyt daleko od biura, gdyby cos sie stalo, ale moze powinienem przejsc przez trans-mat na Birhat i tam go zlapac. Jesli sie zgodzi, moge tez poinformowac Colina i Jiltanith.

–To moze byc niezly pomysl – stwierdzil Jefferson. – Wlasciwie im wiecej o tym

mysle, tym bardziej sadze, ze powinniśmy mu to natychmiast przekazac. W tej chwili w Fenix jest srodek nocy, ale ja mam umowiony transport przez trans-mat jutro rano ich czasu. Czy moze zostawic mu twoje notatki, czy lepiej, zebys zobaczyl sie z nim osobiscie?

–Musimy to omowic – odparl z namyslem van Gelder – ale podstawowe informacje sa w notatkach. Moze byloby dobrze, gdyby je przeczytal, zanim siadziemy do rozmowy.

–W takim razie zabiore je ze soba, jesli zechcesz.

–Swietnie. – Van Gelder oddal mu z usmiechem teczke. – Nigdy nie myslalem, ze bede sie poslugiwal takim bezpiecznym kurierem!

–Pochlebiasz mi. – Jefferson wsunal teczke do kieszeni. – Czy Horus ma twoje kody dostepu?

–Nie. Masz. – Van Gelder podlaczyl sie do komputera Jeffersona i przekazal kod, po czym usunal go z pamieci komputera. – Mam nadzieje, ze nie gadasz przez sen – zazartowal.

–Nie – zapewnil go Jefferson, podnoszac sie, by odprowadzic goscia do drzwi. Na pozegnanie uscislal mu reke. – Pozwol, ze ponownie ci pogratuluje. To wspaniale osiagniecie. Jestem pewien, ze wielu ludzi poczuje ulge, kiedy dostana te informacje.

Rozdzial 13

–Mamy kolejny atak, pani admiral.

Ninhursag MacMahan skrzywila sie i wziela kosc od kapitana Jabra. Wrzucila ja do czytnika na biurku i razem obejrzel raport przez lacza neuralne. Kiedy sie skonczyl, westchnela i potrzasnela glowa, probujac zrozumiec, jak zamordowanie dziewietnastu pracownikow elektrowni moglo posluzyc "swietym" celom Miecza Boga.

–Zaluje, ze nie dorwalismy chociaz jednego z nich – powiedziala.

–Tak, prosze pani. – Jabr podrapal sie po zarosnietej brodzie. – Z chęcia osobiscie zabawilbym sie z tymi panami.

–No nie, Sayed, nie mozesz cofac sie do metod swoich krwiozerczych beduinskih przodkow. Nie zebys nie mial troche racji. – Postukala palcami o blat, po czym wzruszyla ramionami. – Przekaz to komandorowi Wadislaw. To wyglada na jego dzialke.

–Tak, prosze pani.

Kapitan Jabr wyszedl, a Ninhursag przetarla zmeczone oczy, oparla brode na dloniach i wpatrzyla sie w sciane.

Powtarzajace sie ataki Miecza Boga bardzo ja martwily. Jeden czy dwa – jak ten na Gusa – powaznie im zaszkodzily, ale nawet te, ktore nie czynily az tak wielu szkod – oczywiscie, poprawila sie, nie liczac ludzi, ktorzy w nich zgineli – osiagaly klasyczny cel terrorystow: udowadnialy, ze moga atakowac kogo chca, a wladze sa bezsilne. Ale przeciez spoleczenstwo nie moze chronic kazdej elektrowni, terminala tranzytowego i ladowiska, i kazdy myslacy czlowiek o tym wie. Poza tym jak dlugo te bestie beda atakowaly przypadkowe cele, tak dlugo zaden analityk nie bedzie mogl przewidziec, gdzie teraz zaatakuja i jak wielu ludzi zabija, dlatego musieli miec kogos wewnatrz Miecza, jesli chcieli ich powstrzymac.

Znow sie skrzywila, gdy przypomniała sobie jedyne go agenta, ktorego udalo im sie wprowadzic do srodka. Przed oblezeniem Janice Coatsworth byla agentka FBI i Gus byl zachwycony, kiedy ja znalazl. Byla jednym z jego najlepszych ludzi – jego "asow", jak ich nazywal – i zginela tego samego dnia co on. Jakims sposobem zostala zdemaskowana przez Miecz i resztki jej ciala rzucono na trawnik przed domem Gusa tego samego dnia, kiedy zabili jego, jego zone i dwojke z czwórki dzieci. Zginelo rowniez czterech jego osobistych ochroniarzy, z ktorych dwoch zaslonilo wlasnymi cialami ocalale dzieci.

Spojrzenie Ninhursag bylo o wiele zimniejsze i twardsze niz kapitana Jabra. Oczywiscie mozna bylo sie spodziewac ataku terrorystow na szefa wrogich sil bezpieczenstwa, lecz tak samo jak wszyscy byla wstrzasnieta zaboystwem rodziny van Gelderow. Poza tym bylo to o tyle niepokojace, ze Gus mial zapewniona profesjonalna ochrone i przebicie sie przez nia wymagaloby bardzo starannego zaplanowania calej akcji.

Zagryzla warge i znow zadala sobie dreczace ja pytania. Dlaczego jednego dnia Miecz dokonuje masakry bezbronnych pracownikow elektrowni i pozostawia slady w calej okolicy, a drugiego przeprowadza precyzyjny atak na dobrze chroniony cel i pozostawia ekipy sledcze z pustymi rekami? I w jaki sposob banda idiotow, ktorzy potrafia byc tak nieudolni, jak podczas ataku na elektrownie, w ogole stworzyla taka organizacje? Kazdy, kto potrafi zorganizowac cos takiego, moglby wybierac lepsze cele i zrecniej je atakowac.

Westchnela. Na razie nie mieli pojecia, jak Miecz jest zorganizowany. Te bezsensowne ataki mogly byc dzielem jakiegos odlamu albo frakcji, ale rownie dobrze mogly byc dokonane przez jakas zupełnie inna organizacje, ktora ukrywa sie za Mieczem, dazac do realizacji swoich wlasnych celow! Zeby odpowiedziec na to pytanie, musieli dostac sie do srodka, a to byla robota dla ludzi na Ziemi, gdzie

działal Miecz. Gusowi raz się to udało, a od czasu jego śmierci Lawrence Jefferson zmiądzzył aż trzy komórki, lecz niestety żadna z nich nie doprowadziła ich do innych – właściwie wydawało się bardzo prawdopodobne, że byli to najbardziej nieudolni członkowie morderczego bractwa, gdyż inaczej nie daliby się tak łatwo złapać – ale był to jakiś początek.

I, dodała w myślach, zabicie rodziny Gusa to bardzo dobry powód, by zwiększyć ochronę Horusa w Białej Wieży bez wzbudzania podejrzeń przeciwnika.

–Najświętsza Panienko! – sapnął Gerald Hatcher. – Mówisz poważnie?

–Nie, oczywiście, że nie! – warknęła Ninhursag. – Po prostu pomyślałam, że to będzie taki świetny żart!

Drżała z wściekłości i przerażenia, dlatego Colin dotknął jej ramienia i poczekał, aż się uspokoi, po czym zwrócił się w stronę hologramu Hachtera. Wład Czernikow również wysłał swój holograficzny obraz z orbitalnej stoczni numer siedemnastej; tylko Tsien osobiście towarzyszył Colinowi i Ninhursag.

–Przepraszam, Hursag – mruknął Hatcher. – Po prostu... Jezu, a jakiej reakcji właściwie się spodziewałaś?

–Takiej jak moja – odpowiedziała Ninhursag z krzywym uśmiechem. W jej oczach już widac było prawdziwe rozbawienie. – Szkoda, że nie słyszałaś, co mówiłam, kiedy Dahak mi powiedział.

–Ale nie ma żadnych wątpliwości? – Głęboki głos Tsiena był twardszy niż zwykle, gdyż to do jego plików tym razem się włamało.

–Nie, panie marszałku – odparł Dahak. – Sprawdziłem moje odkrycia co najmniej pięć razy, zawsze z takim samym skutkiem.

–Cholera. – Colin pogładził zmarszczki, których dorobił się przez długie, ponure miesiące po śmierci dzieci. Minęło niemal półtora roku, a oni wciąż bawili się w chowanego. W tym czasie Ninhursag i Lawrence Jefferson rozbili kilka komórek Miecza Boga, kilkudziesięciu terrorystów zginęło w strzelaninie z ochroną, kiedy zaatakowali zabezpieczone cele, i zidentyfikowali wśród wojskowych siedmiu szpiegów.

I każdy z tych szpiegów był już martwy, gdy do niego dotarli.

–Te sukinyśny zinfiltrowały nas jak stad do księżycy – powiedział. Jedną dłoń pocierał nos, a druga bezmyślnie bawił się kosciami danych przekazaną przez

Ninhursag.

–I tak, i nie – stwierdził Dahak. – Owszem, odkrywamy dowody wcześniejszej infiltracji, ale jednocześnie oczyszczamy z podejrzeń coraz większa liczba wojskowego personelu. Nie mogę oczywiście powiedzieć z całą pewnością, że zamknaliśmy wszystkie wyloty w układzie Bia, ale pamiętaj, że obecnie monitoruje całą łączność przez hiperkomy między Bia i Sol, jak również we wszystkich systemach komunikacyjnych w tym układzie. I choć nie mogę cię zapewnić, że żadne informacje nie zostały przekazane przez kurierów, wywiad marynarki ma na oku wszystkich gości z Ziemi.

–Ale wygląda na to, że odkryliśmy otwarte drzwi, kiedy stodoła już się spaliła!

–Może tak, a może nie. – Przez chwilę Tsien mówił tak podobnie do Dahaka, że Colin podejrzewał go o celową parodię, ale to nie było w stylu marszałka.

–To znaczy?

–To znaczy, że choć ten konkretny sprzęt bez wątpienia jest niebezpieczny, ma ograniczone możliwości zastosowania.

–Co... – zaczął Hatcher, lecz przerwał. – Tak, coś w tym jest, Tao-ling. Co mogą zrobić, nawet jeśli będa to mieli?

–Nie opierałbym się zbyt mocno na tym przekonaniu, admirał Hatcher – odezwał się Dahak – lecz moje analizy rzeczywiście zdają się ostrożnie potwierdzać ten pogląd.

–Ale jak w ogóle dostali to w swoje ręce? – spytał Wład, który trochę się spóźnił na spotkanie.

–Nie jesteśmy pewni – odparła Ninhursag. – Dahak odkrył jedynie, że zrobiono przynajmniej jedną dodatkową kopię planów nowej głowicy grawitonicznej. Nie wiemy, gdzie ona jest, kto ją ukradł i jak długo jest w jego rękach.

–Sądzę, że w tej ostatniej kwestii możemy sobie pozwolić na sformułowanie pewnej hipotezy – sprzeciwił się Tsien. – Dahak zbadał licznik w oryginalnej kłosce danych z działu rozwoju broni. – Holograficzny obraz Czernikowa pokiwał ze zrozumieniem głową. Każda zabezpieczona kłosca danych Floty miała wbudowany licznik, który zapisywał liczbę kopii, jakie z niej wykonano, i tego licznika nie można było zmienić. – Zgodnie z naszymi zapisami powinno być dziewięć kopii planów – i oczywiście oryginalna kłosca – jednak okazało się, że z oryginalnej kłosce zrobiono dziesięć kopii. Oryginał był zamknięty w sejfie w Biurze Statków od dnia, w którym zrobiono autoryzowane kopie, i żaden z wewnętrznych i zewnętrznych systemów zabezpieczeń nie pokazuje śladów manipulacji. Dlatego sądzą, że dodatkowa kłosca została zrobiona w tym samym czasie co te autoryzowane.

–O cholera – jeknal Hatcher. – To było... szesc lat temu?

–Szesc i pol – poprawila go Ninhursag. – I choc nie dalabym za to glowy, sadze, ze Tao-ling najprawdopodobniej ma racje. Zwlaszcza ze autoryzowane kopie wykonal niejaki starszy kapitan Floty Januszka. Dwa lata temu komandor podporucznik Januszka, ktory przebywal wowczas w ukkladzie Sol i byl w grupie pracujacej nad Macocha, zmarl z powodu "wylewu krwi do mozgu".

Skrzywila sie, a pozostali prychneli. Odpowiednio dobrany impuls energii przekazany poprzez lacze neuralne wywoływal objawy, ktore byly bardzo podobne do objawow zwyklego wylewu krwi do mozgu. Ale poniewaz takie przyplywy energii nie zdarzaly sie przypadkiem, patolog, ktory nie mial powodu podejrzewac przestępstwa, mogl uznac, ze zgon nastapil z przyczyn naturalnych.

–Rozumiem. – Wlad przez chwile zaciskal wargi, po czym wzruszyl ramionami. – Na podstawie tych informacji jestem sklonny przyznac, ze twoje oszacowanie czasu powstania kopii, Tao-ling, jest prawdziwe. Jednak ta bron jest bardzo skomplikowana i jej zbudowanie wymagaloby udzialu wojskowych komponentow, a poza tym musialby to prowadzic ktos, kto zna od podszewki imperialna technike.

–Jestem tego samego zdania – stwierdzil Colin. – Osoba, z ktora walczymy, miala mozliwosci i srodki, by zniszczyc Imperialna Terre, chyba ze ktos uwaza, iz mamy dwoch roznych wrogow, ktorzy nas w takim samym stopniu zinfiltrowali. – Widac bylo wyraznie, ze nikt tak nie uwaza, i Colin usmiechnal sie ponuro. – Mysle, ze musimy zalozyc, iz Pan X nie ukradlby planow, gdyby nie sadzil, ze moze te bron wyprodukowac.

–To prawda. – Hatcher wracal do rownowagi i jego glos byl teraz spokojniejszy. – A ponad szesc lat to mnostwo czasu, aby ja zbudowac – zakladajac, ze w ogole im sie to udalo – i rownie wiele, aby ja wykorzystac.

–Wlasnie – potwierdzil Tsien. – Bez watpienia maja zamiar ja wykorzystac, gdyz inaczej nie ukradliby planow, ale nadal nie mam pojecia, co chca z nia zrobic. Spiskowcy musza byc ludzmi – Narhanie mieli stanowczo zbyt malo kontaktow z ludzmi, by ktorys z nich tak nas zinfiltrowal – wiec zniszczenie Ziemi byloby aktem czystego szalenstwa. Gdyby jednak ich cel znajdowal sie na Birhat, w zupelnosci by im wystarczyła ktoras z naszych mniejszych glowic grawitonicznych, a nawet prosta bomba termonuklearna. Bron o takiej mocy nie jest rowniez potrzebna do zniszczenia instalacji orbitalnych.

–A co z Narhan? – spytala cicho Ninhursag. Tsien skrzywil sie.

–Znow nie widze zadnego rozsadnego powodu zniszczenia tej planety – to mogloby raczej wygladac na robote Miecza Boga ale Narhan wydaje sie jednak o wiele bardziej

prawdopodobnym celem niz Ziemia czy Birhat.

–Boze, jeszcze tylko nam brakuje, zeby Pan X byl powiazany z banda swirow w rodzaju Miecza Boga! – jeknal Colin.

–Na pierwszy rzut oka wydaje sie to niemozliwe – powiedzial Dahak. – Wzorzec dzialania Pana X wskazuje na dlugotrwalie planowanie – choc zbrodnicze w swej naturze, jednak racjonalne, a Miecz Boga jest z samej swej natury irracjonalny. Co wiecej, jak zauwazyl admiral Hatcher, mieli mnostwo czasu na zniszczenie Narhan, gdyby posiadali bron. Byc moze Pan X probuje wykorzystac dzialania Miecza Boga lub nawet na nie wplywac, lecz jego ostateczne cele znacznie roznia sie od ich ksenofobicznego nihilizmu.

–W takim razie co on zrobi z ta bronia?

–Obecnie nie mam zadnej teorii na ten temat, poza tym, ze byc moze chce ja wykorzystac jako grozbe, by wymusic pewne ustepstwa. Jesli to jednak prawda, znow musimy wziac pod uwage fakt, ze mial duzo czasu na zbudowanie broni i ogloszenie swoich zadan.

–Moze Wlad ma racje. Moze rzeczywiscie natrafili na problemy, ktore nie pozwolily im w ogole jej wyprodukowac.

–Nie polegalbym na tym zalozeniu – ostrzegl Dahak. – Wydaje mi sie, ze w ten sposob ludzie "dodaja sobie otuchy".

–Tak – stwierdzil ponuro Colin. – Wiem.

Rozdzial 14

Seana MacIntyre'a obudzilo uderzenie piescia w oko.

Odsunal sie na bok, unoszac jedna reke do bolacego miejsca. Cholera, gdyby nie mial wzmocnien, ten cios kosztowalby go utrate oka.

Przesunal sie jeszcze dalej, az na sama krawedz lozka, i uniosl na lokciu, nadal trzymajac sie za oko. Sandy wstrzasnal kolejny dreszcz. Tym razem moglaby go powaznie uszkodzic, gdyby nie znalazl sie poza zasiegiem jej rak. Dziewczyna wymruczala cos, czego nie zrozumial nawet mimo ulepszonego sluchu, wiec usiadl i zaczal sie zastanawiac, czy powinien ja obudzic.

Nie mogli sobie poradzic z utrata Imperialnej Terry. Sam fakt pozostania przy zyciu, kiedy wszyscy inni zgineli, i przekonanie, ze statek zostal zniszczony tylko dlatego, ze chciano wlasnie ich zabic, sprawialy, ze czuli sie winni. Logika mowila, ze nie powinni, ale logika byla slaba tarcza obronna przed psychika, ktora chciala ich

ukarac za to, że przeżyli.

Sandy nadal tkwiła w swoim koszmarze, walczyć z koldra, jakby to był jakiś potwór, aż w końcu rozerwała ją z trzaskiem. Na widok nagiej piersi dziewczyny Sean poczuł przyływ podniecenia, a zaraz potem wstyd.

Teraz nie czas na to! Zalował – po raz kolejny – że żadne z nich nie było zainteresowane zawodem psychologa, bo teraz, kiedy potrzebowali pomocy profesjonalisty, zostali sami. Pierwsze tygodnie były szczególnie ciężkie, aż w końcu Harriet uparła się, że muszą stawić temu czoła. Niewiele wiedziała o prowadzeniu sesji terapeutycznej, lecz miała duże wyczucie i wreszcie doprowadziła do tego, że przyznali się, iż fakt pozostania przy życiu napelnia ich wstydem.

Sandy znowu się przekreciła, wydając jeszcze głośniejsze i bardziej żalose dzwinki. Za dnia była najweselsza z nich wszystkich, ale we śnie nachodziło ją poczucie winy. Na szczęście koszmary nawiedzały ją coraz rzadziej, chociaż wciąż były tak samo straszne.

Sean pochylił się nad nią, głaszcząc ją po twarzy i szepcząc jej imię. Przez chwilę próbowała się wyrwać, lecz potem jego delikatny głos przebił się przez jej sny i otworzyła zaspane i przerażone oczy.

–Czesc – szepnął, a ona chwyciła go za rękę i przytuliła do niej policzek. Na jej twarzy pojawił się uśmiech.

–Znowu się rzucalam?

–Troche – skłamał.

–Troche? To dlaczego masz spuchnięte oko? – Podarta koldra otuliła jej talie, gdy usiadła i ostrożnie wyciągnęła rękę. Sean skrzywił się. – O rany! Bedziesz miał podbite oko.

–Nie martw się. Poza tym – uśmiechnął się lubieżnie – inni pomyślą, że oszalałaś z namietności.

Dziewczyna rozesmiała się i zaczęła delikatnie badać opuchliznę.

–Jestes idiota, Seanie MacIntyre, ale i tak cie kocham.

–Ja, ja, oszywiscie, Fraulein! Nic na to nie poradzisz!

–Och, ty wariacie!

Jej dłoń sięgnęła nagle do jego nosa i scisnęła go, a wtedy Sean jeknął z bólu,

chwycił ją za nadgarstki i nie bez problemów przyszpilił do łozka. Był wyższy od niej o szesćdziesiąt centymetrów, ale ona wyrwała się jak zwinny nagi wegorz, aż w końcu ostatecznie sprytnie szarpnięcie wyrzuciło go z łozka i znalazł się na posadzce. Podniósł się, masując z urazoną miną pośladki, ona zaś śmiała się z niego, zupełnie zapomniawszy o wcześniejszym koszmarze.

–O rany, ostra jesteś! Zabieram swoje zabawki i idę do domu.

–Przecież ty nawet nie umiesz znaleźć swoich zabawek!

–Co?! – Zrobił krok w stronę łozka, a wtedy jej palce wygięły się w szpony, a oczy zamigotały. Zatrzymał się w miejscu. – Eee... Może zawieszenie broni?

–Nie ma mowy. Zadam całkowitego i bezwarunkowego poddania się.

–Ale to też jest moje łozko – powiedział błagalnie.

–Ale ja jestem właścicielem przez zasiedzenie. Poddajesz się?

–A co mi zrobisz, jeśli się poddam?

–Cos obrzydliwie rozpustnego.

–Coż, w takim razie... – Wskoczył do łozka i unosił w górę obie ręce.

Brashan podniósł wzrok znad stanowiska zastępcy dowodcy i machnął ręką, nie odłączając się od konsoli, gdy pozostali weszli na mostek. Ponieważ maszynownia była podłączona do mostka, w normalnych warunkach do pełnienia wachty wystarczyła jedna osoba.

Sean opadł na fotel kapitana. Harriet i Tamman zajęli stanowiska astrogatora i inżyniera, a Sandy usiadła na stanowisku taktycznym. Spojrzała na widoczną na wyświetlaczu coraz jaśniejszą gwiazdę, a spojrzenia pozostałych podążyły w tę samą stronę.

Ich ciężka podróż dobiegała końca. Nie rozmawiali zbyt często o tym, co robią, jeśli okaże się, że wokół tej świecącej gwiazdy nie ma potrzebnego sprzętu, lecz na razie i tak nie znaleźli żadnego nadającego się do zamieszkania świata, który mogłoby go mieć.

Sean spojrzął z ukosa na pozostałych. Radzili sobie lepiej, niż się spodziewał. Dobrze, że byli przyjaciółmi, bo zamknięcie razem na tak długo w tak małym światku mogłoby oznaczać poważne problemy. Od czasu do czasu nie zgadzali się-a z rzadka

nawet burzliwie klocili – lecz zdrowy rozsadek Harriet, przy dużym wsparciu Brashana, pozwalał im zgodnie trzymać się razem. Brashan spędził wystarczająco dużo czasu z ludźmi szczególnie tymi ludźmi – by rozumieć ich zmienne nastroje, i przez ostatnich dwadzieścia miesięcy udało mu się wylać wiele beczek oliwy na wzburzone wody. Dobrze, że wciąż traktuje seks głównie jako ciekawostkę intelektualną, pomyślał Sean.

Skierował wzrok na Tammana i Harriet. Izrael był przeznaczony głównie do wysyłania na krótkie misje ze statku-matki lub planety, a nie do podróży międzygwiazdnych, ale na szczęście przewidziano wystarczająco dużo miejsca dla trzydziestoosobowej załogi. To dawało im wystarczająco dużo przestrzeni dla prywatności i mogli bez większych problemów łączyć się w pary. Wiedział, że dla niego i Sandy będzie to trwały związek, nawet jeśli – kiedy! – dotra do domu, lecz nie sądził, by tak samo było z Harriet i Tammanem. Żadne z nich nie miało szczególnej ochoty na ustątkowanie się, choć najwyraźniej przebywanie w swoim towarzystwie sprawiało im dużą przyjemność.

Uśmiechnął się i podpiał łącze do konsoli kapitana, żeby sprawdzić systemy. Izrael jak zwykle funkcjonował idealnie; był naprawdę doskonałym dziełem inżynierii. Kiedy przeprowadzali wielogodzinne ćwiczenia taktyczne, głównie po to, żeby jakos zajęć sobie czas, Sean odkrył kilka rzeczy, których nigdy by się nie spodziewał i które wprawiły go w zachwyt.

Ale prawdziwy skarb odkryła Sandy w komputerach Izraela. Kapitan statku miał swira na punkcie filmów – nie holograficznych ani nawet przedimperialnych 3D, lecz staromodnych, dwuwymiarowych obrazów, które nagrywało się na taśmie filmowa. W pamięci statku były ich tysiące. Sandy wykorzystali! program graficzny, który poprzez wyświetlacz mostka przekonwertował je na filmy holograficzne. Przerobiła w ten sposób całą filmotekę i okazało się, że niektóre obrazy były zadziwiająco dobre. Faworytem Seana był "Święty Graal" kogoś zwanego Monty Pythonem, lecz najbardziej wszyscy bawili się na staromodnych filmach science fiction (Brashan był szczególnie zafascynowany obrazem pod tytułem "Zakazana planeta"). Po jakimś czasie wręcz uzależnili się od oglądania filmów, a w ich rozmowach zaczęły się pojawiać liczne cytaty, których ich przyjaciele z Akademii na pewno by nie rozpoznali.

Oderwał się od konsoli, zachowując tylko symboliczne połączenie, złożył ręce za głowę i skrzyżował nogi.

–Spójrzcie, jak nasz szlachetny kapitan ciężko pracuje! – zazartowała Sandy. Pokazał jej język, po czym spojrzał na Harriet.

–Wygląda na to, że nasza pierwotna ocena pozycji była trafiona w dziesiątkę. Zostało nam jeszcze jakieś dwa i pół dnia.

–Ja też tak myślę – odpowiedziała. – Czy wiemy coś więcej o ciałach w układzie, Brash?

–Owszem – rzekł spokojnie Narhanin. – Wciąż znajdują się daleko poza zasięgiem aktywnych czujników, ale pasywne instrumenty przez cały czas zbierają dodatkowe szczegóły. Udalo mi się... – uśmiechnął się po narhansku, wykrzywiając wargi – odkryć trzecią planetę po tej stronie gwiazdy.

Cos w jego głosie sprawiło, że Sean natychmiast się wyprostował. Pozostali wpatrywali się w niego równie uważnie.

–Wydaje się, że ma promień orbity równy siedemnastu minutom świetlnym, co oznacza, że może tam być woda w stanie | płynnym.

–Hej, to świetnie! – wykrzyknął Sean. – To zdecydowanie zwiększa nasze szanse. Jeśli byli tutaj ludzie, możemy znaleźć coś, co uda nam się wykorzystać!

–Owszem. – Głos Brashana był niezwykle spokojny. Tak spokojny, że Sean poczuł zaniepokojenie. – W rzeczy samej analiza spektrograficzna potwierdza obecność atmosfery azotowotlenowej.

Seanowi opadła szczeka. Bron biologiczna zabijała wszelkie życie na wszystkich planetach, do których dotarła, i wkrótce planety przestawały nadawać się do zamieszkania. Birhai pozostał ożywiony tylko dlatego, że habitaty ogrodu zoologicznego popekały, zanim atmosfera zdążyła całkowicie się zdegenerować. Chamhar przetrwał tylko dlatego, że i tak nikt tam nigdy nie był, a Ziemia, która nie należała do Czwartego Cesarstwa, była szczególnym przypadkiem.

Jeśli ta planeta ma powietrze nadające się do oddychania, to może bron biologiczna w ogóle tutaj nie dotarła! A jeśli uda im się przekazać te informacje do domu, ludzkość będzie miała trzeci świat, by rozpocząć ponowną ekspansję.

Potem jego euforia opadła. Jeśli ta planeta nie została skazona, to znaczy, że najpewniej nie było na niej żadnych ludzi. A to z kolei oznacza, że nie ma szans na znalezienie imperialnego sprzętu, z którego mogliby skłecić hiperkom.

–Coż – powiedział wolno – to interesujące. Coś jeszcze?

–Nic, ale nadal znajdujemy się prawie szesćdziesiąt dwie godziny świetlne od gwiazdy – zwrócił uwagę Brashan. – Przy oprzyrządowaniu Izraela zobaczymy coś mniejszego od planetoidy dopiero z odległości dziesięciu godzin świetlnych, chyba że będzie aktywnie emitować energię.

–W takim razie – mruknął Sean – możemy coś zobaczyć w ciągu najbliższych osiemdziesięciu godzin. Zakładając oczywiście, że będzie coś oglądać.

Tej wiosny talmahki wczesnie powracaly.

–Wysoki kaplan Vroxhan stal przy oknie, przysluchujac sie obradom Wewnetrznego Kregu, i jednoczesnie obserwowal migotanie ich skrzydel wysoko nad Swiatynia. Jedno stadko oderwalo sie od wiekszej grupy i skierowalo w strone zniszczonych ruin domostwa Starozytnych. Kaplan zawsze byl ciekaw, dlaczego te piekne stworzenia nawiedzaja tak potepione miejsce i nie gina. W przeciwnienstwie do ludzi, nie mialy dusz, wiec moze wlasnie to chronilo je przed demonami.

Dochodzacy z tylu wysoki glos Corady zmienil sie, gdy skarbnik dochodzil do podsumowania swojego raportu.

–...i tak oto skarbiec Matki Kosciola znow zostal napelniony dzieki lasce Boga i ku Jego chwale, choc Malagor wciaz opoznia sie z dziesiecina.

Vroxhan usmiechnal sie, slyszac ostatnie jadowite slowa. Malagor byl sola w oku Corady, krnabrnym ksiestwem, ktorego mieszkancy zawsze byli najmniej ulegli wobec dekretow Kosciola. Bez watpienia Corada przypisywal to wpływowi Doliny Przekletych, lecz Vroxhan przypuszczal, ze prawda jest prostsza i nie trzeba uciekac sie az do demonow. Po prostu Malagor nigdy nie zapomnial, ze przez stulecia walczył z Aris o przywodztwo i ze jego kopalnie i napedzane sila wody kuznie dostarczaly najwiecej zelaza w calym swiecie. Bylo to ksiestwo upartych rzemieslnikow i niezaleznych rekodzielnikow, ktorzy zbyt czesto czuli sie ograniczani Zasadami Kosciola. To niezadowolenie bylo jedna z przyczyn wybuchu wojen schizmatycznych, ktore Swiatynia wykorzystala po to, by raz na zawsze polozyc kres takim bzdurum. Obecnie ksiaze Uroba z Malagoru byl wasalem Swiatyni, podobnie jak wszyscy swieccy wladcy, gdyz to Matka Kosciol powolywala i obalala wszystkich ksiazat Pardal.

–Frenaurze? – Vroxhan skierowal wzrok w strone biskupa Malagoru. – Czy twoje niesforne stadko naprawde chce w tym roku wpedzic Corade w rozpacz?

–Nie sadze, by chcialo bardziej niz zazwyczaj. – Oczy Frenaura blysnely, gdy Corada zarumienil sie. – Dziesiecina sie spoznia, to prawda, ale zima byla ciezka. Straz donosi, ze wozy przejechaly juz granice.

–W takim razie sadze, ze mozemy troche poczekac, zanim uciekniemy sie do interdtyktu – mruknal Vroxhan. Wiedzial, ze bylo to nieuprzejme i nie pasowalo do jego urzedu, ale Corada byl takim starym nudnym gadula, ze nie mogli sie powstrzymac.

Lysy czubek czaszki pedantycznego biskupa zaczerwienil sie. Mezczyzna pociagnal nosem i zbral pergaminy bardziej energicznie, niz to bylo konieczne, a Vroxhan

poczul niewielkie wyrzuty sumienia. Niewielkie, ale jednak.

Odwrocil sie z powrotem do okna, splatajac dlonie w rekawach niebieskiej szaty ze zlotym gwiazdzistym symbolem na piersi. W dole przemaszerowala z piesnia na ustach kompania muszkieterow Strazy, zmierzajac w strone pola cwiczebnego. Vroxhan podziwial blask ich posrebrzanych napiersnikow, Isniace w promieniach slonca wypolerowane lufy muszkieterow i powiewajace na wiosennym wietrze szkarlatne plaszcze. Jako drugi chlopiec w rodzinie sam omal nie trafil do Strazy, zamiast zostac kaplanem. Czasem zastanawial sie, czy zycie zolnierza nie spodobaloby mu sie bardziej – zwlaszcza ze z pewnoscia wiazala sie z tym mniejsza odpowiedzialnosc! Ale tez sila Strazy jest mniejsza niz prymasa Pardal, przypomniał sobie, i usiadl na rzezbionym fotelu.

–Dobrze, bracia, przejdzmy teraz do innych spraw. Zbliza sie Proba Ognia, ojciec Rechau. Czy Sanktuarium jest gotowe?

Twarze rozbawione drobiazgowoscia Corady spowaznialy i wszyscy odwrocili sie do Rechaua. Zwyczajny nizszy kaplan moglby zostac uznany za najmniej waznego ze zgromadzonych na sali pralatow, lecz pozory mylily, gdyz Rechau byl koscielnym Sanktuarium, a funkcje te zgodnie z wieloletnia tradycja pelnili nizsi kaplani noszacy archaiczny tytul kapelana.

–Tak jest, wasza swiatobliwosc – odparl Rechau. – Tej zimy Sluzebnicy poswiecili duzo czasu swej posludze – pojawili sie tuz po Probie Radiolokacji i pracowali przez pelne dwa pieciodnie. Ta posluga natchnela moich akolitow do jeszcze wiekszych wysilkow i uswiecenie zakonczono przed trzema dniami.

–Doskonale, ojciec! – A wiec maja jeszcze trzy pieciodnie do Proby Ognia. Rechau pochylil glowe, przyjmujac pochwale, a Vroxhan zwrocil sie do biskupa Surmalu.

–W takim razie, Surmalu, moze nam powiesz, jak przebiegaja prace nad nowym katechizmem.

–Oczywiscie. – Biskup skrzywil sie nieco i rozejrzal wokol. – Bracia, Oficjum Inkwizycji rozumie naciski, jakim poddawane jest Oficjum Nauczania przez kupieckie gildie i postepowcow, jednak obawiam sie, ze mamy powazne zastrzezenia do pewnych czesci nowego katechizmu. W szczegolnoscii niepokoja nas zbyt maly nacisk na demoniczne...

Drzwi sali otworzily sie tak gwaltownie, ze oba skrzydla uderzily o sciane. Vroxhan poderwal sie na rowne nogi, lecz nie zdazyl udzielic gromkiej reprimendy, gdyz pobladly nizszy kaplan padl przed nim na kolana w poklonie i uniosl rabeke jego szaty do szarych warg.

–Wasza swiatobliwosc! – wyrzucil z siebie, zanim jeszcze wypuscil z rak szate

Vroxhana. – Wasza swiatobliwosc, musicie przyjsc! Przyjdziecie szybko!

–Dlaczego? – spytal ostro Vroxhan. – Co sie stalo tak waznego, ze naruszasz spokoj Wewnetrznego Kregu?

–Wasza swiatobliwosc, ja... – Kaplan przelknal sline, po czym pochyлил sie do ziemi i rzekl: – Glos sie odezwal, wasza swiatobliwosc.

Vroxhan cofnal sie i jego dlon uniosla sie do gwiazdzistego symbolu. Glos nigdy sienie odzywial, jedynie w najswietsze ze wszystkich swiat! Kiedy szybko rozejrzal sie wokol, ujrzal krew odpływająca z twarzy wszystkich czlonkow Wewnetrznego Kregu.

–Co powiedzial Glos? – spytal gniewnie.

–Glos wypowiedzial Ostrzezenie, wasza swiatobliwosc – wyszeptal nizszy kaplan.

–Niech nas Bog broni! – krzyknal ktos. Kaplani Kosciola byli naprawde przerazeni.

Lodowata dlon zacisnela sie na sercu Vroxhana. Odetchnal gleboko i chwycil za pektoral. Byl pralatem Pardal, dlatego mimo strachu odwrocil sie do spanikowanych pralatow.

–Bracia! Bracia! To nie przystoi! Uspokojcie sie! – Jego gleboki, potezny glos, szkolony przez lata spiewania piesni liturgicznych, zmusil ich do uciszenia sie, a on natychmiast to wykorzystal.

–Nadeszlo Ostrzezenie, moze nawet Proba, lecz Bog z pewnoscia nas ochroni, tak jak obiecal przed wiekami ojcom naszych ojcow! Czyz nie po to dal nam Glos, by chronic nas przed niebezpieczenstwem? Nasza trzodka i tak bedzie przerazona, wiec nie wszczynajmy paniki w Wewnetrznym Kregu!

Widzial, jak na twarzach wielu biskupow pojawia sie opanowanie. Ku jego zdziwieniu nalezal do nich rowniez stary biskup Corada. Ale nie biskup Parta.

–Dlaczego? – jeknal ten ostatni. – Dlaczego to na nas przyszlo? Jaki grzech popelnilismy, ze Bog zsyla na nas demony?

–Ucisz sie, Parto! – warknal Corada, a Vroxhan stlumil histeryczny chichot, widzac, jak ozywienie starego biskupa poruszylo wszystkich zebranych. – Przecie dobrze znasz Pismo! Demony przybywaja wtedy, kiedy maja przybyc. Grzech nie sprowadza ich wczesniej, jedynie odbiera nam laske Boga.

–Ale jesli On sie od nas odwrocil? – spytal przerazony Parta. Corada prychnal.

–Gdyby sie odwrocil, czyz Jego Glos dalby nam Ostrzezenie? – spytal ostro. –

Wiem, że nie zdarzyło się to nigdy wcześniej, lecz Pismo mówi, że żaden człowiek nie wie, kiedy nadejdzie Proba. Zaufaj Bogu tak jak powinienes, człowieku!

–Ja... – Parta przerwał, gwałtownie odetchnął i pokiwał głową. – Tak, Corado. Tak, masz rację. Po prostu...

–Po prostu jesteś przerażony – mruknął Corada, po czym uśmiechnął się krzywo. – Nie myśl, że mnie to też nie przerażilo!

–Dziękuję, Corado – powiedział Vroxhan, wdzięczny za te słowa. Postanowił, że już nigdy więcej nie będzie sobie żartował ze starca. – Twoja wiara i odwaga są dla nas natchnieniem. – Znowu rozejrzał się wokół i pokiwał głową. – Chodźcie, bracia. Dołączcie do mnie w krótkiej modlitwie poświęcenia, zanim odpowiemy na wezwanie Głosu.

Vroxhan nigdy nie ubierał się w takim nieprzystojnym pośpiechu, ale też nigdy w życiu nie znalazł się w takiej sytuacji. Przez tysiące tysięcy lat Bog strzegł swoich wiernych przed demonami, których dotyk był śmiercią dla duszy i ciała. Nigdy w historii nie pozwolił, by wrogowie wszelkiego zycia, których okrutny podstęp pozbawił człowieka chwały Boskich Niebios, zbliżyli się tak bardzo, by Głos wypowiedział Ostrzeżenie. Vroxhan przypomniał sobie słowa Corady. Bog nie porzucił swojego ludu, Ostrzeżenie jest najlepszym tego dowodem.

Zapiął złote guziki, jak zwykle tłumiać irytację, gdyż ciasno dopasowany kołnierz uwierał go w szyję. Potem sprawdził w zwierciadle z wypolerowanego srebra ułożenie niebieskiej tkaniny – nie wypadło pokazać się przed obliczem Boga w niedbalym stroju, szczególnie w takiej chwili. Kiedy uznał, że wszystko jest dobrze, przeszedł szybko przez drzwi z niezniszczalnego metalu i wkroczył na szklaną podłogę Sanktuarium.

Biskupi już czekali, wszyscy odziani w odpowiednie szaty. Wysoki kapłan zajął swoje miejsce pośrodku wielkiej komnaty, i wtedy na widok wznoszącego się nad nim nocnego nieba poczuł znajomy przyływ oszłomienia. Otoczyła go mroczna kula i obwieszona trofeami wypolerowane ściany zniknęły, a wtedy oszłomienie przeszło w przerażenie, gdy ujrzał wznosząca się powoli na wschodnim niebie pieczęć demonów.

Ten widok zmroził mu krew w żyłach, gdyż był w kolorze świeżej krwi, a nie pulsował złością, tak jak podczas Proby Ognia, Proby Radiolokacji czy Sprawdzania Systemów. Mimo to wyprostował się, przypominając sobie, że jest sługą bożym, i podszedł do ołtarza, a wówczas rozległ się nieludzko piękny, pozbawiony akcentu Głos, spokojny i niezmienny w swym odwiecznym majestacie.

–Ostrzezenie – powiedział w swietym jezyku, a kazde slowo bylo slodkie i czyste jak srebro. – Wykryto pasywne skanowanie. Zblizaja sie wrogowie. – Glos mowil dalej, wypowiadajac slowa, ktorzych nie rozumial nawet wysoki kaplan. Vroxhan poczul dreszcz religijnej ekstazy. Po chwili padly slowa, ktore rozpoznal, nawet jesli nie do konca je pojmoval. – Kontakt za piec osiem przecinek trzy siedem minut – powiedział Glos i umilkl.

Po chwili znow powtorzyl Ostrzezenie, a wtedy Vroxban uklakl i z szacunkiem przycisnal wargi do swiecacych Boskich Swiatel wysokiego oltarza w milczacej modlitwie, by Bog przymknal oczy na fakt, ze nie jest odpowiednim czlowiekiem do tego zadania. Wreszcie podniosl sie i zaintonowal swiete slowa blogoslawienstwa.

–Uzbroic systemy – zaspiewal i w Sanktuarium rozlegl sie donosny dzwiek Bozego Rogu, lecz teraz nikt nie okazal strachu. Slysze go juz wczesniej, w kazdym roku swego religijnego zycia, podczas Swieta Proby Ognia. Jednak tym razem bylo inaczej, tym razem znany im dzwiek wzywal ich do walki w swietej sprawie Boga.

Bozy Rog umilkl i Glos znow sie odezwal.

–Uzbrojone – powiedział. – Wrogowie w zasiegu broni.

Na tle gwiazdzistego nieba pojawily sie bursztynowe kregi, ktore pochwycily szkarlatny blask demonow i otoczyly go boskim gniewem. Vroxhan poczul drzenie, gdyz oto nadszedl najwazniejszy moment jego zycia. Juz sie nie bal – byl naczyniem Boga wypelnionym moca Boga w czasie Proby – i w jego oczach migotaly tysiace odbitych gwiazd, gdy odwrocil sie do swoich towarzyszy. Podniosl rece i patrzyl, jak czerpia sily z jego uniesienia. Inni rowniez unosili rece, takze go blogoslawiac i oddajac sie mocy i chwale Boga, a tymczasem czerwony blask demonow zalewal ich twarze i szaty.

–Nie lekajcie sie, bracia! – krzyknal Vroxhan wielkim glosem. – Oto nadszedl czas Proby, lecz ufajcie Bogu, by wasze dusze wzniosly sie w Jego chwale, a demony zostaly przeklete, gdyz Jego moc jest wieczna!

–Wieczna! – odpowiedzieli zgodnym chorem i w ich glosach nie bylo juz strachu. Odwrocil sie z powrotem do oltarza, odrzucajac demoniczne swiatlo wraz ze zlem, ktore sie za nim krylo, a potem jego potezny glos zaintonowal melodie starozytnej Kantyczki Wybawienia.

–Rozpoczac przygotowania do bitwy!

Rozdzial 15

–Znajdujemy sie w zasiegu kolejnego celu – powiedziala Harriet ze stanowiska radiolokacji, gdy czerwony krag otoczyl kolejna plamke. – I to duzego.

Sean czuł – i podzielał – jej stres. W końcu zbliżyli się na tyle, że skanery Izraela mogły wykryć cele mniejsze od planety. Pierwszym z nich była jakaś instalacja kosmiczna. Potem w ciągu następnych dwóch godzin ujrzeli ich więcej – o wiele więcej – i wszyscy poczuli przyływ nadziei. Pierwszy cel nie był niczym szczególnym, jedynie zestawem czujników okaleczonych przez zderzenie z meteorytem, lecz w glebi układu były jeszcze o wiele większe cele i wyglądały bardzo obiecująco.

–Mam, Harry – odezwała się Sandy ze stanowiska taktyki. Jej aktywne skanery miały mniejszy zasięg niż pasywne czujniki Harriet, ale kiedy już wskazano im cel, były bardziej czułe. – Tam, główny komputer mówi, że to modul stoczni klasy Radona.

–Radona, Radona – mrucał pod nosem Tamman, przeglądając pliki w dziale inżynierii. – Aha! Tak mi się wydawało. To cywilna stocznia, ale przy odpowiednim wsparciu mogłaby w ciągu osmiu miesięcy zbudować drugi Izrael. Jeśli nam się uda ją uruchomić, bez problemu skonstruujemy hiperkom.

–To najlepsze wieści – powiedział cicho Sean – od dwudziestu jeden miesięcy. Ludzie, wygląda na to, że jednak nam się uda.

–Tak, ja... – zaczęła Sandy, po czym nagle przerwała. – To coś działa!

–Co?! – Sean popatrzył na nią, a ona gwałtownie pokiwała głową.

–Mam odczyty mocy na poziomie czuwania z co najmniej dwóch reaktorów fuzyjnych klasy Khilark Gamma, a może nawet trzech.

–To absurdalne – mruknął i obrócił się, żeby spojrzeć na światelko widoczne w kregu Harriet. – To coś potrzebowałoby wodoru, konserwacji, zapasów... To nie może działać!

–Powiedz to moim czujnikom! Wyraźnie odczytują działające reaktory fuzyjne, a jeśli mają źródło mocy, nie będziemy nawet musieli ponownie tego uruchamiać!

–Ale wciąż nie rozumiem, jak...

–Seanie – przerwała mu Harriet – mam kolejne instalacje. Patrz.

Na wyświetlaczu pojawiły się dziesiątki kregów, gdy jej czujniki znalazły się w zasięgu nowych celów. Sean zamrugał.

–Sandy?

–Pracuje nad nimi. – Sandy była trochę nieobecna, jak zawsze, gdy komunikowała

się ze swoimi systemami. – W porządku, te... – trzy z bursztynowych kregów Harriet zmieniły barwę na zieloną – wyglądają na twoje "zapasy". To moduły przetwórcze, ale nie są to projekty Floty. Mogą być zmodyfikowanymi urządzeniami cywilnymi. – Przerwała, by po chwili dodać głosem bez wyrazu: – I też działają.

–To – rzucił Sean w przestrzeń – staje się coraz bardziej absurdalne. Nie żebym się nie cieszył, ale... – Otrząsnął się. – A co z resztą?

–Jeszcze nie wiem. Mam jakiś bardzo słaby wpływ mocy, ale zbyt mały, żeby przy tej odległości domyslać się, co to jest.

–Zamknęła oczy i skupiła się. – Jeśli działają, chyba nie mają zbyt wielkiej mocy reaktorów pokładowych. Albo...

–Albo co?

–To mogą być emisje pola stazy. – Wydawała się niezbyt z tego powodu szczęśliwa. Żadne pole stazy nie było w stanie utrzymać się z wewnętrznego źródła mocy, a działające na minimum reaktory innych obiektów nie mogły mu przekazać niezbędnej energii.

–Hmmm. Przyspiesz z powrotem do zero prędkości światła i zbliżmy się, Brashanie.

–Przyspieszam do zero prędkości światła, potwierdzam – zameldował Brashan ze stanowiska manewrowania. Sean skrzywił się. Coś go w tych instalacjach niepokoiło. Unosiły się na dalekiej orbicie wokół trzeciej planety i nie w kregu, ale tworzyły szeroką sferę. Było ich stanowczo za dużo – i były o wiele za małe – by mogły być kolejnymi wytworniami. Każda z nich była niemal trzy razy mniejsza od Izraela, więc co to, do diabła, jest?

–Seanie! – krzyknęła Harriet. – Mam nowe źródło mocy. Jest potworne i... znajduje się na planecie!

Na wyświetlaczu pojawił się kolejny krag, a nowe źródło mocy ukazało się na horyzoncie planety. Harry miała rację, rzeczywiście było ogromne i... dziwne. Sean skrzywił się, gdy jego kod niepewnie zamigotał.

–Możesz je zlokalizować?

–Probuje. Seanie, moje skanery twierdzą, że to się porusza! Przypomina jakieś... dziwne zagłuszanie, ale nigdy czegoś takiego nie widziałam.

Sean poczuł niepokój. To potężne źródło mocy było samotne, a więc najwyraźniej populacja, która stworzyła te instalacje, nie przetrwała, gdyż ktoś już by się do nich

odezwał. Poza tym jeśli na planecie są reaktory fuzyjne, powinny ich być dziesiątki, a nie tylko jeden. Ale z kolei jak nawet jeden reaktor mógł przetrwać całe tysiąclecie bez ludzi? I co Harry miała na myśli, mówiąc o "poruszaniu się"? Włączył się do jej systemu i obserwował go razem z nią. Do diaska, dziewczyna miała rację. Przypominało to swego rodzaju zagłuszenie, jakby coś nie pozwalało im wziąć reaktora na cel.

–Czy możesz to przełamać, cokolwiek to jest?

–Sadzę, że tak. To przypomina... O, jakie to sprytne! – W jej głosie słychać było podziw i podniecenie. – To źródło nie jest tak duże, jak sadziliśmy, Seanie. Na dole jest co najmniej tuzin – najpewniej dwadzieścia albo trzydzieści – fałszywych źródeł. Ich generatory nie poruszają się, jedynie zmieniają kształt głównego źródła energii. Teraz, kiedy wiemy, co robią, to tylko kwestia czasu...

–Zmiana statusu. – Głos Sandy był pełen napięcia. – Odczyty mocy z satelitów rosną szybko jak rakiety. Seanie, włączają się!

Spojrzał na satelity. To rzeczywiście były pola stazy; teraz znikły i na ich oczach uruchomiły się całe skupiska nowych źródeł. Sean zagryzł wargę, zastanawiając się, co się, u licha, dzieje. Ale dopóki się nie dowie...

–Zawracajmy, Brashanie. Nie wchodzimy zbyt głęboko.

–Kurs zwrotny, przyjąłem – potwierdził Brashan i symbole taktyczne zmieniły się, gdy Izrael zaczął zawracać.

–Mam złe przeczucia – mruknął Sean.

–Pierwsza faza aktywacji kompletna. Wszystkie platformy gotowe.

Vroxhan słuchał melodyjnego głosu wypełniającego Sanktuarium i patrzył na sieć szmaragdów błyszczących na nocnym niebie. To Tarcze Boga świeciły blaskiem życia, jednak nigdy wcześniej nie widział ich tak wielu na raz, nawet podczas odbywającej się raz na dekadę Większej Proby Ognia. Zaiste, nadszedł czas Proby. Vroxhan obliznął wargi i przeszedł do drugiego wersu Kantyczki.

–Uruchomic systemy śledzące – zaintonował dzwicznie.

–Zmiana statusu! – Tym razem Sandy niemal wrzasnęła. – Uruchomienie systemów celu! To są stanowiska broni!

–Spokojnie, Sandy! – warknal Sean. – Brashanie, podnies do zero przecinek siedem! Uniki metoda Alfa Romeo!

–Alfa Romeo, potwierdzam – odparl Brashan z narhanskim spokojem.

–Cel namierzony – obwiescil Glos.

Zlocisty krag wokol pieczeci demonow stal sie krwistoczerwony. W jego wnetrzu ukazaly sie niewielkie symbole, niektore stale, inne zmieniajace sie z oszalamiata predkoscia. Vroxhan nigdy czegos takiego nie widzial; te symbole, ktore pojawialy sie podczas Proby Radiolokacji i Proby Ognia, nigdy sie nie zmienialy. Poczul ogarniajace go uniesienie, gdy zaczal wyspiwywac trzeci wers.

–Rozpoczac cykl uruchamiania broni.

Izrael lecial z pelna predkoscia – od mocy jego napedu az trzeszczaly kosci – gdy Brashan zaczal robic uniki. Sean z jednej strony czul wdziecznosc za wszystkie szkolenia, jakie przechodzili w Akademii, ale z drugiej przeklinal braki w zalodze. Jego umysl musial pracowac zupełnie inaczej niz podczas cwiczen, jego myśli musialy byc szybkie niczym blyskawice – i niemal instynktowne.

–Taktyczny, podniesc tarcze i uruchomic zagluszanie! Zaladowac wabiki do wypuszczenia na sygnal, ale jeszcze nie wypuszczac.

–Tarcze podniesione! – odpowiedziala spokojnie Sandy. – Zagluszanie aktywne. Wabiki przygotowane.

–Przyjeto. Czy zlokalizowalas zrodlo mocy, Harry?

–Nie!

Dziwnie opanowany umysl Seana pracowal na najwyzszych obrotach. Instynkt kazal mu otworzyc ogien, by uprzeditc to, czego moglaby dokonac ta bron, ale jesli slusnie sie domyslal, ze planetarne zrodlo mocy jest jednoczesnie centrum dowodzenia, nie bedzie mogl trafic, dopoki Harry go nie zlokalizuje. Pozostaly mu jedynie platformy, ale one byly tak male i bylo ich tak duzo – ze atakowanie ich bylo z gory skazane na porazke. Co wazniejsze, jeszcze nikt nie zaczal do nich strzelac. Gdyby roz poczeli dzialania militarne, z pewnoscia sprowokowaliby atak, a choc Izrael znajdowal sie poza zasiegiem broni energetycznej, maksymalny zasieg pociskow nadswietlnych Czwartego Cesarstwa przeciwko celowi ich wielkoscii wynosil trzydziestci osiem minut swietlnych, a oni byli o dziesiec minut swietlnych od tej

granicy. Lecac z maksymalna predkoscia, potrzebowaliby czternastu minut, by znalezc sie poza zasiegiem pociskow, dlatego kazda chwila, ktora platformy tracily na zastanawianie sie, czy maja strzelac, byla dla nich bezcenna.

–Cel stosuje uniki.

Vroxhan poczul drzenie serca, gdy Glos przerwal Kantyczke Wybawienia, gdyz nigdy wczesniej nie wypowiedal tych slow. Symbole w krwawym kregu tanczyly szalenczo, demoniczny blask pulsowal i podskakiwal, a wiara mezczyzny slabla. Czujac jednak fale paniki ogarniajacej biskupow i wyzszych kaplanow, powstrzymal drzenie swojego smiertelnego glosu i zaintonowal czwarty wers Kantyczki.

–Zainicjowac sekwencje ostrzalu! – zaspiewal i poczul ulge, gdy Glos odpowiedzial:

–Zainicjowano.

–Aktywacja wyrzutni! Wielokrotna aktywacja wyrzutni!

Sean zbladl, slyszac krzyk Sandy. Platformy uruchomily swoje systemy wspomagajace, a teraz ich wyrzutnie pociskow nadswietlnych zaczely dzialac. Osiagniecie pelnej gotowosci zajmie im kilkanascie sekund, a na dodatek sa ich cale setki.

Poczul w ustach smak krwi. To najgorszy koszmar dla statkuj badawczego: nieuszkodzony, aktywny system kwarantanny. Na – i wet planetoida klasy Asgerd zawahalaby sie przed zaatakowaniem takiej sily, a przeciez oni mieli tylko jednego pasozyta.

–Wypuscic wabiki!

–Wypuszczam, potwierdzam. – Trwalo to zaledwie jedno uderzenie serca. – Pierwsza salwa wabikow wypuszczona. Druga salwa jest przygotowywana.

Na wyswietlaczu pojawily sie oddalajace sie niebieskie plamki – falszywe obrazy, ktore doskonale nasladowaly emisje energii Izraela.

–Aktywowac wyrzutnie pociskow. Wybrac platformy jako pierwszoplanowy cel, ale nie atakowac.

–Wyrzutnie pociskow aktywne – odpowiedziala Sandy glosem bez wyrazu.

–Wrog wypuscil wabiki – stwierdzil Glos.

Vroxhan zacisnal rece na oltarzu, a za jego plecami rozlegl sie przerazony krzyk. Kantyczka juz sie skonczyla! Nie ma wiecej Kantyczek! A tymczasem Glos mowil dalej.

–Wymagane sprawdzenie pozycji wroga i aktualizacja danych. – Wysoki kaplan upadl na kolana. Demoniczne swiatla coraz bardziej sie mnozyly, a on nie wiedzial, czego Glos od niego chce!

–Zainicjowac sekwencje ostrzalu! – powiedzial lamiacym sie glosem.

–Prawdopodobienstwo trafienia bedzie mniejsze bez sprawdzenia pozycji wroga i aktualizacji danych – odparl beznamietnie Glos.

–Zainicjowac sekwencje ostrzalu! – wrzasnal Vroxhan.

Przez krotka, straszliwa chwile Glos milczal.

–Zainicjowano – powiedzial wreszcie.

–Wrogi ostrzal! Powtarzam, wrogi ostrzal!

Po slowach Sandy zapadla smiertelna cisza. Pociski nadswietlne Czwartego Cesarstwa poruszaly sie z predkoscia cztery tysiace razy wieksza od predkosci swiatla i trudno bylo przed nimi sie bronic, gdyz nikt jeszcze nie wpadl na pomysl, jak strzelac do czegos w nadprzestrzeni. Mogli tylko je przyjac... i cieszc sie, ze pociski sa tak daleko. Poruszajac sie z predkoscia rowna siedemdziesieciu procentom predkosci swiatla, Izrael mogl w czasie miedzy wystrzeleniem pociskow a ich dotarciem do celu przebyc prawie poltora miliona kilometrow. Ale wlasnie dlatego bazy obronne mialy komputery sledzace.

Izrael nigdy nie mial stawiac czola takiej mocy ognia, lecz mimo to jego obrona zostala udoskonalona przez Dahaka i Biuro Statkow, by uwzglednic rozwiazania podpatrzone u Achuultan i ich wlasne pomysly. Jego tarcze obejmowaly wiecej pasm nadprzestrzeni, wewnetrzna tarcza byla znacznie blizej kadluba, niz pozwalala na to technika Czwartego Cesarstwa, a do tego mial zewnetrzna tarcze, jaka nie mogla sie pochwalic zadna wczesniejsza generacja imperialnych statkow.

Dlatego tez tylko niewielki ulamek pociskow trafil w cel, lecz mimo to Izrael podskakiwal jak szalony, a Sean niemal wrywal oparcia fotela, gdy glowice trafialy w statek. Niech to diabli! Niech to diabli! Zapomnial uruchomic siec pola przechwytyjacego! Studnie grawitacyjne tuzina gwiazd probowaly rozszarpac

niewielka mase jego statku, a w jego wnętrzu wyły generatory pola.

Vroxhan wstał z kolan, gdy w jego uszach rozległ się znajomy melodyjny ton Proby Ognia. Wzniósł w górę zdesperowany wzrok, czekając, aż demoniczne światła znikną, i modlił się, by tak się stało. Nie wiedział, jak długo będzie musiał czekać – nigdy nie wiedział, nawet w czasie Proby Ognia – gdyż nikt go nie nauczył, jak odczytywać oznaczenia odległości w kregach.

Nagle wszystkie demoniczne światła oprócz jednego znikły i ze – \ brani biskupi odetchnęli z wielką ulgą. Bóg zniszczył wszystkie i demony oprócz jednego! Ale Vroxhan był przerażony. Jeszcze nigdy podczas Proby Ognia nie zdarzyło się, by jedno światło pozostało.

I wtedy Głos znów wypowiedział słowa, których żaden wysoki kapłan nie słyszał.

–Wabiki zniszczone. Ostrzał trwa.

Każdy inny statek Czwartego Cesarstwa zostałby w tym momencie zniszczony. Piec potężnych pocisków przebiło się przez zewnętrzną tarczę Izraela, lecz wybuchł poza wewnętrzną tarczą, a ona... wytrzymała. Jakimś cudem wytrzymała.

–Jezu! – Sean aktywował pole przechwytyjące swojego fotela, gdy tylko wszechświat wokół przestał podskakiwać. Nie wytrzymają wielu takich pocisków!

–Zmień wzór uników na Alfa Mike. Wypuść kolejną salwę wabików.

Tym razem nie było żadnych werbalnych potwierdzeń, przepłynęły do niego przez łącze. Czuli, że przyjaciele się boją, lecz mimo to wykonywali swoje zadania. Co najdziwniejsze, wciąż żyli. Skierowano w ich stronę tyle pocisków, że już powinni nie żyć, a jednak żyli. Ale nie miał czasu zastanawiać się, dlaczego tak jest, i nie było już powodu, by samemu nie atakować.

–Zaatakować wroga! – warknął.

Pierwsza salwa opuściła wyrzutnie Izraela i w tym momencie strach Seana zniknął.

–Wrogów ostrzał – powiedział Głos. – Należy wybrać tryb obrony.

Vroxhan próbował pojąć te słowa, podczas gdy w jego umyśle walczyły ze sobą wiara, groza i wstyd. Wiedział, co to znaczy "należy", ale nie miał pojęcia, co oznacza

"tryb obrony".

–To pilne – powtorzył Głos. – Wymagane wprowadzenie trybu obrony.

Izrael zwinął się z bólu, gdy druga salwa wylonila się w normalnej przestrzeni i rozległo się ostrzeżenie o uszkodzeniach. Jeden z pocisków dotarł zbyt blisko i pancerz, który bez trudu poradziłby sobie z pociskiem nuklearnym, pękł niczym papier pod wpływem mocy, która przedostała się przez wewnętrzną tarczę.

Ale Sean miał wystarczająco dużo czasu, by przyrzec się wzorcowi ataku i wyciągnąć wnioski. Ktokolwiek znajdował się po drugiej stronie, walczył na oslep, równomiernie rozdzielając ogień między Izrael a wabiki, a to było bardzo głupie. Każdy system obronny powinien móc wyeliminować choć część fałszywych obrazów.

Poczuł, jak Tamman aktywuje systemy kontroli uszkodzeń. Okazało się, że nie zniszczono niczego poważnego, więc spojrzał z powrotem na wyświetlacz, akurat w chwili, gdy pierwsza salwa Sandy trafiła w cel.

Twarz Vrokhana zalał pot, kiedy tuzin szmaragdowych Tarcz Boga znikł wśród gwiazd. To demony! Demony to zrobiły!

–To pilne – powtorzył Głos. – Wymagane wprowadzenie trybu obrony.

Wysoki kapłan gorączkowo myślał, ale szło mu to opornie, gdyż myślenie nigdy nie było potrzebne podczas ważnych uroczystości, a jedynie liturgia. Jego umysł rozpaczliwie analizował wszystkie rytuały, szukając słów "tryb obrony", lecz nie mógł sobie przypomnieć żadnej kantyczki, która by je zawierała. Ale zaraz! Nie przypominał sobie żadnej, w której byłyby oba te słowa, lecz w Kantyczce Próby Systemów Konserwacyjnych było słowo "tryb"!

Zadrzał, zastanawiając się, czy odwagi się użyć słów innej kantyczki. A jeśli to są niewłaściwe słowa? Jeśli sprawia, że gniew Boga zwróci się przeciwko niemu?

Sean stłumił triumfalny okrzyk. Źródło mocy na planecie mogło się ukrywać, ale platformy na orbicie były gołe! Nie miały nawet tarczy!

–Wal w nie, Sandy! – warknął i następna salwa Izraela ruszyła do celu w chwili, gdy nadleciała trzecia wroga salwa.

Vroxhan jeknal, gdy zniknal kolejny tuzin szmaragdow. To niemal dziesiata czesc wszystkich Tarcz Boga, a demony wciaz zyja! Jesli zniszcza wszystkie Tarcze Boga, nic juz nie bedzie ich chronic przed swiatem!

–Ostrzezenie. – Glos byl rownie piekny jak zawsze, lecz zdawal sie wrzeszczec w jego umysle. – Potencjal ofensywny zredukowany o dziewiec przecinek szesc procent. Wymagane wprowadzenie trybu obrony.

Krew splamila brode Vroxhana, gdy ze zdenerwowania przygryzl sobie warge. Na jego oczach demony znow zaczely sie mnozyc, wiec doszedl do wniosku, ze musi wypowiedziec slowa z Kantyczki Proby Systemow Konserwacyjnych.

–Wprowadzic autonomiczny wybor trybu! – krzyknal.

Czul, jak wszyscy wpatruja sie w niego z przerazeniem. Wyprostowal sie, oczekujac na Bozy Gniew. Cisza trwala dlugo az do bolu, a potem...

–Uruchomiono autonomiczny wybor trybu obrony – powiedzial Glos.

–Cholera!

Sean uderzyl piescia w oparcie fotela. Udalo im sie trafic trzecia salwa do celu, lecz system obronny w koncu zauwazyl, ze niszcza jego bron, i wokol ocalalych baz orbitalnych pojawily sie tarcze i ich wlasne wabiki. To byla technika Czwartego Cesarstwa, nieporownywalna z ulepszonymi systemami, w ktore Dahak i Biuro Statkow wyposazyli Izrael, ale mimo to wystarczajaca. Zeby zniszczyc choc jedna z tarcz, musieli rzucic przeciwko niej wszystko, co mieli, a przeciez wciaz nie zlokalizowali bazy naziemnej i byli zbyt daleko, zeby probowac.

Postanowil wydac Sandy rozkaz zmiany priorytetow i koncentracji na pojedynczych celach, lecz ona juz to robila.

Statek znow podskoczyl, lecz tym razem atak byl mniej gwaltowny i Sean poczul przyplyw nadziei. Sandy zlikwidowala prawie czterdziesci baz, wiec moze jednak uda im sie przezyc!

Byli w odleglosci ponad trzydziestu jeden minut swietlnych, i gdyby dotrwali przynajmniej do trzydziestu pieciu minut i uciekli systemom celowniczym, mogliby sie zamaskowac i...

Izrael znow podskoczyl i zawylo kolejne ostrzezenie o uszkodzeniu. Cholera! Tym

razem zostały zniszczone dwie wyrzutnie Sandy.

Vroxhan wpatrywał się w gwiazdy i zaczynał mieć nadzieje. Tym razem zniknęła tylko jedna Tarcza. Być może żadna z nich nie zostałaby zniszczona, gdyby wiedział, czego naprawdę pragną Bog i Głos, ale przynajmniej nadal był i zniszczenia były coraz mniejsze. Czy to znaczy, że Bog jednak się do niego usmiechnął? Pismo mówi, że człowiek musi dawać z siebie wszystko – czy Bog obdarzył go łaską, widząc, że już więcej z siebie dać nie może?

Izrael uciekał, podskakując, gdy Sean, Brashan i komputery manewrowe dokonywali wszystkich możliwych rodzajów uników. Harriet porzuciła radiolokację i podłączyła się do podsieci nadzoru nad uszkodzeniami, aby pomagać Tammanowi naprawiać awarie. Dwa kolejne bliskie wybuchy pokiereszowały statek – z powodu utraty jednego węzła napędu jego prędkość zmniejszyła się do sześciu dziesiątych prędkości światła – lecz wrogi ostrzał na szczęście był coraz mniej celny. Sandy zniszczyła trzynastę kolejnych stacji, wyrывая spore dziury w pierwotnej sieci obronnej, lecz Sean widział, jak pozostałe platformy zmieniają położenie, a kolejne zbliżają się z przeciwnej strony planety. Mimo to ostrzał Sandy mógł zmniejszyć ich liczbę na tyle, by to miało znaczenie, zwłaszcza dla zagluszania Izraela.

Ale tak naprawdę wcale w to nie wierzył.

Znow sprawdził odległość. Trzydzieści cztery minuty świetlne. Zostało im jeszcze siedem minut do granicy zasięgu pocisków. Czy wytrzymają tak długo?

Kolejna salwa wstrząsnęła statkiem. Jeszcze jedna. I jeszcze jedna. W łączu Seana pojawił się następny sygnał o uszkodzeniach. Na szczęście zbliżali się już do granicy trzydziestu pięciu minut świetlnych, a poza tym każda salwa nadal atakowała także ich wabiki. Jeśli tamci goście nie potrafią odróżnić ich od wabików, może im się uda.

Vroxhan patrzył, jak demony znow się mnożą. Muszą mieć niewyczerpany zapas jaj, lecz Bog zniszczy wszystkie, które się wyklują, pomyślał. Kolejna chmura szkarłatnych plamek sprofanowała gwiazdy... i znikła.

Pierscien Bożego Gniewu był pusty. Pusty!

Otoczała go cisza i czuł łomotanie własnego pulsu. Zebrani wokół kapłani wstrzymali oddech.

–Cel zniszczony – powiedział Glos. – Walka zakończona. Rozpoczęto procedury naprawy i wymiany. Systemy obronne wylaczone.

–Zgubili nas – powiedziała Sandy cichym, drzacym głosem, gdy Izrael zniknął otoczony polem maskującym. Sean MacIntyre odetchnął głęboko.

Wciąż żyli, choć nie powinni żyć. Żaden mały statek nie mógł przetrwać takiego ostrzału, nawet niewprawnie prowadzonego, a jednak Izraelowi się udało. Jakos się udało.

Zaczęły mu drzeć dłonie. Ich zagłuszanie w trybie maskowania było lepsze niż wszystko to, co wymyśliło Czwarte Cesarstwo, lecz żeby zadziałało, musieli wyłączyć wszystkie możliwe do wykrycia źródła mocy. Sandy została więc zmuszona do odcięcia aktywnych skanerów, projektora fałszywych obrazów i zewnętrznej tarczy, gdyż sięgały poza pole maskujące. Miał nadzieję, że ich zniknięcie zsynchronizowane ze zniszczeniem wabików przekona tamtych gości, że dorwali Izrael, lecz gdyby systemy celownicze ich nie zgubiły, byłiby wystawieni na kolejny cios. Nawet wabiki nie uchroniłyby ich przed następną salwą.

Drzenie dłoni przeniosło się na ramiona, gdy uswiadomił sobie, jak straszliwe ryzyko podjął, a przecież naraził nie tylko siebie. Udało się, ale on nawet się nad tym nie zastanowił. Zadziałał instynktownie, a inni go posłuchali, ufając, że mu się uda.

Zaczął powoli i głęboko oddychać, wykorzystując implanty do obniżenia poziomu adrenaliny we krwi. Teraz, kiedy nad tym rozmyślał, był coraz bardziej przekonany, że być może to wcale nie był taki zły pomysł. Zadziałało, prawda? Ale, Jezus, jakie ryzyko podjął!

Może, powiedział sobie w duchu, kazania cioci Adrienne na temat przesadnie zuchwalej taktyki jednak miały w sobie ziarno prawdy.

Rozdział 16

Nad głową Seana MacIntyre'a migotała grupa gwiazd, a mniejsza, bardziej jaskrawa gwiazda poruszała się u jego stop, gdy robot-spawacz rozpalil piekielny stos. Jego ranny statek dryfował w grobowym mroku prawie godzinę świetlna od gwiazdy układu, ukrywając się w cieniu asteroidy, on zaś przez łącza neuralne kierował spawaczem. Inne roboty już odcięły poszarpane krawędzie wylomu, odbudowały oderwane elementy ramy i przyniosły zapasowe płyty ze stali bojowej. Teraz potężna jednostka spawiała płyty. W innych warunkach takimi rutynowymi zadaniami mogłoby się zajmować system kontroli uszkodzeń, lecz jedno z trafień zniszczyło jedną trzecią urządzeń peryferyjnych działu inżynierii. Zanim Tamman i Brashan ponownie je uruchomia – o ile w ogóle im się to uda – nie można będzie polegać na podsięci

kontroli uszkodzen.

–Jak idzie?

Odwrocil glowe w "helmie" z pola silowego i zobaczyl, jak Sandy zbliza sie do niego, idac wzdluz zakrzywienia kadluba.

–Niezle.

Jego glos byl ochryply ze zmeczenia. Dziewczyna przyjrzała mu sie uwaznie. Nad Seanem wznosil sie potezny pylon, zniszczony przez uderzenie, ktore zmiadzzylo wspierany przezen ciezko opancerzony wezel napedu. On sam stal miedzy grobowa czernia a plomieniami ognia robota-spawacza – pol okrytego kombinezonem ciala ginelo w mroku, a drugie pol plonelo niczym demon – i patrzyl jej prosto w oczy.

–Radzisz sobie lepiej, niz sie spodziewalam – stwierdzila po chwili.

–Aha. Naprawimy ten wylom przed koncem wachty.

–Przed koncem ktorej wachty, gluptasie? Powinienes juz spac.

–Serio? – Wydawal sie naprawde zaskoczony, gdy sprawdzil godzine, a ona nie wiedziala, czy smiac sie, czy plakac na widok jego zmeczonej twarzy.

–A niech mnie. Czy dlatego tutaj przyszlas? Zeby mnie stad zabrac?

–Aha. MacMahan zawsze przychodzi po swoich mezczyzn, i moj mezczyzna powinien zabrac svoj tylek do srodka, zanim zasnie na stojaco na tych swoich wielkich, plaskich stopach.

–Sadze – przeciagnal sie – ze macie racje, kadetko MacMahan, ale co z juniorem? – Wskazal na spawacza.

–Zostalo mu tylko piecdziesiat metrow i mysle, ze mozesz zaufac jego wewnetrznemu oprogramowaniu. A jesli pojdiesz ze mna i dasz sie polozyc do lozeczka, ciocia Sandy obiecuje, ze za jakas godzine wroci tutaj i sprawdzi sytuacje. Umowa stoi?

–Stoi – westchnal. Oboje odwrocili sie i znikli za zalomem kadluba, a samotna gwiazda spawacza czolgalala sie dalej, plonac niczym dusza potepiona w glebinach nieskonczonej nocy.

Brashan wydawal sie wymizerowany, a ludzie wrecz padali ze zmeczenia, kiedy po trzech tygodniach wyczerpujacej pracy naprawili wszystko, co dalo sie naprawic.

–Dobra, ludzie – rzekł Sean. – Nie wydaje mi się, by kierowanie się w stronę kolejnego przystanku było dobrym pomysłem. Czy ktoś się nie zgadza?

Odpowiedziały mu zmęczone uśmiechy i potrząsanie głowami. Gwiazda klasy G6, która wybrali w drugiej kolejności, znajdowała się dwanaście i pół roku świetlnego od ich obecnego miejsca pobytu. Gdyby lecieli z prędkością równą zaledwie połowie prędkości światła – tyle mogli dać z siebie Izrael po odstrzeleniu jednego z węzłów napędu – podróż zajęłaby im siedemdziesiąt pięć miesięcy, choć dla nich trwałaby "zaledwie" pięć i pół roku.

–To dobrze. Nie chciałbym odbyć takiej podróży na próżno, zwłaszcza że wiemy, iż tutaj mamy działającą stocznia.

–To przekonujący argument – odparł Brashan z jednym ze swoich krzywych uśmiechów. – Oczywiście pozostaje jeszcze kwestia przejęcia kontroli nad tą stocznia.

–To prawda – Sean usiadł wygodniej i wpatrzył się w wyświetlacz – ale może to nie będzie takie trudne, jak nam się wydaje. Na przykład wiemy, że energia dla pół stacji na platformach jest przekazywana z naziemnego źródła, więc to pewnie jest kwatera główna. Jeśli tak jest, jej przejęcie pozwoli nam opanować również platformy. A jeśli nie, jej zniszczenie powinno doprowadzić do ich wyłączenia, prawda?

–Zgadzasz się, że to logiczny wniosek, ale jak masz zamiar przebić się przez orbitalne systemy obrony, żeby się do niej dostać?

–Sztuczka, Brashanie. Oszukamy frajerów.

–O rany. Chyba mi się to nie spodoba.

Sean uśmiechnął się, a inni zachichotali, gdy Brashan pomachał grzebieniem w narhanskim wyrazie absolutnego przygnebienia.

–Nie będzie aż tak źle, mam nadzieję. – Sean odwrócił się do Sandy i siostry. – Czy wasze analizy doprowadziły do takich samych wniosków jak moje?

–W dużej mierze – odpowiedziała Sandy, spojrzawszy wcześniej na Harriet. – Zgadzasz się co do tego, że wykryli nas pasywnymi czujnikami. Do czasu uruchomienia ich wyrzutni nie wykryliśmy żadnych aktywnych systemów.

–A ich taktyka?

–Tutaj zaczynają się spekulacje, Seanie, i jedna kwestia wciąż nas martwi – odparła Harriet. – Twoja teoria brzmi logicznie, ale to tylko teoria.

–Wiem, ale posłuchajcie. Ciężko mi to przyznać, ale tak wielka siła ognia powinna była zabić nas jak muche, niezależnie od mojej błyskotliwej taktyki. Ktokolwiek kieruje tymi systemami obronnymi, jest ospały, Harry. Niemrawy i nieporadny.

–Dobrze, ale jak wyjaśnisz jego taktykę obronna? Zdążyliśmy zdyktować trzydzieści sześć platform, zanim inne zaczęły się bronić.

–Czyli jest niemrawy, nieporadny i głupi – podsumował Tamman, wzruszając ramionami.

–Nie zauważasz jednej kwestii, Tam. – Sandy ruszyła Harriet na odsiecz. – Dobrze zaprojektowane systemy obronne nie powinny były pozwolić nam zniszczyć ani jednej platformy, zanim podjęły obronę. Poza tym jak wiele nieuszkodzonych systemów kwarantanny widzieliśmy? Żadnego. To oznacza, że pierwotne oprogramowanie było nie tylko wystarczająco dobre, by sterować bronią, ale jeszcze kierowało przemysłem orbitalnym, podtrzymując funkcjonowanie całego systemu przez czterdzieści pięć tysięcy lat.

Przerwała, by jej słowa do wszystkich dotarły. Tamman pokiwał głową. Ukryte za polem maskującym sondy Harriet, które działały z bezpiecznej odległości czterdziestu minut świetlnych, potwierdziły, że stocznia klasy Radona nie była już tylko w pogotowiu – zaczęła odbudowywać zniszczone przez Sandy platformy.

–Jest jeszcze coś – mówiła dalej. – Pasywne systemy obronne tych platform są całkiem skuteczne jak na standardy Czwartego Cesarstwa, a ta sztuczka z zamaskowaniem źródła naziemnego też jest niezła. Oczywiście to nie jest standardowy sprzęt wojskowy, ale działa. Jeśli tak bystry człowiek, który to wszystko wymyślił, stworzył systemy obronne, dlaczego miałby je tak zaprogramować, by zadziałały dopiero po naszej trzeciej salwie?

–Jak myślisz, co się stało? – spytał Tamman.

–Nie wiemy i to nas martwi. Zupełnie jakby w łańcuchu dowodzenia był ktoś bardzo powolny, niemrawy i nieporadny. Jeśli rzeczywiście tak jest, tym razem najpewniej uratowało nam to życie, ale może nas też zaskoczyć, zwłaszcza jeśli poczynimy niewłaściwe założenia.

–Jasne – przerwał jej Sean. – Ale biorąc pod uwagę, jak dużo czasu zajęło im uruchomienie broni, ten ktoś musi być cholernie krótkowzroczny, prawda?

–Tutaj musimy się z tobą zgodzić – odparła sucho Harriet. – Ale nas przeraża to, co zamierzasz później zrobić, a nie sam fakt zbliżania się do planety.

–Prrr! Zaczekajcie. – Tamman wyprostował się na fotelu inżyniera. – Jakiego zbliżania się do planety? Ma pan przed nami jakieś tajemnice, panie kapitanie?

–Nie. Po prostu obaj tak bardzo byliście zajęci w dziale inżynierii, że przegapiliście naszą dyskusję.

–Coż, teraz już stamtąd wyszliśmy, więc może powiesz nam, o co chodzi?

–To nic trudnego. Ostatnim razem przylecieliśmy radosnie, promieniując energią jak mała gwiazda. Tym razem będziemy meteorytem.

–Wiedziałem, że to mi się nie spodoba – westchnął Brashan, a Sean uśmiechnął się.

–Jestes zły, że sam nie wpadłeś na ten pomysł. Słuchajcie, zbliżyliśmy się na dwadzieścia osiem minut świetlnych, zanim systemy w ogóle zaczęły się uruchamiać, prawda? – Tamman i Brashan pokiwali głowami. – A dlaczego tak się stało? Dlaczego nie zaczęły się wcześniej uruchamiać, kiedy tylko znaleźliśmy się w zasięgu pocisków? W końcu nie mogli wiedzieć, że nie zaczniemy strzelać.

–Uważasz, że dopiero wtedy nas wykryli?

–Owszem, a to pozwala nam się domyślać, jak daleki zasięg mają ich pasywne czujniki. Sandy i Harry przeprowadziły symulację komputerową, zakładając, że wychwycili nas w odległości czterdziestu minut świetlnych – pełne pół godziny przed ich uruchomieniem. Zgodnie z modelem nasze pole maskujące powinno ukryć naped aż do osiągnięcia przez nas odległości minuty świetlnej, jeśli znacznie zmniejszymy jego moc. To oznacza, że możemy podkręcić się naprawdę blisko, po czym wszystko wyłączyć i zmienić się w meteoryt.

–Wydaje mi się, że nadal mamy niewielki problem. – Tamman najwyraźniej miał wątpliwości. – Po pierwsze, gdybym ja projektował ten system, nie pozwoliłbym, aby skala wielkości Izraela uderzyła w planetę. Ustawilbym go tak, żeby rozwalil bydle spory kawał od atmosfery. Po drugie, nie możemy wylądować ani nawet manewrować na orbicie bez napędu, a będziemy wtedy znajdować się w odległości minuty świetlnej. Z takiej odległości rozpoznają, że to statek, i pole maskujące nic nam nie pomoże.

–Ależ nie. – Sean uśmiechnął się niczym Kot z Cheshire. – Powinieneś być przeczytać referat, który napisałem dla komandora Keltwyna w poprzednim semestrze. Nasze jednostki badawcze zdążyły już sprawdzić pozostałości ponad czterdziestu planetarnych systemów obronnych i okazało się, że każdy z nich wymagał ludzkiej autoryzacji, by zestrzelić coś, co nie emitowało energii. Pamiętaj, że ponad połowa tych systemów została stworzona przez cywilów, a nie przez Flotę, i że ich główne komputery były o wiele głupsze od Dahaka. Projektanci musieli mieć pewność, że ich systemy nie zniszcza przypadkiem czegoś, czego nie chcieliby zniszczyć, i dlatego żaden z dotychczas zbadanych systemów nie zaatakowałby meteorytu, niezależnie od jego rozmiarów, bez autoryzacji.

–I co z tego? Cały problem polega na tym, że kiedy uruchomimy napęd, będziemy wydzielac energie.

–No pewnie, ale beda nas widziec przez tak krotki czas, że nie bedzie to mialo wiekszego znaczenia. Lecimy z pelna moca do odleglosci dwoch minut swietlnych, potem hamujemy do dwudziestu tysiecy kilometrow na godzinie, wylaczamy napęd i ladujemy na planecie.

–Jezu Chryste! – jeknal Tamman. – Chcesz przebic atmosfere okretem wojennym z predkoscia dwudziestu tysiecy kilometrow na sekunde?

–A czemu nie? Przeprowadzilem symulacje i okazalo sie, że po zalataniu dziur kadlub powinien to wytrzymac. Wlecimy pod katem, wykorzystamy tarcie atmosfery do wyhamowania, a na wysokosci dwudziestu tysiecy metrow uruchomimy napęd.

–Chyba oszalales!

–O co chodzi, myslisz, że napęd sobie nie poradzi?

–Seanie, nawet bez jednego wezla moj napęd osiaga predkosc rowna szesciu dziesiatym predkosci swiatla w czasie jedenastu sekund. Pewnie, jesli odpowiednio zaprogramujemy manewr i pozostawimy wszystko w trybie automatycznym, powinniśmy wyladowac w jednym kawalku. Ale bedziemy bardzo szybko leciec, kiedy uderzymy w powietrze, a kiedy tak szybko zmniejsza sie tak wielka predkosc, napęd wydziela cholernie duzo energii. Nie ma mowy – nie ma mowy! – zeby pole maskujace to ukrylo!

–Owszem, ale kiedy napęd sie wlaczy, bedziemy juz wewnatrz atmosfery. Watpie, by ten, kto stworzyl system, zaprogramowal go do niszczenia celow oddychajacych powietrzem.

–Hmmm. – Tamman zamyslil sie, a Brashan przygladal sie kapitanowi z powatpiewaniem.

–Czy nie jest to raczej ryzykowne zalozenie, szczegolnie jesli, jak utrzymuja Harry i Sandy, w systemie kontroli jest jakis nieprzewidywalny element?

–Raczej nie. – Harriet sprawiala wrazenie, jakby wbrew sobie zgadzala sie z Seanem. – To jest system kwarantanny i prawdopodobnie mial powstrzymywac ludzi probujacych ucieczki po ataku broni biologicznej. Sean ma racje. Wszystkie systemy, ktore wczesniej widzielismy, wymagaly ludzkiej autoryzacji, by zaatakowac cos, co nie jest statkiem kosmicznym. Ten system nie powinien zwracac uwagi na meteoryty i jest niemal pewne, że nic bedzie strzelac, dopoki cel nie opusci atmosfery. A nawet gdyby tak nie bylo, zapominasz o czasie reakcji. Ponowna aktywacja platform zajmie przynajmniej dwie minuty. System nie bedzie mial czasu,

by nas zobaczyc i uruchomic bron wtedy, gdy my wlaczymy naped, zahamujemy, z powrotem wejdziemy w pole maskujace i wyladujemy.

–To brzmi sensownie. A co zrobimy, kiedy juz wyladujemy?

–I wlasnie tutaj razem z Sandy przestajemy sie zgadzac z naszym nieustraszonym przywodca. On chce, zebysmy wyladowali na szczycie zrodla mocy i je przejele. Ale przeciez zrodlo moze miec wlasne systemy obronne. Nie dowiemy sie tego wczesniej – nie mozemy uzyc aktywnych czujnikow, nie ostrzegajac ich o naszym przybyciu – ale jesli ma wlasna bron, moze byc stale uruchomiona i dopadna nas, zanim sie uaktywnimy i zalatwimy cala sprawe.

–Moglibysmy zniszczyc cala baze z kosmosu – zaproponowal Tamman. – Lecac tak powoli, Harry bedzie miala mnostwo czasu na zlokalizowanie jej pasywnymi czujnikami. Moglibysmy poslac im z odleglosci kilku sekund swietlnych samonaprowadzajacy pocisk podswietlony. Jak sami mowiliscie, nawet jesli go zauwaza, nie beda mieli czasu zareagowac.

–Moglibysmy, i nawet to rozwazalem – zgodzil sie Sean – ale wolalbym raczej przejac ja w calosci. W ukryciu nie mozemy wykorzystywac aktywnych skanerow, ale kiedy wyjdziemy z ukrycia, bedziemy mogli prowadzic bezposrednia obserwacje. To potezny reaktor i musi byc jakis powod, dla ktorego automatyka podtrzymywala jego dzialanie tak dlugo po smierci wszystkich ludzi. Zajrzyjmy tam i dowiedzmy sie, czy uda nam sie zdobyc dodatkowe zrodlo mocy, zanim go zniszczymy. Wolalbym nie zabijac kury znoszacej zlote jaja, jesli to nie bedzie konieczne.

–To ma sens – przyznal Tamman. – To zdecydowanie ma sens.

–A wiec znow wracamy do mojego i Sandy sprzeciwu – zwrocila uwage Harriet. – Jesli nie chcemy zniszczyc bazy z kosmosu, nie powinnismy tez na niej ladowac. Nie teraz, kiedy nie wiemy, czy jest uzbrojona i kim jest ten ktos w lancuchu dowodzenia.

–Sadze, ze dziewczeta maja racje, Seanie – wtracil sie Brashan. – Przyznaje, ze twoj plan wydaje mi sie mniej lekkomyslony, niz zakladalem, ale one maja racje – nie ma powodu, bysmy zbyt pochopnie szarzewali.

–Tam? Zgadzasz sie z nimi?

–Tak – stwierdzil stanowczo Tamman. Sean wzruszyl ramionami.

–Dobra, moze byc wspanialomyslony. A co powiecie na to, zebysmy wyladowali za krzywizna planety, z dala od bazy?

Wysoki kaplan Vroxhan siedział na swoim pozłacanym tronie i przyglądał się wiernym z wystudiowanym spokojem, próbując ocenić ich nastroje.

Matka Kosciol zatrzęsła się w posadach, lecz z bożym błogosławieństwem Proba skończyła się tak szybko, że niewiele spoza Wewnętrznego Kregu miało o niej pojęcie. Później plotka rozeszła się wszędzie na skrzydłach talmahka – przy czym opowieść za każdym razem była coraz bardziej przerażająca – ale udało się ukryć wszelkie wzmianki o nieznanymi słowach Głosu i rozpaczliwej improwizacji wysokiego kapłana. Vroxhan nie był pewien, czy to konieczne, ale uważał, że Wewnętrzny Krag sam powinien rozważyć te kwestie, zanim podda wiare innych próbie, ujawniając wszystkie fakty.

Niezależnie od tego, jak nieortodoksyjne były te wydarzenia, ich wynik wydawał się jasny: nadeszła Proba i demony zostały zniszczone, tak jak obiecywało Pismo. Tysiące lat wiary znalazło swoje uzasadnienie, i stąd właśnie był pomysł zorganizowania tych poważnych uroczystości dziekczynnych i późniejszego konklawe kapłanów.

Ostatni człowiek wszedł na dziedziniec Sanktuarium i Vroxhan unosił dłoń w geście błogosławieństwa, a chor zaczął śpiewać pierwsze majestatyczne nuty Glorii.

Ostatnie cztery godziny były frustrujące.

Izrael wlokł się z żalosną szybkością dwóch dziesiątych prędkości światła, otoczony polem maskującym, które zmieniło go w czarną pustkę. Pasywne systemy czujników były tak ustawione, by natychmiast alarmować o aktywnych systemach wykrywania, lecz poza tym statek był ślepy na wszystko, poza potężnymi źródłami mocy.

Harriet rzeczywiście udało się zlokalizować źródło mocy z dokładnością do pięćdziesięciu kilometrów, co było wystarczające dla ich głowic, lecz Sean pragnął uważnie przyjrzeć się planecie. Niestety systemy optyczne Izraela, nawet w najlepszych chwilach żalosne w porównaniu z aktywnymi skanerami, miały ograniczony zasięg ze względu na pole maskujące. Mogliby wykorzystać napęd, by rozwinąć większą prędkość początkową i przebyć całą drogę bez pola maskującego, lecz nie mogli manewrować ani zwolnić przed wejściem w atmosferę bez maskowania. Sean nie miał pojęcia, jak systemy obronne zareagowałyby na asteroidę, która pojawia się i znika, ale nie chciał tego sprawdzać. I tak ryzykował, zbliżając się tak bardzo do planety przed wyjściem z maskowania. Co ważniejsze, chciał mieć możliwość zawrotu i ucieczki, gdyby zauważyli zmieniający się poziom energii w bazach orbitalnych. Istniała szansa, że systemy obronne coś wychwycą, ale nie będą mogły zlokalizować Izraela i strzelać, natomiast gdyby statek zbliżał się

z większą prędkością, energia napędu niezbędna do wytracenia prędkości mogłaby przebić się przez pole maskujące i zdradzić ich obecność.

Zbliżali się do granicy dwóch minut i ich prędkość coraz bardziej spadała. Tamman i Brashan ostrożnie koordynowali działania, zmniejszając jednocześnie moc napędu i prędkość, i Sean chrząknął z zadowoleniem, gdy napęd w końcu się wyłączył. W idealnym momencie, zauważył, dokładnie przy prędkości dwudziestu tysięcy kilometrów na godzinę. Grawitacja wewnętrzna nadal działała, lecz Izrael już nie emitował energii.

–Dobra robota, chłopaki – mruknął, po czym spojrzał na Sandy. – Opuszczyć pole maskujące.

–Opuszczam – odpowiedziała i wyłączyła ich płaszcz niewidzialności z taką samą dokładnością, jak wcześniej Tamman i Brashan.

Potem cała załoga wstrzymała oddech, gdy Harriet bardzo ostrożnie zaczęła sprawdzać pasywne czujniki.

–Wygląda źle, Seanie – powiedziała po chwili tak cicho, jakby się bała, że systemy obronne mogą ją usłyszeć. – Pola stacji platform są niewzruszone.

Jej towarzysze odetchnęli, a Sandy spojrzała na nich z uśmiechem.

–Jesteśmy na miejscu – zanuciła i wszyscy rozesmiali się w głos.

–Oczywiście, że tak. – Sean również się uśmiechnął, zadowolony, że jego podstęp się udał. – Ale jesteśmy teraz wielkim kawałem skały. – Spojrzał z zadowoleniem na Tammana. – Wygląda na to, że systemy obronne są zaprogramowane na niszczenie statków, a bez emisji energii nie jesteśmy statkiem.

–Nie znoś, kiedy on ma rację – powiedziała Sandy. – Na szczęście nie zdarza się to zbyt często.

Wszyscy znów się rozesmiali, a Sean pogroził jej palcem.

–Dobra. Harry, uruchom teraz systemy optyczne i zobaczmy, co tam mamy.

–Uruchamiam – odpowiedziała jego siostra i błękitno-biała kula planety rozrosła się, wypychając gwiazdy z wyświetlacza. Dzielilo ich niemal trzydzieści sześć milionów kilometrów, lecz jej powierzchnia była zadziwiająco wyraźnie widoczna.

Sean wpatrywał się z przejęciem w morza i rzeki, poszarpane łańcuchy górskie, zielone lasy. Byli pierwszymi od czterdziestu pięciu tysięcy lat ludźmi – albo Narhanami – którzy oglądali tę planetę. Była piękna ponad wszelkie wyobrazenie.

Zadne z nich nawet nie odwazylo sie miec nadziei, ze na zakonczenie ich trudnej podrozy ujrza to zyjace, oddychajace piekno, bo choc wydawalo sie to niemozliwe, planeta zyła. Tutaj, posrodku ruin Czwartego Imperium, zyła.

Sean pochlanial ja wzrokiem, kiedy nagle zeszywnial.

–Hej! Co to...

–Patrzcie! Patrzcie!

–Moj Boze, to...

–Jezu, czy to...

Nieprawdopodobny halas wypelnil mostek, gdyz wszyscy ujrzeli to w tej samej chwili. Harriet nie potrzebowała zadnych polecen, juz przyblizala ten nieprawdopodobny widok. Hologram planety znikl, zastapiony powiekszeniem jednego malutkiego elementu jej powierzchni. Glosy natychmiast umilkly i wszyscy w milczeniu wpatrywali sie w obraz nadmorskiego portu.

–Nie ma zadnych watpliwosci, prawda? – mruknal Sean.

–A niech to. – Tamman pokrecil glowa. – Nie uwierzylbym, gdybym sam nie zobaczył. Do diabla, wcale nie jestem pewien, ze naprawde to widze!

–Moze dobrze, ze nie zniszczyliśmy centrum dowodzenia – powiedziala cicho Sandy.

–Nie ma zadnych watpliwosci – potwierdzil Tamman i zaloga Izraela zadrzala na mysl, ze mogli skierowac bron przeciwko zamieszkanemu swiatu.

–Nie rozumiem tego – myslal na glos Brashan. – Na Birhat jest zycie, wiec teoretycznie musi to byc mozliwe, ale ludzie? Ludzka rasa? – Jego grzebien zakolysal sie w gescie zmieszania, a dlon potarla pysk.

–Jest tylko jedna odpowiedz – stwierdzil Sean. – W tym wypadku system kwarantanny zadzialal.

–Wydaje sie to niemozliwe – westchnela Harriet. – Cudowne, ale niemozliwe.

–Masz racje. – Sean skrzywil sie, spogladajac na wielkie, ufortyfikowane miasto. – I zaraz pojawiaja sie kolejne pytania, prawda? Na przyklad co sie stalo z ich baza techniczna? Systemy obronne nadal dzialaja i kwatera glowna tez, wiec dlaczego oni tak zyja?

Wskazał na obraz, na którym ciągnięte przez zwierzęta plugi przewracaly skiby ziemi, a niewielkie, niskie budynki byly zbudowane z drewna i kamienia i pokryte strzecha. Za ledwie trzydziestki kilometrow dalej wznosily sie zerodowane ruiny starozytnego miasta Czwartego Cesarstwa.

–To nie ma wiekszego sensu, prawda? – spytala Sandy.

–Jak, do diabla, mogli tak sie cofnac w rozwoju, majac taka technike? Gdzie sie podziaili ich pierwotni technicy?

–Moze to jakas miejscowa zaraza? – odpowiedzial Tamman.

–To malo prawdopodobne. – Brashan potrzasnal glowa w ludzkim gescie zaprzeczenia. – Ich medycyna powinna byla sobie poradzic ze wszystkim, poza bronia biologiczna.

–A co z wojna? – zaproponowala Sandy. – Mogli zostac zbombardowani.

–Byc moze, ale czemu zadna z tych wiez nie zostala zrownana z ziemia? – odpowiedzial Sean. – Imperialne glowice niczego po sobie nie pozostawiaja.

–Niekoniecznie. – Harriet przygladala sie wyswietlaczowi, bawiac sie kosmykiem wlosow. – Owszem, masz racje, jesli chodzi o pociski grawitoniczne, ale jesli uzyli malych glowic nuklearnych czy czegos w tym rodzaju? Albo wyprodukowali wlasna bron biologiczna?

–To tez mozliwe, ale nadal nie tłumaczy, dlaczego sie nie odbudowali. Mogli stracic pierwotna baze techniczna – nie wiem jak, skoro stacja naziemna nadal dziala, lecz przyjmijmy taka mozliwosc – ale przeciez widzimy budujaca miasta kulture, ktora rozprzestrzenila sie na co najmniej dwoch kontynentach. Wyglada na to, ze ich przedindustrialna gospodarka rolnicza musi byc bardziej efektywna, niz sie wydaje. Ale czemu przy lak duzej populacji nie stworzyli swojej wlasnej techniki?

–Racja – rzekl Tamman – i zaluje, ze nie znam odpowiedzi na to pytanie. Najwyrazniej maja z tym jakies problemy.

–Owszem, ale jednoczesnie buduja swoje najwieksze miasto dokladnie tam, gdzie wedlug nas powinno sie znajdowac centrum obrony. – Sean pokrecil glowa z niesmakiem. – Jest dokladnie posrodku najwiekszego ladu i w odleglosci piecdziesieciu kilometrow od najblizszej rzeki. Popatrzcie na system kanalow, ktory wybudowali. Jest ich ze dwiescie kilometrow, tylko po to, zeby dostarczac wszystko do miasta. Musi byc jakis powod takiej lokalizacji, i ja moze go sobie wyobrazic, tyle tylko, ze akurat ten powod nie ma sensu w przypadku planety, ktora nie zna techniki!

–Coz – westchnela Sandy – jest tylko jeden sposob, zeby sie tego dowiedziec.

–Ja też tak sadzę – powiedział spokojnie Sean, a później się uśmiechnął. – Niezależnie od wszystkiego mama i tata bardzo się uciesza, że znaleźliśmy planetę, która nie tylko nadaje się do zamieszkania, ale także jest pełna ludzi!

Podświetlony okręt wojenny Izrael wbił się w atmosferę płytko, pod kątem, i wkrótce otoczył go calun ognia. Załoga siedziała na stanowiskach, czując, jak statek drzy podczas spadania. Czujniki temperatury podskoczyły, kiedy gruba bojowa stal pancerza dziobowego zaświeciła na czerwono, później żółto, a wreszcie na białe. Straszliwy blask pelzł po kadłubie i plonał, gdy statek popychał przed sobą kolumnę przegrzanego powietrza. Sean MacIntyre cały czas sprawdzał odczyty instrumentów i próbował zachować spokój.

Komputery manewrowe czekały cierpliwie, by wykonać starannie napisany program i zatrzymać statek. Już wybrali sobie gorszą kryjówkę piętnaście setek kilometrów od największego miasta planety. Będzie dobrze, powiedział sobie po raz tysięczny, i rozesmiał się ze swojego niezmiennego optymizmu.

Wysoki kapłan Vroxhan stał na balkonie i przyglądał się, jak nocne niebo płonie. Jego słudzy wzywali go niemal histerycznie, więc wybiegł tylko w spodniej szacie, by na własne oczy ujrzeć straszliwe pasmo ognia.

Już wcześniej widział spadające gwiazdy i zastanawiał się, dlaczego te dzieła Boskich Rak porzucają wspaniałą firmament, by udać się na powierzchnię świata, gdzie demoniczna zdrada zesłała człowieka, lecz nigdy jeszcze nie widział tak wielkiej gwiazdy. Obserwował, jak gwiazda płonie nad Świątynią niczym Palec Boży, i drzał.

Czy to możliwe...

Nie, Gniew Boży zniszczył demony! Kapłan szybko stłumił tę bluźnierczą myśl – ale niewystarczająco szybko i bał się, że jeśli on tak pomyślał, to wielu z jego o wiele bardziej zacofanej trzódki tym bardziej mogło tak pomyśleć.

Oddechnął głęboko, gdy straszliwe światło znikło za zachodnimi szczytami. Czy wylądować? A jeśli tak, to gdzie? Daleko za granicami Aris, a może nawet Malagor. W takim razie w Cherist? Albo Showmah?

Odwrocił się, aby ukryć się w ciepłych komnatach przed chłodem wiosennej nocy. To nie mogły być demony, pomyślał, a jeśli to nie były one, to zaiste musiało to być dzieło Boga, jak wszystko na tym świecie. Poczul spokój. Bez wątpliwości Bóg przysłał to jako znak i przypomnienie swojego zbawienia, a on musi dopilnować, żeby ta prawda dotarła do ludzi małej wiary, zanim ogarnie ich przerażenie.

Zamknal drzwi balkonu i wezwal sluge. Wiadomosci musza dotrzec do wiezy semafora z pierwszym swiatlem dnia.

Rozdzial 17

Colin MacIntyre zatrzymal sie przed wejsciem do jadalni i przez chwile przygladal sie, jak trzech udreczonych ludzi i tuzin robotow sortuje niezliczone ilosci workow ze staromodnymi listami, ustawiajac z nich papierowe barykady. Nikt go nie zauwazyl, wiec podjal marsz w strone balkonu, postanawiajac skierowac kolejnych ludzi do czytania listow.

Te setki workow, ktore otrzymali w ciagu ostatnich kilku dni, dowodzily, ze mimo aktow przemocy ze strony Miecza Boga i faktu istnienia ukrytego prawdziwego wroga, jego poddani ciesza sie. To nic byly tylko oficjalne, pelne pustych frazesow listy od glow panstw. Przychodzily od ludzi z calego Piatego Imperium, ktorzy wyrazali radosc – i ulge – ze cesarzowa oczekuje narodzin dziecka.

Jednak ich wlasna radosc miala posmak goryczy. Minely ponad dwa lata, a mimo to w ich sercach pozostala bolesna pustka. Byc moze nowe dzieci – lekarze juz potwierdzili, ze ponownie beda to bliznieta – wypelnia te pustke. Mial taka nadzieje. Ale mial takze nadzieje, ze wraz z Tanni nie beda ich porownywac, chocby nawet z miloscia, do utraconych dzieci. Sean i Harriet byli wyjatkwowi i nikt nie mogl ich zastapic, a ich nowe dzieci zaslugiwaly na to, by byc wyjatkowymi na swoj wlasny sposob.

Decyzja nie byla latwa. Przepelnial ich zal, poczucie winy, ze jest to zdrada wobec Seana i Harriet, oraz strach przed nowa strata. Ich bioulepszenia zapewnialy im cale stulecia plodnosci, dlatego czuli wielka pokuse, by jeszcze zaczekac, jednak tak jak wszyscy wladcy musieli myslec o zapewnieniu ciaglosci dynastii.

Nie bylo to cos, czym komandor porucznik MacIntyre z marynarki USA musialby sie martwic, tak samo jak nie pojawilo sie to ani w jego glowie, ani w glowie Tanni, kiedy splodzili Seana i Harriet, gdyz wowczas mysl o wskrzeszeniu starozytnej monarchii wydawala sie absurdalna. Ale jak zauwazyl przed dwudziestu laty Tsien Tao-ling, mimo wielu konfliktow jedynie lojalnosc wobec Korony – wobec osoby Colina MacIntyre'a – utrzymywala ludzkosc w jednosci. Colin byl zaskoczony, slyszac takie slowa z ust glownodowodzacego ostatniego mocarstwa komunistycznego na Ziemi, lecz Tao-ling mial racje, dlatego Colin i Jiltanith nie mieli teraz innego wyjscia, jak tylko myslec w kategoriach ciaglosci dynastii.

Byc moze, doszedl do wniosku, gdy wyszedl na balkon i ujrzal zone drzemiaca w promieniach letniego slonca Bia, to byla dobra decyzja. Nawet jesli zostali w pewnym sensie zmuszeni, ta decyzja pokazywala, ze maja odwage znnow pokochac po tym, jak milosc tak bardzo ich zranila.

Uśmiechnał się i podszedł do Jiltanith. Pochylił się na nią i delikatnie pocałował.

–Obawiam się, że masz rację, Dahaku. – Ninhursag podrapała się po nosie i pokiwała głową. – Przeswietliliśmy wszystkich starszych oficerów – do diaska, doszliśmy już do poziomu poruczników – i wszystkie czarne owce, które znaleźliśmy, już nie żyją, więc wygląda na to, że Pan X ma teraz bardzo ograniczony dostęp do informacji.

–Muszę przyznać, że nie spodziewałem się, iż tak skwapliwie pozbedzie się swoich sług – odparł Dahak.

–Aha.

Ninhursag odchyliła się do tyłu, skrzyżowała nogi i zaczęła rozmyślać. Dahak był niezwykłą pomocą dla oficera służb bezpieczeństwa. Komputer nie posiadał jeszcze umiejętności "kierowania się przecuciem", lecz za to był niesamowicie dokładnym i przenikliwym analitykiem i całkowicie spenetrował sieci danych Bia. Najpierw wraz z Ninhursag drobiazgowo sprawdzili każdego oficera spoza najbliższego otoczenia Colina, a później wykorzystali dostęp Dahaka do wszystkich baz danych w systemie Bia, by zweryfikować swoje analizy. Jeśli było to konieczne, agenci wywiadu przeprowadzali jeszcze śledztwo na miejscu dla uzupełnienia wysiłków Dahaka, zazwyczaj nie uświadamiając sobie nawet, co robią i dlaczego. W efekcie tych wszystkich działań komputer mógł powiedzieć admirał MacMahan, gdzie znajdował się każdy oficer Floty i marines z układu Bia w każdej minucie ostatnich piętnastu lat. Oczywiście nie miał aż takich możliwości spenetrowania Układu Słonecznego. Nawet hiperkom nie był w stanie przekazywać na takie odległości danych w czasie rzeczywistym, a poza tym ziemskie sieci były zdecydowanie bardziej zdecentralizowane niż te na Birhat. Ale nawet biorąc pod uwagę te ograniczenia, jego dostęp do wszystkich rozkazów i raportów wojskowych pozwolił mu oczyścić z podejrzeń większość starszych oficerów Sol.

–Najwyraźniej Pan X wziął sobie do serca powiedzenie "milczy jak grób" – zauważyła Ninhursag.

–To prawda. Jednak eliminując swoich agentów – choć bez wątpliwości zwiększyło to jego bezpieczeństwo – pozbawił siebie ich usług. Wydaje się to nieco przedwczesne, chyba że uzyskał już wszystko, czego potrzebował dla realizacji swoich planów.

–Aha. – Ninhursag skrzywiła się na te trudne do przelknięcia myśli. – Ale mógł też sam siebie przechytrzyć. W każdym razie wiemy o jego istnieniu, a fakt, że nie ma już żadnych doświadczeń, bardzo nam pomaga.

–Z drugiej jednak strony uniemożliwia nam wejście do jego sieci. Wyczerpaliliśmy już

wszystkie dostępne tropy.

–Aha – westchnela. – Cholera, jak ja bym chciała wiedzieć, co on planuje! Siedzenie tutaj i czekanie, aż zrobi kolejny krok, wcale mi się nie podoba. On odnosi zbyt dużo sukcesów.

–Zgadza się. – Dahak zamilkł na chwilę, po czym odezwał się jak na niego dość ostrożnie. – Doszedłem do wniosku, że ograniczenie się do wojskowych, choć było logiczne, mogło mieć niefortunne konsekwencje w postaci zawężenia naszego pola widzenia.

–Jak to?

–Postępowaliśmy zgodnie z założeniem, że Pan X jest wojskowym, ma bliskie związki z wojskiem albo też wojsko jest niezbędne do osiągnięcia jego celów. A jeśli tak naprawdę jest inaczej, być może poświęciliśmy zbyt mało uwagi innym obszarom, w których jesteśmy wystawieni na ciosy?

–To typowy problem służb bezpieczeństwa, Dahaku. Zawsze trzeba zacząć tam, gdzie możemy ustalić "bezpieczną strefę", i właśnie taką mamy – i fizycznie, i w sensie dochodzeniowym. Możemy być raczej pewni, że cały układ Bia jest bezpieczny, więc Colin i Tanni też mogą się nie obawiać bezpośredniego fizycznego ataku, a świadomość, że wojsko jest teraz czyste, daje nam możliwość przeprowadzenia kontrofensywy. Ale jeśli Pan X jest cywilem – nawet gdzieś w kręgach rządowych – nasze szanse na jego znalezienie są znacznie mniejsze.

Dahak wydal z siebie cichy dźwięk oznaczający potwierdzenie. Najniższe stanowiska dla cywilnych polityków i biurokratów nie wymagały aż tak dokładnego sprawdzania ich przeszłości, ponadto cywilów rzadko dotyczyły okresowe kontrole, które wojskowi uważali za rzecz oczywistą. Dlatego brakowało czegoś, co choćby w najmniejszym stopniu przypominało centralną bazę danych Floty Bojowej, i stąd możliwość sprawdzania podejrzanych była znacznie ograniczona.

–Co gorsza – powiedziała po chwili admirał – Pan X wie, jakie ma plany, my nie możemy nawet się domyślać, co najprawdopodobniej zrobi. W takiej sytuacji każdy szef służb bezpieczeństwa zastanawia się, co mógł przegapić.

–To oczywiste. Wspomniałem o tym tylko dlatego, że uważam, iż musimy być przygotowani na różne ewentualności.

–Właśnie dlatego sądzę, że należy jak najbardziej ograniczyć rozpowszechnianie informacji. Szczególnie że nie wiemy, kto w służbie cywilnej mógł zostać przekupiony. Albo kto jest tak samo dobrym obiektem szantazu jak Vincente Cruz.

–To bardzo mądry środek ostrożności. Ale czy nie będzie problemów, kiedy agenci

wywiadu zaczyna działać na Ziemi? Nieuchronnie będą postrzegani jako intruzi, a decyzja, by nie informować nawet najwyższych rangą szefów cywilnych służb bezpieczeństwa, jeszcze zaostrzy sytuację. Może nawet doprowadzić do tego, co ludzie nazywają "wojną o wpływy".

–Jeśli będą jakieś wojny o wpływy, gwarantuję, że będą krótkie. Ostateczną odpowiedzialność za bezpieczeństwo Imperium spoczywa na nas, na moim biurze. Wywiad marynarki jest najwyższą rangą, a jeśli ktoś sądzi inaczej, będę musiała mu pokazać, że jest w błędzie, prawda?

Uprzejmy wyraz twarzy Lawrence'a Jeffersona ukrywał wyjątkowo paskudny nastrój, gdy szedł wraz z Horusem do stacji trans-mat Centrum Shephard. Gubernator był strzeżony przez czujnych strażników, i świadomość, że sprawiły to jego własne działania, bardzo go irytowała. Jednak nie mógł nic zrobić. Wiedział, że zabicie Gusa van Geldera tak wstrząśnie przywódcami Imperium, że będą musieli poważnie przemyśleć całą strategię bezpieczeństwa, lecz zdemaskowanie wtyczki Gusa było koniecznością. A kiedy już to zrobił, musiał się pozbyć jedynej osoby, która wiedziała, że to on miał dostęp do jego notatek.

Właściwie szkoda mu było Eriki, Hansa i Joachima van Gelderów. Gus i tak musiałby zginąć, lecz wyeliminowanie go w tak nieelegancki sposób trochę mu się nie podobało. Z drugiej jednak strony wcześniejsze pozbycie się van Geldera przyniosło lepsze skutki, niż się spodziewał. A jeśli nawet ochrona Horusa jest teraz lepsza, wciąż nie jest nie do przebycia, szczególnie gdy chodzi o jego własnego szefa ochrony.

Ale prawdziwą przyczyną niezadowolenia Jeffersona wcale nie były lepsze zabezpieczenia, które ostatecznie nie miały największego znaczenia, lecz wieści z Birhat. Ostatnia rzecz, jakiej teraz potrzebował, było splodzenie przez królewską parę kolejnych potomków. Już raz był zmuszony pozbyć się ich dzieci, a teraz być może znowu będzie musiał odwalac całą robotę, zwłaszcza że Jiltanith już ogłosiła wolę odwiedzenia ojca na Ziemi na czas narodzin. Akurat teraz, pomyślał z irytacją, kiedy potrzebuje, by ona i Colin znajdowali się na tym samym celowniku na Birhat.

Ale, przypomniał sobie, gdy wraz z Horusem wszedł na platformę trans-mat, nawet imperialna medycyna nie może określić z idealną dokładnością terminu porodu. Jeśli lekarze mają rację, Jiltanith nie zdąży urodzić, gdyż zginie – wraz z nienarodzonymi dziećmi – dwa tygodnie przed porodem.

Książe Terry uśmiechnął się, gdy wraz z zastępcą wszedł do sali konferencyjnej.

Hector MacMahan – wciąż ponury, ale już nie tak zamknięty w lodowej skorupie – przyprowadził Dzwoneczka, a Brashieel zabrał ze sobą Narkhane, jedno z jej genetycznie ulepszonych szczeniąt.

Obaj przyglądali się, jak Narkhana przewraca się, gdy Dzwoneczek skoczyła na niego, i przetacza się po dywan, odpychając ją wszystkimi czterema łapami. Towarzyszyło temu radosne poszczekiwanie obu psów. Jak na ponadtrzydziestoletniego psa Dzwoneczek była – dzięki ograniczonym ulepszeniom – zadziwiająco energiczna, lecz jej syn dysponował jeszcze większą siłą, a ponadto przerastał ją intelektualnie. Nie miała jednak o tym pojęcia, gdyż dzieci nigdy jej tego nie zdradziły. Było coś śmiesznego i jednocześnie wzruszającego w tym, jak w jej obecności powracały do całkowicie psich zachowań.

Hector podniósł wzrok i w tym momencie zauważył nowo przybyłych. Gwizdnął i Dzwoneczek natychmiast znalazła się u jego stóp, dysząc radosnie.

–Horusie, Lawrence. To miło, że udało wam się dotrzeć – powiedział Colin, wstając, by uściskać im ręce. Horus odpowiedział uściskiem, po czym przytulił córkę i usiadł obok Jeffersona.

–Skoro już tutaj jesteśmy – mówił dalej Colin – pozwólcie, że przedstawię wam kogoś wyjątkowego. Horusie, wy już się znacie, ale minęło sporo czasu, odkąd ja widziałeś. Panowie, oto Ewa.

I wskazał na smukłą istotę stojącą obok Brashieela. Była o wiele delikatniejsza od niego i o kilkanaście centymetrów niższa, lecz jej grzebień był wręcz wspaniały. Grzebień Brashieela, tak jak wszystkich Narhan płci męskiej, miał taki sam szarzielony kolor jak reszta jego skóry, natomiast grzebień Ewy był półtora raza większy i wspaniale ubarwiony. Teraz owym grzebieniem poruszył się wdzięcznym gestem, który wyrażał powitanie i podziękowanie za życzliwość oraz odrobinę zazenowania faktem, że wszyscy tak się nią interesują. Horus skinął uprzejmie głową trudno mu było uwierzyć, że Ewa nie ma jeszcze siedmiu lat – a Jefferson się uklonił. A Brashieel niemal nie pękł z dumy. Nie było żadnych wątpliwości, że pierwsza narhanska kobieta zostanie narzeczona pierwszemu narhanskiemu panu gniazda, lecz te dwojke najwyraźniej łączyło nie tylko poczucie obowiązku. Horus cieszył się z tego – i nie tylko dlatego, że stworzenie Ewy było największym osiągnięciem jego niezwykłej córki.

–W planach na dzisiaj mamy kilka kwestii – ogłosił Colin.

Na początek Tanni i ja chcemy, byś się upewnił, czy ziemskie kanały informacyjne są gotowe na nasz przekaz.

–Zaiste. – Uśmiech Jiltanith był niemal tak samo piękny jak kiedyś. Widac było po

niej radość, że znowu zostanie matka. – Matka żadna, chociażby i monarchinia była, takowej dobroci nie doświadczyła, i że dzieciom jej, chociaż ona jeszcze nie opuściła, tak licznie dobrze życza, ojczy. Dusze nasze uleczy powiędzenie im, i że listy ich serca nasze uleczy pomogły.

–Cała przyjemność po mojej stronie – odparł Horus.

–Dziękuję – powiedział ciepło Colin, po czym wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Wiem, że Rada musi rozmawiać o tych wszystkich meczących drobiazgach w rodzaju podatków, budżetów i projektów inżynieryjnych, ale najpierw mamy coś naprawdę ważnego. Ewo?

–Oczywiście, wasza wysokość.

Z syntezy mowy Ewy wydobył się kobiecy głos, na którego dźwięk Horus poczuł łzy pod powiekami. Na prośbę samej Narhanki głos należał do Isis Tudor – Ewa chciała w ten sposób okazać część swojej ludzkiej "matce". Horus kiedyś się obawiał, że słuchanie tego głosu będzie go bolało, ale teraz wcale nie czuł bólu, a jedynie dumę.

Narhanka sięgnęła smukłą szesciopalczystą dłoń do sakiewki przy pasie i wyciągnęła pół tuzina płytek holograficznych. Wzięła jedną z nich i położyła przed sobą, po czym poprawiła ją nerwowym gestem i spojrzała na zebranych ludzi.

–Jak wiecie – powiedziała oficjalnie, co wydawało się nie pasować do jej młodego wieku – Gniazdo Narhan pragnie upamiętnić obleżenie Ziemi darem dla naszych ludzkich przyjaciół. Robimy to z wielu powodów: pragniemy wyrazić żal z powodu śmierci tak wielu ludzi i podziękować za wszystko, co dała nam ludzkość wtedy, gdy mogliśmy jedynie oczekiwać! naszego zniszczenia. Chcemy, żeby nasz dar był początkiem Imperialnego Pomnika, który zostanie ukończony wtedy, kiedy Gniazdo Aku'Ultan również zostanie wyzwolone.

Przerwała, najwyraźniej szczęśliwa, że udało jej się bez żadnych pomyłek wygłosić oficjalne oświadczenie, a grzebień Brashieela unosił się jeszcze wyżej z dumy.

–A oto nasz dar – powiedziała już bardziej naturalnie.

Przycisnęła guzik i wszyscy cicho westchnęli, gdy nad płytka pojawiła się świetlna rzeźba. Nie była w stylu abstrakcyjnym, tak lubianym obecnie przez ludzkich artystów; była to liguratywna reprodukcja innej rzeźby, stworzonej z najdelikatniejszego marmuru... i była wspaniała.

Stojący deba Narhanin walczył z krepującymi go pętami. Okrutna obroza ocierała jego szyję aż do krwi, gdy z całą siłą napierał na masywny lancuch. W jego oczach i opuszczonym grzebieniu widac było rozpacz, lecz jego zęby były odsłonięte w

wyzywajacym usmiechu. Byl pozbawiony nadziei, lecz nie pokonany.

Nie byl jednak sam. Z jego nadgarstkow zwisaly resztki lancuchow – ich doskonale wyrzezbione ogniwa przecieto jakimis ostrym narzedziem – a obok niego kleczal nagi do pasa mezczyzna w spodniach imperialnych marines. W jego zmeczonej twarzy widac bylo taka sama determinacje jak u wieznia. W jednej dloni trzymal dluto, zas druga unosil wysoko mlot.

Szczegoly byly idealnie dopracowane, anatomia doskonala, zupełnie rozna mimika dwoch gatunkow ukazana z niebywala wiernoscia. Na nagiej skorze czlowieka perlil sie pot, zas kazda kropla narhanskiej krwi byla tak realistyczna, ze widz niemal wstrzymywal oddech, czekajac, az spadnie. Czlowiek i Narhanin byli na zawsze uwiezieni w marmurze reka mistrza – i mimo obcosci byli jednocia.

–Moj Boze – wyszeptal Colin. – To... To... Nie mam slow, Brashieelu. Po prostu... – Brashieel opuscil grzebien.

–Widzisz tu jedynie prawde, Colinie – powiedzial cicho. – Moj lud nie ma takiego daru wypowiedania slow jak wy, dlatego utrwalamy prawde w inny sposob. I dopoki to bedzie trwac – wskazal swietlna rzezbe – dopoty my z Gniazda Narhan nie zapomnimy, co dali nam ludzie. Wyruszyliśmy przeciwko wam, uwazajac was za zabojcow gniazd, lecz wy pokazaliscie nam, kim sa prawdziwi zabojcy gniazd, i choc mogliście nas zabic, daliscie nam zycie. Daliscie nam wiecej niz zycie. – Poglaskal delikatnie grzebien Ewy. – Daliscie nam prawde i dlatego my tez dajemy wam prawde. Wszystkim ludziom, ale szczegolnie tobie, gdyz teraz ty jestes naszym panem gniazda.

–Ja... – Colin zarumienil sie po raz pierwszy od wielu lat, po czym podniosl wzrok i spojrzal Brashieelowi prosto w oczy. – Dziekuje. Nigdy nie otrzymamy niczego piekniejszego... i niczego nie bedziemy bardziej cenic.

–W takim razie jestesmy zadowoleni, wysoki panie gniazda.

Lawrence Jefferson wpatrywal sie w rzezbe jak urzeczony; jego zachwyty nie byl udawany. Wreszcie odchrzaknal.

–Brashieelu, czy moge... – Przerwal, po czym wzruszyl ramionami. – Waham sie, by o to prosic, ale czy moglbym dostac hologram tej rzezby, by umiescic go na honorowym miejscu w biurze?

–Oczywiscie. Przynieslismy kilka kopii dla naszych przyjaciol, ale mamy nadzieje, ze nie beda pokazywane przed oficjalna ceremonia.

–Czy moge go wyswietlac, jesli obiecami, ze schowami go przed dziennikarzami?

-To dla nas zaszczyt.

Zastępca gubernatora Ziemi był niemal tak samo dobrze chroniony jak sam gubernator. Nawet kiedy był w swoim domu w stanie Kentucky, który od wielu pokoleń należał do jego rodziny, dyskretni, lecz czujni ochroniarze patrolowali cały teren rezydencji. Żaden z nich nie znalazł jednak tajnych przejść, którymi w razie potrzeby mogli niepostrzeżenie się wymknąć.

Lawrence Jefferson wyszedł z ukrytego tunelu osiem kilometrów od domu. Niedługo jeździła wtedy kolej podziemia, a później, kiedy senator Jefferson został zwerbowany przez Anu, tunel został odnowiony i przedłużony. Nawet najbardziej zaufani podwładni Kirinal nie wiedzieli o jego istnieniu, gdyż Jefferson wprowadził pewne elementy imperialnej techniki, dzięki którym tunel był nie do wykrycia. W swoim czasie prowadził tutaj działania wymierzone w Horusa i skanery okrętu wojennego Nergal, a później przeciwko tym należącym do planetoidy Dahak.

Pojazd powietrzny czekał w zaniedbanej, starej stodole. Jefferson wszedł do środka, po czym ostrożnie, niemal z miłością położył hologram na pustym siedzeniu obok. Nigdy się nie spodziewał, że otrzyma dokładny obraz ukończonej rzeźby. Uśmiechnął się, uruchamiając napęd i nielegalne pole maskujące, po czym cicho ruszył w mrok.

Chociaż rozsadek podpowiadał mu, że nie powinien tego robić, chciał to dostarczyć osobiście. Budował swój plan niczym wprawny szachista, lecz miał także duszę hazardzisty, który czasem czuł, że musi sam rzucić kostkami.

Wylądował przy budynku wyglądającym jak zwykła szopa i poprzez łącze neuralne wprowadził skomplikowany kod dostępu. Po chwili drzwi otworzyły się. Imperialna maszyna stała cicho w jaskrawym blasku lamp, gdy podchodził do rzeźby, która owe maszyny stworzyła jako dokładna kopia dostarczonych przez niego szkiców.

Przywitał go zgarbiony mężczyzna. Nigdy nie widział twarzy swojego pracodawcy bez maski i był pewien, że to zapewni mu bezpieczeństwo. Nie wiedział jednak, że on również zostanie zlikwidowany, kiedy wykona swoje zadanie. Lawrence Jefferson nigdy nie ryzykował w takich sprawach.

–Dobry wieczór – powiedział zgarbiony mężczyzna. – Nikt mi nie powiedział, że przybędzie pan osobiście, sir.

–Wiem, ale przyniosłem prezent. – Jefferson ułożył płytkę na stole roboczym i nacisnął przycisk.

–Wspaniale – wyszeptał mężczyzna, spoglądając to na oryginalną rzeźbę, to na swoje dzieło. – Widzę, że kilka szczegółów trzeba będzie zmienić. Muszę powiedzieć, sir, że to robi nawet większe wrażenie, niż się wydawało na podstawie szkiców.

–Zgadza się – odparł szczerze Jefferson. – Czy będą jakieś problemy z

dotrzymaniem terminu?

–Nie, nie. To tylko kwestia wprowadzenia danych, by jednostka rzeźbiąca wykonała swoją pracę.

–Doskonale. W takim razie chciałbym, żebyś zaraz wziął się do wprowadzenia danych. Muszę to zabrać w drodze powrotnej.

–Oczywiście.

Zgarbiony mężczyzna pochylał się nad swoim sprzętem, a Jefferson cofnął się, splatając ręce za plecami, aby podziwiać dzieło, które już wykonał jego skazany na śmierć pomocnik. Kamień wyglądał zupełnie jak prawdziwy marmur – i powinno tak być, biorąc pod uwagę, ile kosztował.

Doskonale, pomyślał. Jest doskonale. I nikt się nie domysli, jaka tajemnica się w nim kryje, gdyż głowica grawitoniczna i jej obwody uzbrajające są zupełnie niewidoczne.

Rozdział 18

Dowodca Izraela był w ponurym nastroju.

To nie była niczyja wina, ale załoga statku była bystra, kompetentna, pewna siebie... i młoda. I jak to zwykle bystrzy, pewni siebie ludzie, nie doceniali trudności zadania i opóźnienie wyjątkowo ich irytowało. Jednak, pomyślał Sean, jak na ludzi, którzy dopiero w ciągu ostatniej poł godziny lotu dowiedzieli się, że zbliżają się do zamieszkanego świata, nie szło im aż tak źle. A Sandy powiedziała nawet, że ona i Harry mają jakieś dobre wieści.

Wyciągnął się na kapitańskim fotelu i zaczął oglądać obraz pochodzący z jednej z zamaskowanych zdalnie sterowanych sond. Zdecydowali się kierować nimi za pomocą tradycyjnej łączności radiowej – czegoś takiego imperialne systemy skanowania nawet nie badały – zamiast znacznie łatwiejszych do wykrycia komunikatorów przestrzeni złożonej. To ograniczało ich zasięg, lecz i tak był wystarczająco duży, by uzyskali sporo informacji. Sean przyglądał się wiesniakom pielącym na kolanach pole jakichś bulw i zastanawiał się, jak takie coś mogłoby smakować.

Kiedy wreszcie pojawił się Tamman, oderwał wzrok od obrazu i popatrzył na Sandy. Ona i Harriet polegały na pragmatyzmie Brashana, który obalał ich co bardziej szalone hipotezy, i na Tammanie, który skonstruował i prowadził systemy obserwacji, lecz większość pracy nad analizą danych spoczywała na ich barkach, co Sean z wielką radością im pozostawił.

–Okej, Sandy – powiedział. – Zaczynaj.

Przez chwile pocierala czubek nosa, po czym chrzaknela.

–Najpierw dobre wieści: wreszcie mamy cos w rodzaju programu jezykowego. – Sean wyprostowal sie, a ona dodala z usmiechem: – Jak powiedzialam, to dobre wieści. Zle sa takie, ze bez zdolnego filologa bedziemy musielni wszystko robic metoda prob i bledow, przez co wyniki beda niedopracowane.

–Pomaga nam to, ze sa pismienni i posluguja sie maszyna drukarska, lecz jeszcze lepiej byloby dla nas, gdyby stary alfabet przetrwal. Sposrod czterdziestu jeden liter znalazlyśmy tylko trzy, ktore moga pochodzic z jezyka uniwersalnego; reszta wyglada tak, jakby ktos usilowal przetranskrybowac staronordycki na pismo klinowe. Pracujac nocami, udalo nam sie przeskanowac za pomoca sond kilka wydrukowanych ksiazek, lecz niezbyt nam sie przydaly. Sytuacja sie zmienila, kiedy szesc tygodni temu Harry zrobila to nagranie.

Nagranie pochodziło z umieszczonej gdzieś wysoko kamery, która patrzyła w dol, na stojace w kregu dzieci. W srodku kregu widac bylo brodatego mezczyznie w szacie o barwach blekitu i zlota – unosil w gore rysunek przedstawiajacy jednego z tutejszych dziwacznych dwunogich wierzchowcow i wskazywal na umieszczona ponizej linie znakow.

–To jest – mowila dalej Sandy – szkola przy jednej z ich swiatyn. Jak widac, najwyrazniej Kosciol wierzy w powszechna oswiate. Tam zbudowal dla Harry malutka sonde, ktora wyladowala na belce, abysmy mogly co nieco podslychac. Przez jakis miesiac szlag nas trafial, bo niczego nie rozumialysmy, lecz w koncu opracowalysmy w sekcji jezykowej centrum komputerowego Izraela program tlumaczacy, i na poczatku zeszlego tygodnia wszystko zaczelo sie ukladac w calosc.

Sean pokiwal glowa, zadowolony, ze wreszcie cos sie zaczelo dziazac. Angielski byl wspolnym jezykiem calego Imperium i najwyrazniej tak mialo pozostac. Jego zwiezlosc i elastycznosc czynily go znacznie lepszym od uniwersalnego. Uplyw czasu sprawil, ze jezyk Czwartego Imperium i Cesarstwa ulegl skostnieniu, a biorac pod uwage dostepnosc mlodszych, bardziej wszechstronnych jezykow ziemskich, Piate Imperium nie mialo ochoty dalej sie nim poslugiwac.

Ale komputery z czasow Czwartego Imperium poslugiwaly sie wylacznie uniwersalnym. Co gorsza, nie zawsze – jak w przypadku zapisanych funkcji systemowych Matki – komputery mogly byc przeprogramowane, wiec caly personel Floty Bojowej musial poslugiwac sie jezykiem uniwersalnym, czy mu sie to podobalo, czy nie.

Ministerstwo biotechnologii Cohanny stworzylo w odpowiedzi specjalny implant, a

kiedy pojawiła się możliwość zastosowania niezwykle pojemnych obwodów molekularnych, Flota Bojowa zdecydowała o udostępnieniu swojemu personelowi wszystkich głównych języków ziemskich. Ze względu na ich zroznicowanie załoga Izraela miała wbudowane oprogramowanie tłumaczące, co sprawiło, że komputery mogły sklecić słownik miejscowego języka.

–Jak już mówiłam, program tłumaczący jest bardzo niedoskonały, lecz powinniśmy z grubsza rozumieć, co ktoś do nas mówi, ale próba odpowiedzi to już zupełnie inna sprawa. Na razie Harry i ja wyróżniliśmy siedem różnych dialektów i coś, co może być jednym pomniejszonym językiem, lecz bez dalszej pracy nie zdołamy porozumieć się z miejscowymi.

–Jak długo? – spytał Tamman.

–Trudno powiedzieć, Tam, ale potrzebujemy jakiegoś miesiąca na samo wprowadzenie danych. W tej chwili możemy odczytać czterdzieści procent zebranego przez nas drukowanego materiału i wielkość ta ciągle rośnie, lecz daleko nam jeszcze do zrozumienia języka mówionego, a co dopiero do prób jakiegoś sensownego porozumiewania się z tubylcami, chyba że chcemy ich śmiertelnie przestraszyć.

–Hmmm. – Sean zmarszczył brew, spoglądając na zatrzymany obraz nauczyciela. Miał nadzieję na coś więcej, lecz z drugiej strony wiedział, że to nierozsadne.

–Tymczasem jedna z "pożyczonych" przez nas książek – atlas – dała nam podstawy wiedzy o geopolityce planety, która, nawiasem mówiąc, miejscowi nazywają Pardal. Nie możemy znaleźć tej nazwy w żadnych dostępnych nam zapiskach Izraela, więc przypuszczamy, że powstała tutaj, na miejscu.

–A tak mniej więcej wygląda Pardal. – Obraz zmienił się w mapę kilku kontynentów i wielu łańcuchów wysp. Największy zamieszkały kontynent przypominał Seanowi stary samolot lecący na północny wschód, w stronę skutego lodem bieguny; drugi, mniejszy kontynent wyglądał jak jego ogon. – Sporządziliśmy po drodze wystarczającą ilość fotomap, by wiedzieć, że mapy z atlasu nie są idealnie wyskalowane i nie możemy wszystkiego odczytać, lecz wygląda na to, że planeta Pardal jest podzielona na setki feudalnych państw. – Na obrazie rozbłysły czerwone linie oznaczające granice. – W tej chwili jesteśmy tuż za wschodnią granicą tego państwa, które nazywa się, o ile dobrze przetłumaczyłam, królestwem Cherist.

–Ta część, zwana Północnym Hylarem – wskazała na bak z paliwem i skrzydła "samolotu" – wydaje się najbogatszym i najgęściej zaludnionym terenem. Te państwa są większe i zdają się być bardziej wewnętrznie podzielone, co sugeruje, że mogą być starsze. Wydaje nam się, że przez dłuższy czas zachodziło tutaj wzajemne wchłanianie i scalanie ziem; za taką hipotezę przemawia fakt, że miejsce naszego

ładowania tak naprawdę znajduje się w pobliżu największego miasta Północnego Hylaru. – Czerwony kursor rozbłysnął w samym centrum Hylaru.

–Północny Hylar, połączony z Północnym tym przesmykiem, jest słabiej zaludniony, prawdopodobnie ze względu na małą liczbę rzek, z wyjątkiem tej wielkiej, bioracej swój początek w południowych gorach, ale to tylko hipoteza. Jak widzicie, kolejne dwa zamieszkane kontynenty, Herdaana i Ishaar, są po drugiej stronie szerokiego akwenu morskiego, morza Seldan, na zachód od Hylarów. Ostatnie dwa kontynenty leżące na wschodzie nie są zamieszkane; jak wynika z map powietrznych, mają mniej przyjaznej dla człowieka roślinności. Sądymy, że Pardalczycy nawet nie wiedzą o ich istnieniu. Wygląda na to, że nigdy nie zostały poddane terraformacji – co z kolei sugeruje, że nigdy nie były zamieszkane, nawet przed rozprzestrzenieniem się broni biologicznej.

–Środek zamieszkałych kontynentów oba Hylary są bardzo gorzyste, a Ishaar jest bardziej pustynny. Teren Herdaany jest dosyć płaski i wydaje się, że jest to spichlerz Pardal. Wiele ziem w Herdaanie i Ishaar ma hylaranskie nazwy poprzedzone słowem gyhar, czyli "nowy", co sugerowałoby, że zostały skolonizowane lub podbite przez Północny Hylar. To może, choć nie musi, wskazywać na istnienie więzi z krajami macierzystymi. Z drugiej jednak strony istnieją wyraźne dowody rywalizacji między herdaanskimi państwami, lecz nie jesteśmy w stanie odczytać tak dokładnie atlasu, aby mieć co do tego pewność, a cały kontynent znajduje się poza zasięgiem naszych sond.

Przerwała, marszcząc ze złości brwi, po czym wzruszyła ramionami.

–To tyle, jeśli chodzi o strukturę polityczną. Trzeba jednak dodać, że mimo iż te feudalne państwa są teoretycznie niepodległe, cała planeta wydaje się jedną wielką teokracją. To nas zaskoczyło, gdyż biorąc pod uwagę tutejszą prymitywną technikę, sądziliśmy, że zwykłe opóźnienia w komunikacji uniemożliwią działanie jakiegokolwiek instytucji w skali całej planety. Tak było, dopóki nie dowiedzieliśmy się, co to jest.

Pojawił się obraz wysokiej wieży, podobnej do wieży wyrzutni, z dwoma dużymi obracającymi się na osi ramionami. Sandy pokręciła głową niemal z podziwem.

–To, proszę państwa, jest wieża semafora. Większa część powierzchni planety jest pokryta siecią semaforów. Potrzebują statków, które dopływałyby do Herdaany i Ishaar, a biorąc pod uwagę leżące na przesmyku góry, najpewniej wysyłają także kurierów drogą wodną do Północnego Hylaru. Ten system działa wyłącznie za dnia, lecz mimo to mogą przesyłać wiadomości znacznie szybciej, niż się spodziewaliśmy.

–Sprytne – mruknął Sean.

–Wlasnie. Oczywiscie to tylko domysly, ale wyglada na to, ze Kosciol celowo zdecentralizowal wladze swiecka, a kontrola nad siecia lacznosci daje mu ogromna przewage. Smiem twierdzic, ze wykorzystuje to do maksimum, ze kiedy Kosciol mowi "skaczcie", miejscowi ksiazeta pytaja tylko "jak wysoko?". Oprócz wiez semaforowych, w kazdym miescie i wiekszosci wsi bedacych w zasiegu naszych sond jest przynajmniej jeden kompleks koscielny. W wiekszych miastach sa ich dziesiatki i robia tam mnostwo roznych rzeczy. Nasza szkolka to tylko niewielka czesc ich aktywnosci.

–Wracajac do meritum, najwazniejsze miasto jest tam, gdzie zbiega sie siec semaforow – to pardalski odpowiednik Watykanu. Cale miasto jest nazywane po prostu Swiatynia i rzadzi nim najwyzszy kaplan, który sprawuje zarowno wladze swiecka, jak i duchowna. Co ciekawe, tytul owego kaplana wydaje sie brzmiec eurokat a'demostano. – Sean gwałtownie podniosl wzrok, a Sandy pokiwała glowa. – Nawet po tylu tysiacleciach brzmi to zbyt podobnie do eurokath adthad diamostallu, by to byl przypadek.

–Admiral portu – przetlumaczył Sean, spoglądając ze zmarszczonymi brwiami na podświetlona kropke miasta. – Sądysz, że Kosciol ma bezposrednie powiazania z systemem kwarantanny?

–Prawdopodobnie tak – odpowiedziala tym razem Harriet. – Swiadczy o tym miejsce, w którym znajduje sie Swiatynia, i ow tytul "admiral portu". Jesli zachowali dostep do komputera kierujacego systemem, to znaczy, ze musial on byc sterowany wylacznie glosem; tam na pewno nie ma nikogo, kto dysponowalby lacznymi neuralnymi. Jesli obsluguja go na zasadzie recytowania z pamieci, to mogloby wyjasniac, dlaczego system tak powoli i niezdarnie nas zaatakowal. A jesli komputer naprawde jest sterowany glosem, pomysl, co to moze oznaczac. Dla lych ludzi to brzmi jak glos Boga.

–Co tłumaczyloby ogromny autorytet Kosciola.

–Wlasnie – powiedziala Sandy – choc natrafilismy na kilka informacji, ze obecna wladza polityczna Kosciola jest wzglednie nowa rzecza. Moze to rowniez tłumaczyc, jak utrzymali kontakt ze skomplikowana technika, nie wiedzac nawet, ze to technika. Dla nich maszyna jest po prostu bostwem.

–To wszystko – zauwazyl kwasno Tamman – wcale nam nie pomaga, Seanie. To znaczy nie zbliza nas do opanowania komputera. Jesli to jest ich najswietsza rzecz, to sadze, ze dostep do niej bedzie ograniczony, chyba ze utworujemy sobie droge bronia na odleglosc zasiegu lacza neuralnego.

–Do tego jeszcze nam daleko, Tam. Zanim zacniemy cokolwiek planowac, wolalbym najpierw osobiscie przeprowadzic zwiad ha powierzchni planety.

–Mozna – wtracil sie Brashan – ale obawiam sie, ze natkniecie sie na pewien problem. – Zmienil obraz na zblizenie z jednej z kamer. – Przyjrzyjcie sie, jak wyglada typowy mieszkaniac Swiatyni.

–O cholera! – westchnal Sean, a Sandy rozesmiala sie. Przedstawiony na obrazie osobnik mierzył okolo poltora metra wzrostu i miał rude włosy i niebieskie oczy, a wiec był całkowitym przeciwieństwem członków załogi Izraela.

–Oczywiście ja zawsze będę uchodził za obcego, lecz obawiam się, że w przypadku Swiatyni dotyczy to nas wszystkich.

–Niekoniecznie – powiedziała Sandy i Sean rozpromienil się, widząc kolejny obraz.

Tym razem przedstawiony na nim mężczyzna miał ciemne włosy, brązowe oczy, lecz nie tak czarne jak przedstawiciele starej rasy imperialnej – albo Sean i Harriet – i mierzył ponad metr siedemdziesiąt. Co prawda trochę mu brakowało do imponującego wzrostu Seana, lecz już tak bardzo nie różnił się od nich wyglądem.

–To mieszkaniac księstwa Malagor. To jedno z większych państw – jest nieco większe od królestwa Aris, w którym znajduje się Swiatynia – i oddziela go od nas tylko granica Cherist. Obserwowałam je przez nasze sondy i mogę powiedzieć, że Malagorczyści są bardzo niezależnym narodem. Malagor jest wyjątkowo gorzysty nawet jak na Południowy Hylar, wydaje się więc, że są to typowi górale o twardym karku. Nie ma tam zbyt dużej liczby szlachty. Ich dziedziczny władca ma tylko tytuł księcia. W naszym atlasie są mapy historyczne, z których wynika, że w księstwie Keldark, leżącym między Malagorem a Aris, stoczono bardzo wiele bitew. Wygląda na to, że Malagor i Aris to polityczni przeciwnicy i że Aris zwyciężyło dzięki poparciu Swiatyni.

–Niedobrze – mruknął Sean. – Jeśli panuje między nimi odwieczna wrogość, a my będziemy próbowali dostać się do Aris jako Malagorczyści, na pewno nie powitają nas kwiatami.

–Może i nie – zgodził się Brashan – ale należy pamiętać, że Swiatynia to centrum religijne całego świata.

–Aha! Pielgrzymi!

–Być może, ale nie zmieniajmy tematu, Seanie – wtraciła Sandy. – Pamiętaj, że to tylko domysły. (

–Jasne. Możesz z powrotem przywołać mapę?

Sandy zrobiła to i Sean skrzywił się. Izrael ukrywał się pośrodku położonego najbardziej na zachód wysokiego łańcucha górskiego Południowego Hylaru, zaś Aris

leżalo na wschod od jeszcze wyzszego lancucha. Malagor rozciągal sie na nierównym płaskowyzu między tymi lancuchami, które później łączyły się, tworząc gorzysty kregoslup przesmyku prowadzącego do Południowego Hylaru.

–Zaluje, że nie mamy zasięgu, żeby wysłać sondy do Świątyni – mruknął.

–Być może – odparł Brashan – ale z drugiej strony jesteśmy oddzieleni gorami od systemów obserwacyjnych, które Świątynia może posiadać.

–Prawda, prawda. – Sean otrząsnął się. – Dobra, Sandy, świetnie sobie radzicie. Jestem pod wrażeniem, ale musimy dokładniej przeanalizować dane, zanim wystawimy nos na zewnątrz. Czy pomogłoby wam, gdybyśmy podlecieli zamaskowanym kutrem w pobliże Świątyni i wprowadzili do niej parę sond?

–Może. – Sandy zastanowiła się, po czym potrząsnęła głową. – Nie, jeszcze nie. Już i tak dostajemy więcej danych, niż możemy opracować, a wolalabym się nie natknąć na jakies systemy wykrywania, zanim dowiemy się czegoś więcej.

–To ma sens – zgodził się Sean. – W takim razie to by było na tyle, co?

–Obawiam się, że tak. W jednym z miasteczek kawalek na zachód natrafilismy na kościelną bibliotekę i mamy zamiar razem z Tamem wprowadzić tam parę sond. Może nam się uda coś z tego wyciągnąć.

Ojciec Stomald podkasal niebieską szatę i wszedł do lodowatego strumienia, żeby obejrzeć nowe koło wodne. Folniak Folmaksen, budowniczy młynów, czekał na brzegu, krecąc się nerwowo. Stomald zdawał sobie sprawę, że kapłan zawsze musi zachowywać czujność w pobliżu Doliny Przeklętych, szczególnie teraz, gdy niedawna Próba i dziwna spadająca gwiazda przypomniały mu o jego obowiązkach, i w takich chwilach z przykrością uświadamiał sobie swój młody wiek (mimo że ciągle sobie powtarzał, że człowiek nie musi być wiekowy, by słyszeć Boga w sercu).

Dotarł do brzegu strumienia i spojrzał w górę na koło. Rzeczywiście wyglądało dziwnie. Stomald nigdy nie słyszał o kole wodnym poruszonym przez spadającą z góry wodę, lecz widział w tym spore korzyści. Przede wszystkim koło potrzebowało zdecydowanie mniej wody, a to znaczyło, że w bardziej suchych regionach będzie mogło działać przez większą część roku.

Znow się skrzywił, nasłuchując skrzypienia koła, gdy przeprowadzał Test. Było to szczególnie ważne zadanie, gdyż rzemieślnicy Malagom zawsze buntowali się przeciwko nakazom Matki Kościola, a po zakończeniu wojen schizmatycznych stali się jeszcze bardziej niezależni i wielu z nich marzyło o niepodległości Malagom. W ciągu ostatnich sześciu tygodni słyszał co najmniej czterech ludzi pogwizdujących

zakazana melodie "Wolny Malagor", ale nie bardzo wiedzial, jak powinien na to zareagowac. Na szczescie to kolo nie naruszalo zadnej z Zasad. Bylo napedzane woda i nie wymagaloby zastosowania zadnych nowych narzedzi ani technologii. Moglo byc podejrzenie nowatorskie, lecz Stomald nie widzial tutaj jakichkolwiek demonicznych wplywow. W koncu to kolo wodne, jakiego uzywali od niepamietnych czasow.

Zrobil odpowiednio zamyslona mine, brodzac z powrotem w strone zdenerwowanego budowniczego. Czul ulge, ze Folmak nie zastosowal zadnej nowej technologii i ze moze sam podjac decyzje, nie zawracajac glowy biskupowi Frenaurowi. Podobnie jak wiekszosc pralatow, biskup nie lubil opuszczac Swiatyni, z wyjatkiem odbywanej dwa razy do roku wizyty duszpasterskiej.

Wyszedl z wody, probujac ukryc niegodne kaplana dreszcze, a tymczasem Folmak przestepowal z nogi na noge, niemal zalamujac rece. Stomald uswiadomil sobie – nie po raz pierwszy zreszta – ze to absurd, by ktos starszy od jego wlasnego ojca spogladal na niego tak blagalnie. Natychmiast zlajal sam siebie – znow nie po raz pierwszy – za te mysl. Folmak nie oczekiwal, ze Stomald Gerakson bedzie jego przewodnikiem; on oczekiwal, ze bedzie nim ojciec Stomald z Konca Grani, a autorytet ojca Stomalda nie bral sie z jego wieku, lecz z powagi samej Matki Kosciola.

–Dobrze, Folmaku, przyjrzałem się temu – powiedział z powazna mina (nie mohl się oprzec niegodnej kaplana pokusie, aby jeszcze przez chwile utrzymac wyrok w tajemnicy), po czym usmiechnal się. – O ile moge to ocenic, twoje urzadzenie jest zgodne z wszystkimi Zasadami. Jesli udasz się ze mna na plebanie, moge od razu wypisac ci Poswiadczenie.

Na brodatej twarzy budowniczego mlynow pojawil się szeroki usmiech. Stomald rowniez pozwolil sobie na jeszcze jeden usmiech, po czym poklepal Folmaka po umiesnionym ramieniu. Nieskalana niczym radosc sluzenia swej trzodce sprawila, ze wygladal jeszcze mlodziej.

–Wydaje mi się – rozesmial się – ze zostal mi jeszcze maly antalek zimowego ale siostry Yurid. Mysle, ze to odpowiednia chwila, zeby go napoczac, prawda?

Tym razem oczy Sandy blyszczaly z podniecenia. Harriet wydawala się niemal tak samo podekscytowana. Zanim jeszcze wszyscy usiedli, Sandy zaczela mowic.

–Wciaz nie wiemy, dlaczego planeta Pardal stracila baze techniczna, ale przynajmniej wiemy, dlaczego nie stworzyla nowej! Przedostatniej nocy spedzilismy kilka godzin w bibliotece Kosciola, wprowadzajac ksiazki do pamieci sond. Wyglada

na to, że jedno z naszych źródeł to księga o doktrynie Kościoła, a pare innych to kościelne księgi historyczne. Niezależnie od przyczyny Kościół rzucił na technikę anateme.

–Zaraz, zaraz – przerwał jej Sean. – Przecież to nie ma sensu, w każdym razie nie przez czterdzieści pięć tysięcy lat.

–A dlaczego nie?

–Zastanówcie się przez chwilę. Powiedzmy, że w którymś momencie w przeszłości – bardzo dawno temu, oceniając po tym, ile pozostało z imperialnych ruin – Kościół rzeczywiście zakazał stosowania techniki. Mogę sobie wyobrazić kilka przyczyn, które do tego doprowadziły, na przykład sugestie Harry, że przeżyli wojnę atomową albo wymyślili własną broń biologiczną. Każde z tych wydarzeń mogło spowodować śmierć większości ich naukowców, a zniszczenia mogły tak zniechęcić do techniki, że jej efektem była "religijna" postawa antytechniczna. Z pewnością coś sprawiło, że stracili swój pierwotny alfabet, język, naukę – wszystko – ale to wygląda bardziej na systematyczne działania niż jednorazowa akcja zniszczenia.

–Ale dokonawszy tego, po paru tysiącach lat Kościół nie wiedziałby nawet, czym właściwie jest technika. Jak mogliby zapobiec jej ponownemu pojawieniu się w lokalnych odmianach? Jak mogliby ją rozpoznać, nie mając pojęcia, czym jest "rozwinięta technika"?

–Zgoda – stwierdziła Sandy – ale nie masz pełnego obrazu sytuacji. Po pierwsze, nie utracili do końca języka uniwersalnego. Myślaliśmy, że tak jest, dopóki nie natrafiliśmy na kościelne dokumenty. Są zapisane w tak zwanym świętym języku, z wykorzystaniem alfabetu zarezerwowanego tylko dla kapłanów, a święty język jest wedle wszelkich wskazówek zbarbaryzowana wersja uniwersalnego.

–Po drugie, Kościół z pewnością jest powiązany z systemem kwarantanny. W tekście jest kilka odniesień do Głosu Boga. Cały ich rok liturgiczny kręci się wokół czegoś, co musi być głównym komputerem systemu kwarantanny. Maja święta zwane Proba Ognia, Proba Radiolokacji, Wysoka Proba Ognia i tym podobne. Są również wzmianki o Świętych Służebnikach – sadze, że chodzi o mechaników ze stoczni – którzy pojawiają się w tajemniczy sposób w wewnętrznej kaplicy. Nie ma żadnych sygnałów, że ci ludzie rozumieją, co się naprawdę dzieje, ale najwyraźniej wiedza, że celem działania systemu jest ochrona ich świata przed skażeniem. Głos Boga jest częścią bożego planu obrony przed demonami i dowodzi nie tylko istnienia Boga, lecz także ich własnej prawości. Gdyby nie robili tego, co Bóg chce, Jego Głos by im to powiedział, czyż nie?

–Po trzecie, bardzo dawno temu Kościół stwierdził, że Pardańczykom nie wolno korzystać z niczego innego poza siłą mięśni, wody i wiatru, więc nie muszą wiedzieć,

czym jest rozwinięta technika, a ponadto ustalił Zasady, które nie dopuszczają do jej powstania.

–Jest jeszcze coś: skomplikowany proces oceny zwany Testem Matki Kosciola. Pamiętajcie, że mówimy o czymś zapisanym w uproszczonej wersji uniwersalnego, nie zaś w miejscowym języku, co oznacza, że jest to dla nas łatwiejsze do zrozumienia. Najwyraźniej istnieje lista Zasad, które pozwalają ocenić, czy nowy wynalazek narusza ograniczenia związane z siłą napędową oraz czy wymaga zastosowania nowych narzędzi, nowych procedur czy nowej wiedzy. Jeśli tak jest, od razu jest skreślony.

–Zaraz. – Tym razem to Tamman zaprotestował. – Ci ludzie mają proch strzelniczy, a przecież jego wytwarzanie nie opiera się na sile mięśni, wiatru ani wody!

–Owszem – potwierdziła Harriet – ale Kosciol okazjonalnie – bardzo rzadko – daje dyspense przez system specjalnych konklawe, co oznacza, że postęp nie jest całkowicie niemożliwy. Odnalazliśmy informacje o kilku dyspensach na przestrzeni ostatnich sześciuset lat czasu miejscowego – prawie tysiąca ziemskich lat i większość z nich dotyczy całkiem pragmatycznych rzeczy w rodzaju chemii użytkowej, medycyny i rolnictwa. Wciąż mamy po ciemku, ale wydaje się, że były pewne okresy "progresji", które niestety prowokowały w odpowiedzi okresy skrajnie konserwatywne. Kluczowa kwestia pozostaje jednak fakt, że Kosciol wciąż niszczy wszystko, co choćby przypomina metodę naukową, a bez tego nie ma szans na systematyczny rozwój techniki.

–A ludzie to znoszą? – Tamman potrząsnął głową. – Trudno mi w to uwierzyć.

–To ze względu na twoje obciążenia kulturowe – stwierdziła Sandy. – Pochodzisz ze społeczeństwa technicznego i traktujesz technikę jako coś dobrego albo przynajmniej nieuniknionego. Ale ci ludzie myślą zupełnie inaczej. I pamiętaj, że Kosciol uważa, iż Bog jest po jego stronie – mają na to dowód kilka razy do roku, kiedy odzywa się Głos. Ponadto ich inkwizycja ma bardzo paskudne kary dla wszystkich, którzy odważą się zajmować zakazaną wiedzą.

–Inkwizycja? – Sean podniósł wzrok. – To mi się nie podoba.

–Mnie też – odparła Harriet. – Ja musiałam przerwać lekturę już po pierwszym fragmencie, lecz Sandy i Brashan przeszli przez to całe paskudztwo. – Zadrzała. – Nawet ten kawałek, który przeczytałam, będzie mi się snił przez co najmniej tydzień.

–Mnie również – mruknęła Sandy. Jej błyszczące oczy przez chwilę wydawały się udrecone, gdy siedziała z ponurą miną przy konsoli. W końcu otrząsnęła się. – Podobnie jak w przypadku wielu innych nietolerancyjnych religii, ich inkwizycja ma ogromną władzę. Robi to tylko "dla zbawienia duszy heretyka", gdyż umartwienie

ciała jest sposobem na odkupienie grzechów. W ich prawie religijnym jest uswiecona tradycja tortur podczas przesłuchania, co oznacza, że oskarżony zawsze się przyznaje, wiedząc, jaka śmierć go czeka, a... – spojrzała na Seana – egzekucje są jeszcze gorsze. Pour decourager les autres, jak sądzi.

–Brrr. – Sean skrzywił się z odrazą. – Przypuszczam, że każdy "kościół", który ma pod ręką takie narzędzia, może bez trudu utrzymać spokój wśród chłopów.

–Szczególnie że ma do pomocy cały ten tajemny język. Może promować umiejętność czytania i pisanie w języku miejscowym, ale nadal zachowywać przewagę wynikającą z kapłanskiego wykształcenia. A do tego kija ma bardzo wielką marchewkę. Kościół zbiera dziesięciny – na moje oko jakieś dwanaście procent – od każdego mieszkańca planety. Duża część środków jest przeznaczana na budowę świątyni, sztuki religijnej i tym podobne, spora część jest pożyczana świeckim władcom (na około trzydzieści procent), a jeszcze inna idzie na działalność dobroczynną. Widzicie? Kościół ma szlachetnie urodzonych wierzycieli na smyczy, a biedni zwracają się do niego, kiedy nadchodzi gorsze czasy. Seanie, Kościół ma tę planetę pod całkowitą kontrolą!

–Cholera. I to Kościół kieruje naziemną stacją systemu kwarantanny!

–Owszem – westchnęła Harriet.

–Owszem – potwierdziła Sandy – ale pamiętaj, że nadal nie mamy pełnego obrazu. Odkrycie tak zwanego świętego języka może być rodzajem naszego kamienia z Rosetty dla miejscowych języków, lecz wielu kwestii jeszcze nawet nie dotknęliśmy. Na przykład istnieje coś, co nazywają Doliną Przeklętych i co dla mnie brzmi bardzo interesująco.

–Dolina Przeklętych? – powtórzył Sean. – Co to za dolina?

–Jeszcze nie wiemy. Znajduje się w górach północnego Malagom, poza zasięgiem sond. Każdy, kto się tam uda, jest na wieki przeklęty za zadawanie się z demonami. Jeśli stamtąd wyjdzie, musi zostać rytualnie zabity. Wygląda na to, że przygotowania zajmująco najmniej parę dni, a potem pała biedaka żywcem – dodała ponuro.

–Najwyraźniej – powiedział Sean – ten, kto tam jest, stanowi poważne zagrożenie dla uporządkowanej struktury społecznej Kościoła. A w każdym razie oni tak uważają. – Skrzywił się, a po chwili jego oczy zablysły. – Możesz powtórzyć, gdzie dokładnie jest ta dolina?

Rozdział 19

Sean przelatywał u stóp gór z prędkością zaledwie czterystu kilometrów na godzinę, przez co podróż była długa i męcząca, ale nie mógł szybciej lecieć, gdyż

systemy automatycznego sterowania kutra zostały wyłączone i musiał ręcznie pilotować pojazd. Dzięki temu kuter okryty polem maskującym, nie emitujący energii oraz lecący powoli i nisko, poza zasięgiem radaru, mógł pozostać niezauważony, dopóki nie Upewnia się, że systemy kwarantanny nie atakują celów w atmosferze.

Jego umysł zaprzatały różne myśli, chociaż starał się koncentrować tylko na pilotowaniu. Wszystkie wolne miejsca w dwudziestoosobowym kutrze przypominały ludzkiej załozie Izraela, jak bardzo są samotni, lecz Brashan był w jeszcze gorszej sytuacji. Jego wygląd przesadził, że to on miał zostać na pokładzie okrętu wojennego, gdy oni będą badac okolicy. Przyjął te decyzje lepiej, niż Sean przypuszczał, zwłaszcza że postanowili zrezygnować z porozumiewania się przez komunikatory, gdyż mogłyby zostać wykryte. Tak więc Brashan nie tylko nie mógł wziąć udziału w ich wyprawie, ale jeszcze miał się dowiedzieć o jej wynikach dopiero wtedy, gdy wróci!

Waska dolina coraz bardziej się zewzala, więc zmniejszył prędkość o kolejnych pięćdziesiąt kilometrów na godzinę. Latanie na podstawie nawigacji wzrokowej, nawet jeśli jego wzrok był ulepszony, wykańczało go nerwowo, zwłaszcza że pole maskujące powodowało nieuniknione wypaczenia obrazu. Zaklął cicho, gdy dotarli do ostrego zakretu.

–Użyj Mocy, Seanie – wyszeptała mu do ucha Sandy. – Użyj Mocy!

–Wariatka! – prychnął, lecz jego napięte mięśnie nieco się rozluźniły.

Okazało się, że za zakretem ich dolina łączy się z jakąś inną. Sean sprawdził systemy nawigacyjne i skierował się w tę stronę, czując przyływ podniecenia. Druga dolina była jeszcze wezsza i bardziej pokrecona.

Przeleciał kolejnych czterdzieści kilometrów i znowu zaklął – dolina kończyła się ścianą. Zatrzymał kuter, a potem zaczął go wznosić pionowo, trzymając się kamiennej ściany. Mały księżyc Pardał zalewał niskie drzewa, nagie skały i oddalające się po obu stronach góry słabym blaskiem. Marriet odetchnęła gwałtownie, gdy wreszcie znaleźli się ponad urwiskiem.

–Mam coś na pasywnym! – Sean natychmiast zawisł nieruchomo, czekając, aż jego siostra połączy się z czujnikami. – Nie wiem, co to jest, ale dochodzi z tamtej następnej góry.

Sean skrecił, zszedł w dół i ominął kolejny szczyt.

–Teraz zupełnie to zgubiłam! – jękła.

–To dobrze – odpowiedział. – Jeśli my tego czegoś nie widzimy, to znaczy, że to coś też nas nie widzi. A dla twojej informacji, moja siostra, nasz cel jest "za tamtą

następna góra", jeśli dobrze go zlokalizowałaś, więc wygląda na to, że coś tam znajdziemy, kiedy już dolecimy!

Tamman uśmiechnął się do niego, a Sandy podpięła swoje łącze do konsoli Harriet, żeby przejrzeć zapisane odczyty czujników.

–Niewiele, co, Harry?

–Rzeczywiście. Widzę jednak co najmniej sześć różnych źródeł punktowych.

–Aha. A zauważyłaś tamto na zero dwa jeden?

Harriet skrzywiła się, po czym pokiwała głową.

–Silniejsze niż pozostałe, co? Szkoda, że nie mam połączenia z komputerami Izraela\ Cos mi to przypomina, ale nie wiem co.

–Ja też nie wiem. Tam?

Tamman spojrzał przez swoje łącze na wzorzec emisji i wzruszył ramionami.

–Nie mam pojęcia. Większość wygląda jak przypadkowy wypływ mocy, a nie systemy wykrywające, ale to wielkie... – Postukał paznokciami w zęby. – Hmmm. Wiecie co, to może być zasilanie orbitalne. Widzicie to mniejsze źródło na wschodzie? To wygląda jak wypływ z cholernie wielkiego kompleksu kondensatorów, a to duże to z pewnością jakaś transmisja. Może naziemna latarnia dla orbitalnego systemu przekazywania energii?

–Może – mruknęła Sandy. – Trudno uwierzyć, że wciąż działa po tak długim czasie, ale masz rację, to transmisja. To tłumaczy, dlaczego to źródło jest potężniejsze niż pozostałe i skąd się bierze energia dla jakichkolwiek aktywnych instalacji. Ale jeśli to rzeczywiście odbiornik, to oznacza, że Dolina Przeklętych ma aktywne połączenie przynajmniej z jednym satelitą energetycznym. Nawet jeśli jest tylko pasywne, oparte na energii słonecznej, system kwarantanny powinien był zauważyć te transmisje.

–Niekoniecznie – zaprotestował Tamman. – Jeśli ty i Harry macie rację, Świątynia kieruje systemem, wypowiadając wykute na pamięć formułki, więc co mogliby z tym zrobić? A skoro już o tym mowa, czemu w ogóle mieliby rozumiec, o czym mówi ten ich Głos?

–Aha. – Harriet owinęła kosmyk włosów wokół palca i spojrzała na brata. – Myślę, że Tam ma rację, Seanie. Tak czy inaczej, transmisja jest stała, więc to nie jest system wykrywania. Nie widzę też niczego, co by go przypominało, ale wolalabym nie zbliżać się kutrem bardziej niż to konieczne do chwili, kiedy będziemy tego pewni.

–Ja też tak myślę. Co byś powiedziała na tamto łąkowisko?

Wskazał na skalną polkę – szeroka na trzydzieści metrów, porośnięta miejscowymi odpowiednikami trawy i krzewów. Wśród roślinności widoczna była wydeptana ścieżka. – Wygląda na to, że chodziła tu zwierzęta, i prowadzi mniej więcej we właściwym kierunku.

–Jak daleko jesteśmy? – spytał Tamman.

–Okolo trzydziestu kilometrów w linii prostej.

–W porządku – odpowiedział Tamman, a Harriet i Sandy pokiwały głowami.

Sean podszedł kutrem bliżej, aby przyjrzeć się polce. Obok ścieżki wylaniało się z trawy skaliste wybrzuszenie, które nie kryło żadnych pułapek, więc posadził tam pojazd. Utrzymał naped do chwili, aż podwozie się ustabilizowało, po czym odciał moc, ale zachował pole maskujące.

–Uwaga, stacja końcowa. – Bezskutecznie próbował ukryć podekscytowanie. – Bierzmy sprzęt.

Podniósł się z fotela i otworzył szalke z bronią. Sandy i Harriet założyły na ramiona przenosne zestawy czujników, a on sam wziął pas z karabinem grawitacyjnym i podał taką samą broń pozostałym. W górach Malagom żyły przynajmniej dwa paskudne drapieżniki: jeden zwany seldahkiem przypominał krzyżówkę wilka z rosomakiem i był wielkości niedzwiedzia i drugi nieco przypominający dużego kota, zwany kinokha. Oba były bardzo agresywne. Sean w głębi duszy żałował, że na pokładzie Izraela nie ma czegoś mocniejszego niż ich mundury. Syntetyczna tkanina, z której Flota szła swoje mundury, była nieprawdopodobnie wytrzymała i nie wątpił, że powstrzyma pazury kinokhy, ale nie kły seldahka, nie mówiąc już o kulach. Oczywiście było mało prawdopodobne, by tak blisko Doliny Przeklętych i w środku nocy spotkali uzbrojonych miejscowych, jednak kewlarowa bielizna dodałaby mu nieco otuchy. Niestety ani Flota Bojowa, ani imperialni marines nie dostarczali takiego wyposażenia, co pewnie miało sens, biorąc pod uwagę, że jego pancerz bojowy był w stanie wytrzymać strzały z imperialnej broni.

Uśmiechnął się do swoich myśli, gdy wraz z Tammanem przypięli do pasów dodatkowe magazynki i zarzucili plecaki ciężkie od raków, karabinczyków, lin i innego sprzętu do wspinaczki, którego, jak miał nadzieję, w ogóle nie będą potrzebowali. Na koniec poprawił paski plecaka, otworzył właz i poprowadził ich w mrok.

Szlak wydeptany przez zwierzęta był sporym ułatwieniem, choć wcale nie był

prosty, a niektóre z bocznych okazały się niemal pionowe. Tamman prowadził, zaś Sean zamykał pochod, dzięki czemu Harriet i Sandy mogły skoncentrować się na swoich plecach – w których kryły się nie tylko czujniki – nie przejmując się tym, co mogą napotkać na drodze. Cała czwórka poruszała się w tempie, które po kilku minutach doprowadziłoby normalnego człowieka do zadyszki.

Księżyc wciąż był wysoko, gdy Harriet uniosła gwałtownie rękę i kazała im się zatrzymać. Mogli teraz spojrzeć z góry na dolinę, która była celem ich długiej drogi.

Była większa, niż się spodziewali – w najszerszym miejscu miała co najmniej dwadzieścia kilometrów i sięgała daleko w głąb gór. Płytką, bystrą rzeką płynącą dnem doliny błyszcząca w blasku księżyca niczym matowa cyna. Sean spojrzawszy teleskopowo i aż zadrzał z podniecenia. Kształty na obu brzegach rzeki mniej więcej w połowie doliny pokrywała warstwa ziemi, lecz były zbyt regularne i wysokie, by mogły powstać w naturalny sposób.

– Mam takie same odczyty. – Harriet powoli przesuwając czujnikami pasywnego skanera z prawej na lewą i krzywiła się. – Jest też sporo nowych. Są o wiele słabsze i rozrzucone, pewnie dlatego nie zauważyliśmy ich wcześniej.

Sandy pokiwała głową.

– Masz rację, Harry. Większość tego, co widzieliśmy wcześniej, jest ukryta w ruinach, ale około dziesięciu kilometrów na południe mam też linie słabszych źródeł. Wygląda na to, że biegną przez całą dolinę.

– Aha. – Harriet osłoniła oczy wolną ręką, jakby to mogło jej pomóc zobaczyć coś dalej. – Jeszcze jedna taka linia jest tam, gdzie dolina skreca na zachód. Nie jestem pewna, czy to mi się podoba. Odczyty nie są na tyle dokładne, bym miała pewność, ale to mogłyby być pasywne czujniki, bo to bardzo dobre miejsce na jakiś system obronny.

– Racja – zgodziła się Sandy.

– Hmm. – Sean podszedł do skraju urwiska i spojrzawszy w kierunku znaleziska Sandy, lecz nawet mimo wzmocnionego wzroku nie widział żadnych szczegółów. Dno doliny zbyt gęsto porastały niskie drzewa i wysokie gorskie trawy, a blask księżyca i cienie zaburzały widzenie nawet w trybie noktowizyjnym. Z namysłem potarł nos, po czym odwrócił się do pozostałych.

– Czy mamy coś bezpośrednio przed nami? – spytał, wskazując na strome zbocze. Jego siostra potrasnęła głową.

– Nie z tej strony, ale po przeciwnej stronie jest tamto wielkie źródło. A teraz jeszcze coś wylapuje. Masz to, Sandy?

–Nie, ja... O, to dziwne. – Dostroila czujniki. – To cholera nie jest stabilne, jakby od czasu do czasu następowało krótkie spiekanie. – Tym razem to ona się skrzywiła. – Widzisz, jak w tym czasie moc latarni odrobine się waha? Myślisz, że to jakiś system kontrolny?

–Nawet jeśli tak jest, to wygląda na mocno niesprawny. Oceniając po stanie ruin, to wszystko musiało zostać porzucone przed tysiącami lat. – Harriet pomajstrowała przy swoich czujnikach, po czym wzruszyła ramionami. – Rozdzielmy się i zobaczymy, czy nam się uda to namierzyć. Poczulabym się lepiej, gdybym chociaż wiedziała, gdzie dokładnie znajduje się to coś.

–Zgoda. – Dziewczyny rozdzieliły się i zrobiły bardzo dokładne pomiary, po czym Sandy pokiwała głową i wskazała na drugą stronę doliny.

–Okej, widzę to... w pewnym sensie – powiedziała.

Sean stanął za nią i podał jej wzrokiem za jej palcem. W trybie noktowizyjnym niewiele widział, ale kiedy przeszedł na podczerwień, wszystko stało się lepiej widoczne. Nie o wiele lepiej, ale lepiej. Ruiny wyrastały z gołego urwiska, a to, z czego je zrobiono, miało zupełnie inne właściwości termiczne niż sama skala. Z grubej warstwy ziemi na dachu wyrastały małe drzewka, ale pionowe ściany były gołe.

–Macie jakieś inne pomysły na temat tego źródła, skoro już wiecie, gdzie jest? – spytał. Sandy potrząsnęła głową, a Harriet tylko wzruszyła ramionami. – Tego się właśnie obawiałem. Coż, to z pewnością są pozostałości jakiegoś imperialnego stanowiska, i wcale nie jestem zaskoczony, że są w tak paskudnym stanie. Dziwi mnie tylko, że coś tam jeszcze w ogóle działa. Ale wygląda na to, że musimy zejść na dół, jeśli chcemy czegoś więcej się dowiedzieć. Czy ktoś się sprzeciwia?

Nikt nie odpowiedział, więc pokiwał głową.

–Okej, ale rozegramy to jak najrozsadniej. Połączmy się liną. Tam, ty miałeś najwięcej szkolenia dla marines, więc pojdiesz na szczyt. Sandy, ty zostań tutaj na straż, aż wszyscy zejdziemy na dół. Rozglądaj się po okolicy, ale szczególnie pilnuj tego czegoś po drugiej stronie. Harry, ty idź za Tamem z czujnikami, a ja będę szedł na końcu.

Tamman pokiwał głową i wyjął z plecaka dwustumetrowy zwoj syntetycznej liny. Podczas gdy on i Sean przypinali uprząż, Harriet i Sandy dalej analizowały swoje odczyty, lecz bez większych sukcesów. W końcu Sean machnął ręką na przyjaciela i ruszyli.

Tamman bardzo ostrożnie wybierał drogę, gdyż stumetrowe zbocze, choć nie tak pionowe jak naga ściana za zachodem, było strome i zdradzieckie. Ziemia była

miekką i mimo porastającej ją trawę poruszała się, dlatego kilka razy zdarzyło mu się potknąć. Harriet było łatwiej. Była wyższa od niego i nawet z plecakiem o wiele lżejsza, a poza tym mogła iść po jego śladach.

Dla Seana zejście teoretycznie było najłatwiejsze – pomimo jego wzrostu i wagi – ponieważ szedł za nimi i mógł się uczyć na ich błędach, lecz trudno mu było skoncentrować się na marszu. Wciąż patrzył na ruiny po drugiej stronie doliny. Wiedział, że nie powinien tego robić – w końcu Sandy je obserwowała, a on był ostatnim trzymającym linę – lecz nie mógł pohamować ciekawości. Dlatego właśnie umieścił Tammana na szczytach – potrzebowali tam kogoś, kto nie pozwoliłby, aby cokolwiek odciągnęło jego uwagę od wykonywanego zadania.

Ale być może jego ciekawość – fakt, że patrzył w górę, a nie pod nogi – uratowała im życie.

–Cos nadchodzi! – wrzasnęła nagle Sandy.

Skala oddalona dwa metry na prawo od Harriet wybuchła i dziewczyna krzyknęła z bólu, gdy pięciokilowy odłamek kamienia wbił się w jej ramię. Nie przebił wzmocnionej skóry, lecz uderzenie sprawiło, że się przewróciła, a to, jak usiadł sobie później Sean, uratowało jej życie. Ciężki karabin energetyczny potrzebował bowiem jedynie kilku sekund, aby rozwalić skałę w miejscu, w którym stała, na drobne kawałki.

Instynktownie rzucił się, by podtrzymać siostrę, lecz następny pocisk przeciął linę niczym nitką i Harriet potoczyła się w dół zbocza. Rozpaczliwie próbowała ominąć Tammana, wbijając nogi w ziemię, by się zatrzymać, lecz ruchomy grunt był zdradliwy, a on nie zdążył zejść jej z drogi, i w końcu oboje poleciełi na dół. Tymczasem kolejne pociski energetyczne zaczęły gwizdać w mroku, wybuchając w fontannach ziemi, i tylko ich wysiłki i niesprawność starożytnego systemu obrony uratowały im życie.

Sean omal nie poleciał za nimi, gdy ziemia zaczęła usuwać mu się spod stóp, lecz udało mu się jakos utrzymać na nogach i chwycić w ręce karabin grawitacyjny. Poczul, jak ścisną mu się serce, gdy niemal niewidoczny ogień z broni energetycznej sięgnął po jego siostrę i przyjaciela. Na szczęście nikt jego nie ostrzeliwał – najpewniej znajdował się poza zaprogramowaną strefą śmierci. Implanty powiedziały mu, gdzie znajdują się systemy celownicze, i jego broń natychmiast ustawiła się we właściwej pozycji, zasyczała i wystrzeliła wybuchowe strzałki z prędkością pięciu tysięcy dwustu metrów na sekundę. Noc rozświetliły dzikie błyski, gdy strzałki wbiły się w ruiny. Każda z nich miała moc pół kilograma trotylu, i trzask ich wybuchów zmienił się w jeden ogromny ryk, kiedy zewnętrzne mury zaczęły się rozpadać w chmurze odłamków.

Naciskał mocno spust, przeklinając siebie za brak cięższej broni. Nawet jego implanty nie "widziały" na tyle dobrze, by wycelowac w karabiny energetyczne; mogli tylko zalewac je ogniem i modlic sie o trafienie, zanim Harriet i Tamman zgina.

Nagle poczul uderzenie gruda ziemi w skron – najwyrazniej systemy obronne w koncu go spostrzegly. Jego trzystupociskowy magazynek byl juz opozniony, wiec wyrwal nowy zza pasa... i jeknal z bolu, uderzony pociskiem energetycznym. Upadl, ale jakimś cudem udalo mu sie nie poleciec w dol. Tymczasem Sandy tez juz wyciagnela karabin grawitacyjny i wziala sie do dzieła – grzmot jej ostrzalu wypelnil cala doline – zanim Sean przeladowal bron i znow otworzyl ogien. Zaklal paskudnie, widzac, ze Harriet i Tamman zatrzymali sie, lecz przyjaciel natychmiast domyslil sie, co sie dzieje. Objal dziewczynę ramieniem i oboje znow zaczeli sie turlac w dol zbocza, zanim ulamek sekundy pozniej automatyczne systemy obronne zdazyly w nich wycelowac.

Zarosla na szczycie zrujnowanych budynkow zaplonely od ostrzalu Seana i Sandy. Nagle Sean krzyknal, gdy pocisk energetyczny rozerwal jego plecak. Jego system nerwowy przepelnil bol, a wstrzas sprawil, ze karabin wylecial mvi z rak. Slyszal, jak ponad halasem ostrzalu Sandy wykrzykuje jego imie. Probowal chwycic bezwladnymi palcami bron, lecz wtedy doline wypelnil blask jeszcze bardziej gwałtownego wybuchu. Ruiny wystrzelily w gore – to kondensatory dostarczajace karabinom energie rozlecialy sie na kawalki – a Sean MacIntyre w koncu stracil przytomnosc.

–Seanie. – Cichy glos przebil sie przez mrok i mezczyzna otworzyl oczy. Wciaz lezal na zboczach, a jego glowa spoczywala na kolanach Sandy. Zamrugal, a ona usmiechnela sie i starla ziemie z jego twarzy.

–Wszystko w porzadku? Jesteś ranny?

–Ja... – Zakaszal i skrzywil sie, czujac przeszywajacy go bol. Czujniki jego implantow byly szeroko otwarte, gdy probowal znalezc cel, dlatego wyladowanie koronowe pocisku energetycznego moglo przez nie przejsc. Jego nerwy plonely, czul mdlosci, lecz zyl, a bez biowzmocnienia byloby to niemozliwe, zwlaszcza po trafieniu w okolice serca i pluc.

–Ze mna wszystko w porzadku – wychrypial, gdy implanty zaczely dzialac i tlumic bol. Nagle zeszywnial. – Harry! Harry i Tam! Czy oni...

–Z nimi tez wszystko w porzadku – uspokoila go Sandy, przyciskajac z powrotem do ziemi, gdy probowal usiasc. – Karabinom nie udalo sie w nich wycelowac i... – na jej twarzy pojawil sie cien usmiechu – dotarli na dol szybciej, niz zamierzali. Widzisz?

Odwrocil glowe i zobaczyl Harriet machajaca do niego z dna doliny. Tamman nie

patrzył w ich stronę. Ukląkł na jedno kolano i trzymając karabin w gotowości, obserwował okolice, mimo że raczej nie spodziewali się kolejnego ataku. Zamieszanie, jakie wywołali, niszcząc pierwszy system obronny, powinno przyciągnąć uwagę wszystkich aktywnych systemów. Rozluźnił się.

–Dzięki. Gdybys nie zniszczyła go na czas...

–Cicho. – Sandy zakryła jego usta dłonią i z uśmiechem pocałowała go w czoło. – Wszyscy mieliśmy szczęście, że zostawiłeś mnie na tyłach. A teraz bądź tak uprzejmy i zamknij się. Pozwól implantom doprowadzić cie do porządku, zanim ruszymy za Tamem i Harry. Mam nadzieję... – druga dłoń pogłaskała go po włosach – ze zrobimy to nieco spokojniej niż oni.

Rozdział 20

Harriet przyglądała się, jak Sandy i Sean powoli schodzą w dół doliny. Od razu zauważyła, że jej brat chroni lewą stronę ciała i opiera się na Sandy. Już chciała wracać na górę, ale machnięcie ręki przyjaciółki trochę ją uspokoiło.

Gdy wreszcie wylądowali u stop zbocza, podbiegła do nich i mocno uścisnęła brata.

–Hej! – Uniosł rękę do jej zakurzonych czarnych włosów. – Jestem w jednym kawałku i wszystko lepiej lub gorzej działa.

–Jasne – odpowiedziała cierpko, podłączając do niego swoje implanty, lecz po chwili uspokoiła się, gdy potwierdziły jego słowa. To, co pocisk zrobił z jego wzmocnionymi mięśniami, spowoduje, że przez tydzień będzie musiał uważać, ale generalnie uszkodzenia okazały się wyjątkowo niegroźne.

–Jasne – powtórzyła cicho i uniosła głowę, by spojrzeć mu w oczy, po czym pocałowała go w policzek. Sean uśmiechnął się, a po chwili objął obie młode kobiety i pokustykał w stronę Tammana.

–Veni, vidi, vici – powiedział z zadowoleniem. Tamman zaśmiał się i objął przyjaciela, i tak cała czwórka przez chwilę tuliła się do siebie.

–No! – powiedział w końcu Sean. – Wyszło nam trochę idiotycznie, ale przynajmniej jesteśmy na miejscu. Zobaczmy, co znaleźliśmy. Wciąż masz odczyty, Sandy?

Sandy uścisnęła go po raz ostatni i zajęła się swoimi czujnikami – jedynymi, jakie im pozostały po upadku Harriet. Zatoczyła pełen krąg i westchnęła.

–Myśle, że miałeś rację w kwestii odbiornika energii, Tam. Większość źródeł znikła, a te, które jeszcze zostały, szybko gasną. Wygląda na to, że w końcu zniszczyliśmy Doline Przeklętych.

–Wybaczcie mi, jeśli się nie rozplacze – odparł sucho Tamman.

–Jasne, jasne. – Sandy obróciła się na piecie w stronę ruin pośrodku doliny i pokiwała głową. – Wygląda na to, że jeszcze tylko jeden budynek ma jakąś rezerwę, a reszta znikła.

–Chodźmy do tego, który jeszcze działa – zdecydował Sean – ale ostrożnie. Bardzo ostrożnie.

–Mówisz i masz – mruknął Tamman i ruszył przodem w stronę na wpol ukrytych w ziemi starożytnych budynków.

Sięgające do pasa trawy kołysały się na zimnym nocnym wietrze, gęste zarośla i kępy splełanych drzew spowijał blask księżyca. Było to dzikie i opuszczone miejsce, a po ich bitwie wydawało się jeszcze bardziej nawiedzone. Ale to opuszczenie, w połączeniu ze skutecznością, jaka po tak wielu latach wykazały się automatyczne systemy obronne, cieszyło ich, gdyż widac było wyraźnie, że nikt nie próbował dostać się tutaj, by zniszczyć to, co pozostało z Pardał sprzed ataku broni biologicznej.

W końcu dotarli do zrujnowanych budynków. Piasek nanoszony przez stulecia zasypał niższe pietra, lecz mury były całe, a przezroczyły imperialny plastik, zmatowiały ze starości, wciąż wypełniał większość ram okiennych. Inne wyglądały niczym otwarte rany. Sean poczuł dreszcz, gdy zatrzymali się przed starożytną wieżą, w której kryło się jedyne czynne źródło energii – te stare mury wznosiły się nad tą samotną doliną dziewięć razy dłużej niż sfinks nad Egiptem.

Wieża znajdowała się pośrodku dawno umarłej osady. Na jej ceramkowej fasadzie nadal były widoczne blade ślady ozdób, a korzenie drzewa wyrastającego w cieniu budynku – przysadzistego, o grubym pniu i odpadającej włochatej korze – wbijały się w ramę okienną, wyginając plastik, tak że cała tafla wpadła do środka.

Tamman sięgnął do plecaka – który, w przeciwieństwie do plecaka Seana, przetrwał drogę na dół – i wyciągnął bardzo mocno świecąca latarkę, po czym wszyscy zajrzeli do środka budynku. Poplamiona podłoga wyglądała solidnie. Tamman zszedł ostrożnie po pochylni z ziemi, która wiatr naniósł przez rozbite okno, po czym obrócił się dookoła, świecąc lampą po ścianach.

–Wygląda całkiem porządnie. Są tu uszkodzenia spowodowane przez wodę, ale wydaje się, że przedostała się przez okno, bo na ścianach nie ma śladów przesączania. Chcesz, żebym sprawdził drzwi?

–To bardzo dobry pomysł. – Sean próbował ukryć, jak bardzo boli go lewa strona ciała, gdy pokustykał za przyjaciół, lecz Sandy i Harriet od razu znalazły się u jego boku, proponując mu pomoc. Najpierw się rozesmiał, ale potem postanowił, że

przestanie udawac twardziela, i oparl sie na drobnym, lecz silnym ramieniu Sandy.

Tymczasem okazalo sie, ze drzwi nie chca ustapic, i Tamman musial siegnac do plecaka po przecinak.

Gdy wycieta plyta upadla wreszcie na ziemie, zaswiecil latarka do srodka i wyszczerzyl zeby w usmiechu.

–Ludzie, tu nie ma zadnych sladow uszkodzen od wody! I jest jeszcze cos, za co powinniśmy byc wdzieczni. – Swiatlo jego latarki omiotlo spiralny szyb. – Staromodne schody. Balem sie, ze bedziemy musieli schodzic nieczynnymi szybami transportowymi!

–To dlatego, ze masz biedny, ograniczony umysl marine – stwierdzil Sean. – Jesli ten odbiornik byl ich jedynym zrodlem energii, nie mogli jej marnowac na szyby transportowe. – Usmiechnal sie z politowaniem. – To oczywiste.

–No dobra, bystrzaku, idziemy do gory czy na dol?

–Sandy?

Dziewczyna sprawdzila czujniki i wskazala na podloge.

–A wiec schodzimy na dol – powiedzial Sean i pochyлил sie, by przejsc pod zniszczona framuga.

Chociaz nie mieli zaufania do schodow, ktorymi ruszyli na dol, okazalo sie, ze wnetrze budynku jest w zadziwiajaco dobrym stanie. W paru zakurzonych pokojach, ktore mijali po drodze, wciaz staly meble, chociaz tapicerka sie rozpadala – nawet imperialne materialy nie mogly tak dlugo wytrzymac.

Dotarcie do piwnic zajelo im pol godziny, gdyz wieza byla wykuta gleboko w skale, a po drodze musieli jeszcze poradzic sobie z kilkoma zamknietymi drzwiami. Jednak schody wreszcie sie skonczyly i w swietle latarki ujrzeli pol tuzina zamknietych drzwi otaczajacych centralny rdzen. Tamman spojrzal na Sandy i uniosl brew.

–Tamte. – Chlopak popchnal drzwi, ale ku ich zaskoczeniu przesunely sie jedynie o centymetr. Postawil wiec latarke na ziemi i razem z Harriet tak dlugo mocowali sie z upartymi drzwiami, stekajac z wysilku, az w koncu ustapily z cichym jekiem. Omal nie krzykneli, gdy ze srodka wyplynal slaby blask.

–Coz, nadal cos dziala – oglosil bez potrzeby Tamman i cala czwórka ostrocznie weszla do pomieszczenia.

Slaby blask dochodzil od strony konsoli komputera. Harriet i Tamman natychmiast

pospieszyli w tamta strone, zapominajac o potrzebie zachowania ostroznosci. Byl to model cywilny, z wieksza liczba wskaźnikow wizualnych niz sprzet wojskowy. Kilka z nich miało zielony kolor, pozostale były ciemne albo świeciły na żółto lub czerwono. Pochylili się nad konsolą niczym dwie kwoki i zaczęli ostrożnie szukać działającego interfejsu łącza neuralnego.

Pozostala dwojka starala się im nie przeszkadzac. Sean znalazł w miare stabilny blat i opadł na niego z westchnieniem ulgi, obserwujac, jak Sandy bada wszystko dookoła światłem latarki wiszącej u pasa, a jego siostra i przyjaciel pochylaja się nad komputerem.

Było to centrum dowodzenia, gdyż jedyna działająca konsola otaczał tuzin innych, martwych. Lecz w pomieszczeniu było jeszcze coś: sprzety użytkowe i osobiste rzeczy. Ktoś tu mieszkał; być może wprowadził się tutaj, by opiekować się komputerami, kiedy osada zaczęła wymierać.

–Seanie? – Podniósł wzrok, słysząc stłumiony głos Sandy.

Stała w drzwiach po drugiej stronie pomieszczenia i miała dziwną mine. Podniósł się i pokustykał, by zajrzeć ponad jej ramieniem do następnego pokoju. Jego twarz również stezała. To była sypialnia, tak samo zniszczona jak reszta budynku. Na łozku leżało pokryte kurzem zmumifikowane przez suche powietrze ciało mężczyzny.

Jego pergaminowa twarz o charakterystycznych rysach Imperialnego okalały splątane siwe włosy. Był najstarsza istota ludzka, jaka Sean widział, a fakt, że wciąż tu leżał, mroził mu krew w żyłach.

Z drzeniem odwrócił wzrok od zapadniętych oczodołów. Jak musiał się czuć ten mężczyzna, pomyślał, będąc tym ostatnim? Leżąc w pustce ruin i wiedząc, że musi zginąć tak jak żył – samotnie?

Otoczył Sandy ramieniem i wyprowadził ją z pokoju, po czym podeszli w milczeniu do Harriet i Tammana, zajętych komputerem i niczego nieswiadomych.

Kiedy po czterdziestu minutach oderwali się od konsoli, na ich twarzach malowała się dziwna mieszanka zachwytu i rozczarowania.

–I co? – spytał Sean, a Harriet spojrzała na Tammana i wzruszyła ramionami.

–Nie wiemy. Możemy wejść do systemu operacyjnego, ale jest w strasznym stanie. Nigdy nie widziałam czegoś tak zaniedbanego – podejrzewam, że nikt nigdy nie widział – i nie możemy otworzyć żadnego pliku.

–Cholera – mruknął Sean, lecz Tamman potrzaskał głową.

–Moze nie jest tak zle. Podstawowa pamiec padla, ale do systemu jest tez podlaczona pomocnicza pamiec. Przypuszczam, ze ktos podpijal swoj osobisty sprzet jako urzadzenie peryferyjne, i tylko dzieki niemu cos tu jeszcze dziala i mamy szanse odzyskac czesc pamieci.

–Jak duzo? – spytal niecierpliwie Sean. Tamman i Harriet rozesmiali sie.

–Nie powiemy ci, dopoki nie zabierzemy sie na serio do roboty, a tego nie mozemy zrobic tutaj. Potrzebny nam bedzie warsztat elektroniczny Izraela. Bedziemy musieli wyciagnac jednostke i zabrac ja ze soba.

–Boze! – Sandy uklekla i przeciagnela palcami po zakurzonej konsoli, zagladajac do srodka przez implanty. – To bedzie cholernie ciezka robota, Tam.

–Wiem. – Oparl dlonie na biodrach i spojrzal na migajace wskazniki. – I nie za bardzo podoba mi sie pomysl wyciagania go stad na wlasnym grzbiecie. To cos jest cholernie delikatne i zrzucenie go ze dwa razy z urwiska na pewno mu nie pomoze.

–Mam lepszy pomysl – powiedziala Harriet. – Sandy i Sean rozwalili w drobny mak to, co jeszcze zostalo z systemow obronnych, wiec moze bezpiecznie wrocic po kuter, a w tym czasie wy dwoje bedziecie to rozbierac.

–To doskonaly pomysl – mruknal Tamman.

–No nie wiem, Harry – odezwal sie Sean. – Jestescie lepszymi technikami ode mnie, wiec moze ja wroce, a wy we troje bedziecie nad tym pracowac.

–Ty, braciszku drogi? – parsknela. – Predzej wzejdzie slonce, niz ty dokustykasz do kutra.

–Hej, az tak zle ze mna nie jest!

–Moze nie, ale droga bylaby dla ciebie trudna, a Tam i Sandy sa lepszymi mechanikami ode mnie. Dlatego to ja powinienam pojsc. Poza tym jeszcze nie przespacerowalam sie porzadnie od chwili, gdy Terra wyrzucila nas na zewnatrz.

Seanowi nie podobal sie pomysl rozdzielenia sie i samotnego marszu ktoregos z nich, lecz musial przyznac, ze w drodze do doliny nie napotkali niczego niepokojaacego. Zaden z miejscowych drapieznikow, jesli w ogole byly w okolicy, nie pokazal sie, tak samo malo prawdopodobne bylo, aby ktorys z Pardalczykow wloczyl sie po Dolinie Przekletych w samym srodku nocy. No i Harriet nie mylila sie w kwestii jego samopoczucia. Wolalby nie byc zmuszonym do spaceru z powrotem do kutra; tak naprawde sama mysl o tym go przerazala.

–Dobrze – zgodzil sie w koncu. – Zostane tutaj, bede im przytrzymywal swiatlo,

podawał narzędzia i takie tam, ale miej przez cały czas włączona latarkę przy pasku. To powinno zniechęcić miejscowe drapieżniki do zastanawiania się, jak smakujesz. I naprawdę uważnie przyjrzyj się odczytom pasywnych czujników, zanim spróbujesz tutaj wylądować! Pewnie masz rację, że system obronny padł, ale nie ryzykuj.

–Tak jest, panie kapitanie!

Zasalutowała mu bezczelnie, po czym obrocila się i uciekla ze smiechem, gdy ruszył w jej stronę. Zatrzymała się jeszcze w drzwiach, by pokazać mu język, a później jej szybkie, lekkie kroki ucichły na schodach. Sean z uśmiechem potrząsnął głową i usiadł ostrożnie na podłodze obok Sandy i Tammana, którzy tymczasem wyjęli narzędzia i zaczęli już zdejmować front konsoli.

Harriet biegła wesoło przez mrok ze stałą prędkością czterdziestu kilometrów na godzinę. Sean może i był czternastą centymetrów wyższy, lecz jej nogi były niemal równie długie, a do tego była dużo lżejsza. Bez dodatkowego ciężaru w postaci plecaka z czujnikami i jedynie z karabinem grawitacyjnym wbiegała nawet po stromych zboczach, i bardzo jej się to podobało. Księżyc zaszedł, lecz latarka przy pasku była wystarczającym źródłem światła dla kogoś ze wzmocnionym wzrokiem. Bieganie po bieżni na pokładzie Izraela było niczym w porównaniu z czystą radością napelniania płuc chłodnym góskim powietrzem.

Dotarcie do polki, na której wylądowali kutrem, zajęło jej niecałe osiemdziesiąt minut. Zatrzymała się, żeby wytrzeć pot z czoła, po czym potruchtala nieco ostrożniej, pamiętając o stumetrowej przepasci po prawej stronie.

Była niecały kilometr od kutra, kiedy nagle poderwała głowę, otworzyła szerzej oczy i zatrzymała się gwałtownie.

Odwrocila się i uruchomiła wszystkie implanty, badając noc. Ludzie! Przynajmniej tuzin ludzi wychodzących zza zakretu! Jej implanty powinny być szybciej ich dostrzec, ale za mało zwracała uwagi na otoczenie, a za dużo na przyjemność biegania. Lecz zamiast wściekać się na swoją głupotę, zaczęła się zastanawiać, co robią tutaj w środku nocy, bez ani jednej pochodni.

Zgasila latarkę i odwróciła się w przeciwną stronę, a wtedy ktoś krzyknął ostro i rozkazująco. Cholera! Zauwazyli ja!

Zrezygnowała z próby ostrożnego wymknięcia się i ruszyła z oszalamiającą prędkością, której nie mógł dorównać żaden człowiek bez ulepszeń. W jej głowie klebiły się myśli. Ustalili, że nie będzie używać komunikatorów, gdyż mogłyby zostać wykryte, ale jeśli tutaj są ludzie, może ich być więcej, i to bliżej Doliny. Musi ostrzec pozostałych i...

Rozblyśły światła i za jej plecami rozległ się grzmot. Coś gwizdnęło obok jej ucha, a coś innego wbilo się w jej lewą łopatkę. Zatoczyła się i chwyciła karabin grawitacyjny odrzucony na bok przez brutalne uderzenie, a w jej nerwach eksplodował ból. Kolejny ognisty młot trafił ją w bok, znowu wrywając jej z dłoni karabin, lecz nim tak naprawdę zdążyła to zauważyć, pojawił się kolejny błysk i szesdziesięciogramowa ołowiana kula uderzyła ją w prawą skronię.

Rozdział 21

–Wylaz stąd, ty...

Tamman przerwał w połowie potok przekleństw i z szerokim triumfalnym uśmiechem ostrożnie przeniósł na podłogę błyszczący blok obwodów molekularnych.

Wyjście go okazało się trudniejsze, niż Sandy myślała. Nawet implanty nie mogły przesledzić przebiegu obwodów w trzech wymiarach bez schematu, a zbyt późno odkryli, że o wiele prościej byłoby odłączyć konsole od ściany i sięgnąć od tyłu. Do tego kurz, który przebił się przez starożytne zamknięcia, drażnił oczy i wywoływał ataki kichania. Ale po ponad dwóch godzinach zmuśonej roboty w końcu osiągnęli cel i Sean odpowiedział uśmiechem na zadowolona minę Tammana.

–Ufff! – Sandy powachlowała się brudną ręką. – Kiedy pomyśle, o ile by było szybciej, gdybyśmy to mogli zrobić w normalnym warsztacie...

Sean uśmiechnął się, a potem nagle spochmurniał.

–Hej, czy Harry nie powinna już wrócić?

Sandy i Tamman wpatrywali się w niego i czuli, że są tak samo jak on zaskoczeni. Cała trojka nie zwracała uwagi na upływ czasu, gdy zajmowali się patroszeniem konsoli, ale teraz widział, jak ich zaskoczenie przechodzi w zafascynowanie.

–Cholerna prawda! – Tamman podniósł się i chwycił latarkę. – Ona biegnie tak szybko, że dotarcie do kutra powinno jej zająć najwyżej dwie godziny!

Sean natychmiast ruszył w stronę schodów i jęknął, gdyż ranny bok zeszytywniał w tym czasie, gdy przyglądał się pracy przyjaciół. Na jego czole pojawił się pot. Zaklął pod nosem i ręcznie zmienił ustawienia implantów. Wiedział, że nie powinien – ból był ostrzeżeniem, aby nie lekceważyć pomniejszych obrazów – ale w tej chwili miał większe zmartwienie na głowie.

Sandy skrzywiła się, widząc, co zrobił, lecz nic nie powiedziała i oboje pobiegli po schodach za Tammanem.

Na zewnątrz budynku nie widac bylo najmniejszego sladu kutra. Sean zagryzl warge.

Tamman mial racje – Harriet powinna byla dotrzec przed polgodzina, a on sam powinien wczesniej zauwazyc jej nieobecność... a przede wszystkim nie puszczać jej samej! Ale on bardziej przejmował się stratą godziny czy dwóch niż jej bezpieczeństwem. Wpatrzył się z goryczą w niebo, lecz obce gwiazdy tylko z niego szydziły. Zacisnął zęby, uruchomił komunikator i wysłał z pełną mocą sygnał we wszystkich kierunkach, nie przejmując się czujnikami systemu kwarantanny.

Ale nie było żadnej odpowiedzi i przyjaciele spojrzeli na niego ze zgrozą. Harriet powinna była usłyszeć ten sygnał z odległości czterdziestu minut świetlnych!

–Jezu! – Jego szept był błaganiem. Pobiegł w stronę ścian doliny, nie przejmując się takimi drobiazgami jak obrażenia, a przyjaciele ruszyli za nim.

Biegli z całkowicie uruchomionymi implantami. Dotarcie do kutra zajęło im mniej niż pięćdziesiąt minut, mimo iż po drodze gorączkowo prowadzili poszukiwania. Gdyby Harriet znajdowała się w odległości pięciuset metrów od szlaku, na pewno by ją znaleźli.

Sean oparł się na podporze, dysząc ciężko – czuł ból w ulepszonych płucach – i próbował pomyśleć. Nawet gdyby nie była – jego umysł uciekał przed tą myślą niczym przerażone zwierze – powinni byli zauważyć jej implanty. Wyglądało to tak, jakby nigdy wtedy nie przechodziła, a przecież musiała! Musiała!

–Dobrze – wychrypiał i jego zadyszani towarzysze spojrzeli na niego z niepokojem. – Powinnismy byli ją zauważyć. Jeśli nam się nie udało, to znaczy, że nie ma jej tutaj, a ja nie wiem dlaczego. Możemy wykorzystać kuter do zwiadu lotniczego, ale jeśli jest nieprzytomna albo... albo coś – głos mu zadrzał, ale zdołał się opanować – możemy nie zauważyć czegoś tak słabego jak emisje implantów. Potrzebujemy lepszych czujników.

–Brashan – powiedział Tamman głosem bez wyrazu, a Sean pokiwał głową.

–Owszem. Jeśli on uruchomi zestaw z pełną mocą, w dwa razy krótszym czasie sprawdzi pięć razy większy teren. A komputery medyczne Izraela mogą się połączyć z jej implantami i zrobić pełną diagnozę, jeśli jest ranna. Ale będzie to też wyraźna informacja dla systemu kwarantanny, kiedy się uruchomi. – Cierpiał, że musi im to powiedzieć, ale jeśli teraz zrezygnują z wszelkich środków ostrożności, mogą wszyscy zginąć. – Jeśli system obserwuje planetę, nie może czegoś takiego nie zauważyć.

–I co z tego? – warknal Tamman. – Musimy ja znalezc, do diabla!

–Tam ma racje – zgodzila sie Sandy bez wahania. Sean poglaskal japo twarzy, a potem otworzyl wlas kutra i pobiegl rampa.

–Znalazlem ja.

Poderwali sie gwałtownie, wpatrując się w malutki hologram Brashana. Grzebien centaury leżał płasko. Mijała kolejna niekoncząca się godzina, i mimo że system kwarantanny w ogóle nie zareagował, ich strach z każdą chwilą narastał.

Brashan wyprostował się, spojrzał Seanowi prosto w oczy i powiedział bardzo cicho:

–Ona umiera.

–Nie – wyszeptał Sean. – Nie, do diabla!

–Jest około siedmiu kilometrów od waszej obecnej pozycji w kierunku jeden trzy siedem – mówił dalej Brashan tym samym cichym, beznamietnym głosem. – Ma złamane ramię, przebite płuco i poważne rany głowy. Komputer medyczny mówi o uszkodzeniu czaszki, poważnym urazie oka i dwóch krwiakach podtwardówkowych. Jeden z nich jest rozległy.

–Uszkodzenie czaszki!? – Cała trojka wpatrywała się w niego wstrząsnieta. Kosci Harriet, podobnie jak ich własne, były wzmocnione stałą bojową, lecz wzmocnienie mózgu było ograniczone i implanty Harriet nie mogły kontrolować krwotoku wewnątrz czaszkowego.

–Nie jestem pewien, ale sądzę, że jej rany zostały zadane celowo. – W oczach Seana nagle zapłonął przerażający ogień. – Mówię to, ponieważ obecnie znajduje się w centrum niewielkiej wioski. Zakładam, że musiała tam zostać zanieśiona przez tego, kto ją zranił.

–Te pierdolone sukin...

–Zaczekaj, Seanie! – przerwała mu Sandy. Odwrócił się z wściekłością w jej stronę. Choć spojrzenie jej brązowych oczu było równie mordercze jak jego, myślała o wiele bardziej racjonalnie.

–Myśl, niech cie diabli! – warknęła. – Jakims cudem ktoś ja musiał zauważyć, a to oznacza, że pewnie wie, że wyszła z Doliny Przeklętych!

Sean poczul panike; przypomniał sobie, jaki los spotykał tych, którzy zblizali sie do tej doliny. Sandy wpatrywala sie w niego jeszcze przez chwile, po czym zwrocila sie do Narhanina.

–Powiedziales, ze umiera, Brashanie. Jak dokladnie wyglada sytuacja?

–Jesli nie sciagniemy jej do izby chorych Izraela w ciagu najblizszych dziewiecdziesieciu minut – maksimum dwoch godzin – umrze. – Grzebien Brashan splaszczyl sie jeszcze bardziej. – Nawet teraz jej szanse przezycia sa mniejsze niz piecdziesiat procent.

–Musimy ja wydostac – wychrypial Tamman, a Sean gwałtownie pokiwal glowa.

–Zgadzam sie. – Spojrzenie Sandy znow powedrowalo w strone Seana. – Tam ma racje, lecz nie mozemy tak po prostu tam wejsc i zaczac mordowac ludzi.

–A niech mnie diabli, jesli nie! Sandy, te skurwysyny juz sa martwe! Niech ich pieklo pochlonie, oni chca ja zabic!

–I wiemy dlaczego.

–Kurwa, nie obchodzi mnie dlaczego! – warknal.

–Kurwa, a powinno! – odpowiedziala i mimo wscieklosci ten wybuch wstrzasnal nim. – Do diabla, Seanie, oni mysla, ze robia to, czego chce Bog! Sa przesadni i smiertelnie przerazeni tym, co zrobila. Masz zamiar ich za to zabic?

Wpatrywal sie w nia oczami pelnymi nienawisci, a powietrze miedzy nimi az iskrzylo. W koncu zawstydzony spuscil wzrok.

–Wiem – powiedziala juz o wiele lagodniej. – Wiem, ale skierowanie przeciwko nim imperialnej broni byloby nieuzasadniona rzezia.

Pokiwal glowa, wiedzac, ze ma racje. Jego spojrzenie bylo juz spokojniejsze, lecz zimne jak przestrzen miedzygwiezdna.

–Dobrze. Sprobujemy ich tak przestraszyc, nikogo nie zabijajac, zeby uciekli nam z drogi. Ale jesli sie nie przestrasza... – Z wdziecznoscia scisnela jego reke. Wiedziala, jak by sie czul po oprzytomnieniu, majac swiadomosc, ze zabil niewinnych wiesniakow, i starala sie nie myslec o jego ostatnich slowach.

Ojciec Stomald uklakl przed oltarzem, szary na twarzy i chory, i wzniosl oczy do wielkiego kubka z olejem. Wylac to na czlowieka – jakiegokolwiek czlowieka, nawet

heretyka! – podpalic i patrzec, jak plonie...

Poczul w ustach zolc, gdy wyobrazil sobie te zakrwawiona piekna twarz i sliczne szczuple ciało w plomieniach, skwierczace, plonace, zweglone...

Stlumil mdlosci. Bog wzywa swoich kaplanow do wypelniania obowiazkow, a kara na bezboznych musi byc surowa, aby uratowac ich dusze, powiedzial sobie, ale wcale mu to nie pomoglo. Kocha Boga i pragnie Mu sluzyc, ale jest pasterzem, a nie katem!

Na jego czole perlil sie pot, gdy sie podniosl. Modlil sie o sile. Gdyby tylko Koniec Grani byl wystarczajaco duzy, zeby miec wlasnego inkwizytora! Gdyby tylko...

Odrzucil te mysl, gardzac soba za pragnienie zrzucenia swojego obowiazku na kogos innego. Nie ma zadnych watpliwosci co do winy kobiety. Blyskawica i grzmot z Doliny Przekletych obudzily grupe zwiadowcow, i mimo przerazenia wyruszyli, by to sprawdzic. A kiedy kazali jej sie zatrzymac, zaczela uciekac, potwierdzajac w ten sposob swoja wine. Ale nawet gdyby tego nie zrobila, skazano by ja za jej szaty. Noszenie przez kobiety swietych szat Sanktuarium bylo bluznierstwem, a na dodatek Tibold Rarikson, dowodca zwiadowcow, mowil, ze towarzyszylo jej demoniczne swiatlo. Stomald na wlasne oczy widzial rozne dziwne rzeczy na jej pasie i nadgarstku, lecz to przerazony wzrok Tibolda w pelni uswiadomil mu groze sytuacji. Ten czlowiek byl weteranem, dowodca malutkiego oddzialu Strazy Swiatynnej w Koncu Grani, a mimo to jego twarz byla blada, kiedy mowil o swietle i jej nieprawdopodobnej szybkości.

Wlasciwie, pomyslal z drzeniem, gdy odwrocil sie od oltarza, moze ona wcale nie jest kobieta. Trafili ja trzy razy – az trzy! – z zaledwie piecdziesieciu krokow, i jesli nawet jej dlugie czarne wlosy byly zakrwawione, a z prawego oka plynely krwawe lzy, inne rany wlasciwie nie krwawily. Moze naprawde jest demonem, tak jak mowil Tibold – lecz w chwili, gdy o tym pomyslal, juz wiedzial, dlaczego chce w to wierzyc.

Zszedl po stopniach swiatyni na rynek i znow przelknal sline, gdy ujrzal heretyczke w krwawym blasku pochodni.

Wygladala bardzo mlodo – nawet mlodziej niz on sam – gdy wisiala przywiazana za rece do pala, skrepowana ciezкими zelaznymi lancuchami i pozbawiona sprofanowanych szat. Poczul wstydlive drzenie, gdy spojrzal na jej cieniutka bielizne. Matka Kosciol oczekiwala, ze jej kaplani beda sie zenic, bo jak mogliby rozumiec duchowe potrzeby meza i zony, nie majac zadnego doswiadczenia, jednak czuc cos takiego w takiej chwili...

Odetchnal gleboko i zrobil krok do przodu. Jej zakrwawiona glowa opadla i kobieta wisiala tak nieruchomo, ze pomyslal – mial nadzieje – iz umarla. Lecz wtedy ujrzal

slabe poruszenie jej lekko okrytych piersi i serce mu zadrzalo na mysl, ze jej smierc nie uwolni go od poczucia winy, ktore odtad bedzie musial znosc.

Odwrocil sie w strone swojej trzodki i wtedy ujrzal zblizajacego sie Tibolda. Straznik niosl pochodnie, ktorej plomien chwial sie w jego drzacych dloniach. Litosc malujaca sie na jego szczerej twarzy o ostrych rysach sprawila, ze Stomald zacal sie zastanawiac, czy on rowniez upiera sie, iz kobieta jest demonem, z odrazy do tego, co musza jej zrobic.

Spojrzal w udreczone oczy Tibolda i miedzy obu mezczyznami przeskoczyła iskra. Zrozumienia... i wdziecznosc. Wdziecznosc, ze nie maja inkwizytora, ktory przed smiercia kobiety polamalby jej smukle ciało kolem, tak jak nakazywalo prawo Kosciola, i ze niezaleznie od tego, czy jest demonem, czy nie, nie odzyskala przytomnosc. Ze umrze nieswiadoma, nie zaznawszy cierpienia straszliwej smierci... w przeciwnostwie do mezczyzn, ktorzy na zawsze zapamietaja, jak jej to uczynili.

Odwrocil wzrok od Straznika, ktory musial dzielic jego obowiazek, i spojrzal na swoj lud, zastanawiajac sie, jak beda na niego patrzec w przyszosci. Nie widzial ich twarzy za plomieniami pochodni i bardzo sie z tego ciesyl.

Otworzył usta, by wypowiedziec slowa anatemy.

Coraz slabsze sygnaly implantu Harriet nie pozwalaly im na powrot do Izraela i Sean wyladowal zamaskowanym kutrem pol kilometra od wsi. Wzial szesciomilimetrowa strzelbe grawitacyjna jako dodatkowa bron, a Tamman wybral karabin energetyczny, lecz Sandy miala tylko karabin grawitacyjny i chlebak z granatami. Sean wolalby, zeby wziala cos porzadniejszego, jednak nie mieli czasu na klotnie. Ruszyli biegiem przez ciemnosc.

Dotarli do oswietlonego pochodniami rynku. Twarz Seana wykrzywila wscieklosc. Harriet – jego Harriet! – wisiala za nadgarstki u pregierza, a wokol jej zakutego w lancuchy na wpol nagiego ciała lezal chrust. Jej wlosy byly zlepione krwia. Zacisnal dlonie na kolbie, lecz widzac zaniepokojone spojrzenie Sandy – przeciez jej obiecal – warknal:

–Idz! – Dziewczyna rzucila pierwszy granat plazmowy.

Stomald krzyknal z przerazenia, gdy straszliwe biale swiatlo rozerwalo mrok Konca Grani. Jego ognisty oddech podpalil stogi siana i osmalil wlosy wiesniakow. Wszedzie wokol rozlegly sie okrzyki przerazenia.

Po chwili pojawił się kolejny błysk, potem jeszcze jeden. Skulił się, słysząc ochryply ryk Tibolda, i w tej samej chwili pojawiły się trzy czarne postacie. Zdawały się wylaniać z ognia pochłaniającego kuznie, spichlerz i garbarnie, a ten pośrodku, olbrzym niczym z przerażającej opowieści, celował z dziwnego muszkietu w lupkowy dach kościoła.

Wśród niekonczących się grzmotów migotliwe błyski rozerwały mocny kamień na kawałki. Wiesniacy zaczęli z krzykiem uciekać, a serce Stomalda wypełniło jeszcze większe przerażenie. To jego wina! Wahał się. Buntował się w swoim sercu, spierał z wola Boga...

Tibold chwycił go za ramię, próbując odciągnąć, lecz kapłan stał nieruchomo i wpatrywał się, jak postać obok olbrzyma kieruje bron w stronę trzech wozów z towarem. Tym razem nie było błysku, ale to było jeszcze gorsze. Słychać było jedynie trzask pekającego drewna i gwizd, gdy kawałki leciały na wszystkie strony niczym kule.

Dla Tibolda było to zbyt wiele; porzucił oszalonego kapłana i uciekł. Ale Stomald nie czuł gniewu; czuł jedynie współczucie – nie można oczekiwać, by wojownik stawiał temu czoła. To demony z Doliny Potępionych przybyły, aby porwać demona, którego jego zdradzieckie serce pragnęło ocalić. Przepelniało go przerażenie, ale nie cofnął się. To jego słaba wiara sprowadziła ich tutaj. Zawiodł swoją trzodkę i zgrzeszył, i teraz musi zachować się jak kapłan Boga.

Unosił kubek z poświęconym olejem niczym tarcze, szepcząc suchymi wargami modlitwę, i garstka wiesniaków kryjących się w mroku zobaczyła z przerażeniem, jak ich młody kapłan sam jeden rusza przeciwko siłom Piekiel.

Sean wysadził w powietrze wioskowy zród, lecz mimo to samotny szaleniec w niebieskożółtej szacie kapłana szedł po wodzie i zmiadzonych kamieniach niczym lunatyk, nie zatrzymując się.

Zawahał się dopiero wtedy, gdy najmniejszy z demonów ruszył prosto w jego stronę. Dopiero teraz mógł się przyjrzec jednemu z nich.

Jego modlitwa stała się jeszcze bardziej zarliwa na widok świętokradztwa, gdyż ten demon również miał postać kobiety w najświętszych szatach. Blask pochodni rozświetlał jej oczy i migotał na złocie sprofanowanego odzienia, za nią ryczały ognie Piekiel, a ona szła, jakby jego egzorcyzmy były tylko zwykłymi słowami. Zaczął modlić się w duchu o siłę, choć wiedział, że przecież okazał się niegodny. Kobieta zatrzymała się pięć kroków od niego; w jej twarzy nie było strachu – ani przed kapłanem, ani przed jego poświęconą bronią, ani... nawet przed samym Bogiem.

Sandy poczuła wściekłość, gdy ujrzała ponad ramieniem kapłana Harriet skuta lancuchami w samym środku stosu. Ale wówczas spojrzała na jego przerażoną twarz i odczuła niechętny podziw dla jego odwagi – albo wiary – która nie pozwoliła mu uciec.

Wpatrywał się w nią szeroko otwartymi oczami, a potem nagle się zamachnął. Coś wyleciało z naczynia, które trzymał w ręce, ale ona odruchowo uruchomiła pole silowe i gesty, opalizujący olej spłynął po niej, nie dotykając skóry. Usta kapłana poruszyły się.

–Odejdź! – krzyknął łamiącym się z przerażenia głosem, a ona zadrzała, gdyż rozumiała jego słowa. Mówił zbarbaryzowanym uniwersalnym językiem. – Odejdź, demonie! Nieczysty i przeklęty, wypędzam cię w imię tego, co najświętsze!

Kiedy błyszczący olej pokrył ciało demona i ten zatrzymał się – a może nawet zrobił krok do tyłu – w sercu Stomalda rozkwitła nadzieja. Lecz nadzieja zaraz zmieniła się w jeszcze większą grozę, gdyż demon nie znikł w błyskawicy ani nie uciekł przerażony. Zamiast tego podszedł bliżej... i uśmiechnął się.

–Sam odejdź, żaloszny i niedźny! – Zatóczył się, oszólomiony grzmotem demonicznego głosu. Żaden demon nie mówi świętym językiem! Cofnął się o krok, unosząc dłoń obronnym gestem, a demon rozesmiał się. Rozesmiał się! – Przybyłam po przyjaciółkę – zagrzmiał – i biada wam, jeśli ja skrzywdzicie!

Głosny śmiech brzmiał niczym echo z Piekieł. Nagle demon sięgnął po najbliższą pochodnię i święty olej zapłonął z głośnym sykiem, otaczając go ognistą aureolą.

–Odejdź lub zgin, grzeszniku! – rozległ się wśród płomieni jego głos i kapłan poczuł gorąco ognistej postaci.

Sean przyglądał się, jak Sandy staje przed kapłanem. Jej wzmocniony implantami głos sprawił, że nawet jego rozboleła głowa – Bog jeden wie, jak to musiało brzmieć w uszach kapłana! Jednak mężczyzna stał bez ruchu, dopóki nie podpaliła oleju. Tego było już za wiele i w końcu uciekł w stronę swojego kościoła, potykając się, przewracając i znowu zrywając się na równe nogi, a gromki śmiech Sandy podązał za nim.

Nie miał jednak czasu podziwiać jej taktyki. Przerzucił strzelbę grawitacyjną przez ramię i pobiegł w kierunku stosu. Karabin energetyczny Tammana rozbił kolejny

fragment bruku, zmuszając wiesniaków do cofnięcia się, lecz Sean niemal tego nie zauważył. Rozrzucił ciężkie kawały drewna – jego twarz była przy tym wykrzywiona wściekłością niczym maska – chwycił lancuch krepujący ciało Harry i skrecił ogniwa, aż pekły. Odrzucił je na bok i chwycił za kajdany. Sworznie zazgrzytały i rozerwały się jak papier. Harriet wciąż oddychała, gdy jej bezwładne ciało osunęło się w jego ramiona, ale kiedy odczytał jej implanty, zbladł – uszkodzenia były co najmniej tak poważne, jak mówił Brashan. Trzymając ją na rękach jak dziecko, odwrócił się i jak szalony pobiegł w stronę kutra.

Stomald kulił się w nawie wśród kawałków kamienia wyrwanych ze sklepienia kościoła i modlił się ze wszystkich sił. Nagle coś błysnęło na niebie i nad Koncem Grani przeleciała z głośnym grzmotem smuga światła. Przez popekany dach kościoła wpadło do środka gorące powietrze.

Kaplan schował twarz w dłoniach i jeknął.

Rozdział 22

Ojciec Stomald wpatrywał się w szaty leżące na stole plebanii, podczas gdy za oknem nioharqi ciągnęły ulicami Konca Grani wozy pełne gruzu, woznice krzyczeli, a brygadziści wykrzykiwali rozkazy brygadam remontowym. Jedynie ludzie pracujący w kościele szeptali.

Młody kaplan czuł ich strach i doskonale to rozumiał. Matka Kościoła ich zawiodła. On ich zawiodł.

Zebrał się w sobie i znowu dotknął splamionej krwią tkaniny. Był tylko wikariuszem w małej górskiej wiosce, kiedy odbył pielgrzymkę do Świątyni i służył przy Władzy, gdy wysoki kaplan Vroxhan odprawiał mszę. Widział wspaniałość Świątyni i Sanktuarium, w którym przebywał Głos samego Boga, podziwiał nieskazitelne szaty wysokiego kapłana, wspaniała tkanina, świecąca złota nic i błyszczące guziki.

Ale cała ta wspaniałość bladła w porównaniu z tymi zakrwawionymi szatami niczym nieudana kopia rzeczywistości.

Zmusił się do podniesienia tuniki. Błyszczące guziki i Boska Gwiazda zaswieciły w promieniach słonecznych. Kiedy przyjrzał się uważniej, syknął, gdyż z serca Gwiazdy wystrzeliwała dziwna skrzydlata istota – wspaniała bestia – i sięgała po Koronę Boga... niczym demon, który wylonil się z płomieni i zbliżył do niego.

Stłumił histeryczne pragnienie odrzucenia od siebie szaty. To bluźnierstwo! Szpecenie najświętszych symboli jest bluźnierstwem! A jednak ta bestia była niczym skrzydlaty symbol kurierów Świątyni...

Jeszcze raz przyjrzał się szacie. Choć guziki były wspaniałe, to w przeciwieństwie do tych na stroju wysokiego kapłana Vrokhana, służyły tylko jako ozdoba. Przeciągnął drzącym palcem po niewidzialnym zapieciu tuniki; nawet teraz nie wiedział, jak ono właściwie działa.

Kiedy po raz pierwszy próbowali zdjąć sprofanowaną tkaninę z... kobiety heretyczki albo... demona...

Spróbował rozluźnić napięte ramiona. No więc kiedy próbowali ją zdjąć... z niej, nie mogli znaleźć żadnych zapiec, a ona szydziła sobie z ich najostrzejszych noży. I wtedy, właściwie bez nadziei, pociągnął...

I tkanina ustąpiła. To było niesamowite. Niemożliwe. A jednak trzymał ją w dłoniach. Była prawdziwa jak jego własne ciało, a jednak...

Znow dotknął połączenia rękawa i ramienia tuniki i zagryzł wargę. Wiele razy przyglądał się, jak jego matka szyla, i sam wystarczająco często szyl w seminarium, by wiedzieć, że powinien tutaj zobaczyć szew, a tymczasem nie było żadnego szwu. Tunika była jedna doskonała całością; szpeciły ją jedynie dziury wyrwane przez kule muszkietów.

Ukląkł i złożył dłonie w modlitwie. Nawet słynne krosna Eswyn nie mogły utkwić tej tkaniny. Nawet najdoskonalszy krawiec Świątyni nie mógł jej uszyć bez nici i szwów. Żaden człowiek nie mógł stworzyć takiego magicznego zapiecia.

Musieli zatem być demonami. Powtarzał to sobie gorliwie, drżąc na wspomnienie dźwięku demonicznego głosu. Ten wspaniały majestatyczny głos mówił słowami świętego języka!

Ale zakazana myśl powróciła. Walczył, by ją odrzucić, lecz ona kryła się w zakamarkach jego umysłu i szeptała w ciszy. Zaciśnął powieki tak mocno, że aż zabolalo.

Przybyli z Doliny Przeklętych, a ich pojawieniu się towarzyszyła błyskawica na bezchmurnym niebie. Spuścili na Koniec Grani ogień i grom. Jeden z nich zerwał cały dach z kościoła. Drugi zmiął trzy ciężkie wozy. Trzeci plonął żywcem w płomieniach najświętszego oleju Matki Kościoła i śmiał się. Śmiał się! A kiedy dym się rozwiał, w miejscu, gdzie splonęła kuznia, zostały nierówne tafle szkła, błyszczące niczym klejnoty w promieniach porannego słońca.

Jednak mimo swej niewyobrażalnej mocy nikogo nie zabili. Nikogo. Żadnego mężczyzny, kobiety ani dziecka. Nawet zwierzęcia! Nawet mężczyzn, którzy zranili i pojмали ich towarzyszkę, a potem chcieli ją spalić żywcem.

A przecież demony powinny zabijać! Żaden demon nie może leż znieść świętego

jezyka, nie mowiac juz o poslugiwaniu sie nim!

Otworzył oczy, znow poglaskal tunike, przypominajac sobie urode kobiety, ktora ja nosila, i stawil czola mysli, z ktora walczył. Nie byli – nic mogli byc – smiertelnikami, a to czynilo ich demonami. Lecz demony nie mowily w swietym jezyku i nie oszczedzaly zycia wtedy, gdy mogly zabijac. A jesli zadna kobieta nic moze nosic szat Matki Kosciola, to znaczy, ze to nie sa szaty Matki Kosciola, lecz cos doskonalszego i o wiele bardziej mistycznego niz to wszystko, co czlowiek mogl stworzyc, nawet ku chwale Boga.

Zamknal oczy i zadrzal z przerazenia, zadziwienia i zachwytu. Zadna kobieta nie moze nosic szat Matki Kosciola, to prawda, lecz inne istoty moga. Istoty nadnaturalnie piekne, ktore moga nawet wejsc do Doliny Przekletych i pokonac jej demoniczne moce gromem potezniejszym niz samo Pieklo. Istoty, ktore moga mowic swietym jezykiem... i nie mowia zadnym innym.

–Wybacz mi, Panie – wyszeptal w strone promieni slonca wpadajacych przez okno. Uniosl dlonie do swiatla i wstal, otwierajac ramiona, by przyjac jego blask.

–Wybacz mi moja ignorancje, Panie! Nie pozwol, by gniew Twój spadl na moja trzodke, gdyz zawinila moja slepota. Oni patrzyli tylko poprzez strach, lecz ja... powinienem byl patrzec sercem i rozumem!

Harriet MacIntyre otworzyla oczy i skrzywila sie. Nie czula bolu, lecz nigdy w zyciu nie byla taka slaba. Jej mysli byly powolne i niejasne, miala zawroty glowy i mdlosci.

Jeknela, probujac sie poruszyc, i zadrzala z przerazenia, kiedy okazalo sie, ze nie moze. Jakis ksztalt pochylil sie nad nia. Zamrugala, ale pol jej pola widzenia wypelnial bezksztaltny blask, a druga polowa drzala niczym gorace powietrze.

–Harry? – Poczula dotyk dloni. – Harry, slyszysz mnie?

To byl glos Seana, pelen bolu i niepokoju. Niepokoju o nia, uswiadomila sobie tepo, i jej serce zadrzalo.

–Slyszysz mnie? – powtorzyl cicho, a ona zebrala wszystkie sily, by scisnac jego reke. Kiedys taki chwyt moglby miazdzyc stal, teraz jej palce ledwie sie poruszaly, lecz jego dlon zeszywniala, gdy poczul jej slaby uscisk.

–Jestes w izbie chorych, Harry. – Niewyraza postac zblizyla sie, gdy uklakl przy jej lozku, i delikatna dlon dotknela jej czola. Poczula drzenie jego palcow. – Wiem, ze nie mozesz sie poruszyc, kochana, ale to dlatego, ze sekcja medyczna wylaczyla twoje implanty. Wszystko bedzie dobrze. – Znow zamknela oczy. – Wszystko bedzie

dobrze – powtorzył. – Rozumiesz, Harry? – Jego przerazenie dotarło do niej i znow scisnęła reke brata, poruszając wargami. Sean pochylił się nisko, wytezając do granic mozliwosci swoj wzmochniony sluch.

–Kocham... was... wszystkich.

Jej slaby szept umilkł, lecz oddech byl powolny i regularny. Obserwowal ja przez dluga chwile, milczac, a pozniej puscil jej dlon, poklepal ja i opadł na krzeslo.

Nastepnych kilka dni Harriet przezyła w niepelnej swiadomosci, czasem nawet w calkowitej dezorientacji. Była juz kiedys powaznie ranna – miała wypadek na motocyklu grawitonicznym, kiedy złamala obie nogi i ramie – i wtedy dzięki imperialnej medycynie w ciagu tygodnia odzyskala pelna sprawnosć. Teraz minelo sporo dni, zanim udalo jej sie odzyskac przytomnosć na dluzej niz minuty, a to wiele mowilo o jej obrazeniach. Co gorsza, nie pamietala, co sie stalo. Nie miała pojecia, jak zostala ranna, ale trzymala sie kurczowo zapewnien Seana, ze wszystko bedzie dobrze. Wszystko bedzie dobrze, jesli tylko wytrzyma...

Az ktoregos dnia obudzila sie i poczula, ze lozko wreszcie jest nieruchome, zas zawroty glowy i nudnosci znikly. Oblizala wyschniete wargi, wpatrujac sie w niemal calkowita ciemnosć.

–Harriet? – Tym razem to byl Brashan. Powoli obrocila glowe. Jej serce zadrzalo, gdyz miesnie znow byly jej posluszne. Zamrugala, probujac zatrzymac wzrok na jego twarzy, i zmarszczyla czoło. Choc bardzo sie starala, polowe pola widzenia wypelniala wirujaca burza otoczona swietlista mgla.

–B...Brash? – Jej glos byl chrapliwy.

Probowała odchrzaknac, a wtedy poczula, jak szesciopalczasta dlon podtrzymuje jej glowe, zas druga unosi szklanke. Wargi Harriet z trudem mogly utrzymac slomke. Westchnela z rozkosza, gdy lodowata woda wypelnila jej usta. Wysuszone tkanki zdawaly sie natychmiast ja pochlaniac; nigdy w zyciu nic nie smakowalo tak cudownie.

Pozwolil jej pic jeszcze przez chwile, po czym odstawil szklanke i znow ulozyl jej glowe na poduszce. Zamknela prawe oko i westchnela, gdy mezczyzny blask znikl. Lewe oko bylo jej posluszne, gdy skierowala spojrzzenie na jego gadzia twarz. Zauwazyla na wpol opuszczony grzebien – znak zatroskania.

–Brash – powtorzyła. Uniosla dlon, a on ja ujal.

–Doktor Brash, prosze – powiedzial z narhanskim usmiechem.

–Powinam była się domyslic. – Odpowiedziała mu uśmiechem, i choć jej głos był słaby, brzmiał w miarę normalnie. – Zawsze byłeś lepszy od komputerów medycznych.

–I całe szczęście – powiedział inny głos. Odwróciła głowę – z drugiej strony łóżka pojawiła się Sandy. Przyjaciółka uśmiechała się, lecz jej oczy błyszczały, gdy opadła na krzesło i chwyciła ją za drugą rękę.

–Och, Harry – wyszeptała i z jej oczu popłynęły łzy, lecz otarła je gwałtownym gestem. – Przestraszyłaś nas, dziewczyno. Boże, jak nas przestraszyłaś.

Harriet zacisnęła mocniej dłoń, a Sandy pochyliła się i przytuliła do niej policzek. Trwała tak przez chwilę, a później odetchnęła głęboko i wyprostowała się.

–Przepraszam – powiedziała. – Nie miałam zamiaru tak się rozklejać, ale "doktor Brashan" właściwie uratował ci życie. Ja... – jej głos znowu zadrzał, lecz zaraz się opanowała – nie sędziłam, że mu się uda.

–Cicho – uspokoiła ją Harriet. – Cicho. Wszystko będzie dobrze. – Uśmiechnęła się słabo. – Wiem, bo Sean mi obiecał.

–Tak. Tak, to prawda. – Sandy wyjęła chusteczkę i wydmuchiła nos, po czym uśmiechnęła się niezbyt przekonująco. – Właściwie to się wścieknęła, że go nie było, kiedy się obudziłaś, ale jakiś godzinę temu pogoniliśmy go z Brashanem do łóżka.

–Czy wszyscy są cali?

–Z nami wszystko w porządku, Harry. Sean trochę uszkodził sobie lewe ramię – za bardzo się wysił – ale to drobiazg, a Tam jest tylko bardzo wyczerpany. Ty byś była wyłączona, Brashan tkwił w izbie chorych, a Sean był gotów zamordować każdego, kto zaproponowałby, żeby cię zostawił, więc większość obowiązków spadła na biednego Tama.

–Tama i ciebie – powiedziała Harriet, widząc zmęczenie na jej twarzy.

–Może. – Sandy wzruszyła ramionami. – Ale ja nie opuszczałam statku, to Tam podróżował w te i z powrotem z komputerem.

–Z komputerem? Jakim komputerem?

–Komputerem, który... – Sandy przerwała. – Och. Co pamiętasz?

–Udaliliśmy się do... Doliny? – spytała niepewnie Harriet. – Był tam jakiś... system obronny, jak sadze. Czyja... – Pucnęła dłoń Brashana, by zakryć prawe oko. – Czy wtedy to mi się stało?

–Nie. – Sandy poklepała ja po rece. – To stało się później. Opowiemy ci o wszystkim, ale najważniejsze, że znaleźliśmy komputer osobisty i przywieźliśmy go tutaj. Jest w koszmarnym stanie, ale Tamowi udało się trochę z niego odzyskać. To wygląda na swego rodzaju dziennik. Myśle... – powiedziała z sympatią – że koncentrował się na nim tak bardzo, żeby choć przez chwilę nie martwić się o ciebie.

–Dziennik? – Harriet mocniej potarła zamknięte oko, a jej drugie oko zablysło. – To brzmi źle, Sandy. Zaluje, że...

–Harriet – przerwał jej Brashan i jego dłoń zacisnęła się na prawym nadgarstku dziewczyny. – Czemu tak pocierasz oko?

–Ja... To chyba nic takiego – powiedziała i sama usłyszała fałsz w swoim głosie.

–Powiedz mi – rozkazał.

–Ja... – przelknęła ślinę – niezbyt dobrze widzę.

–Myśle, że to coś więcej. – Nie przyjmował żadnych wykrętów. Poczula, jak drża jej wargi, i odwróciła twarz w jego stronę.

–Sadzę, że osleplam – powiedziała. – Widzę tylko... niewyraźne kształty i blask.

–Czy teraz ci to przeszkadza?

–Nie. – Odetchnęła głęboko, czując ulgę, że jednak przyznała się, iż coś jest nie tak. – Dopóki jest zamknięte.

–Otwórz oko. – Posłuchała go, po czym natychmiast je zamknęła. Blask był silniejszy niż wcześniej i powodował ból, którego nawet implanty nie potrafiły stłumić.

–Nie... Nie mogę. – Oblizła wargi. – Boli.

–Rozumiem. – Poczula, że spokojny głos Brashana przynosi jej ukojenie. – Obawiałem się, że możesz mieć problemy, ale ponieważ nic nie mówiłaś... – Jego grzebień wykonał narhanski odpowiednik wzruszenia ramionami.

–Co się stało? – Była zadowolona, że zabrzmiało to niemal normalnie.

–Zapewniam cię, że nic, czego nie dałoby się naprawić, ale jak wiesz, izba chorych Izraela jest przygotowana do leczenia kości i tkanek i dostrajania implantów, lecz nie może ulepszać implantów lub dokonywać ich poważnych napraw. Projektanci... – uśmiechnął się po narhansku – przyjeleli, że takie obrażenia będą leczone na pokładzie statku-matki, który niestety znajduje się poza naszym zasięgiem.

Skinela głowa, by mowil dalej.

–Zostalas uderzona przez ciezki pocisk w prawa skron, lewe ramie i prawe pluco. Mimo ze bron byla prymitywna, przy tak malej odleglosci miala wystarczajaca sile, by zmiadzyc nawet wzmacniana kosc. Na szczescie kula, ktora trafila w glowe, uderzyla pod katem i czaszka ja zatrzymala.

Harriet zaczela glosniej oddychac, lecz mimo to kazala mu dalej mowic. We wzroku Brashana widac bylo, ze pochwala jej odwage.

–Twoje implanty zatrzymaly uplyw krwi z rany na ramieniu i w plucu. Pluco zostalo powaznie uszkodzone, lecz te rany dobrze sie goja. Rana glowy spowodowala krwotok wewnatrzczaszkowy i uszkodzenie tkanek, jednak nie widze symptomow utraty zdolnosci motorycznych, choc moze pozostac niewielka utrata pamieci. Przyczyna twojego problemu z oczami jest implant. Kawalki kosci uszkodzily oczodol. Nerw wzrokowy pozostal nietkniety, lecz implant, w przeciwnienstwie do ciala, nie moze sie zregenerowac. Wiedzialem, ze zostal uszkodzony, lecz mialem nadzieje, ze uszkodzenia beda mniejsze niz te, ktore opisalas.

–To tylko implant? – Poczula ulge, lecz zaraz sie skrzywila. – Czemu nie mozesz go po prostu wylaczyc?

–Uszkodzenia sa zbyt duze, zebym mogl do niego dotrzec. To zadanie dla w pelni wykwalifikowanego neurochirurga i ja bym sie tego nie podjal.

–Ale musicie cos z tym zrobic. Wiem, ze macie tutaj przygaszone swiatla, a mimo to nie moze otworzyc oka!

–Wiem. Ale sama powiedzialas, ze nie czujesz bolu, kiedy nie dociera do niego swiatlo. Zamiast ryzykowac uszkodzenie nerwu wzrokowego, wolalbym raczej zakryc oko.

–Przepaska na oko? – Jej wargi zadrzaly na mysl o tak archaicznym rozwiazaniu, a Sandy rozesmiala sie.

–Jo ho ho i butelka rumu! – mruknela.

Harriet spojrzala na nia z wsciekloscia jednym okiem, lecz przyjaciolka byla tak uradowana swiadomoscia, ze uszkodzenia nie sa trwale, ze nielatwo bylo zepsuc jej dobry nastroj.

–W rzeczy samej. – Brashan spojrzal z surowa mina na Sandy, po czym znow przeniosl spojrzenie na Harriet. – Biorac pod uwage, ze wzmacnienie lewego oka nie jest uszkodzone, powinnas moc sie przyzwyczaić, kiedy usuniemy to, co ci przeszkadza.

–A wiec przepaska na oko – westchnela Harriet. – Boze, pewnie zrobisz z tego hologramy, Sandy. Wiem, ze nie przepuszczisz takiej okazji!

–Racja – powiedziala przyjaciolka i odgarnela jej wlosy z czola.

–Alez musicie napisac o tym raport, ojczy! – powiedzial Tibold Rarikson.

–Tiboldzie, zloze raport, ale jeszcze nie teraz – odparl Stomald z pogodnym usmiechem. Kapitan Strazy zaczel protestowac, lecz kaplan uciszyl go jednym gestem. – Zloze – powtorzyl – ale dopiero wtedy, kiedy bede calkowicie pewien, co mam napisac.

–Co macie napisac? – Oczy Tibolda niemal wyszly z orbit. – Ojczy, z calym szacunkiem, ale nie widze zadnego problemu. Koniec Grani zostal zaatakowany przez demony, ktore spalily piata czesc wsi.

–Rzeczywiscie?

Stomald usmiechnal sie i przeszedl po pokoju, czujac na plecach spojrzenie mezczyzny. Tibold byl jedynym czlowiekiem, z ktorym chcial sie podzielic swoja radoscia – twardy wojownik byl dobrym czlowiekiem i mimo wysokiej rangi w Strazy i typowej dla Malagorczykow niecheci do narzuconej z zewnatrz wladzy, w Koncu Grani darzono go niemal takim samym szacunkiem jak Stomalda – ale nie bardzo wiedzial, jak ma mu pokazac to, co teraz sam tak wyraznie postrzegal.

Odetchnal gleboko i odwrocil sie do Straznika.

–Przyjacielu – powiedzial lagodnie – chce, zebys posluchal mnie uwaznie. W naszym miasteczku wydarzylo sie cos wielkiego – cos, co wydawaloby sie niemozliwe. Wiem, ze sie boisz, i wiem dlaczego, lecz sa pewne kwestie zwiazane z demonami, ktore powinienes rozwazyc. Na przyklad...

Rozdzial 23

Sean staral sie nie krecic w poblizu, kiedy Harriet podchodzila do fotela astrogatora. Wciaz nie poruszala sie zbyt pewnie, a niektore fragmenty wspomnien nie chcialy wrocic, jednak na widok jego miny usmiechnela sie. Tamman usiadl obok niej i objal ja w pasie, a ona oparla sie o niego, zalujac, ze nie wie, jak ma im podziekowac za uratowanie zycia.

Ale oczywiscie nie bylo takiej potrzeby.

–Dobra! – Sean jak zwykle niezgrabnie opadl na fotel. – Wyglada na to, ze twoj maly

warsztat blacharski niezle dziala, Brashanie.

–To prawda – odpowiedzial Narhanin z chichotem przypominajacym odglos oprozniania rury. – Zaluje, ze nie moge naprawic twojego implantu, Harry, ale musze przyznac, ze przepaska dodaje ci pewnej... – Przerwal, szukajac wlasciwego slowa.

–Nonszalancji? – podpowiedzial Sean.

–Dziekuje, szlachetny panie. – Harriet dotknela czarnej przepaski i usmiechnela sie.
– Spojrzalam w lustro i pomyslam, ze patrze na Anne Bonny!

–Kogo? – Brashan uniosl w gore grzebien.

–Sprawdz to sobie w komputerze, Kopytko.

–Na pewno to zrobie. Wy, ludzie, macie niezwykle interesujace postacie historyczne – powiedzial. Smiech Harriet sprawil, ze cien ostatecznie opuscil serce Seana.

–Bardzo sie ciesze, ze juz wstalas, Harry, i zaluje, ze nie pamietasz, co sie stalo. Przygotujemy ci we czworke informacje do sciagniecia na implanty, ale teraz zajmijmy sie tym, co nam z tego przyszlo. Oczywiscie oprócz reinkarnacji kapitan Bonny.

Zwrocil sie w strone Sandy i dziewczyna wstala.

–Jesli o mnie chodzi, Harry, bardzo sie ciesze, ze wrocilas. Tam staral sie jak mogl, ale nigdy nie zrobimy z niego analityka.

Tamman jeknal zbolalym glosem, a Harriet dala mu kuksanca.

–Z pomoca naszego szesciopalczastego marine – ciagnela Sandy z usmiechem – udalo mi sie odzyskac sporo informacji z wykradzonego komputera. Okazalo sie, ze nasza pierwotna hipoteza byla wlasciwa. To byl dziennik tego mezczyzny.

Sean spojrzal na obraz na wyswietlaczu mostka. To byl mezczyzna, ktorego zmumifikowane cialo znalezli w sypialni w wiezy.

–To jest – albo raczej byl – inzynier Kahtar. Wieksza czesc jego dziennika jest nie do odzyskania, a we fragmentach, ktore udalo sie odczytac, nie wymienil nazwy planety, wiec nadal nie wiemy, jak pierwotnie sie nazywala. Ale udalo mi sie jakos zlozyc do kupy to, co sie tutaj wydarzylo.

Rozejrzala sie wokol, wyraznie zadowolona z ciszy, jaka za; padla. Nawet Tamman znal tylko fragmenty tego, co miala powiedziec, i zastanawiala sie, czy inni zareaguja tak samo jak ona... i czy beda mieli takie same nocne koszmary.

–Najwyraźniej – zaczęła – gubernator planety zamknął system trans-mat, kiedy tylko otrzymał przez hiperkom pierwsze ostrzeżenie, a później rozpoczął budowę systemu kwarantanny pod kierownictwem swojego głównego inżyniera. Który – dodała sucho – był prawdziwym specem.

–Z początku nie było tak źle. Wprawdzie wybuchła panika wśród ludności – bali się, że kwarantanna zbyt późno się zaczęła – ale nie było to nic, z czym nie mogliby sobie poradzić.

Przerwała i jej oczy pociemniały.

–I mogłoby im się udać, gdyby tylko wyłączyli hiperkom. To było jak łącze komunikacyjne z piekłem – powiedziała bardzo cicho. – Inne światy też sadziły, że są bezpieczne, ale nie były i zarazą zabijała je jeden po drugim. To wszystko trwało całe lata – lata rozpaczliwych, coraz rzadszych wiadomości z zarazy planet, podczas gdy ich własny wszechświat umierał.

Na mostku zapadła lodowata cisza.

–To ich zniszczyło. Nie od razu, ale kiedy ostatni hiperkom zamilkł, kiedy nikogo – zupełnie nikogo – poza nimi już nie było, cała planeta oszalała.

–Oszalała? – spytał cicho Brashan. Pokiwała głową.

–Widzicie, oni wiedzieli, co się stało i że sami to sobie zrobili. Że to była pomyłka, wypadek na skale kosmiczna. Dlatego chcieli mieć pewność, że już nigdy nic takiego się nie powtórzy. I ponieważ technika zabiła Cesarstwo, więc... zabili techniki.

–Ze co? – Sean poderwał się gwałtownie, a ona pokiwała głową. – To jak mieli zamiar nakarmić społeczeństwo bez techniki?

–To ich nie obchodziło – odparła ponuro Sandy. – Rany psychiczne były zbyt głębokie. Oto co się stało z ich bazą techniczną: sami ją zniszczyli.

–Z pewnością nie wszyscy się na to zgadzali – wyszeptwała Harriet.

–Nie. – Sandy spochmurniała. – Pozostało kilku zdrowych na umyśle, jak choćby Kahtar, którzy prowadzili wojnę, ale społeczeństwo niszczyło własną technikę i kulturę... i wszystkich, którzy chcieli to powstrzymać. Harry, oni wrzucali ludzi do ognia za próbę ukrycia ksiąg.

–Przepraszam – powiedziała łagodnie, widząc, jak przyjaciółka zadrzała z przerażenia. – Tak czy inaczej, nie dostali wszystkich. Dolina Przeklętych była swego rodzaju bastionem rozwiniętej techniki. Były też inne, ale przetoczyła się po nich tłuszcza – czasem z braku amunicji dosłownie zasypywali systemy obronne własnymi

cialami – i tylko Dolina sie utrzymala. Ich bron energetyczna nie potrzebowała amunicji i w ciagu zaledwie dziesieciu lat udalo im sie powstrzymac ponad trzydziesti atakow. Ostatni mial miejsce w srodku zimy, a przeprowadzila go piechota uzbrojona we wlocznie i resztki imperialnej broni.

Znow umilkla, a oni czekali, rownie wstrzasnieci jak ona. Wreszcie odetchnela i zaczela mowic dalej beznamietnym glosem.

–Ataki na Doline wreszcie sie skonczyly, poniewaz udalo sie zniszczyc technike, a wraz z nia rolnictwo, transport i opieke medyczna. Wszystko. Zapanowaly glod, choroby, zimno, nawet kanibalizm; w ciagu jednego pokolenia populacja tak sie zmniejszyla, ze mogla utrzymac sie przy zyciu na poziomie niemal neolitycznej kultury. Kahtar ocenial, ze w ciagu mniej niz dziesieciu lat zginal ponad miliard ludzi.

–Ale... – jej glos stwardnial, pochylila sie do przodu – oczywiscie jedyna wyspa rozwinietej techniki, czyli centrum dowodzenia systemem kwarantanny, pozostala. Nawet najbardziej oszalaly tłum wiedzial, ze tylko centrum moze ich ocalic przed statkami z uciekinierami, nawet jesli szansa ich pojawienia sie byla minimalna, a poza tym personel centrum stworzyl wewnatrz systemu kwarantanny naziemny system obronny. Jego celem jest niszczenie wszystkich tych, ktorzy uzywaja imperialnej broni w promieniu stu kilometrow od centrum.

–O cholera – sapnal Sean, a Sandy usmiechnela sie krzywo.

–No wlasnie. Ale jest cos jeszcze gorszego. Widzisz, personel centrum dowodzenia zorganizowal wszystko tak, zeby tluszcza go nie zniszczyla, lecz mimo to zgadzal sie na unicestwienie calej pozostalej techniki.

–Nie sadze, by mi sie to spodobalo – mruknal Tamman.

–Bo ci sie nie spodoba. Wyprowadzili sie z tych ruin w poblizu Swiatyni, przestawili komputer centrum dowodzenia na dostep glosowy, ustawili stocznie na automatyczny tryb naprawy i utrzymania zasobow i stworzyli religie.

–Jezu! – jeknal Sean.

–Wedlug Kahtara, ktory w tamtych czasach wlasciwie kierowal Dolina, admiral portu stworzyl wizje, wedlug ktorej bron biologiczna to byl potop, a Pardal arka Noego. Potop byl kara za grzech dumy z rozwinietej techniki, do ktorej naklonily ludzi "wieksze demony", a arka byla schronieniem, do ktorego Bog skierowal garstke wiernych, ktorzy oparli sie pokusie. Ocaleni byli ziarnem nowego Syjonu, wybranym przez Boga, by stworzyc spoleczenstwo bez "zla" techniki.

–Ale jesli to prawda – powiedzial Brashan – to dlaczego nie zniszczyli Doliny? Skoro mogli stworzyc naziemny system obronny, z pewnoscia mogli tez zaatakowac ludzi

Kahtara.

–Nie było takiej potrzeby. W Dolinie nigdy nie mieszkało więcej niż stu ludzi, a przed ufortyfikowaniem był to ośrodek wypoczynkowy bez prawdziwej bazy technicznej. Ci ludzie byli uwięzieni w środku, mieli zbyt skromny materiał genetyczny, by utrzymać zdolną do życia populację, a nowa religia znalazła powód, by ich ocalić – tak ważny, że nawet nie wyłączyli im dopływu energii.

–Demony – mruknęła Harriet.

–A dokładniej gniazdo "pomniejszych demonów" i ich czcicieli. Dolina była "zagrozeniem" dla ich religii i w ten sposób pozwalała jej się ugruntować. Miejsce, w które się udaliśmy, jest samym Piekłem, przynajmniej według Kosciola, i dlatego każdy, który ma z nim coś wspólnego, musi zginąć.

–Miłosierny Boże.

Myśl, że te biedne przeklęte dusze zostały uwięzione w Dolinie jako uosobienie zła, wywoływała w Seanie mdłości. Próbował sobie wyobrazić, jak musieli się czuć ze świadomością, że wszyscy mieszkańcy planety dosłownie modlą się o okazję, by ich zabić, i miał ochotę wymiotować.

–Sądzę, że Kahtar w końcu sam oszalał. Niektórzy wyszli z Doliny, gdy rozpacz stała się nie do zniesienia, doskonale wiedząc, co się z nimi stanie. Inni popełnili samobójstwo. Nikt z nich nie chciał mieć dzieci. Jaka przyszłość mogli mieć dzieci na planecie pełnej barbarzyńców, którzy chcieli je torturować i mordować?

–Ale Kahtar znalazł coś, w co mógł wierzyć, coś, co trzymało go przy życiu do samego końca, kiedy wszyscy inni już odeszli. Uznał, wbrew wszelkim dowodom i zdrowemu rozsądkowi, że co najmniej jeszcze jeden świat musiał przetrwać. To dlatego podłączył swój dziennik do głównych komputerów. Zostawił go dla nas albo dla kogoś takiego jak my, żebyśmy wiedzieli, co się stało. I w ten sposób przekazał coś bardzo dla nas ważnego.

–Co? – spytał Sean.

–Ostatni członkowie pierwotnej załogi centrum dowodzenia nie tylko przestawili komputery na kierowanie głosem. Wiedzieli, że w Dolinie jest jeszcze kilku ulepszonych ludzi, którzy mogliby poprzez implanty kazać Głosowi uchylić rozkazy, dlatego zlikwidowali łącza neuralne. Teraz istnieje tylko interfejs głosowy, a w środku czeka cała cholerna armia. Ponieważ system kwarantanny został ustawiony tak, żeby zestrzelić każdego, kto spróbuje wykorzystać bron imperialną, garstka starych, zmęczonych Imperialnych w żaden sposób nie mogła się dostać do środka centrum.

Wpatrzyła się w ich przerażone twarze.

–Co oczywiście oznacza, że my też się nie dostaniemy.

Sean siedział w luku kutrow, wysoko na burcie Izraela, i gapił się tępo przez wykrzywające pole maskujące. Ich programy lingwistyczne były coraz lepsze, zwłaszcza że już się nie bali wykorzystywać sond na pełną odległość, jeśli tylko znajdowali się poza stukilometrową strefą ostrzału Świątyni, jednak minęły dwa tygodnie od ujawnienia rewelacji Sandy i żadne z nich nie miało najmniejszego pojęcia, co robić. Pozytywne było jedynie to, że Harriet całkowicie stanęła na nogi i nawet wróciła do biegania na bieżni Izraela.

Westchnął i potarł nos. W tym momencie wyglądał jak przerosnięta czarownica wersja swojego ojca. Spodziewał się problemów z dostaniem się do Świątyni, lecz nigdy nie przypuszczał, że nie będą nawet mogli wykorzystać imperialnej broni mniejszego kalibru! Do diaska, być może nie będą mogli nawet korzystać z implantów, więc jak czworo ludzi – i jeden Narhanin, który od razu zostanie zamordowany jako "demon" – ma włamać się do najlepiej strzeżonej fortecy na całej przeklętej planecie?

Istniało oczywiście jedno bardzo proste rozwiązanie, ale nie mógł tego zrobić. Nie mógł nawet o tym myśleć. Kahtar napisał w swoim dzienniku, że Sanktuarium jest dobrze strzeżone i ufortyfikowane, ale zawsze można je zniszczyć głowicą grawitoniczną, a przecież Izrael mógł wystrzeliwać pociski z atmosfery, które trafiłyby w Świątynię, zanim system kwarantanny zdążyłby zareagować, i jeśli komputer zostałby wyłączony, to samo stałoby się z całym systemem. Ale niestety zginęliby też wszyscy mieszkańcy największego miasta Pardał – według szacunków Sandy około dwóch milionów ludzi.

Potarł mocniej nos. Jego sprytny plan, by wylądować na planecie, powiodł się, owszem, ale w ten sposób wpakował ich prosto w pułapkę. Nie mogą wystartować – zakładając, że mieliby dokąd się udać – gdyż system kwarantanny natychmiast zestrzeliłby ich za próbę opuszczenia planety, i nie mają jak wyłączyć systemu!

–Seanie? – Podniósł głowę. Sandy stała na drugim koncu luku i machała w jego stronę. – Chodź! Musisz to zobaczyć!

–Co zobaczyć? – spytał, podnosząc się.

–To za dobre, żeby psuc ci zabawę. – Miała dziwny wyraz twarzy – wydawała się rozbawiona, podekscytowana i jednocześnie zaskoczona.

–Daj mi chociaż jakąś wskazówkę!

–Dobra. – Spojrzała na niego z dziwnym uśmiechem. – Nie miałam nic lepszego do

roboty, wiec wyslalam sonde do wioski, z ktorej wyciagnelismy Harry, i nie uwierzysz, co tam sie dzieje!

–Coz, ojcie – Tibold z trzaskiem zamknal lunete i skrzywil sie – wydaje sie, ze jego laskawosc nie byl zachwycony.

Stomald pokiwal glowa, oslaniajac oczy dlonia. Probowal nie okazywac rozpaczy. Nie oczekiwal, ze biskup Frenaur przyjmie jego slowa bez zadnych watpliwosci, ale z pewnoscia nie spodziewal sie czegos takiego.

Kreta dolina sunely krwawe sztandary Matki Kosciola, blyskajac w sloncu niebieskimi i zlotymi herbami, a za nimi polyskiwal metal – piki i muszkiety, pancerze i lufy artylerii.

–Jak myslisz, ilu ich jest? – spytal cicho.

–Wystarczajaco wielu. – Kapitan zamrugal i skrzywil sie. – Wiecej, niz sie spodziewalem. Powiedzialbym, ze jest tam wiekszosc malagorskiej Strazy Swiatynnej, ojcie. Jakies dwadziescia tysiecy ludzi.

Stomald znnow pokiwal glowa, wdzieczny, ze Tibold nie powiedzial: "A nie mowilem?". Kapitan Strazy sprzeciwial sie wyslaniu dobrej nowiny do Swiatyni – chociaz sam nie pochodził z Malagom, wiedzial, ze Swiatynia postrzega Malagor jako gniazdo buntu. Widzac te zbrojne zastepy, Stomald cieszył sie, ze przynajmniej zgodzil sie poslac wieści semaforem, a nie dostarczył ich osobiscie.

Otrzasnal sie z tych mysli i zacisnal wargi. Z pewnoscia Bog przyslal swoje anioły do Konca Grani nie bez powodu. Nie obiecywal swoim slugom, ze beda wystarczajaco madrzy, by zawsze dojrzec Jego cel, chociaz on zawsze go mial.

–Co radzisz?

–Uciekac? – zaproponowal Tibold z usmiechem i Stomalda zaskoczyl jego wlasny smiech.

–Nie sadze, by Bogu to sie spodobalo. Poza tym dokad mielibysmy uciec? Za plecami mamy gory, Tiboldzie.

–Jestesmy jak kinokha w pulapce – zgodzil sie kapitan, zastanawiajac sie, dlaczego nie jest bardziej przerazony. Z poczatku myslal, ze mlody kaplan oszalal, lecz bylo w nim cos tak przekonujacego, ze uwierzyl w jego slowa, iz to z pewnoscia nie byly demony. Nie, gdyby to byly demony, Koniec Grani zamienilby sie w sterte ruin pelnych trupow.

A jeśli to nie były demony, to znaczy, że to były anioły. Żalował tylko, że ich przekaz nie był nieco bardziej jednoznaczny, ale zdawał sobie sprawę, że to jego wina – to on był tym cholernym głupcem, który strzelił do pierwszego z nich. Nawet anioł może zapomnieć o przekazaniu wiadomości, mając kule w głowie, a inni wydawali się bardziej zajęci jego uwolnieniem niż pozostawieniem jakichś listów.

Prychnął. Okoliczne wioski i miasteczka – nawet Mur Grani, największe miasto w lancuchu Shalokar – przysłały swoich kapłanów, by obejrżeli ruiny i usłyszeli opowieść ojca Stomalda. Tibold nigdy nie zdawał sobie sprawy, jak wspaniałym kaznodzieją jest Stomald, dopóki nie usłyszał, jak mówi do gości, wzywa wiesniaków do dania świadectwa, opisuje anioła, który mówił w świętym języku w chwili, gdy plonął na nim święty olej. Szkoda, że nie mógł porozmawiać z dowódcą tej armii, gdyż wszystkich innych udało mu się przekonać. Co prawda jego słuchacze byli Malagorczykami, zawsze niechętnymi obcej dominacji, a ten, kto tu dowodzi, otrzymał rozkazy z Kregu i raczej o nich nie zapomni, mimo elokwencji wiejskiego niższego kapłana.

Tibold znów otworzył lunetę, by przyjrzeć się flagom. Za nimi wznosiły się kolumny dymu – to plonęły gospodarstwa i wioski na szlaku marszu wojska. Ich mieszkańcy albo przybyli tutaj, by dołączyć do "herezji", albo przed nią uciekli, a on cieszył się, że to zrobili, gdyż dym świadczył, że Matka Kościół postanowiła dać "buntownikom" pokazową nauczkę i ogłosiła Świętą Wojnę.

–Coż, ojciec – powiedział w końcu – mamy pięciuset muszkieterów, tysiąc pikinierów i cztery tysiące ludzi z gołymi rękami. Nawet z Bogiem po naszej stronie to niewiele.

–Wiem – westchnął Stomald. – Chciałbym móc powiedzieć, że Bóg nas uratuje, ale niekiedy w czasie Próby możemy tylko umrzeć za to, co uznajemy za słuszne.

–Zgadza się. Lecz jestem żołnierzem, ojciec, i jeśli wam to nie przeszkadza, chciałbym zginąć żołnierską śmiercią, nie ułatwiając im zadania.

–Nie znam Pisma, które mówiłoby, że nie powinieneś – odparł Stomald ze smutnym uśmiechem.

–W takim razie wycofamy się do przełęczy Tilbor. Ma mniej niż czterysta kroków szerokości i wyciągnięcie nas stamtąd zajmie nawet takiej gromadzie więcej niż pare dni. Nie będę miał nic przeciwko temu, jeśli poprosicie Boga, by pomógł nam wydostać się z tarapatów, w jakich się znaleźliśmy.

–Zartujesz! – Sean wpatrywał się w obrazy z sondy. – Anioły?!

–Aha. – Oczywiście Sandy świeciły. – Wariactwo, co nie?

–Moj Boże. – Sean opadł na fotel. Pozostali wpatrywali się w wyświetlacz z takim samym niedowierzaniem jak on.

–Właściwie to wcale nie jest takie szalone, jak się wydaje – mruknęła Harriet. – To oczywiste, że nie jesteśmy ludźmi – zwłaszcza z bioulepszeniami, karabinami grawitacyjnymi i granatami plazmowymi – a jeśli ktoś nie jest człowiekiem, to może być tylko albo demonem, albo aniołem. Ponownie przejrzałam wasze raporty. – Wciąż nie pamiętała całego wydarzenia, lecz dzięki zapisowi zobaczyła wszystko oczami przyjaciół. Zadrzała, gdy przypominała sobie obraz własnego zakrwawionego ciała i przygotowanego do podpalenia stosu... – Wydaje się, że najwyraźniej widzieli tylko Sandy i mnie.

–Tak wnioskuje z tego, co mówi ten ojciec Stomald. – Sandy przelaczyła obraz na kapłana i uśmiechnęła się krzywo na wspomnienie ostatniego razu, kiedy widziała tego szerokiego w barach młodzieńca o kreconych włosach i elegancko przyciętej brodzie. Teraz sprawiał wrażenie o wiele bardziej opanowanego, gdy rozmawiał z ponurym żołnierzem.

–Jest słodki, prawda? – szepnęła Harriet, po czym zarumieniła się, gdy Sean spojrzał na nią znacząco, przypominając jej, co ten słodki młodzieniec chciał z nią zrobić.

–Tak czy inaczej, jeśli tylko nas widzieli, to ma sens. Ich kościół jest patriarchalny; co, taka jest większość społeczeństw Parda. Malagorczyki są bardziej radykalni, pozwalają nawet kobietom mieć swoje własne mienie. Myśl o kobiecie w stanie kapłanskim jest bluźnierstwem, a Sandy i ja miałyśmy na sobie mundury Floty Bojowej, które przypadkiem są podobne do tego, co ich biskupi noszą podczas największych uroczystości kościelnych. Dodajcie do tego fakt, że ta patriarchalna instytucja uznawała, że tylko znanych powodów, że anioły są kobietami...

–I to pięknymi – wtracił Tamman.

–Jak już mówiłam, anioły są kobietami – powtórzyła stanowczo Harriet. – Są również niesmiertelne, ale nie są niewrażliwe na ciosy, co tłumaczy, dlaczego mogłam zostać zraniona. Ten Stomald najwyraźniej uważa, że wasza trójka świadomie nie zabiła nikogo, kiedy wpadliście do wioski jak jakaś banda. Biorąc to wszystko pod uwagę, jest w tym jakaś pokrecona logika.

–Taaak – mruknął Sean i zmienił obraz. Maszerujące szeregi zbrojnych przyprawiły załogę Izraela o wyraźny dreszcz. Westchnął.

–Nikogo nie zabilismy, ale wygląda na to, że być może źle zrobiliśmy. Wtedy przynajmniej bylibyśmy demonami, a nie jakimis niebiańskimi posłancami, którzy nie zamierzają zadać im bolesnej śmierci.

–Moze tak, a moze nie. – Blysk w oczach Sandy patrzonej na maszerujaca Straz zaniepokoi Seana.

–Co masz na mysli? – spytal. Usmiechnela sie do niego rozkosznie.

–To, ze wlasnie znalezlismy klucz do bram Swiatyni.

–Eee? – zapytal inteligentnie jej ukochany. Usmiech Sandy stal sie jeszcze szerszy.

–Nie chcemy, aby ci ludzie zgineli za to, co my rozpetalismy, chociaz nieswiadomie, prawda? – Cztery glowy zgodnie pokiwalay, a wowczas wzruszyla ramionami. – W takim razie musimy ich uratowac.

–A jak twoim zdaniem mamy to zrobic?

–O, to jest najlatwiejsze. Ci ludzie sa o ponad sto kilometrow od Swiatyni.

–Chwileczke! – zaprotestowal Sean. – Nie chce, by Stomald i jego kumple zostali zmasakrowani, ale nie chce tez, aby ktokolwiek inny zginal!

–Nie ma takiej potrzeby – zapewnila go. – Zdaje sie, ze mozemy ich porzadnie nastraszyć kilkoma holoprojekcjami, nawet bez prezentowania sily naszego ognia.

–Hmmm. – Sean popatrzyly na pozostalych i jego oczy rozblysy. – Tak, chyba mozemy. To moze nawet byc zabawne.

–Nie daj sie poniesc fantazji – ostrzegla go Sandy – bo najwazniejsze jest to, co sie stanie po tym, jak ich wystraszymy.

–O czym ty mowisz? – spytal zaskoczony Tamman.

–Chce powiedziec, ze – czy nam sie to podoba, czy nie – bedzie awantura. Albo pozwolimy, by Kosciol ich zmasakrowal, albo ich uratujemy. Jesli ich uratujemy, to czy sadzicie, ze Kosciol powie: "Ojej, moze lepiej bedzie zostawic tych paskudnych, czczacych demony heretykow w spokoju?". Ci ludzie tez nie wroca do domow jak gdyby nigdy nic, bo jesli ich uratujemy, umocnimy ich wiare w boska interwencje.

–Wspaniale – westchnal Sean.

Sandy wzruszyla ramionami.

–Nie zrobilismy tego celowo, lecz teraz nie mozemy sie cofnac. Zatem jesli Swiatynia chce kruczaty, to bedzie ja miala.

–Chcesz powiedziec, ze powinnismy rozpetac wojne religijna?! – Harriet popatrzyly na przyjaciolke ze zgroza, a ta znow wzruszyla ramionami.

–Chce powiedziec, ze juz to zrobilismy – odparla powazniejszym tonem. – Dlatego jestesmy odpowiedzialni za doprowadzenie tej sprawy do konca w ten czy inny sposob, i nie dokonamy tego bez splamienia naszych rak krwia. Nie podoba mi sie to tak samo jak tobie, Harry, ale nie mamy wyboru, chyba ze chcemy usiasc z zalozonymi rekami i patrzec, jak Stomald i jego ludzie gina.

–Zatem jesli juz mamy sie zaangazowac, to na calego. Jedyny sposob, aby Stomald przezył, to usunac caly Wewnetrzny Krag – a tak sie sklada, ze nam rowniez jest to potrzebne, aby sie dostac do Sanktuarium.

–Nie rozumiem – rzekla powoli Harry, lecz Sean patrzyl na Sandy z podziwem.

–Na Boga, Sandy, to genialne!

–No, z pewnoscia wyjatkowo inteligentne – rozesmiala sie. – I na pewno jestesmy odpowiednimi osobami do tej roboty!

Uśmiech na jej twarzy siegal teraz od ucha do ucha.

–W koncu jestesmy zagubionym plemieniem Izraela, czyz nie?

Rozdzial 24

Sean skrzywil sie, gdy jego zamaskowany myśliwiec, jeden z trzech, ktore znajdowaly sie na pokladzie Izraela, zawisl nad parowem. Wawoz byl krety, gleboki i mial urwiste zbocza, ktore w najwczeszym miejscu – tam, gdzie wybudowano szaniec – oddalone byly od siebie zaledwie o dwiescie metrow. Juz rozumial, dlaczego heretycy wycofali sie tutaj, chociaz tak niewielka przestrzen ogromnie utrudniala mu ustawienie sie do strzalu.

Sprawdzil odczyty skanerow. Kuter, ktorym lecieli Sandy, Harriet i Brashan, byl tak samo zamaskowany jak myśliwiec, lecz ich zsynchronizowane pola maskujace sprawialy, ze byli dla siebie nawzajem widoczni.

Zalowal, ze nie mieli wystarczajaco duzo czasu, aby dobrze sprawdzic prowizorycznie umocowany holoprojektor. Szkoda tez, ze nie mieli wiecej czasu na planowanie. Opracowanie szczegolow planu w ciagu niespelna dziesieciu godzin bylo bardzo ryzykowne, choc musial przyznac, ze Sandy jakos odniosla sie do jego glownych zastrzezen.

Najtrudniejsza jednak byla swiadomosc, ze tak niewiele mogli tym ludziom zaoferowac – jedynie "cud". Nie odwazyli sie uzyc imperialnego sprzetu w odleglosci mniejszej niz sto kilometrow od Swiatyni, a z kolei gdyby go uzywali wczesniej, a potem przestali, efekty bylyby katastrofalne. Nie tylko dlatego, ze daliby Swiatyni nadzieje na zwyciestwo; nagle wycofanie sie mogloby przekonac heretykow, ze

naprawde sa heretykami i ze oni sami nie osmielili sie stawic czola Swiatyni na jej wlasnym terenie – a to mogloby stworzyc wiecej problemow niz caly fortel Harriet.

Zalowal, ze jego siostra nie byla nieco mniej pryncypialna. Jej naleganie, aby nigdy nie przypisywali sobie boskiego statusu, moze skomplikowac sprawe, a prawdopodobnie nawet sprawic, ze w ogole im nie uwierza. Ale mimo to miala racje. I tak narobili juz dosc szkod, a zakladajac, ze wygraja rozpetana przez nich wojne, i tak w koncu beda musieli przekonac swoich "sojusznikow", ze tak naprawde wcale nie sa aniolami. Poza tym czulby sie nie w porzadku, kazac sobie oddawac boska czesc.

Skierowal wzrok na arme Kosciola. Straz zajeta byla rozstawianiem dzial. Nie wygladaly na szczegolnie duze – mogly strzelac kulami o wadze pieciu czy szesciu kilogramow – lecz bylo ich wiele, a tymczasem w obozie heretykow nie widac bylo ani jednego dziala.

–Szkoda, ze nie ma z nami ojca Sandy – mruknal.

–Albo mojego – dodal Tamman. – A jeszcze lepiej matki!

–Kazde z nich by sie przydalo, ale to wujek Hector jest specem od historii. Nie mam pojecia o czarnym prochu i dzidach.

–Bedziemy musieli sie uczyc w trakcie walki. Przynajmniej mamy odpowiednie akcesoria. – Tamman usmiechnal sie, stukajac w czarny jak smola napiersnik. Sean nosil podobny, tak samo jak napiecznik i kolczaste rekawy. Pancerze, podobnie jak przymocowane do ich foteli miecze, pochodzily z warsztatow Izraela, a materialy, z ktorych zostaly wykonane, wywolalyby nieliczne zdziwienie w obu rozlozonych w dole obozowiskach.

–Latwo ci mowic – burknal Sean. – Byles filarem druzyny szermierczej, a ja chyba dam sobie glowe odciac!

–Oni raczej korzystaja z dwurecznych mieczy – zauwazyl Tamman – wiec nie wiem, czy szermierka na cos sie tutaj przyda. Ale obaj mamy przyspieszone reakcje, a oni...

–Juz czas, Seanie – przerwal mu cichy przekaz od Sandy.

Tibold Rarikson stal za szancem, wbijajac wzrok w ciemnosc, i pocieral bolace plecy. Minelo wiele lat, odkad po raz ostatni trzymal w rece lopate, ale poniewaz wiekszosc jego "zolnierzy" to bylo miejscowe pospolite ruszenie, musial ich nauczyc, ze lopata to rownie dobra bron jak miecz, choc bylo malo prawdopodobne, by mieli

czas na przyswojenie sobie tej lekcji. Z powodu ciemności nie widział wrogiego obozu, lecz wiedział, że przygotowują działa. Edykt Matki Kościół zabraniający świeckim władcom utrzymywania cięższych dział niż chagory dawał Strazy wyłączność na posługiwanie się arlakami. Rzecz jasna on nie miał nawet chagorów i musiał liczyć tylko na swoje malagory. Poza tym będzie stawiać czoła Straznikom, którzy większą część służby spędzili w Malagorze i wiedzieli wszystko o ciężkim muszkiecie, który był symbolem ich księstwa...

Te ponure myśli rozpieczęły się, kiedy nagle pomiędzy dwoma wrogimi obozami pojawiła się kula przycmionego światła. Tibold przetarł oczy i zamrugał, lecz słaby blask nie zniknął. Dotknął stojącego najbliżej wartownika.

–Ty! Sprowadź ojca Stomalda!

–Kapitanie Ithun! Proszę spojrzeć!

Podkapitan Ithun podskoczył i stłumił przekleństwo, gdy grzane wino pociekło mu po piersi. Oficer Strazy – jeden z niewielu rodowitych Malagorczyków w oddziale wysłanym do tak odległej prowincji – przetarł napiersnik, mrużąc coś pod nosem, po czym ruszył w stronę wartownika, który go wołał.

–Na co mam spojrzeć, Surgam? – spytał z irytacją. – Nic nie...

Zamilkł. W odległości pięciuset kroków od niego, niemal na skraju rowu wykopanego przed szancami heretyków, unosiła się chmura w kształcie ludzkiej postaci. Klebiła się i poruszała, a im dłużej na nią patrzył, tym była coraz jaśniejsza. Włosy pod hełmem zaczęły mu stawac deba. Natychmiast pomyślał o tych niewiarygodnych opowieściach przekazanych im przez garstkę heretyków, których udało im się pojmać. Poczł suchość w ustach, kiedy dziwna poświata zaczęła płynąć w jego kierunku.

Przelknął ślinę. Jeśli heretycy mieli kontakty z Doliną Potępionych, to może być...

Przerwał, zanim pomyślał to słowo.

–Sprowadź ojca Uriada! – warknął i szeregowy Surgam szybciej niż zwykle znikł w mroku.

–O co chodzi, Tiboldzie? – Stomald dyszał po biegu. W końcu udało mu się usnąć i jego umysł wciąż jeszcze był ocieziały.

–Sami spojrzcie, ojcie – odpowiedział Tibold pełnym napięcia głosem. Stomaldowi opadła szczeka. Kula światła była ogromna i wciąż rosła.

–Jak... Jak długo to tutaj jest?

–Nie dłużej niż pięć minut, ale... – Tibold przerwał i tak głośno przełknął ślinę, że nawet Stomald to usłyszał, choć w tej właśnie chwili padł na kolana.

Perłowy blask nagle pociemniał, unosił się jeszcze wyżej i przybrał kształt potężnej postaci.

–Niech nas święty Yorda ma w opiece! – krzyknął ktoś, a okrzyk ten był echem myśli Stomalda.

Niebieskoczerwona postać, podświetlona straszliwym wewnętrznym blaskiem, była odwrócona do niego plecami i mogła być ze dwadzieścia razy wyższa niż wtedy, kiedy ją ostatnio widział, lecz bez trudu rozpoznał te krótkie krecone włosy obcięte niczym hełm i przypomniał sobie grzmiący głos dochodzący spośród płomieni. Szybko zaczął się modlić.

–Dobry Boże – wyszeptał podkapitan Ithun.

Światło wypływające z nieziemskiej postaci omywało ściany doliny falami błękitu i złota, a jej brązowe oczy świeciły jak latarnie. Z trudem powstrzymał się, by nie pasc na kolana, gdy jego ludzie zaczęli krzyczeć z przerażenia. Demon, powiedział sobie. To musi być demon! Ale w tej surowej twarzy i stanowczo zacisniętych ustach było coś intrygującego. Czy to możliwe, że heretycy są...

Przegnął te myśli, z trudem powstrzymując się przed ucieczką. Gdyby cofnął się choć o krok, jego kompania natychmiast by znikła, ale przecież był tylko zwykłym człowiekiem! Jak...

–Boże, ratuj nas!

Obrocił się, słysząc ten szeptał, i westchnął z ulgą. Wyciągnął ręce, nie przejmując się konwenansami, i potrząsnął ojcem Uriadem.

–Co to jest, ojcie? – spytał. – Na Boga, co to?

–Ja... – zaczął Uriad, a wtedy widmo przemówiło.

–Wojownicy Matki Kościola!

Stomald sapnal z wrazenia, gdyz grzmiacy glos byl dziesiec razy potezniejszy niz ten w Koncu Grani. Sto razy! Wszyscy wokol niego padli na kolana, przyciskajac rece do uszu, sparalizowani jego moca.

–Wojownicy Matki Kosciola, zakonczcie to szalenstwo! To nie sa wasi wrogowie, to wasi bracia! Czy Pardal nie widzial wystarczajaco duzo rozlewu krwi? Czy musicie zwracac sie przeciwko niewinnym, by przelewac jej jeszcze wiecej?

Potezna postac zrobila krok do przodu – ogromny krok, rowny dwudziestu krokom smiertelnikow – i pochytila sie nad przerazonym Straznikiem Swiatyni. Na surowej twarzy pojawil sie smutek, a jedna dlon uniosla sie blagalnym gestem.

–Spojrzcie w swoje serca, wojownicy Matki Kosciola! – grzmial potezny glos. – Spojrzcie w swoje dusze. Czy w obliczu ludzi i Boga splamicie swe rece krwia niewinnych dziatek i niewiast?

–To demon! – krzyknal ojciec Uriad, gdy ludzie spojrzeli przerazeni w jego strone. – Mowie wam, to demon!

–Ale... – zaczal ktos, lecz kaplan obrocil sie z furia w jego strone.

–Glupcze! Chcesz stracic swoja dusze? To nie jest zaden aniol! To demon z samych Piekiel!

Widzac wahanie Straznikow, Uriad chwycil muszkiet wartownika i rzucil sie do przodu, by samotnie stawic czola demonicznej postaci.

–To demon! – Jego krzyk wydawal sie slaby w porownaniu z tamtym majestatycznym glosem. – Przeklety diabel! Ohydny, nieczysty niszczyciel niewinnosci! Wypedzam cie! Wracaj do Piekiel, skad przybywasz!

Straznicy Swiatyni stali z otwartymi ustami, przerazeni, a jednoczesnie zahipnotyzowani jego odwaga. Potezna postac spojrzala na niego z gory.

–Zabilbys swoja wlasna trzodke, kaplanie? – Kaplani w obu armiach oniemiaли – glos mowil w swietym jezyku! Lecz Uriad byl pysznym czlowiekiem i uniosl muszkiet do ramienia.

–Odejdz, przeklety! – wrzasnal i muszkiet blysnal.

–To juz koniec – mruknal Sean, podrywajac myśliwiec. – Czemu, do diabla, nie

moga po prostu uciec? Tam, wycelowales?

–Aha. Jezu, mam nadzieje, ze ten idiota nie jest tak blisko, jak mi sie wydaje.

–Kaplanie – slodki kontralt brzmial niczym grzmot – nie poprowadzisz tych ludzi ku potepieniu.

Wyzszy kaplan Uriad patrzyl w gore, zaciskajac rece na muszkiecie. Czul w nozdrzach ostry zapach prochowego dymu, lecz kula nawet nie drasnela celu. Przerazenie wzieło gore nad wsciekloscia i zadrzal, lecz wiedzial, ze gdyby teraz uciekl, cala jego armia zrobilaby to samo, wiec oderwal jedna dlon od kolby muszkietu, siegnal do piersi i uniosl symbol, oswietlony teraz blaskiem saczacym sie z widmowej postaci.

–Ci niewinni ludzie sa pod moja opieka, kaplanie. Nie chce, zeby ktokolwiek zginal, ale jesli ktos musi zginac, to na pewno nie oni!

I z wielkiego palca widma wyplynal jaskrawy promien swiatla.

Tamman zeszywnial, gdy glowna bateria mysliwca zestroila sie z ukrytym w tym promieniu laserowym celownikiem. Zaczekal jeszcze chwile, po raz kolejny sprawdzajac odczyty. Boze, nigdy nie mysleli, ze jakis idiota bedzie mial takie jaja, zeby wyjsc naprzeciw holograficznemu obrazowi Sandy.

Promien dotknal ziemi i dwadziescia tysiecy glosow krzyknelo z przerazenia, gdy w poprzek doliny pojawil sie potezny wykop. Ziemia wystrzelila do gory, skaly zaczely pekac, a ojciec Uriad polecial do tyłu jak szmaciana lalka. Kamienny pyl zatykal nozdrza i gardla.

Tego bylo juz za wiele. Straznicy zaczeli odrzucac bron, artylerzysci zostawiali armaty, a kucharze swoje chochle. Malagorska Straz Swiatyni ruszyla z wrzaskiem w noc.

Promien swiatla zgasl i blekitnozłota postac odwrocila sie od rozproszonych zastepow Matki Kosciola w strone ludzi ojca Stomalda.

Mlody kaplan podniosl sie i stanal na szczycie szanca, by spojrzec na aniola, ktorego wczesniej probowal zabic. Jej plonacy wzrok spoczal na nim. Czul strach swoich ludzi, jednak podziw i szacunek zatrzymaly ich w miejscu. Aniol usmiechnela

się, tym razem łagodniej.

–Przybędę do was – powiedziała – w mniej przerażającej postaci. Oczekujcie mnie.

I majestatyczna postać utkana z blasku i chwały znikła.

Rozdział 25

Ojciec Stomald usiadł do kolacji przy obozowym stole. Był ledwie żywy ze zmęczenia. Zajęcie się niespodziewanym lupem porzuconym przez Straż było bardzo wyczerpujące, lecz Tibold miał rację – rozpedzenie armii nie gwarantowało zwycięstwa, a ta broń była bezcenna. Poza tym Straż mogła nabrac odwagi i wrócić, by ją zabrać, gdyby oni jej nie wzięli.

Podjęcie decyzji, co zrobić z pikami i muszkietami, było całkiem proste. Trudniejsze okazały się inne kwestie – na przykład powrót ponad czterech tysięcy Strazników, którzy błagali, by ich przyjąć do Armii Aniołów. Stomald przyjął ich, lecz Tibold upierał się, by nic ufać nowo przybyłym. To jedynie kwestia czasu, kiedy Kościół spróbuje wprowadzić do ich szeregów szpiegów udających nawróconych, dlatego wolął wcześniej ustalić reguły.

Stomald rozumiał jego racje, lecz podjęcie decyzji, co ma zrobić, zajęło mu całe godziny. Na razie Tibold miał cztery tysiące nowych robotników; kiedy udowodni swoje szczerze intencje, zostaną włączeni do jego jednostek.

Jednak wszystkie te kwestie, choć ważne, dla większości ludzi Stomalda były drugorzędne. Wiedzieli, że to posłancy samego Boga ruszyli im na pomoc, a ponieważ Malagorczycy byli zbyt pragmatyczni, by pozwolić, aby radość przeszkodziła im w ich obowiązkach, wykonywali swoje zadania, wyspiewując radosnie hymny. A Stomald jako pasterz znacznie większej trzodki, niż kiedykolwiek się spodziewał, zajął się zaplanowaniem i przeprowadzeniem pełnych powagi uroczystości dziękczynnych, którymi mieli zakończyć ten długi, wyczerpujący dzień.

Co oznaczało, że miał mało czasu na oddychanie, a jeszcze mniej na jedzenie.

Szybko zjadł resztki potrawy z shemaą i ruszył do swojego namiotu. Rozbito go na niewielkim wzniesieniu, daleko od pozostałych, w trosce o prywatność kapłana. Ta izolacja trochę go razila, ale jednak dzięki niej nikt mu nie przeszkadzał w rozmyślaniach i modlitwie, co jako przywódca zaczynał doceniać.

Unosił głowę, spoglądając na wisząca u wejścia do namiotu latarnie. W dolinie poniżej migotały inne latarnie i pochodnie, słyszał też męczące setki nioharqów porzuconych przez Straż. Branahlkow było zdecydowanie mniej – szybkie wierzchowce były bardzo pomocne w ucieczce – ale nioharqi, wyższe w klebie od człowieka, okazały się nieoceniszone przy przenoszeniu obozu. A...

Poderwał się gwałtownie na równe nogi, gdy powietrze nagle poruszyło się... i oto stała przed nim anioł, która uratowała jego ludzi.

Sean i Tamman czekali na zewnątrz namiotu, otoczeni przenośnymi polami maskującymi. Droga przez oboz była... interesująca, ponieważ zwykle ludzie nie uważają na rzeczy, których nie widzą. Sandy na przykład niemal nie została zmiądzona przez ciężki wóz, a widok jej twarzy, gdy odskoczyła na bok, mocno rozbawił jej przyjaciół.

Sean zamierzał to zrobić poprzedniej nocy, lecz pogrom Straży – i skarby, które zostały porzucone w obozie – spowodowały, że zmienił plany. Stomald z pewnością potrzebował kolejnych cudów, kiedy zajmował się tym nieoczekiwanym lupem, a poza tym opóźnienie dało mu czas na przyjrzenie się "heretykom" w działaniu. Był pod dużym wrażeniem ich wojskowego dowódcy. Ten mężczyzna był profesjonalistą w każdym calu i mógł się okazać bezcenny.

Ale to wszystko sprawa przyszłości, a teraz próbował się nie rozesmiać, widząc minę kapłana patrzącego na Sandy.

Stomald otworzył szeroko usta, po czym upadł przed aniołem na kolana i zrobił znak boskiej gwiazdy. Miał świadomość własnej niedoskonałości, ale jednocześnie czuł ogromną radość, że mimo to Bóg uznał za słuszną, by dotknąć go swym Palcem. Wstrzymał oddech, czekając na jakiś znak jej woli.

– Powstan, Stomaldzie – powiedział cichy głos w świętym języku. Przez chwilę wpatrywał się w podłogę, po czym podniósł się z drzeniem. – Spojrz na mnie – powiedziała anioł, a wtedy uniosł wzrok do jej twarzy. – Tak lepiej.

Anioł przeszła przez namiot i usiadła na krześle. Stomald obserwował ją w milczeniu. Poruszała się z wdziękiem i była nawet drobniejsza, niż sadył tamtej straszliwej nocy. Ale w jej drobnej postaci nie było niczego delikatnego.

Brazowe włosy, obcięte krótko jak u mężczyzny, błyszczwały w świetle latarni. Jej usta były stanowczo zacisnięte, lecz był dziwnie pewien, że są stworzone do uśmiechu. W jej trójkątnej twarzy najważniejsze były wielkie oczy, wysokie kości policzkowe i wyrażająca zdecydowanie broda. Brakowało jej piękna, jakie miała w sobie anioł zraniona przez myśliwych Tibolda, jednak emanowała siłą i zdecydowaniem.

Odpowiedziała spokojnie na jego spojrzenie, a on odchrząknął i zaczął gorączkowo myśleć, co człowiek powinien w takiej sytuacji powiedzieć boskiemu posłancowi.

Dobry wieczor? Jak sie masz? Czy myslisz, ze bedzie padac?

Nie mial pojecia. Oczy aniol przyjaznie zamigotaly – najwyrazniej postanowila zlitowac sie nad nim.

–Powiedzialam, ze was odwiedze. – Jej glos bez grzmotu gniewu brzmial slodko i lagodnie. Puls Stomalda zwolnil.

–To dla nas zaszczyt, wasza swiatobliwosc – wyjakał. Aniol potrzasnela glowa.

–"Swiatobliwosc" to tytul kaplana, a ja jestem tylko gosciem z odleglych krain.

–To... To jakiego tytuliu mam uzywac?

–Zadnego. Mam na imie Sandy.

Stomald zadrzal – nigdy nie slyszal takiego imienia.

–Jak rozkazesz – wyszeptal i uklonil sie, a ona skrzywila sie.

–Nie jestem tutaj, by ci rozkazywac, Stomaldzie. – Drgnal, bojac sie, ze ja rozgniewal, ale ona potrzasnela glowa, widzac jego strach.

–Wszystko poszlo nie tak – powiedziala. – Nie bylo naszym celem, by wplatywac twoj lud w wojne z Kosciolem. Zle sie stalo, ze sprowadzilismy niebezpieczenstwo na wasza kraine i wasze zycie.

Stomald milczal, choc czul potrzebe zaprzeczenia jej samooskarzeniom. Byla wyslannikiem Boga, wiec nie mogla czynic zla. A jednak, przypomniat sobie, aniolowie byli jedynie slugami Boga, a nie bogami, wiec byc moze mogli popelniac bledy. Ta nowa mysl byla bardzo niepokojava.

–My uczynilismy wiecej zla niz wy – powiedzial wreszcie pokornie. – Zranilismy inna aniol i polozylismy na niej nasze bezbozne, brutalne rece. To, ze Bog jeszcze raz was przyslal, by uratowac nas przed swoim Kosciolem, kiedy uczynilismy takie zlo, jest wieksza laska, niz na to zasluzyalismy, o Sandy.

Sandy skrzywila sie. Pardalczycy, podobnie jak Ziemianie, mieli wiecej niz jedno okreslenie na "aniola". Sha'kia, najbardziej popularne, pochodziło od słowa "wyslannik" w uniwersalnym imperialnym. Niestety bylo tez inne, erathiu, pochodzace od słowa "gosc" – i tego wlasnie słowa przez pomyłke uzyla. Wyjasnienie, co wlasciwie miala na mysli, mowiac "gosc", byloby bardzo trudne ze wzgledu na jego swiatopoglad, dlatego tylko zagryzla warge i wzruszyla ramionami.

–Zrobiliscie tylko to, co uwazaliscie za konieczne – powiedziala – i ani ja, ani sama

Harry nie mamy wam tego za złe.

–To... ona przeszła? – Na twarzy Stomalda pojawił się wyraz ulgi.

–Owszem. Jednak to, co sprowadza mnie tutaj, to niebezpieczeństwo grożące twoim ludziom, Stomaldzie. Chcieliśmy zrealizować nasz własny cel i przy okazji sprawiliśmy, że grozi wam zguba. Gdybyśmy mogli, cofnelibyśmy to, co zrobiliśmy, lecz nie jest to w naszej mocy.

Stomald pokiwał głową. Pismo mówiło, że anioły są potężnymi istotami, lecz człowiek jest obdarzony wolną wola i jego działania mogą całkowicie zniweczyć cele aniołów. Zarumienił się ze wstydu, gdy uswiadomił sobie, że jego trzódka właśnie to zrobiła. Jednak anioł Sandy nie była rozgniewana. Prawdziwa troska w jej głosie sprawiła, że jego serce wypełniła wdzięczność.

–Być może nam się uda – mówiła dalej Sandy – połączyć nasz ciężar z obowiązkiem uratowania twojego ludu przed konsekwencjami naszych błędów, lecz nasze możliwości są ograniczone. Nie możemy po raz drugi interweniować tak, jak to zrobiliśmy ostatniej nocy. Nasz cel na to nie pozwala.

Stomald przelknął ślinę. Jak mają przetrwać bez takiej pomocy, mając przeciwko sobie Matkę Kościół? Spostrzegła jego przerażenie i uśmiechnęła się łagodnie.

–Nie powiedziałam, że nie możemy interweniować, Stomaldzie, po prostu nie możemy tego zrobić w taki sam sposób. Pomozemy ci, lecz musisz wiedzieć, że Wewnętrzny Krag nie spocznie, póki cie nie zniszczy. Zagrasz jego wierze i świeckiej władzy nad Malagorem, a teraz to zagrożenie jest jeszcze większe, gdyż wieści o tym, co się wydarzyło ostatniej nocy, szybko się rozejdą na skrzydłach talmahka.

–Z tego powodu wkrótce wyruszą przeciwko wam nowe armie, ale nie pozwolimy wam zginąć. Wierzymy, że celem człowieka jest pomoc współbraciom, a nie zabijanie ich w imię Boga. Czy to rozumiesz?

–Tak – wyszeptał Stomald. Przez całe życie tylko tego pragnął, a teraz usłyszał od anioła, że taka jest wola Boga!

–To dobrze – szepnęła anioł, po czym wyprostowała się na krześle. Jej oczy pociemniały. – Ale kiedy inni was zaatakują, macie wszelkie prawo się bronić, i my wam w tym pomożemy, jeśli zechcecie. Wybór należy do was. Nie zmusimy was do przyjęcia naszej pomocy czy rady.

–Proszę. – Stomald unosił ręce i omal nie rzucił się znowu na kolana. – Proszę, pomóż mojemu ludowi. Błagam.

–Nie musisz błagać. – Anioł patrzyła na niego surowo. Zrobimy, co będziemy mogli, lecz jako przyjaciele i sojusznicy, a nie dyktatorzy.

–Ja... – Stomald znow przelknął ślinę. – Wybacz mi, o Sandy. Jestem tylko prostym niższym kapłanem i nie rozumiem tych wszystkich rzeczy, które się dzieją. – Mimo napięcia lekko się uśmiechnął, lecz trudno było się nie uśmiechać, gdy jej wzrok był tak pełen zrozumienia. – Ale nawet wysoki kapłan Vroxhan nie wiedziałby, co powiedzieć albo zrobić, gdyby w jego namiocie pojawiła się anioł! – powiedział i struchlał, lecz anioł tylko się uśmiechnęła i na jej policzkach pojawiły się dołeczki.

–Ja też tak sądzę – odpowiedziała, po czym natychmiast spoważniała.

–Stomaldzie, zrozum, że nie pragniemy ani nie oczekujemy waszego uwielbienia. Proś o co zechcesz, tak jak prosiłbyś innego człowieka. Jeśli będziemy mogli to zrobić, zrobimy, a jeśli nie, powiemy ci o tym i nie będziemy mieli ci za złe, że nas poprosiłeś. Czy możesz to zrobić?

–Może spróbować – zgodził się z większą pewnością siebie. Trudno się bać kogoś, kto tak wyraźnie dobrze życzy jemu i jego ludowi.

–W takim razie pozwól, że powiem ci, co możemy zrobić, skoro już powiedziałam, czego nie możemy. Możemy wam pomagać i radzić, możemy też nauczyć was wielu różnych rzeczy. Możemy wam opowiedzieć, co się dzieje gdzie indziej, choć nie wszystko, i możemy bronić waszego życia, jeśli zechcecie, choć nie możemy zabijać waszych wrogów naszą bronią. Czy zgadzacie się na to?

–Zgadzamy. – Stomald wyprostował się. – Nie zrobiliśmy niczego złego, a mimo to Matka Kościół ogłosiła przeciwko nam Świętą Wojnę. Jeśli podjęła taką decyzję, będziemy się przed nią bronić tak, jak musimy.

–Wiedząc, że musicie zginąć albo wy, albo Wewnętrzny Krag? Stomaldzie, czy jesteś gotowy wziąć na siebie taką odpowiedzialność?

–Jestem – odpowiedział jeszcze bardziej stanowczo. – Pasterz może umrzeć za swoje stado, lecz jego obowiązkiem jest ochrona stada, a nie jego zabijanie. Tego naucza Matka Kościół. Jeśli Wewnętrzny Krag o tym zapomniał, należy go nauczyć tego od nowa.

–Sądzę, że jesteś równie mądry jak odważny, Stomaldzie z Konca Grani – powiedziała – a ponieważ chcesz bronić swojego ludu, przyprowadziłam ci tych oto pomocników. – Uniosła dłoń, powietrze znow zadrzało i nagle pojawiło się dwóch obcych.

Jeden z nich był niewiele wyższy od Stomalda, szeroki w barach i dobrze umięśniony, w czarnej jak noc zbroi. Jego włosy i oczy były tak samo brązowe jak

włosy i oczy anioła, a skóra o wiele ciemniejsza. Trzymał pod pachą helm z grzebieniem, a u jego boku wisiał długi, wąski miecz. Wyglądał na twardego i kompetentnego człowieka.

Ale ten drugi! Ten był olbrzymem gorującym nad Stomaldem i swoim towarzyszem. Jego oczy i włosy były czarne jak noc. Miał podobną zbroję i taki sam wąski miecz. Nie był przystojny – właściwie jego wielki nos i odstające uszy były brzydkie – i patrzył kapłanowi prosto w oczy bez arogancji ani służalczości. Tak mogłoby patrzeć Tibold, pomyślał Stomald, gdyby nie wpojony mu szacunek dla kapłanów.

–Stomaldzie, to moi wojownicy – powiedziała cicho anioł. – To – dotknęła ramienia niższego mężczyzny – jest Tamman Tammanson, a to – dotknęła olbrzyma i jej wzrok na chwilę złagodniał – jest Sean Colinson. Czy przyjmiesz ich jako swoich kapitanów?

–Bede... zaszczycony – powiedział Stomald, znowu czując zdziwienie. Nie byli aniołami, gdyż byli mężczyznami, lecz coś – nie tylko ich nagłe pojawienie się – mówiło mu, że nie są tylko zwykłymi śmiertelnikami.

–Dziękuję ci za zaufanie – powiedział Sean Colinson. (Co to za imię?). Jego głos był głęboki, a posługiwał się nie świętym językiem, a pardalskim z akcentem. Wyciągnął potężną prawą rękę. – Jak powiedziała Sandy, wasz los należy do was, lecz to nie wy sprowadziliście na siebie niebezpieczeństwo, i jeśli tylko bede mógł wam pomóc, na pewno to zrobię.

–I ja również. – Tamman Tammanson stał pół kroku za swoim towarzyszem jak giermek albo podkapitan, lecz jego głos był równie stanowczy.

–A teraz, Stomaldzie – powiedziała anioł Sandy w świętym języku – myślę, że nadszedł czas, by wezwać Tibolda. Mamy wiele do omówienia.

Tibold Rarikson siedział na krześle i czuł, że zachowuje się jak głupi kmiotek. Za każdym razem, kiedy anioł Harry spoglądała w jego stronę, uciekał spojrzeniem od jej pięknej twarzy. Ani słowem nie potępiała go za to, że do niej strzelał, i był jej za to wdzięczny, jednak podejrzewał, że czułby się znacznie lepiej, gdyby było inaczej.

Nigdy nie przypuszczał, że może spotkać taką dziwną grupę. Mężczyzna, którego anioły nazywały Seanem, był olbrzymem wśród ludzi, zaś ten zwany Tammanem miał skórę o barwie starego drewna jelath. Ale to anioły przyciągały wszystkie spojrzenia. Anioł Harry była niższa od lorda Seana, lecz o głowę wyższa od większości mężczyzn, i mimo przepaski na oku zdawała się patrzeć w głąb duszy człowieka. Wyglądała trochę dziwnie w spodniach, nawet tych bedacych części kapłańskiej szaty. Tibold uważał, że powinna nosić długą kolorową spódnicę malagorską

kobiety, a nie meski stroj, gdyz promieniowala lagodnym wspolczuciem, ktore sprawialo, ze czlowiek natychmiast czul do niej zaufanie.

A co do aniol Sandy, mimo tak krotkiej znajomosci Tibold podejrzewal, ze nikt raczej jej sobie nie wyobraza w spodnicy! Jej brazowe oczy swiecily zdecydowaniem doswiadczonego kapitana, jej slowa byly krotkie i dosadne, i emanowala ledwie hamowana sila polujacego seldahka.

–Tak jak powiedziales ty i aniol Sandy... – zaczal Stomald w odpowiedzi na ostatnie stwierdzenie lorda Seana i urwal, kiedy aniol pochylila sie do przodu i skrzywila.

–Nie nazywajcie nas tak – powiedziala. Tibold spedzil wystarczajaco duzo czasu w sluzbie Swiatyni, by rozumiec swiety jezyk, lecz nigdy nie slyszal takiego akcentu. Natychmiast wyczul, ze to rozkaz.

Kaplan wyprostowal sie z zaskoczona mina, spojrzal na Tibolda, po czym znowu odwrocil sie do aniol. Jego zmieszanie bylo wyrazne, co potwierdzal jego glos, gdy znow sie odezwal.

–Nic chcialem cie urazic – powiedzial pokornie, a aniol zagryzla warge i spojrzala na aniol Harry. Ta zerknela na nia jednym okiem i westchnela.

–Nic jestem urazona, Stomaldzie – powiedziala powoli – ale sa... powody, dla ktorych Harry i ja wolimy unikac tego tytulu.

–Powody?

–W swoim czasie je zrozumiesz, Stomaldzie. Obiecuje, ale na razie, prosze, uszanuj nasza wole.

–Jak rozka... – zaczal Stomald, lecz natychmiast sie zreflektowal. – Jak sobie zyczysz, lady Sandy – powiedzial i znow spojrzal na Tibolda.

Byly Straznik wzruszyl ramionami. Jesli o niego chodzi, moze zwracac sie do aniolow tak, jak tylko chca. Slowa nic nie znacza, a nawet wioskowy idiota wie, ze sa aniolami, niezaleznie od tego, jak chca byc nazywane.

–Tak jak powiedziala lady Sandy – powtorzyl po chwili kaplan – pierwszym krokiem powinno byc umocnienie naszej pozycji. Bron, ktora porzucila Straz, bedzie pomocna – spojrzal na Tibolda, a ten pokiwal glowa – ale masz racje, lordzie Seanie, ze nie mozemy caly czas pozostawac w defensywie. Nie jestem zolnierzem, jednak wydaje mi sie, ze musimy jak najszybciej opanowac doline Keldark.

–Owszem – odparl lord Sean glebokim glosem z wyraznym akcentem. – Tamman i ja mozemy nauczyc twoja arme wielu rzeczy, lecz nie mozemy zmusic Swiatyni, by

przez ten czas nic nie robila. Musimy opanowac doline – i przelec Thirgan – wystarczajaco szybko, by zniechecic Straz do jakichkolwiek zuchwalych posuniec.

–Zgadza sie, lordzie Seanie – odparl Tibold. – Jesli an... – Zarumienil sie. – Jesli lady Sandy i lady Harry rzeczywiscie moga nam dostarczac informacji o ruchach wroga, bedziemy mieli ogromna przewage, lecz zbyt wielu naszych ludzi nie ma zadnego doswiadczenia. Beda potrzebowali porzadnego przeszkolenia, a jesli nam sie uda zajac dobra, umocniona pozycje, Straz moze pozostawic nas w spokoju tak dlugo, ze bedziemy mieli na to czas.

–Dobrze – powiedzial stanowczo Stomald. – Bedziemy sluchac ciebie i an... Ciebie i lady Sandy oraz lady Harry, lordzie Seanie. Jutro rano Tibold i ja przedstawimy cie naszej armii jako nowego dowodce i odtad bedziemy postepowac zgodnie z twoimi wskazowkami.

Wysoki kaplan Vroxhan siedział za biurkiem i wpatrywał się ze złością w biskupa Frenaura i lorda marszałka Rokasa. Żaden z nich nie patrzył mu w oczy, więc mruknął coś pod nosem, odetchnął głęboko i stłumił – jakimś cudem, chyba dzięki wieloletniej kaplanskiej dyscyplinie – chęć, aby zakłócić.

–No dobrze – powiedział, kładąc dłoń na wiadomości leżącej na blacie – chcę wiedzieć, jak to się stało.

Frenaur odchrząknął. Nie odwiedzał Malagom od pół roku, ale przeczytał wiadomości semaforowe przeznaczone dla Vroxhana i dodatkowo od podbiskupa Shendara z Malgosu, stolicy Malagoru. Nie był pewien, czy ma wierzyć w te doniesienia, lecz jeśli nawet tylko dziesiąta część jest prawdziwa...

–Wasza świątobliwość – powiedział w końcu. – Ojciec Uriad poprowadził Straż przeciwko heretykom, tak jak zdecydował Krag, i przez niemal księżyc odnosił sukcesy. Nie było żadnego oporu, aż dotarł do północnego pasma Szalokarów, gdzie heretycy umocnili przełęcz. Tam ich zaatakował i... – Przerwał i wzruszył bezradnie ramionami. – Wasza świątobliwość, Straznicy, którzy uciekli, upierają się, że widzieli anioły.

–Anioły?! – parsknął Vroxhan. – Anioły, które zabijają wyswieconego kapłana?

–Nie powiedziałem, że to były anioły, wasza świątobliwość. – Frenurowi udało się nie cofnąć. – Powiedziałem, że opis pasował do aniołów. I cokolwiek to było, obroniło heretyków mocami wykraczającymi poza moce śmiertelnych.

–Zakładając, że tchorze, którzy uciekli, nie kłamią w obawie przed gniewem Matki Kościoła – warknął Vroxhan.

–Wasza świątobliwość – wtracił się marszałek Rokas. Głos zaprawionego w boju weterana był pełen szacunku, ale nie strachu. – General kapitan Yorkan złożył taki sam raport. Znam Yorkana i wiedziałbym, gdyby jego raport był próbą ratowania własnej skóry. – Ponury wojownik spojrzął w oczy swojego pana i Vroxhan jeszcze przez chwilę się złościł, po czym ciężko westchnął.

–No dobrze – powiedział – muszę przyjąć ich opowieść, gdyż wszyscy ją potwierdzają. Ale cokolwiek to było, to... nie był anioł! Nie po to przeszliśmy Probę, żeby nagle pojawiały się anioły i mówiły nam, jakie błędy w doktrynie popełniliśmy! Gdyby tak było, Głos by nas nie uratował!

Frenaur ugryzł się w język. Madrość podpowiadała mu, że to nie czas, by wspominać o brakach liturgii Proby, a tym bardziej by zauważyć, że Stomald nie wspominał, iż anioły potępiały Kościół za popełnione błędy. Poza tym sam fakt, że miały do czynienia z Doliną Przeklętych, dowodził, że nie mogły być aniołami, czyż nie?

–Jednak cokolwiek sie stalo, stracilismy ponad dwadziescia tysiecy Straznikow – mowil dalej ponurym tonem Vroxhan.

–To prawda, wasza swiatobliwosc – potwierdzil Rokas. – Co gorsza, stracilismy takze cale wyposazenie. Heretycy zdobyli ich bron, w tym cala kolumne artylerii, a ich pozycja rozdzielila nasze sily.

Vroxhan mial mine czlowieka pijacego skwasniale mleko, ale pokiwal glowa. Poczul nawet szacunek, ze Rokas tak rzeczowo ocenia sytuacje. Podrapal sie z namyslem po czubku nosa.

–W takim razie, marszalku – powiedzial w koncu – bedziemy musieli wezwac pomoc. Z heretykami nie mozna sie ukladac, szczegolnie teraz, kiedy maja taka sile. – Skierowal zimne spojrzenie na Frenaura. – Jak bardzo rozprzestrzenila sie herezja?

–Szeroko – przyznal biskup. – Zanim... to cos sie wydarzylo, bylo ich tylko pare tysiecy, przewaznie wiesniakow z Shalokarow. Teraz wiesci o "cudzie" rozprzestrzeniaja sie jak pozar. Przebyly juz nawet przeleczy Thirgan i trafily do Vral. Bog jeden wie, jak wielu ludzi zgromadzilo sie wokol Stomalda, ale mam zle przeczucia. Dochodza nas informacje, ze cale wioski ruszaja na polnoc, by dolaczyc do Armii Aniolow.

Vroxhan patrzyl na niego przez chwile ze zloscia, po czym wzruszyl ramionami.

–Wiem, ze to nie wasza wina – powiedzial i biskup odprezyl sie. – Moj zly humor bierze sie stad, ze po prostu sie boje, bracia. Malagor zawsze byl sklonny do schizmu, a teraz ohydne moce Doliny przebudzily sie po pokonaniu wiekszych demonow i byc moze jeszcze wiecej nieczystego gwieздnego pomiotu czeka, by w nas uderzyc. Pismo mowi, ze jest wiele demonow... i wykorzystuja pomniejsze zle duchy, by nas podzielic, zanim znow zaatakuja.

Przez chwile pochylal sie nad biurkiem, po czym wyprostowal sie.

–Lordzie marszalku, wezwiesz Wielkie Zastepy Matki Kosciola na Swieta Wojne. – Rokas uklonil sie, a Frenaur zagryzl warge. Od czasu wojen schizmatycznych Zastepy nigdy nie byly zwolywane. – Musimy przygotowac naszych ludzi, zanim wydamy im bitwe – mowil dalej Vroxhan – ale obawiam sie, ze wieksza czesc Malagom przejdzie na strone heretykow, zanim bedziemy gotowi.

Spojrzal na nieszczesliwa mine Frenaura i jego gniewne spojrzenie nieco zlagodnialo.

–To mogloby sie wydarzyc w kazdym innym miejscu, Frenaurze. Po prostu pospolstwo nie umie oceniac takich spraw, zwlaszcza kiedy ich wlasny kaplan prowadzi ich na manowce. Trudno ich winic za to, ze uwierzyli, lecz wszyscy, ktorzy

dolacza do herezji, musza za to zaplacic. – Znow spojrzal na marszalka. – Nie chce na razie wzywac swieckich panow pod twoj sztandar, Rokasie, lecz jesli mamy polegac tylko na Strazy, musimy najpierw wyslac pomiedzy nich kaplanow, by powiedzieli im prawde o tym, co sie wydarzylo, gdyz inaczej z powodu paniki stracimy kolejnych zolnierzy. Zgadzasz sie ze mna?

–Owszem, wasza swiatobliwosc, ale musze ostrzec, byśmy nie zwlekali zbyt dlugo.

–Co masz na mysli, mowiac "zbyt dlugo"?

–Wasza swiatobliwosc, Malagor zawsze byl trudny do zdobycia, a pozycja heretykow rozdzielila nasze sily. Co gorsza, nasze raporty wskazuja, ze heretycy sa rozjuszeni tym, co postrzegaja jako obce panowanie.

Rokas zamilkl i spojrzal wyczekujaco na Vroxhana. Kiedy wysoki kaplan powoli pokiwal glowa, poczul ulge. Przed wojnami schizmatycznymi Malagor byl tak silny, ze potrafil powstrzymac nawet Matke Kosciol. Ale tradycyjna niechec jego mieszkancow do krepujacych ich Zasad pomogla wywolac wielka schizme, a wowczas Wewnetrzny Krag wykorzystal wojny, by zlamac ksiestwo. Ksiaze Uroba, obecny wladca Malagom, byl podopiecznym Swiatyni – pijakiem, ktorego wladze gwarantowaly nie urodzenie czy zalety charakteru, lecz piki Strazy – i jego poddani doskonale o tym wiedzieli.

–Nasze sily na zachod od Malagoru sa slabe – mowil dalej Rokas. – Mamy moze czterdziesti tysiecy Straznikow w Dorasie, Kyhyrze, Cheriscie i Showmah i mniej niz piec tysiecy w Sardua i Thirganie, a herezja rozprzestrzenia sie szybciej na zachodzie niz na wschodzie. Obawiam sie, ze w tych rejonach sily Strazy moga zostac nadwerezone przez proby powstrzymania pospolstwa przed przylaczeniem sie do herezji. Co wiecej, lancuchy semaforow w Malagorze wkrótce wpadna w rece heretykow, co uniemozliwi nam bezposrednia komunikacje. Bedziemy musieli wysylac wiadomosci semaforem do Arwah, a pozniej statkiem do Darwanu, zeby przekazano je przez przelecza Qwelth. Takie opoznienia wlasciwie uniemozliwia koordynacje dzialan naszych sil na wschod i zachod od Malagoru.

Przerwal, a kiedy Vroxhan znow pokiwal glowa, zaczal dalej mowic.

–Sily Strazy na zachod od Malagoru wynosza w sumie czterdziesti piec do piecdziesieciu tysiecy ludzi. Tutaj, na wschodzie, Swiatynia moze zebrac piec razy wiecej Straznikow, jesli zupełnie ogolocimy garnizony. Aby zgromadzic ich wiecej, musielibysmy oglosic zaciag, aleja podobnie jak wy, wole nie podpierac sie wojskami swieckich panow – przynajmniej dopoty, dopoki nie odniesiemy przynajmniej jednego zwyciestwa i nie udowodnimy, ze te anioły to tak naprawde demony.

Znow przerwal i Vroxhan ponownie pokiwal glowa, tym razem niecierpliwie.

–Jedyne drogi, ktorými wojsko moze wkroczyć do Malagoru lub go opuścić, prowadzi przez przełęcz Thirgan i dolinę Keldark. Przełęcz jest szersza, lecz po drodze jest wiele potężnych fortec, które heretycy mogą zdobyć, zanim wyruszymy. Biorąc to pod uwagę, jak również nasza słabość na zachodzie, sugerowałbym zmasowanie zachodnich sił Straży na południe od gór Cherist, wokół Vralu. Na tej pozycji mogą zamknąć przełęcz Thirgan i jednocześnie zapanować nad ludnością.

Rokas zaczął spacerować, skubiąc brodę.

–Nasze główne siły znajdują się na wschodzie, i kiedy zajmiemy przełęcz, będziemy mogli skoncentrować się w Keldark i wykorzystać tamtejszych strażników do zamknięcia doliny przed heretykami, dopóki nie będziemy gotowi. Dolina to paskudny teren i jest jeszcze węższa niż przełęcz, ale po wojnach schizmatycznych większość fortec została zrównana z ziemią. Heretycy mogą chcieć zdobyć zaledwie trzy miejsca: Yortown, Frastor i Baricon, ale to potężne pozycje obronne i ich zdobycie będzie bardzo dużo kosztować.

Skrzywił się.

–Właściwie nie ma co mówić o strategii, dopóki nie wkroczymy do Malagom, wasza świątobliwość, lecz to samo odnosi się do heretyków. Poza tym oni muszą, w przeciwieństwie do nas, wyposażać i wyszkolić swoje siły. Jeśli szybko zaatakujemy, możemy oczyścić całą dolinę, zanim się przygotują.

–Zgadza się – powiedział Vroxhan po chwili namysłu. – Rzeczywiście najlepiej będzie wyruszyć ze wschodu. Jeśli im się uda nas zaatakować, zanim się przygotujemy, skierują się na wschód, w stronę Świątyni.

–Właśnie tak myślałem.

–Tymczasem – Vroxhan odwrócił się do Frenaura – nie mam innego wyboru, jak tylko nałożyć na Malagor interdykt. Przygotuj, proszę, proklamacje.

–Tak jest – zgodził się niechętnie Frenaur.

–Zrozumcie mnie, bracia – powiedział bardzo cicho Vroxhan. – Nie będzie żadnego kompromisu z heretykami. Matka Kościół wyciągnęła miecz i nie schowa go, dopóki choć jeden heretyk pozostanie przy życiu.

Rozdział 26

Robert Stevens – już nie "wielebny" – przyglądał się programowi z nienawiścią w oczach. Cichy, wyraźny głos biskupa Francine Hilgemann, wpatrującej się w swoją kongregację z rzeźbionej ambony, był pełen uczucia.

–Bracia i siostry, przemoc nie moze byc odpowiedzi na strach. Kosciol nigdy nie wybaczy tym, ktorzy przeciwstawiaja sie milosiernemu Bogu, atakujac z bezmyslna nienawiscia. Pobożni ludzie nie plamia swoich rak krwia, nie jest tez stosowne, by zabijac czlowieka w zlosci. Ci, ktorzy zwa sie Mieczem Boga, nie sa Jego slugami, lecz niszczycielami wszystkiego, czego On naucza, a ich...

Stevens warknal i zgasil wyswietlacz. Czul odraze, ze niegdys szanowal te... te... – Nie mogl znalezc wystarczajaco paskudnego okreslenia.

Hilgemann i jej podobnym nie uda sie oslabic Miecza Boga. Ich zepsucie jedynie umacnia wiernych i sprawia, ze Miecz z kazdym dniem zadaje coraz glebsze ciosy.

Tak samo jak on. Najbardziej przerazajacym – i satysfakcjonujacym – dniem jego zycia byl ten, gdy uswiadomil sobie, dlaczego jego komorka zostala skierowana przeciwko Vincente'owi Cruzowi. Smierc zony i dzieci Cruza niepokoila niektorych jego ludzi, lecz boze dzieło wymaga ofiar, a jesli nawet gina niewinni, Bog przyjmuje ich jako meczennikow. Ale fakt, ze stal sie narzedziem zniszczenia dziedzicow – tak zepsutych, ze nazywali Narhanina przyjacielem – sprawial, ze Stevens czul uniesienie.

Byly takze inne misje, lecz zadna nie byla tak satysfakcjonujaca jak ta... ani jak ta, ktorej nie mogl sie juz doczekac. Nadszedl czas, by Francine Hilgemann dowiedziala sie, ze prawdziwi wybrancy Boga odrzucaja jej kompromis z Antychrystem.

Sierzant Graywolf byl spokojny i rozluzniony, gdyz umial czekac. Szczegolnie kiedy czekal na cos dajacego tak duze zadowolenie.

Nie wiedzial, jak analitycy zdobyli informacje. Przypuszczal, ze przechwycili kuriera, ale tak naprawde liczyl sie tylko to, ze wiedzieli. Byc moze uda im sie zlapac jednego z tych sukinsynow zywcem. Daniel Graywolf byl zawodowcem i wiedzial, jakie to moze okazac sie wazne, ale w glebi duszy mial nadzieje, ze tamci nie beda jednak mieli tyle szczescia.

Stevens byl zadowolony z deszczowej nocy. Wilgoc i ciemnosc nie przeszkadzaly imperialnym systemom monitorujacym, lecz zajmujacy sie nimi ludzie sa tylko ludzmi i ponury zimowy deszcz moze spowolnic ich reakcje.

Alice Hughes i Tom Mason szli za nim pod reke jak para zakochanych, kryjac bron pod plaszczami. Stevens nosil swoja bron – staromodny pistolet samoczynny na dziesieciomilimetrowe "kulki" z tego samego materialu wybuchowego, co wykorzystywany w karabinach grawitacyjnych – w kaburze pod pacha. Nie widzial

Vance'a ani Pete'a, ale wiedział, że nadejda w odpowiedniej chwili. Podobnie jak wiedział, że Wanda Curry we właściwym momencie sprowadzi ich pojazd latający, aby umożliwić im ucieczkę. Cwiczyli te operacje przez wiele dni i ich zgranie w czasie było idealne.

Jego puls przyspieszył, gdy dotarł do wieżowca. Była to budowla z czasów sprzed obleżenia, lecz później została zmodernizowana. Zatrzymał się pod polem silowym chroniącym wejście. Otarł deszcz z twarzy, wdzięczny za chwilę wytchnienia, i zaczął czekać, aż Alice i Tom zbliżą się do niego. Katem oka widział, że Vance i Pete nadchodzą z drugiej strony. Cała piątka zeszła się jakby przypadkiem, po czym wszyscy obrócili się jak jeden mąż i weszli do środka.

W holu nie było pracowników ochrony, jedynie automatyczne systemy, o których zostali poinformowani. Stevens zatrzymał się w wejściu, by zasłonić Vance'a i Pete'a, którzy w tym czasie sięgnęli pod płaszcze. Potem odsunął się na bok, aby ich eliminatory z idealną precyzją wypaliły wszystkie skanery impulsami skoncentrowanej energii.

Stevens chrząknął, założył maskę narciarską na twarz i wyciągnął broń, a później cała piątka popędziła w stronę szybów transportowych.

Graywolf zeszytywniał, gdy dostał sygnał przez implant. Najwyraźniej ich informacje były mniej kompletne, niż sadzili, pomyślał z drapieżnym uśmiechem, gdyż ominęli trzy różne czujniki.

Dziwościu agentów Ministerstwa Bezpieczeństwa podniosło się jak jeden mąż za dziewięcioma zamkniętymi drzwiami, gdy Graywolf unosił strzelbę nadświetlną i podszedł do okna.

Stevens wyprowadził swoich ludzi z szybu transportowego i rozdzielili się, trzymając się ścian. On sam wpatrywał się w drzwi na końcu korytarza; po tak wielu miesiącach walk w partyzantce był czujny jak pantera.

Byli w połowie korytarza, kiedy jednocześnie otworzyło się dziewięć drzwi.

–Rzuccie broń! – krzyknął ktoś. – Jestecie aresz...

Stevens obrócił się szybko jak kot. Słyszał wściekły ryk Vance'a, który próbował strzelić w umundurowaną kobietę, lecz jego pistolet wyrwał tylko kawał ściany obok drzwi, w których stała, a potem chmura pocisków grawitacyjnych zmieniła całą piątkę terrorystów w krwawe ochłapy.

Graywolf usłyszał grzmot i wzruszył ramionami. Mieli swoją szansę.

Poczekal, aż pojazd się zatrzyma – był dokładnie o czasie – po czym wycelował strzelbę nadświetlną w obudowę napędu i uruchomił komunikator.

–Wyladuj i wyjdź z pojazdu! – rozkazał pilotowi.

Po ulamku sekundy pojazd wystrzelił w powietrze z oszalamiającym przyspieszeniem. Lecz w przeciwieństwie do zbrojczyków z grupy Stevensa, Graywolf był w pełni ulepszony, i wybuchający pojazd wyrł pięćdziesięciometrowy row w ulicy, gdy jego jednostka napędowa znikła w nadprzestrzeni.

Lawrence Jefferson był zadowolony z raportu, który właśnie skończył.

Nigdy nie był do końca zadowolony z infiltracji sił bezpieczeństwa na Birhat. Odległość była zbyt wielka i zawsze istniała groźba przechwycenia jakiegoś komunikatu. Ale teraz to już nie miało znaczenia; jego plany były w takim punkcie, że nieważne było, co robi wojsko, a ze swojego własnego biura mógł kierować ziemskimi siłami bezpieczeństwa.

Jego ostatnia akcja powinna oczyścić Francine z wszelkich podejrzeń. Została oficjalnie przywódczynią Kosciola Armagedonu, lecz jednocześnie odrzuciła fanatyzm Miecza Boga. Jej mistrzowskie błagania o powstrzymanie się od przemocy spowodowały, że Horus i Ninhursag uprzejmię przyjęli jego "zaskakująca" konkluzje, że mogą współpracować z Francine przeciwko radykałom.

Teraz, kiedy jego służba bezpieczeństwa powstrzymała zamach Miecza na jej życie, Hilgemann będzie bielszy niż śnieg. Zastanawiał się, czy nie był nieco zbyt przebiegły, bo nie byłoby dobrze, gdyby któryś z ludzi Stevensa został pojmany żywcem i ujawnił prawdę o Imperialnej Terrze, lecz starannie dobrani agenci byli całkowicie lojalni wobec Imperium i każdy z nich stracił w wyniku ataków Miecza przyjaciół lub rodzinę. Był pewien, że spróbują pojmać terrorystów żywcem... i że nie będzie się starać bardziej niż to konieczne. Oczywiście wiedział także, że może zaufać fanatykom Stevensa, iż będą stawiać opór.

Bardzo się cieszył, że udało mu się to załatwić, gdyż decyzja Ninhursag, by zaliczyć Ziemię agentami wywiadu marynarki, martwiła go, szczególnie że nie wiedział, czemu chce to zrobić. Jej oficjalne wyjaśnienie mogło nawet być prawdą, gdyż wzmocnienie sił bezpieczeństwa Ziemi i przeprowadzenie podwójnej ofensywy przeciwko Mieczowi miało sens. Nie podobało mu się, ale miało sens. Nie był jednak do końca przekonany, czy to prawdziwy motyw jej działania. Z początku bał się, że próbuje go

dopasc, ale minelo juz piec miesiecy i gdyby rzeczywiscie o to chodzilo, juz dawno zostalby aresztowany.

Ale niezaleznie od jej zamiarow musi byc bardziej ostrozny. Odkad przejal obowiazki po Gusie, uznal za wskazane dokonac pewnych poprawek w niktorych sledztwach, odstrzeliwujac swoich wlasnych ludzi sposrod w pelni wzmacnionego personelu Ministerstwa Bezpieczenstwa. Bylo to bardzo wygodne, ze rzad na jego prosbe wzmacnial jego ludzi, lecz banda wscibskich ludzi Ninhursag zmusila go do czasowego zawieszenia tej dzialalnosci.

Nie byl tym jednak zbyt zmartwiony. Plany dywersji z udzialem jego najwiekszych skarbow: brygadiera Alexa Jourdaina i porucznika Carla Bergrena byly juz gotowe. Dzieki wysokiej pozycji w sluzbie bezpieczenstwa Ziemi Jourdain byl bezcenny, lecz Bergren byl jeszcze wazniejszy. Ten niski ranga oficer byl chciwym mlodziencem z kosztownymi nalogami. Jefferson nie mial pojecia, jak Flota Bojowa w ogole go przyjela, nie wspominajac juz o umieszczeniu go na tak waznym stanowisku, lecz podejrzewal, ze nawet najdoskonalsze procesy rekrutacji musza czasem zawodzic. On sam wpadl na Bergrena niemal przypadkiem i bardzo starannie zatuszowal jego... slabostki, gdyz dzieki porucznikowi Bergrenowi admiral Ninhursag MacMahan bedzie miala niewiele ponad piec miesiecy na zrobienie tego, co teraz robila, zanim zginie.

Starszy kapitan Floty Antonio Tattiaglia podniosl wzrok, gdy brygadier Hofstader weszla do jego atrium. Trzymal w reku rydel, gdyz wlasnie sadzil swoj najnowszy krzak rozy. Hofstader byla drobna, surowa kobieta, zawsze odziana w nieskazitelny czarnosrebrny mundur marines, i to nagle najscie zupełnie do niej nie pasowalo.

–Tak, Eriko?

–Przepraszam, ze panu przeszkadzam, sir, ale cos sie pojawilo.

Tattiaglia zdusil westchnienie. Hofstader dowodzila marines Lancelota od ponad roku, i mimo jej kompetencji nie udalo mu sie poczuc do niej sympatii.

–O co chodzi?

–Sadze, ze wlasnie wykrylismy sily uderzeniowe Miecza Boga w drodze na kolejna akcje, sir – powiedziala rzeczowo, a on w jednej chwili zapomnial o swojej niecheci do tej kobiety.

–Mowisz powaznie?

–Tak, sir. Technik pelniaca wlasnie wachte – technik Bateman – postanowila

przeprowadzić ćwiczenia ze śledzenia celów w atmosferze, i w trakcie tych ćwiczeń odkryła trzy komercyjne transportowce z nieaktywnymi transponderami, które leciały poniżej zasięgu radarów w kierunku Centrum Odbioru Energii Shenandoah.

Hofstader zawsze doskonale panowała nad swoją mimiką, lecz tym razem po raz pierwszy przez maskę profesjonalizmu przebijało podniecenie.

–Czy poinformowałaś siły bezpieczeństwa Ziemi? – spytał, truchtając w stronę szybu transportowego.

–Nie, sir. Kapitan Reynaud poinformował wywiad marynarki. – Szła szybkim krokiem obok niego, a jej uśmiech był zimny. – I wywiad kazał nam to zbadać.

–A niech to diabli – wyszeptał Tattiaglia. Weszli do szybu, który przeniósł ich na mostek Lancelota. – Czy mamy coś na pozycji?

–Sir, ostrzegłem pluton znajdujący się w pogotowiu, jak tylko Bateman poinformowała o transportowcach. Wejda w atmosferę za mniej więcej... – skonsultowała się z wewnętrznym chronometrem – siedemdziesiąt osiem sekund.

–Dobra robota, pani brygadier. Bardzo dobra robota! – Szyb wyrzucił ich przed mostkiem planetoidy i Tattiaglia pobiegł w stronę wjazdu.

–Dziękuję, sir.

Kapitan Tattiaglia pojawił się na mostku w chwili, gdy prom desantowy wchodził w atmosferę z prędkością jedenastu machów. Fragment wyświetlacza mostka zmienił się bezgłośnie, ukazując obraz widziany przez pilota promu, i kapitan opadł na fotel, wpatrując się z uwagą w ten obraz.

–Słuchajcie, ludzie – powiedział porucznik Prescott, kiedy jego prom pedził w dół. – Nie wiemy, czy to terroryści, więc przyziemiamy, obserwujemy ich i przygotowujemy się do ataku, ale nikt nic nie robi, dopóki wam nie pozwolę. Zrozumiano? – Rozległy się chorałne potwierdzenia. – Dobra. A jeśli to będą zli goście, pamiętajcie, że wywiad chce mieć jenców, dlatego bierzemy parę z nich żywcem. Czy wszyscy zrozumieli?

Tym razem w głosach załogi słychać było rozczerowanie, lecz porucznik miał inne powody do zmartwienia, gdy prom wylądował, wypuścił jego marines, po czym znikł na niebie, otoczony polem maskującym, żeby zapewnić im wsparcie z powietrza, gdyby okazało się konieczne. Prescott nawet nie spojrzął za nim; już kierował swoje oddziały na pozycje, które pośpiesznie wybrał podczas drogi na Ziemię.

Trzy wielkie transportowce wyladowaly w lesie i wyszlo z nich gesiego czterdziestu ciezko uzbrojonych ludzi. Ruszyli w strone jasno oswietlonego Centrum Odbioru Energii Shenandoah, po czym rozdzielili sie, kierujac sie w strone dwoch roznych bramek.

Zblizajac sie do ogrodzenia, dowodca jednej grupy uderzeniowej zaczal wpatrywac sie w pasywny czujnik, szukajac systemow zabezpieczen, o ktorych nie wspomniano na odprawie, gdy nagle zeszywnial. Odwrocil sie i... na wlasne oczy ujrzal to, co wskazywaly odczyty przyrzadow.

Na piknik to oni sie nie wybrali, pomyslal Prescott, gdy czujniki jego pancerza potwierdzily, ze intruzi maja ciezka bron. No dobra, ruszamy!

Przywodca terrorystow ujrzal opancerzone sylwetki i probowal krzyknac, aby ostrzec pozostalych, lecz zanim zdazyl wypowiedziec pierwsza sylabe, salwa rozerwala go na kawalki.

Jego ludzie mieli bron, a dwoch bylo w pelni ulepszonych, i w trakcie gwałtownej wymiany ognia jeden marine zostal doslownie rozszarpany na strzepy, drugiego zabil karabin energetyczny, a trzeciego trafil maly pocisk z karabinu grawitacyjnego, ale dzieki pancerzowi bojowemu zostal tylko ranny.

Czterdziesci jeden sekund po pierwszym strzale trzech marines nie zylo, a pieciu bylo rannych; z czterdziestu terrorystow tylko czterech pozostalo przy zyciu.

Prescott skierowal medykow w strone rannych, po czym odwrocil sie, patrzac, jak zaparkowane transportowce wznosza sie w gore, a potem zostaja zestrzelone przez ukryty prom desantowy Lancelota.

To zabawne, pomyslal, moglbym przysiac, ze kazalem Owens wezwac ich do zatrzymania sie, zanim zacznie strzelac. Szybko odtworzyl sobie w myslach przebieg rozmowy z pania pilot. Ups, chyba jednak nie kazalem.

–Przyjacielu – powiedziala porucznik Floty Esther Steinberg – naprawde nie ma znaczenia, czy bedziesz ze mna rozmawiac, czy nie. Mamy tu trzech twoich kumpli i jeden z nich na pewno powie mi to, co chce wiedziec.

–Nigdy! – Mlody mezczyzna przykuty kajdankami do krzesla pod wykrywaczem klamstw wcale nie byl tak odwazny, jak chcialby sie wydawac. – Zaden z nas nie ma

nic do powiedzenia slugom Antychrysta!

**–Tak sadzisz? – Splotla rece na piersi. – Pozwol, ze cos ci wyjasnie. Zlapalismy was na goracym uczynku i zabiliscie trzech marines Floty. Wiesz, co to znaczy? –
Wiezien spojrzal na nia z przerazeniem, a ona usmiechnela sie. – To znaczy, ze nie bedziemy sie z toba cackac. Zostaniesz osadzony i skazany tak szybko, ze bedzie ci sie krecic w glowie. – Chlopak glosno przelknal sline. – Nie sadze, by twoja mamusia i tatus byli szczesliwi, patrzac, jak ich synecek zostaje rozstrzelany – a zobacza to, bo wszystkie kanaly informacyjne beda transmitowac egzekucje na zywo. Chyba widziales juz, jak ktos oberwal z karabinu grawitacyjnego, prawda? To niezla jatka, co? Sadze, ze polsekundowy impuls rozerwie cie na pol, przyjacielu. Myslisz, ze twoim starym to sie spodoba?**

–Ty suko! – wrzasnal wiezien, a ona znow sie usmiechnela.

–Slova, slova, slova, przyjacielu. Slova, slova, slova. Sprawdze, czy bede miala troche wolnego czasu, zeby tez popatrzec.

–Ty... Ty... – Wiezien walczył z kajdankami, zapominając o ranach, i patrzył wokół oszalalym wzrokiem. Smiech Steinberg byl jak lodowaty prysznic.

–Wydajesz sie odrobine zdenerwowany, przyjacielu. Co za pech. – Odwrocila sie w strone wlazu, po czym zatrzymala sie, sluchajac jego niezrozumialego belkotu. Chlopak jest juz prawie gotow.

–Aha, jeszcze jedno. – Zamarl, wpatrujac sie w nia. – Porozmawiaj ze mna, a wtedy wywiad bedzie za lagodnym wyrokiem. To tez ci sie nie spodoba, ale przynajmniej bedziesz zyl. – Usmiechnela sie jak rekin. – Pamietaj, ze dobijemy targu tylko z jednym z was. Masz dziesiec sekund na podjecie decyzji, czy to ty bedziesz tym szczesciarzem.

–To bardzo dobry porucznik – zauwazyl kapitan Floty Reynaud.

–Owszem – mruknal Tattiaglia, przygladajac sie razem ze swoim zastepca hologramowi "wywiadu" z terrorysta, po czym spojrzal na kapitana wywiadu. – Nie bede plakal z powodu zlego traktowania wiezniow, ale czy to moze byc dowodem w sadzie?

–Nie w cywilnym, ale jego wysokosc powolal sie na Ustawie o obronie Imperium, a to daje sadowi wojskowym jurysdykcje nad wiezniami pojmanymi przez wojsko. Poza tym – kapitan usmiechnal sie tak samo paskudnie jak jego porucznik – to nie bedzie potrzebne. Wasi chlopcy i dziewczeta, ktorzy zlapali tych gosci, maja takie dowody w reku, ze mozemy ich wszystkich rozstrzelac.

–To w takim razie o co w tym wszystkim chodzi?

–O to, kapitanie Tattiaglia – powiedział oficer wywiadu, wyłączając wyświetlacz i odwracając się do dowodcy Lancelota – że mam dla pana kolejną robotkę. Wśród różnych drobiazgów, które wymknęły się naszemu szlachetnemu fanatykowi, jest lokalizacja centrum dowodzenia jego komorki. Jeśli zaraz ruszymy, możemy ich zaatakować, zanim w końcu uswiadomią sobie, że ich ludzie już nie wróca.

–To znaczy...

–To znaczy, panie kapitanie, że kolejnych dwudziestu terrorystów siedzi i czeka, aż rzuci pan paru marines przez komin.

–O rany – wyszeptał Tattiaglia. – O rany, o rany, o rany! Teraz wiem, że Bog istnieje!

Admiral Floty MacMahan usmiechnęła się, czytając uważnie raport. Ta porucznik Steinberg to ostra kobieta. Trzeba przygotować dla niej coś milego przy kolejnej liście awansów. A ludzie Tattiagii też zasługują na poklepanie po plecach.

Skonczyła raport i z zadowoleniem westchnęła. Ladnie. Bardzo ładnie. We wtorek ludzie Jeffersona zapobiegają próbie zabójstwa, a w czwartek przejmujemy całą komórkę. To nie był dobry tydzień dla Miecza Boga.

Oczywiście wcale nie znaleźli się bliżej Pana X, ale mimo to nie narzekała. Włączyła hologramowy obraz kryjówki terrorystów i przyjrzała mu się uważnie. Steinberg osobiście towarzyszyła marines i w swoim raporcie uwzględniła wszelkie szczegóły ataku, jak również jego skutki. Ninhursag gwizdnęła, widząc wielkość arsenału terrorystów. Było tu sporo imperialnej broni – zanotowała w pamięci, by sprawdzić numery seryjne. Zdarzające się od czasu do czasu sukcesy Jeffersona nie dały im w tej kwestii zbyt wiele materiału, lecz teraz mieli i o wiele więcej sprzętu, a tak naprawdę potrzebowali tylko jednego solidnego śladu.

Zapis holograficzny przedstawiał teraz główny ośrodek planowania terrorystów. Najwyraźniej mieli też sporo map. Ninhursag skrzywiła się, widząc precyzyjne oznaczenia na niektórych z nich. Maja nawet sale trofeów, zauważyła, spoglądając z krzywą miną na dekoracje na ścianach. Idioci. Zbierali różne rzeczy z poprzednich ataków, jakby chcieli pochwalić się swoimi wyczynami! Coż, może to pozwoli jej ludziom stwierdzić, za które ataki ta banda jest odpowiedzialna, i...

Ninhursag MacMahan nacisnęła przycisk zatrzymania obrazu i podniosła się z twarzą bladą jak ściana. Weszła w hologram, by uważnie przyjrzeć się jednemu z trofeów. Najpierw próbowała przekonać sama siebie, że się myli, a potem przerażona

zmowila modlitwe. Na obrazie byl widoczny... zapalnik superbomby Tsien Tao-linga.

W sali panowala cisza. Colin i Jiltanith siedzieli pomiedzy Geraldem Hatcherem i Tsien Tao-lingiem i ich twarze byly rownie blade jak twarz Ninhursag.

–Slodki Jezu – wyszeptala w koncu Jiltanith. – Wiesci gorszymi sa nawet, niz wazylam sie myslec, Hursag. Laska boska jest, izes grozbe te wyszpiegowala.

–Czy widzisz zwiazek miedzy Mieczem a Panem X? – spytal Colin.

–Nie sadze – odpowiedziala Ninhursag. – Zaden z ocalalych nie wie, skad pochodzi to trofeum, ale wszystkie trofea sa pamiatkami z atakow, ktore przeprowadzila ta komorka. Zaluje, ze nie wiem, skad to maja, wtedy przynajmniej mielibysmy jakas informacje, gdzie szukac tych, ktorzy maja kopie planow bomby. Byc moze Miecz zaatakowal ich, zanim skonczyli, ale to i tak nie ma wiekszego znaczenia. Ktokolwiek za tym stoi, musial miec wiecej niz jedna kopie planow. Utrata jednej grupy konstruktorow mogla spowolnic ich prace, ale nie zatrzymac.

–O Boze. Colin potarl nos i na jego zatroskanej twarzy pojawily sie glebokie zmarszczki. – Geraldzie? Tao-ling?

–Hursag ma racje powiedzial Tsien, a Hatcher tylko pokiwal glowa.

–No dobrze, Hursag. Jakie mamy teraz mozliwosci?

–Zacnijmy od przyjecia najgorszego scenariusza. Po pierwsze, bomba zostala zbudowana. Po drugie, ludzie, ktorzy najprawdopodobniej ja maja, zabili osiemdziesiat tysiecy ludzi tylko po to, zeby dopasc bliznieta. Po trzecie, i najbardziej przerazajace, Miecz mogl przejac bombe. – Sluchajacych przeszedl wyrazny dreszcz.

–Mysle, ze mozemy bezpiecznie zalozyc, iz celem nie jest Ziemia. Nie dam za to glowy, ale nie moze sobie wyobrazic, by ktokolwiek chcial zniszczyc wiekszosc ludzkiej rasy. Miecz Boga z pewnoscia by tego nie zrobil, w koncu ich celem jest uratowanie reszty ludzkosci przed nami, grzesznikami, i Narhanami. Nie mamy tez watpliwosci, iz Pan X dziala z Ziemi, co by oznaczalo wysadzenie swojej wlasnej bazy.

–Zgadzam sie. – Colin znow potarl nos, po czym spojrzal na Hachera. – Hectorze, znajdz Adrienne i Amande. Chce miec natychmiast plan ewakuacji Birhat. Nie mozemy przeprowadzic proby, bo ostrzezemy Pana X, ale mozemy przynajmniej dobrze wszystko zorganizowac. Osobiscie ostrzege rodakow Brashieela. Z ich strony nie ma wiekszych obaw o przeciek, a Narhan jest wciaz na tyle malo, ze

możemy ich wszystkich wyciągnąć przez trans-mat, jeśli będziemy musieli.

Admiral pokiwał głową i Colin znów odwrócił się do Ninhursag, kazać jej dalej mówić.

–W tym czasie – powiedziała – ja zaczęłam przeszukiwać Narhan i Birhat. Bomba to cholernie mały cel, lecz Flota Bojowa może centymetr po centymetrze zbadać powierzchnię planety, nie ostrzegając Pana X. Zajmie to trochę czasu, szczególnie przy zachowaniu tajemnicy, lecz jeśli bomba gdzieś tam jest, znajdziemy ją.

Przerwała i spojrzała cesarzowi w oczy.

–Mam tylko nadzieję, że znajdziemy ją na czas – dodała cicho.

Rozdział 27

Tibold Rarikson leżał obok lorda Seana na szczycie urwiska i ukrywając uśmiech, patrzył, jak młody dowódca udaje, że korzysta z lunety..

Były Straznik nie wiedział, dlaczego general kapitan próbuje ukryć swoje ponadludzkie umiejętności, ale nie miał nic przeciwko udawaniu, że nie zdaje sobie z tego sprawy (prawdopodobnie lord Sean i lord Tamman wierzyli, że udało im się wszystkich oszukać).

Przez całe swoje życie Tibold nie spotkał nikogo podobnego do tej dwójki. Byli młodzi – w swojej karierze spotkał wystarczająco wielu goracokrwistych młodych kinokha, by to rozpoznać – i bardzo impulsywni, lecz lord Sean mimo młodzieńczej beztroski i bogactwa pomysłów był również bardzo zdyscyplinowany. Tibold znał wielu siwobrodych marszałków, którzy nie byli tak chętni jak on do wysłuchiwanie opinii i sugestii innych ludzi. Chociaż lord Sean próbował to ukryć, Tibold widział, jak jego dziwne czarne oczy zaczynają błyszczyć, gdy w okolicy pojawiała się anioł Sandy, a ona z kolei zawsze obserwowała jego reakcje, kiedy coś mówiła.

Tibold nie wiedział, dlaczego anioł miałaby "zdawać się" – to nie było właściwe słowo, ale nie miał lepszego – na opinie nawet lorda Seana, lecz nikt nie mógł zaprzeczyć, że lord Sean i lord Tamman byli niezwykli. Mieli bystrzejszy wzrok i większą siłę niż inni mężczyźni, i z pewnością wiedzieli takie rzeczy, o jakich on nie miał pojęcia, lecz w ich wiedzy były dziwne dziury. Na przykład lord Tamman obawiał się, że nioharqi będą spowalniać piechotę, a lord Sean rzucił dziwną uwagę o "ciężkiej kawalerii", co było sprzecznością sama w sobie. Branahki były szybkie, lecz miały problemy z uniesieniem nawet człowieka bez pancerza.

Zaden jednak się nie złościł, kiedy ich poprawiał. Lord Sean wręcz przez wiele godzin wypytywał go, chcąc wykorzystać jego doświadczenie, jak stworzyć dobrą armię, i był zachwycony, gdy Tibold upierał się przy bezlitosnej musztrze – kolejnej

rzeczy, ktorej znaczenie zwykle umykalo wszystkim mlodym oficerom.

A jesli nawet ich ignorancja w pewnych kwestiach byla zaskakujaca, to ich wiedza w innych sprawach byla wrecz oszalamiajaca! Uwazal ich za szalencow, gdy podkreslali przewage broni palnej nad drzewcowa – przeciez muszkiet z joharnem mial szczescie, jesli wystrzelil trzydziesti razy na godzine, zas ciezszy malagor strzelal niewiele ponad dwadziescia razy, a muszkietrzy nie mogli zatrzymac zdecydowanej szarzy – dopoki lord Sean nie otworzyl sakiewki ze sztuczkami.

Nawet Tibold poczul sie... zaniepokojony, kiedy aniol Sandy i ojciec Stomald pozostawili na cala noc w malej, slepej dolinie tysiac joharnow. Oczywiscie jeszcze tej samej nocy zakradl sie z powrotem – wbrew stanowczym rozkazom ojca Stomalda – i uciekl jeszcze ciszej, niz przybyl, gdy odkryl, ze caly tysiac znikl.

Ale do rana wszystkie powrocily i Tibold nie sprzeciwial sie juz – widzac, co sie stalo z pierwsza partia – kiedy nastepnej nocy aniol Sandy kazala mu zostawic w tej samej dolinie kolejne dwa tysiace joharnow.

Okazalo sie, ze zamiana drewnianych stempli na zelazne byla tylko pierwszym krokiem; lord Sean wprowadzil takze papierowe naboje zamiast drewnianych rurek wieszacych na bandolierze muszkieterow. Mozna ich bylo o wiele wiecej uniesc, a ponadto trzeba tylko bylo odgryzc koniec, wsypac proch do lufy i wepchnac kule. Papierowe opakowanie sluzilo zas jako przybitka.

Cos, co lord Sean nazywal "bagnetem z tuleja", bylo kolejnym pozornie prostym wynalazkiem. W trudnych sytuacjach, gdy zblizali sie pikinierzy, muszkietrzy czesto wpychali noze w lufy muszkietow, by zmienic je w prymitywne wlocznie, lecz zawsze byla to ostatnia deska ratunku, jako ze nie mogli wtedy strzelac. Ale sytuacja zmienila sie dzieki tulei nalozonej na lufe, i Tibold nie mogl sie juz doczekac reakcji jakiegos kapitana Strazy, kiedy przekona sie, ze bagnety wcale nie przeszkadzaja muszkieterom w strzelaniu.

Sean rozwiazal takze kwestie zamka. Nikt nigdy nie pomyslal, by poszerzyc zapal od strony lufy, by stworzyc lejek, a tymczasem ta niewielka zmiana oznaczala, ze nie trzeba juz bylo podsypywac prochu na panewke. Wystarczylo obrocic muszkiet na bok i postukac, a wtedy czesc prochu z glownego ladunku przesypywala sie na panewke.

Jednak najwspanialsza zmiana byla jeszcze prostsza. W gwintowkach, ktore byly malagorskim wynalazkiem (no coz, Cherist twierdzil, ze to ich pomysl, lecz Tibold wiedzial, komu ma wierzyc), wbicie kuli do lufy – jedyny sposob na jej wprowadzenie do gwintu – zajmowalo tyle czasu, ze strzelaly wolniej nawet niz malagory. Choc byly cenione przez mysliwych i przydatne w krotkich potyczkach, stawaly sie niemal bezuzyteczne, gdy rozpoczynala sie wymiana ciosow z bliskiego zasiegu.

Ale teraz kazdy joharn – i malagor – powrocil odmieniony: byl nagwintowany, a anioły dostarczyły sztancy do wyrobu nowych kul. Nie w formie kulki, lecz cylindra o płaskiej podstawie, który łatwo wsuwał się do lufy. Tibold wąpił, czy przy takiej różnicy między średnicą lufy i kuli gwint będzie w stanie wystarczająco rozpedzić pocisk, lecz lord Sean utrzymywał, że wybuchający proch rozszerzy jego podstawę, i efekt rzeczywiście okazał się fenomenalny. Nagle gwintówka stała się równie łatwa do załadowania jak bron gładkolufowa – i strzelała o wiele szybciej niż kiedykolwiek wcześniej! Tibold nie wiedział, dlaczego lord Sean był tak bardzo zaskoczony, że cała ich bron miała "standardowy kaliber", jak to określili – w końcu to ma sens, by wszyscy mieli takiej samej wielkości kule, czyż nie? – lecz general kapitan ucieszył się, kiedy się okazało, jak łatwo produkować do tej broni nowe kule.

Lord Sean nie pominał również artylerii. Matka Kościół nakazała, by świeckie armie używały tylko lepszych chagorów, a tymczasem arłaki Straży strzelały dwa razy cięższymi pociskami, nawet jeśli krótsze lufy dawały im mniejszy zasięg. Artylerzyści lorda Seana dostali płocienne woreczki z prochem i od tej pory nie musieli nasypywać luznego prochu czerpakiem, a do strzelania na krótki zasięg mieli "gotowe naboje" – napelnione prochem drewniane rurki o cienkich ściankach, na których końcach umieszczano kartacze. Dobra załoga mogła wystrzelić trzy takie naboje na minutę.

Dzięki tym wszystkim zmianom Armia Aniołów miała siłę ognia, w którą nie uwierzyłby żaden doświadczony dowódca, Zamiast raz na pięć minut, artylerzyści strzelali trzy razy na dwie minuty – a nawet szybciej – używając na krótki dystans "gotowych naboje". Muszkieterzy – nie, strzelcy – strzelali trzy albo cztery razy na minutę i trafiali w cele, które ledwie widzieli! Tibold wciąż nie był pewien, czy sam ostrzał może przełamać nieprzyjacielską falangę, ale osobiście wolałby nie szarżować na tak uzbrojonego przeciwnika.

Najważniejsze jednak były mapy. To miło ze strony aniołów, że próbowały je upodobnić do tych, z których zawsze korzystał, dlatego nie miał odwagi powiedzieć, że im się nie udało, kiedy wydawały się tak zadowolone ze swoich wysiłków, lecz trzeba przyznać, że żaden śmiertelny kartograf nie stworzyłby czegoś takiego. Jego ludzie nie pojmowali, jak cenne są te mapy, a on aż ochrypl, próbując im to uświadomić. Wiedzieć dokładnie, jak wygląda teren, gdzie są najlepsze szlaki i gdzie może się ukrywać wrog – i w którym miejscu najlepiej rozmieścić swoje wojska – to prawdziwie anielski dar.

Co najlepsze, anioły zawsze wiedziały, co się dzieje gdzie indziej. Wielka mapa w namiocie dowodzenia pokazywała dokładne pozycje każdej jednostki wrogiej armii, a anioły regularnie ją uzupełniały. Tibold cieszył się, że lord Sean nadal kładzie nacisk na zwiad, lecz wiedza, gdzie znajdują się jednostki wroga i w jakiej sile, wszystko upraszczała, zwłaszcza że wrog tego o nich nie wiedział.

Mimo to zawsze pamiętał, że układ sił jest niekorzystny. Nikt w Malagorze nie pozostał lojalny wobec Kościola, lecz heretycy mieli stanowczo za mało broni w stosunku do liczby ludzi. Samo obsadzenie fortecy na przełęcz Thirgan wymagało ponad połowy ich sił, a tymczasem Świątynia miała ponad dwieście tysięcy ludzi we wschodniej części Połnocnego Hylaru, nie licząc świeckich annii.

Jednak Tibold już nie wątpił, że Bog jest po ich stronie, i choć zbyt dobrze znał wojnę, by spodziewać się Jego bezpośredniej interwencji, lord Sean i lord Tamman z pewnością byli najlepszym, co mogło ich spotkać.

Sean zamknął lunetę i przeturlał się na plecy, by spojrzeć w niebo. Boże, jakże się czuł zmęczony! Nie spodziewał się, że to będzie proste – właściwie obawiał się, że Pardalczycy będą się sprzeciwiać wynalazkom, więc zapal, z jakim je przyjęli, bardzo go ucieszył – lecz mimo to nie zdawał sobie sprawy, jaki to będzie ogromny wysiłek. Liczył na większą pomoc warsztatów Izraela. Oczywiście zamaskowane loty Sandy, która przenosiła muszkiety do nagwintowania i z powrotem, ogromnie im pomogły, lecz to był pierwszy kontakt Seana z realiami wojskowej logistyki i był przerażony zarlocznością tej małej, prymitywnie uzbrojonej armii. Brashan i jego komputerowi słudzy modyfikowali istniejącą broń z zadowalającą prędkością, lecz wyprodukowanie dużej ilości nawet mało wymyślnej broni szybko wyczerpałoby zapasy Izraela.

Nie żeby Sean miał zamiar narzekać. Jego wojsko było o wiele lepiej uzbrojone (to znaczy ci, którzy w ogóle mieli broń) niż wrog, któremu mieli stawić czoła, a jeśli nawet wydajność Izraela nieco go rozczarowała, to zadziwiło go, jak szybko malagorskie gildie zaczęły produkować nową broń na podstawie dostarczonych im przez anioły prototypów.

Nie był jednak przygotowany na przyjęcie całych hord wykwalifikowanych rzemieślników, którzy wylonili się jak spod ziemi. Pardał – a szczególnie Malagor – wymyślił swoją własną odmianę tasmę produkcyjnej: konieczność ograniczenia się do siły wiatru, wody i mięśni wymagała udziału całej armii rzemieślników. Sean przypuszczał, że większość dołączyła do aniołów z powodu narzuconych przez Kościół frustrujących ograniczeń, jak i dokonywanych przez nich cudów – lecz mimo ich nieustraszonego entuzjazmu doba była po prostu za krótka.

Sytuację pogarszał jeszcze fakt, że na Pardał wiosna trwała pięć standardowych miesięcy, a lato dziesięć. Na Ziemi opóźnienie przez Świątynię działań wojennych o ponad dwa miesiące z powodu indoktrynacji wojska ułatwiłoby Seanowi zadanie – musiałby zatrzymać jej wojska tylko do czasu zalamania się pogody – ale tutaj nie miało to wielkiego znaczenia. Czekala go decydująca kampania, a sama wielkość armii Pardała przerażała go. W stronę doliny Keldark kierowało się ponad sto tysięcy

ludzi, i jutro – najpóźniej za dwa dni – wielu z nich zginie.

Zbyt wielu, niezależnie od tego, po której stronie stoja, pomyślał, lecz ja za diabła nic z tym nie mogę zrobić.

Zacisnął dłoń na ramieniu Tibolda i wbrew wszystkiemu poczuł przyływ otuchy, gdy starszy mężczyzna uśmiechnął się do niego, po czym obaj ruszyli w stronę swoich bratanków.

Stomald wstał, gdy anioł Harry weszła do namiotu dowodzenia, by uaktualnić mapę sytuacyjną. Uśmiechnęła się i już wiedział, że nie jest zadowolona z tej oznaki szacunku, lecz nic nie mógł na to poradzić. I tak w końcu przestał się zwracać do niej i do anioł Sandy słowem "anioł", mimo że nie rozumiał, dlaczego są w tej kwestii tak stanowcze. No, ale w końcu wielu rzeczy nie rozumiał. Bał się na przykład, że anioły się rozszkwać, kiedy atmosfera w armii się zmieni, a tymczasem one były wręcz zadowolone, gdy ludzie stali się raczej malagorskimi nacjonalistami niż heretykami.

Lubił przyglądać się anioł Harry przy pracy, kiedy jej twarz była skupiona lub rozbawiona. Była o głowę wyższa od niego i piękniejsza – i młodsza – niż pamiętał. Złaził się – ponownie – za myślenie o jej ukrytym pod szatą ciebie. Choć nie zadawała od jego ludzi szacunku, który jej się należał, mimo wszystko była aniołem.

Przechyliła głowę, by ocenić swoją pracę zdrowym okiem, a on znowu zagryzł wargę. Jej straszliwe rany zagoiły się z anielską szybkością, lecz czarna przepaska na oku sprawiała, że za każdym razem, gdy ją widział, bolało go serce. Mimo tego wszystkiego, co spotkało ją w Koncu Grani, nie było w niej nienawiści. Stomald nie wierzył, by umiała nienawidzić, zwłaszcza gdy zwracała się do niego z wielką łagodnością, choć przecież omal jej nie spalił żywcem.

Odwrociła się od mapy i uśmiechnęła z rozbawieniem, kiedy zarumienił się pod jej spojrzeniem.

–Sandy przyniesie kolejne uaktualnienie za kilka godzin – powiedziała w świętym języku. – Teraz, kiedy się zbliżają, przyglądamy się im uważniej.

–Nie jestem żołnierzem – a raczej nie byłem żołnierzem – lecz wydaje mi się to bardzo madre.

–Nie bądź taki skromny. To szczęście, że masz takiego kapitana jak Tibold... oraz oczywiście Seana i Tammana, ale sam też masz dobre oko do takich rzeczy.

Pochylił głowę, plawiąc się w jej pochwałach, lecz nim zdążył coś więcej powiedzieć, do środka wkroczył lord Sean, a za nim Tibold.

Lord Sean dotknął napiersnika w pełnym szacunku powitaniu, które anioł przyjechała z całą powagą, lecz Stomald zauważył błysk w jej oku. Przez krótką chwilę go znienawidził, lecz zaraz zrobiło mu się wstyd. Jest aniołem, a lord Sean jest wybranym wojownikiem anioł Sandy.

–Czy to najświeższe informacje? – W ciągu ostatnich kilku dni lord Sean zaczął mówić pardalskim z wyraźnym malagorskim akcentem. Uśmiechnął się, gdy anioł pokiwała głową, i podszedł bliżej do mapy, by się jej lepiej przyjrzeć.

Tibold uśmiechnął się do Stomalda za ich plecami, a kapłan mimo lekkiego ukłucia zazdrości także odpowiedział uśmiechem. Tiboldowi było łatwiej, gdyż lord Sean był urodzonym żołnierzem i Były Straznik traktował go z ojcowską dumą, a lord Sean zdawał się odnosić do niego z szacunkiem i słuchał uważnie wszystkiego, co Tibold miał do powiedzenia.

Przez chwilę lord Sean szeptał do anioł Sandy w tym dziwnym języku, którym często się posługiwali: Znajomość tego języka wzbudzała podziw heretyckiego kapłana. Być tak blisko aniołów, by mówić ich językiem, to naprawdę cudowne uczucie.

W końcu lord Sean odwrócił się od mapy.

–Tiboldzie, sędze, że tego popołudnia zaatakują nasze wysunięte pozycje. Zgadzasz się ze mną?

Były Straznik przez chwilę przyglądał się mapie, po czym pokiwał głową.

–W takim razie nadszedł czas. – Lord Sean westchnął. – Porozmawiam z Tammanem, a ty porozmawiaj z podkapitanami. Upewnij się, że zachowają zdrowy rozsadek. Walczymy o przetrwanie, a nie o honor, i nie chcemy niepotrzebnie narazić ludzkiego życia.

–Dobrze, lordzie Seanie – obiecał Tibold, najwyraźniej zadowolony, że general kapitan tak bardzo troszczy się o swoich ludzi, a wtedy lord Sean zwrócił się do Stomalda.

–Mam nadzieję, że ich powstrzymamy, ojcze, ale czy jesteśmy gotowi, jeśli nam się nie uda?

–Tak, lordzie Seanie. Odesłałem wszystkie kobiety w bezpieczne miejsce, a nioharqi będą o świcie w zaprzęgach, gotowe do natarcia lub wycofania się.

Dowodca pokiwał z zadowoleniem głową, po czym znowu pochylił się do anioł Harry, a ta wyszeptała mu coś na ucho.

–Ojczy, kapitan Tibold i ja nie bedziemy mogli zwolnic zolnierzy na nabozenstwa dzis wieczorem, kiedy wrog jest tak blisko, lecz gdybys mogl wyslac kapelanow...

–Oczywiscie – odpowiedzial Stomald.

Lord Sean zawsze przejmowal sie takimi rzeczami, mimo ze ani on, ani lord Tamman, ani aniol nie brali udzialu w nabozenstwach. Oczywiscie tacy jak oni maja swoje wlasne kontakty z Bogiem, lecz wygladalo na to, ze celowo trzymali sie na uboczu.

–W takim razie ide znalezc sobie cos do jedzenia. Dolaczysz do mnie?

Aniol Harry usmiechnela sie do kapitana i przez glowe Stomalda przeleciala zadziwiajaca mysl. Lord Sean jest brzydki, a aniol Harry piekna, on jest wielki, a aniol mimo swego wzrostu jest przy nim malutka, a jednak jest cos...

To ich oczy, pomyslal. Czemu nigdy wczesniej tego nie zauwazył? Mieli takie same dziwne czarne oczy, ciemniejsze niz noc, i takie same wlosy, tak czarne, ze niemal granatowe. A zatem pomijajac brzydote lorda Seana, mogliby byc rodzenstwem!

Podobnie jak wszyscy, Stomald wiedzial, ze lord Sean i lord Tamman sa wiecej niz ludzmi – mieli blyskawiczny refleks i czasem zapominali o ukrywaniu swojej niewiarygodnej sily – lecz nie przyszlo mu do glowy, ze moga miec w sobie anielska krew!

Ta mysl go zmrozila. Lord Sean i lord Tamman sa smiertelnikami – obaj przy tym sie upierali, a Stomald im wierzyl – co oznacza, ze nie moga byc spokrewnieni z aniolami. Poza tym Pismo mowi, ze wszystkie aniolu sa kobietami, a jak smiertelna krew moze sie mieszac z boska? A jednak... A jesli...

Odrzucil te mysl. Byla co najmniej nieuprzejma, i w glebi duszy wiedzial, ze jej zrodlem jest niewybaczalne pragnienie, ktore przeraziloby go, gdyby musial uczciwie stawic mu czola.

Tamman spogladal na droge na wschodzie, oparty o drzewo thyru, na ktorym siedzial mezczyzna z lusterkiem. Pardalskie armie mialy zadziwiajaco skomplikowane systemy sygnalow, lecz lusterka i flagi dzialaly tylko za dnia, a popoludnie juz dobiegalo konca.

Mial ochote pospacerowac, lecz zdawal sobie sprawe, ze wybrany przez aniolu dowodca nie powinien okazywac zdenerwowania. Byl tutaj zamiast Seana, by dodac ludziom pewnosci siebie, co moglo sie okazac bardzo wazne nastepnego dnia, wiec zadowolil sie kruszeniem nogami wysuszonych lupin thyru. Thyru przypominalo

olbrzymi zoladz, lecz z jego miekkich tkanek produkowano tluszcz, ktory sluzyl takim samym celom jak na Ziemi oliwa z oliwek, i Tamman zastanawial sie, jak Pardalczycy radza sobie z taka gruba skorupa. To musi byc niezly orzech do zgryzienia!

Uswiadomil sobie, ze zaczyna coraz czesciej wpatrywac sie w droge – a przeciez w przeciwnienstwie do swoich zwiadowcow, mial bezposrednie polaczenie z czujnikami Izraela poprzez kuter Sandy. Wiedzial, gdzie jest wrog, i wpatrywanie sie w pusta droge nie moglo ani troche przyspieszyc jego nadejscia.

Otrzasnal sie i ruszyl wzdluz szeregu zolnierzy, klepiac ich po ramionach i usmiechajac sie. Wiekszosc pardalskiej kawalerii stanowili dragoni – strzelcy jadacy wierzchem – ktorzy wprawdzie byli przydatni do zwiadow i nekania wroga, ale mogli nosic jedynie lekki pancierz, ich krotkie muszkiety nie mialy wystarczajacego zasiegu ani szybkostrzelnosci, zeby powstrzymac pikinierow, a ich branahki nie mogly przenosic pik. Ale ci nowi dragoni byli zupełnie inni – ich joharny byly gwintowane. No, ale jeszcze nie czas, przypomniał sobie, by pokazac Swietym Zastepom wszystko, co potrafi. Na to przyjdzie pora jutro.

Dotarl do konca szeregu i zawrocił, po czym znow sprawdzil polaczenie.

–Rethvanie? – Spojrzal na sygnaliste.

–Tak, kapitanie?

–Spodziewam sie, ze awangarda wyloni sie z za zakretu mniej wiecej za piec minut. Przygotuj sie do przekazania sygnalu.

–Natychmiast, lordzie Tammanie. – Retlwan nie mogl widziec drogi za zakretem, lecz w jego glosie byla taka pewnosc siebie, ze Tamman usmiechnal sie. Teraz musimy tylko ani razu sie nie pomylic, pomyslal, bo w przeciwnym razie ta pewnosc siebie obroci sie na piecie i ugryzie nas w tylek.

Zachodzace slonce stawalo sie coraz bardziej czerwone, wiec sprawdzil odczyty czujnikow. Wlasnie w tej chwili...

Jak na sygnal z za zakretu wylonil sie pierwszy konny zwiadowca.

–Posylaj sygnal, Retlwanie. – Ucieszylo go, ze powiedzial to tak spokojnie.

–Tak, kapitanie.

Blysk lusterka ostrzegl punkt obrony na zachodzie i Tamman uslyszal, jak jezdzczy zaczynaja przygotowywac swoje branahki. On sam na widok nadjezdzejacej kompanii kawalerii Strazy wlaczyl widzenie teleskopowe.

Wyglądali na zmęczonych, ale nic dziwnego – lord marszałek Rokas poruszał się bardzo szybko. Potencjał logistyczny pardalskich armii zadziwiał Tammana – spodziewał się czegoś przypominającego ziemską epokę pik i muszkietów, lecz na Pardal żyły nioharqi. Te ogromne istoty z wystającymi klami – przypominały mu wieprze wielkości słonia – jadły niemal wszystko, więc nie było żadnych problemów z paszą, i poruszały się z zadziwiającą prędkością. Były bezużyteczne dla kawalerii, lecz za to pozwalały Pardalczykom przewozić artylerię, żywność, namioty, przenosne kuznie i kuchnie polowe z szybkością, której mogłoby im pozazdrościć nawet Gustaw Adolf.

Mimo to oddziały Rokasa musiały odczuwać forsowny marsz. Świątynia nic nie wiedziała o pozycjach heretyków – sondy podsłuchiwały wystarczająco wiele polowych narad Rokasa, by to potwierdzić – jednak lord marszałek dokonał całkiem niezłej oceny ich maksymalnego potencjału i nie silił się na żadne wymyślne manewry. Miał zamiar po prostu rzucić przeciwko nim tyłu ludzi, by ich zatopić, a później po nich przejechać.

Tamman przyglądał się zwiadowcom z paskudnym uśmiechem. Może i byli zmęczeni, ale mimo to pozostali czujni – szukali zagrożeń w takim zasięgu, jaki zgodnie z ich wiedzą miała pardalska bron.

–Przygotujcie się, chłopaki – powiedział cicho, gdy pierwszy branahlk minął paliki wyznaczające odległość czterystu metrów.

W odpowiedzi setka dragonów ustawiła się parami, czekając, aż zwiadowcy Rokasa zbliżą się na odległość niewiele ponad dwustu metrów. To wciąż było zbyt daleko dla strzelb gładkolufowych, dlatego niektórzy z nich spoglądali w jego stronę z niedowierzaniem.

–Ognia! – warknął i pięćdziesiąt gwintowanych joharnów wystrzeliło.

Błyski były wyraźnie widoczne w cieniu zagajnika, a od dymu aż kreciło w nosie. Trzydziestu albo i więcej zwiadowców znalazło się na ziemi – wielu, jak Tamman sądził, raczej zsiadło z wierzchowców niż zostało trafionych, gdyż branahlki były większymi celami niż ludzie – a inni gapili się na unosząca się wśród drzew chmura dymu. Tymczasem druga pięćdziesiątka dragonów czekała, aż ich partnerzy będą w polowie przeladowywania, po czym wystrzeliła i kolejni jeźdźcy spadli z wierzchowców. Pozostali przy życiu natychmiast zawrócił i spieł rumaki ostrogami, pedząc z powrotem w stronę zakretu; ci pozbawieni wierzchowców biegli za nimi, lecz dogoniły ich pojedyncze strzały.

–Dobra, chłopaki, na siodła – powiedział Tamman i uśmiech nieci dragoni ruszyli w stronę swoich wierzchowców.

Ich dowodca poczekał jeszcze chwile, aby popatrzeć na droge. Garstka rannych czolgała się – ich cierpienie było wyraźnie widoczne dla jego ulepszonych wzroku – inni zaś wili się spazmatycznie na ziemi, krzycząc i jęcząc.

Zadrzał i odwrócił się, zły na samego siebie, że mimo tego tragicznego widoku odczuwa wielką satysfakcję.

Lord marszałek Rokas spojrział ze złością na mapę, lecz jego spojrzenie nie mogło jej zmienić, a raporty były równie niepokojące jak wcześniej.

W pierwszej zasadzce zginęło siedemdziesięciu jeden ludzi, i to z odległości, jak przysięgał podkapitan Turalk, dwustu kioków. Druga i trzecia były jeszcze gorsze. Zastępy straciły w sumie czterystu ludzi, i to głównie kawalerii – której i tak nie było za dużo.

Jak heretycy to zrobili? Skąd wzięli tak wielu dragonów? I jak ich ukryli? Nie wierzył, by w każdym z tych miejsc mogło się ukryć więcej niż stu ludzi, lecz liczba ofiar świadczyła, że było ich trzy albo cztery razy więcej – i to każdy z Malagorem w ręku.

Nalał sobie kielich wina i usiadł na składanym krześle. Sposób, w jaki to zrobili, jest mniej ważny niż sam fakt, że to zrobili, lecz zasadzki ich nie uratują. Jeśli nie chcą stracić okazji do uwięzienia go w gorach, muszą stanąć do walki, a wtedy on ich zmiążdży.

Musi, gdyż dwie trzecie artylerii i muszkietów Matki Kościół oraz połowa pancerzy i grotów pik pochodziła z odlewni Malagom. Rokasowi nigdy nie podobala się taka zależność od jednego źródła, lecz to, co się teraz stało, było gorsze niż najgorszy koszmar, gdyż każda odlewnia utracona przez Matkę Kościół była jednocześnie odlewnia zyskana przez heretyków.

Rokas dokładnie wiedział, ile pik i muszkietów znajdowało się w zbrojowniach Straży w Malagorze. Jego obliczenia były mniej dokładne, jeśli chodzi o świeckie arsenały, lecz mógł się domyślać, że nawet gdyby heretycy zdobyli wszystkie, mogliby uzbroić mniej niż sto tysięcy ludzi. Ale mając czas, rzemieślnicy Malagom mogliby wyposażać w broń każdego mężczyźnię w księstwie, a gdyby tak się stało, cena zdobycia górskiej krainy stałaby się niemal nie do zniesienia.

W końcu udało mu się przekonać Krag do tej prostej, oczywistej prawdy. Gdyby mu się nie udało, praliby opóźnili wyruszenie Zastępów aż do pierwszych śniegów, tłumacząc to potrzebą "wzmocnienia ich duszy przeciwko herezji".

Lecz wysoki kapłan Vroxhan w końcu posłuchał i teraz Rokas pochylał się z ponurą

mina nad symbolami na mapie oznaczającymi sto dwadzieścia tysięcy mężczyzn – kwiat Straży wschodniej części Polnocnego Hylaru.

Popatrzył z niezadowoleniem na błękitną linię rzeki Mortan. Nawet dziecko mogłoby się domyslić, kto kiedy będzie przejeżdżał, a Tibold, przeklecie jego imię, nie jest dzieckiem! Jest jak seldahk, szybki i sprytny; seldahk, który obraził wysokiego kapitana i został wygnany na najbardziej żalosne stanowisko, jakie ten wysoki kapitan mógł znaleźć. Tibold będzie wiedział, co dokładnie zaplanował Rokas... i jak najlepiej wykorzystać siły, które udało mu się zgromadzić.

Marszałek przygryzł wargi i zamyslił się. Ostatnim prawdziwym wyzwaniem dla Matki Kościoła był podbój barbarzyńskiej Herdaany przed sześcioma pokoleniami, ale było to niczym w porównaniu z obecnym konfliktem. Jeśli herezja nie zostanie szybko stłumiona, może zmienić się w koszmar przypominający wojny schizmatyczne, które obrocily w perzynie pol Polnocnego Hylaru. Ta myśl go zmroziła.

Sean MacIntyre stał na murach miasta Yortown i spoglądał z góry na ogniska, wokół których siedzieli jego ludzie. Jego ludzie! Myśl, że życie pięćdziesięciu osmiu tysięcy ludzi zależy od niego, przerażała go.

Splotł ręce za plecami i zaczął rozmyślać. Stosunek sił wynosił dwa do jednego, ale mogłoby być dla nich lepiej, gdyby Kościół zdecydował się wcisnąć do doliny więcej żołnierzy, jednak ten lord marszałek Rokas niestety był wystarczająco dobrym dowódcą, by wiedzieć, że nie należy za bardzo się tłoczyć.

Zalował, że wykładana w Akademii historia wojskowości pomijała podstawy prowadzenia kampanii w dawnych erach. To, co zrobili w Malagorze, przypomnieli sobie z rozmów z wujkiem Hectorem, ekstrapolowali albo podejrzeli w materiałach historycznych Izraela, niestety ograniczonych i irytująco mało szczegółowych. Miał zamiar w przyszłości poważnie porozmawiać z ciocią Adrienne na temat jej programu nauczania.

Większość armii na Pardal miała co najmniej trzy pikiny na każdy muszkiet. Dotyczyło to też Straży Świątyni. Tibold wyjaśnił im, jak Straż wykorzystuje szyk podobny do falangi, by unieruchomić wroga groźbą ataku, "przygotować" go artyleria i mniejsza broń palna, a w końcu zaatakować zimną stalą. Jednak mimo potwornej siły te potężne bloki pikiny były bardzo nieporadne i Sean przypuszczał, że tradycyjny malagorski sposób walki nawet bez aniołów i ich wynalazków sprawiałby Rokasowi poważne problemy.

Taktycznie byli o wiele lepiej przygotowani niż Straż, gdyż mieli płytszy szyk

pikinierow, który powstrzymywał wroga, podczas gdy żołnierze uzbrojeni w gizarmy atakowali z flanki, a wprowadzone przez Seana modyfikacje powinny ich uczynić jeszcze bardziej niebezpiecznymi.

Gdyby tylko miał więcej czasu! Wprawdzie Tibold zajął się szkoleniem – a przy tym starym kapitanie baron von Steuben był niczym drużynowy skautów – lecz mieli zaledwie dwa miesiące. Ich armia miała niewiarygodnie silną reprezentację miejscowej milicji, gdyż pod nieobecność feudalnych panów samorządne malagorskie miasta i wioski wystawiały własne wojska, a do tego ponad osiem tysięcy Strazników przeszło na stronę buntowników, lecz zjednoczenie ich i nauczenie całkowicie nowej doktryny taktycznej w ciągu dwóch miesięcy było wręcz kosztownym zadaniem.

Co gorsza, podczas swojego własnego szkolenia nie nauczył się, jak dowodzić wojskiem, i obawiał się, że nawet najbardziej pesymistyczne prognozy nie dorównują temu, co naprawdę może się wydarzyć. Jego ludzie dobrze wyglądali podczas musztry, lecz czy będą trzymać się razem podczas bitwy, gdy cały świat wokół oszaleje? Nie wiedział, a miał świadomość, że zbyt wiele bitew w historii Ziemi przegrano tylko dlatego, że jedna ze stron podzieliła się w zamieszaniu na mniejsze jednostki.

Dlatego, powiedział sobie stanowczo, jeśli uda się zachować jedność, Straz będzie miała poważne kłopoty. Normalnie jej falangi miałyby przewagę w Yortown, gdzie ukształtowanie terenu było korzystne i masa i ped liczyły się najbardziej, lecz teraz będą miały do czynienia z załogą Izraela. Gdyby udało się sprawić, że Straz utknie – a Sean miał nadzieję, że znajdzie takie miejsce, w którym ich zatrzyma – pokaże im, gdzie raki zimują. Dolina Keldark przechodziła w okolicach Yortown w dość wąski kawałek terenu, i jeśli lord Rokas tak uważnie studiował historię wojskowości, jak mówił Tibold...

Westchnął i otrząsnął się z natrętnych myśli, po czym przeciągnął się, spojrzął na obce gwiazdy i udał się do łóżka, zastanawiając się, czy uda mu się choć trochę pospać.

Rozdział 28

Lord marszałek Rokas wspinał się na wzgórze i z trzaskiem otworzył lunetę. Poranna mgła podniosła się, choć pojedyncze pasma nadal unosiły się nad Mortan. Marszałek skrzywił się, przyglądając się okolicy. Od samego początku spodziewał się, obawiał się – że Tibold zdecyduje się na bitwę właśnie tutaj, gdyż już niejedna armia rozbiła się o Yortown.

Miasto wznosiło się na urwisku nad rzeką. Jego mury zostały zrównane z ziemią po wojnach schizmatycznych, lecz heretycy zbudowali nowe, chociaż nie były one

szczególnie potrzebne. Mortan plynęła aż do Wschodniego Oceanu, wijąc się w dolinie Keldark, by następnie przebiec przez Shalokary i owinąć niczym nienawistny wąż wokół stop Yortown. To właśnie za tą lodowatą fosą Tibold, tak jak wielu Malagorczyków przed nim, umocnił się ze swoją armią.

Rokas spojrzął tesknie na mosty Yortown. Zniszczenia były zbyt wielkie – zmiżdżone przesła wrzucono do zbyt głębokiej wody, by można było przejść po ich pozostałościach. Zdusił przekleństwo. Gdyby Krag nie wahał się tak długo, mogliby ominąć Yortown i wdrzec się do serca Malagom, zanim heretycy zdążyliby się zorganizować!

Popatrzył dalej i znów się skrzywił. Na południowy wschód od miasta, gdzie rzeka była najszersza, widac było brody, które zastępowały zniszczone mosty. Miały szerokość ponad stu kroków i były głębokie do pasa, a więc ranni nie będa mieli szans nawet bez zbroi. Na zachodnim brzegu wznosiły się szanice i widac już było błyski pik i artylerii.

Odwrocił się z powrotem na północ, by popatrzeć na gęsty las, który ciągnął się od skraju doliny aż do jego punktu widokowego na wzgórzu. Był naturalną osłoną dla jego prawej flanki – Bog wie, że żaden pikinier nie może przebiec przez taki gąszcz! – lecz tak naprawdę nie miał przed czym ich osłaniać. Na północ od Yortown rzeka była zbyt głęboka, by można było wybudować most, nie wspominając już o brodach, i ktoś tak sprytny jak Tibold nie umieściłby swoich ludzi w pułapce, z której nie mogliby się wycofać.

Zamknął lunetę. Nie, Tibold wie, co robić, ale... on też wie. I wie, że jeśli cena będzie bardzo wysoka, on gotów jest ją zapłacić, nawet jeśli przez wiele lat będzie go to dreczyć we śnach.

–Nie widzę powodów, by zmieniać nasze plany – powiedział do swoich oficerów. – Kapitanie Vrikadanie – spojrzął wysokiemu kapitanowi w oczy – proszę rozpocząć atak.

–Boże, popatrz tylko na nich! – mruknął Tamman przez implant komunikacyjny i Sean pokiwał głową, zapominając, że przyjaciel go nie widzi.

Chwycił się mocno galezi, na której siedział, i wyjrzał spod gęstych liści. Zastępy przygotowywały się do przebycia brodu. Muszkietrzy chronili potężne kolumny pikinierów, a między kolumnami przesuwala się ciągnięta przez nioharqi artyleria. Pancerze błyszczaly, nad nimi wznosił się las grotów pik, a nogi maszerujących sprawiały, że kolumny wygladały niczym ohydne stalowe gasienice.

–Widzę ich – odparł po chwili – i cholernie zaluje, że nie mamy świętego granatu

recznego z Antiochii!

Tamman zasmiał się z tego niezbyt udanego zartu, a Sean skrzywił się. Żałował, że Tibold nie może być razem z Tammanem przy brodzie, ale potrzebował go tutaj na wypadek, gdyby coś się z nim samym stało. Musiał przyznać, że czuł się o wiele pewniej, dopóki nie ujrzał Zastępów na własne oczy.

Westchnął i zsunął się z drzewa. Tibold stał razem z Folmakiem – młynarzem, który dowodził kompanią jego kwatery głównej. Sean spojrzał im w oczy.

–Ida.

–Widze. – Tibold poskubał wargę. – A ich zwiadowcy?

–Miałeś rację. Grupa dragonów chroni ich prawą flankę, lecz zbyt szybko się nie oddalają.

–Ano. – Tibold pokiwał głową. – Rokas nie zostałby lordem marszałkiem, gdyby był nieostrożny nawet w obliczu mało prawdopodobnych zagrożeń.

–Na to wygląda. – Sean spojrzał w zielone cienie, gdzie dwadzieścia tysięcy ludzi ukrywało się w pozycjach gęstszych niż wszystko to, z czym musiał sobie radzić Grant podczas bitwy w Wildemess. Mieli na sobie zgnilozielone i brązowe stroje, a lufy ich strzelb zostały pomalowane, by nie zdradził ich żaden błysk; w porównaniu ze szkarlatem i stała Strazy wyglądali jak obszarpancy, ale za to byli niemal całkowicie niewidoczni.

Polaczył się łączem neuralnym z ukrytym nad doliną kutrem, wymieniając krótko niema pieśczętę z Sandy, a potem przez komunikator kutra z czujnikami Brashana. Zastępy zbliżyły się, tłocząc się za silami szturmowymi. Przy odrobinie szczęścia...

Skierował wzrok na pontonowe mosty ukryte za lasem na północ od Yortown. Pontony były nowością na Pardal i ich zbudowanie okazało się trudniejsze, niż myślał, ale chyba się trzymały – przynajmniej miał taką nadzieję. Jeśli wszystko pójdzie w diabły, te mosty będą dla jednej trzeciej jego armii jedyną drogą ucieczki do domu.

Stomald patrzył, jak anioł Harry dokonuje niewielkich poprawek na mapie sytuacyjnej. Widział delikatne drżenie jej smukłych palców i miał ochotę objąć ją ramieniem, by ją pocieszyć, lecz przypomniał sobie, że jest aniołem, i tylko zacisnął dłoń na gwiazdnym symbolu.

Ludzie wręcz ubóstwiali anielskich wojowników i stali się bardzo pewni siebie.

Wlasciwie nawet bardziej niz pewni siebie. Juz nie chcieli tylko sie bronic, chcieli zmiadzyc przeciwnika mimo niekorzystnego stosunku sil, i jesli poslusznie modlili sie o milosierdzie, to ich gorliwosc byla zarezerwowana dla modlow o sile, zwyciestwo i – szczegolnie – niepodleglosc Malagom.

Stomald sluchal regularnych uderzen bebnow Strazy i modlil sie w milczeniu – nie za siebie, lecz za ludzi, ktorych do tego przywiodl – gdy nagle poczul na ramieniu czyjas dlon, zaskakujaco lekka. Podniosl wzrok. Zdrowe oko aniol Harry patrzylo na niego lagodnie i ze zrozumieniem. Uniosl reke i zakryl nia jej dlon, zdziwiony wlasna odwaga, ze dotknal jej swietego ciala, a ona usmiechnela sie.

Branahlk wysokiego kapitana Vrikadana poruszył sie nerwowo, gdy dziesiec tysiecy glosow dolaczyl do grzmotu bebnow, i mezczyzna odwrocil sie w siodle, by przyjrzec sie swoim ludziom. Glosy ryczace slowa poteznego hymnu byly silne i glebokie, choc w twarzach prowadzacych pikinierow widac bylo napiecie.

Vrikadan zblizyl sie do baterii arlakow jadacych miedzy kolumnami. Nawet zwykle powsciagliwe nioharqi byly teraz niespokojne, unosily kly i muczaly, a siwobrody kapitan artylerii podniosl wzrok i spojrzal na niego z ponurym usmiechem.

Tamman stal i patrzyl, jak monstrum ze stali i cial maszeruje w strone brodow. Zastepy zachowywaly sie dokladnie tak, jak przewidzial Tibold. Na razie.

Ale spiew byl bronia, ktorej potegi wczesniej nie docenial. Wyczuwal niepokoju swoich ludzi – ten ryczacy hymny potwor mogl wstrzasnac kazdym. Odwrocil sie do swojego zastepcy.

–Potrzebujemy wlasnej muzyki, Lornarze – powiedzial i wysoki kapitan Lornar wyszczerzyl zeby w usmiechu.

–Natychmiast, lordzie Tammanie! – Wezwal nastoletniego gonca i chlopak popedzil na tyly, do reduty. Przez chwile trwala narada, po czym rozlegly sie wysokie dzwieki dud. Zolnierze Tammana popatrzyli po sobie i usmiechneli sie powitaja Straz wyzywajacym wyciem malagorskich dud.

Boze, nie wiedzialem, ze to bedzie tak dlugo trwalo! Sean sluchal muzyki dochodzacej z reduty w odpowiedzi na spiew Strazy i czul sie chory i pusty. Tempo, w jakim tysiace ludzi maszerowaly na smierc, nie przypominalo goraczkowej walki Izraela z systemami kwarantanny. To byl powolny i bolesny marsz.

Wreszcie nad redutami pojawiły się pierwsze chmury dymu. Kule uderzały w szeregi Straży, patrosząc je i rozrywając, a jego wzmocniony wzrok przybliżał mu tę straszną rzeź. W chwili, gdy armaty wystrzeliły, muzyka dud się zmieniła – nowy rytm stał się bardziej gorączkowy. Sean spojrzął na Tibolda, unosząc brew.

–Nie słyszałem wcześniej tej piosenki – powiedział.

–To nie piosenka – odparł były Straznik. – To "Wolny Malagor", lordzie Seanie.

Vrikadan słyszał wysoki, drżący malagorski okrzyk wojenny przypominający wycie seldahka – straszliwy dźwięk, który podobnie jak towarzysząca mu piskliwa muzyka, był przez ponad dwa pardalskie stulecia zakazany pod karą śmierci – lecz teraz musiał się martwić czym innym: jego ludzie dosięgła wroga salwa. I kolejna. I jeszcze jedna! Dobry Boże, skąd oni wzięli te wszystkie armaty?

Nagle zawył cyklon i żołnierz zdążył wyrwać stopy ze strzemion, zanim kula z armaty trafiła jego brzośnię w łeb. Zwierzę padło na ziemię, zalewając się krwią, lecz Vrikadanowi udało się poderwać i wyciągnąć miecz. Heretycy byli zbyt daleko, by ich bron mogła zaszkodzić umocnieniom, lecz mimo to chwycił jadącego obok adiutanta za kolano.

–Odprzodkować armaty! – warknął. – Natychmiast włączyć je do walki!

Tymczasem Tamman obserwował jedną z załóg arlaka przy pracy. Ładunek w worku zsunął się w głąb lufy, a wtedy kapitan zasłonił zapal skorzonym ochraniaczem na kciuk. Za prochem podążyła osmiokilowa kula i przybitka, po czym załoga przeniosła lufę z powrotem na lawetę, a kapitan ustawił zamek i wsunął przetyczkę w głąb, aby przebić worek. Armata rzygnęła ogniem i cofnęła się, i zanim ociekająca woda gąbka zgasła węgielki z poprzedniego wystrzału, nowy ładunek już czekał.

Odwrocił się, oszłomiony szalenczym zawodzeniem dud, i zobaczył, jak szeregi muszkieterów Straży rozchodzą się na boki, odsłaniając piki i odprzodkowane armaty.

Lord Rokas próbował przebić wzrokiem gesty dym. Fale ognia przepływające wzdłuż redut były niesamowite. Nikt nie mógł umieścić tylu armat na tak małej przestrzeni, nawet gdyby je miał, a przecież heretycy nie mogli mieć aż tak wielu armat!

A jednak mieli. Jezyki plomieni przebijaly calun dymu, powalajac jego pikinierow. Ludzie Vrikadana gineli zbyt szybko i za wczesnie. Odwrocil sie do sygnalisty.

–Powiedz wysokiemu kapitanowi Martasowi, by zmniejszyl przerwy. Potem rozkaz wysokiemu kapitanowi Sertalowi ruszyc do natarcia.

Flagi sygnalowe poruszyly sie i Rokas zagryzl warge. Mial nadzieje, ze Vrikadan zdobedzie przynajmniej jeden brod, lecz przy takiej ilosci armat musialby sie stac cud. Ale jego wykrwawiajace sie kolumny powinny przynajmniej oslaniac Martasa dopoty, dopoki ten nie znajdzie sie w zasiegu rzeki.

Znow uniosl lunete, przeklinajac w duchu, gdy jego ludzie weszli w zasieg ognia kartaczy. Cena zdobycia Yortown gwaltownie wzrastala.

Sandy MacMahan byla blada jak sciana i przerazona tym, jak latwo namowila ludzi do udziału w calym tym szalenstwie, choc rozum mowil jej, ze miala racje – podobnie jak teraz Sean mial racje. Nie mogli uzywac imperialnej broni, skoro nie uzywali jej przez caly czas, lecz gdy wpatrywala sie w dym i lejaca sie krew, te rozumowe przeslanki schodzily na dalszy plan.

Arlaki wysokiego kapitana Vrikadana zagrzmialy. Byly zbyt daleko, zeby przebic sie przez umocnienia, lecz ich zalogi z kazdym strzałem popychaly je coraz dalej do przodu, rozpaczliwie pragnac unieszkodliwic heretyckie armaty.

Nagle polnocna kolumna zatrzymala sie i Vrikadan ruszyl przez dym, odpychajac od siebie rannych i poganiajac maruderow plazem miecza.

–Utrzymac pozycje! – ryczal. – Utrzymac pozycje, niech was demony!

Oszalaly ze strachu podkapitan odwrocil sie do swoich ludzi, aby powstrzymac panike. Vrikadan stanal obok mlodzienia i machnal mieczem w kierunku pierwszej kompanii zatrzymanej falangi.

–Za mna, chlopcy! – wrzasnal i popedzil do przodu jak opetany.

Dym oslepial Tammana, wiec przeszedl na termowizje. Obraz byl niewyraźny i nie widzial juz patykow wyznaczajacych odleglosc; zauwazyl tylko, ze masa ludzi zbliza sie do wschodniego brzegu. Poslal gonca do przodu.

Vrikadan odsłonił zęby w paskudnym grymasie, gdy promień słońca przebił się przez dym i oświetlił migocące fale rzeki. Kartacze rozrywały na kawałki jego ludzi zbliżających się do brzegu, lecz tłumy za nimi były niczym lawina, która nie może się już zatrzymać.

I właśnie wtedy, gdy dotarł do brzegu rzeki, dym podniósł się i ujrzał u podstaw redut szereg otworów strzelniczych! A w nich nie arlaki, lecz lżejsze chagory, scisnięte lufa przy lufie i plujące ogniem.

Miał tylko chwilę, by na to popatrzeć, zanim kartacz oberwał mu obie nogi na wysokości bioder.

Sean z przerażeniem obserwował przez czujniki Sandy, jak na wschodnim brzegu Mortan wija się i wrzeszcza ranni ludzie... a żywi mimo całego tego koszmaru nadal nacierają.

Boże w niebiosach, jak oni mogą? Wiedział, że ta rozpedzona masa nie może się już zatrzymać, lecz w tych ludziach było też coś jeszcze: bezrozumna żądza krwi i odwaga, i trudno było powiedzieć, co jest silniejsze.

Mieli zamiar dotrzeć do brodów mimo armat Tammana, lecz Sean nie wierzył, by mogło im się to udać.

Pierwszy Straznicy weszli do rzeki. Woda natychmiast zabarwiła się szkarłatem, gdy uderzył w nich kartacz, lecz mimo to szli dalej. Wysoki kapitan Lornar ujrzał, jak lord Tamman unosi nad głowę wąski miecz i gwizdze w gwizdek. W odpowiedzi rozległy się inne gwizdki i nad umocnieniami ukazało się trzy tysiące gwintowanych joharnów, a wtedy lord Tamman opuścił miecz.

Pierwsi pikinierzy znajdowali się w odległości trzystu kroków, kiedy zalał ich ognisty deszcz ołowiu. Całe kompanie zaczęły padać, a ci, którzy podawali za nimi, stawali i wpatrywali się z przerażeniem w swoich towarzyszy, oszłomieni siłą wrogiego ostrzału. Ale ludzie wysokiego kapitana Martasa deptali im po piętach, popychając ich do przodu, i musieli iść prosto na te ziejące ogniem lufy, więc opuszczali piki i ruszali do ataku.

Trzy tysiące muszkieterów sięgnęły po ładunki i wycofały się, a na ich miejsce pojawiły się trzy tysiące następnych. Brzeknęły stemple, znowu rozległy się gwizdki i wystrzeliła kolejna oszalamiająca salwa. Sierzanci krzyknęli i muszkieterzy znowu zamienili się miejscami. Pierwsza grupa wycelowała przeladowane jocharny i nad umocnieniami znowu rozbłysnął ogień.

Lord Rokas zbladł, kiedy ryk potężnych salw zagłuszył artylerię. Ponieważ nie miał pojęcia, jak szybko ludzie Tammana potrafią przeladować broń, te regularne salwy mogły oznaczać jedynie to, że heretycy mają o wiele więcej muszkietów, niż uważał za możliwe.

Niczego nie widział przez ściany dymu, lecz doświadczenie podpowiadało mu, co się stało z Vrikadanem – i że Martas już wchodzi w wir, a zaraz za nim podąża wysoki kapitan Sertal. Te brody były niczym maszynki do mięsa pozerające jego wojsko, lecz nie było innej drogi do Yortown, dlatego starał się zachować spokój, gdy wydał rozkaz, by posłać kolejnych Strazników na śmierć.

Kiedy ludzie wysokiego kapitana Martasa przebili się przez dym, zobaczyli leżące na brzegu rzeki sterty ciał, ale ponieważ armaty i muszkiety heretyków były zajęte ludźmi Vrikadana, rzucili się w nurt rzeki. Ich jedyną nadzieją na ocalenie było dotarcie do reduct i uciśnienie wroga.

Ale gdy pierwsze szeregi zbliżyły się do drugiego brzegu, popychane przez następne, ludzie zaczęli podrywać się gwałtownie i wrzeszcząc – w wodzie ukryte były zaostrome pale i ostre kawałki metalu – a wtedy mordercze muszkiety zaczęły rozrywać ich na kawałki.

Kule gwizdały im nad głowami albo uderzały w umocnienia, gdy artyleria Zastępów zaczęła strzelać. Jedna z nich uderzyła w arłaka obok Tammana. Lufa poleciała do tyłu, laweta się rozpadła, a coś ledwie przypominającego człowieka zaczęło miotać się i wyc z bólu. Jego artyleria była chroniona przez umocnienia reducty, ale było jej zdecydowanie mniej, a tymczasem coraz więcej dział ustawionych między wykrwawiającymi się kolumnami piechoty zaczynało strzelać, mając wsparcie stojących na obu flankach odsłoniętych muszkieterów.

Popatrzył na rzeź przy brodzie. Pikinierzy i muszkieterzy brodzili w szkarłatnej wodzie, padając od kartaczy albo pocisków z muszkietów, lecz w końcu się

zatrzymali. Naprawde? Wytezyli wzrok i przelknal sline. Nie zatrzymali sie, lecz zaczeli sie przegrupowywac.

Twarz wysokiego kapitana Sertala byla blada pod potem i brudem. Jego przednie kompanie wchlonely ocalalych ludzi Vrikadana i Martasa, a teraz staly z zelazna dyscyplina pod deszczem ognia heretykow. Kiedy bylo to potrzebne, podkapitanowie i sierzanci wpychali zolnierzy kopniakami na ich miejsce w szyku. Sertal skrzywil sie, kiedy kolejna salwa kartaczy skosila jego ludzi. Nie chcial ich zbyt dlugo trzymac w jednym miejscu, lecz musial do czasu, az sie przegrupuja. Zacisnal dlon na mieczu i zakaszal od dymu, wsluchujac sie we wrzaski swoich zolnierzy.

Sean jeszcze raz skonsultowal sie z czujnikami, gdy na poludnie od Wysokiej Drogi pojawila sie masa Straznikow, po czym skinal na Tibolda.

–Utkneli bardzo gleboko – powiedzial, probujac ukryc niepokoj – a Rokas wysyla rezerwy do przodu. Nadszedl czas.

–Tak jest, lordzie Seanie! – Tibold zaczal wykrzykiwac rozkazy i dwadziescia tysiecy mezczyzn – zaden nie byl uzbrojony w pike – wyszlo z "niemozliwych do przebycia" lasow na polnoc od Zastepow.

Teraz!

Sertal uniosl miecz w strone redut i opuscil go, a wtedy mezczyzni rzucili sie do natarcia. Na ten widok Tamman odwrocil sie, by krzyknac kolejny rozkaz do Lornara, lecz Lornar juz nie byl – jego glowe zmiazdzyl jeden z wystrzelianych na oslep pociskow z muszkietu. Chwycil wiec za ramie kapitana Ithuna, jednego z dawnych oficerow Strazy. Mezczyzna byl blad i napiety, a zbladl jeszcze bardziej, kiedy uswiadomil sobie, ze teraz jest najstarszym ranga zastepca Tammana w glownej reducie.

–Piknierzy naprzod! – ryknal.

Chagory w najbardziej wysunietych do przodu otworach strzelniczych wystrzelily ostatnia salwe, po czym ich zalogi chwycily za miecze i piki, kiedy przerzedzone szeregi Strazy w koncu wyszly z wody. Kilkunastu kapitanow zatrzymalo sie, by podpalic lonty, zanim chwycili za bron, ale szalency, ktorzy przebili sie przez ten

koszmar, który im zgotowali Malagorczycy, ruszyli z rykiem do ataku. Już wkrótce ryki przeszły w jęki – umieszczone na brzegu rzeki prymitywne miny wystrzeliły w fontannie ognia. Pozostali przy życiu zawahali się, lecz musieli iść dalej, naciskani przez ludzi Sertala.

Tymczasem malagorscy pikinierzy opuścili umocnienia i ruszyli z okrzykiem do natarcia. Udało im się zepchnąć Zastępy aż do brodu, ale tam sami zostali zatrzymani. Walka wręcz, która rozgorzała, nie pozwalała chagorom strzelać, a arlaki były zajęte pojedynkiem z artylerią Strazy. Jedynie muszkiety nadal strzelały, lecz Zastępy ponosiły coraz mniej strat, osłaniane ciałami żołnierzy, którzy padli. Wreszcie przewaga liczebna spowodowała, że zaczęli spychać Malagorczyków do tyłu.

Kapitan Yurkal wpatrywał się w chmury dymu i wsłuchiwał w trzask muszkietów i artylerii oraz krzyki rannych. Czuł ulgę, że oszczędzono mu tego piekła, choć napelniało go to poczuciem winy. Yurkal był wiernym synem Matki Kościola, lecz mimo to był wdzięczny, że jego dragonów rozmieszczono tak daleko od pola walki i...

Podderwał się zaskoczony, gdy jego chorazy upadł, trzymając się za piers. Rozległ się głuchy odgłos i kapitan obok też osunął się na ziemię. Yurkal odwrócił się gwałtownie, gdy w końcu usłyszał dochodzące z tyłu trzaski.

Trzysta kroków za nim, ukryty na krawędzi lasu, strzelec wyborowy odziany w zielen i brąz ustawił gwintowany malagor na podporce. Spojrzał przez celownik, nacisnął spust i dwudziestomilimetrowa kula przebiła serce kapitana Yurkala.

Sean obserwował, jak jego snajperzy metodycznie odstrzelują oficerów i podoficerów. Nie było to zbyt rycerskie, ale przecież wojna nigdy nie jest szlachetna.

Wreszcie oddziały pozbawione dowódców zaczęły uciekać. Malagory nadal strzelały, powalając tych strażników, którzy jeszcze pozostali przy życiu, a tymczasem sierżanci już zaczęli donosnym głosem wzywać żołnierzy do ustawienia się w szyku.

Piętnaście tysięcy mężczyzn utworzyło potrójny szereg o długości trzech kilometrów, po czym rozległ się malagorski okrzyk wojenny i wszyscy wyruszyli na południe; za nimi podążyło kolejnych pięć tysięcy jako rezerwa.

Lord marszałek Rokas poderwał gwałtownie głowę, słysząc trzask muszkietów. Spojrzał na północ i otworzył szeroko oczy, kiedy ujrzał drugą chmurę dymu. To niemożliwe!

Otworzył lunetę i widok konnicy rozproszonej jak liście na wietrze i błyskawicę wystrzałów za plecami uciekających zmroził mu krew w żyłach.

To pułapka. Wszedł w pułapkę! Tibold zrobił to, co niewyobrażalne: podzielił swoje i tak niewielkie siły, umieszczając muszkietierów na pozycji, z której mogli go zaatakować, kiedy utknie na brodzie!

Szalencza odwaga tego planu oszłomiła go. Połowa jego sił nadal była zajęta atakiem na brody, a jedna czwarta pozostała z tyłu, żeby nie ograniczać jego ruchów. To oznaczało, że pozostało mu zaledwie trzydziestu tysięcy ludzi, żeby stawić czoła temu nowemu zagrożeniu, tyle że ci żołnierze byli odcięci przez atakujące oddziały wroga.

Wskoczył na brzoza i pogalopował w dół wzgórza, wykrzykując rozkazy, po czym sygnaliści i kurierzy popędzili we wszystkich kierunkach w rozpaczliwym wyścigu z heretyckimi muszkietierami.

Kolejna odcięta kompania rozpadła się pod ostrzałem ludzi Seana, a jemu serce szybciej zabiło. Jego ludzie nie mogli poruszać się w szeregu tak szybko jak w kolumnie, ale godziny musztry przyniosły jednak rezultaty. Ich szyk był doskonały i nacierali jak automaty, przeladowując broń w marszu. Ich ogień zmiatał zdeptane pola niczym złośliwy miotła. Daleko w przodzie widział nerwowe ruchy rezerwy Rokasa.

Zdziesiątkowani przy brodach Straznicy posuwali się nieubłaganie w stronę rejonu, gdyż nie wiedzieli, że od strony flanki zbliża się do nich sześćdziesiąt tysięcy ludzi.

Nagle rozległy się gwizdki i Straz rzuciła się z rykiem do przodu, lecz Malagorczyści nie przerywali szyku. Cofali się pod osłoną ognia muszkietów krok po kroku w stronę rejonu. Tamman przyglądał im się z niepokojem.

Sean miał jeszcze do przebycia dziesięć kilometrów otwartej przestrzeni, zanim dotrze do brodów.

Wiści od Rokasa zaczęły docierać do celu i Zastępy zadrzały z trwogi. Nagle

pojawienie się zagrożenia od strony "bezpiecznej" flanki i rzez przy brodach budziły przerażenie. Ich wrogowie służyli piekielnym siłom – czyżby dlatego udał im się ten niesamowity manewr?

Ale nie mieli czasu myśleć o takich rzeczach, gdy zbliżał się do nich wrog. Trzeba było ciągnięte przez nioharqi lawety przenosić na kolejne pozycje, a żołnierzy na nowo ustawiać w szyku; szyk był niepewny, ale jednak był, i Rokas pozwolił sobie mieć słabą nadzieję.

Sean przyglądał się, jak jego rozkazy biegła wzdłuż szeregów. Nie miał artylerii... ale też artylerzyści Strazy nie byli przyzwyczajeni do muszkietów, które mogły ich zabić z odległości osmiuset metrów.

Grupa wrogich muszkieterów próbowała ich powstrzymać w rozpaczliwym ataku – zginęło może stu ludzi Seana – ale później jego ostrzał rozerwał szeregi obrońców i nieublagane natarcie przetoczyło się po nich.

Walka wreszcie dotarła do reduct, gdzie pierwsi Straznicy zaczęli wpadać do rowów i ginąć na czekających na nich palach. Ich towarzysze szli jednak dalej po skrecających się w agonii ciałach, zbyt rozgorączkowani, by pojąć, co się dzieje.

Wreszcie muszkieterzy wystrzelili ostatnią salwę i zaczęli schodzić z umocnień, a na szanцах pojawili się pikinierzy i żołnierze z gizmami. Tamman wiedział, że powinien iść razem ze strzelcami, lecz Lornar nie był i musiał go zastąpić. Jego ludzie walczyli jak demony, ale wszystko zależało od ich morale, i gdyby się zawahali...

Jakis pikinier wskoczył na stertę trupów, żeby go zaatakować, a wtedy Tammana z wreszcie nieczłowiecką szybkością chwycił drzewce piki i szarpnął wzmocnionymi mięśniami, pociągając zaskoczonych Strazników do przodu.

Stal bojowa zasyczała i napastnik stracił głowę.

Dwie baterie dział zostały odprzodkowane i artylerzyści zaczęli gorączkowo ustawiać je na pozycjach, by powstrzymać ostrzał heretyków. Byli w odległości szesciuset kroków od wroga, a więc trzykrotnie dalej, niż wynosił skuteczny zasięg małogorów – a mimo to pociski ich zabiły.

Druga fala atakujących została odparta i teraz trzecia rzuciła się do przodu po stosach trupów. Mężczyzna obok Tammana padł z pika w brzuchu. Tamman rzucił się na zbrojce, przebił wąskim mieczem jego napiersnik i naplecznik i kopniakiem odrzucił ciało na bok. W tej samej chwili poczuł, jak w jego napiersnik uderza kula z muszkietu, ale pocisk odbił się od pancerza, pozostawiając na nienaruszonym imperialnym kompozycie jedynie plamę ołowiu, a Tamman rzucił się na dwóch kolejnych strażników. Widząc kątem oka, że linia obrońców po lewej stronie załamała się, wyrwał maczugę zza pasa martwego mężczyzny.

–Za mną! – ryknął i popędził w stronę wylomu, a żołnierze ruszyli za nim..

Żołnierze Seana przeszli po armatach i ciałach ich zalog, i wtedy na ich drodze pojawiły się pierwsze falangi pikinierów. Dudy zawyły z wściekłością, a nad tym hałasem rozległ się jego wzmocniony głos.

–Zatrzymać się!

Piętnaście tysięcy ludzi zatrzymało się jak jeden mąż.

–Pierwszy szereg ukleknąć!

Pięć tysięcy ludzi ukleknęło, unosząc muszkiety do ramion, gdy zagrzmiąły bębny i siedem albo osiem tysięcy strażników ruszyło do ataku z okrzykiem wojennym. Sean spokojnie ich obserwował.

Byli już w odległości dwustu metrów.

–Cel!

Zbliżyli się na odległość stu metrów. Siedemdziesięciu pięciu. Piecdziesięciu.

–Szeregiem ognia!

Nad kłęczącymi żołnierzami pojawiła się chmura dymu i pierwsze szeregi pikinierów padły. Szarża zaczęła zwalniać, a wtedy wystrzelił drugi szereg, zabijając jedną trzecią ocalałych strażników. Szarża zatrzymała się, a wtedy wystrzelił trzeci szereg!

Pozostali przy życiu pikinierzy rzucili broń i zaczęli uciekać.

Kapitan Ithun patrzył, jak jego ludzie cofają się, przerażeni i gotowi do ucieczki na widok strażnicy przeskakującej przez przedpiersie. I wtedy zobaczył lorda Tammana samotnie atakującego flankę wroga.

Postać w czarnej zbroi pojawiła się nagle wśród napastników z maczugą w jednej ręce, a wąskim mieczem w drugiej. Ci Straznicy, którzy do tej pory wątpili, by heretycy zawarli sojusz z demonami, teraz mieli na to dowód. Ludzie wokół lorda Tammana padali jak zboże, a wystrzelona w jego kierunku pika tylko zazgrzytała o metal, gdy jego niesamowity miecz przeciął grot.

–Dalej, Malagorczy! – wrzasnął Ithun, a jego ludzie poderwali się z rykiem i znów zaczęli się wspinać na umocnienia.

Już po wszystkim, pomyślał Rokas.

Linia ognia otoczona prochowym dymem przesuwiała się z północy, niszcząc wszystko na swojej drodze. Żadna armia na świecie nie mogła tak nacierać, nie mając ani jednej broni drzewcowej, lecz heretycy to robili, a jego ludzie nie chcieli z nimi walczyć.

Stał otepiały, patrząc, jak Zastępy rozpadają się, gdy żołnierze odrzucają broń i uciekają, ale nie mógł mieć im tego za złe. W tym bezlitosnym natarciu było coś strasznego – coś, co potwierdzało opowieści o demonach – i żadne egzorcyzmy Matki Kościoła nie mogły tego powstrzymać.

Adiutant szarpnął go, krzycząc coś o wycofaniu się, i Rokas obrócił się jak człowiek w transie. I wtedy poczuł w boku uderzenie ognistego młota.

Lord marszałek upadł na kolana i hałas wokół niego nagle ucichł. Przeturlał się na plecy, wpatrując się w spanikowanego adiutanta i zadymione niebo, a jego zamroczony umysł zastanawiał się, dlaczego wieczór nadszedł tak szybko.

Lecz to wcale nie był wieczór. To była noc.

Rozdział 29

Smród był nie do wytrzymania.

Jedenastu tysięcy Strazników zginęło. Dwadzieścia tysięcy rannych leżało w całej dolinie Keldark, jęcząc albo wrzeszcząc... lub czekając w milczeniu na śmierć. Następnymi trzydziestu albo czterdziestu tysięcy – liczenie jeszcze trwało – kulilo się pod bronią swoich wrogów.

Złosna, zdziesiątkowana jedna trzecia Świętych Zastępów uciekła, gdy zaczął zapadać zmrok.

To był horror. Sean stał obok szpitala polowego, obserwując chirurgów, i jedynie

implanty ratowały go przed zwiątowaniem. Pardałczycy mieli solidną wiedzę na temat anatomii i pewne pojęcie o sposobach unikania zakażeń, lecz teraz destylowany alkohol był ich jedynym środkiem znieczulającym i dezynfekującym. Nie było drużyn medyków, które mogłyby odbudować zniszczone kończyny, dlatego amputacja była jedynym wyjściem z sytuacji.

Sandy i Harry były w samym środku tego piekła. Brashan przysłał wszystkie leki, jakie były w izbie chorych Izraela, i teraz obie dziewczyny przechodziły między leżącymi rannymi, łagodząc ich cierpienia środkami przeciwbólowymi i lecząc imperialnymi antybiotykami o szerokim spektrum działania. Strażnicy, którzy je przeklinali i nazywali demonami, milkli, gdy patrzyli, jak leczą ich wrogów, jak setki ludzi, którzy powinni zginąć, nadal żyją.

Sean i Tibold także odwiedzili swoich rannych – na szczęście w porównaniu z liczbą rannych członków Zastępów było ich niewiele – a potem postanowili popatrzeć na pole bitwy, na którym grupy noszowych z pochodniami i latarniami szukali kolejnych ofiar. Sean zadrzał, myśleć o wyprawie w to plugawie miejsce, lecz mimo to wyprostował się i ruszył do przodu, przedzierając się przez ciągły strumień noszowych. Tibold w milczeniu podążył za nim.

Próbował nie myśleć, ale nie mógł przestać patrzeć... ani czuć smrodu. Odor krwi i zmiażdżonych ciał mieszał się z kloacznym smrodem rozszarpanych wnętrzności. Poza zasięgiem blasku pochodni widać już było krzaczek padlinozerców, a grozę tego widoku potęgował swoim słabym blaskiem mały księżyc Pardał.

Leżący tutaj ludzie szli z wrzaskiem do boju i padali, rozszarpani i okaleczeni, i to on zaplanował ten mord. Wiedział, że nie miał wyboru i że tylko cztery tysiące jego własnych ludzi zginęło lub było rannych, gdyż dobrze to wszystko obmyślił, lecz mimo to ten koszmar w blasku księżycy był ponad jego wytrzymałość.

Nogi ugięły się pod nim i upadł na kolana przed swoim porucznikiem, próbując coś powiedzieć, lecz cierpienie, wstyd i poczucie winy nie pozwoliły mu wykrztusić ani słowa.

Tibold ukląkł obok niego i jego twarda dłoń dotknęła policzka Seana. Potem był Strażnik wyciągnął drugą rękę i objął swojego generała kapitana.

–Wiem, chłopcze – wyszeptał. – Wiem. Ci głupcy, niech będa przekleci, którzy nazywają wojnę "wspaniałą" rzeczą, nigdy nie widzieli czegoś takiego.

–Ja... ja... – Sean z trudem łapał oddech, a kiedy Tibold przytulił go do piersi niczym kochankę albo dziecko, książe Sean Horus MacIntyre zapłakał na jego ramieniu.

Tamman siedział blisko ognia, i podczas gdy jego kapitanowie i adiutanci przychodzili i odchodzili, on wpatrywał się w blask ogniska, nie chcąc myśleć o tym, co się wydarzyło. Kolczuga na jego prawym ramieniu była sztywna od zaschłej krwi innego człowieka, a implanty pracownicy naprawiały poł tuzina jego pomniejszych ran. Nigdy w życiu nie był tak zmęczony.

Dragoni przyprowadzili kolejną grupę jenców; przybył też goniec z informacją od oddziałów, którym Sean rozkazał obserwować uciekających strażników. Goniec chciał dostać nioharqi, by zabrać kolejne poł tuzina porzuconych armat, i Tamman z wielkim trudem przypominał sobie, do kogo ma go odesłać. Potem kolejny goniec podjechał na zmęczonym brzośnie, by powiedzieć, że jego ludzie zebrali cztery tysiące jeharnów, i spytać, co ma z nimi zrobić. Kiedy już się tym zajął, zobaczył, jak Sean i Tibold wchodzi w krąg blasku ogniska.

Zebrani wokół ognia oficerowie wydali okrzyk radości i Sean skrzywił się, nim unosił dłoń, by nań odpowiedzieć. Twarz przyjaciela była jak żelazo, kiedy uściskali sobie ręce i usiedli, by razem wpatrywać się w ogień.

Stomald zamknął oczy kolejnym dwóm zmarłym i podniósł się z obolałych kolan. Pojmani kapłani i niżsi kapłani ze Świątyni nie chcieli mieć z nim nic wspólnego – pluli na niego i wyzywali go – lecz umierający żołnierze widzieli jedynie jego kapłańskie szaty i słyszeli pocieszający głos.

Przymknął oczy i wyszeptał modlitwę za zmarłych – zabitych po obu stronach, nie tylko za swoich. Pardał nie widział takiej rzezi, takiego miazdzącego zwycięstwa od stuleci, lecz w sercu Stomalda nie było radości. Owszem, wdzięczność, lecz nikt nie mógł patrzeć na takie cierpienia i radować się.

Poczuł dotykając go rękę i otworzył oczy. To była anioł Harry. Jej niebieskożółte szaty były splamione krwią, a twarz ściągnięta bólem, i patrzyła na niego z troską.

– Powinieneś odpocząć – powiedziała.

– Nie – wykrztusił z trudem. – Nie mogę.

– Kiedy ostatnio coś jadłeś?

– Kiedy jadłem? – Stomald zamrugał. – Chyba jadłem śniadanie – powiedział niepewnie.

– To było osiemnastdzieci godzin temu. – Jej głos brzmiał surowo. – Nikomu nie pomożesz, kiedy się przewrócisz. Idź coś zjeść.

Wzdrygnął się na te myśli, a ona posmutniała.

–Wiem, ale potrzebujesz...

Przerwała i rozejrzała się dookoła. Widząc anioła Sandy, powiedziała coś w swoim języku i wreczyła jej torbę z lekami.

–Chodź ze mną – zwróciła się znowu do kapłana. Chciał coś powiedzieć, ale anioł przerwała mu. – Nie kłóć się ze mną rozkazała i poprowadziła go w stronę kuchni polowej.

Znowu próbował zaprotestować, ale w końcu zrezygnowany oparł się na niej, a ona znowu coś wyszeptała w tym swoim dziwnym języku, uśmiechnęła się do niego – słabym, smutnym uśmiechem, który przyniósł mu ukojenie – i jeszcze mocniej go objęła.

Uczestnicy Wewnętrznego Kregu siedzieli w milczeniu, gdy wysoki kapłan Vroxhan odłożył na bok przekazaną przez semafor wiadomość, wsunął dłonie w rekawy szaty, chroniąc się przed chłodem, który nie miał nic wspólnego z zimną nocą, i spojrzał na nich. Nawet biskup Corada był blady, a Frenaur skulony.

Lord Rokas nie żył, a czterdzieści tysięcy Zastępów uciekło, przy czym mniej niż połowa z bronią. Raport Ortaka nie był zbyt szczegółowy, lecz jedno było jasne: Zastępy nie zostały pobite. Nie zostały rozproszone. Były całkowicie rozgromione.

–I tak to wygląda, bracia – powiedział Vroxhan. – Nie udało nam się zmiążyć herezji, a heretycy z pewnością wkrótce przeprowadzą kontratak. – Spojrzał na wysokiego kapitana – nie, lorda marszałka – Suraka, a mężczyznę, który właśnie został zwierzchnikiem Straży, odpowiedział mu ponurym spojrzeniem. – Czy sytuacja jest bardzo zła, lordzie marszałku?

Surak skrzywił się, słysząc swój nowy tytuł.

–Licząc razem z ocalałymi ludźmi Ortaka, w całej dolinie Keldark mamy zaledwie siedemdziesiąt tysięcy ludzi. Nie wiem jeszcze, ilu mają heretycy, ale oceniając po liczbie ofiar, musi ich być więcej. Wcześniej powiedziałbym, że nie mogą zgromadzić i uzbroić tak wielu ludzi, nawet z pomocą demonów, jednak teraz widac, że tak się właśnie stało. Już nakazałem wszystkim pikinierom w Keldark udać się do Ortaka, ale obawiam się, że oni mogą jedynie spowołnic marsz heretyków. Nie zatrzymają ich, jeśli tamci ruszą do ataku.

Rozległo się ciche westchnienie, lecz Vroxhan spojrzał surowo i wszyscy natychmiast ucichli.

–Za pozwoleniem waszej swiatobliwosci – mowil dalej Surak – rozkaze Ortakowi wycofac sie do Erastoru, dopoki nowi ludzie i bron do niego nie dotra. Jesli zdecyduje sie teraz stawic czola heretykom, z pewnoscia go pokonaja.

–Chwileczke – sprzeciwil sie Corada. – Czyz lord Rokas nie mowil, ze atakujacy potrzebuje dwa lub trzy razy wiecej sil niz obronca?

Surak spojrzal na Vroxhana, a ten skinieciem glowy kazal mu odpowiedziec.

–Mowil i mial racje, wasza laskawosc, ale nie wtedy, gdy jednej ze stron pomagaja demony.

–Czy sugerujesz, ze boska moc jest slabsza niz demoniczna?

Surak nie byl tchorzem, lecz na jego czole pojawil sie pot.

–Nie, wasza laskawosc – odparl ostroznie. – Mysle, iz jest jasne, ze demony pomogly heretykom, lecz dopoki nie dostane szczegolowego raportu Ortaka, nie bede wiedzial, w jaki sposob. Ale prosze sie zastanowic, wasza laskawosc. Nasi ludzie zostali pokonani – to slowo wykrzywilo jego wargi jak skwasniale wino – i wiedza o tym. Stracili duzo broni. Ortak moze miec ponad czterdziestci tysiecy ludzi, lecz zaledwie dwadziescia tysiecy jest uzbrojonych, a ich morale jest – musi byc – mocno oslabione. Heretycy zas zdobyli cala bron porzucona na polu walki, dzieki czemu zwiekszyli swoje pierwotne sily, i niezaleznie od demonow wiedza, ze zwyciezyli. Ich morale jest tak wzmocnione, jak nasze oslabione.

Przerwal i podniosl w gore obie rece.

–Jesli rozkaze Ortakowi stawic im czola, zrobi to, ale jestem pewien, ze zostanie zniszczony, wasza laskawosc. Musimy wycofac sie, wykorzystujac sily, ktore wciaz posiadamy, by spowolnic nadejście wroga, dopoki nie dostaniemy posilkow.

–Zgodnie z panska ocena, lordzie marszalku – odezwal sie Vroxhan – brakuje nam ludzi, by podjac teraz walke z heretykami. – Glos wysokiego kaplana byl stanowczy, lecz w glebi kryla sie niepewnosc.

–Owszem, wasza swiatobliwosc – odparl Surak – lecz sadze, ze jest ich wystarczajaco duzo, by utrzymac przynajmniej wschod doliny Keldark. Najchetniej wlasnie tak bym zrobil i rozpoczel nowa ofensywe od zachodu, gdyby nasze sily w Cherist i Thirganie byly wystarczajace. Niestety nie sa, wiec musimy walczyć z nimi tutaj. Rozumiem, ze pragnieniem Wewnetrznego Kregu bylo pokonanie ich wylacznie naszymi wlasnymi oddzialami, wasza swiatobliwosc, lecz to tez nie jest juz mozliwe. Nasza glowna armia polowa zostala praktycznie zniszczona, nie tylko pokonana, i obawiam sie, ze musimy wezwac na pomoc swieckie armie. Jesli wszyscy zjednocza sie pod sztandarami Swiatyni, moze uda nam sie utrzymac heretykow w gorach

dopoty, dopoki nasze wojska sie nie zbiora. Z tego wlasnie powodu Ortak musi dostac rozkaz opozniania marszu wroga.

–Rozumiem. – Vroxhan westchnal. – Dobrze, lordzie marszalku, niech bedzie tak, jak pan radzi. Prosze wydac rozkazy, a Krag wezwie ksiazat. – Surak pochylil sie, by ucalowac rabeek szaty wysokiego kaplana, i oddalil sie. Po jego szybkich krokach widac bylo, ze sprawa jest bardzo naglaca.

Vroxhan znow rozejrzal sie dookola.

–Jesli zas chodzi o nas, bracia, prosze, byscie dolaczyli do nas w Sanktuarium, gdzie pomodlimy sie o wybawienie od bezboznikow.

Rozdzial 30

Sean MacIntyre spogladal razem z Sandy na wypukla mape i krzywil sie, a Tibold wraz z tuzinem innych oficerow przygladali im sie z szacunkiem.

Bitwa o Yortown odbyla sie przed miejscowym pieciodniem. Armia Aniolow przebyla w tym czasie sto trzydziesci kilometrow, lecz teraz mieli przed soba solidnie okopane stanowisko wysokiego kapitana Ortaka i Sean w zaden sposob nie wiedzial, jak maje obejsc. W koncu doszedl do tego, o czym Tibold mowil od samego poczatku: musza przejsc przez sam srodek stanowiska, i dlatego wlasnie sie krzywil.

Armia Seana miala ogromna przewage w walce na otwartej przestrzeni. W Yortown zdobyli miedzy innymi dwadziescia szesc tysiecy joharnow – wystarczajaco duzo, by zmienic piecdziesiat osiem tysiecy ludzi w muszkieterow i do tego poslac jeszcze kilkanascie tysiecy silom pilnujacym na zachodzie przeleczy Thirgan – a Brashan przeniosl Izrael w gory nad Yortown, by skrociec czas lotu kutrow na statek. Wymyslone przez Narhanina moduly zwiekszyly predkosc modyfikacji strzelb – z tulejami na bagnet – do czterdziestu pieciu setek w ciagu jednej nocy, a w dzien malagorscy kowale dodawali kolejny tysiac, gdyz anioły nauczyly ich gwintowania. Niestety ponad polowe armii Seana stanowili pikinierzy, ktorzy wciaz jeszcze uczyli sie, z ktorego konca wylatuje kula.

Mimo to jego oddzialy byly szybsze i mialy nieporownywalnie wieksza sile ognia niz jakakolwiek pardalska armia. Nowe strzelby, ktore stworzyli razem z Tiboldem, mogly zabijac z odleglosci piec albo szesc razy wiekszej niz standardowe strzelby gladkolufowe, a brak broni drzewcowej znacznie zwiekszal ruchliwosc piechoty (nawet najlepsi pikinierzy byli malo sprawni, gdy trzymali w rekach pieciometrowe piki) i pozwalal im zataczac kregi wokol powolnych falang Strazy. W polaczeniu z wieksza szybkostrzelnoscia Armia Aniolow mogla w walce w ruchu rozbic cztery do pieciu razy wieksze sily.

Tymczasem wysoki kapitan Ortak mial spore rezerwy artylerii – lord marszalek

Rokas zostawił dużą część armat razem ze swoją tylną strażą – i nowe posiłki, dzięki czemu miał prawie czterdziestoprocentową przewagę liczebną nad żołnierzami Seana, ale co z tego, skoro mniej niż połowa jego armii liczącej około osiemdziesięciu tysięcy ludzi była uzbrojona. Ci, którzy nie mieli żadnej broni, zostali zatrudnieni do kopania umocnień, które zamykały dolinę Keldark na północ od Mortan i spoza których Ortak najwyraźniej nie miał zamiaru wystawić nosa. Żadna armia nie mogła ich też obejść – rzeka Mortan była nie do przebycia przez ponad dziewięćdziesiąt kilometrów w górę i w dół biegu od Erastoru, a teren na południe od rzeki był tak bagnisty, że nawet nioharqi nie przeciągnęłyby tamtejszy artylerii czy wozów.

Pod wieloma względami Erastor był lepszym stanowiskiem obronnym niż Yortown, i Sean wraz z Tiboldem myśleli o tym, by właśnie tam spotkać się z Rokasem, ale w końcu wybrali Yortown, gdyż tamtejsze okolice nadawały się do przygotowania zasadki. Między Grania Erastor a rzeka nie było otwartych przestrzeni, co sprawiało, że przeciwnik mający przewagę liczebną – albo bardziej mobilny – nie mógł zaatakować od flanki. Musiał atakować od czoła, i gdyby Ortak odmówił wyjścia zza umocnień, Sean musiałby pójść do niego. Ale duch bojowy Straży był osłabiony po tym, co się wydarzyło pod Yortown, zaś wola walki Armii Aniołów wzrosła, dlatego Sean był pewien, że jego oddziały mogą zdobyć Erastor. Przerazał go jedynie koszt tej operacji.

Wpatrywał się w mapę i po raz kolejny złościł sam na siebie, że nie wyruszył szybciej. Przebycie odległości, którą pardalska armia mogła pokonać w trzy dni, jeśli bardzo się postarała, zajęło im pięć dni. Gdyby bardziej naciskał na rozgromione Zastepy, mogłoby wyrzucić Ortaka z Erastoru, zanim zdążyłby się okopać, a powtarzanie sobie, że jego oddziały były wyczerpane po walkach o Yortown, niczego nie zmieniało. Powinien był wyruszyć w drogę następnego ranka, niezależnie od ich zmeczenia, a nie marnować całe dwa dni na grzebanie zabitych i zbieranie porzuconej broni Zastepów.

Chciał również przekląć Tibolda, że mu na to pozwolił, lecz byłoby to niesprawiedliwe. Były Straznik wywodził się z pardalskiej wojskowej tradycji, według której wojny toczono o terytorium. Starano się unikać otwartych bitew, a kampanie polegały na następujących po sobie drobnych natarciach i kontrnatarciach, potyczkach oraz obleganiu ważnych fortec. Napoleńska doktryna podążania za pokonanym wrogiem aż do jego całkowitego rozbicia była obca miejscowej myśli wojskowej, choć nie powinna być, biorąc pod uwagę mobilność, jaką zapewniały nioharqi. Normalnie miażdżące zwycięstwo w rodzaju Yortown błyskawicznie zakończyłoby większość wojen, zmuszając pokonaną stronę do błagania o rozejm. Ale nie tym razem. Wysoki kapłan Vroxhan i Wewnętrzny Krag nie mieli pojęcia, jakie są cele Seana i jego przyjaciół, lecz zdawali sobie sprawę, że walczą o przetrwanie. Sądził także, że walczą o swoje dusze, dlatego nie mogło być mowy o rozejmie. Musieli całkowicie rozbić heretyków i dlatego w ciągu najbliższych dwóch, najwyżej

trzech tygodni miały wmaszerować do Erastoru tysiące nowych wojsk. Sean musiał więc zniszczyć Erastor, zanim przybędą posiłki, i drzał namysł, jakie straty poniosą jego ludzie tylko dlatego, że on spieprzył sprawę.

Kolejny raz spojrzął z wściekłością na mapę. Rozum podpowiadał mu, że nie zawsze istnieje sprytne wyjście z sytuacji, lecz Sean był młody – o całe stulecia starszy niż przed Yortown, lecz wciąż młody – i wierzył, że musi być jakieś rozwiązanie, jeśli tylko będzie wystarczająco bystry, by je zauważyć.

Ktoś dotknął jego łokcia, więc odwrócił się. To była Sandy. Już nie była tak udrecona jak pierwszej nocy po bitwie o Yortown, lecz ta rzeź pozostawiła w niej, podobnie jak w pozostałych, wyraźny ślad. Jej oczy znów błyszczały, lecz nie było w nich już tyle zuchwalości, za to była świadomość straszliwej ceny, jakiej życie może od nich żądać. Teraz patrzyła na niego uważnie, pytająco.

– Nie widzę żadnego rozwiązania – powiedział po angielsku i westchnął. – Maja zbyt mocną blokadę i to wszystko moja cholerna wina.

– Cicho! – odpowiedziała również po angielsku, sciskając mocniej jego łokieć. – Wszyscy przechodzimy praktyczną naukę zawodu i nie ma potrzeby, żebyś sam siebie obwiniał o rzeczy, których nie możesz zmienić. Wydaje mi się, że niezłe sobie poradziłeś pod Yortown, a teraz masz dużo większe możliwości.

– Na pewno. – Próbował ukryć gorycz w swoim głosie. Jego oficerowie nie rozumieli po angielsku, ale z pewnością wyczuwali jego emocje i nie chciał ich pozbawić pewności siebie. – Niestety – mówił dalej już spokojniejszym tonem – ci zli goście też mają większe możliwości. Nie chodzi o ich liczbę, ale o pozycję. – Wskazał na piętnaście kilometrów umocnień łączących kamienistą Gran Erastor z rzeką. – Zaskoczyliśmy Rokasa, robiąc coś, co wedle jego wiedzy było niemożliwe, lecz Ortak ma lepsze pojęcie o naszych możliwościach i okopał się, żeby zmniejszyć naszą przewagę. Możemy ich tylko frontalnie zaatakować, ale stracimy wtedy tysiące ludzi, a ja nie jestem przekonany, że warto, tylko po to, żebyśmy mogli dorwać jakiś komputer!

– Nie chodzi tylko o to, żebyśmy dostali się do komputera! – powiedziała ostro, po czym złagodziała ton, widząc zaskoczone miny oficerów. – Przecież wiesz, że chodzi o życie i śmierć tych wszystkich ludzi.

– Tak? A czyja to wina? – warknął.

– Nasza – odpowiedziała bez wahania. – Moja, jeśli chcesz być dokładny, lecz wpakowaliśmy się w to przypadkiem, a nie celowo. Ale skoro to wszystko zaczęliśmy, teraz musimy skończyć.

Sean przymknął oczy. Wiedział, że Sandy ma rację, gdyż wystarczająco często o

tym rozmawiali, i mówienie jeszcze raz niczego nie zmieni. Poza tym lubił Malagorczyków i nawet gdyby nie czuł się odpowiedzialny za ich problemy, i tak chciałby im pomóc.

–Wiem – powiedział w końcu i uśmiechnął się krzywo, po czym poklepał jej dłoń. – To nie jest bardziej twoja wina niż moja, Tammana, Brashana... czy nawet Harry. Po prostu chodzi o świadomość, jak wielu z nich zginie tylko dlatego, że ich nie pogonilem. – Zaczęła otwierać usta, lecz on potrząsnął głową. – Owszem, masz rację. Ludzie popełniają błędy, kiedy się ucza. Żałuję tylko, że przez moje błędy giną ludzie.

–Nie możesz dać z siebie więcej, niż masz. – Jej głos był tak łagodny, że zapragnął wziąć ją w ramiona, lecz Bog jeden wie, jak zareagowałoby oficerowie, gdyby zaczął na ich oczach obsciskiwac się z aniołem.

Poczuł, że na te myśli się uśmiecha, więc znowu spłótł ręce za plecami i zaczął powoli spacerować wokół stołu, przyglądając się mapie ze wszystkich stron. Gdyby tylko mógł wykorzystać swoją manewrowość! Prawdziwa siła pozycji Ortaka była jej wielkością. Front miał piętnaście kilometrów długości – a nawet więcej, biorąc pod uwagę klify w umocnieniach – tak więc na każdy kilometr przypadły zaledwie dwa tysiące jego żołnierzy, i to pod warunkiem, że nie zachowałby żadnej rezerwy. Oczywiście miał jeszcze trzydziestu czy czterdziestu tysięcy ludzi, których mógł posyłać po brzoza zabitych towarzyszy, lecz to wszystko było za mało. Gdyby udało mu się przerwać front i dostać się za umocnienia, miałby ich jak na tacy. Ale w żaden sposób nie mógł...

Zatrzymał się gwałtownie i znowu przez kilka chwil wpatrywał się w mapę. W końcu na jego twarzy pojawił się uśmiech.

–Seanie? Seanie? – Sandy musiała zawołać go dwa razy, zanim odwrócił do niej głowę. – O co chodzi? – spytała, a wtedy jego uśmiech stał się bardziej drapieżny.

–Złe do tego wszystkiego podszedłem – powiedział. – Myślałem o tym, że Ortak nas zastopował, a tymczasem powinienem był pomyśleć, że on sam zamknął siebie w pułapce.

–W pułapce? – powtórzyła, ale on już wezwał Tibolda do mapy.

–Czy piechota może przejść przez te bagna? – spytał po pardalsku, i tym razem to były Straznik wbił wzrok w mapę.

–Pikiniery nie mogą – stwierdził po chwili – lecz może udałoby ci się przeprowadzić muszkieterów. – Przechylił głowę, porównując idealnie dokładną mapę dostarczoną przez anioły z wszystkimi, które widział wcześniej, po czym postukał ciepłym zakńczonym palcem wskazującym w południowy skraj bagna. – Zawsze sądziłem, że bagna sięgają aż do południowej krawędzi doliny – powiedział powoli. –

Prawdopodobnie moglibysmy przeprowadzic kolumne przez ten waski odcinek w ciagu... no, dziesieciu albo dwunastu godzin. Ale nie razem z armatami i pikami, lordzie Seanie. Wieksza czesc tego bagna nie ma dna. Moze udaloby sie przeniesc pare chagorow, ale arlaki natychmiast zanurza sie az po osie. A jesli nawet przedostaniecie sie przez bagno, ziemia az do samej rzeki jest tak mielka, ze bedziecie musieli bardzo wolno sie poruszac.

–Czy Ortak moze sie spodziewac, ze sprobujemy czegos takiego? – Tibold pokrecil glowa.

–Ma te same mapy, ktore my mielismy, zanim ty i an... – Mezczyzna przerwal, gdy przypomnial sobie, jak bardzo lord Sean i anioły nie chcieli, by ich tak nazywano. Przez chwile czul, ze sie rumieni, a potem usmiechnal sie do swojego poteznego dowodcy. – Ma te same mapy, co my wczesniej. Poza tym zaden kapitan Strazy nawet nie pomyslalby o pozostawieniu w tyle swoich pik i armat.

–Mialem nadzieje, ze to powiesz – mruknal Sean i zaczal w myslach liczyc czas i odleglosci. Rzeka Mortan miala prawie trzy kilometry szerokosci i byla nie do przebycia powyzej i ponizej Erastoru, lecz mozna ja bylo przekroczyc w Malz, wiosce oddalonej o ponad dziewiecdziesiat kilometrow od miejsca, w ktorym wpadala do niej rzeka Erastor. Gdyby wycofal sie z powrotem na zachod, z dala od Ortaka, i zbudowal wystarczajaco duzo tratw... Albo moze jego inzynierowie mogliby zbudowac mosty? Przez chwile rozwalal te mysl, po czym potrzasnal glowa. Nie, to zajmie dwa albo trzy dni, a jesli wszystko ma sie udac, nie moze zmarnowac tylu dni.

–Dobrze, Tiboldzie – powiedzial. – Oto, co zrobimy. Po pierwsze...

Wysoki kapitan Ortak stal w centralnym punkcie swoich umocnien i spogladal na zachod. Mzawka zakrywala doline Keldark szara zaslona, ograniczajac jego pole widzenia, ale i tak wiedzial, co tam jest. Dziekowal w duchu swoim przeciwnikom za brak inicjatywy. Kazdy dzien, ktory mijal bez ataku, nie tylko poprawial morale jego umeczzonego wojska, ale tez przyblizal nadejscie rozpaczliwie potrzebnych posilkow.

Wytezal wzrok, probujac przyjrzec sie szczegolom umocnien, ktore postawili po drugiej stronie heretycy, i myslac o cenie zdobycia tej pozycji, gdy Swiete Zastepy w koncu zostana wzmocnione i rusza do ataku.

Zadrzal, i to nie tylko z powodu deszczu. Nie podobalo mu sie, ze ma rzeke za plecami, lecz na calej dlugosci Erastor byly liczne brody i w razie potrzeby bedzie mogl wycofac sie na drugi brzeg, choc zostalby wtedy zmuszony do porzucenia resztek wyposazenia, a poza tym to byl najlepsze – i prawdopodobnie jedyne – miejsce, w ktorym mogliby powstrzymac idaca z zachodu armie. Wcieleni do wojska

robotnicy budowali kolejne umocnienia na tyłach, w Bariconie, lecz to miejsce było najbardziej odpowiednie, aby zatrzymać heretyków i nie pozwolić im wejść do księstwa Keldark – bo gdyby udało im się tam przedostać, mieliby mnóstwo otwartych przestrzeni i stokrotnie większe możliwości manewru. Po tym, co zrobili z lordem marszałkiem Rokasem pod Yortown, taka perspektywa przyprawiała o dreszcz nawet najodważniejszych.

Otulił się płaszczem i zacisnął wargi. Lancuch semaforów przez Malagor został przecięty, ale semafony na wschód od niego wciąż działały. Depesze ze Świątyni nie były już tak niepokojące jak wcześniej. Straż całkowicie ogolociła garnizony we wschodnich księstwach i teraz w jego stronę zmierzało pięćdziesiąt tysięcy ludzi. Co ważniejsze, zaczęły przychodzić transporty broni. Otrzymał już osiem tysięcy pik i ponad pięć tysięcy joharnów, choć było to mniej, niżby chciał, szczególnie biorąc pod uwagę zdobycze heretyków pod Yortown. Jeśli raporty były zgodne z prawdą, heretycy jakimś cudem sprawili, że joharny i malagory miały zasięg gwintówek, a to wskazywało, że straty będą ogromne, nawet jeśli Straży uda się ponownie uzbroić wszystkich ludzi, choć nie powinno to mieć tak wielkiego znaczenia przy obronie umocnień, jak w walce na otwartej przestrzeni. W przyszłości będą musieli zastanowić się, w jaki sposób zrównoważyć siłę ognia heretyków, czy nie zwiększyć mocy broni palnej kosztem liczby pik, lecz na razie czuł się jak korek w butelce, którego heretycy najwyraźniej nie mieli ochoty wyjąć.

Westchnął i otrząsał się. Światło dogasało, a na niego czekało tyle papierkowej roboty, że zajmie mu to pół nocy. Dobrze, że przynajmniej jego kwatery w Erastorze jest lepsza niż namiot na polu, pomyślał i uśmiechnął się krzywo, po czym odwrócił się i zawołał branahlka.

Sean MacIntyre zsiadł z wierzchołka i starł krople deszczu z twarzy. Mogłoby wykorzystać implanty, by pozostać suchym, ale czuł, że byłoby to nie w porządku wobec żołnierzy (co pewnie było idiotyczne, lecz nie zmieniało jego odczuć). Uśmiechnął się do swoich myśli i podrapał branahlka po pysku, słuchając jego zadowolonego pogwizdywania. Próbował przy tym ukryć zaniepokojenie na widok mijającej go przemoczonej kolumny wojska.

Wszystko zajmowało im więcej czasu, niż zaplanował, a deszcz był silniejszy, niż przewidziały sondy meteorologiczne Izraela. Zimny front pływający doliną napotkał ciepły front z Sanku i Keldark, i najnowsza prognoza Brashana ostrzegła przed co najmniej dwudziestoma godzinami ulewnego deszczu, a prawdopodobnie również burzami. To sprawi, że ziemia jeszcze bardziej rozmięknie i marsz stanie się trudniejszy, jak również pogłębi brody w Malz, ale na szczęście nic nie wskazywało – albo jeszcze nie wskazywało – na to, że Mortan osiągnęła stan alarmowy.

Tibold podjechał do niego na swoim branahlku.

–Kapitan Juahl dotarł do miejsca rozbicia obozu, lordzie Seanie. – Ton jego głosu sprawił, że Sean unosił brew. Były Straznik westchnął. – Jest sazen pod woda, panie.

–Cudownie. – Sean zamknął oczy i odetchnął głęboko, po czym otworzył połączenie z kutrem Sandy. – Mamy problem – powiedział. – Miejsce naszego obozu jest pod woda.

–Niech to diabli. Zaczekaj chwile – odparła i uruchomiła czujniki, zła sama na siebie, że nie sprawdziła tego wcześniej. – Dobra. Przejdźcie jeszcze sześć kilometrów na południe, tam grunt jest trochę wyżej.

–A drewno na ognisko? – spytał z nadzieją.

–Raczej nie. – Sean westchnął.

–I tak dzięki. – Odwrócił się do Tibolda. – Powiedz Juahlowi, że znajdzie wyższy teren, jeśli będzie szedł jeszcze godzinę na południe.

–Natychmiast, lordzie Seanie. – Tibold nawet nie zapytał, skąd jego dowódca to wie, po prostu zawrócił branahlka i zniknął w mroku, a Sean oparł się o swojego wierzchowca i westchnął.

Wcale nie wiadomo, czyjego plan rzeczywiście jest tak sprytny, jak się wydawało. Oto dwadzieścia pięć tysięcy jego ludzi maszeruje przez błoto w stronę brodów, które teoretycznie powinny być do przebycia. Dni na Pardal były długie i przy dobrych drogach (a pardalskie drogi były takie, że rzymscy cesarze mogliby zzielenieć z zazdrości) i dobrej pogodzie piechota zazwyczaj przebywała pięćdziesiąt kilometrów dziennie. Ale maszerując w deszczu, choćby nawet przez równinę, pokonywali zaledwie trzydzieści kilometrów, a przecież jeszcze nie dotarli do bagien. Nawet dla kogoś z pełnymi bioulepszeniami nie była to przyjemna wycieczka, a dla pozostałych to był po prostu koszmar, ale mimo to ludzie, którzy maszerowali już trzy dni w deszczu i bez gorących posiłków, byli w całkiem niezłych humorach.

Przejrzał w myślach ostatnie raporty z sond. Ortak dostał nową bron, ale posiłki znajdowały się co najmniej dwanaście dni drogi od jego pozycji. Zakładając, że jego ludzie będą szli wolniej, powinni znaleźć się na północ od Mortan za kolejne cztery dni. Juczne nioharqi, które im towarzyszą, będą musiały zostać odesłane, gdy dotrą do bagien. Od tego miejsca piechota Seana będzie musiała nieść wszystkie zapasy – w tym amunicję – na własnych grzbietach, co oznacza, że jedzenia starczy im najwyżej na tydzień. Na dodatek jeśli plan zaskoczenia Ortaka nie zadziała, dwadzieścia pięć tysięcy głodujących ludzi znajdzie się pomiędzy Erastor a posiłkami Strazy.

Na szczescie Ortak uwazal, ze teren na poludnie od rzeki jest nie do przebycia, i mial zbyt malo zbrojnych, by odciagac ich od budowania umocnien, dlatego wystawil wartę tylko na wschod od Erastoru i tylko w poblizu mostow. Sean byl ze swoimi oddzialami zaledwie piecdziesiat kilometrow w linii prostej od pozycji Ortaka i trudno mu bylo sobie wyobrazic, ze wysoki kapitan nie podejrzewa, co sie swieci, jednak rozlokowanie wojsk przeciwnika i raporty z sond Sandy potwierdzaly, ze tak wlasnie jest.

Ta mysl sprawila, ze Sean rozesmial sie. Choc jego oddzialy byly w zalosnym stanie, dysponowaly najbardziej mordercza bronia znana ludzkosci – zaskoczeniem. I jesli nawet wszystko sie spieprzy, to przynajmniej nie dlatego, ze Straz ich zaskoczyla.

Jeszcze raz podrapal branahlka, po czym wskoczyl na siodlo i potruchtal na przod kolumny.

Ojciec Stomald wszedl do namiotu dowodzenia i zatrzymal sie. Aniol Harry stala samotnie, wpatrujac siew mape, nieswiadoma jego obecności.

Mlody kaplan zawahal sie. Z jednej strony nie chcial jej przeszkadzac, z drugiej jednak mial ochote podejsc blizej. Wiedzial, ze anioły nie potrzebują pocieszenia smiertelnika, jednak musial przyznac ze wstydem, ze coraz mniej myslal o niej tak, jak powinien.

Obowiazki aniol Harry sprawialy, ze niemal przez caly czas miala kontakt ze Stomaldem. Wojna, w ktora wszyscy zostali wciagnieci, byla problemem lorda Seana i lorda Tammana, lecz pielegnowanie ofiar bylo obowiazkiem Stomalda. On to wszystko zaczal, niezaleznie od intencji, i to on musi poniesc konsekwencje i troszczyc sie o ofiary. Jednak nie byl w tym sam, gdz tak jak lord Sean i lord Tamman mieli do pomocy Tibolda i aniol Sandy, tak Stomald mial aniol Harry. Zawsze byla przy nim, zawsze gotowa podtrzymac go, gdy sie potykal. I dlatego zaczal do niej czuc to, czego nie powinien – nie wolno mu bylo – czuc.

Jednak swiadomosc, czego nie wolno robic, a unikanie tego to dwie rozne rzeczy. Aniol Harry bardzo roznila sie od aniol Sandy. Aniol Sandy bardzo sie troszczyla o innych – ten, kto widzial jej twarz w noc po Yortown, nie mogl w to watpic – jednak miala w sobie dzikosc talmahka, ktorej brakowalo aniol Harry. Byla pokrewna dusza lorda Tammana – oboje odrzucali wszelkie watpliwosci niczym zbyt ciasne ubranie i ciagle mysleli o kolejnej bitwie, o kolejnym wyzwaniu. Tymczasem aniol Harry byla lagodniejsza, delikatniejsza. Przyciagala do siebie tych, ktorzy mieli problemy, gdz podobnie jak Stomald, wiedzieli, ze potrafi im wspolczuc. Tak wiec armia poszlaby za lordem Seanem, aniol Sandy albo lordem Tammanem chocby przeciwko silom

Piekiel, lecz to anioł Harry podbiła serca wszystkich.

Podobnie jak Stomalda, ale...

Kaplan westchnął; musiał w duchu przyznać, że jego miłość do anioła Harry jest czymś niewłaściwym, gdyż żaden człowiek nie powinien obdarzać posłańca Boga takim uczuciem.

Usłyszała jego ciche westchnienie i odwróciła się, a wtedy wstrząsnęty ujrzał Izę w jej zdrowym oku. Zanim przypomniał sobie, kim jest, wyciągnął do niej rękę.

I zamrł z wyciągniętej dłoni, wstrząsnęty własną zuchwalnością. Co on sobie właściwie myśli? Jest aniołem, nie tylko piękną młodą dziewczyną. Czyż nie nauczył się polegać na jej sile? Zwracać się do niej po pocieszenie, kiedy przytłaczały go zniechęcenie i smutek z powodu śmierci tak wielu ludzi? Jak mógł się odważyć wyciągać rękę, by ją pocieszyć?

Lecz ona wcale nie była zła i jego serce wypełniła dziwnie bolesna radość, kiedy wzięła go za rękę, ścisnęła ją i znowu odwróciła głowę w stronę mapy. Stomald stał, trzymając ją za rękę, i czuł fale sprzecznych uczuć. Wydawało mu się, że to właściwe i naturalne, że tak z nią stoi, jakby to było odpowiednie dla niego miejsce, lecz poczucie winy burzyło jego zadowolenie. Był świadom jej urody, cudownego połączenia siły i łagodności, i pragnął – bardziej niż wszystkiego innego poza służeniem Bogu – by ta chwila trwała wiecznie.

–Co się dzieje? – spytał w końcu z troską w głosie.

–Po prostu... – Przerwała i lekko potrząsnęła głową. – Po prostu martwię się o Seana – powiedziała cicho. – Woda w rzece podnosi się, a oni są jeszcze tak daleko, no i ten stosunek sił, gdy już dotrą na miejsce... – Odetchnęła głęboko i spojrzała na niego ze słabym uśmiechem. – To głupio z mojej strony, prawda?

–Wcale nie głupio – zaprotestował. – To normalne, że się o niego martwisz.

–Może. – Wciąż trzymała go za rękę, podczas gdy druga dłoń wędrowała po trasie marszu lorda Seana. – Czasem czuję się taka winna, Stomaldzie. Winna, że martwię się o Seana bardziej niż o kogokolwiek innego, i winna, że spowodowałam to wszystko. Wiesz, że to moja wina.

Stomald skrzywił się i poczuł pogardę dla samego siebie: był zazdrosny o jej troskę o lorda Seana! Bezbożność jego myśli przeraziła go, więc szybko otrząsnął się z zaabsorbowania swoimi własnymi uczuciami.

–To nie twoja wina. To nasza wina, że wyciągnęliśmy po ciebie nasze niegodne ręce. – Zwiesił głowę. – To moja wina, pani, nie twoja.

–Nie, nieprawda! – powiedziała tak ostro, że poderwał głowę, przerażony jej gniewem. Wpatrzyła się w niego zdrowym okiem i gwałtownie potrząsnęła głową. – Nie myśl tak, Stomaldzie! Zrobiłeś to, czego uczył cię twój Kościół, no i... – Znowu przerwała, zagryzła wargę, po czym pokiwała głową. – No i dzieje się tutaj coś, o czym nie masz pojęcia – dodała z goryczą.

Stomald zamrugnął, znowu głęboko wzruszony jej gotowością przebaczenia człowiekowi, który omal nie spalił jej żywcem. Jest aniołem i to rozumiał, że anioły wiedzą o rzeczach, o których ludzie nie mogą mieć pojęcia – jednak jej głos sugerował, że nie tylko o to chodzi. Poczul zmieszanie, więc powiedział pierwszą lepszą rzecz, jaka przyszła mu na myśl.

–Bardzo się troszczysz o lorda Seana, prawda, pani? – spytał i w tej samej chwili omal nie odgryzł sobie języka. To pytanie było zbyt bliskie jego zakazanych pragnień i oczekiwał jej gniewu, lecz ona tylko pokiwała głową.

–Tak – odpowiedziała cicho. – Troszcze się o nich wszystkich, ale szczególnie o Seana.

–Rozumiem – powiedział, i ból w jego głosie zdradził go. Odwrócił się, by uciec, ale jej palce zacisnęły się na jego dłoni – mocniejsze niż stal, lecz mimo to delikatne – i wbrew własnej woli spojrzał jej w oczy.

–Stomaldzie, ja... – Przerwała, po czym potrząsnęła głową i zaczęła mówić do siebie, w swoim własnym języku, w którym zwracała się do anioła Sandy i obu lordów.

Kapłan nie rozumiał słów, ale serce zabiło mu mocniej, gdy pociągnęła go w stronę stolika. Usiadł, jak zawsze czując się źle, gdy siedział w jej obecności, a ona odetchnęła bardzo głęboko.

–Bardzo troszcze się o Seana – powiedziała – bo jest moim bratem.

–Twoim... – Stomald wpatrywał się w nią z otwartymi ustami, próbując zrozumieć, lecz jego umysł odmawiał współpracy. Lord Sean jest śmiertelnikiem, choć dotkniętym przez Boga, a jeśli jest jej bratem, jeśli śmiertelna krew może się mieszać z anielską, to...

–Nadszedł czas, byś poznał prawdę.

–Pra... Prawdę? – powtórzył, a ona pokiwała głową.

–Nie bez powodu wraz z Sandy upieraliśmy się, byście nic nie traktowali nas jak aniołów, Stomaldzie. Widzisz, my nie jesteśmy aniołami.

–Nie jesteście – powtórzył tępo. – Nie jesteście... Kim nie jesteście, pani?

–Aniolami. – Wpatrywała się w niego łagodnie, jakby obawiała się jego reakcji, a on mógł tylko się na nią gapić. Nie są aniolami? Ależ to... niedorzeczne! Oczywiście, że są aniolami! To powód, dla którego Matka Kościół wywołała przeciwko nim Świętą Wojnę! Muszą być aniolami!

–Ależ... – Jego głos drżał, a on sam kulil się, jakby stał na lodowatym wietrze. – Ależ jesteście aniolami. Cuda, jakie uczyniliście, by nas uratować, twoja szata, rzeczy, które lord Sean i lord Tamman robią na wasze polecenie...

–To wcale nie są cuda – powiedziała cicho. – Och, jak mam sprawić, byś zrozumiał? – Odwróciła się od niego, splatając ramiona na piersi. – My... możemy zrobić wiele rzeczy, których wy nie potraficie, lecz jesteśmy śmiertelni, Stomaldzie. Wszyscy. Po prostu mamy narzędzia i umiejętności, których wy nie macie, lecz gdybyście mieli te narzędzia, moglibyście zrobić to samo co my, a nawet jeszcze więcej.

–Jestes... śmiertelna? – wyszeptał i nagle poczuł radość.

–Tak. Wybacz mi, proszę. Nigdy nie chciałam ci oszukać, nigdy nie miałam zamiaru... – Przerwała i jej ramiona zadrzęły, a Stomald poczuł ukłucie w sercu, gdy zrozumiał, że kobieta płacze. – Nigdy nie chcieliśmy, żeby to wszystko się wydarzyło, Stomaldzie. – Jej piękny głos był zduszony. – My tylko... My tylko chcieliśmy wrócić do domu, ale ja wpadłam na Tibolda, a on mnie postrzelił i sciągnął do Konca Grani, i tak to wszystko...

Potrzaskała gwałtownie głową i znowu odwróciła się w jego stronę.

–Proszę, Stomaldzie. Proszę, uwierz, że nigdy, przenigdy nie chcieliśmy nikogo skrzywdzić. Ani ciebie, ani twoich ludzi, ani nawet Wewnętrzny Kregu. To się po prostu... stało, a my nie mogliśmy pozwolić, żeby Kościół zniszczył was za coś, co my sami spowodowaliśmy!

–Chcieliscie wrócić do domu? – Stomald podniósł się ze stolka i stanął przed nią, wpatrując się w jej zalaną łzami twarz. Harry pokiwała głową. – Do domu? Dokąd?

–Tam. – Wskazała na niebo i przez krótką chwilę kapłana ogarnęła straszliwa groza. Gwiazdy! Pochodzi z gwiazd, a Pismo mówi, że tylko demony, które zrzuciły człowieka z niebios...

Poczuł panikę. Czy właśnie zrobił to, o co oskarżył go Wewnętrzny Krag? Czy sprzymierzył się z większymi demonami, które pragną tylko zniszczenia wszystkich bożych dzieł?

Ale nagle, tak szybko, jak się pojawiło, przerażenie znikło. To szalenstwo. Kimkolwiek jest anioł Harry, na pewno nie jest demonem. Za bardzo cierpiała na widok rannych i umierających, zbyt wiele miała w sobie współczucia i łagodności, by

mogl w to uwierzyc. No i samo Pismo mowi, ze zaden demon nie moze mowic swietym jezykiem, a przeciez ona kazdego dnia zwraca sie do niego w tym jezyku! Przez cale zycie Stomalda uczono o nienaruszalnosci Pisma, a tymczasem teraz musi stawic czola bardziej straszliwej prawdzie niz mozliwosc, ze ona jest demonem. Jesli bowiem przybyla z gwiazd, wedlug Pisma musi byc demonem, a jednak Pismo udowadnia rowniez, ze nie moze nim byc.

Poczul, jak kamien wegielny jego zycia porusza sie pod jego stopami niczym zdradziecki mokry piasek, i przepelnil go strach. Lecz w chwili, gdy strach zagrozil, ze go zatopi, Stomald chwycil sie wiary w aniol Harry. Niezaleznie od tego, czy jest aniolem, czy nie, ufa jej. Wiecej niz ufa, przyznal w glebi duszy. On ja kocha.

–Powiedz mi – poprosil. Zrobila krok do przodu, polozyla dlonie na jego ramionach i spojrzala mu w twarz, a Stomald poczul, ze pod delikatnym naciskiem jej palcow strach ustępuje.

–Dobrze. Powiem ci wszystko. Bedzie to trudne do zrozumienia, byc moze nawet niemozliwe" – przynajmniej na poczatku – ale przysiegam, ze to prawda, Stomaldzie. Czy zaufasz mi na tyle, by mi uwierzyc?

–Oczywiscie – odpowiedzial; absolutna pewnosc w jego glosie zaskoczyla nawet jego samego.

–Dziekuje – powiedziala cicho, po czym gleboko odetchnela. – Przede wszystkim musisz zrozumiec – zaczela juz bardziej ozywionym tonem – co sie wydarzylo... nie tylko na Pardał, ale takze tam – znow wskazala na dach namiotu – szesnascie tysiecy waszych lat temu.

Zajelo to cale godziny. Stomald nie liczył juz, ile razy jej przerywal, by prosic o pelniejsze wyjasnienia. Krecilo mu sie w glowie od jej opowiesci. Bylo to szalenstwo, cos nieprawdopodobnego, bluznierstwo zaprzeczajace temu wszystkiemu, czego go nauczono i co do tej pory bylo pewne, ale... wierzył w kazde jej slowo.

–...i tak to wyglada, Stomaldzie. Nigdy nie chcielismy nikogo skrzywdzic, nigdy nie chcielismy nikogo oszukac. Probowalismy wam powiedziec, ze Sandy i ja nie jestesmy aniolami, ale nikt z was nie chcial w to uwierzyc, a gdybysmy sie upieraly i zniszczyly wasza jednosc w chwili, gdy Kosciol zdecydowal sie was unicestwic z powodu czegos, co my zaczelismy... – Wzruszyła ramionami, a on powoli pokiwal glowa.

–Tak, rozumiem. – Potarl rekami uda, oblizal wargi i zmusil sie do usmiechu. – Zawsze zastanawialem sie, dlaczego ty i an... Sandy upieralyscie sie, zebysmy nie nazywali was aniolami.

–Czy... mozesz nam wybaczyć? – spytała cicho. – Nigdy nie chcialysmy obrazic waszych przekonan ani wykorzystac waszej wiary przeciwko wam. Naprawde.

–Wybaczyć wam? – Uśmiechnal sie juz bardziej naturalnie. – Tu nie ma nic do wybaczenia, pani. Prawda jest prawda, a jesli Pismo sie myli, to moze naprawde jestescie boskimi wyslancami. Z tego, co mowisz, wynika, ze ten swiat przez cale tysiaclecia byl gluchy na prawde i byl w strachu przed zlem, ktore nie istnieje, a Bog moze wyslac kogo zechce, zeby pokazac nam prawde!

–Czyli... nie jestes na nas zly?

–Zly, pani? Kiedy sprawy zaczely sie juz toczyc, ja i wszyscy ci, ktorzy za mna podazyli, zostalibysmy bez waszej pomocy zniszczeni przez Matke Kosciol. Jak moge byc na was zly za uratowanie moich ludzi? A jesli Pismo sie myli, to biskupi i wysocy kaplani tez musza to zaakceptowac. Nie, lady Harry. Nie mowie, ze wszyscy nasi ludzie uwierza w to, co mi powiedzialas, ale nadejdzie dzien, gdy poznaja prawde, a kiedy znnow beda mogli swobodnie wedrowac wsrod gwiazd, wolni od strachu przed demonami i potepieniem, nie beda juz na ciebie zli.

–Stomaldzie – powiedziala cicho – jestes wyjatkowym czlowiekiem.

–Jestem tylko wioskowym nizszym kaplanem. – Czul skrepowanie, a jednoczesnie radosc z blasku w jej zdrowym oku. – Przy tobie jestem jak niemadre dziecko bawiace sie w blocie na brzegu strumienia.

–Nie, nie jestes. Jedyna roznica miedzy nami polega na innym wyksztalceniu i dostepie do wiedzy, ktorego twój swiat ci odmowil. Gdybym byla na twoim miejscu, watpie, bym przyjela prawde w taki sposob jak ty.

–Przyjac prawde, pani? – Rozesmial sie. – Wciaz probuje uwierzyc, ze to nie jest sen!

–Nie jest – odpowiedziala z usmiechem – i dlatego ty jestes taki wyjatkowy. – Zamyslila sie na chwile. – Zawsze zastanawialam sie, jak sie czul tato, kiedy Dahak przedstawil mu prawde o ludzkiej historii. Teraz wiem, jak sie czul Dahak, kiedy mu to wyjasnial!

–Chcialbym kiedys poznac tego Dahaka.

–Poznasz go. Nie moge sie doczekac, kiedy zabiore cie do domu i przedstawie rowniez mamie i tacie!

–Zabierzesz... – Zamrugal, po czym zesztynial, gdy wyciagnela reke i dotknela jego twarzy twardymi jak stal, lecz delikatnymi palcami.

–Oczywiscie, Stomaldzie – powiedziala bardzo, bardzo cicho. – A jak myslisz, dlaczego chcialam ci powiedziec prawde?

Wpatrywal sie w nia z niedowierzaniem. Wtedy pochybila sie i pocalowala go.

Rozdzial 31

Tamman popijal parujaca herbate i patrzyl na obozowisko. Przewidziane przez Brashana burze przetoczyly sie nad dolina poprzedniego dnia i wszedzie bloto siegalo az do kostek. Pardalskie polowe urzadzenia sanitarne byly lepsze niz w wiekszosci armii z czasow przedindustrialnych – a on i Sean jeszcze je ulepszyli – dzieki czemu mimo czterdziestu czy piecdziesieciu tysiecy ludzi stloczonych w jednym obozie udalo sie zapobiec wybuchowi dyzenterii, lecz wszyscy byli przemoczeni i przygnebieni.

Przeciagnal sie i z radoscia uniosl twarz do porannego slonca. Deszczowe chmury ruszyly w glab doliny i poziom wod Mortan wciaz sie podnosil, lecz padajace na niego promienie sloneczne poprawialy jego nastroj, choc nadal martwil sie o Seana.

Uslyszal mlaskajace pod stopami bloto, a kiedy sie odwrocil sie, ujrzal Harriet i Stomalda. Wysoki kapitan Ithun wspominal, ze poprzedniej nocy kaplan i an... lady Harry spedzili wiele godzin w namiocie dowodzenia, i zastanawial sie, czemu Harry sama mu o tym nie powiedziala. Kiedy sie do niego zblizyli, zauwazyl delikatna zmiane ich zachowania.

–Tammanie. – Harriet skinela glowa, gdy dotknal napiersnika w gescie szacunku, ktorym wraz z Seanem zawsze ja witali, a on zaczal sie zastanawiac, co, u diabla, omawiala ze Stomaldem poprzedniej nocy. Chyba nie...

Pytanie musialo sie malowac na jego twarzy, gdyz spojrzala mu spokojnie w oczy i pokiwala glowa. Szybko rozejrzal sie wokol.

–Czy zostawilibyscie nas na chwile samych, Ithunie? – spytal.

–Oczywiscie, lordzie Tammanie. – Mezczyzna, ktory zostal jego zastepca po bitwie pod Yortown, skinal glowa i wezwal reszte sztabu. Kiedy oddalili sie od ogniska, Tamman odwrocil sie z powrotem do Harriet.

Przez chwile oboje milczeli, ale wyraz twarzy Stomalda potwierdzal jego najgorsze podejrzenia. On wie. Widzial to w jego zmeczonych oczach... i tym, ze stal tak blisko Harriet. Tamman czul, jak jego wargi wykrzywiaja sie w gorzkim usmiechu. Spodziewal sie tego juz od tygodni. Wcale nie oczekival, ze Harry na zawsze pozostanie jego miloscia, a poza tym zadne z nich nie bylo – nie, poprawil sie, zadne z nich nie bylo az do tej pory – gotowe ustatkowac sie tak jak Sean i Sandy. Ale mimo wszystko czul teraz bol. Nie mogl za to winic Stomalda. Kaplan byl dobrym

człowiekiem, nawet jeśli podczas pierwszego spotkania z Harry miał zamiar popełnić na niej mord, i miał w sobie tyle samo współczucia co Harry.

Ale to wszystko nie zmieniało faktu, że nawet nie omówiła z nim swojej decyzji! Nie zastanowiła się, jakie mogą być reperkusje tej małej rewelacji w samym środku Świętej Wojny! Na usta cisnęło mu się pół tuzina zjadliwych uwag, lecz odrzucił je, gdyż nie był pewien, jak wiele z nich ma swoje źródło w uzasadnionej trosce o ich bezpieczeństwo, a ile w zranionym męskim ego.

–Coż – powiedział w końcu po pardalsku – wygląda na to, że macie mi coś do powiedzenia.

–Lordzie Tammanie – zaczął Stomald, nim Harriet zdążyła się odezwać. – Wczorajszej nocy lady Harry powiedziała mi prawdę. – Tamman wpatrywał się w niego bez słowa, ale kapłan spoglądał na niego spokojnie. – Nie powiedziałem o tym nikomu innemu i nie mam zamiaru powiedzieć dopóty, dopóki Wewnętrzny Krag nie zostanie pokonany, a ty i twoi towarzysze nie zdobędziecie dostępu do tego... – zawahał się przy tym nieznanym słowie – komputera. – Tamman poczuł, jak jego mięśnie rozluźniają się. Najbardziej bał się niezłomnej uczciwości Stomalda; gdyby kapłan uznał, że załoga Izraela pogwałciła zasady jego religii, mogłoby dojść do katastrofy.

–Rozumiem – odparł i zacisnął wargi. – Czy mogę zapytać dlaczego, ojczcze?

–Ponieważ lady Sandy miała rację. Jesteśmy uwikłani w wojnę, i jeśli ja się mylilem, sądząc, że lady Harry i lady Sandy są aniołami, to Wewnętrzny Krag jeszcze bardziej się mylił w kwestiach swojej wiary. Nadejdzie czas, by to wszystko wyjaśnić, kiedy Straż nie będzie już próbowała nas zabić, panie.

Kapłan uśmiechnął się krzywo, a Tamman odpowiedział mu uśmiechem. Niech go diabli, jeśli sam potrafiłby z takim spokojem jak Stomald przyjąć fakt, że oto jego własny światopogląd właśnie się zawalił!

–Jednocześnie, panie – mówił dalej kapłan z pewnym wahaniem – lady Harry powiedziała mi o waszym związku. – Tamman zeszytniał. Choć seks przedmałzenski nie był na Pardal śmiertelnym grzechem, Kościół odnosił się do niego z dezaprobatą, lecz Stomald mówił jak niesmiały młody mężczyzna, a nie zagniewany kapłan.

–Tak? – spytał najuprzejmiej jak mógł.

–Panie. – Stomald spojrzał mu prosto w oczy. – Kocham lady Harry z całego serca. Wiem, że nie jestem jej godzien... – Harriet mruknęła coś, lecz on nadal patrzył Tammanowi w oczy – ale kocham ją, a ona kocha mnie. Ja... nie chce, żebyś sądził, że ktoreś z nas ci zdradziło lub próbowało oszukać.

Tamman patrzył na niego kilka chwil, walczyć z uczuciami. Oboje z Harry wiedzieli, że ich bliskość była wymuszona warunkami na łodzi ratunkowej, i miał świadomość, że któregoś dnia to wszystko się skończy, lecz mimo to przez krótką chwilę straszliwie zazdrościł Seanowi i Sandy.

Otrząsnął się jednak i głęboko odetchnął.

–Rozumiem – powiedział, wyciągając rękę, a Stomald po krótkim wahaniu uścił ją. – Nie będę udawać, że dobrze się z tym czuję, Stomaldzie, ale przecież Harry nigdy nie była niczyją własnością. I choć trudno mi to powiedzieć, muszę przyznać, że jesteś całkiem przyzwoitym gościem. – Kapłan uśmiechnął się niepewnie, a Tamman zachichotał. – Nie mogę też udawać, że nie widziałem, co się święci – dodał weselszym tonem. – Oczywiście nie mogła ci powiedzieć, co do ciebie czuję, ale sposób, w jaki nam o tobie opowiadała...

–Tammanie! – zaprotestowała Harriet ze śmiechem. Stomald zarumienił się, po czym też się roześmiał.

–Obserwowała cię przez całe tygodnie jak kinokha polująca na shemaqa – dodał złośliwie Tamman i patrzył, jak tym razem oboje się rumienia. Zdziwiło go, że drażnienie się z Harriet sprawia mu prawdziwą radość nie zaprawioną gorczycą.

–Oj, grabisz sobie, Tammanie! – Dziewczyna pogroziła mu pięścią, a on znowu się roześmiał. Potem podeszła bliżej, objęła go i mocno przytuliła. – Ale jesteś całkiem przyzwoitym gościem – wyszeptala mu do ucha.

–Oczywiście, że tak. – On też ją objął i znowu spojrzał na Stomalda. – Nie potrzebujesz mojego błogosławieństwa, Stomaldzie, ale je masz. A gdybyś potrzebował druzby...

–Ja... – Stomald jeszcze bardziej się zarumienił i spojrzał błagalnie na Harriet.

–Sadze, że trochę za bardzo wybiegasz w przyszłość – powiedziała – lecz zakładając, że wszyscy wyjdziemy z tego w jednym kawałku i zawiozę go do mamy i taty, możemy skorzystać z twojej propozycji.

Cholera jasna!

Nikt nie rozumiał angielskiego przekleństwa, lecz oficerowie Seana doskonale pojęli, o co chodzi. Wszyscy byli od stop do głów pokryci warstwą błota, a on sam stał w zimnej, sięgającej mu do połowy uda wodzie, w której Pardalczyki brodzili aż po pas. Deszcz przestał padać, lecz powietrze było nieznośnie wilgotne i wokół ich głów latały stada pardalskich odpowiedników komarów. Teraz Sean prowadził kolumnę

wojska, ponieważ jego implanty pozwalały mu łatwiej wyszukiwać drogę przez bagno – albo raczej pozwoliłyby mu, gdyby była jakaś droga.

Odetchnął głęboko, zanim znowu otworzył usta.

–Musimy się wycofać – powiedział ponuro. – Dno przed nami opada, a po prawej stronie są ruchome piaski. Będziemy musieli skręcić dalej na północ.

Tibold nic nie powiedział, jedynie zacisnął wargi. Sean doskonale go rozumiał. Ich pierwotne plany zakładały przejście czoła kolumny przez bagno w ciągu dziesięciu do dwunastu godzin, a na razie minęło już ponad dwadzieścia, i to, co na mapie wydawało się względnie prostym, choć nieprzyjemnym zadaniem, w rzeczywistości okazało się czymś zupełnie innym. Oczywiście była to jego wina. Miał najlepsze na całej planecie możliwości przeprowadzenia rekonesansu i powinien był dokładniej sprawdzić ich marszrute. Gdyby to zrobił, wiedziałby, że u stop północnej ściany doliny wytryskują liczne podziemne źródła, a najważniejsza część bagna jest najtrudniejsza do przebycia. Jego głupie niedopatrzenie sprawiło, że cała armia ugrzęzła w samym środku trzesawiska.

–No dobrze – powiedział w końcu z westchnieniem. – Nigdzie nie dotrzemy, stojąc tutaj i gapiąc się w to błoto. – Przez kilka chwil przywoływał mapę, którą załadował do swoich implantów, po czym energicznie pokiwał głową. – Pamiętasz, gdzie zatrzymaliśmy się na południowy posilek?

–Tak, panie.

–To dobrze. Stamtąd prowadzi na północny wschód pas nieco bardziej pewnego gruntu. Jeśli w ogóle da się przejść przez to blocko, to tylko tamtędy. Zawróć kolumnę i zatrzymaj tam jej czoło. Kiedy ty będziesz to robić, ja sprawdzę, czy lady Sandy uda się znaleźć lepszą trasę niż mnie.

–Natychmiast, panie. – Tibold ruszył przez błoto na tył kolumny, zaś Sean uruchomił komunikator.

–Sandy? – spytał.

–Tak, Seanie? – Wyczuwał w jej głosie niepokój.

–Musimy się cofnąć, dzieciaku.

–Wiem, włączyłam sondę.

–W takim razie wiesz, dokąd się kierujemy. Jestem cholernym idiotą, że nie poprosiłem cie, żebyś wcześniej sprawdziła zaplanowaną trasę. – Westchnął. – Uruchom czujniki i zobacz, czy możesz nam wskazać drogę przez to blocko.

–Juz nad tym pracuje, ale nie widze zadnej szybkiej drogi.

–Jest az tak zle?

–Z tego, co widze, potrzeba jeszcze co najmniej poltora dnia – powiedziala slabym glosem, ktory zupełnie nie przypominal Sandy.

–No to pieknie. Po prostu, kurwa, pieknie! – W tym momencie uzmyslowil sobie, ze dziewczyna obserwuje go przez sonde. – Przepraszam – powiedzial ze skrucha. – Nie jestem wkurzony na ciebie, tylko na siebie. Nie ma zadnego usprawiedliwienia dla tak spieprzonej roboty.

–Ale nikt inny tez o tym nie pomyslal, Seanie – zwrocila mu uwage.

–Wcale nie czuje sie z tego powodu lepiej – warknal, po czym znowu westchnal. – Coz, przypuszczam, ze stanie w miejscu, wsciekanie sie i narzekanie wcale nie poprawia naszej sytuacji. Ruszajmy z calym tym bajzlem w droge!

Odwrocil sie i podazyl za Tiboldem, a wokol jego glowy caly czas krazyla chmara komarow.

Nawet prognozy Sandy okazaly sie zbyt optymistyczne. To, co Sean i Tibold wyobrazali sobie jako dwunastogodzinny manewr, zajelo im trzy dwudziestodzieciogodzinne pardalskie dni. Wyczerpana, przemoczona i zablocona kolumna piechoty wyszla wreszcie na grzaska ziemie na poludnie od bagna. Dzieki Bogu, ze Tibold odradzil im proby przeprowadzenia artylerii przez to blocko, pomyslal zmeczony Sean. Pieciuset dragonow stracilo jedna czwarta branahlkow i Bog jeden wie, co staloby sie z nioharqami. Gdyby mial wybor, wolalby przeprowadzac slonie Hannibala przez Alpy niz cokolwiek przez pardalskie bagna.

W tych warunkach zlagodzil zasade "zadnych cudow" i pozwolil, aby Sandy i Harry zaczely przenosic kutrami swieze jedzenie, by czekalo na przybycie wojska. Znalazlo sie nawet troche drewna na ogniska i kucharze natychmiast mogli zabrac sie do pracy.

–Seanie?

Odwrocil sie i usmiechnal, gdy Sandy wylonila sie z polmroku. Jego oficerowie i zolnierze rowniez ja zobaczyli i rozlegl sie cichy pomruk w podziece za przygotowany posilek. W przeciwienstwie do swego kochanka, wygladala nieskazitelnie. Nawet jej buty nie byly zablocone.

–Skad wiadomo, ze ona jest aniolem? – mruknal Sean. – Bo nie jest cala w gownie

tak jak my wszyscy!

–Bardzo zabawne. – Uśmiechnęła się, lecz jej oczy były smutne. Sean unosił brew.

–Posiłki ruszyły w drogę wcześniej, niż Ortak się spodziewał – powiedziała cicho po angielsku – i poruszają się szybciej, niż myśleliśmy. Dotra do Malz za cztery, pięć dni.

–Za... – Sean wpatrywał się w nią przez chwilę, po czym mocno zacisnął zęby. – A dlaczego ja słyszę o tym dopiero teraz?

–Nic by to nie pomogło, gdybys się tym zamartwiał, brodzac przez blocko – odparła cierpko. – Już i tak maszerowaliscie najszybciej, jak to możliwe.

–Ale... – zaczął ostro, lecz już po chwili mówił starannie opanowanym głosem. – Sandy, nigdy więcej niczego przede mną nie ukrywaj, dobrze? Być może nie mogłbym nic z tym zrobić, ale dopóki dowodzę, potrzebuje wszystkich informacji, jakie mamy, i to w chwili, kiedy je zdobędziemy. Rozumiesz?

Jej nozdrza rozdęły się gniewnie, lecz zaraz zagryzła dolną wargę i pokiwała głową.

–Rozumiem – odpowiedziała cicho. – Po prostu... – Spuściła wzrok i westchnęła. – Po prostu nie chciałam, żebyś się martwił, Seanie.

–Wiem. – Wziął ją za rękę i mocno scisnął. – Wiem – powtórzył łagodniej. – Ale teraz nie czas na to, jasne?

–Jasne. – Nagle jej brązowe oczy błysnęły. – Ale jeśli naprawdę chcesz wszystko wiedzieć, chyba powinnam ci także powiedzieć, co wymyśliła Harry.

–Co wymyśliła Harry? – Sean spojrzał na nią pytająco, po czym unosił dłoń, słysząc wołającego go Tibolda. Mężczyzna wskazywał na przygotowany posiłek, więc Sean zachęcił gestem pozostałych, by zaczęli jeść bez niego, a sam znowu odwrócił się do Sandy. – A coż to takiego – spytał przesadnie złowieszczym tonem – zrobiła moja okropna siostra bliźniaczka?

–Coż, w końcu niezłe wyszło, ale zdecydowała się powiedzieć Stomaldowi prawdę.

–Mój Boże, wystarczy, że spuszcze was na chwilę z oczu, a wy od razu pakujecie się w bagno!

–O nie! To ty wpakowałeś się w bagno! – Sandy rozesmiała się, widząc jego krzywą minę, lecz zaraz spoważniała. – Poza tym Harry ma usprawiedliwienie. Jest zakochana.

–Sadzisz, że nie domysliłem się już parę tygodni temu? Jak Tamman to znosi?

–Właściwie to całkiem niezłe – stwierdziła z szelmowskim uśmiechem. – Nie powiedziałabym, że już się z tym całkiem pogodził, ale słyszałam, jak parę malagorskich dziewczyn wzdychało, jaki to lord Tamman jest przystojny.

–Przystojny? Tam?! – Sean przechylił głowę i rozesmiał się. – Coż, w porównaniu ze mną pewnie tak. Masz na myśli, że on je... eee... do tego zachęca?

–Powiedzmy raczej, że ich nie zniechęca.

–W takim razie lepiej poinformuj mnie o wszystkim, zanim dołączę do pozostałych przy kolacji.

–Czemu? Mogę ci wszystko opowiedzieć, kiedy będziesz jadł. Oni nie rozumieją po angielsku.

–Wiem. – Sean wybrał względnie suche miejsce, rozłożył na nim swoje malagorskie poncho i zachęcił ją, żeby usiadła. – Moja droga, problem polega na tym, że nie mogę jeść, kiedy się śmieje. A teraz mów.

Rozdział 32

–Czy wszyscy znają swoje rozkazy?

Sean rozejrzał się po zgromadzonych w blasku popołudniowego słońca. Przez całe tygodnie razem z Tiboldem przekonywali oficerów, by zadawali pytania, jeśli czegoś nie rozumieją, jednak teraz wszyscy kapitanowie, jeden po drugim, poważnie kiwali głowami.

–To dobrze! – Zwinął mapę z udawaną dziarskością, po czym odwrócił się i spojrzał na północny wschód, na grupę dragonów rozstawionych wzdłuż linii natarcia. Za nimi widział wioskę, która powinna być opuszczona przez mieszkańców, lecz tak się nie stało.

Ostrzeżenie Sandy, że wciąż są w niej ludzie, nadeszło na czas – w każdym razie miał nadzieję, że wysłana do przodu kolumna dragonów pochwyti wszystkich wiesniaków, zanim dotrą do Malz.

Od dziewięciu dni maszerowali w stronę Erastoru. Zgodnie z pierwszymi obliczeniami powinni już znajdować się na tyłach Ortaka, a tymczasem nadal byli na południe od Mortan, pogoda znów się psuła, a awangarda posiłków Straży mogła dotrzeć do Malz w ciągu czterech dni. Jeśli ktorems z wiesniaków jednak uda się donieść o ich obecności, beda mieli potworne kłopoty.

No coz, sondy Sandy ostrzega ich, jesli zli goscie domysla sie, co sie szykuje. Ale to niestety zbytnio im nie pomoze, jesli przejdzie juz przez rzeka i utknie miedzy Ortakiem a posilkami wysokiego kapitana Terrahka.

Otrzasnal sie z tych mysli i skinal na oficerow.

–W takim razie ruszajmy – powiedzial.

Mimo niespodziewanych problemow z przebyciem bagna ludzie sa w doskonalym stanie, pomyslal Sean. Zmeczeni, lecz nie wyczerpani, a ich morale jest lepsze, niz mozna bylo oczekiwac. I dobrze, gdyz mieli do przebycia kolejnych dziesiec kilometrow, a Malz bylo czescia lancucha semaforow, ktory laczył Erastor ze wschodem. Kazda stacja semaforow byla wysoka budowla, z ktorej widac bylo caly teren w promieniu wielu kilometrow; w ten sposob stacja pelnila tez role straznicy. Lancuch semaforow musial zostac przerwany w ciemnosciach zanim wyslane zostana ostrzezenia, i to nie tylko wtedy, gdy Sean bedzie zdobywal Malz, ale takze wtedy, kiedy jego oddzialy wyrusza droga z Bariconu do Erastoru.

Wezwal swojego branhka i poklusowal w strone piechoty. Najchetniej osobiscie towarzyszyliby dragonom, lecz ich pilnowal zamaskowany kuter Sandy – dziewczyna powie mu gdyby cos poszlo nie tak – a on musial byc z glownymi silami, by moc natychmiast zareagowac na przeslane przez nia ostrzezenia.

Obrocil sie w siodle i patrzyl, jak kapitan Juahl prowadzi dragonow na wschod. Juahl jest dobrym czlowiekiem, pomyslal, i rozumie nasz plan. To musi wystarczyc.

Nadeszla prawie polnoc miejscowego czasu, kiedy strzelcy Seana dotarli do Malz. Wokol miasteczka palily sie ogniska a jego niezbyt imponujace mury patrolowali dragoni. W normalnych czasach zylo tutaj osiem tysiecy mieszkancow, ale populacja drastycznie sie zmniejszyla, gdy przez miasteczko przeszly Swiete Zastepy w drodze do Yortown – lecz mimo to pozostalo wystarczajaco duzo ludzi, by powstrzymac atak dragonow, a co gorsza, ostrzec Ortaka, co sie dzieje.

Podjechal goniec i zasalutowal.

–Kapitan Juahl przesyła raport, lordzie Seanie – powiedzial wyczerpany mlody oficer. – Nie zajelismy jeszcze wiezy w Malz – zamkneli bramy, a my nie mamy sil, by ich zmusic do otwarcia – ale kapitan Juahl i podkapitan Hahna strzega brodow i obu wiez stad az do skrzyzowania drog. Kapitan Juahl kazal powiedziec, ze nasi ludzie sa gotowi przekazywac wiadomosci w obie strony, panie.

–To dobrze! – Sean poklepal gonca po ramieniu, a mlodzieniec usmiechnal sie do niego. – Masz sile, zeby wrocic do Juahla?

–Tak, panie!

–W takim razie powiedz mu, że jestem uradowany tymi wieściami. Powiedz mu także, żeby podziękował w moim imieniu wszystkim oficerom i żołnierzom, i że postaram się jak najszybciej zapewnić im wsparcie piechoty.

–Tak, panie! – Goniec znow zasalutował i zniknął w ciemnościach, a Sean odwrócił się do Tibolda.

–Dzięki Bogu za to! – powiedział cicho, a były Straznik pokiwał głową.

Większość ludzi, którzy zajmowali się lancuchem semaforów na terenie Malagom, uciekła przed herezją, lecz wielu dołączyło do nich, dzięki czemu Sean miał personel niezbędny do obsadzenia wież, które miał zamiar zdobyć. Teraz mógł kontrolować pocztę wysokiego kapitana Ortaka... i informacje płynące do zbliżających się posiłków.

–Chciałbym, żebyś pomógł mi w negocjacjach – powiedział po chwili, wskazując na zamknięte bramy. – Wolalbym, żeby nie doszło do masakry tylko dlatego, że ktoś się pomyli. – Potarł nos. – Poslijmy brygadę Folmaka do Juahla. Jest na tyle rozsądny, że poradzi sobie z różnymi niespodziankami. Upewnij się, że zrobi kopie wszystkich naszych wiadomości, i powiedz mu, że dołączę do niego osobiście tak szybko, jak to będzie możliwe.

–Natychmiast, lordzie Seanie.

Tibold zawrócił brzoźną i odjechał z wawo, choć Sean wiedział, że jest bardzo zmęczony. Dzisiejszy długi marsz był nawet gorszy niż droga przez bagno. Tibold przez cały czas maszerował z pulkiem. Twierdził, że to dobre dla morale – a Sean mu wierzył – i przez to on sam również musiał wlec się z oddziałami, i choć był o trzydzieści pięć lat młodszy od Tibolda i miał ulepszenia, dzięki czemu bez wątplenia był najbardziej wypoczętym człowiekiem w całej armii, miał ochotę spać przez cały tydzień.

Coż, jeśli Tibold stara się wyglądać świeżo i zachowywać energicznie, to Sean na pewno też się postara!

Uśmiechnął się i zeskoczył z siodła, rzucając wodze jednemu z adiutantów. Czuł litość dla mieszkańców Malz, gdy szedł w stronę zamkniętych bram. Słuchając propagandy Wewnętrznej Kregu, pewnie uważali, że kaze spalić miasto, żeby ich dzieci były ładnie podpieczone, kiedy usiadzie, aby je zjeść! Przekonanie tych biednych sukinsynów, żeby otworzyli bramy, będzie trudne, ale musi spróbować, zanim ktoś zrobi coś głupiego. Bardzo pomocna będzie świadomość mieszkańców miasta, że Stomald i anioły – przy niewielkiej pomocy surowych regulaminów wprowadzonych przez niejakiego generała kapitana lorda Seana – stworzyli

wyjątkowo zdyscyplinowana armie, która zamierza za kilka dni skopac tylki o wiele większej armii. Najważniejszy jednak był fakt, że ludzie, którzy należeli do Malagorskiej Stazy Świątynnej i spalili sporo wsi, maszerując na Koniec Grani, teraz byli częścią Armii Aniołów i ze wszystkich sił starali się zadośćuczynić wyrządzonym krzywdom. Ale garstka spanikowanych mieszczan, którzy postanowia "oprzec się herezji" albo po prostu będa chcieli bronic swoich rodzin, może doprowadzić do wymiany ognia, która łatwo zmieni się w masakrę.

Ale tak się nie stanie, powiedział sobie stanowczo. Przekonają tych mieszczan do otwarcia bram bez ani jednego strzału.

Zatrzymał się spory kawałek poza zasięgiem ich broni, by zaczekać na Tibolda, i zaczął się zastanawiać, jak właściwie mają to zrobić.

–Zdobyl Malz bez zadnych ofiar po obu stronach! – powiedziala Harriet, wchodzac do namiotu dowodzenia. Jej radosc byla tak wielka, ze Tamman postanowil nie psuc jej humoru przypomnieniem, iz za kilka dni w Erastorze nie bedzie tak dobrze.

–To cudowne wieści – powiedział Stomald, a Tamman tylko pokiwał głową.

Tak, wieści rzeczywiście były dobre. Sean wreszcie wydostał się z tych przeklętych bagien. Nikt się nie spodziewał, że zmarnuje tyle czasu na ich przebycie i że cała operacja będzie poważnie opóźniona, lecz teraz wygląda na to, że jednak im się uda – zakładając, że pogoda się utrzyma.

–A jak brody? – spytał, spoglądając na mapę i próbując ukryć uśmiech, kiedy Harriet stanęła obok Stomalda i objęli się. Na razie pamiętali, że mogą to robić tylko w obecności jego i Sandy, ale wolał nie myśleć, jak zareagowałyby oddziały, gdyby się zapomnieli i zrobili to w miejscu publicznym.

–Co? – Harriet podniosła wzrok i potrząsnęła głową. – Przepraszam, Tam. Sean mówi, że brody są głębsze, niż się spodziewali, ale są do przejścia, jeśli nie będa za bardzo się spieszyć. Dragoni przeszli na drugą stronę bez żadnych strat, a inżynierowie już przygotowują liny dla reszty wojsk. Tibold ocenia, że zajmie im to około pięciu godzin, lecz Sean przeprowadzi brygadę Folmaka już tej nocy. To znaczy tego ranka, jak sądzę.

–Czyli przecielismy lancuch semaforow i nikt nie wie, ze to zrobilismy – powiedzial Tamman, skubiac warge i wpatrujac sie bezmyslnie w mape.

–Sandy i Brashan caly czas pilnuja sond w Erastorze i tych podazajacych za posilkami. Na razie nikt w obu tych miejscach nie wie, ze tam jestesmy.

–No tak, ale... – Tamman wzruszył ramionami – nie moze przestac sie martwic, dopoki nie polaczymy sie z powrotem z Seanem. – Jeszcze przez chwile przygladal sie mapie, po czym wyprostowal sie. – Mysle, ze porozmawiam z Ithunem. Jesli ktos ostrzeze zlych gosci, Ortak bedzie musial wycofac swoje sily od naszej strony, a wtedy moglibysmy przebic sie na druga strone.

–Nie rob nic pochopnie bez skonsultowania tego z Seanem, Tam!

–Nie martw sie, ciebie w tym wzgledzie nie przebije – odpowiedzial z usmiechem. – Jak mowi Tibold, "improvizowane dzialania sprawdzaja sie najlepiej wtedy, gdy zostana zaplanowane z duzym wyprzedzeniem".

–Najwyzsza pora, zeby ktos was do tego przekonal – prychnela Harriet, a jego usmiech stal sie jeszcze szerszy.

–Dorastamy, nieprawdaz? – stwierdzil powaznie. – Aha, dopilnuje, zeby nikt wam nie przeszkadzal w "naradzie" – dodal zlosliwie, odsuwajac klape namiotu.

Sean podniosl wzrok, gdy branahlk Tibolda podjechal do wiezy semaforow. Byly Straznik przespal sie tylko trzy godziny i az trudno bylo uwierzyc, jak bardzo przywrocilo mu to sily. Po przejsci u przez Mortan byl mokry do pasa, lecz mimo to wesolo machal reka.

–Tylna straz wlasnie przechodzi przez rzeke, lordzie Seanie – powiedzial. – Awangarda powinna tutaj dotrzec w ciagu godziny.

–Sztandary gotowe? – spytal Sean.

–Tak, panie. – Tibold usmiechnal sie szeroko.

To Sandy wpadla na ten pomysl, lecz on popieral go z calego serca. Pod Yortown zdobyli wiele sztandarow, i teraz na ich widok obsada semaforow, ktora spodziewa sie ujrzec wysokiego kapitana Terrahka, powinna poinformowac Erastor o nadejsciu wyczekiwanych posilkow dla Ortaka.

–To swietnie. – I Sean odwrocil sie do czlowieka, ktory dowodzil ta wieza semaforow.

–Rozgladaj sie uwaznie, Yuthanie – powiedzial (jak ocenial, chyba po raz szesty), a mezczyzna tylko pokiwal powaznie glowa. – Wykonujecie wazne zadanie, lecz nie na tyle wazne, by zbyt uo ryzykowac. Jesli pojawi sie wysoki kapitan Terrahk, spalcie wieze i wycofajcie sie.

–Tak jest, lordzie Seanie. Nie martwcie sie. Zaden z nas nie chce zginac, panie, ale az do ostatniej chwili bedziemy im przekazywac uspokajajace wiadomosci.

–Dobrze. – Sean uscisnal ramie Malagorczyka, wskoczyl na siodlo branahlka i obrocil sie do Tibolda.

–Poslalem jeden z pulkow Folmaka razem z kompania dragonow Juahla, tak na wszelki wypadek – powiedzial, poganiajac wierzchowca do klusa. – Zatrzymali juz okolo trzydziestu ludzi.

–Naprawde? – Tibold byl zaskoczony. – Nie spodziewalem sie, ze Ortak pozwoli tak wielu ludziom opuscic Erastor.

–Wikszosc z nich najwyrazniej chce sie znalezc jak najdalej od Erastoru – prychnal Sean – i watpie, by Ortak o tym wiedzial. Dwie trzecie z nich to dezernerzy.

–Zawsze jacys sie znajda – stwierdzil Tibold, krzywiac sie.

–Wydaje mi sie, ze pokusa jest jeszcze wieksza niz zwykle, jesli wierza, ze walcza z demonami. Z drugiej strony mogli uznac, ze uda im sie przekonac Ortaka, by ich nie zastrzelil, jesli powroca z wiesciami o naszym nadejsciu. Odeslij ich do Malz i zatrzymaj, dopoki Yuthan i jego chlopcy nie wycofaja sie. Potem beda mogli robic, co tylko zechca.

–Nie zazdroszcze im – powiedzial Tibold jakby wbrew sobie. – Ich jedyna nadzieja jest znikniecie wsrod wzgorz, zanim Terrahk ich dopadnie.

–Dobrze, ze to ich problem – mruknal Sean. – Mnie wystarczy pewnosc, ze Terrahk nas nie dopadnie.

Wysoki kapitan Ortak przeczytal wiadomosc i poczul ogromna ulge. Terrahk pobil rekord marszu z Keltharu, stolicy Keldark, do Malz! Skrocil spodziewany czas przemarszu o trzy dni i Ortak zastanawial sie, jak on to zrobil. Nie zeby mial narzekac. Z piecdziesiecioma tysiacami dobrze uzbrojonych i – mial nadzieje – pewnych siebie ludzi Erastor bedzie nie do zdobycia. Co wazniejsze, Terrahk mial wyzszy stopien i bedzie mogl rzucic na niego odpowiedzialnosc (choc czul wyrzuty sumienia, ze tak bardzo tego pragnie).

–Czy bedzie jakas odpowiedz, sir? – spytal adiutant. Ortak oparl sie wygodniej na krzesle i potrzasnal glowa.

–Nie. Najwyrazniej maszeruja najszybciej jak moga. Niech nie mysla, ze chcemy ich popedzac.

–Tak jest, panie – przytaknął adiutant z uśmiechem. Ortak odesłał go i znowu pochylił się nad papierkową robotą. Jeszcze tylko trzy dni. Heretycy muszą się wstrzymać z atakiem jeszcze trzy dni, a wtedy na zawsze stracą najlepszą okazję do przebiccia się z Malagom.

Mimo zacofania w dziedzinie techniki Pardał był zadziwiająco dobrze rozwiniętym starożytnym światem, o czym świadczył choćby system komunikacji. Kiedy Sean po raz pierwszy zobaczył Świątynie z orbity, zastanawiał się, jak społeczeństwo epoki przedindustrialnej mogło dostarczać jedzenie do miast, mając jedynie system kanałów, ale potem dowiedział się o nioharqach i jakości tutejszych dróg i wszystko stało się jasne. Przez tysiąclecia żyło tutaj wielu świetnych inżynierów, którzy zajmowali się budowaniem świątyn lub dróg. Nawet tutaj, w gorach, główna droga miała szerokość ponad dwudziestu metrów, a gładkość jej nawierzchni dorównywała ziemskim autostradom z epoki przedimperialnej.

Zatrzymał się i patrzył, jak jego ludzie maszerują. Podobnie jak Cesarstwo Rzymskie, pardalskie państwa bazowały na piechocie, i potrzeba szybkiego przemieszczania wojsk wymuszała dobrą jakość dróg. A jeśli się nad tym zastanowić, to czy nie taki sam był powód powstania niemieckich autostrad i amerykańskiego systemu autostrad międzystanowych? Jak widać, niektóre rzeczy nigdy się nie zmieniają.

W każdym razie był ogromnie wdzięczny inżynierom, którzy wybudowali te drogi. Po koszmarnej nocnej marszu na przelaj przez bagna i wielu godzinach brnięcia przez brod jego ludzie z ochotą pokonali dystans trzydziestu kilometrów.

Zdobyli też kolejne trzy wieże semaforów, nie wzbudzając niczyich podejrzeń. Sean był trochę zaskoczony, że tak łatwo to poszło, lecz Juahl wymyślił system, który zdawał się doskonale działać. Wysłał oficera i parę dziesiątek ludzi w zdobycznych mundurach Straży, aby podjechali do wieży i kazali dowodcy zebrać swoją załogę. Ludzie pracujący przy semaforach należeli do służby cywilnej, a nie wojska, i nie mieli zamiaru sprzeciwić się dragonom Straży, a gdy tylko Malagorczyści sięgnęli ich na dół, nagle odkrywali, że stoja w bardzo małej odległości od luf johanów.

Tymczasem ani Ortak, ani Terrahk nie mieli pojęcia, że między nimi znalazł się cały korpus heretyckiej armii. Wieże, które kontrolował teraz Sean, przechwytywały każdą depechę, którą jeden oficer Straży wysłał do drugiego. Po przeczytaniu poczty swoich wrogów Sean mógł wysłać takie odpowiedzi, jakie chciał, żeby otrzymali. W efekcie, jak donosiła Sandy, Terrahk nieco zwolnił tempo marszu po otrzymaniu wiadomości od Ortaka, a Ortak oczywiście nic o tym nie wiedział.

Sean uśmiechnął się paskudnie, lecz kiedy podniósł wzrok, jego uśmiech znikł.

Słońce powoli zachodziło i nadszedł czas, by rozbić oboz, lecz martwiła go coraz większa wilgotność powietrza. Nadchodził kolejny front. Brashan wciąż próbował rozpracować wzorce pogody dla Pardal, ale góry bardzo to utrudniały i Sean podejrzewał, że front porusza się szybciej, niż się spodziewali. Mimo to wciąż powinni mieć wystarczająco dużo czasu. Potrzebowali jedynie dwóch dwudziestodwunastogodzinnych pardalskich dni.

–Jeszcze tylko dwa dni – mruknął Tamman.

Siedział na składanym krześle w namiocie i przymykając oczy, łączył się przez łącze neuralne z Izraelem, a przez komunikator w zamaskowanym kutrze, który stale wisiał nad namiotem anioł Harry, z sondami. Przewinał w przyspieszonym tempie zapisy z tego dnia i zatrzymał się na kolumnie Seana maszerującej droga w stronę Erastoru. Wreszcie naprawdę ruszyli i wciąż mieli dobre cztery dni przewagi nad wysokim kapitanem Terrahkiem. Fakt, że posiłki nieco zwolniły, jeszcze zwiększy te różnice, ale Straz w końcu dotrze do Malz i dowie się, co się naprawdę dzieje.

Ale nie będa mieli jak ostrzec Ortaka. Ciekawe, czy wobec tego Terrahk popedzi do przodu i spróbuje zaatakować Seana na otwartej przestrzeni, zanim ten dotrze do Erastoru. Na pewno zdaje sobie sprawę, że jeśli Sean pozbedzie się Ortaka, jego własne oddziały będa stanowczo za mało liczne, by stawić czoła dwóm setkom tysięcy wrzeszczących heretyków. Dlatego gdyby Ortak został już pokonany, zanim Terrahk do niego dotrze, jedyna szansa na ocalenie jego oddziałów będzie pospieszna ucieczka.

Porzucenie Ortaka może kosztować Straz od siedemdziesięciu do osiemdziesięciu tysięcy ludzi, lecz gdyby na dodatek Terrahk stracił własne oddziały, pozbawiłby Świątynie również ostatnich oddziałów polowych. Szkoda, że Sean nie może najpierw zaatakować Terrahka z zasadzki, a później Ortaka, lecz byłoby to zbyt niebezpieczne – mogłoby się znaleźć w pułapce między dwoma przeciwnikami, którzy mają przewagę liczebną pięć do jednego, uwięziony pomiędzy Mortan i północną krawędzią doliny, z amunicją ograniczoną do takiej ilości, jaka sami mogli unieść. To mogłaby być ostatnia bitwa Seana MacIntyre'a.

Nie, najlepiej by było, gdyby Terrahk maszerował dalej i przybył do Erastoru kilka dni po tym, jak on i Sean zmiądzą Ortaka. Gdyby udało im się zjednoczyć armie, zrobiliby z Terrahka mielonkę – ale on z pewnością wie o tym równie dobrze jak oni, i dlatego Tamman przypuszczał, że Straznik wycofa się w tej samej chwili, gdy uświadomi sobie, co się dzieje.

Wyprostował się i otworzył oczy. Jedno jest pewne, niezależnie od tego, co zrobi Terrahk: zanim on i Sean ponownie nawiąza kontakt, muszą zdobyć Erastor.

Podniosł się z krzesła. Pozostało jeszcze tyle światła, że może wraz z Ithunem przeprowadzić ostatni zwiad na linii Ortaka, nim zapadnie zmrok. Gdyby się okazało, że muszą szturmować te umocnienia, żeby uratować tylek Seana, chciał, żeby jego oficerowie o tym wiedzieli.

Kolejna ulewa spadła na dolinę Keldark i wysoki kapitan Ortak popatrzył z ponurą miną w niebo. Właściwie w dolinie, która była jakby tunelem w ciągłym lancuchu Shalokarow, zawsze było mokro. Wilgotne powietrze ze wschodu przelatywało wtedy, kierując się w stronę Płaskowyzu Malagorskiego. Niektórzy z ekspertów Świątyni utrzymywali, że kiedy powietrze podnosi się i staje się rzadsze, wilgoc spada pod własnym ciężarem. Ortak nie do końca rozumiał te teorie; wiedział jedynie, że w dolinie zawsze pada – dużo – i że teraz znowu zaczyna padać deszcz.

Zaklął cicho, po czym wzruszył ramionami. Przecież deszcz jest jego przyjacielem, a nie heretyków. Ich muszkietrzy mają ogromną przewagę liczebną, ale jeśli Bog jest tak miły i zamoczył ich proch, on nie ma zamiaru narzekać. Niech przyjdą i zaatakują go zimna stą!a!

–Jak długo to potrwa? – spytał zdenerwowany Sean.

On i Sandy rozmawiali przez komunikatory z Brashanem.

–Co najmniej dwa dni. – Narhanin siedział samotnie na mostku Izraela i jego gadzia twarz była ponura. – Przepraszam, Seanie. Myśleliśmy...

–To nie twoja wina – przerwał mu Sean. – Wiedzieliśmy, że zbliża się front. Po prostu spodziewaliśmy się, że nadejdzie później, a potem straciliśmy mnóstwo czasu na bagnach.

–To prawda, ale oprócz tego, że nadchodzi szybciej, będzie padać mocniej, niż myśleliśmy. – Narhanin wydawał się zadowolony. Sean był mniej niż dzień marszu od Erastoru, a deszcz – obecnie zaledwie mżawka – zmieni się wieczorem w ulewę. Woleli nie myśleć, co się stanie z ich zamkami skalnymi.

–Nie możesz zaczekać, aż się przejasni? – Sandy spojrzała z niepokojem na Seana.

–Obawiam się, że nie. Ortak spodziewa się posiłków przed zmrokiem. Jeśli nagle przestaniemy posuwać się do przodu, zacznie się zastanawiać dlaczego i wysle kogos z pytaniem. A jeśli to zrobi... – Wzruszył ramionami.

–Ale przecież nie możecie walczyć bez strzelb! Nie macie żadnych pik!

–Nie, ale wciąż możemy ich zaskoczyć.

–Zaskoczyć? Oszalales?! Tam jest osiemdziesiąt tysięcy ludzi! Zanim zdążysz zająć ich pozycje, zorientują się, co się dzieje!

–Może tak, a może nie. Deszcz ograniczy widoczność i powinniśmy dotrzeć bardzo blisko, zanim zobaczą, że tak naprawdę nie jesteśmy Straznikami. Istnieje spora szansa, że spanikują, kiedy ich "posiłki" nagle ich zaatakują. Do tego nie mają takiej sieci komunikacyjnej jak nowoczesna armia i mogą przekazywać rozkazy tylko przez kurierów.

–Oszalales! – wysyczała. – Tammanie, Harry, powiedzcie mu!

–Sądzę, że Sandy ma rację, Seanie – powiedziała cicho Harriet. – To zbyt ryzykowne. Zaczekaj, aż przestanie padać. Może Ortak się podda, kiedy zobaczy, że znalazł się w pułapce między tobą a Tamem.

–Pudło, Harry – wtracił niechętnie Tamman. – Ortak nic jest z tych, którzy się poddają, inaczej nie zatrzymałby się tutaj, w Erastorze.

–Co jeszcze może zrobić? – spytała ostro.

–Może nas zaatakować – odparł Sean. – Wie równie dobrze jak my, że to nasze strzelby dają nam przewagę. Sądziś, że nie zdecyduje się nas zaatakować na otwartej przestrzeni, jeśli deszcz wyeliminuje je z walki?

Sandy zagryzła wargę, spłotła ręce na piersi i przez dłuższą chwilę patrzyła na Seana, po czym westchnęła.

–Masz rację – powiedziała w końcu cicho. – Na pewno to zrobi.

–A więc rozumiesz – odpowiedział Sean równie cicho i kopnął stertę błota – że jak by na to nie patrzeć, musimy trzymać się mojego cudownego planu.

Rozdział 33

–Dobra, chłopaki, słyszeliście lorda Seana. Chodźmy skopać tyłki sukinsynom!

Oficerowie pierwszej brygady odpowiedzieli pomrukami aprobaty, a Folmak Folmaksen wyszczerzył dziko zęby. Zostawił za sobą Koniec Grani i pełne niepokoju dni, gdy obawiał się, że Kościół potępi go tylko dlatego, iż próbował uczynić swój młyn bardziej wydajnym, i bardzo się z tego cieszył. Folmak kochał Boga tak jak wszyscy, lecz ponieważ Malagor od dwudziestu pokoleń był w niewoli, podobnie jak wielu Malagorczyków darzył niechęcią Wewnętrzny Krag i wciąż nieobecnych biskupów. Co innego ojciec Stomald. Taki właśnie powinien być kapłan, i gdyby

reszta Swiatyni byla taka jak on...

Ale nie byla. Folmak usiadl w siodle i sprawdzil wszystkie cztery pistolety, po czym schowal je w buty i pod zdobyczny plaszcz Strazy. Deszcz zaczynal padac coraz mocniej, tak jak przewidywal lord Sean, wiec nakazal wszystkim swoim sierzantom sprawdzic, czy panewki sa bezpiecznie zamkniete. Wciaz grozila im przerazajaca liczba nieudanych strzalow, ale zrobil wszystko, co mozna, by ja zminimalizowac.

Obejrzel sie przez ramie, czekajac na sygnal. Lord Sean stal otoczony adiutantami i mowil cos z naciskiem do Tibolda, a jego dlonie poruszaly sie szybko i niecierpliwie. Folmak przypomnial sobie jego zaskoczona mine, gdy ludzie powitali jego rozkazy okrzykami radosci.

Lord Sean nawet ich przeprosil, jakby to byla jego wina, ze nie moga poczekac, az przestanie padac. Ale armia kochala lorda Seana i wszyscy wiedzieli, dlaczego musial podjac taka decyzje. Szczegolnie dobrze rozumieli go ludzie Folmaka, ktorzy tworzyli pierwsza brygade, zwana "stara brygada", i uwazali siebie za elite armii lorda Seana, choc druga i trzecia brygada byly rownie stare i – co Folmak niechetnie przyznawal – rownie dobre. Kazdy wiedzial, ze dotarcie do Erastoru trwalo dluzej, niz zaplanowali, i ze bez lorda Seana i aniol Sandy w ogole by sie tutaj nie znalezi. A przeslanie aniolow, ze ludzie powinni miec swobode w ksztaltowaniu swego zycia i pojmowaniu woli Boga, rozpalilo plomienie w sercach upartych Malagorczykow. Byli dumni, ze lord Sean ich potrzebuje, i jesli kaze im nalozyc bagnety i szturmowac nawet w huraganie, podaza za nim z okrzykami radosci.

Pulkowi dudziarze ustawili sie w odpowiednich odleglosciach wewnatrz kolumny, a lord Sean pomachal do swoich adiutantow i ci ruszyli wzdluz szeregow. Folmak rowniez machnal na swoich dowodcow jednostek.

–Ruszajcie! – warknal i Armia Aniolow podazyla w ulewie w strone Erastoru.

Sean przygladal sie, jak jego ludzie ruszaja, i staral sie robic wrazenie pewnego siebie. Kazdy mezczyzna w brygadzie Folmaka otrzymal plaszcz Strazy i dzieki temu jego awangarda przypominala posilki Terrahka, lecz reszta nosila malagorskie poncho. Wystarczy jedno spojrzenie, by nawet najglupszy wartownik wiedzial, kim sa. Deszcz nie padal jeszcze tak mocno, jak sie obawial, ale tylko pierwsza brygada szla ze strzelbami na ramionach. Pozostali tak jak myslivi trzymali strzelby z bagnetami pod pachami, by власnymi cialami zaslonic panewki i nie pozwolic, by woda nalala sie do luf. Bylo to bardzo niewygodne, lecz tylko tyle mogli zrobic, by zapewnic sobie mozliwosc strzelania.

On i Tibold podzielili armie na szescsetosobowe pulki – trzy na brygade – ktore

mimo deszczu i świadomości, że prowadzi ich na rzeź, wiwatowały, mijając go, a on w odpowiedzi uderzał w żalany deszczem napiersnik. W jego uczuciach panowało całkowite zamieszanie. Czuł wstyd za błędy, które doprowadziły do tej straszliwej wojny, dumę z ich postawy, przerażenie rachunkiem krwi, jaką będa musieli zapłacić, oszłomienie, że są skłonni go zapłacić, i dziwny żapał. Wiedział, jak straszliwa, ohydna i brutalna będzie ta bitwa, a mimo to nie mógł się doczekać jej rozpoczęcia. Nie cieszył się, lecz... czekał z niecierpliwością.

Spał wierzchowca ostrogami i wyminał brygadę Folmaka. Gdy tak jechał w deszczu, żałował, że nie może równie łatwo zostawić za sobą swoich skomplikowanych uczuć.

Podkapitan Mathan stał pod zadaszeniem i spoglądał na deszcz. Było wczesne popołudnie, ale z powodu czarnych chmur na niebie wydawało się, że jest już późny wieczór. Jego dragoni cieszyli się, że nie kazano im obsadzać na wpol zatopionych okopów od strony obozu heretyków, ale mimo to ich obowiązki wcale nie były przyjemne. Podobnie jak większość Zastępów, stracili pod Yortown całe wyposażenie, w tym także namioty, dlatego częste ulewy przemoczyły ich do szpiku kości. Mathan miał już tego serdecznie dość.

Ale w tym samym momencie, gdy o tym pomyślał, zrobiło mu się wstyd. Powinien upaść na kolana i dziękować Bogu, że oszczędził go w rzezi, która czciciele demonów zgotowali reszcie Zastępów, a nie narzekać z powodu odrobiny deszczu! Przecież sam bardzo często powtarzał to swoim oddziałom!

Zaczął energicznie spacerować. Deszcz schłodził górskie powietrze i takie chodzenie go rozgrzewało.

Może byłby szczęśliwszy, gdyby czuł, że jego obecne zadanie ma jakiegokolwiek znaczenie. Heretycy zostali zablokowani na zachód od Grani Erastor i wystawienie wart na wschód od głównych pozycji było pozbawione sensu. Siedzieli i mokli tylko dlatego, że podreczniki polowe nakazywały, by wszystkie dojsčia, nawet te najbardziej bezpieczne, były strzeżone. Podobnie jak wszyscy inni żołnierze, oni również nie znosili być w takiej żalosalnej sytuacji tylko dlatego, że jakiś tył z dowództwa chce, żeby wszystko odbyło się zgodnie z przepisami.

Do zadaszenia podjechał na branhalku sierżant Kithar i zasałutował.

–Zauwazyliśmy czoło kolumny, sir. Za jakieś dwadzieścia minut powinni dotrzeć do warty.

–Dziękuje, sierżancie. To dobre wieści. – Marthan odpowiedział na sałut Kithara, po czym wskazał na ogień pod następnym prymitywnym zadaszeniem. – Ogrzej się i

wysusz troche, zanim wrocisz.

–Dziekuje, sir.

Sierzant pospieszyl do ognia, a Mathan z westchnieniem ulgi splotl rece za plecami. Wysoki kapitan Ortak przysiegal, ze Swiatynia przysle im posilki, lecz po Yortown wielu jego ludzi – włączając w to jego samego – nie wierzylo, ze dotra na czas, dlatego teraz wypowiedzial po cichu modlitwe dziekczynna.

Kapitan Folmak podbiegl na czolo brygady. Widzial juz pierwszych dragonow – rzeczywiscie wygladali tak zalosnie, jak przewidywal lord Sean. Machali do nich, slyszal tez kilka radosnych okrzykow, lecz nie wystawiali nosa spod prymitywnych zadaszen, na prozno probujac schronic sie przed deszczem.

–Wiecie co robic, chlopcy – powiedzial do swoich ponurych strzelcow. – Zadnych strzalow i upewnijcie sie, ze nikt sie nie wymkna!

–Widok, ktory cieszy oczy, no nie? – spytal Shaldan Morahkson. – Mowilem wam, ze lord marszalek Surak przysle nam posilki!

–Jasne, ze mowiles – stwierdzil z ironia jeden z jego towarzyszy. – Miedzy sikaniem i narzekaniem na deszcz, otarcia od siodla i cala te popieprzona wojne opowiadales nam wszystkim, ze jestes osobistym przyjacielem lorda marszalka!

Pozostali rozesmiali sie, a Shaldan zrobil wulgarny gest i odwrocil sie plecami, by pomachac nowo przybylym. Straznicy wydawali sie niemal tak samo obszarpani i przemoczeni po dlugim marszu, jak on i jego towarzysze. Nagle Shaldan zamarl.

–To dziwne.

–Co? – spytal ktorys. – Twój kumpel lord marszalek Surak cos spieprzył?

–Wszyscy sa muszkietierami – odpowiedzial. – Popatrzcie. – Wskazal daleko na tyly kolumny. – Musi ich byc tysiac albo pietnascie setek i zadnej piki!

–Co? – Inny dragon spojrzal we wskazanym przez Shaldana kierunku.

–I jeszcze jedno. Nigdy nie widzialem takich bagnetow. A wy?

–Ja...

Ale Shaldan nigdy sie nie dowiedzial, co jego towarzysz chcial powiedziec, gdyz w

tym momencie zbliżająca się kolumna podzieliła się.

–Brac ich! – krzyknął podkapitan Lerhak i jego ludzie otoczyli wartowników. Obserwujący ich dragoni zaczęli krzyczeć, a dwóch czy trzech pobiegło w stronę uwiązanych branahlków, lecz zaskoczenie było tak wielkie, że w ciągu dziesięciu minut wszyscy ludzie z najbardziej wysuniętego na wschód punktu obserwacyjnego wysokiego kapitana Ortaka albo nie żyli, albo byli w niewoli.

Podkapitan Mathan przeciągnął się i wezwał swojego wierzchowca. Jeśli kapitan Kithar miał rację, kolumna powinna była już dotrzeć do jego najbardziej wysuniętego stanowiska. Choć nie podobala mu się perspektywa jazdy w deszczu, uważał, że powinien ich przywitać jak odpowiednio gorliwy niższy oficer. Woda zalewająca mu oczy sprawiała, że właściwie nie widział, dokąd jedzie. Jego branahlk szarpał Ibem i boczył się, wyrażając złośliwym gwizdaniem swoją własną opinię na temat pogody, więc scisnął go kolanami, by mu przypomnieć, kto tu właściwie dowodzi.

Nagle w półmroku zamajaczyli konni mężczyźni w przemoczonych szkarłatnych płaszczach Straży. Jeden z nich zamachał i Mathan również zaczął do niego machać, lecz nagle przerwał.

Nie mógł uwierzyć własnym oczom. Ich siodła i uprząże były niezgodne ze standardami Straży, a poza płaszczami nie mieli nawet mundurow. Dwaj z nich nosili coś, co wcale nie wyglądało jak żołnierskie buty. Ale to niemożliwe. Oni muszą być Straznikami! Nikt inny nie mógłby dotrzeć do Erastoru ze wschodu! Chyba że demony...

Otrząsnął się z oszłomienia i zawrócił wierzchowca. Branahlk głośno zaprotestował, gdy poczuł ostrogę, po czym rzucił się do przodu z ostrym szarpnięciem. Musi ostrzec wysokiego kapitana Ortaka! On...

Coś trzasnęło za jego plecami i nie miał nawet czasu wrzasnąć, gdy kula zrzuciła go z siodła.

–Sir, posiłki nadchodzą.

Wysoki kapitan Ortak uśmiechnął się, słysząc raport adiutanta.

–Dzięki Bogu! Wezwij mojego branahlka. Wysoki kapitan Terrahk zasługuje na to, by go osobiście powitać.

–Slyszales cos? – Sierzant Kithar uniosl glowe, nastawiajac uszu, i spojrzal na towarzyszonego mu mezczyzne.

–W tym deszczu? – Zolnierz wskazal na wode uderzajaca z pluskiem w ich prymitywny daszek.

–Brzmialo jak strzal.

–Zartujecie, sierzancie! Trzeba cudu, zeby joharn wystrzelil w taka ulewe!

–Wiem, ale...

Kithar wciaz wpatrywal sie w deszcz, kiedy kompania Folmaka zaatakowala ich warte od tylu.

–Folmak wyeliminowal wartownikow.

Sean pokiwal glowa, slyszac w komunikatorze glos Sandy.

–Czy ktos sie wydostal?

–Nie sadze. Trudno byc pewnym, gdy tak wielu ludzi porusza sie w deszczu, ale nie widze, by ktos uciekal od strony warty.

–Co robi Folmak?

–Zbiera jencow i zmienia szyk na kolumne szturmowa, by zaatakowac most. Nie martw sie, Seanie, on wie, co robi.

–Na razie wszystko idzie dobrze – mruknal Folmak, po czym s podniosl glos. – Chlopcy! Podazajcie za mna i robcie tyle halasu, ile tylko potraficie. Niech te sukinsyny mysla, ze demony z Konca Grani chca ich pozrec! Pierwsza brygado, jestescie ze mna?

–Tak jest! – Ich ryk niemal zrzucil go z siodla.

Wysoki kapitan Ortak zeskokczyl z siodla, podal wodze adiutantowi i probujac sie nie kulic, pospiesznie ruszyl w strone rogatki przy moscie. Podkapitan z oddzialu

kontrolującego ruch na moście poderwał się i zsalutował, lecz Ortak machnął ręką.

–Siadaj, siadaj!

–Dziękuję, sir, ale wole stać. – Był bardzo młodym oficerem, lecz mimo to dobrze wiedział, że nie należy siedzieć w obecności wysokiego kapitana, niezależnie od tego, co owy wysoki kapitan twierdzi.

–Jak sobie życzy, kapitanie.

Ortak stanął w drzwiach, wpatrując się w ponure popołudnie. Ledwie widział pierwsze szeregi kolumny Terrahka na drugim końcu mostu. Dlaczego zatrzymali się na deszczu? Czy wyrównują szyk, żeby przygotować się do parady?

Skrzywił się. Mimo deszczu i szumu wody wokół przesel mostu słyszał ich okrzyki. Co, u licha, aż tak bardzo się cieszą, że są tutaj?

I nagle posilki rzuciły się do przodu, a wysoki kapitan Ortak patrzył z przerażeniem, jak zmiatają pół tuzina ludzi pilnujących drugiego końca mostu. Bagnety błyszczały w deszczu, kolby muszkietów uderzały, i wysoki kapitan zbladł, gdyż teraz wyraźnie usłyszał głosy.

–Malagor i lord Sean! – Dwadzieścia pięć tysięcy ludzi zaatakowało niestrzeżone tyły Straży przy akompaniamencie wycia dud.

–Już! – warknął Tamman do wysokiego kapitana Ithuna. – Zaatakowali mosty. Uformuj kolumny!

–Natychmiast, lordzie Tammanie!

Ithun odbiegł, a Tamman przyjrzał się wzmocnionym wzrokiem okopom wroga. Nie było tam widac jeszcze żadnego poruszenia, ale wkrótce się zaczęło. Gdyby tylko wycofali z umocnień wystarczająco wielu ludzi, żeby dać mu szansę!

Dla tych, którzy przeżyli Yortown, było to niczym powtarzający się koszmar. Widzieli wtedy, jak ich szyki zostały zmiażdżone, widzieli przesuwającą się z północy ścianę ognia i dymu, słyszeli przerażający malagorski ryk i wiedzieli – nie przypuszczali, tylko wiedzieli – że stawiają czoła demonom. Ale wtedy jakos udało im się uciec. Wycofali się, okopali i czekali, aż wyznawcy demonów przetoczą się po nich, ale w miarę upływu tygodni zaczęli mieć nadzieję, że tak się nie stanie. Zatrzymali heretyków, a ich tyły były bezpieczne, gdyby znow musieli się wycofać.

Ale teraz tyły nie były bezpieczne. Przez całe dni przygotowywali miejsca na obozy dla ludzi kapitana Terrahka i wesoło rozmawiali o tym, co się wydarzy później, a teraz nagle zobaczyli, że siły Piekieł zmieniły posiłki w demony, które szturmują ich pozycje masą najezonych bagnietów i przy dźwiękach straszliwych dud Malagom.

Zaskoczenie było całkowite, wysoki kapitan Ortak zaginal, a oficerowie byli zagubieni i wstrzasnięci, gdy doszły do nich pierwsze doniesienia o katastrofie. Brygada Folmaka zajęła mosty i przebiła się do najbliższego obozowiska. Straznicy oderwani od zwyczajnych obozowych zadań zobaczyli nagle osiemnastę setek wyjących szalenców, którzy wbijali się w ich pozycje. Panika okazała się bardziej zabójczą bronią niż bagniet. Kucharze i wozacy rozbiegli się, na wpol nadzy ludzie wypadali z namiotów i szalasów i uciekali w deszcz, oficerowie na próżno wołali do swych ludzi, by sformowali szyk, a strzelcy Folmaka parli naprzód niczym mroczny, niepowstrzymany przypływ.

Tu i tam garstka żołnierzy zbierała się wokół oficera czy podoficera, lecz było ich zbyt mało i byli zbyt oszłomieni, by mogli być skuteczni. Te małe grupki oporu szybko znikaly w najezonych bagnietami paszczy pierwszej brygady. Folmak przebył cały kilometr, zanim jego szarża nieco zwolniła. Wtedy do Erastoru wpadli inni, rozchodząc się wachlarzowato, by zająć przyczółek, a za nimi ruszył szybkim marszem cały korpus Seana.

–Atakują nas od tyłu! Moj Boże, są ich tysiące!

Wysoki kapitan Marhn wpatrywał się w zasapanego i przerazonego oficera. To niemożliwe! To niemożliwe! W głębi duszy on też czuł przerażenie. Nie miał najmniejszego pojęcia, co się stało z wysokim kapitanem Ortakiem, jak heretycy dostali się w takiej liczbie aż za Erastora ani co się stało z wysokim kapitanem Terrahkiem, lecz był oficerem od ponad trzydziestu ziemskich lat i wiedział, co będzie, jeśli ten atak nie zostanie powstrzymany.

–Już zdobyli mosty! Jesteśmy w pułapce, sir. Oni zaraz...

–Oni zaraz zgina, kapitanie! – Martin warknął tak ostro, że oficer natychmiast się zamknął. – Mamy tutaj osiemdziesiąt tysięcy ludzi, więc przestań wyc jak stara baba i wykorzystaj ich, niech cie demony!

–Ale...

Marhn odwrócił się z pogardliwym prychnięciem, gdy kapitan Urthank, jego zastępca, wpadł do środka, zapinając zbroję.

–Co... – zaczął, lecz Marhn uciszył go gwałtownym gestem.

–Jakims sposobem wyznawcy demonow dostali sie na nasze tyly. Zdobyli mosty i szybko nacieraja. – Urthank zbladl. – Wracaj tam. Poslij dziewiata i osiemnasta brygade pikinierow. Nie utrzymaja sie, ale w ten sposob zyskam troche czasu.

–Tak jest, sir! – Urthank zasalutowal i zniknal, a Marhn zacal ryczec rozkazy do sporej grupy goncow.

Dziewiata brygada pikinierow maszerowala przez bloto w strone swoich tylow, a ich spojrzenia byly szalone. Oficerowie nie mieli czasu na wyjasnienia, lecz w dziewiatej byli sami weterani i wiedzieli, co sie stanie, jesli heretycy nie zostana zatrzymani.

Po ich lewej stronie pojawila sie osiemnasta brygada i rozlegly sie gwizdki sygnalizujace rozkaz zatrzymania sie. Las pieciometrowych pik ustawil sie w pozycji bojowej, gdy malagorskie dudy zaczely sie do nich zbliczac.

Folmak sciagnal wodze tak gwaltownie, ze jego branahlk sie poslizgnal, gdy nagle ujrzal w deszczu falange Strazy. Lord Sean ostrzegal go, ze efekt zaskoczenia bedzie krotkotrwaly, ale jemu jakos sie udalo utrzymac swoich ludzi razem, gdy maszerowali na tyloch Strazy, omijajac grupki namiotow, wozow i szalasow.

Ale teraz byl daleko w przodzie, a polowa jego trzeciego pulku pozostala z tylu, by utrzymac mosty. Mial niewiele ponad pietnascie setek ludzi – szesc razy mniej niz falanga, ktora sie pojawila – i do tego ani jednej piki.

Nie mogl pozwolic, by przeciwnik go zatrzymal. Jesli Straz dojdzie do siebie i uswiadomi sobie, ze ma wielka przewage liczebna nad napastnikami, bedzie mogla zmiadzyc sily lorda Seana.

–Pierwszy batalion, utworzyc szyk bojowy! – wrzasnal i rozlegly sie gwizdki.

Pierwszy batalion drugiego pulku, jego awangarda, blyskawicznie ustawil sie w szeregu. Dowodca pikinierow wiedzial tylko, ze jego pozycja jest atakowana, ale widocznosc byla tak zla, ze nie mogl ocenic liczebnosci sil Folmaka, dlatego zamiast zaatakowac, zatrzymal sie, i wlasnie to wahanie pozwolilo pierwszemu batalionowi ustawic sie w dwoch szeregach, a reszcie ludzi Folmaka zewrzec szyki. Wciaz byly luzniejsze, niz powinny byc, lecz Folmak wyczuwal rosnace zdecydowanie swoich przeciwnikow i doszedl do wniosku, ze nie ma juz czasu na zadne zmiany.

–Ognia! – ryknal.

Niemal jedna trzecia strzelb nie wystrzelila, lecz byly ich trzy setki, i gdy ponad

dwiescie strzelb wypalilo z odleglosci mniejszej niz sto metrow, przerazeni Straznicy cofneli sie – po raz pierwszy w historii Parda ludzie z bagnetami na lufach zaczeli strzelac!

–Na nich, Malagorczycy! – zawyl Folmak. – Do ataku!

Szyk Strazy zachwial sie, gdy kule trafily w cel. Z tak malej odleglosci pocisk z gwintowanego joharna mogl przebic piec cali litego drewna i zabic lub ranic dwoch czy trzech mezczyzn. Wstrzas byl ogromny, gdyz strzaly pochodzily z muszkietow z nalozonymi na nich bagnetami, a pozniej wbrew wszelkim regulom sztuki wojennej muszkietery natarli na pikinierow!

Straznicy nie mogli w to uwierzyc. Muszkietery zawsze uciekali przed pikinierami – wszyscy o tym wiedzieli! – ale ci muszkietery byli inni. Potem kolumna ukryta za plecami strzelcow uderzyla w osiemnasta brygade pikinierow niczym przyplyw. Gdy szyk falangi zostal przelamany i Malagorczycy znalezli sie wewnatrz szeregow pik, Straznicy odkryli bolesna prawde: strzelby z bagnetami okazaly sie mordercza bronia. Byly krotkie, lekkie i szybkie, a ci ludzie wiedzieli, jak ich uzywac.

–Pogonic ich! – wrzasnal Folmak. – Pogonic ich!

I pierwsza brygada ruszyla na wroga. Malagorski ryk i wycie dud popychaly ich do przodu, a kiedy juz sie zblizyli, byli lepsi od pikinierow.

Bagnety uderzaly, mezczyzni krzyczeli, przeklinali i umierali, a zablocone buty wdeptywaly ich w bloto. Ludzie Folmaka atakowali z taka determinacja, ze trzeba by ich zabic, zeby ich zatrzymac, a Straznicy – wstrzasnieci i zaskoczeni tym, co sie dzialo – nie mogli im dorownac.

Wreszcie osiemnasta brygada zalamala sie. Ci zolnierze, ktorzy pozostali na pozycjach, slono zaplacili za swoje zdyscyplinowanie, gdyz nie mogli skutecznie wykorzystac dluzszej broni i pierwsza brygada zmiotla ich niczym seldahki. Szesc minut po pierwszym ostrzale osiemnasta brygada pikinierow zostala zmiadzona i uciekala, a Folmak atakowal flanke dziewiatej.

Chociaz mieli przewage wieksza niz dwa do jednego, potyczka z osiemnasta brygada sprawila, ze utracili zwarty szyk. Co gorsza, dowodcy dziewiatej udalo sie zmienic szyk i jego ludzie z wlasnymi okrzykami wojennymi na ustach rzucili sie do przodu, uderzajac w brygade Folmaka niczym mlot. Tym razem nie zostali powstrzymani przez ostrzal z malej odleglosci.

Pierwszy batalion Folmaka został zdziesiątkowany i wycofywał się, walcząc uporczywie z dłuższą i cięższą bronią przeciwnika, a tymczasem oficerowie po obu stronach tracili panowanie nad sytuacją. Bitwa była jednym wyjątkowym wirami, który wciągał ludzi i wypluwał trupy. I wtedy pojawiła się szósta brygada Seana i zaatakowała dziewiątą z drugiej strony.

Tego było już za wiele i jednostki Straży rozpadły się. Poł dziewiątej brygady po prostu znikło – zginęło lub uciekło – a druga połowa nagle odkryła, że są otoczeni przez dwa razy większą liczbę Malagorczyków. Próbowali się przebić, tworząc ogromnego obronnego jeża, lecz nic to nie dało, gdyż mimo deszczu dziesiątkom malagorskich strzelców udało się przeladować broń i wystrzelić. A tymczasem nadchodziły kolejne heretyckie pulki. Straż nie była już w stanie zatrzymać wroga, dlatego pozostali przy życiu oficerowie nakazali rzucić broń, by ocalić jak najwięcej swoich ludzi.

Twarz wysokiego kapitana Marhna była jak z kamienia, gdy nadchodziły kolejne raporty o katastrofie. Heretycy przemaszerowali przez całe obozowisko, później zatrzymali się, by przeformować szyki, i rozdzielili się na poł tuzina grup, które natarły na tyły okopów. Jedna trzecia jego ludzi zginęła, a resztki spanikowanych oddziałów kreciły się w zamieszaniu, bardziej przeszkadzając swoim towarzyszom niż wrogom. W miarę jak światło dogasało, całe przemoczone, zablokowane obozowisko Zastępów zmieniało się w szalenstwo, nad którym już nikt nie panował.

Nie miał pojęcia, ilu ludzi liczy wojsko heretyków, ale oceniając po przerażających raportach, może nawet milion. Co gorsza, atakowali jednostki, które były najgorzej uzbrojone i najsłabsze, składające się z ludzi, którzy po bitwie pod Yortown zostali przydzieleni do rezerwy.

Zacisnął zęby i odwrócił się, nie słuchając już raportów. Było tylko jedno wyjście z tej sytuacji, o ile oczywiście nie było już za późno.

–Zacznijcie wycofywać ludzi z reduct! – wychrypiał i uderzył palcem w mapę. – Utwórzcie tutaj nowy front! – I narysował na mapie linie ciągnące się niecałe cztery tysiące kroków za umocnieniami.

–Ale, sir... – zaprotestował ktos.

–Zróbcie to! – warknął Marhn. Próbował udawać, że nie wie, iż nawet jeśli mu się uda, opóźni katastrofę jedynie o kilka godzin.

–Seanie, wycofują ludzi z okopów! – krzyknęła Sandy przez komunikator.

–To dobrze, jak sadze! – Mimo raportow Sandy i lacza implantowego do jej czujnikow Sean mial tylko blade pojecie o tym, co sie dzieje.

A to, co sie dzialo, nie przypominalo Yortown. To byl szalency wybuch przemocy. Jego ludzie sprawiali wrazenie, ze wykonuja starannie zaplanowany manewr, ale wcale tak nie bylo – nikt juz nie mogl nad tym zapanowac.

Ale nawet w tym szalenstwie czul ogromna dume ze swoich ludzi – swoich ludzi! – gdy jego mniej liczna armia przebijala sie przez sily wroga. Tracil ludzi – setki, byc moze wiecej – i wiedzial, jak zle bedzie sie czul, kiedy policzy zmarlych, lecz teraz nie mial na to czasu. Rozpaczliwie kontratakujace resztki kilku jednostek pikinierow zaskoczyly jego grupe i wbily sie w nia gleboko, zanim zajal sie nimi batalion rezerwy. Tylko wzmocnienia Seana ocalily mu zycie, gdy w jego pancierz uderzyly dwie piki, a przyspieszone reakcje uratowaly oko, choc przez jego prawy policzek od skroni az do brody widac bylo gleboka rane. Tibold natomiast kustykal od ciecia w lewe udo.

Sean zatrzymal zmeczonych adiutantow i batalion rezerwy – ktorego dowodca bez zadnych rozkazow zostal jego glownym ochroniarzem – rozstawil sie dookola.

–Ruszaja sie? – spytal Sandy po angielsku, ignorujac spojrzenia ludzi.

–Tak, glownie w srodkowej czesci pozycji.

–Tam?

–Widze, Seanie. Ruszamy.

–Daj im czas, zeby sie wycofali. Nie pozwol, zeby cie zlapali na otwartej przestrzeni!

–Spadaj! Po prostu mocno ich naciskaj.

–Mocno, powiadasz! – Sean wzniosl oczy do nieba, po czym odwrocil sie do Tibolda. – Wycofujaja ludzi z okopow, zeby nas zatrzymac, a Tamman i Ithun zamierzaja uderzyc na nich od tylu.

–W takim razie musimy ich jeszcze mocniej naciskac – stwierdzil zdecydowanie byly Straznik.

–Jesli nam sie uda! – odpowiedzial Sean i chwycil jednego z adiutantow. – Znajdz kapitana Folmaka. Jesli wciaz zyje, powiedz mu, zeby kierowal sie w prawo. Ty! – Wskazal na kolejnego kuriera. – Znajdz czwarta brygade – sa tam, po prawej – i powiedz kapitanowi Herthowi, zeby takze ruszyl w prawo, na spotkanie Folmaka. Chce, zeby obaj zaatakowali ich rezerwy artylerii.

Adiutanci powtorzyli rozkazy i wybiegli, a Sean spojrzal na Tibolda i skrzywil sie.

–Jesli to jest udana bitwa, niech nas Bog broni przed nieudana!

–Sir! – Marhn podniosl wzrok, gdy zdyszany i zablocony goniec wpadl do jego punktu dowodzenia. – Wysoki kapitanie! Heretycy nadchodza takze z zachodu! – Kurier zachwial sie i Marhn zrozumial, ze mlody oficer jest ranny. – Kapitan Rukhan potrzebuje wiecej ludzi. Nie... Nie utrzyma sie bez nich, sir!

Marhn patrzyl na mlodziencza przez jedna straszliwa, niekonczaca sie chwile, a pozniej opuscil ramiona i sztab ujrzal, jak nadzieja znika z jego oczu niczym wyciekajaca woda.

–Poprosic o rozejm – powiedzial. Urthank wpatrywal sie w niego bez slowa. – Poprosic o rozejm, niech cie! – warknal.

–Ale... Ale Krag! Wysoki kaplan Vroxhan! Nie mozemy...

–My nie mozemy, ale ja moge. – Reka Marhna zacisnela sie na bicepsie Urthanku niczym szpony. – Przegralismy, Urthanku. Ten atak od tylu nas wykonczyl, a teraz atakuja rowniez od frontu. Jak wielu naszych ludzi musi jeszcze zginac za pozycje, ktorej nie mozemy utrzymac?

–Ale jesli sie poddasz, Krag... – Urthank byl coraz bardziej zaniepokojony.

–Sluzylem Swiatyni od dzieciinstwa. Jesli Krag zazada, mojej glowy za uratowanie glow moich ludzi, niech ja sobie wezmie. A teraz poproscie o rozejm!

–Tak jest, sir. – Urthank wpatrywal sie przez chwile w twarz Marhna, po czym odwrocil sie. – Slyszeliscie wysokiego kapitana! Poprosic o rozejm! – warknal i kolejny oficer pobiegl, by przekazac rozkaz dalej.

–Juz, chlopcze! – powiedzial Marhn, lapiac rannego gonca Rukhana, zanim sie przewrocil. Oparl mlodego mezczyzne o siebie, a potem ostroznie opuscil go na skladane krzeslo i znow spojrzal na Urthanku. – Wezwij uzdrowicieli, niech sie nim zajma – rozkazal.

Rozdzial 34

Porucznik Carl Bergren byl wdzieczny za swoje bioulepszenia. Bez nich pocilby sie tak bardzo, ze ochrona na pewno aresztowalaby go w chwili, gdy zglosil sie na swój dyzur.

Znow poczul przyplyw adrenaliny, lecz szybko go stlumil i powtorzil sobie w myslach, ze ryzyko jest do zaakceptowania. Gdyby wszystko wybuchlo komus w twarz, mogloby go czekac oskarzenie o rozmyslne zniszczenie cudzej wlasnosci i dyscyplinarne zwolnienie z wojska oraz piec do dziesieciu lat wiezienia. Ale przeciez nikomu nie stanie sie krzywda – musi tylko oddzielic pasazerow od ladunku – a nie kazdej nocy zwykly porucznik Floty Bojowej ma okazje zarobic osiem milionow kredytow. Taka zaplata to wystarczajaca rekompensata za ryzyko, jakie ponosil. Powiedzial to sobie tak stanowczo, ze gdy wszedl do sterowni i skinieniem glowy przywital porucznika Denga, jego usmiech wygladal calkiem naturalnie.

–Jestes dzis wczesniej, Carl. – Brytyjski akcent w ustach Chinczyka zawsze wydawal sie Bergrenowi dziwny.

–Tylko pare minut – odparl. – Komandor Jackson jest na Birhat, wiec zaparkowalem na jej miejscu.

–Za takie wykroczenie grozi sad wojskowy. – Deng rozesmial sie i przeciagnal. – No dobrze, poruczniku, panski tron czeka.

–Wielki mi tron! – prychnal Bergren. Opadl na fotel i podlaczyl sie do komputerow, aby sprawdzic natezenie ruchu. – Dzis nie ma zbyt wiele roboty.

–Jeszcze nie, ale ma przyjsc cos wyjatkowego z Narhan.

–Wyjatkowego? W jakim sensie? – Bergren zapytal nieco zbyt swobodnym tonem, lecz Deng na szczescie tego nie zauwazyl.

–Jakis priorytetowy ladunek do Palacu. – Wzruszyl ramionami. – Nie wiem, co to jest, ale odczyty masy sa calkiem duze, wiec lepiej miej oko na kondensatory bloku gamma. Przy najwyzszych obciazeniach mamy spadek mocy, a jeszcze nie udalo sie ustalic przyczyny.

–O? – Bergren sprawdzil dane na wypadek, gdyby Deng go obserwowal, ale juz wczesniej wiedzial o wahaniach mocy. – Masz racje – zauwazyl. – Dzieki. Bede mial na to oko.

–To dobrze. – Deng zebrał swoje rzeczy. – Poza tym wszystko w porzadku?

–Na to wyglada. Jestes wolny.

–Dzieki. Do zobaczenia jutro!

Deng wyszedl, a Bergren usadowil sie wygodniej i na jego ustach pojawil sie slaby usmiech. Nie mial pojecia, kim jest jego tajemniczy patron, ale to go nie obchodzilo... az do tej nocy. Kimkolwiek byl, placil wystarczajaco duzo, by starczalo mu na jego

zamilowanie do szybkich pojazdów i jeszcze szybszych kobiet, i to go zadowalało. Lecz usługi, które dotychczas wykonywał, były drobiazgami w porównaniu z tym, co miał zrobić dzisiejszej nocy.

Az do otrzymania ostatnich rozkazów nie zastanawiał się, jak potężny musi być jego nieznany pracodawca. Teraz zdał sobie sprawę, że przeprowadzenie czegoś takiego wymaga nie tylko pieniędzy. Trzeba mieć dostęp zarówno do ściśle tajnej technologii, jak też zabezpieczeń Centrum Shepard na najwyższych poziomach. Niewielu ludzi może mieć obie te rzeczy naraz, i porucznik już przygotował sobie w myślach listę możliwych kandydatów. W końcu osoba, która w przeszłości płaciła tak dużo za pomniejsze usługi, teraz zapłaci jeszcze więcej za jego milczenie.

Rozległ się cichy dźwięk i porucznik odsunął te myśli na bok, koncentrując się na swoich obowiązkach. Podłączył się do sieci komputerowej i porównał listę pokładową z ludźmi wchodzącymi na pokład trans-mat. Dwoje z nich teoretycznie miało nadbagaż, lecz ponieważ nie przekraczali maksymalnego możliwego obciążenia systemu, postanowił nie robić im żadnych problemów. Potem odpowiednio dostosował moc pola i dwa razy sprawdził obliczenia, zanim przesłał na Birhat hiperkomowe ostrzeżenie o transferze. Otrzymał odpowiedź, że na Birhat są gotowi przyjąć ograniczoną anomalie nadprzestrzenna, która miał właśnie stworzyć, więc posłał do komputera trans-mat kod startowy. Sterownia była doskonale wyciszona, ale i tak słyszał wycie ładujących się kondensatorów, a gdy trans-mat się uruchomił, odczyty gwałtownie podskoczyły. Kolejna grupa biurokratów zniknęła w potężnym, sztucznie stworzonym zagieciu czasoprzestrzeni. Stacja na Birhat nie mogła "zobaczyć" ich nadejścia, lecz ostrzeżona przez Bergrena, stworzyła w nadprzestrzeni olbrzymią pulapkę w kształcie leja. W odległości ponad osmiuset lat świetlnych nawet najpotężniejszy lej był nieprawdopodobnie małym celem, lecz obliczenia Bergrena pozwoliły mu bezbłędnie wrzucić biurokratów w jego paszczę. Potem mógł jak zawsze wyobrazić sobie, jak pasażerowie podskakują i odbijają się od ścian leja, a potem – natychmiast, jak im się wydawało, lecz dla zegarów całej reszty wszechświata 8,5 sekundy później – pojawiają się na odległym Birhat.

Pokiwał głową, gdy siedemnastę sekund później rozległ się z Birhat sygnał odbioru. Zanotował rutynowy tranzyt w logu i sprawdził harmonogram. Tego wieczoru ruch nie był zbyt wielki i z każdą godziną stawał się coraz mniejszy. Stacja w Centrum Shepard była zaledwie jednym z sześciu trans-mat na Ziemi i obsługiwała głównie Amerykę Północną, choć zdarzało się też całkiem dużo przesyłek tranzytowych z Narhan na Birhat i odwrotnie. Obecnie w Fenix na Birhat było późne przedpołudnie, a w Andhurkahn na Narhan wczesny wieczór. Miał jeszcze całe pięć minut do kolejnej zaplanowanej transmisji, więc znowu mógł pograć się w myślach.

Lawrence Jefferson siedział w gabinecie w swoim domu. Ekran jego komunikatora

był podzielony na dwie części i pokazywał inny punkt trans-mat, oddalony o połowę planety od Bergrena. Na jednej połowie widac było sterownię stacji, a na drugiej oczekujący na platformie wielki, pokryty brezentem przedmiot. Jefferson nalal sobie jeszcze trochę sherry i dalej obserwował oba te obrazy. Nikt po drugiej stronie nie wiedział, że ich podpatruje – w końcu jako zastępca gubernatora Ziemi miał dostęp do najlepszej techniki. Jego połączenie zostało ustanowione przez zabezpieczony komunikator przestrzeni złożonej, który zgodnie z przypadkowym wzorcem zmieniał częstotliwość nadprzestrzenna dwa razy na sekundę. Jego wykrzyki były więc niemal niemożliwe, a w połączeniu z fizycznymi przekaznikami, które także zmieniał, podłączenie się do niego lub wysłanie go było całkowicie niemożliwe. Poza tym gdyby ktoś przypadkiem na niego wpadł, przekazałby informacje do Ministerstwa Bezpieczeństwa, prawda?

Rozesmiał się na te myśli i pociągnął łyk sherry, przyglądając się poruszeniom w sterowni. Nikt – poza ludźmi, którzy ją wybudowali i obsadzili – nie wiedział nawet o jej istnieniu, a zaledwie troje z nich było tego wieczoru na służbie. Pozostała trojka zginęła w tragicznym wypadku przed niemal dwoma laty, i choć ich śmierć była silnym ciosem, koledzy bez trudu przejęli ich obowiązki. Teraz jego starannie dobrani technicy sprawdzali swoje wyposażenie, gdyż zbliżająca się transmisja – jedyna, której miała dokonać ta stacja – musiała być przeprowadzona idealnie.

Jefferson nigdy nie przyznałby się, że jest człowiekiem nerwowym. Nie byłoby to zresztą prawdą, gdyż określenie "nerwowość" zupełnie nie oddawało tego, co czuł tego wieczoru. Nadchodził absolutnie krytyczny moment, który uczyni go cesarzem ludzkości – jeśli się powiedzie – dlatego lekowi towarzyszyło gorączkowe oczekiwanie. Pracował na te chwile ponad dziesięć lat – dwadzieścia pięć, jeśli liczyć od pierwszego kontaktu z Anu – i nawet jeśli trochę się bał, że się nie uda, jego dusza hazardzisty nie mogła się doczekać chwili, gdy rzuci kości.

To dziwne, lecz w pewnym sensie byłoby mu przykro, gdyby się powiodło. Nie dlatego, że nie chciał korony, i na pewno nie dlatego, że żałował tego, co musi uczynić, by ją zdobyć, ale dlatego, że to oznaczałoby koniec gry. Jeśli uda mu się dokonać najbardziej brawurowego przewrotu w historii ludzkości, nawet nie będzie mógł z nikim się podzielić swoim osiągnięciem.

Potrząsnął głową nad ironią losu i lekko się uśmiechnął. To ten jego charakter, powiedział sobie, sprawia, że nigdy nie jest całkowicie zadowolony, niezależnie od tego, jak dobrze wszystko idzie. Mimo ograniczeń zawsze chce więcej, ale teraz podejrzewał, że będzie musiał się zadowolić władzą absolutną.

Bergren wyprostował się na krześle, gdy do terminalu weszło pięciu Narhan z wielkim, pokrytym brezentem przedmiotem na anty-grawitacyjnym wózku. Centaury

pochylili się nad cieżarem, bardzo ostrożnie umieścili go na platformie i otoczyli kregiem. Porucznik przełknął nerwowo ślinę, wydając komendę podsieci zasilania. Był to rutynowy rozkaz przeprowadzenia testów, lecz tym razem miał również mieć inny skutek, i Bergren skrzywił się, gdy sztucznie wywołany skok napięcia przeszedł przez blok gamma kondensatorów i rozległ się głośny alarm.

Narhanie na platformie podnieśli wzrok i zaczęli obracać głowami, gdyż wysoki dźwięk ranil ich uszy. Bergren posłał szybkie rozkazy do komputera, by wyłączył brzęczyk, a później pochylił się nad mikrofonem.

–Przepraszam, panowie – powiedział. – Właśnie straciliśmy jeden z głównych bloków kondensatorów. Dopoki go ponownie nie uruchomimy, nasza ładowność wynosi osiemdziesiąt procent maksymalnego udźwigu.

–Co to oznacza? – spytał najstarszy Narhanin, a Bergren wzruszył ramionami na potrzeby kamer w pokoju kontroli bezpieczeństwa sterowni.

–Obawiam się, że to oznacza, iż przekraczacie limity dostępnej mocy, sir – powiedział spokojnie.

–Czy możemy przenieść się na inną platformę?

–Myślę, że to nie ma znaczenia, sir. Jak wiecie, ten system pochłania wiele energii i przy tak wielkiej masie każda z platform korzystałaby z tej samej rezerwy, więc równie dobrze możecie pozostać tu, gdzie jesteście.

–Ale czy to oznacza, że nie możesz przesłać naszego ładunku? – Narhanin wydawał się zmieszany i Bergren ukrył uśmiech.

–Nie, sir, po prostu nie mogę wysłać całego ładunku jednocześnie. Będzie musiał wyekspediować wasze cargo jedną transmisją, a później pana i innych członków grupy drugą, to wszystko.

–Rozumiem.

Rzecznik Narhan i jego towarzysze przez chwilę "rozmawiali i cicho w swoim języku. Bergren nie miał pojęcia, co to za przedmiot, któremu towarzysza, lecz wiedział, że sa oddziałem zabezpieczenia, dlatego starał się siedzieć spokojnie, ukrywając wszelkie ślady zaniepokojenia tym, co mogliby zdecydować. Wreszcie rzecznik podniósł wzrok i zwiększył głośność syntezy mowy.

–Czy możemy posłać chociaż jednego z nas razem z ładunkiem?

–Obawiam się, że nie, sir. Będziemy w granicach dostępnej mocy, a przepisy nie pozwalają mi wysłać pasażerów w takich warunkach.

–Czy nasz ładunek jest w niebezpieczeństwie? – Pytanie było bardzo przenikliwe jak na Narhanina.

–Nie, sir – uspokoił go Bergren – pod warunkiem, że nie jest żywy. Przepisy są tak restrykcyjne, ponieważ wahania mocy, które nie zaszkodzą przedmiotom nieożywionym, mogą poważnie uszkodzić system nerwowy żywych pasażerów. To niezbędne zabezpieczenie.

–Rozumiem. – Rzecznik znowu spojrzał na swoich towarzyszy, po czym poruszył grzebieniem w geście oznaczającym wzruszenie ramionami. – Wolelibysmy zaczekać, aż wasze systemy zasilania zostaną naprawione – powiedział – lecz nasz plan jest napięty. Czy możesz nas zapewnić, że ładunek dotrze na miejsce nieuszkodzony?

–Tak, sir – odparł Bergren pewnym głosem.

–No dobrze – westchnął Narhanin. Znowu powiedział coś do towarzyszy w swoim języku i cała piątka zeszła z platformy, przekraczając linie bezpieczeństwa.

–Dziękuję, sir – powiedział Bergren i jego komunikator wysłał krótką, przygotowaną wcześniej wiadomość do oczekującego przekaznika. Zaczął szykować się do transmisji.

–Alarm – powiedziała cicho kobieta w sterowni na ekranie Jeffersona. Dwaj mężczyźni przy głównej konsoli pokiwali głowami, nie podnosząc nawet wzroku, i jeden aktywował zamaskowane czujniki obserwujące Centrum Shepard z orbity.

–Dobry sygnał – oznajmił jego towarzysz beznamietnym głosem człowieka koncentrującego się na łączu neuralnym. – Mamy moc ich pola.

–Synchronizator uruchomiony – powiedział trzeci technik. – Moc znamionowa. Przechodzę na tryb automatyczny.

Carl Bergren obserwował odczyty przez łącze. To była ta trudna część zadania, za którą miał otrzymać tyle kredytów. Ustawienia powinny być niemal właściwe. Rozciągnął wargi, które próbowały się wykrzywić w grymasie napięcia. Poziom mocy nie był optymalny dzięki awarii bloku gamma, i porucznik bardzo ostrożnie zmniejszył ładunek bloku delta. Odrobina, niemal niezauważalnie. Lecz to wystarczy – jeśli ten, kto kieruje drugą stroną, wszystko poprawnie obliczył – więc wysłał sygnał na Birhat i czekał na odpowiedź.

Lawrence Jefferson pochylił się w stronę komunikatora, sciskając w reku kieliszek. Jego serce walilo. To ta chwila. Ten moment, do którego tak długo dążył.

–Ich pole się gromadzi – mruknął technik od czujników. – Wygląda dobrze... Wygląda dobrze... Zaczekac... Zaczekac... Nadchodzi szczyt... Teraz!

Carl Bergren wysłał kod uruchamiający i kondensatory zawyły. Zasłonięty przedmiot na platformie znikł, gdy trans-mat wysłał w nadprzestrzeń potężny impuls mocy, a on wstrzymał oddech. Transmisja, którą wysłał, była o cztery milionowe procenta za słaba, by dotrzeć na Birhat. Utracił moc dwadzieścia minut świetlnych od leja platformy odbiorczej, lecz nikt się nie dowie, jeśli...

W sterowni na ekranie Lawrence'a Jeffersona panowała całkowita cisza – personel zamarł. Nawet trans-mat nie działał natychmiast na odległość ponad osmiuset lat świetlnych, i Jefferson wstrzymał oddech w oczekiwaniu.

Rozległ się cichy dźwięk i Carl Bergren głęboko odetchnął – operator trans-mat na Birhat potwierdził odbiór. Udało się! Ten ktoś po drugiej stronie połączenia nie ma pojęcia, że ktoś inny podłączył się do systemu. Myśli, że otrzymał transmisję od Bergrena.

Porucznik powstrzymał się przed otarciem potu z czoła. W głębi duszy nie wierzył, że jego pracodawcy się uda, i z trudem ukrywał uniesienie, gdy uruchomił mikrofon.

–Birhat potwierdził odbiór, sir – powiedział rzecznikowi Narhan. – Jeśli wejdziecie na platformę, mogę również was przesłać.

–Udało się! – wykrzyknął ktoś radośnie. – Przyjeli transmisję!

Obsługa nielegalnej stacji trans-mat Jeffersona gwizdała i klaskała, a zastępca gubernatora sprawdził komputer podłączony do komunikatora. Dobrze. Dokładne dane transmisji, która przypadkiem miała te same kody identyfikacyjne co porucznika Bergrena, zostały zachowane. Będzie musiał zaczekać na zaplanowane na następny tydzień załadowanie danych Centrum Shepard, zanim zastąpi nimi zapis logu Bergrena w odniesieniu do tej transmisji, lecz ta część procedur została już sprawdzona i okazała się bezpieczna. Oczywiście wolałby szybciej podmienić dane, lecz nic nie mógł na to poradzić – odczyty masy transferu udowodniłyby, że rzeźba,

ktora otrzymał Birhat, nie była jednolitym blokiem marmuru, który Bergren właśnie zniszczył. A żeby jego pożar Reichstagu był skuteczny, Flota Bojowa musi odkryć ten fakt dopiero wtedy, kiedy nadejdzie czas.

Usmiechnął się na te myśli, po czym znów spojrzął na obraz tajnej sterowni i świętujący personel. Otworzyli już butelki szampana i napełniali kieliszki, gadając i śmiejąc się, w końcu rozluźnieni po tak długim okresie napięcia. Ciężko pracowali dla tej sprawy – i oczywiście stery kredytów, którą obiecał im Jefferson – i zasługiwali na swoją chwilę triumfu. Zastępca gubernatora usadowił się wygodnie z westchnieniem ulgi. Pozwoli im świętować jeszcze parę minut, zanim nacisnie przycisk.

Ladunki wybuchowe zainstalowane na jego polecenie przez trójkę niezwykłych już techników zostały zdetonowane. Ktoś z personelu zdążył jeszcze wrzasnąć z przerażenia, nim spadający dach podziemnej instalacji zmienił jego i jego towarzyszy w miążgę.

Carl Bergren sumiennie wprowadził do systemu pełen raport o awarii bloku kondensatorów i bez żadnych dalszych niespodzianek zakończył swoją zmianę. Przekazał obowiązki zmiennikowi, po czym minął stanowiska ochrony i podszedł do swojego pojazdu, analizując w myślach całą operację. Ktokolwiek to zorganizował, musiał mieć nieprawdopodobne doświadczenia i równie niesamowite zasoby. Musiał mieć dostęp do harmonogramów transferów na całe tygodnie wcześniej, by upewnić się, że Bergren będzie na służbie, kiedy ta transmisja nadejdzie. Potem musiał mieć kogoś, kto uszkodzi kondensatory i upewni się, że sabotaż nie zostanie wykryty. I musiał mieć środki, by wybudować własny trans-mat i monitorować system Centrum Shepard, aby doskonale umiejscowić swoją własną transmisję.

To wielka sprawa, pomyślał Bergren, otwierając drzwiczki, wsiadając do środka i usadowiając się na fotelu pilota. Naprawdę wielka i nie mógł tego wszystkiego dokonać więcej niż tuzin ludzi – a pewnie nawet mniej. Teraz musi tylko się domyslić, kto to zrobił, i mały Carl Bergren będzie mógł żyć na całego aż do końca życia.

Usmiechnął się i włączył naped, a wtedy wybuch wysadził w powietrze dwa poziomy parkingi i rozerwał na kawałki trzydziestu sześciu przypadkowych przechodniów. Czterdzieści minut później anonimowy rzecznik Miecza Boga przyznał się do dokonania tego zamachu.

Rozdział 35

Resztki gryzącego prochowego dymu rozwiały się i Sean MacIntyre przyglądał się teraz scenierii, którą już zbyt dobrze znał. Jedyne, co się zmieniło, to barwy strojów

trupow, pomyslal z gorycza. Wschodnia grupa Strazy liczyla zaledwie czterdziestu tysiecy ludzi, ktorzych trzymano na zapleczu, by chronic sama Swiatynie, i obecnie walczyli z armiami swieckich lordow.

Jego wojsko opuscilo w koncu doline Keldark i, tak jak sie spodziewal, okrazalo teraz przeciwnikow. Wysoki kapitan Terrahk wycofal sie do Bariconu, lecz brakowalo mu ludzi, by powstrzymac atak z zachodu, wiec kiedy Tamman przebil sie przez wylom z pietnastoma tysiacami ludzi i otoczyl jego flanke, Terrahk znowu musial sie cofnac. Proba obrony kosztowala go cala tylna straz – kolejnych osiem tysiecy ludzi (wiekszosc z nich zostala pojmana, a nie zabita) – i w ten sposob Sean przebil sie na rowniny ksiestwa Keldark.

Otwarta przestrzen dawala im wieksza mozliwosc manewru, ale kazda proba natarcia oddalala ich od doliny i narazala jego linie zaopatrzenia na kontratak. Moglby je umocnic, ale tylko kosztem swojej armii, a to z kolei ograniczyloby mozliwosci prowadzenia dalszego natarcia.

Westchnal i powoli ruszyl. Jego branahk smutno zagwizdal, czujac smrod pobojowiska. Sean podzielal jego niesmak. Ktos, kto dowodzil silami Swiatyni w tej ostatniej bitwie, powinien zostac rozstrzelany, pomyslal ponuro. Wyslanie czterdziestu pieciu tysiecy pikinierow i zaledwie dziesieciu tysiecy muszkieterow, by stawili mu czola na otwartej przestrzeni, bylo jednoznaczne z poslaniem ich prosto pod topor kata.

Gdyby Sean uzbroil swoich ludzi w klasycznej pardalskiej proporcji liczby pik do broni palnej, moglby wystawic niemal cwierec miliona ludzi, o co zreszta Swiatynia go podejrzewala. Mieli bron, ktora zdobyli na malagorskich Straznikach, i wlasciwie cala bron Swietych Zastepow marszalka Rokasa, wlaczajac w to artylerie, lecz Sean wolal wezwac tylko tyle posilkow, by wystawic szescdziesiat tysiecy piechoty i dragonow oraz dwiescie dzial. Dwie setki batalionow strzelcow, w wiekszosci weteranow z Yortown, Erastoru i Bariconu, wspierane przez sto piecdziesiat arlakow i piecdziesiat chagorow, wystarcza, by wyrznic swieckie armie Keldarku, Camathanu, Sanku i Walaku. Opanowali juz cala polnocnowschodnia czesc Polnocnego Hylaru, od Shalokarow az do morza, i Sean zastanawial sie posepnie, ilu ludzi jeszcze musi zginac, zanim Swiatynia zgodzi sie negocjowac. Bog wie, ze on i Stomald prosili o to – niemal blagali – juz od upadku Erastoru! Czy Wewnetrzny Krag nie moze zrozumiec, ze oni nie chca zabijac ich zolnierzy? Brashanowi wciaz nie udalo sie umiescic zadnych sond w stukilometrowej strefie wokol Swiatyni, wiec nie wiedzieli, co sie dzieje na naradach Vroxhana, lecz widac bylo, ze pralaci najwyrazniej woleli poslac kazdego zdolnego do walki mezczyzne w Polnocnym Hylarze na smierc, niz rozmawiac z wyznawcami demonow.

Armia Aniolow wiedziala o swojej przewadze taktycznej, podobnie jak jej dowodca, lecz mimo to liczba ofiar – zabitych i rannych – nie przekraczala tysiacy; wiekszosc

ludzi Seana na swój sposób dzieliła jego niechęć do mordowania wrogów. Ale z każdą kolejną bitwą ich nienawiść do Wewnętrznego Kregu rosła, chociaż anioły bardzo starannie unikały jakichkolwiek uwag o charakterze religijnym (one tylko popierały tęsknotę Malagorczyków do swobody sumienia), a od czasu, gdy Harry ujawniła prawdę, Stomald zaczął coraz mocniej mówić o politycznej tyranii Świątyni i jej olbrzymim bogactwie, które nikomu poza nią nie służy. Armia Aniołów chciała raz na zawsze wyrównać rachunki ze starcami z Aris, którzy wysyłali innych na śmierć, ale jeszcze bardziej chciała się ich po prostu pozbyć.

Sean schylił wodze i przyjrzał się przechodzącej obok grupie noszowych. Ranni, którzy mogli chodzić, wlekli się za nimi. Harry, kierowana przez Brashana i komputery medyczne Izraela, uczyła malagorskich chirurgów rzeczy, które wcześniej wydawały im się niemożliwe. Samo wprowadzenie eteru zrewolucjonizowało pardalską medycynę, ale Sean przysięgł sobie w duchu, że pierwszą rzeczą, jaką posle na Pardal z Birhat, będą jednostki medyczne ze sprzętem do regeneracji narządów. Nie mógł przywrócić do życia zmarłych, lecz, na Boga, mógł uratować tysiące okaleczonych po obu stronach barykady!

Skrzywił się, gdy pomyślał, czy nie jest to próba zagłuszenia poczucia winy. Wojna, która wraz z przyjacielami nieswiadomie rozpoczęli, kosztowała już ponad sto tysięcy ofiar na polu walki. Nie miał pojęcia, ilu ludzi zginęło od chorób, które zawsze dreczyły armie z epoki przedindustrialnej, i bał się nawet myśleć, jaka będzie ostateczna liczba ludzi, którzy stracili życie. Kiedy analizował każdy krok podróży, która doprowadziła ich do tego punktu, i rozważał możliwości ich działania, wciąż nie widział innej drogi, a mimo to śmierć i cierpienie wydawały mu się nieprzyzwoicie wysoka cena za bilet powrotny do domu dla piątki zagubionych wędrowców.

Odetchnął głęboko. Cena rzeczywiście była nieprzyzwoicie wysoka, dlatego nie zapłaci już więcej, niż musi. Świątynia ignoruje jego semaforowe propozycje rozejmu i nie chce przyjmować jego kurierów – wyznawców demonów – ale on ma jeszcze jedną możliwość.

Wysoki kapłan Vroxhan siedział na tronie i miał taką minę, jakby chciał splunąć na towarzyszących mu mężczyzn. Wysoki kapitan Ortak, wysoki kapitan Marhn, wysoki kapitan Sertal... Lista była długa. Stało przed nim ponad pięćdziesięciu starszych oficerów – wszyscy pozostali przy życiu dowódcy armii, które wyznawcy demonów bezlitośnie zmiazdzyli – a on miał ochotę rzucić całą tę nieudolną bandę inkwizycji, tak jak na to zasłużyli.

Ale chociaż bardzo tego pragnął, a oni bardzo na to zasłużyli, nie mógł tego zrobić. Morale pozostałych przy życiu oddziałów było słabe i masowe egzekucje mogłyby ich przekonać, że Świątynia atakuje w ślepej desperacji. Poza tym lord marszałek Surak

wystąpił w ich obronie. Potrzebował obserwacji z pierwszej reki, by zrozumieć zmiany, jakie wprowadzili w sztuce wojennej ci przekleci wyznawcy demonów.

Przynajmniej tak twierdził. Vroxhan zamknął oczy i zacisnął pięści na oparciach fotela. Taka podejrzliwość wobec wszystkich to zły znak, pomyślał. Czy to oznacza, że jestem zdesperowany? Zmusił się do otwarcia oczu.

–Bardzo dobrze, Ortaku – warknął, celowo pomijając tytuł tego nieudacznika. – Opowiedz nam o wyznawcach demonów i ich warunkach.

Ortak skrzywił się, choć nie było tego za bardzo widac – jego twarz była obandażowana, podobnie jak kikut prawej reki – i zaczął bardzo ostrożnie mówić.

–Wasza świątobliwość, ich przywódcy kazali mi powiedzieć, że proszą tylko, byś z nimi porozmawiał. I... – odetchnął głęboko – lord Sean powiedział, żeby wam przekazać, że możecie rozmawiać z nim teraz albo wśród ruin tego miasta, lecz w końcu i tak z nim porozmawiacie.

–To bluźnierstwo! – wykrzyknął stary biskup Corada. – To miasto Boga! Ten, kto ma konszachty z siłami Piekiel, nie zdobędzie go!

–Wasza łaskawość, powtarzam tylko to, co powiedział lord Sean, a nie to, co może zrobić – odparł Ortak. Najwyraźniej jego zdaniem heretycy mogli zdobyć nawet Świątynię – i Vroxhana swierzbila reka, by go uderzyć.

–Spokoj, Corado – wychrypiał jednak i biskup zamilkł. Wyglądził wiadomość, którą przyniósł na piersi Ortak, wpatrywał się w nią przez chwilę, po czym znów spojrzał na wysokiego kapitana. – Opowiedz mi o tym lordzie Seanie i innych przywódcach heretyków.

–Wasza świątobliwość, nigdy nie widziałem im podobnych – stwierdził otwarcie Ortak, a inni uwolnieni jency pokiwali głowami. – Mężczyzna, którego zwa lordem Seanem, jest olbrzymem o głowę i ramiona wyższym od najwyższego meza, jakiego w życiu widziałem, a oczy i włosy ma czarniejsze niż noc. Ten, którego zwa lordem Tammanem, jest niższy i wygląda mniej dziwnie, pomijając ciemny odcień skóry. Wszyscy słyszeliśmy opowieści – naszych ludzi, którzy widzieli ich w bitwie, a nie tylko heretyków – o ich cudownej sile.

–Sean, Tamman – prychnął Vroxhan. – Co to za imiona?

–Nie wiem, wasza świątobliwość. Ich ludzie mówią... – Ortak zagryzł wargę.

–Co "ich ludzie mówią"? – zamruczał biskup Surmal i Ortak przelknął ślinę, widząc minę wysokiego inkwizytora.

–Wasza laskawosc, powtarzam tylko to, co mowia heretycy – powiedzial i zamilkl. Wreszcie wysoki kaplan Vroxhan przerwal cisze.

–Rozumiemy – powiedzial zimno – i nie uwazamy cie za odpowiedzialnego za klamstwa, ktore inni opowiadaja. – Nie powiedzial, zauwazyl Ortak ze scisnietym zoladkiem, za co moga go obarczyc odpowiedzialnoscia, lecz w tym momencie byl gotow przyjac kazda laske.

–Dziekuje, wasza swiatobliwosc – powiedzial i odetchnal gleboko. – Heretycy mowia, ze ci mezczyzni sa wojownikami z krainy, ktorej nie znamy, wybranymi na ich przywodcow przez... tak zwane anioły. Mowia, ze nowa bron i taktyka zostaly im dane przez lorda Seana i lorda Tammana. I ze obaj zostali dotknieci przez Boga i nie mozna ich nigdy pokonac.

Zebrani pralaci sykneli, a Ortak poczul, ze poci sie pod bandazami. Mimo ran staral sie stac jak najbardziej prosto i wytrzymac plonace spojrzenie wysokiego kaplana, i modlil sie, by Vroxhan dotrzymal obietnicy i rzeczywiscie nie pociagnal go do odpowiedzialnosc.

–Aha – powiedzial w koncu wysoki kaplan lodowatym glosem. – Zauwazylem, Ortaku, ze nie wspomniales jeszcze o tych tak zwanych aniolach. – Vroxhan usmiechnal sie niebezpiecznie. – Wiem, ze je widziales. Opowiedz nam o nich.

–Wasza swiatobliwosc, widzialem je – przyznal Ortak – lecz nie moge powiedziec, kim tak naprawde sa.

–W takim razie kim sie wydaja? – warknal Surmal.

–Wasza laskawosc, zdaja sie podobne do niewiast. Sa dwie: aniol Harry i aniol Sandy. – Rozlegl sie szmer zdziwienia z powodu tych obco brzmiacych imion, ale wysoki kapitan mowil dalej, skoro juz zaczal. – Ta zwana Sandy jest nizsza i ma krotkie wlosy. Z tego, co udalo mi sie dowiedziec, wynika, ze to ona rozgromila Straz wyslana pierwotnie do stlumienia herezji i ze to ona i lord Sean sa prawdziwymi przywodcami heretykow. Ta, ktora zwa Harry, jest wyzsza niz wiekszosc mezczyzn i... – wybaczcie mi, wasza laskawosc, ale sami pytaliscie – niezwykle piekna, mimo ze nosi przepaske na oku. Heretycy mowili nam, ze to ona zostala zraniona i pojmana przez wiesniakow z Konca Grani, a ta, ktora zwa Sandy, wyruszyła jej na pomoc.

–A czy powiedzialy ci, ze sa poslancami Boga? – spytal Surmal.

–Nie, wasza laskawosc – odparl ostroznie Ortak.

–Co?! – Vroxhan poderwal sie na rowne nogi i spojrzal ze zloscia na wysokiego kapitana. – Ostrzegam cie, Ortaku! Mamy wiadomosci od samego zdrajcy Stomalda, ktory twierdzi, ze nimi sa!

–Rozumiem, wasza swiatobliwosc – Ortak mial sucho w ustach, jednak udalo mu sie zachowac spokoj – lecz biskup Surmal pytal, co one same mowia. Nie rozmawialem z nimi, lecz nawet ich wyznawcy wydaja sie zaskoczeni ich uporem, by nie nazywac ich aniolami. Heretycy i tak to robia, lecz jedynie miedzy soba, nigdy nie zwracaja sie w ten sposob do an... do tak zwanych aniolow.

–Ale... – wtracil Corada – wiemy z raportow, ze przez caly czas nosza swiete szaty! Czemu to robia, skoro twierdza, ze nie sa aniolami? I dlaczego heretycy podazaja za tymi, ktorzy mowia, ze sa jedynie zwyklymi smiertelnikami? Czego chca od nas ci szalency?

–Wasza laskawosc, nie moge wam powiedziec, czemu nosza te szaty ani dlaczego heretycy za nimi podazaja, lecz lord Sean powiedzial mi osobiscie, ze on i jego towarzysze ruszyli heretykom na pomoc tylko dlatego, ze Matka Kosciol oglosila przeciwko nim Swieta Wojne.

–To klamstwa! – zaryczal Surmal. – My jestesmy Matka Kosciolem, wybranymi przez Boga pasterzami jego ludu! Kiedy herezja sie budzi, musi zostac zmiadzona az do korzeni, gdyz inaczej cale ciało ludu Boga zostanie zatrute, a jego dusza na zawsze bedzie potepiona! Ten, kto sie nam przeciwstawia, przeciwstawia sie samemu Bogu, i cokolwiek twierdzi ten lord Sean, on i jego towarzysze sa – musza byc! – demonami zeslanymi po to, by nas wszystkich zniszczyc!

–Wasza laskawosc – odpowiedzial cicho Ortak – nie zostalem powolany do kaplanstwa, lecz by sluzyc Bogu jako zolnierz, w zgodzie z rozkazami Swiatyni. Nie mowie wam, w co wierze, lecz co mi powiedzial lord Sean. Pozostawiam wam do oceny, wasza laskawosc, czy sklamal, ja moge jedynie odpowiadac na wasze pytania najlepiej jak potrafie.

Vroxhan uniosl dlon, powstrzymujac gniewna odpowiedz Surmala, i przez ponad minute siedzial z przymknietymi oczami.

–Dobrze, Ortaku – powiedzial wreszcie – mow jak zolnierz. Jak oceniasz tego lorda Seana jako zolnierz?

Nie odrywajac spojrzenia od wysokiego kaplana, Ortak powoli i z trudem opadl na kolana. Wysoki kapitan Marhn osmielil sie narazic na gniew zebranych pralatow, pomagajac rannemu dowodcy.

–Wasza swiatobliwosc, niezaleznie od tego, czy on jest heretykiem, czy nie, wyznawca demonow czy ich pomiotem, mowie wam, ze przez sto pokolen nie narodzil sie na Pardal rowny mu dowodca. Skadkolwiek pochodzi i jakiegokolwiek jest zrodlo jego wiedzy, jest mistrzem w swoim fachu, a ludzie, ktorzy dowodzi, podaza za nim przeciwko kazdemu wrogowi.

–Nawet przeciwko samemu Bogu? – spytał bardzo cicho Vroxhan.

–Przeciwko każdemu wrogowi, wasza świątobliwość – powtórzył Ortak. – Twierdzą, że żaden kapitan Straży nie może dorównać temu meżowi, i nie mówię tego po to, by usprawiedliwić swoją porażkę lub siebie ratować. Jako żołnierz znam jedynie sztukę walki, wasza świątobliwość, lecz znam ją dobrze. Zróbcie ze mną to, co zechcecie, lecz na miłość Matki Kościoła i Wiary, błagam, byście nie lekcewżyli tego meża. Boję się, że gdyby nawet wszyscy Straznicy z obu Hylarow, Herdaany i Ishar zebrali się w jednym miejscu, i tak by ich pokonał. Być może jest demonem, lecz jako dowódca nie ma sobie równych na całym Pardal.

Kleczący kapitan pochylił głowę i sala wypełniła ciszą.

–A wiec nasz wrog w koncu ma twarz i imie – powiedzial cicho Vroxhan. Wycofal sie wraz z Wewnetrznym Kregiem i lordem marszalkiem Surakiem do sali narad.

–Ale tak naprawde nic nam to nie daje – odparl ponuro Corada. – Jesli Ortak ma racje...

–Nie ma racji! – warknal Surmal i odwrocil sie do Vroxhana. – Zadam oddania Ortaka swietej inkwizycji, wasza swiatobliwosc! Niezaleznie od tego, co zrobil lub czego nie zrobil, jest potepiony za szacunek, jakim darzy tego demona. Dla dobra Matki Kosciola i swojego wlasnego musi odpowiadac przed inkwizycja!

Surak poruszyl sie niespokojnie i Vroxhan spojrzal na niego.

–Nie zgadza sie pan, lordzie marszalku? – spytal groznym tonem.

–Wasza swiatobliwosc, jesli Krag uzna, ze Ortak musi odpowiadac, niech tak sie stanie, ale zanim podejmiecie decyzje, blagam, byscie starannie rozwazyli jego slowa.

–Zgadzasz sie z nim?! – warknal Corada.

–Tego nie powiedzialem, wasza laskawosc. Powiedzialem tylko, ze musicie rozwazyc jego slowa. Ortak jest najbardziej doswiadczonego oficerem, ktory spotkal wyznawcow demonow i rozmawial z nimi. Byc moze to zepsulo jego dusze i sprowadzilo go na sciezke potepienia, jednak dzieki niemu mamy informacje z pierwszej reki na temat przywodcow heretykow. I... – tu Surak spojrzal na Surmala – z calym szacunkiem, wasza laskawosc, ukaranie go nie sprawi, ze wszystkie prawdy, ktore wypowiedzial, stana sie nieprawda.

–Prawda? Jaka prawda?! – spytal ostro Vroxhan, zanim Surmal zdazyl odpowiedziec.

–Prawda, ze wyznawcy demonow pokonali wszystkie armie, ktore przeciwko nim poslalismy... i ze nie mamy juz zadnej armii, wasza swiatobliwosc. – Zapadlo smiertelne milczenie, a Surak mowil dalej ponurym glosem. – Mam czterdziestci tysiecy Straznikow do obrony samej Swiatyni. Poza nimi w calej wschodniej czesci Polnocnego Hylaru jest mniej niz dziesiec tysiecy zolnierzy Strazy. Swieccy panowie z polnocy zostali pokonani – nie, zostali zmiazdzeni – tak samo jak lord marszalek Rokas i wysoki kapitan Ortak, a wraz z nimi wieksza czesc zaciagu z Telis, Eswyn i Tarnahku. Mamy piecdziesiat tysiecy Strazy na zachod od przeleczy Thirgan i kolejnych siedemdziesiat tysiecy w Poludniowym Hylarze, jednak oni moga tutaj dotrzec jedynie statkami, dlatego sprowadzenie znaczacych sil zajeloby wiele pieciodni. Swieckie armie z pozostalych wschodnich krajow licza nie wiecej niz szescdziesiat tysiecy ludzi. Oni oraz zolnierze strzegacy Swiatyni to wszystko, co mozemy wystawic przeciwko heretykom, a kazdy oficer, ktory powrocil z Ortakiem,

mowi to samo na temat armii wyznawcow demonow: jest o wiele mniejsza, niz wskazywaly nasze pierwotne szacunki, lecz kazdy mezczyzna jest uzbrojony w strzelbe, ktora ni, mniej ni wiecej, tylko strzela szybciej niz joharn.

–Co to oznacza? – spytal Vroxhan, kiedy lord marszalek umilkl.

–To oznacza, wasza swiatobliwosc, ze nie moge ich powstrzymac – przyznal Surak glosem przypominajacym miazdzony zwir. – Panowie, jestem waszym glownodowodzacym i moim obowiazkiem przed obliczem samego Boga jest powiedziec prawde, a ta prawda jest taka, ze jakims sposobem – nawet nie udaje, ze wiem jakim – ten lord Sean stworzyl armie, ktora moze zmiazdzyc wszystkie sily Pardal.

–Ale my jestesmy wojownikami Boga! – krzyknal Corada. – On im nie pozwoli nas pokonac!

–Na razie pozwolil, wasza laskawosc – odparl Surak glosem bez wyrazu. – Dlaczego On pozwolil, by tak sie stalo, nie moge powiedziec, lecz udawanie, ze jest inaczej, byloby pogwalceniem zlozonej przeze mnie przysiegi, by ze wszystkich sil sluzyc Bogu i Swiatyni. Szukalem odpowiedzi, panowie, w modlitwie i medytacji, jak rowniez w mapach i rozmowach z oficerami, ale zadnej nie znalazlem. Obecnie heretycy znajduja sie mniej niz trzy pieciodnie marszu od Swiatyni, a ostatnia armia stojaca im na drodze zostala juz zniszczona. Jesli rozkazecie, zbioro wszystkich ludzi ze Swiatyni i tych, ktorzy pozostali ze swieckich armii, i stocze bitwe z heretykami, a moi zolnierze i oficerowie zrobia wszystko, co w mocy smiertelnikow. Jednak moim obowiazkiem jest powiedziec, ze moze nas byc mniej niz heretykow, i obawiam sie, ze nasza porazka bedzie calkowita, chyba ze sam Bog nas wspomoze.

–Zrobi to! Zrobi to! – krzyknal rozpaczliwie Corada.

Surak nic nie odpowiedzial, jedynie patrzyl na Vroxhana, a wysoki kaplan zacisnal piesci pod stolem. Mimo strachu wiedzial, ze lord marszalek powiedzial prawde. Dlaczego? Dlaczego Bog pozwolil, by tak sie stalo?

–Czy chce pan nam powiedziec, lordzie marszalku – odezwal sie w koncu starannie opanowanym glosem – ze Swiatynia Boga nie ma innego wyjscia, jak tylko poddac sie silom Piekla?

Surak zadrzal lekko, lecz nadal nie odrywal wzroku od Vroxhana.

–Mowie wam, wasza swiatobliwosc, ze ja i moi ludzie mozemy jedynie zginac w obronie Wiary, tak jak nam nakazuje przysiega. Uszanujemy te przysiege, jesli nie znajdzie sie inne rozwiazanie, jednak blagam was, panowie, byscie spojrzeli w glab waszych serc i pomodlili sie, gdyz nie sadze, by Bog i oczekiwal od nas udzialu w tak krwawej walce.

–A co... A jeśli przyjmujemy złożoną przez heretyków propozycję rozejmu? – spytał z wahaniem biskup Frenaur. Cały Krag spojrział na niego z przerażeniem, lecz biskup utraconego Malagom patrzył na nich z mocą, jakiej u niego nie widzieli od czasu Yortown. – Nie chodzi mi o to, byśmy przyjęli ich warunki. Lord marszałek mówi, że jego siły są zbyt małe, by ich pokonać w bitwie, więc jeśli udamy, że chcemy z nimi negocjować, będziemy mogli zająć zawieszania broni. W ten sposób zyskamy trochę czasu, by nasze siły z zachodniej części Polnocnego Hylaru i innych krain zdążyły do nas dotrzeć!

–Negocjować z siłami Piekieł?! – wykrzyknął Surmal. – Nasze dusze byłyby...

–Zaczekaj, bracie – przerwał mu Corada. – Być może Frenaur ma rację. – Wysoki inkwizytor spojrział na niego ze zdumieniem, lecz starzec mówił dalej. – Bóg wie, jakie niebezpieczeństwo nam grozi. Czy nie oczekuje od nas, byśmy zrobili wszystko, co można, nawet udawali, że układamy się z demonami, by zyskać trochę czasu, a potem ich zmiąć?

–Wasza łaskawość – powiedział łagodnie Surak – wątpię, by heretycy wpadli w taką pułapkę. Ich informacje są diabelnie dokładne. Bada wiedzieli, że ściągamy dodatkowe siły, i zadziałają, zanim my zdążymy to zrobić. Wybaczcie mi, panowie, lecz muszę powtórzyć raz jeszcze: nawet gdybyśmy zebrali wszystkie nasze siły, boję się, że ich armia mogłaby nas pokonać w bitwie.

–Zaczekaj. Zaczekaj, lordzie marszałku – mruknął Vroxhan; w jego głowie klebiły się różne myśli. – Być może to właśnie jest boża odpowiedź na nasze modły – powiedział powoli, zdecydowanie, i jego spojrzenie spoczęło na twarzy Suraka. – Mówisz, że nie możemy pokonać tego lorda Seana w bitwie, lordzie marszałku?

–Tak, wasza świątobliwość – odparł ponuro oficer.

–W takim razie być może nie będziemy stawiać im czoła w bitwie – powiedział Vroxhan z zimnym uśmiechem.

Rozdział 36

–To się wydaje zbyt pięknie, żeby było prawdziwe. – Sandy spacerowała po namiocie dowodzenia z rekoma splecionymi za plecami, mocno zaniepokojona.

–Dlaczego? – spytał Tamman. – Ponieważ właśnie o to prosiliśmy ich od tygodni?

–Ponieważ to nie pasuje do tego wszystkiego, co do tej pory robili!

–Być może nie pasuje, pani – odezwał się Stomald – lecz zgadza się z rozkazami, które przesłali swoim dowodcom. Może posłancy lorda Seana w końcu zmusili Vroxhana, by zobaczył prawdę.

–Hmmm. – Sandy nie wydawała się przekonana.

Sean oparł się wygodniej na składanym krześle. Podzielał jej ostrożność, lecz Stomald miał rację – ich sondy podejrzwały rozkaz Świątyni wysłany do wszystkich dowódców, by pozostali na miejscu aż do czasu otrzymania innych rozkazów. Lord marszałek Surak zatrzymał wszystkie swoje siły poza samym Aris, chociaż jeszcze niedawno próbowałściągnąć wszystkich zdolnych do walki na front.

Znow wziął do ręki list ze Świątyni, by jeszcze raz go przeczytać.

–Muszę się zgodzić ze Stomaldem i Tamem – powiedział w końcu. – Wszystko, co zaobserwowaliśmy, wskazuje, że rzeczywiście tego chcą.

–Być może, ale przecież nie widzieliśmy wszystkiego, prawda? – odparowała Sandy i spojrzała na Tibolda – jedynego człowieka w namiocie, który nie znał prawdy o ich pochodzeniu... i powodów, dla których nie mogli szpiegować samej Świątyni – a Sean niechętnie pokiwał głową. Ale, niech to diabli, wszystko do siebie pasuje, a on ma już serdecznie dosyć mordowania tej armii pionków!

–Tiboldzie? – Spojrzał na byłego Straznika. – Jesteś jedynym człowiekiem, który był w Świątyni i na własne oczy widział, jak działa ich dowództwo. Co o tym sądzisz?

–Nie wiem, panie – odpowiedział uczciwie Tibold. – Podobnie jak lady Sandy, nie mogę przestać myśleć, że to wygląda aż tak pięknie. Obiecali nam bezpieczny przejazd i zaproponowali zakładników, którzy gwarantowaliby bezpieczeństwo naszych negocjatorów. Pozwolili nawet przyprowadzić całą naszą armię pod mury Świątyni!

–A dlaczego by nie? – spytała Sandy. – Udowodnilismy, że możemy dostać się wszędzie, gdzie chcemy, i pokonać każdą armię, którą oni mogą wystawić, za to nie mamy machin oblężniczych. Ryzyko, że sforsujemy mury Świątyni, jest niewielkie, więc czemu mieliby nas nie zaprosić, skoro i tak nie mogą nas powstrzymać? Czy możecie wymyślić jakiś lepszy sposób, by skłonić nas do zbyt wielkiej pewności siebie?

–A zakładnicy? – wtraciła Harriet. – Proponują, że wyśle do nas jedna trzecia starszych oficerów Straży, stu wysokich kapłanów, dwudziestu biskupów i jednego członka Kregu! Czy zrobiliby to, gdyby nie mówili serio? Czy to takie dziwne, że chcą się dowiedzieć, czego właściwie pragniemy?

–Gdyby chcieli wiedzieć, wystarczyłoby, żeby nas zapytali całe miesiące temu!

–To prawda – zgodził się Sean – ale całe miesiące temu myśleli, że mogą nas zmieścić z powierzchnią ziemi. Teraz wiedzą, że im się to nie uda. Sytuacja się zmieniła i niczego nie można być pewnym, Sandy, poza tym, że w końcu zgodzili się na

negocjacje.

–To mi sie nie podoba – powiedziala ponuro. – A szczegolnie nie podoba mi sie, ze nie zaprosili Stomalda, za to chca widziec i ciebie, i Tama. Jesli dostana was obu, pozbawia armie przywodcow – dodala po angielsku, lecz Sean potrzasnal glowa.

–Teraz ty i Harry mozece poprowadzic wojska rownie dobrze jak Tam i ja – odpowiedzial w tym samym jezyku.

–Moze, ale czy oni o tym wiedza?

Sean nie zdazyl odpowiedziec, gdyz ubiegl go Stomald.

–Rozumiem twoja troske, pani, lecz teraz jestem czlowiekiem, ktorego nienawidza najbardziej na calym swiecie – zauwazyl. – Jesli jest ktos, kogo za wszelka cene pragna trzymac z dala od Swiatyni, to tym czlowiekiem jestem ja. Lord Sean i lord Tamman sa naszymi dowodcami, i jesli oni wola – a z listu wynika, ze tak – prowadzic rozmowy na tematy wojskowe, pomijajac na razie wszelkie kwestie doktrynalne, to wyłączenie mnie ma sens.

–Ojciec Stomald ma racje, pani – stwierdzil Tibold. – Zaproponowali zlozenie przysiegi na Boga i swoje dusze, a takich przysiaz zaden kaplan lekkomyslnie nie lamie.

Sandy spacerowala jeszcze kilka chwil, po czym opadla na skladane krzeslo.

–To mi sie nie podoba – powtorzyla. – Na kazda moja watpliwosc mozna znalezc logiczna – a przynajmniej przekonujaca – odpowiedz, ale oni zbyt szybko stali sie rozsadni, Seanie. Czuje, ze cos knuja.

–Byc moze – powiedzial lagodnie – lecz nie widze zadnego innego wyjscia, jak tylko dowiedziec sie, co planuja. Zabijamy ludzi, Sandy, cale tysiace, i jesli jest jakas nadzieja na powstrzymanie walk, to sadze, ze musimy sprobowac. Jesteśmy to winni tym ludziom.

Dziewczyna przez chwile siedziala nieruchomo, potem wzruszyla ramionami.

–Pewnie masz racje – stwierdzila. Jej cichy glos byl bardzo zmeczony.

–Przyjeli, wasza swiatobliwosc – powiedzial lord marszalek Surak.

Nie wygladal na szczegolnie zadowolonego, lecz mial swiadomosc, ze Vroxhan jest wybranym pasterzem ludu Boga i to jego obowiazek pokonac sily Piekla i zachowac

władze Bozego Kosciola, dlatego to, co musi w tej sprawie zrobic, nie moze byc zle, niezaleznie od tego, co on o tym sadzi. Kaplan stal przy oknie, obserwujac jaskrawe talmahki unoszace sie leniwie nad przekletemi ruinami Starozytnych i wypowiedal w myslach slowa modlitwy za wszystkich bozych meczennikow. Kiedy skonczyl, odwrocil sie do dowodcy Strazy.

–To dobrze, lordzie marszalku. Przygotuje oficjalna odpowiedz, a pan zajmie sie szczegolami.

–Jak rozkazecie, wasza swiatobliwosc – odparl Surak i ucalowal skraj szaty wysokiego kaplana, po czym wyszedl.

Miasto, ktore Pardalczycy nazywali Swiatynia, bylo imponujace. Armia Aniolow zatrzymala sie pod jego murami, tuz poza zasiegiem armatniego strzalu. Ponad murami wznosily sie zrujnowane wieze imperialnego miasta – najnizsze z nich byly trzy razy wyzsze od murow – a posrodku dominowala jedna budowla – Sanktuarium. Wieksza czesc Swiatyni zostala zbudowana z miejscowego kamienia, kunsztownie zdobionego mozaikami wyslawiajacymi Boga (i Jego Kosciola), lecz samo Sanktuarium bylo poteznym bunkrem z bialego, blyszczacego cerambetonu, pozbawionym wszelkich ozdob. Odcinalo sie ostro od otaczajacych go iglic i minaretow, lecz jednoczesnie laczylo z reszta miasta w dziwnej harmonii.

Sean stal na niewielkim pagorku, na ktorym rozkladano namiot dowodzenia, i przygladal sie, jak na rowninie jego armia rozbija oboz. Mimo obietnicy zawieszenia broni on i Tibold byli bardzo ostrozni i kazda brygada trzymala jeden pulk pod bronia, podczas gdy pozostale dwa chwytaly za motyki i lopaty. Przed zapadnieciem nocy cala armia skryje sie za umocnieniami, z ktorych bylby dumny kazdy rzymski general, a do tego maja piecdziesiecioprocentowa przewage liczebna nad miejskim garnizonem Strazy i zaden atak z zaskoczenia nie moze sie udac.

Ale mimo to skrzywil sie i potarl nos. Nie chcial sie do tego przyznac, ale czesciowo dzielal zle przeczucia Sandy. Gdyby jej to powiedzial, moglaby na wlasna reke zawrocic cala przekleta armie i pomaszerowac z powrotem na polnoc, wiec nie mial zamiaru wspomnac o tym ani slowem, lecz byl to jeden z powodow, dla ktorych cieszylo go, ze armia sie okopuje. Jego ludzie mieli nadzieje, ze walki wreszcie moga sie skonczyc, lecz na szczescie jednoczesnie byli czujni i ostrozni.

Westchnal. Nie mogli posluziwac sie w Swiatyni sondami, a orbitalne czujniki Brashana byly ograniczone do systemow optycznych, zeby nie uruchomic automatycznych systemow obronnych. Czujniki te donosily o braku aktywnosci wojsk w okolicy – tak jak obiecywal wysoki kaplan Vroxhan – a Straznicy wewnatrz miasta najwyrazniej zajmowali sie rutynowymi obowiazkami i musztra. Pojawily sie

pewne ślady podwyższonej gotowości bojowej, lecz było to nie do uniknięcia w sytuacji, gdy przerażający wyznawcy demonów rozbili oboz tuż za północną bramą Świątyni.

Wszystko, powiedział sobie, wygląda idealnie. Negocjacje mogą do niczego nie doprowadzić, lecz przynajmniej Świątynia wydaje się gotowa rozmawiać, a to bezcenna okazja.

Odwrocił się od murów. Zakładnicy mieli przybyć wcześniej następnego ranka, a on chciał jeszcze porozmawiać z Tiboldem. Najgorsze, co może się wydarzyć, to zaatakowanie któregoś z zakładników przez kogoś z gorącą głową po ich stronie!

Wysoki kapłan Vroxhan stał na murach i przyglądał się migoczącym na tle nocy ogniskom hereetyckiego obozu. Wiedział, że wyznawcy demonów są mniej liczni, niż sugerowała liczba ognisk, jednak ciążyła mu świadomość, że pozwolił bezbożnikom tak zbliżyć się do miasta Boga. A wszystko po to, by zrealizować swój plan złamania ich raz na zawsze.

Odwrocił się, słysząc czyjeś kroki. Był to biskup Corada. Starzec stanął obok niego i zapatrzył się na ogniska ich wrogów, a nocny wiatr szarpał jego siwymi włosami. Jego twarz była spokojniejsza niż myśli Vroxhana.

–Corado... – zaczął, lecz starzec potrząsnął głową.

–Nie, wasza świątobliwość. Jeśli wola Boga jest, bym zginął w Jego służbie... No cóż, żyje już wystarczająco długo, a ryzyko jest nieuniknione, i obojętne o tym wiemy, wasza świątobliwość.

Vroxhan zacisnął rękę na ramieniu biskupa, nie mogąc znaleźć słów, by wyrazić swoje uczucia. Sam Corada złożył mu te propozycje, lecz mimo to odwaga starca go zawstydzała. Corada uśmiechnął się i delikatnie poklepał jego dłoń na swoim ramieniu.

–Daleko razem zaszliśmy, wasza świątobliwość – powiedział. – Wiem, że często myśleliście o mnie jako o nudnym starym pierdole... – Vroxhan chciał mu przerwać, lecz Corada potrząsnął głową. – Ależ, wasza świątobliwość, oczywiście, że tak, podobnie jak ja myślałem o starym biskupie Kithmarze, kiedy byłem w waszym wieku. I prawdę mówiąc, pewnie jestem starym pierdolem. Wszyscy zaczynamy się tacy robić, kiedy się starzejemy. Mimo to... – znowu spojrzał na morze ognisk – czasem tacy ramole jak ja widzą wyraźniej niż ci wszyscy, którzy mają całe życie przed sobą, dlatego chcę wam coś powiedzieć, zanim... – Wzruszył ramionami.

–Co? – Corada westchnął.

–Tylko jedno, wasza swiatobliwosc: byc moze nie nalezy odrzucac wszystkiego, co powiedzieli wyznawcy demonow.

–Co? – Wstrzasniety Vroxhan wbil wzrok w starca, ktory byl najbardziej oddanym obrońcą Wiary spośród nich wszystkich, oprócz wysokiego inkwizytora Surmala.

–Och, nie chodzi o te bzdury o aniołach! Chodzi o ziarno prawdy wśród ich kłamstw. Wiemy, że służymy Bogu, gdyż Jego Głos powiedziałby nam, gdyby było inaczej, jednak Matka Kościół zbyt oddaliła się od swojej trzodki, wasza swiatobliwosc. Stomald jest przeklętym heretykiem i zdrajca, jednak jego kłamstwa nigdy nie znalazłyby takiego odzewu, gdyby mieszkańcy Pardal naprawdę postrzegali nas jako swoich pasterzy. Czy nigdy nie słyszeliście, że heretycy potępiają Świątynie, jej bogactwo, świecką władzę i arogancję biskupów Matki Kościoła?

Starzec odwrócił się do wysokiego kapłana i położył obie ręce na jego ramionach.

–Wasza swiatobliwosc, mówię o biskupach, którzy odwiedzają swoje trzodki zaledwie dwa razy do roku, o świątyniach zdobionych złotem wyduszonym z wiernych, o księżkach, którzy rządzą jedynie z łaski Matki Kościoła... To musi się zmienić. Matka Kościół znowu musi poświęcić się zdobywaniu miłości i oddania swojej trzodki, inaczej za jakiś czas pojawia się inni heretycy i stracimy już nie tylko posłuszeństwo naszego ludu, ale i jego dusze. Jestem starcem, wasza swiatobliwosc, i pomijając już niebezpieczeństwo, które mi grozi jutro, spoczne w grobie, zanim pojawia się te problemy, które przewiduje, ale już teraz powiadam wam, że staliśmy się zepsuci. Posmakowaliśmy władzy księży, nie tylko kapłanów, a ta władza zniszczy wszystko, na czym opiera się Matka Kościół, jeśli na to pozwolimy. W głębi serca zacząłem wierzyć, że taki był cel Boga, gdy pozwolił wyznawcom demonów być tak blisko zwycięstwa. Chciał nas ostrzec, że musimy – musicie – wprowadzić zmiany, by mieć pewność, że to się już nie powtórzy.

Vroxhan wpatrywał się w prostodusznego starca i współczuł mu z całego serca. Czystość jego wiary była tak cudowna, że w oczach wysokiego kapłana pojawiły się łzy, ale Corada niestety się mylił. Władza Matki Kościoła jest władzą od Boga, zdobyta po wielu stuleciach zmagania. Powrót do starych zwyczajów, gdy za dekretami Matki Kościoła nie stała zimna stal, to prośenie się o szalenstwo wojen schizmatycznych i zgoda na swobodny rozwój takich samych kłamstw i herezji, jakie zrodziły armie obozujące za murami Świątyni. Nie, boże dzieło jest zbyt ważne, by oddać je w ręce prostodusznych, troszczących się o swą trzodkę biskupów, za którymi tęskni zmęczone serce Corady, jednak Vroxhan nie mógł mu tego powiedzieć. Nie mógł mu wyjaśnić, dlaczego się myli, dlaczego jego piękne marzenie nie może się nigdy ziszczyć. Zwłaszcza teraz, gdy Corada tak ochoczo przyjął swój los, by uratować Matkę Kościół i świętość Wiary. A ponieważ wysoki kapłan nie mógł mu tego wszystkiego powiedzieć, tylko się uśmiechnął i delikatnie dotknął policzka starca.

–Rozwaze to, co powiedziales, Corado – sklamal – i zrobie wszystko, co bede mogli. Obiecuje.

–Dziekuje, wasza swiatobliwosc. – Corada uscisnal wysokiego kaplana i uniosl glowe – jego nozdrza rozdely sie, gdy odetchnal chlodnym i slodkim powietrzem nocy – po czym uklonil sie i powoli odszedl w mrok.

–Nadchodza – mruknal Sean do Tammana.

–Owszem. Az trudno uwierzyc, ze byc moze nam sie udalo.

Stali z kapitanami u bokow i obserwowali wychodzaca przez brame kolumne. Na czele szla dwudziestka dragonow Strazy z joharnami przewiazanymi szkarlatnymi wezlami pokoju. Za nimi podazalo dwa razy wiecej zolnierzy piechoty pod sztandarami Kosciola, dalej zas jechali wierzchem oficerowie Strazy i kaplani, ktorych Krag wyznaczyl na zakladnikow. Stu kaplanow i dwudziestu biskupow w odswietnych niebieskozlotych szatach otaczalo lektyke, w ktorej siedzial na poduszkach biskup Corada, czwarty ranga czlonek Wewnetrznego Kregu. Sean westchnal z ulga – obecosc Corady jako gwaranta bezpieczenstwa negocjatorow Armii Aniolow byla koronnym dowodem uczciwosci Kregu.

–Wyglada na to, ze jednak potraktowali nas powaznie, Sandy – powiedzial przez komunikator.

–Zobaczymy. – Z calego serca pragnal, by byla przy nim tego ranka, ale bylo to niemozliwe. Swiatynia nie chciala uznac faktu istnienia aniolow, dlatego Sandy i Harriet udaly sie o swicie gdzie indziej.

Odsunal od siebie te mysli, gdyz czolo kolumny juz do niego dotarlo. Straz honorowa probowala ukryc niepokoj za maska profesjonalizmu, lecz zdradzaly ich nerwowe spojrzenia. Wiedzieli, ze gdyby cos poszlo nie tak, sily heretykow zmiadzza ich jak komary i nawet tego nie zauwaza.

Siwowlosy oficer z ciezkim zlotym lancuchem wysokiego kapitana na piersi zsiadl z wierzchowca i ruszyl w kierunku Seana. Najwyrazniej poinformowano go, kogo ma szukac, a poza tym Seana nie bylo szczegolnie trudno zauwazyc, gdyz gorowal nad otaczajacymi go Pardalczykami.

–Lordzie Seanie. – Straznik dotknal napiersnika w oficjalnym gescie powitania. – Jestem wysoki kapitan Kerist, zastepca lorda marszalka Suraka.

–Wysoki kapitanie Keriscie. – Sean odpowiedzial podobnym pozdrowieniem, po czym wskazal na wzniesione w poblizu pawilony. – Jak widzicie, wysoki kapitanie,

przygotowaliśmy miejsce dla was i innych gości... – widac było, że to ostatnie słowo nieco rozbawiło Kerista – abyscie zaczekali tam na nasz powrót. Mam nadzieję, że będzie wam wygodnie. Proszę informować jednego z moich adiutantów, jeśli będziecie mieli jakies potrzeby, których nie przewidzieliśmy.

–Dziękuję – powiedział Kerist. Wydal eskortie rozkazy i zakładnicy skierowali się w stronę pawilonów.

Sean przyglądał się im przez chwilę, czując pokusę, aby podejść i przedstawić się Coradzie, lecz Krag podjął decyzję, by spotkać się w Kancelarii Kosciola, a nie w Sanktuarium, co wskazywało, że przynajmniej na początku chce zajmować się kwestiami czysto wojskowymi, więc Sean wolał nie prowokować jakichś nieporozumień.

–To kapitan Harkah, mój bratanek – powiedział Kerist, wskazując na dużo młodszego oficera, który stanął obok niego. – Zaprowadzi was na miejsce negocjacji.

–Dziękuję, wysoki kapitanie. W takim razie lord Tamman i ja zaraz wyruszymy. Mam nadzieję, że będziemy mieli okazję porozmawiać, kiedy wróce.

–Jeśli Bog tak zechce, lordzie Seanie – odparł uprzejmie Kerist, po czym znowu wymienili pozdrowienia i wysoki kapitan odszedł w kierunku pawilonów, by dołączyć do innych zakładników. Wokół pawilonów stał cały pułk strzelców, by zapewnić im prywatność, a jednocześnie chronić ich przed kłopotami. Sean spojrzał na Tammana.

–Chodźmy – powiedział po angielsku.

–Niech Moc będzie z nami – odparł poważnie Tamman w tym samym języku, i mimo napięcia Sean uśmiechnął się, po czym odwrócił się do Tibolda.

–Zaluje, że nie idziesz z nami, ale potrzebuje cię tutaj.

–Rozumiem, lordzie Seanie. – Tibold mówił spokojnie, lecz w jego oczach była ojcowska troska, gdy patrzył na swojego potężnego dowódcę. – Bądź ostrożny.

–Bede. A wy tutaj bądźcie gotowi.

–Będziemy.

–To dobrze.

Sean uściśnął mocno rękę byłego Straznika i wskoczył na siodło braniałka. Wolałby spotkać się z przedstawicielami Świątyni w jakimś neutralnym miejscu, z dala od obu armii, ale Wewnętrzny Krag był gotów pertraktować z heretykami jedynie wewnątrz murów miasta, co zresztą było zgodne z tradycyjnymi pardalskimi

zwyczajami negocjacyjnymi. Zaproponował jednak, żeby Sean i Tamman wzięli ze sobą potężną straż osobistą, oraz wyznaczył zakładników, by byli gwarantem ich bezpieczeństwa. Pod naciskiem Tibolda Sean zgodził się, aby w drodze do miasta towarzyszyła im cała brygada. Obaj wiedzieli, że osiemnastu setek ludzi nie będzie miało żadnego znaczenia, gdyby coś się wydarzyło, ale przynajmniej było to dobitne ostrzeżenie dla fanatyków, których kusiloby, aby sprzeciwić się decyzji Kregu o podjęciu negocjacji.

Reszta Armii Aniołów pozostawała w gotowości do walki. Nie manifestowali tego zbyt ostentacyjnie, ale też nie zamierzali tego ukrywać, by Świątynia widziała, że zachowują ostrożność.

Sean schylił wodze, gdy dołączył do Tammana i kapitana Harkaha, i skinął głową wysokiemu kapitanowi Folmakowi. Młynarz, który został dowódcą brygady, i jego pierwsza brygada zasługiwali na to, by być tutaj w takiej chwili. Folmak uśmiechnął się szeroko.

–Gotowi do działania, lordzie Seanie! – powiedział.

–No to jedźmy – odparł Sean i kolumna ruszyła przy dźwiękach dud. Rozdział 37

Sean, Tamman i kapitan Harkah maszerowali razem z pierwszą brygadą Polnocna Droga, jedna z czterech głównych alei, które łączyły się w okolicy Sanktuarium. Sean podziwiał wielkość i urodę miasta – przez całe pardalskie stulecia Kościół nie szczędził stolicy bogactw i dzieł sztuki, i było to widoczne – jednak podświadomie wyczuwał w ogromnych budynkach i szerokich ulicach pewną arogancję. To było coś więcej niż centrum religii – to była stolica imperium, pani całego świata, która miała w swych rękach całą świecką władzę i jednocześnie cieszyła się boską chwałą. Czuł się z tym źle i zastanawiał się, na ile to wynik świadomości, że gdyby coś poszło nie tak, miasto stałoby się dla nich pułapką.

Wzdłuż ulicy stali pikinierzy pełniący funkcje straży honorowej. Było ich zbyt mało, by mogli stanowić jakiegoś zagrożenie, lecz oficerowie Folmaka przyglądali się im bardzo uważnie. Tibold nalegał, by ich ochrona maszerowała z załadowaną bronią, i Sean się nie sprzeciwił, ale teraz zastanawiał się, czy dobrze zrobił. Gdyby któryś z żołnierzy uznał, że widzi jakiegoś zagrożenie, i otworzył ogień...

Rozesmiał się w duchu ze swojej umiejętności wynajdywania sobie problemów. Przecież wszyscy żołnierze w brygadzie Folmaka są weteranami i nie zaczną strzelać bez rozkazów – oczywiście jeśli jakiś szaleniec zdecyduje się ich zaatakować!

Odwrocił głowę do Tammana i uśmiechnął się, mając nadzieję, że wygląda równie spokojnie jak przyjaciel.

Wysoki kaplan Vroxhan stal na dachu Kancelarii i wpatrywyl sie z niecierpliwoscia w prosta jak strzala Polnocna Droge. Wybral to miejsce na rozmowy, poniewaz bylo w poludniowej czesci największego placu Swiatyni, Placu Meczennikow. Mimo napiecia na jego wargach pojawil sie ponury usmiech, gdy uswiadomil sobie, jak bardzo ta nazwa jest stosowna do okolicznosci.

–Seanie!

Sean odwrocil gwałtownie glowe. To byla Sandy – ale nie przez komunikator, tylko osobiscie!

Spojrzel z niedowierzaniem i wsciekloscia na bardzo drobna postac w napiersniku i pancerzu oficera, ktora spielala branahka ostrogami.

–Co ty, do diabla, sobie myslisz? – spytal po angielsku, i w tym momencie zauwazyl wyraz jej twarzy.

–Seanie, to pulapka! – odkrzyknela w tym samym jezyku.

–Co?

Jej branahk odepchnal na bok kilku mezczyzn, gdy podjechala blizej.

–Nie korzystasz z implantow?!

–Oczywiscie, ze nie! Gdyby komputer je teraz wychwycil...

–Do diabla z tym, uruchom implanty, i to juz!

Szybko uruchomil zaimplantowane czujniki, i w tym momencie zauwazyl w bocznych uliczkach, rownoleglych do Polnocnej Drogi, duze grupy uzbrojonych mezczyzn.

Przez jedna straszliwa chwile jego umysl calkowicie zamarl. Byli dziesiec kilometrow od bram, w polowie drogi do centrum miasta. Gdyby probowal zawrocic, ukrywajacy sie pikinierzy pocieliby jego kolumne na kawalki. Ale jesli nie zawroci...

Zmusil umysl do pracy i mysli zaczely klebic sie w jego glowie niczym blyskawice. Kolumna wciaz maszerowala do przodu, nieswiadoma pulapki, w jaka ja prowadzil, podobnie jak zblizajaca sie do nich Straz. Juz niemal dotarli do wielkiego wybrukowanego placu – mial poltora kilometra szerokosci, a posrodku widac bylo pluskajace wesolo w promieniach slonca fontanny. Zamiary Swiatyni byly oczywiste. Kiedy jego ludzie znajda sie na otwartej przestrzeni, napastnicy otocza ich ze

wszystkich stron i zmiadza.

–Ostrzez Harry i Stomalda! – warknal i obrocil sie w siodle. – Folmaku!

–Lordzie Seanie? – Na twarzy Folmaka pojawilo sie zaniepokojenie. Nie rozumial angielskiego, ale ton ich glosow sprawil, ze jego instynkt bojowy natychmiast zaczal dzialac.

–To pulapka – zamierzaja nas zaatakowac, kiedy dotrzemy na tamten plac. – Kapitan zbladl. – Nie mozemy zawrocic. Musimy dalej maszerowac i miec nadzieje, ze sie nie domysla, iz o nich wiemy. Zwolnij i przekaz wiesci dalej. Wciaz sa kilka ulic od nas i trzymajac sie poza zasiegiem naszego wzroku, wiec pewnie czekaja, az wiekszosc kolumny znajdzie sie na placu. Oto, co zrobimy...

–To pulapka! – Tibold Rarikson patrzyl z przerazeniem na aniol Harry. Chyba nie mowi tego powaznie! Ale jej napieta twarz i strach w zdrowym oku wyraznie swiadczyly, ze wcale nie zartuje. Wpatrywal sie w nia jeszcze przez chwile, po czym odwrocil sie i zaczal wykrzykiwac rozkazy.

Wysoki kaplan Vroxhan usmiechnal sie triumfalnie, gdy heretycy zaczeli wchodzic na Plac Meczennikow. Widzial juz pierwszych Straznikow ustawiajacych sie na pozycjach, a inne oddzialy, niewidoczne z tego miejsca, zamykaly Polnocna Droge daleko za wyznawcami demonow. Ten ich lord Sean jest niezrównanym dowodca, nieprawdaz? Vroxhan rozesmial sie, przypominajac sobie ostrzezenia Ortaka.

Jesli heretycy wierza, ze lord Sean i lord Tamman sa nie do pokonania, wkrótce przekonaja sie, ze sa w bledzie! Zobaczmy, jak bedzie wygladac ich morale, kiedy przyprawdzimy wybrancow tych przekletych aniolow w lancuchach przed oblicze inkwizycji!

Heretycy dalej wchodzili na plac. Za kilka minut starannie dobrani dowodcy lorda marszalka Suraka posla swoich ludzi naprzod.

Nagle usmiech znikl z twarzy wysokiego kaplana. Niewierni przestali maszerowac i zaczeli... Co oni robia?

–Utworzyc kwadrat! Utworzyc kwadrat!

Podkapitan Harkah obrocil sie z niedowierzaniem, kiedy Sean wykrzyczal

wzmocnionym głosem rozkaz i rozległy się gwizdki. Dwie kompanie pierwszego batalionu – ostrzeżone przez oficerów – natychmiast rozdzieliły się i pomaszerowały w przeciwnych kierunkach. Reszta pulku przeszła kolejnych pięćdziesiąt metrów, po czym zaczęła ustawiać się w dwuszeręgu. Nie był to właściwie kwadrat – raczej prostokąt bez jednego boku, którego krótsze boki opierały się o północny kraniec Placu Meczenników i który cały czas się rozrastał, gdy kolejni żołnierze wychodzili szybkim marszem z Północnej Drogi i stawali na pozycjach.

–Lordzie Seanie! – wykrzyknął Straznik. – Co pan sobie myśli?!

I zamarł, gdy nagle odkrył, że patrzy z odległości piętnastu centymetrów prosto w lufę pistoletu Seana.

–Za mniej więcej dziesięć minut – powiedział Sean lodowatym tonem – Straz Świątyni zaatakuje nas. Nie wiedziałeś o tym?

–Zaatakuje? – Harkah wpatrywał się w niego z niedowierzaniem. – Oszalał pan! – wyszeptał. – Wysoki kapłan Vroxhan osobiście przysięgał, że przyjmie was jako wysłanników!

–Naprawdę? – Lufa pistoletu Seana poruszyła się jak wskazówka. – Czy to grupa negocjatorów? – wychrypiał.

Harkah odwrócił się we wskazanym kierunku i jego twarz zbladła, gdy ujrzał pierwsze szeregi kompanii pikinierów Straży we wschodniej, zachodniej i południowej części Placu Meczenników. Były ich tysiące i na jego oczach zaczęli stawac w szyku.

–Lordzie Seanie, ja... – zaczął, po czym przerwał i przelknął ślinę. – Moj Boże! Zakładnicy! Biskup Corada! Wuj Kerist!

–Mówisz, że nie wiedziałeś? – Mimo przepelniającej go wściekłości Sean był skłonny uwierzyć, że zaskoczenie Harkaha – i jego strach o wuja – są prawdziwe.

–To szalenstwo! – wyjąkał Harkah. – Szalenstwo! Nawet jeśli się powiedzie, nic nie zrobią całej waszej armii!

–Może wysoki kapłan Vroxhan nie zgadza się z tobą.

–To nie może być jego świątobliwość! Przysięgał na własną duszę, że będzie was chronić jak swój lud!

–W takim razie ktoś go nie słuchał – odparł szorstko Sean i skinął na jednego z adiutantów Folmaka. Kapitan Straży nawet nie odwrócił głowy, gdy Malagorczyk odebrał mu pistolety i miecz. – Na razie, kapitanie Harkah, przyjmuję, że o tym nie wiedziałeś, lecz proszę nic nie robić, bym nie musiał zmienić zdania.

Zawrocil branahlka i pojechal do swoich ludzi. Bylo ich tak malo – pojedyncze druzyny pilnowaly mniejszych uliczek prowadzacych na Plac Meczennikow – ze wszystkie trzy pulki pierwszej brygady staly w jednym szeregu. Nawet z tej odleglosci widzial, ze Straznicy sa zaskoczeni szybkościa, z jaka Malagorczycy staneli w szyku.

–Dobra, chlopcy! – krzyknal. – Tkwimy po uszy w gownie, i zeby sie stad wydostac, musimy przejsc po tamtych sukinsynach! Jestescie ze mna!?

–Tak jest! – Odpowiedzia byl glosny, wsciekly ryk.

–Bagnet na bron! – Rozlegl sie brzek metalu i w porannym sloncu blysnely bagnety. – Nikt nie strzela, dopoki nie wydam rozkazu! – krzyknal i wyciagnal miecz. – Dudziarze, zagrajcie!

Vroxhan zaklal wsciekle, gdy w czasie jednego uderzenia serca heretycy utworzyli z rozciagnietej kolumny najezony bagnetami kwadrat. Wystarczajaco czesto widzial musztry Strazy, by docenic zabojcza predkosc wyznawcow demonow. Znow zaklal, tym razem pod adresem swoich dowodcow. Czemu nie atakuja? Mogliby wykonczyc heretykow, zanim zdaza sie zorganizowac!

I wtedy w ciszy uslyszal przeklęte dudy wygrywajace zakazana od czasu wojen schizmatycznych piesn "Wolny Malagor".

–Nadchodza! – krzyknal Sean, gdy Straznicy opuscili piki. – Czekaajcie na rozkaz!

–Bog tego chce! – zabrzmial okrzyk wojenny Strazy i falanga rzucila sie do ataku.

Byla szeroka na osiemdziesieciu mezczyzn i gleboka na stu. Szla jak taran najezony osmioma tysiacami pik, prosto w serce kwadratu Seana. W szarzuajacych mezczyznach czulo sie pewnosc, ze nie moga zostac zatrzymani, ze na pewno sie przebija, miazdzac szyk wroga. Sean czul bicie serca, gdy patrzyl na Sandy siedzaca sztywno na grzbiecie swojego branahlka. Bal sie o kobiete, ktora kochal. Jego spojrzenie stwardnialo, gdy skierowal je na zblizajacego sie wroga.

–Dobrze, chlopcy! – Staral sie, by jego glos brzmial spokojnie. – Niech podejda jeszcze troche blizej. Czekaajcie. Czekaajcie. Czekaajcie... – Jego umysl pracowal jak komputer, i gdy odleglosc zmniejszyla sie do dwustu metrow, podniosl sie w strzemionach i opuscil miecz.

–Plutonami, ognia!

Nagle potezny wstrzas poruszył Swiatynia i powietrze wypelnila gesta zaslona

dymu. Pierwsza brygada liczyła szesnastdzie setek ludzi, w sumie osiemnastdzie plutonow stojacych w dlugim na czterysta metrow dwuszeregu, a standardowa predkosc przeladowywania broni wynosila siedemnastdzie sekund. Bylo to minimum wymagane przez sierzantow podczas cwiczen, ale doswiadczony zolnierz przy dobrej pogodzie i odpowiedniej motywacji mogli to zrobic jeszcze szybciej. Dzis brygada Folmaka wykonala to w dwannastdzie sekund. Ogien i dym pojawily sie na lewym skraju szeregu, po czym zaczely sie przesuwac w prawo niczym gniew Boga, gdyz kazdy pluton strzelal zaraz po swoim sasiedzie z lewej. Nim fala ognia dotarla do prawego konca dwuszeregu, lewa strona juz przeladowala bron i znow zaczynal sie morderczy ostrzal, zagluszajacy nawet dzwieki dud i wrzaski Straznikow padajacych w konwulsjach na ziemie. Mimo nieprzerwanego ostrzalu i szalejacych na placu fal ognia Straz nadal nacierala. W koncu jednak ulegla takiemu zmasowanemu, ciaglemu ostrzalowi i szarza sie rozpadla.

Wysoki kapitan Kerist poderwal gwaltownie glowe. Grzmot zmasowanego ostrzalu byl stlumiony przez odleglosc, lecz on widzial zbyt wiele pol bitewnych, by go nie rozpoznac. Zerwal sie z krzesla, upuszczajac kielich z winem, i z przerazeniem wbil wzrok w mury Swiatyni.

Wciaz tak stal, kiedy uslyszal inny dzwiek, cichszy i blizszy. Zbladl. To byl trzask odciagania zamkow, gdy caly pulk heretykow z bagnetami wylonil sie jak spod ziemie.

Straz honorowa zamarla, a na czole Kerista pojawil sie pot. Wsrod kaplanow i biskupow rozlegly sie przerazone szepty, lecz oficerowie Strazy znajdujacy sie wsrod zakladnikow stali rownie nieruchomo jak Kerist. Nieznosne napiecie przerwal jeden z malagorskich oficerow.

–Rzuccie bron! – rozkazal. Straz honorowa zawahala sie. – Rzuccie albo zginiecie! – warknal Malagorczyk.

Kapitan Strazy odwrocil sie do Kerista z blagalnym wyrazem twarzy, ale wysoki kapitan tylko przelkнал nerwowo sline.

–Posluchajcie ich – wychrypial i jego ludzie zaczeli rzucac bron na ziemie.

–Odsuncie sie – powiedzial ostro malagorski oficer i Straznicy cofneli sie. – Jesli ktos jest jeszcze uzbrojony, niech wystapi i rzuci bron. Jezeli znajdziemy ja pozniej, zabijemy was!

Kerist wyprostowal sie i wystapil do przodu. Polozyl swoj miecz przywiazany wezlem pokoju do pochwy miedzy porzuconymi pikami i joharnami, po czym odwrocil sie do swoich oficerow.

–Slyszeliscie rozkaz! – Jego glos byl tak samo szorstki jak Malagorczyka. Widzac, jak starsi ranga Straznicy powoli podchodza, by oddac bron, zmowil w duchu modlitwe dziekczynna.

Malagorczyk poczekal, az wszystkie miecze zostana oddane, po czym wydal kolejny rozkaz.

–A teraz wszyscy z powrotem do centralnego pawilonu! – Zakladnicy i rozbrojeni Straznicy wykonali polecenie, jedynie Kerist pozostal na swoim miejscu. Malagorski oficer skrzywil sie i podszedl do wysokiego kapitana z mieczem w jednej, a pistoletem w drugiej rece. – Byc moze mnie nie slyszeliscie – powiedzial, odciagajac kurek i celujac Keristowi miedzy oczy.

–Slyszalem i bede posluszny – odpowiedzial najspokojniej jak potrafil – ale chce wiedziec, co macie zamiar z nami zrobic.

–Na razie nic, ale jesli lord Sean i lord Tamman zgina, zaplacicie wlasnym zyciem za zdrade.

–Kapitanie – powiedzial Kerist – przysiegam, ze nie wiem, co sie dzieje. Sam lord marszalek Surak zapewnial mnie, ze wyslannicy beda bezpieczni.

–To sklamal! – prychnal Malagorczyk. – A teraz dolaczcie do innych!

Kerist jeszcze przez chwile patrzyl mezczyznie w oczy, po czym odwrocil sie i pomaszerowal wyprostowany jak pika miedzy skulonymi, przerazonymi zakladnikami prosto do biskupa Corady. Wszedzie wokol wyczuwal przerazenie, lecz w oczach Corady nie bylo nawet strachu, i wlasnie to najbardziej go przerazilo.

–Wasza laskawosc?

–Wybacz mi, Keriscie – Corada smutno sie usmiechnal – lecz to bylo konieczne.

–Jego swiatobliwosc sklamal?! – Nawet teraz Kerist nie mogl – nie chcial – uwierzyc, ze bozy pasterz dopuscil sie krzywoprzysiestwa, lecz biskup pokiwal glowa.

–Wszyscy jestesmy teraz w rekach Boga, moj synu – powiedzial cicho.

Loskot wystrzalow ucichl, gdy ostatni Straznicy wycofali sie, i teraz slychac bylo tylko przerazajacy chor krzykow i jekow. Sean nie spodziewal sie, ze im sie uda, a tymczasem pierwsza brygada wytrzymala zdradziecki atak. Dzieki Bogu, ze sluchalem wuja Hectora, kiedy opowiadal, jak Brytyjczycy przelamali linie Napoleona,

pomyslał. Po raz pierwszy wypróbował te taktykę, i okazało się, że zaskoczenie było niemal tak samo skuteczne jak zmasowany ostrzał.

To oznacza, że następnym razem nie da się sukinsynów tak łatwo rozbic, ale...

–Lordzie Seanie! – Odwrócił się, zaskoczony widokiem zbliżającego się kapitana Harkaha. Straznik był blady, lecz na jego twarzy malowało się zdecydowanie.

–Lordzie Seanie, to musi być dzieło jakiegoś szalenca. Lord marszałek Surak osobiście zapewniał mojego wuja, że pan i lord Tamman będziecie bezpieczni...

–Kapitanie, nie mam teraz czasu!

–Ja... Ma pan rację, lordzie Seanie, ale zgodnie z ostatnim rozkazem, jaki wydał mi wuj, miałem doprowadzić was bezpiecznie do Kancelarii. Cokolwiek się tutaj dzieje, mam zapewnić wam bezpieczeństwo, dlatego musicie wiedzieć, że zaledwie dziesięć domów stąd w tamtym kierunku Straz ma magazyn artylerii. – I wskazał ręką na wschód. Oficer mówił prawdę. Orbitalne czujniki Brashana przygotowały na tyle dokładną mapę miasta, że Sean o tym wiedział.

–I...? – spytał niecierpliwie.

–I jeśli sięgną artylerie, nie uda wam się tutaj długo bronić, lordzie Seanie. Musicie uciekać, i to szybko!

Sean skrzywił się. Choć wydawało się to nieprawdopodobne, być może ten młodzieniec i wszyscy zakładnicy byli barankami ofiarnymi posłanymi na rzeź po to, by go tutaj sprowadzić.

Ale jakkolwiek była prawda, Harkah miał rację. Mogli powstrzymać pikinierów – dopóki starczy im amunicji – lecz dla artylerii było to idealne miejsce do ostrzału.

–Dziękuję za ostrzeżenie – powiedział nieco uprzejmiej i odesłał kapitana, po czym uruchomił komunikator. – Harry?

–Seanie! Żyjesz! – ucieszyła się.

–Na razie – odparł krótko.

–Czy jest bardzo źle?

–Jeszcze nikogo nie straciliśmy, lecz nie możemy tutaj zostać. Musimy uciekać. Czy jesteś w kontakcie z Brashanem?

–Tak!

–Jak wyglądają nasze tyły?

–Nie za dobrze, Seanie. – To był głos Brashana. – Wygląda na to, że mają co najmniej dziesięć tysięcy pikinierów, którzy odetną wam drogę do bram. Nigdy się przez nich nie przebijecie.

Sean wiedział, że Brashan ma rację. Na wąskich ulicach nie będzie mógł w pełni wykorzystać siły ognia, by się przebić, a kiedy jego bagnety napotkają mur pik, jego ludzie rozpląną się niczym płatki śniegu na palenisku. A jeśli nie może się wycofać i nie może tutaj zostać, to co...

–Harry, co robi Tibold?

–Będziemy szturmować bramy – odpowiedziała, a Sean skrzywił się. Mur wokół Świątyni miał dziesięć metrów grubości u podstawy, a ukryty w nim tunel zamykały trzy bramy z bronami i paskudnymi otworami na płonący olej. Kiedy tamtędy przechodził, nie czuł żadnego dymu, więc gdyby Tibold się pospieszył, może mogłoby zdobyć brame, zanim obrońcy zdążyli się przygotować.

Może.

Zagryzł wargę, myśląc o straszliwych ofiarach, jakie może ponieść Tibold, po czym odetchnął głęboko.

–Dobra, Harry, posłuchaj mnie. Powiedz Tiboldowi, żeby ruszał, ale nie wolno mu – powtarzam, nie wolno mu – narazić życia żołnierzy, żeby nas stąd wydostać, jeśli nie uda mu się szybko przebić.

–Ale...

–Posłuchaj mnie! – warknął. – Na razie tylko jedna brygada ma kłopoty. Nie pozwól mu zniszczyć całej armii, kiedy będzie próbował nas uratować. Nie jesteśmy tego warci.

–Jestecie! Jestecie! – zaprotestowała gorączkowo.

–Nie, nie jesteśmy – odpowiedział łagodnie. Słyszac przez komunikator jej płacz, odchrząknął. – I jeszcze jedno – powiedział cicho. – Trzymaj się z dala od walki, cokolwiek będzie się działo.

–Idę po was!

–Nie! – Zamknął oczy. – Sandy i Tam są tutaj ze mną. Jeśli nam się nie uda, pozostaniesz ty i Brashan, a tylko ty możesz dowodzić żołnierzami. Brash na pewno nie może! Jeśli sukinyśny dostana także ciebie, zwycięża!

–Och, Seanie – wyszeptala; jej bol cial go jak noz.

–Wiem, Harry, wiem. – Uśmiechnal sie smutno. – Nie martw sie. Mam dobrych ludzi, i jesli komus moze sie udac, to tylko nam. A jesli nie... – Odetchnal gleboko. – Jesli nie, pamietaj, ze cie Kocham. Zabierz Stomalda do domu, do mamy i taty.

Przerwal polaczenie i odwrocil sie do Tammana, Sandy i Folmaka.

–Tibold sprobuj zdobyc brame. – Folmak nie spytal go, skad o tym wie, a pozostala dwojka po prostu pokiwal glowami. – A tymczasem my musimy znalezc dobre miejsce do obrony. Jesli podciagna przeciwko nam armaty, bedziemy mieli problem. Na wschodzie jest magazyn artylerii Strazy – to rownie dobra kryjowka jak kazda inna. Tam, znasz to miejsce? – Tamman pokiwal glowa. – To dobrze. Folmaku, daj lordowi Tammanowi swoj pierwszy pulk. Zdobedzie magazyn, a reszta bedzie chronic jego tyly. Jasne?

–Jasne, lordzie Seanie – odpowiedzial ponuro Malagorczyk.

–To ruszajmy, zanim znow nas zaatakują.

Rozdzial 38

–Podciagnijcie te armaty! Ruszajcie sie! Ruszajcie sie, do diaska!

Tibold Rarikson miotal sie we wszystkie strony z plonacym wzrokiem i popedzal ludzi jak prawdziwy demon, a Armia Aniolow roila sie niczym rozwscieczony ul. Zdawal sobie sprawe, ze atak na miasto bez wcześniejszych planow jest szalenstwem, ale wiedzial takze, ze jego dowodca jest uwieziony w miescie posrod dwoch milionow wrogow.

Wreszcie dziala pojawily sie na murach Swiatyni. Blanki byly o wiele wezsze niz podstawa muru, dlatego Straz nie mogla tam umiescic niczego ciezsze go od arlakow, za to on mial miejsce dla o wiele wiekszej liczby armat. Ale artyleria Strazy byla chroniona przez kamienne umocnienia, a jego ludzie nie mieli nawet czasu na wykopanie jam. Teraz czekalo ich zniszczenie polnocnej bramy, ktora zatrzasnela im sie przed nosem, a oni nie mieli drabin.

Kolejne pulki dolaczaly do kolumny szturmowej, lecz nie bylo czasu na ich wlasciwe zorganizowanie. Wszystko bedzie zalezalo od dowodcow batalionow i kompanii, pomyslal Tibold, zadowolony z wielomiesiecznego doswiadczenia bitewnego, jakie zdobyli jego ludzie.

–Tiboldzie!

Aniol Harry chwycila go za prawa reke i zanim zdazyl sie odezwac, cos na niej

zapiela.

–Pani? – Zmieszany wpatrywał się w dziwną bransoletkę. Została wykonana z jakiegoś materiału, którego nigdy wcześniej nie widział, i miała coś, co przypominało kratkę, i dwa światelka, które nawet w pełnym słońcu świeciły na zielono.

–To się nazywa komunikator, Tiboldzie. Mów do tego... – anioł postukała w kratkę – a Sean i ja będziemy ci słyszeć. Kiedy przystawisz to do ucha, ty również będziesz nas słyszał. – Tibold wpatrywał się w nią z otwartymi ustami, po czym zamknął je i pokiwał głową. – Bede ci mówić, co się dzieje w mieście, kiedy będziesz nacierał, a ty będziesz mógł rozmawiać z Seanem.

–Dziękuję, pani! – Tibold przez chwilę patrzył w zdrowe oko dziewczyny, po czym sam siebie zaskoczył, obejmując ją i mocno przytulając. – Wydostaniemy ich, pani. Przysięgam – powiedział cicho.

–Wiem, że to zrobicie – wyszeptała, również go obejmując i całując w brodaty policzek. – A teraz idź, Tiboldzie. I uważaj na siebie. Wszyscy ci potrzebujemy.

Pokiwał głową, odwrócił się i podbiegł do czoła kolumny.

Jego armaty – szesćdziesiąt arlaków – zostały umieszczone w jednej linii, łoża w łoża, w płytkim zagłębieniu na wprost bramy. Artyleria cały czas je ostrzeliwała, lecz mimo niewielkiej odległości nawet najlepszym artylerzystom niezbyt często udawało się w nie trafić. Co innego ich załogi. Słyszał, jak krzyczą, trafieni kartaczami, lecz podobnie jak piechota, ci ludzie doskonale znali swój straszliwy zawód. Na miejsce zabitych natychmiast pojawiali się nowi artylerzyści, a tymczasem kapitanowie drużyn przygotowywali arlaki do strzału. Tibold unosił dziwną bransoletkę – komunikator – do ust.

–Lordzie Seanie?

–Tibold? To ty? – Lord Sean wydawał się bardzo zdziwiony. Nagle w komunikatorze rozległ się głos anioła Harry mówiącej w języku aniołów.

–Dla mnie komunikator. Jeśli komputer nie zareagował na twoje implanty ani nasze rozmowy...

–Dobra dziewczynka! – powiedział i przeszedł na pardalski. – O co chodzi, Tiboldzie?

–Chcemy po was przyjść. Gdzie jesteście?

–Zajelismy magazyn artylerii Straży niedaleko Placu Meczenników. – Mimo wyraźnego napięcia Sean rozesmiał się. Dobrze, że pierwsza brygada ma zdobyte na

Strazy joharny. Mamy tutaj z milion naboju do strzelb gladkolufowych; przydadza sie, kiedy skoncza sie nam pociski!

–Trzymajcie sie, lordzie Seanie! Wydostaniemy was.

–Czekamy, Tiboldzie. Badz ostrozny.

Byly Straznik opuscil komunikator i odwrocil sie do dowodcy artylerii.

–Ognia!

Wysoki kaplan Vroxhan wpadl do sali konferencyjnej, ktora lord marszalek Surak przekształcił w punkt dowodzenia. Jego twarz byla sina. Od strony polnocnej bramy dochodzily odglosy ostrzalu, lecz wsciekly kaplan zignorowal je i podszedl do Suraka.

–I co, lordzie marszalku? – warknal. – Co pan ma na swoja obrone?!

–Wasza swiatobliwosc, mowilem, ze to bedzie trudne. – Mimo pozycji Vroxhana Surak z trudem panowal nad soba. – Wiekszosc moich ludzi nie wiedziala, co planujemy. – Wysoki kaplan zamrugal, gdy lord marszalek spojrzal na niego ze zloscia. – Chcieliscie miec zaskoczenie, wasza swiatobliwosc, to je macie – wszyscy zostali zaskoczeni.

Wysoki kaplan chcial ostro odpowiedziec na bezczelnosc Suraka, ale doszedl do wniosku, ze na razie za bardzo go potrzebuje.

–Dobrze, czuje sie skarcony. Ale co sie stalo z atakiem nu Placu Meczennikow?

–Jakims sposobem heretycy zorientowali sie, co sie dzieje. Ktos musial ich wystarczajaco wczesnie ostrzec i zdazyli utworzyc szyk bojowy, zanim nasi pikinierzy ich zaatakowali. A co pozniej sie stalo, to juz widzieliscie rownie dobrze jak ja, wasza swiatobliwosc. Zadna inna armia na Pardal nie moglaby tak szybko strzelac; nasi ludzie nie spodziewali sie czegos takiego i ich natarcie zalamalo sie. Oceniam – dodal z gorycza – ze najpierw prawie polowa z nich zostala zabita lub ranna.

–A teraz?

–A teraz uwiezilismy ich w magazynie na ulicy Garbarzy. – Lord marszalek skrzywil sie. – To niestety oznacza, ze beda mieli mnostwo amunicji, kiedy ich wlasna sie skonczy, lecz za to my kontrolujemy wszystkie ulice prowadzace w kierunku bram. Mozemy ich tam nawet zaglodzic na smierc. Zakladajac, ze bedziemy mieli czas.

–Czas? – powtorzył ostro Vroxhan. Surak pokiwał ponuro głową.

–Reszta ich armii rozpoczęła atak na północną bramę, wasza świątobliwość, a zgodnie z waszymi rozkazami ludziom na murach też nie powiedzieliśmy, co zamierzamy zrobić.

–Mówi pan, że mogą się przebić do Świątyni?! – sapnął Vroxhan.

–Mówię, wasza świątobliwość, że nasza artyleria jest gotowa i ściągamy więcej piechoty, ale jeśli wystarczająco szybko zaatakują, mogą przedostać się przez tunel, zanim przygotujemy olej. Jeśli tak się stanie, to owszem, mogą się przebić.

–Dobry Boże! – wyszeptał Vroxhan, i tym razem to lord marszałek się uśmiechnął.

–Wasza świątobliwość, ja nigdy nie zdecydowałbym się tutaj z nimi walczyć, ale może jeszcze się uda obroczyć to na naszą korzyść. – Vroxhan spojrzał na niego z niedowierzaniem, a lord marszałek machnął niecierpliwie ręką. – Wasza świątobliwość, powtarzałem to już wielokrotnie: to ich zasięg i siła ognia czynią ich tak niebezpiecznymi na polu walki. Coż, w Świątyni będa musieli zaatakować nas frontalnie, z bagnietami przeciwko pikom. To może być najlepsza okazja do zmiżdżenia ich głównej armii, a jeśli nam się uda, możemy zdobyć ich broń i dowiedzieć się, w jaki sposób osiągnęli taki zasięg i szybkostrzelność.

Vroxhan zamrugnął ze zdziwienia, ale już po chwili zrozumiał.

–Tak, wasza świątobliwość. Jeśli zatrzymamy ich tutaj, zmiżdżymy ich armię i skopujemy broń, a później zgromadzimy nasze siły z innych rejonów, możemy wygrać tę wojnę.

–Ja... – zaczął Vroxhan, lecz przerwał mu ryk o wiele większej liczby armat, niż mogli wystawić obrońcy północnej bramy.

Chmura dymu uniosła się w powietrze, gdy kule z arlaków wbiły się w bramy miasta. W grubych deskach pojawiły się dziesiątki otworów, lecz bramy nadal się trzymały, więc artylerzyści powrócili do morderczego ostrzału, którego nauczyli ich lord Sean i lord Tamman.

Obrońcy rozpaczliwie próbowali się bronić, lecz mieli mniej armat, które na dodatek nie dorównywały szybkostrzelnością malagorskim armatom, a poza tym wiatr niesł w ich stronę gruba, oslepiająca ścianę dymu. Działa Straży zabijały i raniły ludzi Tibolda, lecz nie mogły uciszyć jego artylerii, i wreszcie zewnętrzna brama zachwiała się pod nawalą osmiokilogramowych kul. Artylerzyści strzelali jednak dalej, kierując strumień pocisków w wąskie gardło tunelu, aby zniszczyć także drugą i trzecią

brame.

Tibold spacerował, zagryzając wargę, i próbował wybrać odpowiedni moment do ataku. Jeśli będzie zbyt długo czekał, obrońcy zdążyli przygotować gorący olej, ale jeśli ruszy zbyt wcześnie, zostanie zatrzymany przez nietknięte bramy, a poza zarekwirowanymi dyszlami wozów nie mieli żadnych taranów. Straty, jakie może im zadać artyleria na murach, będą straszliwe, ale jeżeli jego ludzie będą musieli wycofywać się spod bramy pod ostrzałem, bo nie będą mogli jej zdobyć, straty będą także niepotrzebne.

Rozległa się kolejna salwa jego artylerii. I kolejna. I następna. Tibold spacerował coraz szybciej, mając problemy z podjęciem decyzji.

Nagle przypomniał sobie o komunikatorze. Unosił dłoń i wpatrzył się w bransoletkę, a wtedy wydobył się z niej głos anioła Harry.

–Środkowa brama musiała już upaść, Tiboldzie. Widac pociski wypadające przez wewnętrzną bramę, która ledwie się trzyma.

Widza bramy? Jak nawet anioł może zobaczyć... Powstrzymał jednak niepotrzebne pytania i unosił komunikator do ust.

–Co jeszcze widzicie, lady Harry? – spytał.

–Czeka na was piechota. – Mimo strachu o Seana Harriet mówiła beznamiętnie i wyraźnie, gdy przekazywała raporty z pośpiesznie przekierowanych orbitalnych czujników Brashana. – Dwa albo trzy tysiące pikinierów, ale tylko kilka setek muszkietierów. Mają wsparcie artylerii, ale nie wiem, czy to chagory, czy arlaki. Na razie to tyle, ale kolejne armaty znajdą się tam w ciągu dwudziestu minut. Musicie ruszać, Tiboldzie!

Awangarda Tibolda tworzyła dwunastą brygadę. Żołnierze stali dwadzieścia metrów za armatami, bladzi i napięci, świadomi, jaka rzeź czeka ich w wąskim tunelu. Tym razem nie było zwyczajowych żartów i przekomarzania się, by ukryć strach. Stali w milczeniu, każdy zamknięty w swoim własnym małym świecie dreczącego napięcia. Mieli już ponad setkę rannych i zabitych przez arlaki ustawione na murach Świątyni. Na razie byli za daleko dla kartaczy, a poza tym obrońcy koncentrowali się na próbach uciszenia artylerii Tibolda, ale wiedzieli, że to się zmieni, gdy piechota ruszy do ataku.

Podrywali głowy, gdy pojawił się przed nimi wysoki kapitan Tibold. Patrzył na nich płonącym wzrokiem, a jego ryk zagłuszył nawet grzmot artylerii.

–Malagorczycy! – krzyknął. – Wszyscy wiecie, co lord Sean i anioły zrobili dla nas. Teraz on, lord Tamman i anioł Sandy zostali zdradzeni! Jeśli się do nich nie przebijemy, oni i wszyscy nasi towarzysze, którzy są z nimi, zginą! Żołnierze dwunastej, czy na to pozwolicie?!

–Nieee!! – zaryczeli i Tibold unosił miecz.

–To ruszajmy do nich! Dwunasta brygada, marsz!

Rozległy się gwizdki, dudy zaczęły zawodzić, a żołnierze dwunastej brygady chwycili strzelby spoconymi dłońmi i ruszyli.

Artylerzyści na murach z początku ich nie zauważyli. Dym ograniczał widoczność, a grzmot ich własnej artylerii zagłuszał gwizdki i zawodzenie dud. Zobaczyli ich dopiero wtedy, gdy ogień malagorskich arlaków osłabił, ponieważ w ich polu ostrzału pojawiła się własna piechota. Osmaleni artylerzyści zmienili ustawienie armat, zastąpili kartacze kulami, i teraz czekali tylko, aż dym się podniesie i ujrzą wyraźniej cel.

–Szybki marsz! – krzyknęli oficerowie dwunastej brygady i kolumna przyspieszyła. Mieli do przebycia sześćset kroków, a poruszali się z prędkością stu trzydziestu kroków na minutę.

Tymczasem wzdłuż muru, między armatami Straży, pojawili się muszkietierowie. Nie pozostało ich zbyt wielu – jedynie cztery setki – ale kiedy dwunasta przyspieszyła, ustawili się na pozycjach i podsypali prochu na panewki.

–Malagor i lord Sean! – ryknął dowódca dwunastej, gdy od muru dzieliło ich już tylko czterysta kroków, a jego ludzie wydali z siebie straszliwy okrzyk wojenny i ruszyli biegiem.

Dwadzieścia armat wystrzeliło kartacze w stronę zbitego szyku wroga. Wielu żołnierzy trafionych czterdziestokilogramowymi szrapnelami padło, lecz inni przeskakiwali nad trupami z taką prędkością, że szybko znaleźli się poza zasięgiem armat na murach. Zaskoczeni muszkietierowie Straży wychylali się za przedpiersie, by strzelać do tych, którzy dotarli do podstawy muru, artyleria zalewała ogniem żołnierzy, którzy pedzili za nimi, a sześć pułków strzelców odpowiadało im ogniem obezwładniającym. Wreszcie zakrwawione bataliony dwunastej brygady wpadły w brame.

Potężne deski załamały się pod naporem ciał i przewróciły, miażdżąc lub unieruchamiając dziesiątki ludzi, a brygada szarżowała dalej. Druga brama na chwilę spowolniła jej szalency ped, i kolejnych pięćdziesięciu ludzi zginęło, zanim w końcu się przewróciła.

Żołnierze pedzili dalej, niesieni żądzą krwi, a gdy w końcu przebili się przez trzecią i ostatnią bramę, czekał na nich ogień z muszkietów. Arlaki ryczały i zasypywały ich

kartaczami z odleglosci mniejszej niz szescdziesiat metrow, a oni potykali sie, slizgali na mokrym od krwi bruku i dalej nacierali. Wreszcie uderzyli w czekajace na nich piki niczym zakrwawiony umierajacy mlot.

Sila ich uderzenia wstrzasnela Straznikami. Mimo ze dluzsza bron dawala im ogromna przewage w tym starciu, atakujacy Malagorczycy taranowali ich, a tymczasem z tunelu wylewali sie kolejni zolnierze, przywalajac wlasnymi cialami pierwsze szeregi pikinierow. Wreszcie Straz zaczela sie cofac przed niewiarygodna brutalnoscia tego natarcia. Nie walczyli z ludzmi – walczyli z zywolem. Na kazdego zabitego przez nich Malagorczyka natychmiast pojawialo sie dwoch nastepnych, a kazdy z tych szarzujaacych maniakow najpierw strzelal niemal z przylozenia, a dopiero potem atakowal bagnetem. Za nimi pedzili inni, ktorzy rzucali wypelnione prochem zelazne granaty reczne, siejac postrach w szeregach Straznikow. Obroncy Swiatyni zaczeli sie juz ogladac do tyłu na obiecane posilki.

A tymczasem kolejni Malagorczycy wypadali z tunelu. Kazdy z nich przedziral sie przez kotlujaca sie zbita mase zolnierzy, by przed smiercia zabic choc jednego Straznika. Straz miala mniej ofiar, lecz Malagorczycy zdawali sie nie przejmowac wlasnymi stratami, i szyk pikinierow w koncu zaczal sie zalamywac. Tu jakis zolnierz upadl z krzykiem, tam inny zaczal powoli sie wycofywac, a jeszcze inny upuscil pike i probowal uciec. A Malagorczycy rzucili sie do przodu z jeszcze wieksza zajadloscia, gdy wyczuli zmiane ukkladu sil.

Oficerowie Strazy robili wszystko, co w ich mocy, lecz nie mogli powstrzymac tej desperackiej szarzy. Zarzadzili wiec odwrot, ale wktotce powolne wycofywanie sie zmienilo sie w bezladna ucieczke. Malagorska armia wpadla z dzikim rykiem do miasta.

A tam dolaczylo do nich dwustu zolnierzy z dwunastej brygady, ktorzy nadal stali na wlasnych nogach.

–Pokonalismy brame, lordzie Seanie! – krzyknal Tibold do komunikatora. – Pokonalismy brame!

–Wiem, Tiboldzie. – Sean przymknal oczy i po jego twarzy poplynely lzy. Byl podlaczony do orbitalnych czujnikow Brashana, ale dym i chaos sprawialy, ze nawet orbitalny sprzet nie pozwalal dostrzec szczegolow, lecz on nie musial znac szczegolow, by wiedziec, ze tysiace jego ludzi zginely lub odniosly rany.

–Uwazaj, Tiboldzie! – rozlegl sie glos Harriet. – Zolnierze, ktorych zmusiliscie do uciezki, wlasnie otrzymali posilki. Zbliza sie do was dziesiec albo dwanasiec tysiecy nowych zolnierzy, a ci, ktorzy przezyli walke pod brama, dolaczyli do nich.

–Niech nadchodzi! – wykrzyknął triumfalnie Tibold. – Pokonam ich w uczciwej walce, lady Harry!

–Seanie, do ciebie też się zbliżają.

–Widze ich, Harry.

–Trzymajcie się, lordzie Seanie! – krzyknął Tibold.

–Będziemy – obiecał Sean i otworzył oczy. – Przekaz dalej, Folmaku. Nadchodzi ze wschodu i zachodu.

–Co się dzieje, lordzie marszałku? – spytał zdenerwowany Vroxhan, gdy zdyszany goniec przekazał Surakowi wiadomość. Lord marszałek przejrzał ją pobieżnie i zmiał w reku.

–Heretycy zdobyli brame, wasza świątobliwość.

–Bóg doda sił naszym ludziom – obiecał Vroxhan.

–Mam nadzieję, że macie rację, wasza świątobliwość – odparł ponuro Surak. – Wysoki kapitan Therah donosi, że heretycy mają prawie dwa tysiące ofiar, a mimo to wciąż nacierają; nie zatrzymują się nawet po to, by się przegrupować. Wydaje się... – spojrzał wysokiemu kapłanowi prosto w oczy – że ich oburzenie z powodu naszej zdrady jest jeszcze większe, niż się obawiałem.

–Działaliśmy w imię Boga, lordzie marszałku! – warknął Vroxhan. – Nie wściekajcie się kwestionować Jego woli!

–Nie kwestionuję Jego woli – powiedział Surak z niebezpieczną emfazą^ jedynie pragnę zauważyć, że ludzie rozwścieczeni z powodu zdrady mogą dokonać rzeczy, których normalnie by nie zrobili. Nasze straty będą poważne, wasza świątobliwość.

–No to będą poważne! – Vroxhan spojrzał na niego ze złością, po czym uderzył pięścią w mapę Świątyni. – A co z przywódcami heretyków?

–Właśnie zaczyna się nowy atak, wasza świątobliwość.

W północnej i południowej części kamiennego muru magazynu były dwie szerokie bramy, więc ludzie Folmaka zabarykadowali je płytami chodnikowymi i przodkami dział i podtoczyli pod nie zdobywcze arlaki. Nie był to fort, ale i tak można tu było lepiej się bronić niż na ulicach miasta.

Straznicy, którzy przeżyli pierwsze starcie, otoczyli teraz magazyn, wspierani przez kilkanaście tysięcy żołnierzy i cztery baterie arlaków. Widząc, co się stało z tymi, którzy próbowali odprzodkować działa w zasięgu ostrzału wroga, wciągnęli swoje armaty do składów po obu stronach magazynu. Tam wyrabali w ścianach prymitywne otwory strzelnicze i wystawili przez nie lufy arlaków.

Sean spodziewał się tego, lecz nic nie mógł na to poradzić. Stał w oknie biura zarządcy magazynu i obserwował, jak oddziały zaopatrzenia wyciągają skrzynki z amunicją Strazy i rozdają jej ludziom, aby korzystali z tych kul na bliski zasięg, oszczędzając w ten sposób swoją własną amunicję, a strzelcy wyborowi zaczynają strzelać w kierunku prymitywnych otworów strzelniczych. Niektóre strzały trafiły w cel, lecz to nie wystarczało, by przeszkodzić wrogowi w przygotowaniach.

I nagle arlaki zaczęły strzelać.

Osmiokilogramowe kule wystrzelone z odległości mniejszej niż szesćdziesiąt metrów wbijały się w ściany magazynu, odlupując duże kawałki kamienia. Sean zacisnął zęby.

–Mają zamiar zrobić wylom, a później pchnąć do przodu pikinierów – powiedział do Folmaka. – Niech parę kompanii zacznie budować barykady za murem. Niech wykorzystają wszystko, co znajduje, i umieszcza tam parę arlaków. Kiedy Straznicy zrobią wylom i będą próbowali przez niego przejść, otworzymy ogień.

–Natychmiast, lordzie Seanie! – Folmak uderzył w napiersnik i znikł, a wtedy pojawiła się Sandy.

–Chciałbym, żebyś tutaj nie było – wychrypiał. – Do cholery, co ty chciałaś zrobić?

–Między innymi uratować ci tyłek! – odparowała, lecz w jej słowach nie było zjadliwości. Dotknęła jego łokcia. – Czy jest bardzo źle, Seanie? – spytała ciszej. – Czy uda nam się utrzymać?

–Nie – powiedział głosem bez wyrazu. – Będzie rzucać przeciwko nam coraz więcej ludzi... albo wycofają się i będą nas tylko ostrzeliwać artyleria. Przedziej czy później pierwsza brygada zginie.

–Chyba że Tibold dotrze tutaj wcześniej.

–Chyba że Tibold dotrze tutaj wcześniej – powtórzył za nią z ponurą miną.

Rozdział 39

Wysoki kapitan Therah skrzywił się, gdy malagorskie chagory wystrzeliły, kosząc

całe szeregi jego żołnierzy. Choć ich pociski były dwa razy lepsze od tych, którymi strzelały arlaki Straży, mniejsze i lepsze chagory były także bardziej zwrotne. Co gorsza, heretycy strzelali z nieprawdopodobną szybkością – szybciej niż muszkieterzy Straży.

Świadomość, że Świątynia dopuściła się zdrady, dodawała heretykom siły, jakiej Therah jeszcze nigdy nie widział przez siedem długich pardalskich lat żołnierskiej służby. Wrzeszcząc "lord Sean i żadnej łaski!", walczyli jak demony, którym oddawali cześć. Według jego najbardziej optymistycznych ocen, Straż straciła już sześć do siedmiu tysięcy ludzi, a jeszcze nie widac było końca walki. Ale heretycy również tracili ludzi, gdyż wściekłość pchała ich do szalonych ataków na oslep.

Co nie znaczy, że nie wygrywali. Mimo że nie znali miasta, zawsze jakimś cudem zauważali każdą większą próbę ich oskrzydlenia. Wydawali się nie zwracać uwagi na mniejsze oddziały i ich ataki z bocznych ulic – takie drobne potyczki mogły ich jedynie spowolnić, podobnie jak blokujące ulice tłumy przerażonych cywilów.

Lecz Therah też się uczył. Jego muszkieterzy nie dorównywali heretyckim strzelcom w otwartej walce, więc wszystkie cenne muszkiety, tak samo jak strzelby gładkolufowe, umieszczono na wyższych piętrach budynków wzdłuż linii natarcia heretyków. Therah był pewien, że straty heretyków są o wiele większe niż jego własne, a mimo to wciąż napierali, rozdzielając się na każdym skrzyżowaniu i wchodząc w każdą uliczkę. Wbijali się coraz głębiej w teren Świątyni niczym żagłada.

Chagory znów wystrzelily i heretycka piechota natarła z tym ich straszliwym okrzykiem wojennym. Ich przeklęte dudy były niczym potępione dusze, a bagnety przebijały się przez rzędy ocalałych pikinierów. Nagle wycie zostało zagłuszone przez ryk arlaków. Artylerzyści zakończyli budowę sięgającej do pasa barykady z kamieni i dział, plunęły teraz ogniem przez otwory w tej prymitywnej barierze. Odpowiedział im ostrzał kartaczami. Po murach i trotuarach popłynęła krew – nawet wyznawcy demonów nie mogli czegoś takiego wytrzymać. Wycofali się biegiem do swoich dział i rozpoczął się zacięty pojedynek między ich chagorami i arlakami Straży. Therah odwrócił się ze złością od okna, by spojrzeć na mapę.

Szczyt heretyków znajdował się w połowie drogi do Placu Męczenników. Ich natarcie trzema głównymi alejami zatrzymano w odległości trzech do czterech tysięcy kroków od północnej bramy. Jego artyleria okopala się teraz na całej szerokości Północnej Drogi, a ponieważ nie spodziewał się, by wytrzymała tam długo, z tyłu budowano kolejne barykady. Może wykrwawić heretyków, gdy będą się przebijać przez jeden punkt oporu za drugim, ale pod warunkiem, że będzie miał więcej ludzi!

Tymczasem jego siły rozpadły się na dziesiątki niewielkich oddziałów, które pośpiesznie zamykały każdy nowy wylot w bocznych uliczkach. A przecież każdy

zolnierz, który został tam wysłany, oznaczał o jednego zolnierza mniej na glownych ulicach, lecz jesli nie zamykali bocznych uliczek, heretycy przemykali tamtedy – zabierajac ze soba swoje przeklęte chagory – i pojawiali sie na tylach Strazy. Potrzebowal wiecej ludzi, jednak lord marszalek Surak nie chcial ich zwolnic. Jedna trzecia Strazy wciaz atakowala przywodcow heretykow lub pilnowala drog, ktorymi mogliby dolaczyc do swoich towarzyszy, gdyby jakimś cudem wyrwali sie z magazynu artylerii. Ludzie Theraha walczyli jak bohaterowie, lecz jesli nie uda mu sie przekonac Suraka do przyslania posilkow, na pewno sie zalamia.

–Sygnalista! – Nawet nie podniosl wzroku, kiedy pojawil sie oficer sygnalowy. – Przekaz lordowi marszalkowi Surakowi: "Musze miec wiecej ludzi. Utrzymalismy glowne drogi, lecz wyznawcy demonow przebijaja sie bocznymi uliczkami. Mamy duze straty. Jesli nie dostaniemy posilkow, nie moze byc odpowiedzialny za wynik walki." – Przerwal, zastanawiajac sie, czy nie jest zbyt obcesowy, po czym wzruszyl ramionami. – Poslij to.

Wygladal wlasnie przez okno, gdy kula z heretyckiego chagora trafila w wylot lufy jego arlaka. Lufa podskoczyla niczym niezgrabny talmahk, a opadajac, zmiazdzyla pol tuzina ludzi. Therah zaklal. Jego dziala zabijaja heretyckich artylerzystow, a mimo to wyznawcy demonow wygrywaja dzieki szybkostrzelnosci ich broni.

–Wiadomosc do podkapitana Reskaha! Ma przeniesc baterie na ulice Swietego Halmatha. Niech ja rozstawi tak, by zaatakowala flanke heretykow, kiedy zbliza sie do pozycji na ulicy Lamp. Pozniej wyslij kolejna wiadomosc do podkapitana Garthy. Ma sprowadzic pikinierow...

Wysoki kapitan Therah wykrzykiwal rozkazy, zas jego sztab zaczynal juz zbierac mapy, przygotowujac sie do kolejnego odwrotu.

Sean kulil sie wraz z Sandy za sterta kamieni – tylko tyle pozostalo ze sciany magazynu – obserwujac, jak kolejne natarcie wycofuje sie wsrod klebow dymu. Drewniane sklady na wschodzie plonely, lecz te na zachodzie byly zbudowane z kamienia i arlaki Strazy nie przerywaly ostrzalu.

Po jakimś czasie przyczolgal sie do nich Folmak; napiersnik bylego mlynarza byl powyginany, a lewa reka wisiala na zakrwawionym temblaku, lecz w prawej trzymal dymiacy pistolet. Opadl obok Seana i wreczyl adiutantowi bron do przeladowania, po czym wyjal zza szarfy drugi pistolet.

–Zostalo nam okolo dziewieciuset zdolnych do walki, panie. – Malagorczyk zakrztusil sie dymem. – Oceniam, ze mamy trzy setki zabitych i szesc setek rannych, a chirurgom skonczyly sie opatrunki. – Odwrocil glowe, by popatrzec, jak Sandy

rozrywa okuta żelazem skrzynię na amunicję, i uśmiechnął się ponuro. –
Przynajmniej wciąż mamy mnóstwo amunicji.

–Ciesz się, że coś idzie dobrze – mruknął Sean i podniósł się, by strzelić do atakującego Straznika. Mężczyzna rozłożył szeroko ręce i upadł na twarz, a Sean opadł obok Folmaka w chwili, gdy nad jego głowę zagwizdały w odpowiedzi kule.

Przetoczył się na plecy, by przeladować pistolet. Jego myśli były ponure. Straż nadchodziła już tylko z zachodu, ale jednak wciąż nadchodziła. Jak udowodnił Lee w Cold Harbor i Petersburgu, okopani strzelcy mogą przez jakiś czas utrzymać się w obliczu przeważających sił wroga, lecz tutaj każdy atak zbliżał się coraz bardziej niczym fale pochłaniające plażę, a jego szeregi były coraz słabsze. Wytrzymamy jeszcze tylko dwie albo trzy godziny, pomyślał.

Odciągnął kurek i podsypał prochu na panewkę, a potem spojrzał w zadymione popołudniowe niebo. W rzadkich chwilach, gdy strzały milkły, słyszał odgłosy bitwy na północy. Wciąż był podłączony do czujników Brashana, ale satelity coraz mniej widziały, gdyż dym i pożary oslepiały ich czujniki; pozostawał też w kontakcie z Tiboldem i Harriet. Był Straznik pokonał połowę drogi do Placu Meczennikow, lecz zapłacił za to straszliwą cenę; według oceny Harriet Tibold stracił jedną szóstą ludzi. Armia Aniołów była coraz słabsza, a on nie mógł nic na to poradzić. Byli zbyt daleko, żeby się wycofać, a poza tym Sean wiedział, że Tibold nigdy nie podejmie takiej decyzji, dopóki on, Tamman lub Sandy żyją.

Ale to nie potrwa już zbyt długo, pomyślał gorzko.

–Seanie! Poruszenie na północy! – rozległ się w komunikatorze głos Tammana.

Przeturlał się na bok i unosił na łokciu, aby spojrzeć w prawo, lecz mimo wzmocnionego wzroku niczego nie widział.

–Jakie poruszenie? – spytał. Przez chwilę panowała cisza, zanim Tamman odpowiedział.

–Nie wiem. Wygląda na to, że... Na Boga, tak! Wycofują się!

–Wycofują się? – Sean spojrzał na osmaloną twarz Sandy, a ta wzruszyła ramionami. – Czy kierują się na zachód, Tam?

–Nie, po prostu się wycofują. Chwila. – Znowu zapadło milczenie, gdy Tam czuł się przez gruzy, szukając lepszego punktu widokowego. – W porządku, teraz ich lepiej widzę. Seanie, te sukinyśny formują kolumnę marszową i kierują się prosto w stronę Placu Meczennikow!

Sean właśnie miał mu odpowiedzieć, kiedy za barykadą pojawił się młodszy oficer i

rzucił się obok niego na ziemię. Mezczyzna ciężko dyszał i był brudny od stop do głów, lecz mimo to uderzył w napiersnik w ograniczonym do minimum geście powitania.

–Lordzie Seanie! Wycofują się na południu.

–Wszyscy?

–Ich muszkietierowie wciąż są w budynkach, lecz pikinierzy wycofują się, panie.

Sean zmusił swój przerażony umysł do działania. Straż wie, że powoli pozbawia pierwszą brygadę sił, więc dlaczego teraz się wycofują? Nie może chodzić o proste przegrupowanie, jeśli Tamman ma rację co do kolumny maszerującej w stronę Placu Meczenników. A jeśli nie o to chodzi, to co...

–Zbierają posiłki przeciwko Tiboldowi – powiedział cicho. Folmak patrzył na niego przez chwilę, po czym pokiwał głową.

–Musi tak być – potwierdził.

–Ilu pikinierów wycofali z południa?

–Nie jestem pewien, panie...

–Jak przypuszczasz? – przerwał mu Sean.

–Co najmniej pięć tysięcy.

–Tam? A ilu po twojej stronie?

–Sądzę, że odeszło siedem do osmiu tysięcy pikinierów. Zostawili muszkietierów, żebyśmy mieli co robić, ale przypuszczam, że wspiera ich nie więcej niż tysiąc pikinierów.

Sean skrzywił się, po czym przełączył komunikator na częstotliwość Tibolda.

–Tiboldzie, wycofują stąd ludzi. Jakies dziesięć do dwunastu tysięcy pikinierów.

–W takim razie przysła ich tutaj. – Były Strażnik zachrypl po wielu godzinach wykrzykiwania rozkazów, lecz jego umysł funkcjonował bez zarzutu.

–Owszem. Jak to zmieni waszą sytuację?

–Nie będzie dobrze, lordzie Seanie – odpowiedział ponuro Tibold. – Moje przednie brygady liczą już tylko po jednym batalionie. Wciąż idziemy naprzód, ale cał po calu. Jeśli wprowadzą do walki tylu świeżych ludzi... – Przerwał, a Sean niemal widział, jak

wzruszył ramionami.

–Po jakim czasie do was dotra?

–W tych warunkach? Co najmniej za godzinę.

–Dobrze, Tiboldzie. Zaraz do ciebie przyjde.

–Seanie? – Wzrok Sandy wprost wwiercał się w jego twarz.

–Daj mi minutę. – Odwrócił się do Folmaka i wskazał na wysoki, przypominający fortecę budynek głównego arsenału, w którym przebywali ich ranni.

–Ilu ludzi potrzebujesz do obsadzenia arsenału?

–Tylko arsenału? – Malagorczyk przetarł brudną twarz zdrową dłonią. – Trzy setki, by obsadzić wszystkie cztery ściany i posłać paru snajperów na gore.

–Tylko trzy setki? – Folmak uśmiechnął się ponuro.

–Już przygotowaliśmy to jako miejsce ostatniej obrony, lordzie Seanie, i na parterze mamy pod każdą ścianą po pół tuzina ich arlaków. Mam parę setek rannych, którzy jeszcze mogą strzelać, i kolejnych stu, którzy wciąż mogą ładować broń, mamy też mnóstwo strzelb, których nikt już nie potrzebuje. Wytrzymam z trzema setkami, panie. Nie na zawsze, ale przynajmniej kilka godzin.

–Niech to beda cztery setki.

–Tak, panie. – Folmak pokiwał głową, nie odrywając wzroku od swojego dowodcy. – Dlaczego, panie? – spytał wreszcie.

–Ponieważ zabieram resztę twoich ludzi na małą wycieczkę, Folmaku. – Sean odsłonił zęby, widząc minę Malagorczyka. – Nie, nie oszalałem. Straż prawdopodobnie wycofuje wszystkich ludzi, żeby rzucić ich przeciwko Tiboldowi.

–I...? – spytał ostro Folmak.

–Jeśli uda mi się przebić na południe, kiedy oni wszyscy będą kierować się na północ, może złożę wizytę samemu wysokiemu kapłanowi Vroxhanowi i... no cóż, przekonam go do zakończenia tego wszystkiego.

–Oszalałeś, panie. Wysoki kapitan Tibold zrobi rzemienie z moich flaków, jeśli pozwolę ci na coś takiego!

–Ale nie przeżyjemy, jeśli nie uda mi się przeszkodzić im w przegrupowaniu sił przeciwko Tiboldowi. Zastanów się, Folmaku. Jeśli przebije się na ich tyły, idąc w

przeciwnym kierunku niż oni, będą musieli wysłać przeciwko mnie część swoich ludzi. Możemy w ten sposób narobić sporo zamieszania, a w tym czasie Tiboldowi może uda się wycofać.

–Oszalałeś – powtórzył Folmak. Przez chwilę patrzył Seanowi w oczy, w końcu jednak spuścił wzrok. – Naprawdę oszalałeś – westchnął – ale ty tutaj dowodzisz. Oddam ci to, co zostało z drugiego pułku.

–Dziękuję. – Sean ścisnął mocno ramię Malagorczyka. – W takim razie lepiej już ruszaj, żeby to wszystko dobrze zorganizować.

–W którą stronę się skierujecie?

–Zacznijmy na wschód. Pożary sprawiły, że tam są bardziej dezorganizowani.

–Dobrze. Umieśćcie kilka dział na stanowiskach, żeby ostrzelały teren, zanim wyruszyacie. Przynajmniej... – dowódca pierwszej brygady z trudem się uśmiechnął – nie ma już muru, który blokowałby mój ostrzał!

Odczłapał się, wzywając pozostałych przy życiu gonców, a wtedy lokiec Seana chwyciła drobna, brudna ręka.

–On ma rację, oszalałeś! – wysyczała Sandy. – Nigdy nie przedostaniesz się przez ich linię obrony, a nawet jeśli ci się uda, nie masz pojęcia, gdzie znaleźć Vrokhana!

–Nie, ale wiem, gdzie jest Sanktuarium.

–San... – Sandy zamarła, patrząc mu w oczy, a on pokiwał głową.

–Jeśli Tam i ja dostaniemy się do Sanktuarium – a może nam się to udać, kiedy wszyscy będą walczyć w północnej części miasta – możemy przejąć komputer. A jeżeli wyłączymy wewnętrzny system obrony, Brash i Harry będą mogli sciągnąć tutaj myśliwce i dać Straży solidnego kopa.

–Nie uda ci się – wyszeptała, ale wiedziała, że Sean musi spróbować.

–Może nie, ale z pewnością uda nam się zdenerwować sukinyńców! – powiedział z dzikim grymasem.

–W takim razie idę z wami.

–Nie! Jeśli się przebijemy, większość z nich ruszy za nami. Chce, żebyś została tutaj, gdzie będziesz bezpieczna!

–Pierdol się, Seanie MacIntyre! – wykrzyknęła z wściekłością. – A niech to wszyscy diabli, czy myślisz, że chce być bezpieczna, gdy ty będziesz gdzieś tam!? – Wskazała

na klebiacy sie dym, a on przygladal sie ze zdziwieniem, jak lzy zlobia czyste slady na jej brudnej twarzy. – Do diabla z toba, wasza wysokosc! Ja tez jestem oficerem, a nie przekletym aniolem! I ide z toba! Jesli cos sie stanie tobie i Tamowi, moze mnie uda sie dorwac do komputera!

–Ja... – Sean pochylil glowe, wpatrujac sie w zacisniete piesci. Ma racje, pomyslal przerazony. Chcial – Boze, jak bardzo chcial! – zeby zostala z tylu, ale to nie zmienialo faktu, ze miala racje.

–Dobrze – wyszeptal w koncu i podniosl wzrok, mrugajac od lez. Dotknal dlonia jej policzka i usmiechnal sie. – Dobrze, ty niezdyscyplinowana wiedzmo.

Chwycila go za nadgarstek i na chwile przycisnela policzek do jego dloni, po czym puscila jego reke i przeturlala sie na kolana.

–Powiedz Harry i Tiboldowi, co planujemy. Ja pomoge Tamowi wszystko zorganizowac.

Rozdzial 40

Ostrzal zmniejszyl sie, gdy czesc atakujacej piechoty opuscila okolice zrujnowanego magazynu. Seana wciaz otaczaly trzy tysiace ludzi, lecz muszkietrzy oszczedzali amunicje, a komory artylerii byly prawie puste (wozy z amunicja byly juz w drodze) i na razie Straznicy mogli tylko zatrzymac heretykow na miejscu.

Tymczasem wszyscy dowodcy pulkow Folmaka i czterech z szesciu dowodcow batalionow zginelo. Straty wsrod mlodszych oficerow byly rownie powazne i zorganizowanie ludzi na nowo zajmowalo sporo czasu. Gdyby przeciwnik domyslil sie, co sie dzieje, i przypuscil atak w takiej chwili...

Folmak mial zatrzymac to, co pozostalo z trzeciego pulku, i polowe pierwszego; reszta pierwszego miala wzmocnic drugi na czas wypadu. Trzeci batalion pilnowal tego, co pozostalo z zachodniego muru, i mial wycofac sie do arsenu, oslaniany przez setke ludzi juz znajdujacych sie w budynku, podczas gdy Sean bedzie atakowal na wschodzie.

Troche za dlugo to trwa, pomyslal, lecz jego ludzie poruszali sie najszybciej jak mozna, a nawet jeszcze szybciej. Skulil sie za sterta kamieni i czekal, az ludzie zbiora sie wokol niego. To, co niegdys bylo pulkami, teraz bylo batalionami, a bataliony zmienily sie w kompanie, lecz jeden po drugim oficerowie podnosili rece, potwierdzajac swoja gotowosc. Odetchnal gleboko.

Tuzin arlakow zaladowanych jednoczesnie kulami i kartaczami, przyciagniety na pozycje pod oslona dymu, zaczal strzelac w strone jedynej ulicy biegnacej na wschod, ktorej nie objely plomienie, a zaraz potem artylerzysci chwycili za strzelby.

W odpowiedzi na niespodziewana salwe rozlegly sie wrzaski bolu, a wtedy brudne, obszarpane niedobitki kompanii B trzeciego batalionu przeskoczyly nad resztkami muru z przerazajacym malagorskim okrzykiem wojennym na ustach.

Reszta drugiego pulku podazyla za nimi. Sean poderwal Sandy na rowne nogi i razem z druga fala zolnierzy opuscili zrujnowany arsenal. Tamman biegł przed nimi, prowadzac kompanie B waska uliczka miedzy dwoma plonacymi skladami. Zanim Straznicy ochloneli po niespodziewanym ostrzale, w krwawym blasku plomieni blysnely bagnetety i piki Malagorczykow.

W wyniku tej potyczki zginela jedna czwarta kompanii, lecz piechota Strazy wreszcie rozpadla sie pod ich bagnetami.

–Przebilismy sie, Seanie! – ryknal Tamman przez komunikator.

–Nie zatrzymujcie sie! Ruszajcie dalej!

Drugi pulk wylonil sie na otoczonej sciana ognia ulicy tuż za plecami swoich przeciwnikow i dwustu czy trzystu Straznikow, zaskoczonych widokiem obszarpanych widm z bagnetami, zaczelo uciekac w panice. Tymczasem grupa Seana przebila sie przez barykady wokol arsenalu i znikla w plonacym miescie, a Folmak Folmakson, nasluchujac coraz slabszych odglosow walki na wschodzie, zaczal modlic sie cicho o ich bezpieczenstwo.

Harriet MacIntyre byla blada i mocno sciskala dlon Stomalda, gdy przygladala sie chmurom dymu nad Swiatynia. Dzieki komunikatorowi mogla razem z bratem i przyjaciolmi podazac ulicami miasta, ale tak naprawde calym sercem pragnela byc z nimi. A tymczasem musiala czekac w obozie i modlic sie, by bezpiecznie dotarli do celu. Brashan porzucil swoje stanowisko na pokladzie Izraela i siedzial teraz w kokpicie imperialnego mysliwca, tuż poza granica zabojczej strefy oddziaływania komputera. Jesli Sean i pozostali wylacza komputer, on i Harriet beda mogli zakonczyc walke w ciagu paru minut. Ale pod warunkiem, ze uda im sie wylaczyc komputer.

Tibold Rarikson zaklal paskudnie, gdy na prawo od niego na nowo rozgorzaly walki. Niezbyt dobrze pojmowal, co lord Sean i anioły planowali, i byl przerazony ryzykiem, jakie podejmowal jego dowodca, lecz jako zolnierz bez slowa przyjmowal rozkazy. Bardzo brakowalo mu informacji, ktore otrzymywal wczesniej od aniol Harry – jej raporty byly coraz bardziej ogolne, gdy zamieszanie i dym rozprzestrzenialy sie, lecz mimo to dawaly mu bezcenna przewage – i Straz w koncu otoczyla jego flanki.

Ludzie Tibolda cofali się bardzo powoli, walczyć o każdą stopę ziemi, lecz pikinierzy Straży wciąż napierali. Posłał im na pomoc trzy względnie świeże pulki z rezerwy na zachodzie, mając nadzieję, że to wystarczy.

–Co to?!

Wysoki kapłan Vroxhan obrócił się gwałtownie w stronę okna, gdy na Placu Meczenników przed Kancelarią rozległy się strzały i jego żołnierze zaczęli padać. Atak heretyków tutaj?! To niemożliwe!

Ale tak właśnie było. Na jego oczach obszarpani, brudni ludzie wyskoczyli na otwartą przestrzeń, stanęli w szyku i zaczęli ostrzeliwać bronią placu niepełną kompanię Straży. Wpatrywał się w rzeszę, nie mógł pojąć tego, co widzi.

–Lordzie marszałku! Czy przebili się przez siły Theraha?

–To niemożliwe! – Surak otworzył lunetę i unosił ją do oka, po czym zaklął i zaniknął ją z trzaskiem. – To ci z magazynu, wasza świątobliwość. Nikt inny nie mógłby się tutaj dostać, a na czele stoi mężczyzna, który jest tak wysoki, że na pewno musi być tym lordem Seanem.

–Co oni tutaj robią?!

–Probuja uciec... albo odciągnąć posiłki od północnej bramy. Tak czy inaczej, jest ich zbyt mało, by stanowili jakieś zagrożenie.

–Czy mogą uciec?

–To możliwe, wasza świątobliwość. Mało prawdopodobne, ale możliwe, szczególnie jeśli pójdą na południe, zamiast próbować połączyć się z Tiboldem.

–Powstrzymaj ich! Powstrzymaj ich!! – wykrzyknął Vroxhan.

–W jaki sposób, wasza świątobliwość? Poza waszą strażą osobistą, jednostką kwatery głównej i oddziałem w Sanktuarium, wszyscy, których mam, kierują się w stronę północnej bramy.

Vroxhan chciał coś odpowiedzieć, lecz zamknął usta i znowu odwrócił się do okna. Heretycy właśnie kończyli pogrom nieszczęsnego oddziału Straży i przegrupowywali się. Tak jak przypuszczał Surak, kierowali się na południe, i wysoki kapłan zacisnął pięści w posepnej nienawiści. Uciekają. Przywódcy przeklętej herezji uciekają, a kiedy beda już bezpieczni, reszta ich armii przerwie atak. Poczł żołc w gardle i przeniósł wzrok z wyznawców demonów na wielki biały blok Sanktuarium. Dlaczego?,

spytał Boga. Dlaczego na to pozwalasz? Dlaczego...

I nagle zamarl. Nie, oni wcale nie probuja uciec! Jakby sam Bog szepnal mu do ucha, Vroxhan pojal, dokad sie kieruja, i krew w jego zylach zastygla.

–Sanktuarium! – szepnal. Lord marszalek spojrzal na niego tepo, wiec Vroxhan chwycil go za ramiona i potrzasnal. – Kieruja sie w strone Sanktuarium!

–Sanktuarium? A czemu mieliby to robic, wasza swiatobliwosc?

–Bo sa wyznawcami demonow! – wrzasnal. – Na Boga, czlowieku! Sluza silom Piekiel! A jesli ich panowie powiedzieli im, jak maja zniszczyc Glos? Jesli go stracimy, jak powstrzymamy nastepna fale demonow z gwiazd?

–Ale...

–Nie ma czasu, lordzie marszalku. Powiadom oddzial z Sanktuarium! Powiedz im, ze musza powstrzymac heretykow, a pozniej poslij za nimi wszystkich, ktorych sie da!

–Ale pozostala tylko wasza straz osobista, wasza swiatobliwosc, a...

–Poslij ich! Poslij ich! – Vroxhan znow potrzasnal lordem marszalkiem. – Nie! Sam ich tam zaprowadze! – krzyknal oszalalym z przerazenia glosem i odwrocil sie od Suraka.

Ludziom Tammana nie podobalo sie, ze ich prowadzi, i probowali go wyprzedzic, lecz on za kazdym razem odsylal ich zdecydowanym gestem do tyłu. Nie chcial byc bohaterem – po prostu musial byc na przodzie, by sprawdzac droge swoimi implantami.

Chaos na ulicach byl jeszcze gorszy, niz sie obawial. W okolicy nie bylo wielu Straznikow, lecz za to byly tysiace cywilow uciekajacych w strone Sanktuarium, by modlic sie tam o wybawienie.

Tak wiec kompania Tammana na przemian to biegla, ile sil w nogach, to powoli przedzierala sie przez tlumy mieszkancow miasta. Wreszcie dotarli do wielkiego bloku Sanktuarium.

–Szybciej! Szybciej! – ponaglal Vroxhan.

–Wasza swiatobliwosc, nie mozemy biec szybciej! – Kapitan Farnah, dowodca jego strazy osobistej, wskazal na tlumy cywilow. – Ludzie...

–Czymże sa ludzie, gdy wyznawcy demonow chca sprofanowac Sanktuarium Boga?! – warknal Vroxhan. Jego wzrok byl zupełnie oszalaly. – Oczysc droge, kapitanie! Macie piki, wiec oczyszcacie droge!

Farnah wpatrywal sie w niego, jakby nie mogl uwierzyc w ten rozkaz, a potem odwrocil sie i juz po chwili pikinierzy opuscili bron i z twarzami niczym z kamienia ruszyli do przodu. Mezczyzni, kobiety, a nawet dzieci byli spychani na bok lub gineli, a siedem setek zolnierzy osobistej strazy Vroxhana maszerowalo po ich trupach.

Walka po prawej stronie Tibolda osiagnela punkt kulminacyjny, gdy Straz w brutalnym ataku odepchnela jego ludzi na osiemset krokow do tyłu. Lecz wtedy nacierajacy pikinierzy wpadli w zmasowany ostrzal chagorow, i pulki, ktore Tibold wycofal z rezerwy, rzucily sie na nich. Tym razem to Straznicy sie cofneli, lecz zaledwie do polowy odleglosci, ktora przebyli, i tam uparcie trwali, a kolejne posilki Strazy zaczely atakowac z lewej.

Tibold zaklal paskudniej niz kiedykolwiek. Tracil ped. Czul, jak natarcie jego armii zatrzymuje sie posrod plonacych ruin.

–Uwaga na mur! Ludzie na murze! – krzykнал Tamman, gdy piecdziesieciu muszkieterow nagle pojawilo sie na blankach ozdobnego muru otaczajacego Sanktuarium.

Ostrzezenie Tammana nadeszlo, zanim Straznicy zajeli swoje pozycje, dlatego czekal ich zmasowany ostrzal jego ludzi, ktorych wktotce wsparly resztki kompanii B i kompania C. Niestety plac byl zapelniony cywilami, ktorzy zaczeli uciekac, krzyczac z przerazenia i tratujac siebie nawzajem, i to ich dosiegla wiekszosc pociskow wystrzelonych przez Straz.

Wreszcie drugi pulk ruszyl zalanym krwia chodnikiem w strone bram. Byly zamkniete, lecz delikatne odrzwia z kosci sloniowej i zlota nie mogly sie oprzec kolbom w rekach zdesperowanych mezczyzn, i drugi pulk przebil sie przez bezcenne dzieło sztuki niczym taran.

Trzydziestu czy czterdziestu pikinierow ukrytych za poteznymi bramami Sanktuarium probowalo utworzyc szyk, kiedy ujrzeli nadchodzacych heretykow, lecz Malagorczyzy nie czekajac nawet na rozkazy, staneli w szeregu, wystrzelili i polowa Straznikow padla. Niedobitki wycofaly sie do Sanktuarium, a Tamman ruszyl za nimi ze swoimi ludzmi. Nagle zatrzymal sie, slyszac w komunikatorze glos Seana.

–Problemy z tyłu, Tam! Zbliza sie piec lub szesc setek ludzi!

–Jestem przy wejściu – odparł. – Co mam zrobić?

–Wzmocnij bramy i umieść resztę ludzi na murach, by powstrzymać sukinsynów.

–Dobra – potwierdził Tamman i zaczął wykrzykiwać nowe rozkazy.

–Wasza świątobliwość! Heretycy!

Vroxhan podniósł wzrok na okrzyk Farnaha i właśnie wtedy rozległ się pierwszy strzał z muszkietu. Był za zakretem, więc widział tylko chmury dymu i słyszał krzyki rannych. Muszkieterzy, którzy stanowili niemal połowę jego straży, natychmiast ukryli się w bramach i sklepach, aby odpowiedzieć ogniem, zaś pikinierzy zatrzymali się gwałtownie i wycofali, by znaleźć się poza zasięgiem ostrzału.

–Ruszajcie dalej! – warknął, lecz Farnah potrząsnął zdecydowanie głową.

–Nie możemy, wasza świątobliwość. Są za murami Sanktuarium i musi ich tam być trzy albo cztery setki z tymi przeklętymi strzelbami. Nie możemy prowadzić natarcia przez plac pod ich ostrzałem. To samobójstwo.

–Coż znaczy nasze życie wobec naszych dusz?!

–Wasza świątobliwość, jeśli ruszymy do ataku, zginiemy, a jeśli zginiemy, na pewno nie uratujemy Sanktuarium – wychrypiał Farnah.

–Bądź przeklęty! – krzyknął Vroxhan i spoliczkował kapitana. – Bądź przeklęty! Nie waz się mówić...

Uniosł rękę, by znowu uderzyć czerwonego z wściekłości Farnaha, lecz nagle zamarił i chwycił kapitana za ramię.

–Zaczekaj! Niech sobie zatrzymają mury!

–Co macie na myśli? – spytał Farnah, lecz Vroxhan już się odwracał.

–Weź połowę swoich ludzi i chodź za mną!

Sean odwrócił się, gdy rozległy się strzały. Był na siebie wściekły, że zostawił tych ludzi samych na murach, lecz nie miał wyboru. Oni mogli utrzymać się tam równie dobrze z nim, jak i bez niego, lecz tylko on, Sandy lub Tamman mogli podłączyć się do komputera.

Gdy weszli do Sanktuarium, mieli ze sobą zaledwie trzydziestu ludzi – pozostałość liczących dwustu żołnierzy kompanii B i C. Do pierwotnego bunkra dowodzenia dobudowano przez stulecia kaplice, pomniejsze kościoły, biblioteki i galerie sztuki. Na ścianach zdobionych marmurem i drewnem pełno było wspaniałych gobelinów i bezcennych dzieł sztuki, a oni maszerowali zakrwawionymi butami po grubych dywanach i marmurowych posadzkach.

–Lewo, lewo, lewo – mrucał Sean, czując przez implanty przepływy energii starożytnego centrum dowodzenia. – To musi być po lewej, do licha, ale gdzie...

–Mam! – krzyknął Tamman. – Tedy!

Skreślił ostro w lewo i ruszył w dół schodami, a Sean chwycił Sandy za rękę i pociągnął ją za przyjaciela. Centrum dowodzenia znajdowało się głęboko pod bunkrem. Co jakiś czas któryś z żołnierzy potykał się i przewracał, lecz inni natychmiast go podnosili; ważność ich misji dodawała wszystkim sił.

–Wlaz! – ryknął Tamman, gdy stali przed wielkim błyszczącym portalem z imperialnej stali. Strażnicy Sanktuarium najwyraźniej nakazali komputerowi zamknąć wjazd. Przez jedną krótką chwilę Malagorczyści poczuli strach, lecz Tamman nie zwracał na to uwagi, zajęty wyszukiwaniem oprogramowania dostępowego.

–Zadnych kodów identyfikacyjnych – mruknął wreszcie po angielsku, gdy Sean i Sandy podeszli do niego. – Pewnie goście, którzy wymyślili tę szaloną religię, bali się, że kapłani mogliby zapomnieć kody.

Jego łącze neuralne zaraz odnalazło interfejs i Malagorczyści odetchnęli z ulgą, gdy wielki wjazd odsunął się bezgłośnie. Wpatrywali się w najświętszą z pardalskich świętości, pełni podziwu dla tego mężczyzny, który otworzył im drogę.

–Chodźcie! – Sean wyciągnął dwa pistolety i przepchnął się obok Tammana.

–Bluznierca! – wrzasnął ktoś i strzał z muszkietu trafił w napiersnik Seana. W odpowiedzi rozległ się strzał z pistoletu i głowa wysokiego inkwizytora Surmala eksplodowała, a jego poleciało w głąb głównego wyświetlacza, spryskując krwią holograficzne gwiazdy. Sean szybko rozejrzał się wokół. Pardalczyści obwiesili ściany trofeami Matki Kościoła, sztandarami i bronią z czasów wojen schizmatycznych. Były dosłownie wszędzie. Sean warknął. Do diabła, gdzie oni ukryli...

–Tam, Seanie! – krzyknęła Sandy, wskazując na konsolę. Sukinsyny nie tylko wyłączyły interfejs neuralny, ale jeszcze odłączyły go od rdzenia komputera.

–Tam jesteś naszym najlepszym technikiem. Idź to uruchom!

–Jasne! – Tamman pobiegł w stronę konsoli, a Sean odwrócił się do żołnierzy

tloczacych sie za nim w luku. – My tymczasem zajmijmy sie zabezpieczeniem terenu. Musimy...

–Seanie! – wrzasnela Sandy, a on odwrocil sie w momencie, gdy gobelin wiszacy na przeciwleglej scianie pekl i ktos wystrzelil przez otwor z muszkietu. Kula przeleciala w odleglosci najwyzej centymetra od jego glowy. W pieciometrowym przejsciuj pojawili sie ludzie.

Tunel! Przeklety tunel do centrum dowodzenia!

–Brac ich! – ryknal. – Trzymac ich z dala od Tammana!

Jego ludzie zareagowali salwa ze strzelb. Sale centrum dowodzenia wypelnil duszacy dym, gdy odpowiedzialy im muszkiety. Mimo zaskoczenia naglym pojawieniem sie wrogow przez kilkadziesiat pierwszych sekund wszystko szlo po myśli Malagorczykow. Ale w tunelu tloczyly sie trzy setki fanatycznie oddanych Kosciolowi ludzi i nie bylo czasu na przeladowanie broni.

–Nacierac! Zatrzymac ich! – ryknal Sean i rzucil sie do natarcia.

Malagorczycy podazyli za nim, lecz Straznicy tez zaczeli nacierac. Nie mieli ze soba pik, gdyz nie mogli ich przeniesc przez waski tunel, ale za to pikinierzy trzymali w rekach miecze, bulawy i topory, a muszkietrzy maczugi.

–Malagor i lord Sean! – zawyl ktos.

–Bog i zadnej litosci! – odpowiedziala Straz i w zadymionym polmroku dwie sily zwarly sie w walce.

Sean wycinal swoim waskim mieczem droge w strone wejscia do tunelu, aby jak najszybciej zamknac tam wroga. Ale jego ludziom brakowalo biowzmocnien – przez co nie dorownywali mu sila i predkoscia – i zbyt wielu Straznikow dostalo sie do centrum dowodzenia. Nagle zaklal z bolu, gdy cos wbilo sie w jego udo. Wzmocnione miesnie i kosci wytrzymaly, lecz gdyby go przewrocili, nawet to by go nie uratowalo.

Cofnal sie, przeklinajac, zlupal lewa reka jednego napastnika i udusil, a prawa powalil mieczem dwoch innych. Ktos zamachnal sie na niego bulawa i uderzyl go w napiersnik. Imperialne kompozyty znow wytrzymaly, ale on sam mimo ulepszen zatoczyl sie do tyłu. I w tym momencie pojawil sie Straznik z mieczem wycelowanym w jego gardlo, a on nie mial jak sie uchylac.

Mogl tylko patrzec z przerazeniem na zblizajace sie ostrze... I nagle napastnik padl, rozplatany toporem od glowy az do pasa, zalewajac Seana krwia. To Sandy zdjela ze sciany topor, ktory byl wiekszy od niej, i uderzyla, wyjac jak walkiria. Zgubila w zamieszaniu helm, a jej brazowe oczy blyszczaly, gdy rozciela kolejnego mezczyzne

na pol.

–Demon! Demon! – rozlegly sie przerazone okrzyki, i ci, ktorzy jeszcze przed chwila byli wyjacymi fanatycznymi wojownikami, zaczeli sie przed nia cofac.

–Chodźcie, sukinsyny! – ryknela w imperialnym uniwersalnym, a wowczas rozlegl sie nowy okrzyk przerazenia, gdy Straznicy rozpoznali w ustach demona swiety jezyk.

Przez krotka chwile Sean myslal, ze uda jej sie powstrzymac napor wroga, lecz zolnierze stloczeni w tunelu nie widzieli Sandy i z calych sil popychali do przodu tych, ktorzy probowali uciec przed "nadludzkimi" wojownikami.

Centrum dowodzenia wypelnilo bitewne szalenstwo.

A tymczasem Tamman goraczkowo pracowal nad ponownym podlaczeniem interfejsu neuralnego. Nigdy nie widzial czegos takiego, dlatego mogl tylko zgadywac, jak ma to zrobic. Wiedzial, ze Straznicy sie zblizaja – Sean i Sandy walczyli jak piecdziesieciu zwyklych ludzi, ale bylo ich tylko dwoje – i ze to tylko kwestia czasu, kiedy go zauwaza.

Juz! Dokonal ostatniego polaczenia, podpijal swoje lacze neuralne i zazadal dostepu. Zapanowala cisza, a potem odezwal sie beznamienny kontralt.

–Wymagana identyfikacja do polaczenia przez interfejs neuralny. Prosze wprowadzic kod.

Tamman z przerazeniem wpatrywal sie w konsole.

Sean steknal, gdy kolejne uderzenie bulawa trafilo go w lewe ramie. Kolczuga wytrzymala, a implanty stlumily bol i wstrzas, lecz zostal powaznie zraniony, i wiedzial o tym. Cofnal sie, a wtedy Sandy zatanczyla wokol niego niczym tancerz i ze straszliwa precyzja zadala kolejny cios poteznym toporem. Napastnik upadl, zanim zdazyl chocby krzyknac, a Sean zamachnal sie mieczem i zabil innego mezczyzne, ktory chcial zaatakowac Sandy od tylu.

–Seanie! Seanie! To wymaga identyfikacji! – Te slowa nie mialy sensu, wiec zajal sie kolejnym wrogiem. – Do diabla, Seanie, to wymaga identyfikacji! – ryknal Tamman i tym razem Sean zrozumial.

Odwrocil glowe w chwili, gdy miecz przyjaciela wznosil sie w gore. Zawolal Sandy i oboje ruszyli w jego kierunku, przedzierajac sie przez tłum walczacych. Na widok trzech demonow – a musieli byc demonami, skoro spowodowali taka rzez – Straznicy

rozproszyli się i Tamman mógł swobodnie dotrzeć do wejścia do tunelu. Tam jego miecz zataczający mordercze kręgi budował barykade z ciał, przez którą ukryci w tunelu Straznicy nie mogli się przebić.

–Pilnuj jego pleców, Sandy! – krzyknął Sean i wmieszał się w tłum walczących. Miał już tylko dziesięciu ludzi, którzy ustawili się w ciasnym kręgu pośrodku wielkiej sali.

Na widok Seana Straznicy wrzasnęli z przerażenia i rzucili się w kierunku tunelu, ale tam były pozostałe dwa demony, które odcięły im drogę. Został im już tylko główny wjazd, więc ruszyli w tamtą stronę w rozpaczliwym pośpiechu, tratując siebie nawzajem, by ocalić swoje dusze.

Wreszcie odgłosy walki ucichły. Wejście do tunelu było tak zapchane ciałami, że nikt nie mógł się dostać do środka, zakładając, że w ogóle miałby odwagę spróbować. Sean oparł się na mieczu, ciężko dysząc. Miał poczucie koszmarnej porażki.

Dotarli tak blisko! Tak ciężko walczyli, tak straszliwą cenę zapłacili. Czemu nie przyszło mu do głowy, że interfejs będzie wymagał identyfikacji?!

–Tam! – wychrypiał. – Jeśli interfejs wymaga identyfikacji, co z dostępem głosowym?

–Próbowałem – odparł ponuro przyjaciel, nadal pilnując tunelu. Pozostali przy życiu Malagorczyści przeladowywali pośpiesznie broń i ustawiali się, by osłaniać główny wjazd. – Nic to nie dało. Wylaczyli regularny dostęp głosowy i ustalili serie zapisanych komend, kiedy odcięli interfejs. Moglibyśmy przez całe tygodnie próbować się domyslić, co mamy powiedzieć, żeby przejąć kontrolę nad zabezpieczeniami!

–O Boże – wyszeptał Sean i zbladł. – Boże, co myśmy zrobili? Ci wszyscy ludzie... Czy zabilismy ich bez powodu?

–Przestanie! – Sandy była od stop do głów zalana krwią i jej oczy nadal plonęły. – Nie mamy czasu! Myśl! Musi być jakiś sposób, żeby dostać się do środka!

–Dlaczego? – spytał gorzko. – Dlatego, że my chcemy, żeby był? Spieprzyliśmy sprawę, Sandy! Ja spieprzyłem sprawę!

–Nie! Musi być...

Zamarła z otwartymi ustami.

–To musi być to – wyszeptała. – Na wszystkie świętości, to musi być to!

–Jakie "to"? – spytał Sean, a ona mocno chwyciła jego zdrowe ramie.

–My nie mozemy uzyskac dostepu bez kodow, ale najprawdopodobniej ty mozesz!

–O czym ty mowisz?

–Seanie, to komputer imperialny. Czwartego Cesarstwa.

–I co z tego? – Sandy potrzasnela nim gwaltownie.

–Nie rozumiesz? Zostal zaprogramowany przez imperialnego gubernatora. Bezposredniego przedstawiciela cesarza!

Sean wpatrywal sie w nia, blagajac wzrokiem o wyjasnienie.

–Jestes nastepca tronu, drugim po cesarzu, i zostales zatwierdzony przez Matke! To oznacza, ze umiescila w twoich implantach kody, ktore kazdy imperialny komputer moze zidentyfikowac!

–Ale... – Umysl Seana wreszcie zaczal dzialac. – Nie wiemy, czy w ogole zostaly zaladowane – rzucil, ruszajac biegiem w strone konsoli. – A nawet jesli tak bylo, przebicie sie przez nie zajmie mi sporo czasu. Co najmniej dziesiec, pietnascie minut.

–I co z tego? Masz cos innego do roboty? – spytala z wisielczym humorem, a jemu udalo sie usmiechnac.

–Chyba nie – przyznal, stajac przed konsola.

–Znow zbieraja sie na schodach, lordzie Seanie! – zawolal jeden z Malagorczykow. Sean odwrocil sie, lecz Sandy popchnela go z powrotem w strone konsoli.

–Ty zajmij sie komputerem – powiedziala – a my zajmiemy sie Straza.

–Sandy, ja... – zaczal bezradnie. Dziewczyna scisnela jego ramie.

–Wiem – powiedziala cicho, po czym odwrocila sie i pobiegla w strone wlazu. – Ty, ty i ty – powiedziala do trzech Malagorczykow – idzcie popilnowac przejścia. Tam, chodz tutaj! Mamy towarzystwo!

–Nadchodzi! – krzyknal ktos. Ksiaze Sean Horus MacIntyre zamknal oczy i wsunal swoje lacze neuralne w konsole.

Rozdzial 41

Ninhursag MacMahan przetarla zmeczone oczy. Wykrycie czegos tak malego jak superbomba Tsiena bylo ogromnie trudnym zadaniem, lecz na szczescie na Narhan nie bylo wiele ruchu, glownie transport personelu, i to niemal w calosci przeprowadzany przez trans-mat. Jej ludzie zaczeli od dokladnego sprawdzenia

logow kazdego przychodzacego i wychodzacego przeniesienia przez trans-mat, ale niczego nie znalezi. Dokladne przeszukanie z orbity przynioslo te same rezultaty. Nie mogla byc w stu procentach pewna, lecz wydawalo sie, ze bomba nie zostala wyslana na Narhan.

Co niestety oznaczalo, ze najbardziej prawdopodobnym celem stal sie Birhat, a tej planety nie bedzie juz tak latwo przeszukac. Bylo tu o wiele wiecej ludzi i wiekszy ruch, a na dodatek przez ostatnich dwadziescia lat po odrodzonej powierzchni planety krazyly grupy botanikow, biologow, zoologow, entomologow i turystow. Kazdy mogl przeschmuglowac to cholerstwo, i tylko jeden Stworca wie, gdzie je schowal, jesli w ogole to zrobil.

Jesli bomba znalazla sie na jakims opuszczonym terenie, jej znalezienie nie powinno byc zbyt trudne. Nawet gdyby zostala przykryta polem maskujacym, przy odrobinie wysilku imperialne czujniki powinny ja wylapac. Ale jesli Pan X dotarl az do miasta Fenix, sprawa bedzie znacznie trudniejsza. Masa zrodel mocy oglupi czujniki i nawet przeszukanie kwartal po kwartale i wieza po wiezy moze niczego nie dac. Jej ludzie musieliby sprawdzic doslownie pomieszczenie po pomieszczeniu, a to zajeloby cale tygodnie, jesli nie miesiace.

Ale przynajmniej zrobili postepy. Wiedza, ze ten, kto ma bombe, nie chce wysadzić Ziemi, i moga ograniczyc mozliwe cele tylko do jednej planety. Teraz, pomyslala, krzywiac sie, nadszedl czas, by sie tym zajac.

–Nie.

–Ale, Colinie...

–Powiedzialem "nie", Hursag.

Ninhursag cofnela sie na krzesle i wydela wargi. Siedzieli wraz z Hectorem w osobistej kwaterze rodziny cesarskiej przed Colinem i Jiltanith, ktorej figura bardzo sie zmienila w ciagu ostatnich paru miesiecy. Tsien Tao-ling, Amanda, Adrienne Robbins i Gerald Hatcher byli obecni w postaci hologramow, i mieli takie same miny jak Ninhursag.

–Hursag ma racje, Colinie – powiedzial Hatcher. – Jesli bomby nie ma na Narhan, niemal na pewno jest tutaj. To ma sens, jesli wezwiemy pod uwage poprzednie dzialania Pana X.

–Zgadzam sie – Colin pokiwal glowa – ale nie mam zamiaru sie ewakuowac, podczas kiedy miliony ludzi nie moga tego zrobic.

–Prosze cie tylko o przeprowadzenie wizyty panstwowej na Ziemi! – warknela Ninhursag. – Na litosc Stworcy, Colinie, co chcesz udowodnic? Wroc na Ziemie i zostan tam, az znajdziemy to cholerstwo!

–Jesli je znajdziecie – odparowal Colin. – Ale ja tego nie zrobie.

–Ludzie zrozumieja, Colinie – powiedzial cicho Tsien.

–Nie mysle teraz o swoim PR! – Glos Colina byl szorstki. – Mowie o porzuceniu milionow cywilow, by ratowac wlasna skore. Ja tego nie zrobie.

–Colinie, zachowujesz sie nierozsadnie – wtracil Dahak.

–To mnie pozwij!

–Gdybym sadzil, ze wtedy zmienisz zdanie, zrobilbym to – odparl komputer. – Ale poniewaz tak sie nie stanie, moze tylko apelowac do twojego zdrowego rozsadku, ktorym w przeszlosci zdarzylo ci sie wykazac.

–Nie tym razem – odparl Colin glosem bez wyrazu, a Jiltanith scisnela go za reke.

–Colinie, jest jeszcze cos, na co ani Hursag, ani Dahak nie zwrocili uwagi – odezwala sie Amanda. – Jesli Pan X rzeczywiscie zabil nasze dzieci i to on ma bombe i umiescil ja na Birhat, to z powodu ciebie i Tanni. Jesli was tutaj nie bedzie, jej zdetonowanie nie bedzie mialo sensu. Zgodnie z tym rozumowaniem wasze przeniesienie sie na Ziemie moze powstrzymac Pana X przed jej odpaleniem, zanim ja znajdziemy.

–To bardzo przekonujacy argument – powiedzial Dahak, a Colin skrzywil sie.

–Dahak i Amanda maja racje – naciskal Tsien, czujac, jak upor Colina slabnie. – Jestes przywodca Imperium, odpowiedzialnym za zapewnienie ciaglosci rzadow i rodu, a jesli ty i Jiltanith jestescie celami Pana X, wasza obecosc na Birhat moze go sklonic do dzialania.

–Po pierwsze – odpowiedzial Colin – zakladacie, ze Pan X moze zdetonowac bombe w dowolnie wybranym przez siebie momencie. Aby to zrobic, musialby kogos tutaj wyslac, zeby przekazal rozkaz, i ten ktos musialby zginac. Moze uwierzyc, ze znalazl kozla ofiarnego, ktoremu nie powiedzial, co sie stanie, lecz sam Pan X z pewnoscia nie bedzie spokojnie siedzial w strefie razenia. To oznacza, ze musialby przekazac temu frajerowi rozkaz przez hiperkom, a przeciez Hursag i Dahak monitoruja wszelkie polaczenia. Wciaz jest mozliwe, ze moglby nas w jakis sposob ominac, ale watpie, by tak ryzykowal. Sadze, ze zapalnik jest juz na miejscu i ma okreslona date wybuchu.

–Przez dziury w twoim rozumowaniu moglabym przeprowadzic pol Floty Bojowej –

stwierdziła ponuro Adrienne.

–Być może. Ja sądzę, że to wszystko jest logiczne, ale możecie mieć rację, a to prowadzi do drugiego punktu. Nie muszę lecieć na Ziemię, aby zapewnić ciągłość rządów i rodu, Tao-ling.

–Nie, miłości moja! – odezwała się ostro Jiltanith. – Nie są mi mile słowa twe... i myślisz takoz!

–Może nie, ale Tao-ling ma rację i ja też. Jedno z nas musi tutaj zostać, Tanni. Nie możemy tak po prostu opuścić naszych ludzi. Ale jeśli posłamy cię na Ziemię, ochronimy i rząd, i naszych potomków.

Jiltanith patrzyła mu przez chwilę w oczy, przyciskając dłonie do brzucha.

–Colinie – powiedziała bardzo cicho – jużem dwoje dzieciaczek utraciła. Te niezrodzone uczynić chcesz pretekstem, co bym i cię utraciła?

–Nie. – Dotknął lewą dłoń jej ręki, a prawą policzka. – Nie chce umrzeć, Tanni. Ale jeśli jest jakaś szansa, że Pan X powstrzyma detonację, jeżeli nie uda mu się dopaść naszej dwójki, to jedno z nas musi stąd zniknąć. Jesteś w ciąży, Tanni, i nawet jeśli ja zginę, ciągłość rodu będzie zapewniona, dopóki ty żyjesz. Przykro mi, Kochanie, lecz twoim obowiązkiem jest wyjechać stąd.

–"Obowiązek". "Chronic". – Słowa te brzmiały w jej pięknych ustach niczym paskudne przekleństwa. – Och, ileż słowa te przez stulecia mnie kosztowały!

–Wiem. – Przyciągnął ją mocno do siebie i pogłaskał jej kruczoczarne włosy. – Wiem – wyszeptał. – Żadne z nas nie prosiło o te prace, lecz skoro je dostaliśmy, Kochana, teraz musimy je wykonać. Proszę, Tanni, nie kłóć się o to ze mną.

–Gdybym jeno wiktoria miała możliwość, do końca byłabym walczyła – powiedziała, przytulając się do jego ramienia. – Lecz jesteś tym, kim jesteś, a ja niewolnica obowiązku, i dla obowiązku i dzieci, które w sobie noszę, walczyć z tobą nie będę. Lecz wiedz, Colinie MacIntyre: w dniu, gdy dzieci me zrodzą, ojcu je w opiekę powierzę i powrócę tu, i żadna władza mnie onczas nie powstrzyma.

–Jiltanith przybywa wcześniej? – spytał Lawrence Jefferson. Horus pokiwał głową, a zastępca gubernatora skrzywił się. – Czy coś się stało, o czym powinienem wiedzieć?

–Co masz na myśli? – Horus unosił brwi.

–Wiem, że Jiltanith przez cały czas planowała, by te dzieci urodziły się na Ziemi, lecz termin ma dopiero na przyszły miesiąc. To jej sprawa, dokąd się udaje i co robi, lecz jestem ministrem bezpieczeństwa, a nie tylko zastępcą gubernatora. Miecz Boga wciąż jest aktywny. Nie zapominaj też o tej bombie umieszczonej w naszym centrum trans-mat! Wolalbym, żeby została na Birhat, gdzie jest bezpiecznie, ale jeśli tego nie zrobi, będę odpowiedzialny za jej ochronę podczas pobytu tutaj. Dlatego jeśli jest jakiś powód, dla którego powinienem zastanowić się nad dodatkowymi środkami ostrożności, chciałbym go poznać.

–Sadzę, że jej ochrona jest wystarczająca, Lawrence. Doceniam twoją troskę, ale chodzi tylko o wizytę córki u ojca. Będzie bezpieczna w Białej Wieży.

–Skoro tak mówisz... – westchnął Jefferson. – W takim razie zabieram się do roboty. Kiedy dokładnie przybywa?

–W przyszłą środę. Będziesz miał prawie tydzień na przygotowania, które uznasz za konieczne.

–To dobrze – odparł sucho Jefferson.

Wyszedł, a Horus wpatrzył się w blat biurka. Cholera, Lawrence ma rację. Jest ministrem bezpieczeństwa i powinien być ostrzeżony, lecz Ninhursag upierała się, aby maksymalnie ograniczyć przepływ informacji w sprawie Pana X, a Colin całkowicie ją popierał. Horus wydal wargi, po czym potrząsnął głową. Znowu spróbuje namówić Colina, aby wpisał Lawrence'a na białą listę podczas Zgromadzenia Szlachty za dwa tygodnie na Birhat.

Jefferson usiadł na swoim staromodnym obrotowym krześle i zacisnął zęby. Cholerna suka! Tak bardzo się starał, by zebrać ją, Colina, Horsa, Hatcher i Tsienę w jednym miejscu, a tymczasem ona musiała podjąć decyzję, by odwiedzić tatuzia! Czemu nie może zostać w domu, na Birhat, gdzie nie zagrażają jej terroryści?

Znowu zaklął, po czym odetchnął głęboko. Dobra, to nie koniec świata. Nie może zmienić daty detonacji, ale tak jak powiedział Horusowi, jest odpowiedzialny za wzmocnienie jej ochrony, kiedy odwiedzi Ziemię. Nie powinno być żadnego problemu z wybraniem odpowiedniego wsparcia. Owszem, jest to niezreczne i może wskazywać na niego, kiedy już będzie po wszystkim, lecz najważniejsze, że zanim ktoś zacznie zadawać pytania, ona – i cała reszta – będą już martwi. A ponieważ Ninhursag zginie wraz z pozostałymi, to właśnie minister bezpieczeństwa Lawrence Jefferson będzie odpowiedzialny za znalezienie odpowiedzi na te pytania. I w dodatku być może uda mu się wszystko tak zorganizować, by to wyglądało na działania Miecza Boga. A kiedy Narhanie zostaną obciążeni odpowiedzialnością za

bombe, a Miecz za zabicie Jiltanith, bedzie mial mnostwo argumentow przemawiajacych za przyznaniem mu szczegolnych uprawnień, prawda?

Usmiechnal sie i pokiwal glowa. Dobrze, wasza wysokosc. Wracaj do domu na Ziemi. Ja przygotuje ci wyjatkowe powitanie.

–Mam te logi z trans-mat, o ktore pani prosila.

Ninhursag podniosla wzrok, gdy nowo awansowana major Floty Steinberg weszla do jej biura i z powazna mina przekazala potezna teczke pelna kosci danych. Ninhursag uniosla brew.

–Cos pania niepokoi, pani major?

–No coz... – Steinberg wzruszyla ramionami. – Przepraszam pania. Wiem, ze nie wszystko rozumiem, ale to... – wskazala na teczke – wydaje sie dosc dziwnym zadaniem dla samego dowodcy wywiadu marynarki. Wiem, ze nie powinnam zadawac zadnych pytan, ale obawiam sie, ze jeszcze sie nie nauczylam powstrzymywac na rozkaz ciekawosci.

–To powazna wada u starszego oficera wywiadu. – Glos Ninhursag byl surowy, lecz jej oczy usmiechaly sie. Wskazala krzeslo. – Prosze usiasc, pani major.

Steinberg opadla na wskazane krzeslo i splotla dlonie na kolanach. Wygladala jak student niespodziewanie wezwany do odpowiedzi, lecz Ninhursag przypomniala sobie, ze siedzi przed nia zimna jak glaz sledczy, ktora po przeniesieniu na Birhat pomogla im udowodnic istnienie bomby, i ze juz umiescila ja na swojej liscie potencjalnych nastepcow w dowodztwie wywiadu marynarki, kiedy ona odejdzie za sto albo dwiescie lat. Oczywiscie nie miala zamiaru powiedziec tego samej Steinberg, ale byc moze nadszedl czas, by wprowadzic ja w sprawe Pana X i zobaczyc, co moze zrobic, by przyspieszyc poszukiwania bomby na Birhat.

–Masz racje, Esther – powiedziala po chwili. – To dosc dziwne zadanie, lecz ja mam dosc dziwny powod, by o nie prosic. A skoro nie potrafisz powstrzymac ciekawosci, to chyba wlasnie znalazlas sobie nowa robote. – Popchnela teczke z powrotem w strone Steinberg i usmiechnela sie na widok zaskoczonej miny pani major. – Teraz to ty zajmiesz sie ich przeanalizowaniem, lecz zanim zaczniesz, pozwol, ze opowiem ci pewna historyjke. Juz odegralas w niej wcale nie taka mala role, nawet jesli o tym nie wiesz.

Choc mowila zartobliwym tonem, wcale nie miala ochoty na zarty.

–Dawno, dawno temu – zaczela – byl sobie czlowiek zwany Panem X. Nie byl zbyt

milym człowiekiem i...

–Dobrze cie widziec, Tanni. Na Stworce, swietnie wygladasz!

–Lichym klamca jestes, ojcie. – Jiltanith usmiechnela sie i mocno przytulila do Horusa. Na dywanie u ich stop bawily sie szczenieta Dzwoneczka. – Rzecz jeno, izem niczym balon, a czysta prawde rzekniesz!

–Ale ja zawsze lubilem balony – odparl ojciec z usmiechem – choc zeppeliny byly przyjemniejsze. Czy kiedykolwiek mowilem ci, ze bylem na pokladzie Hindenburga podczas jego pierwszego lotu przez Atlantyk w 1936 roku? Oczywiscie nie ma mnie na liscie pasazerow, bo w tym czasie ukrywalem sie przed Anu, ale bylem tam. Podczas lotu wygralem w pokera osiemset dolarow. – Potrzasnal glowa. – To byl cywilizowany sposob podrozy! Zawsze sie cieszyłem, ze nie bylem w Lakehurst w 1937!

–Nie, ojcie, tegos mi nie opowiadal, lecz wiem, ze takie rzeczy zawsze ci sie podobaly.

–Tak. – Westchnal i jego usmiech znikl. ~ Wiesz, mimo tych wszystkich straszliwych rzeczy, ktore mnie spotkaly w zyciu, zawsze bede szczesliwy, ze tak duzo widzialem. Niewielu z nas mialo okazje patrzec, jak jedna planeta odkrywa caly wszechswiat.

–Niewielu – odparla i jego wzrok spochmurnial, gdy wyczul gorycz ukryta w tym jednym slowie.

–Tanni – powiedzial cicho. – Przykro mi. Wiem...

–Cichaj, ojcie. – Przycisnela palce do jego warg. – Wybacz mi, ino to przyslanie mnie tutaj znow dla "bezpieczenstwa" zolcia slowa me napelnia. – Usmiechnela sie smutno. – Wiem ja dobrze, ze robiles, co w twojej mocy, ino losem naszym nie jest takim zyciem zyc, jakiego pragniemy.

–Ale...

–Nie, ojcie, nie mow. Po latach takowych slowa zmienic nic nie moga. – Znow sie usmiechnela. – Zmeczonom i za pozwoleniem twym do loznicy sie udam.

–Oczywiscie, Tanni. – Znow ja przytulil, a kiedy odeszla, podszedl do okna i zapatrzyl sie bezmyslnie na Centrum Shepard. Tak naprawde nigdy mu nie wybaczyla. Nie mogla, tak samo jak on nie mogl miec do niej o to pretensji. Zrobil, co mogl.

Poczuł pod powiekami piekące łyzy i otarł je ze złości. Przez długie tysiąclecia pozostawała w stazie. On i reszta załogi Nergala na zmianę przechodzili w stan uspienia, wykorzystując je, by podczas wojny z Anu przedłużyć życie ponad ludzkie wyobrażenie, lecz jej nie mogli na to pozwolić. Utrzymywał ją w uspieniu, gdyż nie umiał postąpić inaczej. Jego słabość zawstydziała go, ale zbyt wiele stracił, aby to zmienić. Matce Tanni nie udało się uciec podczas buntu na pokładzie Dahaka, a jej dziecięcy umysł zalał się na widok grozy tamtego krwawego dnia.

To wtedy stracił swoje dziecko. Kiedy jednej z jego ziemskich wnuczek udało się jakimś sposobem uleczyć Tanni, stała się kimś innym. Kims, kto żył tylko dzięki całkowitemu odcięciu się od tej osoby, która niegdyś była. Kims, kto nigdy więcej nie posługiwał się uniwersalnym językiem, a jedynie piętnastowieczną angielszczyzną. Kims, kto już nigdy nie nazwał go "tata", a jedynie "ojcem".

Nic mógł jej stracić po raz drugi, więc wbrew jej woli wprowadził ją w stan uspienia i utrzymywał tak przez kolejnych pięćset lat.

On nie stracił. Ale jednocześnie pozbawił ją tak wielu rzeczy. Przybranej matki, która uratowała jej umysł. Szansy, by przez te wszystkie stulecia mogła walczyć u jego boku. Prawa do życia własnym życiem na własnych warunkach. W głębi duszy wiedział, jak wielkie miał szczęście, że znowu nauczyła się go kochać, kiedy w końcu ją uwolnił. Była to nagroda, na którą za swoje samolubne tchórzostwo nie zasługiwał. Ale na Stworcę Łaski i Miłosierdzia, nie mógł cofnąć tego, co zrobił, i ze wszystkich rzeczy, których żałował w swoim życiu, ta napelniała go największą goryczą.

Książe Horus zamknął oczy i odetchnął głęboko, po czym otrząsnął się i w milczeniu wyszedł z apartamentów córki.

Rozdział 42

–Czy ma pani chwile?

Esther Steinberg znowu stała w drzwiach biura Ninhursag. Był środek nocy i Steinberg już dawno skończyła służbę. Była w stroju cywilnym i wyglądała tak, jakby ubierała się w dużym pośpiechu.

–Oczywiście. Co się dzieje?

Steinberg weszła do środka i zaczęła, aż drzwi się zamkna.

–Chodzi o te zapisy z trans-mat, proszę pani.

–Co z nimi? Sądziłam, że sprawdziliście je razem z Dahakiem.

–Owszem. Odkryliśmy kilka pomniejszych anomalii, ale znaleźliśmy ich źródła, a

poza tym wszystko było jak najbardziej w porządku.

–I...?

–Pewnie to znowu ta moja nieposkromiona ciekawosc, ale... – Steinberg usmiechnela sie krzywo – w wolnym czasie znow zaczalam sprawdzac te zapisy, no i znalazlam nowa niezgodnosc.

–Taka, ktorej nie zauwazyl Dahak?

–Nie, prosze pani, nowa.

–Nowa? – Ninhursag wyprostowala sie gwałtownie na krzesle. – Co masz na mysli, mowiac "nowa", Esther?

–Wie pani, ze od chwili, gdy zaczalam brac udzial w tym projekcie, regularnie sciagalismy uaktualnione wersje logow trans-mat? – Ninhursag niecierpliwie pokiwala glowa, a Steinberg wzruszyla ramionami. – Coz, kazalam mojemu domowemu komputerowi poszukac anomalii wewnatrz bazy danych. Jakiejkolwiek niezgodnoscii miedzy danymi z komputerow trans-mat, zarowno co do pochodzenia, jak i zawartosci.

–No i?

–Wlasnie skonczylam ostatni przeglad i jeden wpis w pierwotnie sciagnietym logu nie zgadza sie z jego najnowsza wersja.

–Co? – Ninhursag znow sie skrzywila. – Co to znaczy "nie zgadza sie"?

–To znaczy, ze mam dwa rozne logi z tego samego dnia i godziny. Na ile jestem w stanie stwierdzic, oba calkowicie poprawne. To niewielka wariacja, ale jednak nie powinno jej tam byc.

–Uszkodzone dane? – mruknela Ninhursag, a Steinberg potrzasnela glowa.

–Nie, inne dane. Wlasnie dlatego od razu przyszlam. – Zacisnela wargi. – Moze mam paranoje, pani admiral, ale nie jestem w stanie wymyslic innej przyczyny tej rozniczy niz to, ze w czasie miedzy sciagnieciem przez nas pierwotnych logow i ich najnowszej wersji ktos zmienil dane. W takich okolicznosciach uznalam, ze powinnam pani o tym powiedziec. I to szybko.

–Esther ma racje – powiedziala ponuro Ninhursag. Ona i pani major siedzialy w biurze Colina w Palacu. Steinberg wydawala sie skrepowana bliskoscia cesarza, lecz

mimo to spokojnie znosiła wnikliwe spojrzenia Colina. – Sprawdziłam dwa razy wyniki, podobnie Dahak. Na pewno ktos zmienił dane, a to, Colinie, mógł zrobić tylko ktos mający wielkie wpływy.

–A więc uważasz... – Colin mówił bardzo powoli – że ta cholerna bomba właśnie w tej chwili znajduje się pod samym Palacem?

–Mówię tylko, że coś znajduje się pod palacem – odparła beznamietnie Ninhursag. – I cokolwiek to jest, nie jest to rzeźba, która opuściła Narhan. Odczyty masy w pierwotnym logu idealnie pasowały, lecz w drugim różni się o ponad dwadzieścia procent. Masz pojęcie, co to jeszcze może być?

–Ale, dobry Boże, jak ktos mógł dokonać zamiany? A jeśli mu się to w ogóle udało, a my tego nie zauwazyliśmy, to po co zmieniałby logi, żeby ktos je czytający dowiedział się, że mu się udało?

–Tego jeszcze nie wiem, ale chyba musimy ponownie rozważyć naszą teorię, że Pan X i Miecz Boga to dwa całkowicie różne zagrożenia. Bardzo trudno mi uwierzyć, że Miecz przypadkowo wysadził w powietrze oficera, który był odpowiedzialny za tranzyt tej rzeźby. Gdyby Esther nie zauważyła niezgodności masy, nigdy byśmy nie połączyli ze sobą tych dwóch wydarzeń. Teraz to po prostu wali po oczach.

–Zgoda. Zgoda. – Colin miał zatroskany wyraz twarzy. – Dahaku?

–Moje czujniki dopiero zbliżają się do celu, Colinie – odparł ciepły głos Dahaka. – Bardzo dobrze, że major Steinberg zdecydowała się przeprowadzić te badania. Ja nigdy bym na to nie wpadł – zawsze sądziłem, że raz wprowadzone dane nie zmieniają się – a systemy zabezpieczeń Palacu z pewnością nie pozwoliłyby naszym orbitalnym czujnikom cokolwiek odkryć. Nawet teraz...

Komputer gwałtownie przerwał.

–Dahaku? – Nie było żadnej odpowiedzi i głos Colina stał się ostrzejszy. – Dahaku?!

–Colinie, popełniłem poważny błąd.

–Błąd?

–Nie powinienem był tak od razu wprowadzać czujników. Obawiam się, że moje systemy skanujące właśnie uzbroiły bombe.

–Bombe?! – Nawet w tej chwili Colin w to nie wierzył, ale mimo to zbladł.

–W rzeczy samej. – Głos komputera rzadko zdradzał uczucia, lecz tym razem był pełen goryczy. – Nie mogę być pewien, czy to ta bomba, o której mówiliśmy, gdyż nie

miałem czasu na dokładne badania, zanim zostałem zmuszony do wyłączenia się. Ale we wnętrzu rzeźby znajduje się jakieś urządzenie... chronione wojskowym systemem zabezpieczeń.

Wszyscy popatrzyli po sobie w milczeniu, aż w końcu Ninhursag odchrząknęła.

–Jakim... systemem, Dahaku?

–To system zdalnych czujników obronnych Mark Dziewięćdziesiąt. Moje skanery go uruchomiły, ale najwyraźniej udało mi się go wyłączyć, zanim doszło do drugiego stopnia zaplonu. Jednak bomba jest teraz uzbrojona. Każda próba zbliżenia się z innymi systemami czujników albo czymś, co system uzna za zagrożenie, najpewniej doprowadzi do natychmiastowej detonacji.

–Tanni! Tanni, obudz się!

Jiltanith usiadła najszybciej, jak na to pozwalała jej ciąża, przetarła oczy i wpatrzyła się w ojca. Resztki senności znikły, gdy ujrzała jego minę.

–Ojczy? Co się dzieje?

–Mówią, że znaleźli bombę – powiedział ponuro. Kobieta otworzyła szeroko oczy, a Horus skrzywił się. – Jest pod Palacem, ukryta w narhanskiej rzeźbie.

–Jezu! – Kiedyś Tanni osobiście dowodziła ziemską siatką wywiadu Nergala przeciwko Anu i jeszcze nie utraciła owczesnego sposobu myślenia. – Zaiste, sprytny to fortel – mruknęła. – Gdyby wykryta została, jako się stało, wszyscy by uważali, iż to Narhanie ją wewnątrz skryli.

–My też tak sadzimy. – Jiltanith czuła, że ojciec nie powiedział jej wszystkiego, więc spojrzała na niego pytająco. – Jest uzbrojona i aktywna – powiedział z westchnieniem – a chroni ją system zabezpieczeń. Nie możemy jej rozbroić ani zniszczyć.

–Colin! – wyszeptała Jiltanith i chwyciła ojca za ramię.

–Z nim wszystko w porządku, Tanni! – powiedział szybko Horus, kładąc dłoń na jej ręce. – On, Gerald i Adrienne właśnie wprowadzają w życie plan ewakuacji.

–Nie! – Jej palce zacisnęły się jak szpony. – Ojczy, znasz go tak dobrze jak i ja! Nie umknie tak długo, jak długo lud jego na niebezpieczeństwo narazony będzie!

–Jestem pewien... – zaczął Horus, lecz ona gwałtownie potrząsnęła głową, zrzuciła

koldre i zaczęła sięgać po ubranie.

–Musze isc! Moze...

–Nie, Tanni. – Odwróciła się gwałtownie, a on potrząsnął głową.

–Mówię ci, że idę. – Jej głos był lodowaty, lecz on znowu pokręcił głową. – Na własne ryzyko mi się sprzeciwiasz, ojciec!

–To nie ja, Tanni – powiedział cicho. – To Colin. Kazał mi zatrzymać cię tutaj i zapewnić ci bezpieczeństwo.

Spojrzała mu prosto w oczy – jej strach o męża uderzył go niczym bicz – ale nie odwrócił wzroku, a wtedy na jej twarzy pojawił się przerażający strach, jakby przeczuła kolejną stratę.

–Ojciec, proszę – wyszeptala, a on zamknął oczy, nie mogąc patrzeć na jej ból, i znowu potrząsnął głową.

–Bardzo mi przykro, Tanni. To decyzja Colina i on ma rację.

–Dahak ma rację – powiedział Wład Czernikow. – Nie możemy wysłać do galerii kolejnych czujników, ale umieściłem pasywne systemy poza zasięgiem systemu Mark Dziewięćdziesiąt i przeprowadziłem obserwacje wizualną przy wykorzystaniu systemów bezpieczeństwa Pałacu. Choć na zewnątrz nic nie widać, nasze pasywne czujniki wychwyciły aktywną emisję czujników o szerokim spektrum, które doskonale pasują do systemu Mark Dziewięćdziesiąt. Obawiam się, że obecność jakiegokolwiek sondy – czy też człowieka z imperialnym wyposażeniem – może doprowadzić do detonacji.

–Boże. – Colin oparł łokcie na stole konferencyjnym i ukrył twarz w dłoniach.

–Ewakuacja rozpocznie się za dwadzieścia pięć minut – powiedział hologram Adrienne Robbins. – Będzie koordynowała zaokrętowanie z Akademii, a Gerald będzie kierował statkami opuszczającymi Matkę, ale nie mamy wystarczająco dużo statków wewnątrz układu, żeby wszystkich zabrać.

–Dodatkowy transport przybędzie za mniej więcej dziewięćdziesiąt trzy godziny – powiedział obraz Hatcher'a. – Matka wysłała sygnał do wszystkich statków, kiedy tylko dostaliśmy od was wiadomości. Mamy jeszcze sześć planetoid w odległości stu pięćdziesięciu godzin. Całą resztę dotarcie tutaj zajmie co najmniej dziesięć dni.

–Jak wielu ludzi możemy umieścić na pokładach statków, które już mamy? – spytał

Colin z napięciem w głosie.

–Za mało – odparł ponuro Hatcher. – Dahaku?

–Zakładając, że wykorzystamy też Dahaka i przeniesiemy jak najwięcej ludzi do istniejących systemów podtrzymywania życia na dalekiej orbicie, ale poza zasięgiem broni, uda nam się zabrać w przybliżeniu osiemdziesiąt dziewięć procent mieszkańców Birhat – odparł komputer. – Na więcej nie mamy środków.

–A trans-mat? – spytał Colin.

–System pobiera zbyt wiele energii, by szybko przemieszczać ludzi, Colinie – odparła Adrienne. – Przeniesienie przez ten system jedenastu procent populacji Birhat zajmie co najmniej trzy tygodnie.

–Nie mamy trzech tygodni!

–Colinie, tylko tyle możemy zrobić. – Gerald Hatcher był nie mniej zmartwiony niż Colin.

–Musimy zniszczyć bombę – mruknął Colin. – Do cholery, musi być jakiś sposób!

–Niestety – powiedział Dahak – nie możemy jej rozbroić. To oznacza, że możemy tylko próbować ją zniszczyć, a to będzie wymagało wystarczająco potężnej broni, by doprowadzić do całkowitego i natychmiastowego jej rozwalenia spoza zasięgu Mark Dziewięćdziesiąt. Tyle że broń o takiej mocy zniszczy również Fenix. Krótko mówiąc, nie możemy pozbyć się bomby, nie burząc stolicy Imperium.

–Horusie! Co się, do diabła, dzieje? – spytał Lawrence Jefferson z Centrum Van Geldera, kwatery głównej Sił Bezpieczeństwa Ziemi. Podobnie jak większość krecacych się za nim ludzi, wyglądał tak, jakby ubierał się w pośpiechu i po ciemku. Horus był ciekaw, jak udało mu się tak szybko dostać do Van Geldera, ale nie miał teraz czasu na zadawanie pytań.

–Mamy duże kłopoty, Lawrence – odpowiedział. – Ściągnij jak najwięcej swoich ludzi do centrów trans-mat. Wkrótce będą przez nie przechodzić tysiące ludzi. Zaczynamy za jakies... – sprawdził chronometr – dwanaście minut.

–Tysiące ludzi? – Jefferson potrząsnął głową niczym bokser po prawym sierpowym.

–Jakis szaleniec umieścił pod Pałacem bombę, a to cholerstwo ma aktywny system ochronny. – Zastępca gubernatora zbladł i przez dłuższą chwilę nic nie mówił.

–Bomba? Jaka bomba? Wyglada na to, ze chcecie ewakuowac cala planete!

–Bo tak jest – odparl ponuro Horus. – To cos najprawdopodobniej jest zdolne zniszczyc caly Birhat... i Matke.

–Jedna bomba? Zartujesz.

–Chcialbym. Szukalismy tego cholerstwa od wielu miesiecy i wreszcie znalezlismy.

–A co z cesarzem?

–Chce zostac do ostatniej chwili, przeklety mlody glupiec! Mowi, ze nie odejdzie, dopoki wszyscy inni sie nie wydostana.

–A Jiltanith? – Horus usmiechnal sie.

–Dzieki, ze pytasz, ale jest bezpieczna. Wciaz jest w Bialej Wiezy i zostanie tam, na Stworce, chocbym musial ja przykuc lancuchem do sciany!

Jefferson przymknal na chwile oczy, myslac goraczkowo, a potem pokiwal glowa.

–Dobra, Horusie, zabieram sie do roboty.

–To dobrze! Zaraz do ciebie przyjade, by ci pomoc.

–Nie! – Horus uniosl brew, slyszac ostra odpowiedz swojego zastepcy, a Jefferson potrzasnal ze zloscia glowa. – Przepraszam, nie chcialem byc niegrzeczny, ale po prostu nie mozesz tutaj zrobic niczego, czego ja nie moglbym zrobic, a sadzac z twoich slow, jej wysokosci nie bardzo podoba sie pomysl pozostania na Ziemi.

–To bardzo lagodnie powiedziane.

–Coz, w takim razie lepiej tam zostan i jej przypilnuj. Bog wie, ze jako jedyny na calej planecie masz autorytet – i jaja! – by jej powiedziec "nie", jesli kaze ci zejsc z drogi. Poza tym zaraz zacznie sie tutaj szalenstwo, kiedy pojawia sie uchodzcy. Bede sie lepiej czul, wiedzac, ze jestescie oboje w jakims milym, bezpiecznym miejscu, gdzie ten ktos, kto stoi za tym calym zamieszaniem, was nie dostanie.

–Ja... – zaczal Horus, ale przerwal i niechetnie pokiwal glowa. – Moze masz racje. Nie sadze, by ktokolwiek chcial mojej smierci, jesli nie uda mu sie dopasc Tanni i Colina, ale ktokolwiek za tym stoi, musi byc szalencem.

–Zgadza sie. – Jefferson usmiechnal sie ponuro. – A jesli jest szalencem, kto wie, co moze zrobic, jesli uzna, ze jego plan diabli wzeli? Rozdzial 43

Lawrence wpatrywal sie w martwy ekran komunikatora. Jak? Jak ja znalezli?

Zaszedł tak daleko, tak ciężko pracował, a teraz ma w ostatniej chwili przegrać?

Uderzył pięścią w kolano, gdy przypomniawszy sobie coś jeszcze, co powiedział Horus. Jeśli szukali bomby od miesiąca, to znaczy, że wiedzieli o wiele więcej, niż sobie wyobrażał. Ninhursag! To na pewno Ninhursag! To tłumaczyłoby wzmożone działania wywiadu marynarki na Ziemi. Najwyraźniej nie rozpoznali go, ale skoro domyślili się istnienia bomby, ciekawe, co jeszcze wylapali po drodze?

Oddechnął głęboko i zamknął oczy. No dobrze. Wiedza, że jest bomba i że jest aktywna, ale gdyby wiedzieli coś więcej, Horus by mu powiedział. To znaczy, że nie wiedza, iż wybuchnie w dwanaście godzin po uaktywnieniu systemu Mark Dziewięćdziesiąt. Czy uważają, że skoro nie eksplodowała od razu, to znaczy, że w ogóle nie wybuchnie, chyba że ja w jakiś sposób uruchomię? Zagryzł wargę. Bomba miała być zdetonowana podczas kolejnego spotkania Zgromadzenia Szlachty, kiedy Horus będzie na Birhat razem z Colinem, Jiltanith i dwoma najwyższymi rangą dowódcami wojskowymi Imperium. A tymczasem są w dwóch różnych układach i wiedza, że ktoś na nich poluje, co oznacza, że taka okazja, by dopaść całą piątkę za jednym zamachem, już się raczej nie powtórzy. Jednak Horus mówił też, że Colin ma zamiar "trzymać się" aż do ostatniej chwili, a Hatcher i Tsien muszą być zajęci ewakuacją mieszkańców Birhat. Nawet jeśli obaj oficerowie domyślają się, że mają mało czasu, z pewnością pozostaną w strefie zagrożenia dotąd, aż będzie za późno. Ale z drugiej strony będa robili wszystko, co w ich mocy, by przekonać Colina do wyjazdu, a jeśli im ulegnie, na pewno będzie się ewakuował na Dahaku. A jeśli Colin MacIntyre wydobędzie się z Birhat na Dahaku, nikt we wszechświecie – a już z całą pewnością nie Lawrence Jefferson – nie będzie mógł go dopaść.

Zastępca gubernatora przeżywał nietypową dla niego udreke niezdecydowania. Wciąż istniała możliwość, że Colin zginie razem ze swoimi najwyższymi dowódcami. Gdyby tak się stało i gdyby Jefferson miał pewność, że Horus i Jiltanith też zginą, jego pierwotny plan by się powiódł. Ale gdyby Horus i Jiltanith zgineli, a Colin nie, rozebrałby całą Ziemię, kamień po kamieniu, żeby znaleźć człowieka, który zniszczył Birhat i zamordował jego żonę, nienarodzone dzieci i tescia, a wtedy...

Jefferson zadrzał i przez chwilę myślał nawet, czyby nie dać sobie z tym wszystkim spokoju. Jeszcze nie wiedza, kim jest Pan X, i gdyby spasował i wycofał się, mogliby się nigdy nie domyślić. A gdyby nadal mu ufali, mogliby nawet znowu spróbować. Ale z drugiej strony czuł, że nie wymknie się z ich sieci, zwłaszcza teraz, gdy tyle się dowiedzieli, a poza tym jego dusza hazardzisty kazała mu iść na całość. Sukces lub porażka, władza absolutna lub śmierć – wszystko zależy od tego, czy Colin MacIntyre zgodzi się opuścić Birhat w ciągu następnych dwunastu godzin. Jefferson był arcymistrzem szachowym, który zawsze kalkulował z ogromną precyzją, ale tym razem mógł tylko się domyślać, a pomyłka groziła śmiercią.

Znowu uderzył pięścią w kolano, a po chwili rozluźnił się. Jeśli teraz się zatrzyma, a

oni go odnajda, bedzie musial zaplacic za popelnione zbrodnie, a to oznacza, ze tak naprawde nie ma wyboru, prawda?

– Pasozyty Adrienne przyjmują już pierwsze ładunki, a moi marines przejęli transmat – zameldował Hector MacMahan. – Na razie wszyscy są raczej wstrząśnięci niż spanikowani, ale nie sądzę, by tak pozostało.

– Czy masz wystarczająco dużo ludzi, by opanować panikę, jeśli wybuchnie? – spytał Hatcher. – Mogę cię wesprzeć personelem Floty, jeśli będziesz potrzebował.

– Trzymam cię za słowo – odparł z wdzięcznością MacMahan.

– Zrobione. A teraz... – holograficzny obraz Hachera odwrócił się do Colina – czy wejdiesz łaskawie na pokład statku i wyniesiesz się poza strefę zagrożenia?

– Nie.

– Na Stworce, Colinie! – wybuchła Ninhursag. – Czy naprawdę chcesz, żeby ta bomba cię zabiła?

– Nie, ale skoro jeszcze nie wybuchła, to może nie wybuchnie, chyba że ją uruchomimy.

– A może to cholera przez cały czas tyka! – prychnął MacMahan. – Colinie, jeśli nie wyjedziesz po dobroci, posle batalion marines, żeby zabrali twój tyłek z tej planety!

– Nie zrobisz tego!

– Jestem odpowiedzialny za twoje bezpieczeństwo i...

– A ja jestem twoim przeklętym cesarzem! Nigdy nie chciałem tej pierdolonej roboty, ale, na Boga, wykonam ją!

– Dobrze. Doskonale! Zastrzel mnie o świcie, jeśli obaj będziemy jeszcze żyli! – warknął MacMahan. – A teraz bierz dupę w troki, wasza wysokość, bo posyłam wojsko!

– Geraldzie, odwołaj go – powiedział Colin groźnym tonem, lecz holograficzny obraz Hachera potrzaskał głową.

– Nie mogę tego zrobić. On ma rację.

– Odwołaj go albo kaze Matce zrobić to za ciebie!

–Mozesz spróbować, ale tylko sprzęt jest jej posłuszny. A może chcesz powiedzieć, że jeśli Hatcher ściągnie cię na pokład statku przewożącego milion cywilów, kazesz Matce, żeby zabroniła jego głównemu komputerowi opuścić orbitę?

Colin wbił wściekle spojrzenie w hologram Hatchera, lecz admirał nie odwracał wzroku. Przez chwilę w sali konferencyjnej panowało straszliwe napięcie, aż w końcu Colin zgarbił się.

–Dobrze – wychrypiał głosem pełnym nienawiści. Nienawiści tym większej, że wiedział, iż przyjaciele mają rację. – Dobrze, niech was wszyscy diabli! Ale polece tylko na Dahaku.

–W porządku! – MacMahan westchnął. – Colinie, przykro mi. Boże, tak mi przykro, ale nie mogę pozwolić, żebyś tutaj został. Po prostu nie mogę.

–Wiem, Hectorze. Wiem – powiedział cicho.

Brygadier Alex Jourdain dopiął tuniki oficera bezpieczeństwa i rozejrzał się po swoim wygodnym mieszkaniu. Przez ostatnich dziesięć lat dobrze mu się żyło; teraz rozkazy, które otrzymał, najpewniej wszystko mu odbiorą, ale zbyt głęboko w tym tkwił, by się teraz wycofać, a gdyby im się jednak udało...

Odetchnął głęboko, sprawdził karabin grawitacyjny i ruszył w stronę szybu transportowego.

–Tanni, ja... – Horus przerwał, gdy Jiltanith, nadal w koszuli nocnej, odwróciła się od okna i ujrzał łzy na jej twarzy. Skrzywił się, zacisnął usta i ruszył do wyjścia, lecz ona wyciągnęła rękę.

–Nie, ojciec – powiedziała cicho. Uscisnął jej dłoń, a ona z uśmiechem przyciągnęła go do siebie. – Biedny ojciec – wyszeptała. – Na ileż to sposobów ukrzywdził cię świat. Gniew mój mi wybacz.

–Nie mam ci czego wybaczac – odpowiedział również szeptem i przytulił policzek do jej błyszczących włosów. – Och, Tanni! Gdybym tylko mógł zmienić bieg mojego życia, sprawić, by było inne...

–We wszystkim, co o tobie wiem, najlepsze uczyniłem, co w człeka mocy. Losem twym było na kolanach walczyć, lecz ty ześ się nie poddał. Ani Anu, ani Achuultanom, ani piekłu samemu. Jakże sadzisz, jak wielu o sobie rzec to może?

–Ale ja sam zbudowałem sobie piekło – powiedział cicho. – Cegła po cegle, i wciągnąłem w nie również ciebie. – Zamknął oczy i przytulił ją mocno. – Czy... pamiętasz ostatnia rzecz, jaka powiedziałas do mnie w uniwersalnym?

Zesztywniała, lecz nie wyrwała się z jego objęć, a po chwili potrzaskała głową.

–Ojciec, tak mało pamiętam z dni tamtych. – Wcisnęła mocniej twarz w jego ramię. – Niczym mroczny, straszliwy sen mi się jawia, taki, co nawiedza me niespokojne noce, za dnia jednakowoż...

–Sza. Sza – wyszeptał i przycisnął usta do jej włosów. – Stworca wie, że zbyt wiele wyrzadziłem ci krzywdy, ale chce, żebyś zrozumiała, Tanni. – Odetchnął głęboko. – Ostatnia rzecz, jaka powiedziałas, było: "Czemu nie przyszedles, tato? Czemu nas nie kochales?". – Jej ramiona drżały, a jego głos był niepewny. – Tanni, zawsze kochałem ciebie i twoją matkę, lecz miałas rację, że mnie nienawidziłaś. – Chciała zaprotestować, lecz on potrzaskał głową. – Nie, posłuchaj mnie, proszę. Pozwól mi to powiedzieć.

Odetchnęła głęboko i pokiwała głową, a on przymknął oczy.

–Tanni, to ja przekonałem twoją matkę do poparcia Anu. Nie rozumiałem wtedy, jakim był potworem, i to ja ją przekonałem. Wszystko, co stało się z tobą – i z nią – było moja wina. Wiem o tym, zawsze o tym wiedziałem, i duszę bym sprzedał, by nigdy tego nie zrobić. Ale nie mogłem tego naprawić, nie znałem czarów, które mogłyby sprawić, że to wszystko by się nie wydarzyło. Ojciec ma obowiązek chronić swoje dzieci, zapewnić im bezpieczeństwo, i dlatego... – jego głos zalał się, lecz zmusił się do mówienia dalej – wprowadziłem cię ponownie w stazę. Ponieważ wiedziałem, że zawiodłem. Ponieważ udowodniłem, że w żaden inny sposób nie mogę ci zapewnić bezpieczeństwa. Ponieważ... się bałem.

–Ojciec, ojciec! Myślisz, aż ci tego nie wiem?

–Ale nigdy ci tego nie powiedziałem – odparł cicho. – Nigdy nie miałem odwagi ci powiedzieć, że wiem, co zrobiłem, i poprosić cię o wybaczenie.

Colin miotł się po sali konferencyjnej jak zwierze w klatce, czekając na przybycie kutra. Ewakuacja, którą Adrienne i Hatcher zaplanowali, przebiegała szybciej, niż wydawało się to możliwe, lecz wiadomo było, że nie uda się wszystkich wydostać. Jeśli nie rozbroją bomby, zginą miliony ludzi, ale jak, na Boga, można rozbroić coś, do czego nie można podejść nawet z czujnikami, nie wspominając już o broni?

Zatrzymał się gwałtownie, opadł na krzesło i połączył się z Dahakiem.

–Chce dostac wszystko o systemie Mark Dziewiecdziesiat – powiedzial.

Rozlegl sie dzwonek do drzwi i Horus odwrocil sie od Jiltanith.

–Tak?

–Wasza laskawosc, to ja, kapitan Chin. Sir, wlasnie probowalem sie polaczyc z centrum trans-mat i okazalo sie, ze wszystkie polaczenia padly.

–To niemozliwe. Czy skontaktowal sie pan z dzialem napraw?

–Probowalem, wasza laskawosc, ale nie udalo sie. A pozniej sprobowalem przez komunikator przestrzeni zlozonej. – Kapitan odetchnal gleboko. – Wasza laskawosc, to tez nie zadzialalo.

–Co?! – Horus otworzyl drzwi i wytrzeszczyl oczy na oficera marines.

–To tez nie zadzialalo, sir. Nigdy czegos takiego nie widzialem. Nie ma sladow zaklocania, komunikatory po prostu nie dzialaja, a zeby uniemozliwic komunikatorowi Floty polaczenie, niezbedne jest duze pole tlumiace w odleglosci czterystu do pieciuset metrow. – Kapitan patrzyl Horusowi prosto w oczy. – Wasza laskawosc, z calym szacunkiem, lepiej zabierzmy stad jej wysokosc. Jak najszybciej.

–Wiesz, to moze zadzialac – mruknal Wlad Czernikow.

–Albo uruchomic to cholerstwo! – krzyknal Hector MacMahan.

–Istnieje taka mozliwosc – zgodzil sie Dahak – jednak prawdopodobienstwo jest niewielkie, zakladajac, ze sila wybuchu bedzie wystarczajaca. To, co Colin proponuje, jest rozwiazaniem silowym, jednak ma w sobie pewna elegancje intelektualna.

–Pozwolicie, ze to wszystko podsumuje – powiedzial MacMahan. – Nie mozemy podejsc do tego czegos, ale wy chcecie na tym umiescic materialy wybuchowe i je zdetonowac? Czy wam odpierdolilo?!

–Najwazniejsza kwestia, panie generale – stwierdzil Dahak – jest to, ze system Mark Dziewiecdziesiat zostal zaprogramowany do rozpoznawania imperialnych zagrozen.

–I co z tego?

–I dlatego nie uzyjemy imperialnej techniki – odparl Colin. – Wykorzystamy staromodne, przedimperialne materialy kruszace ziemskiej produkcji. Mark

Dziewiecdziesiat nie uzna ich za zagrozenie, tak samo jak nie uznalby topora.

–Skad wezmiecie materialy wybuchowe? – spytal ostro MacMahan. – Na Birhat ich nie ma. Watpie, by po tak dlugim czasie pozostaly jeszcze jakies na Ziemi!

–Myli sie pan, panie generale – odpowiedzial spokojnie Dahak. – Marszalek Tsien ma materialy, ktorych potrzebujemy.

–Ja mam? – Tsien wydawal sie zaskoczony.

–Owszem, sir. Jesli pan sprawdzi swoje dane, zobaczy pan, ze panski dzial neutralizacji uzbrojenia ma siedemdziesiat jeden pociskow nuklearnych o mocy megatony, pochodzacych sprzed oblezenia i skonfiskowanych przed czterema laty przez wladze imperialne w Syrii.

–Ja... – Tsien przerwal, a po chwili jego hologram pokiwal glowa. – Jak zwykle masz racja, Dahaku. Zapomnialem. – Spojrzal na MacMahana. – Ludzie Lawrence'a wpadli na trop tych pociskow przypadkiem, Hectorze. Siedzimy, ze zostaly ukryte przez poprzedni rezim, zanim rozbroiliscie go na rozkaz Colina. Najwyrazniej nawet ci, ktorzy je schowali, zapomnieli o nich. Byly powaznie uszkodzone – inicjator eksplozji zawieral tryt, ktory ulegl rozpadowi – i zostaly tutaj przyslane do utylizacji, ale nigdy sie do tego nie zabralismy.

–Chcecie wykorzystac bombe atomowa? – jeknal MacMahan.

–Nie – odparl spokojnie Dahak – ale to sa ziemskie glowice, ktore wykorzystuja konwencjonalne materialy wybuchowe do polaczenia materialow rozszczepialnych i osiagniecia masy krytycznej, i kazda z nich zawiera kilka kilogramow oktolitu.

–A jak macie zamiar umiescic te materialy wybuchowe na miejscu? – spytal MacMahan juz troche spokojniejszym tonem.

–Ktos wchodzi do srodka, ustawia je, podlacza zapalniki i wychodzi – stwierdzil Colin. MacMahan uniosl brew, a Colin wzruszyl ramionami. – Powinno zadzialac, jesli ten ktos nie bedzie mial na sobie aktywnego imperialnego sprzetu.

–A radioaktywnosc tla? – spytal Hatcher. – Jesli ten material byl przez dwadziescia pare lat zachomikowany wewnatrz glowicy nuklearnej, musial zostac skazony.

–Zbyt malo, by przekroczyc prog systemu Mark Dziewiecdziesiat – odparl Dahak.

–Jestes pewien? – Po chwili Hatcher machnal reka. – Zapomnij. Ty nigdy nie wypowiedasz sie kategorycznie, jesli nie jestes pewien, prawda?

–Takie zachowanie jest oznaka malo precyzyjnego myslenia – zauwazyl Dahak, i

mimo napiecia Colin usmiechnal sie, zaraz jednak spowaznial.

–Sadze, ze musimy sprobowac. Istnieje ryzyko, ale najmniejsze ze wszystkiego, co udalo mi sie wymyslic. Mozesz miec racje co do zapalnika czasowego, Hectorze, ale nie mamy czasu na wymyslenie idealnego, pozbawionego ryzyka rozwiazania.

–Zgoda. Ile czasu zajmie ci wydostanie materialow wybuchowych i dostarczenie ich tutaj, Dahaku?

–Juz rozpoczalem ten proces, panie generale. Oceniam, ze w obecnym stanie moglyby zostac dostarczone do Palacu w ciagu dwudziestu minut, lecz wolalbym im nadac odpowiedni ksztalt w celu uzyskania maksymalnego efektu niszczonego, a to bedzie wymagalo kolejnej godziny.

–Osiemdziesiat minut? – MacMahan podrapal sie po brodzie i pokiwal glowa. – Dobrze, Colinie, jestem za.

–Geraldzie? Tao-ling? – Obaj oficerowie pokiwali glowami, wiec Colin spojrzal na Czernikowa.

–Ja tez – stwierdzil Rosjanin. – Wlasciwie to sam chcialbym umiescic ladunek.

–Nie wiem, Wlad... – zaczal Colin, lecz MacMahan przerwal mu.

–Jesli myslales, ze sam to zrobisz, to pomysl jeszcze raz. Kiedy zabierzemy sie do roboty, ty bedziesz juz na pokladzie Dahaka, z dala od strefy razenia. Moze ty znasz kogos lepiej nadajacego sie do tej roboty niz Wlad, ale ja nie.

Colin juz otworzyl usta, aby zaprotestowac, ale MacMahan spojrzal na niego ostro.

–No to dobrze – powiedzial zrezygnowany.

–Pole tlumiace jest aktywne, panie brygadierze – powiedzial technik, nie odrywajac wzroku od panelu. – Ich komunikatory zostaly zablokowane.

–A windy i centrala? – spytal brygadier Jourdain.

–Wylaczone. Zabrali niemal cala normalna ochrone do pilnowania tlumow, a ja odcialem polaczenie ze stanowiskiem w holu. Umiescilismy ladunki, by wysadzic centrale, kiedy bedziemy wychodzic. To bedzie wygladalo jak atak Miecza Boga, sir.

–To dobrze. – Jourdain spojrzal na starannie dobranych wspolnikow. – Pamietajcie, ze to imperialni marines. Jest ich zaledwie dwanascioro, ale sa twardzi i dobrze wyszkoleni, a jesli od czasu uruchomienia pola tlumiacego wyprobowali

komunikatory, beda gotowi. Nasze komunikatory tez nie dzialaja, wiec trzymajcie sie planu. Nie improwizujcie, chyba ze bedziecie musieli.

Jego ludzie pokiwali ponuro glowami.

–Dobra, to do roboty.

Horus stal przed wejsciem do sypialni Jiltanith, podczas gdy kobieta pospiesznie sie ubierala, i jego mysli galopowaly. To niedorzeczne. Jest we wlasnej kwaterze glownej posrodku stolicy Ziemi i nie moze nawet sie polaczyc przez komunikator! Jak Panu X to sie udalo? Kapitan Chin ma racje. Jedyne, co moglo wytlumaczyc komunikatory bez aktywnego zagluszania, to bliskosc silnego pola tlumiacego, lecz urzadzenie o takiej mocy bylo zbyt wielkie, by je przemycic przez zabezpieczenia Bialej Wiezy – a to oznacza, ze ktos z jego wlasnej ochrony musial je wniesc do srodka. Jesli wiec zostali tak dokladnie zinfiltrowani...

Podszedl do biurka i nacisnal guzik, a wtedy blat podniosl sie. Przyzwyczajenia z czasow trwajacej tysiaclecia walki trudno bylo wykorzenic, i Horus usmiechnal sie drapieznie, wyjmujac z gniazda karabin energetyczny. Nacisnal guzik autodiagnozy i swiatelko gotowosci zapalilo sie w chwili, gdy do biura wpadl kapitan Chin.

–Wasza laskawosc – powiedzial Chinczyk – windy tez nie dzialaja.

–Cholera! A schody?

–Mozemy sprobowac, sir, ale jesli odcieli komunikatory i windy, to znaczy, ze sa juz w drodze. A bez wind...

–Bez wind ida schodami – mruknal Horus.

Pieknie, kurwa, pieknie! Jesli pojda schodami, moga wpasc na tych sukinsynow. Przez chwile czul pokuse, by to zrobic, lecz gdyby zostali zaatakowani na klatce schodowej imperialna bronia, jeden strzal moglby zabic wszystkich jego ludzi... i Tanni. Ale jesli nie sprobuja stad sie wyrwac, pozostawia tamtym inicjatywe. Z drugiej jednak strony...

Drzwi sypialni otworzily sie i wyszla Jiltanith w towarzystwie czterech przysadzistych podpalanych rottweilerow. U jej pasa blyszczal sztylet, a na dodatek wyciagnela z kabury kapitana China karabin grawitacyjny. Marine nie protestowal, jedynie przelozyl karabin energetyczny do lewej reki, a prawa podal jej swoj pas z amunicja. Jiltanith usmiechnela sie do niego – pas nie dopinal sie na jej wydatnym brzuchu, wiec przewiesila go przez piers jak bandolier.

–Kapitanie – powiedział Horus – musimy im pozwolić, by po nas przyszli. Schody łączy się w centralnym holu piętro niżej. Niech dziesięcioro pańskich ludzi pilnuje podestów. Pozostała dwójka proszę pozostawic tutaj, by strzegła mojego biura. Tanni, zamknij na klucz swoją sypialnię, potem idź do mojego pokoju i zamknij się w środku. Mam nadzieję, że jeśli ktoś dotrze tak daleko, najpierw pójdzie do twojego pokoju.

–Ojciec, ja... – zaczęła protestować.

–Wiem, Tanni – przerwał jej – ale musisz to nam pozostawic. Nie możemy narazić twojego życia. – Wskazał na jej brzuch z przeproszającym uśmiechem, a ona niechętnie pokiwała głową.

–Racja – westchnęła i spojrzała na swoje ulepszone psy.

–Idźcie z kapitanem Chinem – powiedziała – i uważajcie na siebie.

–Pójdziemy, przewodniczko stąd – powiedział syntezator mowy Galahada – lecz zatrzymaj przy sobie Gwynevere. – I pozostałe trzy psy ruszyły truchtem w stronę Chinczyka.

–Nie mamy połączenia i będziemy rozproszeni. Uważajcie na tyły tak samo jak na przód.

–Tak jest, wasza łaskawość! – Chin zsalutował i wyszedł razem z psami, a Horus odwrócił się do dwóch marines, którzy pozostali.

–Każdy, kto dotrze tak daleko, pójdzie najpierw do sypialni Tanni. Wybierzcie takie pozycje, by pilnować schodów. Jeśli będziecie musieli się wycofać, nie kierujcie się w stronę mojego pokoju. Chce, żeby jak najdłużej myśleli, że ona jest w swojej sypialni.

–Tak jest, sir. – Starszy ranga marine skinął na towarzysza i ruszyli w stronę głównej klatki schodowej wieży.

–Idź już, Tanni! – powiedział z naciskiem Horus.

–Idę, ojciec – powiedziała cicho, ale zatrzymała się na chwilę, by objąć go ramieniem i pocałować.

Patrzył, jak odchodzi, a Gwynevere biegnie przed nią jak zwiadowca, a potem jeszcze raz rozejrzył się po swoim biurze. Wiele w tym miejscu dokonał. Dowodził obronę Ziemi podczas obleżenia, kierował późniejszą odbudową, koordynował wprowadzenie imperialnej techniki na całej planecie... Nigdy nie spodziewał się, że będzie tutaj walczył o życie swojej córki, lecz jeśli musi to zrobić, to, na Stworce,

zrobi to.

Wszedł do przedpokoju. Była to jedyna droga prowadząca do jego osobistych apartamentów. Przewrócił biurko recepcjonistki i zrobił wokół barykade z mebli, po czym schował się w kacie za drzwiami.

–Materiały wybuchowe dotarły do Palacu, Colinie – powiedział Dahak, gdy Colin wszedł na mostek statku, w którym mieszkał komputer.

–To dobrze.

Oficerowie poderwali się na równe nogi, gdy ich cesarz i wódz podszedł do fotela kapitana, lecz on odesłał ich gestem do swoich obowiązków. Dahak znalazł się poza strefą rażenia broni i Colin czuł się winny, gdy uswiadomił sobie, że cokolwiek się stanie, on sam jest bezpieczny. Wydawało mu się, że zdradza w ten sposób wszystkich swoich poddanych, a świadomość, że Hector i Gerald mieli rację, tylko zwiększała jego poczucie winy.

Usadowił się na fotelu. Wyszwieltacz koncentrował się na Birhat, więc mógł obserwować statki podświetlane odlatujące z powierzchni planety w stronę czekających na nich planetoid. Podobnie jak Dahak, wszystkie te okręty znajdowały się poza strefą rażenia, ale zabranie tysięcy poddanych na ich pokłady zajmowało wiele czasu, którego mogli nie mieć. Odetchnął bardzo głęboko i wcisnął się głębiej w fotel.

–Powiedz im, żeby zaczęli, Dahaku.

Brygadier Jourdain podał za swoimi ludźmi po schodach. Tam jest tylko dwunastu marines, jeden zmęczony starzec i jedna ciężarna kobieta, pomyślał, on zaś ma ponad stu ludzi, wszystkich w pełni ulepszonych dzięki służbie bezpieczeństwa Ziemi. To wystarczy. Niektórzy z nich zginą, lecz nie tylu, by to ich powstrzymało, a martwi oficerowie ochrony będą przekonującym dowodem na to, ile brygadier Jourdain i jego ludzie dali z siebie, by ochronić swoją cesarzową.

Jego ludzie zbliżyli się do podestu. Znajdowali się jedno piętro pod biurem i osobistym apartamentem księcia Horusa i dotychczas nikogo nie napotkali. Może za bardzo się martwi. Gdyby marines się domyślił...

Cos zagrzechotało. Prowadzący oficer ochrony zobaczył jakiś mały przedmiot turlający się w ich stronę i otworzył szeroko oczy. Jego implanty niczego nie wylapały, więc jak...

W wybuchu zginelo jedenastu ludzi, a marine, ktory rzucil granat, i jego partner ponownie uruchomili implanty i skierowali karabiny energetyczne w strone drzwi.

Kapitan Chin poderwal glowe, gdy rozlegl sie wybuch. Prosze, Boze, niech ktos jeszcze to uslyszy!, pomodlil sie, po czym znow przyjal pozycje strzelecka.

Brygadier Jourdain skrzywil sie, gdy od strony schodow dobiegl odglos eksplozji. Krzyki rannych wydawaly sie po wybuchu slabe i niewyrazne. Zaklal paskudnie. A wiec jednak nas zaskoczyli!

–Clancey, chodz tutaj! – warknal i kapral Clancey podniosl granatnik. Skinal na pozostalych trzech czlonkow swojego plutonu i cala czwórka przepchnela sie przez stoczonych na schodach ludzi.

Oczekujacy na gorze marines uruchomili wlasne implanty, lecz mozliwosci tych urzadzen byly ograniczone. Wiedzieli, ze na schodach jest pelno ludzi, ale nie wiedzieli, jaka maja bron ani co dokladnie robia. Jeden z marines uniosl granat, gotow go rzucic, ale to samo pole tlumiace, ktore blokowalo ich komunikatory, moglo tez zablokowac male pole granatu wypaczeniowego, a poniewaz kazdy z nich mial tylko po jednym zwyklym granacie i nie mogli ich zmarnowac, zacisnal zeby i czekal.

Clancey i jego ludzie dotarli do podestu i ostroznie ruszyli do przodu, przywierajac plecami do sciany i slizgajac sie we krwi tych, ktorzy jeszcze przed chwila byli ich awangarda. Oni takze mieli uruchomione implanty, i nie podobalo im sie to, co pokazywaly. Na gorze byli dwaj marines i tylko jeden z nich znajdowal sie w miejscu, w ktorym mogly go dosiegnac ich granaty. Drugi kryl sie w poprzecznym korytarzu, by oslaniac towarzysza. Clancey zaklal. Boze, co by dal za granaty nadprzestrzenne! Ale przynajmniej tamte sukinsyny nie maja juz granatow.

Skinal na dwoch ludzi stojacych pod przeciwlegla sciana.

–Ruszajcie!

Wyruszyli z wyrzutniami ustawionymi na tryb automatyczny. Ostrzal blizszego marine rozerwal ich na kawalki, lecz zanim to sie stalo, zdazyli rzucic granaty, ktore juz po chwili wybuchly i zabily samotnego obronce.

Clancey zaklal, kiedy karabin energetyczny rozrzucil jego towarzyszy po calym korytarzu, lecz implanty powiedzialy mu, ze marine, ktory strzelal, juz nie zyje. Kucnal, wystrzeliwujac kolejne granaty, a tymczasem pozostali czlonkowie ochrony

rzucili sie w strone drzwi. Wybuchy granatow niszczyly sciany i meble, a potem pojawily sie plomienie i systemy przeciwpozarowe budynku uruchomily sie z glosnym wyciem. Kiedy jego ludzie ruszyli juz po schodach, kapral Clancey z przerazeniem odkryl, ze mylil sie co do wyposazenia marines.

Granat wyladowal 1,3 metra za jego plecami. Jego wybuch zabil kolejnych szesciu ludzi, w tym kaprala Williama Clanceya ze sluzby bezpieczenstwa Ziemi.

Wlad Czernikow mial wrazenie, ze jest slepy i okaleczony. Po raz pierwszy od dwudziestu pieciu lat wszystkie implanty w jego ciele zostaly wylaczone, zeby system Mark Dziewiecdziesiat nie uznal ich przypadkiem za bron, i ten nagly powrot do natury byl dla niego wiekszym wstrzasem, niz sie spodziewal.

Odepchnal od siebie te mysl i podniosl zaprojektowany przez Dahaka ladunek. Ladunki inicjujace z przestarzalych glowic skladaly sie z setek blokow, lecz Dahak przerobil sto piecdziesiat kilogramow materialu wybuchowego na jeden potezny ladunek. Pewnie bylo tego wiecej, niz potrzebowali, lecz Dahak byl zwolennikiem redundancji.

Zarzucil ladunek na plecy – wzmacnienie miesni nadal dzialalo, poniewaz nie wykorzystywalo energii, ktorej emisja moglaby poruszyc system Mark Dziewiecdziesiat – i ruszyl korytarzem w strone galerii. Byl to najdluzszy szescdziesieciometrowy spacer w jego zyciu.

Na klatce schodowej rozlegly sie alarmy – to czujniki termiczne zareagowaly na pozar spowodowany przez wybuchy. Ich ostre atoniczne wycie sprawialo, ze Jourdaina bolaly zeby, lecz Biala Wieza byla dokladnie wyciszona, a jego ludzie w centrali odcieli wszystkie polaczenia z najwyzszymi pietnastoma pietrami. Co nie znaczy, ze nikt niczego nie zauwazy, kiedy granaty zacznal wywalac okna.

–Dalej! – krzyknal i ruszyl po schodach. – Dalej, sukinsyny! Ich jest tylko dwunastu! – warknal, gdy jego szpica zatrzymala sie na widok okaleczonych cial towarzyszy.

Dal nura w drzwi i wyladowal brzuchem we krwi Clanceya. Jego ludzie kucali za nim albo tez rzucali sie na ziemie, i wreszcie przynajmniej pol tuzina karabinow energetycznych zaczelo strzelac. Sciany, juz poszarpane odlamkami granatow, rozrywaly sie pod wplywem skoncentrowanego zaklocenia fal grawitacyjnych, a marine z desperacja odpowiadal ogniem. Kolejny z ludzi Jourdaina zginal, pozniej dwaj nastepni i jeszcze jeden, lecz marine byl tylko jeden i to tylko kwestia czasu, kiedy go dopadna.

Kapitan Chin umieścił po dwóch marines przed każdą z pięciu klatek schodowych, lecz Jourdain zaatakował tylko trzema. Marines mieli lepszą pozycję, ale napastnicy mieli przewagę liczebną i cięższą broń. Starcie tak nierównych sił mogło mieć tylko jedno zakończenie.

Drużyna szturmowa numer trzy straciła dziesięciu ludzi w pierwszej wymianie ognia, lecz jej dowódca był weteranem, byłym marine, i wiedział, co robić. Kazał swoim ludziom ustawić się bezpośrednio pod marines, włączyć karabiny energetyczne na maksimum, wycelowac w sufit i po prostu cały czas naciskać na spust. W ten sposób udało im się posłać sześciu obrońców piętro niżej, i drużyna szturmowa numer trzy ruszyła do przodu po ich okaleczonych ciałach.

Kapitan Chin usłyszał kroki i podniósł się, gdy pierwsi napastnicy pojawili się w korytarzu. Jego karabin energetyczny zawył i trzech z nich zniknęło w fontannie krwi. Znowu padł na ziemię, przywierając do ściany, i rzucił swój jedyny granat. Zginęło trzech kolejnych napastników.

–Zaminuj drzwi i chodź tutaj, Matthews! – zawołał do swojej partnerki.

Szeregowiec Matthews nie tracił czasu na odpowiedź. Wyrwała zawleczkę z granatu i włożyła go w drzwi prowadzące na klatkę schodową, tak żeby każda próba ich otwarcia spowodowała wybuch. Potem chwyciła karabin energetyczny i ruszyła w stronę kapitana.

Dotarła akurat po to, by mu pomóc odeprzeć kolejny atak. Chin zaklął, gdy okazało się, że napastnicy się cofają.

–Nie pojdą naszymi schodami – warknął. – Zostawia tu kogoś, by nas przypilnował, a sami rusza dalej.

–Tylko jeśli im na to pozwolimy, kapitanie – mruknęła Matthews, i zanim Chin zdążył ją powstrzymać, zerwała się na równe nogi.

Popędziła korytarzem z karabinem energetycznym ustawionym na ogień ciągły, a Chin poderwał się i pobiegł za nią. Matthews zabiła sześciu ludzi, zanim sama została rozerwana na kawałki, a kapitan przeskoczył nad jej ciałem i wylądował mniej niż metr od pozostałych trzech ludzi, po czym cztery karabiny energetyczne jednocześnie wystrzeliły.

Nikt nie przeżył po obu stronach.

Starszy sierżant Duncan Sellers ze służby bezpieczeństwa Ziemi kłął, biegnąc korytarzem. Został oddzielony od reszty drużyny, a całe piętro mimo systemów przeciwpożarowych wypełniał dym i bał się, że może wpasć na przyjaciół, a oni przez pomyłkę uznają go za marine.

Wyszedł za róg i odetchnął z ulgą, kiedy wyczuł implanty swoich towarzyszy. Już otworzył usta, by wykrzyknąć swoje imię, gdy szósty zmysł ostrzegł go, że w jego stronę zmierza jakiś kształt. Natychmiast się uspokoił – to tylko jeden z tych wielkich psów cesarskiej. A ponieważ żaden pies nie może być zagrożeniem dla ulepszonych człowieka, niemal od niechcenia unosił karabin energetyczny.

Gaheris znajdował się cztery metry od niego, gdy nagle wyskoczył w powietrze. Sierżant Sellers zdążył tylko raz wystrzelić i ulepszone szczęki psa rozerwały jego gardło jak papier.

Alex Jourdain czuł się z bronią gotową do strzału. Nie mógł wprost uwierzyć, że ich jest, do diabła, tylko dwunastu!

Zanim jego trzy drużyny szturmowe połączyły się u stop jedynych schodów prowadzących na następne piętro, stracił ponad siedemdziesięciu ludzi. Ponad siedemdziesięciu! Co gorsza, kiedy policzył liczbę marines zabitych przez wszystkie trzy drużyny, okazało się, że jest ich tylko osmiu. Dwoje kolejnych zostało uwięzionych w zachodniej klatce schodowej, lecz o ostatniej dwojce nie miał pojęcia. Dziesiątka jego ludzi była zajęta wymianą ognia na klatce schodowej, co oznacza, że pozostało mu tylko dziewiętnastu ludzi. Jeśli Horus i dwaj pozostali marines równie dobrze sobie poradzą...

Nie, zgineli tylko głupi i nieostrożni, powiedział sobie, a ci, którzy pozostali, są dobrymi żołnierzami, inaczej nie zaszliby tak daleko. Na pewno im się uda – musi się udać – gdyż żaden z nich nie może tak po prostu wrócić do domu i udawać, że nic się nie stało!

–Rozwalić drzwi! – ryknął do pozostałych przy życiu grenadierów, i granaty, które poleciały w górę, rozbili drzwi na szczycie schodów w kawałki.

–Ruszajcie! – krzyknął Jourdain i jego ludzie pobiegli do przodu.

Kapral Anna Zyrnowski skuliła się, gdy wybuchł kolejny granat. Te sukinyśny zabiły ostatnią salwę Steve'a O'Hennesy'ego, lecz ona leżała na brzuchu za zakretem

korytarza i nie mogli do niej strzelic, dlatego rzucali te cholerne granaty. Byli coraz bliżej. Znow sprawdziła czujniki. Zostalo ich co najmniej siedmiu, pomyslala z rozpacza. Nie marnowaliby tyle czasu – ani tak wielu ludzi – na zlikwidowanie jednej marine, gdyby nie chcieli zabic cesarzowej. Ale nic nie mogla na to poradzić. Ona i Steve zostali odcięci od glownej klatki schodowej i nawet samobójczy atak na wroga nic by nie zmienil, jedynie moglaby zginac.

Wlasciwie chciala to zrobic, gdyz byla marine i jej obowiazkiem bylo broniec swojej cesarzowej, lecz znow stlumila to pragnienie. Jesli nie moze zabic ludzi, ktorzy ja atakuja – a nie moze – przynajmniej ich zajmie, a kiedy przyjda, by wykonczyc ostatniego swiadka, bedzie mogla im sie odplacic.

Wybuchly kolejne granaty, a potem wyczula jakis ruch. A wiec probuja wbiec do srodka pod oslona wybuchow. Czekala w napieciu. Teraz!

Granatniki przestaly strzelac, by napastnicy mogli przejsc, a wtedy Anna Zyrnowski pod oslona dymu wyczolgalala sie na korytarz. Jej karabin energetyczny rozszarpal nogi mezczyzn, a potem kobieta blyskawicznie cofnela sie na swoja pozycje.

Nastepni dwaj, pomyslala, kiedy granaty znow zaczely wybuchac.

Oscar Sanders odwinal gume z papierka, wepchnal ja do ust i zaczal rytmicznie zuc, przez caly czas nie odrywajac wzroku od ekranu. Wszystkie kanaly informacyjne pokazywaly chaos w centrum trans-mat lezacych naprzeciwko jego stanowiska w holu Bialej Wiezy. Pokrecil glowa. Niemal wszyscy czlonkowie ochrony udali sie tam, by sprobowac opanowac sytuacje, ale nie mogli dac sobie rady. W calym swoim zyciu Sanders nie widzial tak wielu ludzi na raz w jednym miejscu, a grozba wybuchu bomby sprawiala, ze wszyscy byli bardzo zdenerwowani. Ewakuacja calej planety z powodu jednej bomby?

Nagle podniosl wzrok, slyszac jakis stukot. Spojrzal na swoja konsole. Wszystkie swiatelka swiecily spokojna zielenia, lecz stukot powtorzyl sie, wiec mezczyzna wstal.

Wyszedel zza lady i podazyl w strone drzwi prowadzacych na klatke schodowa. Zanim siegnal do klamki, wyciagnal karabin grawitacyjny. Potem mocnym szarpnieciem otworzyl drzwi. Okazalo sie, ze to tylko pies, jeden z tych nalezacych do cesarzowej Jiltanith.

Lecz uczucie ulgi zniklo, gdy zobaczyl, ze pies jest zalany krwia i ma okaleczona jedna z przednich lap. Drzwi w miejscu, gdzie ranne zwierzec wielokrotnie probowalo nacisnac dzwignie otwierania, byly zakrwawione.

Sandersowi wystarczył zaledwie ułamek sekundy, by w jego oszłomionym umyśle wszystko połączyło się w jedną całość, ale wtedy wydarzyło się coś naprawdę dziwnego.

–Pomocy! – powiedział syntezator mowy Gaherisa, zanim pies upadł. – Ludzie przyszli, żeby zabić Jiltanith! Pomozcie jej!

Wład Czernikow minal ostatni zakret i wreszcie ujrzał wspaniałą rzeźbę. Nawet teraz czuł się oszłomiony jej pięknem, lecz natychmiast skarcił sam siebie, że nie przybył tutaj po to, by ją podziwiać, i ostrożnie podszedł bliżej.

Ladunek na plecach z każdym krokiem wydawał mu się coraz cięższy. Wiedział, że to głupie, gdyż już dawno znalazł się w zasięgu systemu Mark Dziewiecdziesiąt, i gdyby system uznał, że ładunek jest bronia, już wysadziłby całą planetę w powietrze.

Ominął sonde wciąż leżącą tam, gdzie upadła, gdy Dahak pośpiesznie ją wyłączył, i zbliżył się na odległość dwóch metrów, aby przyjrzeć się uważnie rzeźbie. Problem polegał na tym, że jego bron była zbyt słaba, by zmienić całą rzeźbę w stertę gruzu, dlatego musiał mieć pewność, że część, która zdecyduje się wysadzić w powietrze, zawiera bombę. A ponieważ ani on, ani Dahak nie mogli rzeźby przeskanować, musiał sam ocenić, gdzie bomba może być ukryta.

Nie obraziłbym się, pomyślał z irytacją, gdybym znalazł jej rozmiary. Kusilo go, by założyć, że schematy Tsieny zostały wykorzystane bez żadnych zmian, ale jednocześnie zdawał sobie sprawę, że gdyby to założenie okazało się błędne, konsekwencje byłyby skrajnie dramatyczne.

Ale pirotechnicy Pana X nie mogli jednak uniknąć pewnych ograniczeń. Na przykład podstawowy emiter musi mieć przynajmniej dwa metry długości i dwadzieścia centymetrów średnicy, a zwoje skupiające wydłużają go o kolejnych trzydzieści centymetrów na obu końcach. To daje co najmniej dwieście sześćdziesiąt centymetrów długości, co oznacza, że bomba nie może się znajdować wewnątrz ludzkiej postaci. A więc musiała zostać ukryta w ciele Narhanina, tyle że nie wiadomo, w której części. Samo źródło energii dla bomby było spore, a do tego projektanci musieli jeszcze wcisnąć do środka system Mark Dziewiecdziesiąt, więc na pewno umieszcili część oprzyrządowania wewnątrz ciała człowieka. Ale która część?

Na pewno liczyli na to, że bomba nie zostanie wykryta, pomyślał Wład, więc pewnie nie zaprojektowali jej tak, żeby wytrzymała uszkodzenia i nadal działała, a to może oznaczać, że źródło energii znajduje się wewnątrz postaci marine, a cała reszta w ciele Narhaninie. Przypuszczenie to było bardzo kuszące, ale wiedział, że nie może

sobie pozwolić na żadną pomyłkę.

Podszedł jeszcze bliżej do rzeźby, aby przyjrzeć się postaci Narhanina, który próbował wyrwać się z okowów. Dobra, wiadomo, że bomby nie ma w ciele człowieka i że ma prawie trzy metry długości. Może więc znajdować się częściowo w torsie Narhanina, a częściowo w pozostałej części jego ciała. Umieszczenie jej w taki sposób byłoby trudne, ale nie niemożliwe.

Otarł pot z czoła. Aby być pewnym, musi rozbić rzeźbę na dwie części, a żeby pęknięcie miało właściwą długość, musi umieścić ładunek na dole.

Westchnął, żalując, że nie może uruchomić komunikatora, by porozumieć się z Dahakiem, ale zaraz potem wzruszył ramionami. Nawet gdyby mógł, już wie, co Dahak by mu powiedział.

Znow otarł czoło, zdjął ładunek z pleców i schylił się, by umieścić go delikatnie pod brzuchem marmurowego Narhanina.

Ostatnia wymiana ognia ucichła i brygadier Jourdain zacisnął usta. Kolejnych dziesięciu ludzi leżało martwych u szczytu zniszczonych schodów. Dwaj następni zostali ranni – jeden był tak okaleczony, że tylko implanty utrzymywały go przy życiu, ale niedługo i one nie wytrzymają – ale przynajmniej mieli już z głowy wszystkich marines.

Spojrzał ze złością na drzwi prowadzące do przedpokoju biura Horusa i ustawił implanty na maksymalną moc. Cholera, gubernator gdzieś tam musi być, lecz przebiegły stary sukinsyn wyłączył implanty, podobnie jak marines pilnujący pierwszych schodów. I dopóki jest w jednym miejscu i się nie rusza, Jourdain nie będzie mógł go namierzyć.

No cóż, ten kij ma dwa konce, pomyślał ponuro. Jeśli Horus wyłączył implanty, to sam nie widzi Jourdaina i jego ludzi i może polegać tylko na swoich zmysłach. Nawet jeśli przygotował zasadzkę, w chwili, kiedy wystrzeli, zdradzi swoją pozycję.

–Dobra – powiedział do siedmiu pozostałych przy życiu ludzi. – Oto co zrobimy.

Franklin Detmore wypuścił kolejną wiązkę granatów i skrzywił się. Kimkolwiek jest ten marine, jest stanowczo za dobry jak na jego gust. Z dziesięciu ludzi wysłanych po to, by się go pozbyć, pozostało tylko pięciu, i Detmore cieszył się, że kazano mu zapewnić ogień osłonowy, a nie być kolejnym biednym sukinsynem, który próbuje dopaść tego cholernika.

Wlozył świeży pas do granatnika i podniósł wzrok. Luis Esteben, który nimi dowodził, wydawał się głęboko nieszczęśliwy. Mieli rozkaz nie zostawiać żadnych świadków. Przedzaj czy później ktoś będzie musiał pozbyć się ostatniego marine, i Esteben podejrzewał, że brygadier Jourdain wybierze go do tego zadania, jeśli nie uda mu się zakończyć sprawy, zanim brygadier tutaj dotrze.

–Dobra – powiedział w końcu Esteben. – Nie uda nam się zatłuc tego sukinsyna frontalnym atakiem. – Jego towarzysze pokiwali głowami. – Musimy go zająć od tyłu.

–Nie możemy, tam jest ślepy korytarz – zauważył ktoś.

–Owszem, ale mamy karabiny energetyczne. Frank, ty go zajmij, a cała reszta wróci, żeby go dopaść z sąsiedniej sali konferencyjnej. Możemy przebić się przez ściany i w ten sposób go otoczymy.

–Mnie pasuje – zgodził się Detmore – ale... – Przerwał i otworzył szeroko oczy. – Co to, u diabła? – spytał, wpatrując się w korytarz.

Esteben nie zdążył nawet się odwrócić, kiedy Galahad i Gawain zaatakowali ich tyły.

Wład umieścił ostrożnie ładunek i odetchnął z ulgą. Wciąż żył – to dobre wieści. Niestety nie mógł mieć pewności, czy to zadziała... a mógł to sprawdzić tylko w jeden jedyńy sposób.

Ustawił zapalnik czasowy, odwrócił się i ruszył biegiem.

Oscar Sanders nacisnął wszystkie guziki na panelu i alarmy zawyły. Ochrona i imperialni marines próbujący opanować ruch w trans-mat podnieśli zaskoczeni wzrok, po czym jak jeden mąż pobiegli w stronę Białej Wieży, gdy Sanders odezwał się do nich przez komunikatory.

Drzwi do przedpokoju pekiły i dwaj mężczyźni wpadli do środka. Widząc fortece z mebli naprzeciw wejścia, rzucili się w jej stronę, strzelając w biegu. Rozpaczliwie pragnęli do niej dotrzeć, zanim Horus zacznie strzelać.

Ale on pozwolił im przebiec tylko połowę drogi, a potem nie ruszając się ze swojego kąta, przeciął ich obu na pół.

Jourdain zaklal. Niech diabli wezma tego przebieglego sukinsyna! Ale ogien zdradzil jego pozycje i brygadier juz wiedzial, gdzie ma celowac, kiedy wraz z piatka pozostalych ludzi wpadl przez drzwi.

Karabiny energetyczne zawyly i dwaj mezczyzni padli z krzykiem na ziemie. Dwoch kolejnych napastnikow ruszylo do ataku, lecz juz po chwili jeden byl martwy, a drugi umieral. Niestety gubernator Ziemi tez zostal ciezko ranny – ostrzal zniszczyl jego karabin energetyczny. Tylko implanty utrzymywaly go przy zyciu, ale i one szybko sie wyczerpywaly.

Jourdain uniosl bron, lecz zaraz ja opuscil. Horus nie przezyje kolejnych dziesieciu minut, pomyslal zimno, ale to wystarczy, by sie dowiedzial, ze Jourdain zabil jego corke.

–Znajdzcie suke – powiedzial, odwracajac sie od umierajacego gubernatora. – I zabijcie ja.

Wlad wybiegl za rog, zatrzymal sie i rzucil na ziemie.

Ladunek wybuchl, zanim zdazyl wyladowac, i mial wrazenie, ze podloga podnosi sie i uderza go w twarz. Zawyl z bolu, gdy przegryzl sobie jezyk, i poczul w ustach smak krwi.

Dopiero wtedy uswiadomil sobie, ze wciaz zyje... a to znaczy, ze musialo sie udac.

Cierpienie zalewalo Horusa czerwonymi wrzeszczacymi falami. Czul fizyczny bol, ktorego implanty nie mogly wyciszyc, ale jeszcze bardziej przerazala go swiadomosc, ze ktos poluje na jego corke, by ja zabic. Stlumil krzyk i zmusil swoje okaleczone cialo, by po raz ostatni go posluchalo. Nie mial obu nog i lewej reki, lecz mimo to czolgal sie po dywanie – powoli, centymetr po centymetrze – zostawiajac za soba slad krwi. Caly jego swiat ograniczal sie teraz do karabinu grawitacyjnego w kaburze lezacego w poblizu trupa. Stekajac z wysilku, wyciagnal reke – byla powolna, niezgrabna i drzala z bolu – otworzyl kabure i chwycil bron.

I wtedy poczul na swoim nadgarstku ciezki but. Horus szarpnal sie z bolu, po czym powoli przekrecil glowe i spojrzal prosto w lufe karabinu energetycznego.

–Nie mozesz sie doczekac smierci, co, staruchu? – wysyczal Alex Jourdain. – Dobra, niech ci bedzie!

Jego palec dotknal spustu... i w tym momencie glowa brygadiera eksplodowala, a

Horus ze zdziwieniem zobaczył przebiegające po trupie dwa zakrwawione rottweilery i jedna kapral marines.

–Wasza wysokosc! Wasza wysokosc!

Jiltanith zeszywniała, lecz zaraz rozpoznała głos. To Anna, a jeśli kapral Zyrnowski wola japo imieniu i nikt już nie krzyczy ani nie strzela...

Otworzyła gwałtownie drzwi i Gwynevere wyskoczyła na zewnątrz, cała najezona, gotowa do ataku. Lecz nie było żadnego zagrożenia. To tylko osmalona i zakrwawiona kapral marines, z jedną ręką wiszącą bezwładnie – jedyny ocalały członek ochrony Jiltanith.

–Anno! – krzyknęła, wyciągając ręce do rannej kobiety, lecz Zyrnowski potrząsnęła głową.

–Wasz ojciec! – wydyszala. – W przedpokoju!

Widząc wahanie cesarzowej, krzyknęła:

–Moje implanty sobie poradzą, wasza wysokosc! Idźcie już!

Horus tonął w studni mroku. Świat blakł, niewyraźny i niematerialny niczym dym, i słyszał już szepty śmierci. Tak długo szukałem tej starej złodziejki, pomyślał mgliście. Tak długo. Ale nikt nie może jej wiecznie szukać, prawda? A poza tym śmierć nie jest taka zła, naprawdę. Jej szept obiecuje koniec cierpienia. Miał nadzieję, że być może gdzieś po drugiej stronie bólu odnajdzie Tanisis. Chciał ją przeprosić tak samo jak Tanni i...

Otworzył oczy, czując czyjś dotyk. Spojrzał z dna swojej studni i jego gasnące oczy rozjaśniły się. Jej twarz była zalana łzami, lecz żyła. Żyła i była taka piękna. Jego piękna, silna córka żyje.

–Tanni. – Jego zdrowa ręka wazyła całe tony, lecz zmusił się, by ją podnieść, dotknąć jej policzka, jej włosów. – Tanni...

Chwyła dłoń ojca, przycisnęła ją do siebie i pochyliła się nad nim. Jej wargi dotknęły jego czoła.

–Kocham cie, tato – wyszeptala w doskonałym uniwersalnym, i wtedy ciemność nadeszła na zawsze.

Lawrence Jefferson spojrzal w lustro i z drobiazgową dokładnością poprawił szczegóły swojego wyglądu, po czym popatrzył na zegar. Jeszcze dziesięć minut, pomyślał, i znowu odwrócił się do lustra, by uśmiechnąć się do samego siebie.

Jak na kogoś, kto niecałe dwa miesiące wcześniej widział, jak niemal trzydzieści lat planów biora diabli, był zadziwiająco radosny. Próba zamachu stanu nie powiodła się, lecz posada gubernatora Ziemi jest niezłą nagrodą pocieszenia, pomyślał, a poza tym za parę lat znowu będzie mógł zacząć planować.

Długo starał się uczynić z Jourdaina kozła ofiarnego, gdyby plany się nie powiodły, a brygadier bardzo mu w tym pomógł, dając się zabić, przez co nie mógł bronić się przed zarzutami. Zastępca gubernatora Jefferson był oczywiście wstrząśnięty, gdy dowiedział się, że jeden z najstarszych rangą ludzi z Ministerstwa Bezpieczeństwa Ziemi miał związki z Mieczem Boga i wykorzystał należące do niego centra biolepsze, by wzmocnić swoją bandę zdrajców! Szokujące odkrycie zdrady Jourdaina doprowadziło do potężnych przetasowań w służbach, w trakcie których inspektor spraw wewnętrznych "natrafil" na tajny dziennik brygadiera. Opisowywał w nim wzrastające zniechęcenie i frustracje, które spowodowały, że gdy po zaboju van Geldera został mianowany dowódcą specjalnej grupy – stworzonej przez nowego ministra bezpieczeństwa Jeffersona – do walki z Mieczem, zamiast polować na terrorystów nawiązał kontakt z przywódcą jednej komórki. To właśnie tam znalazł swój prawdziwy duchowy dom.

Reputację Jeffersona plamił nieco fakt, że nie odkrył zdrady Jourdaina, lecz brygadier został wybrany spośród imperialnych marines przez Gustava van Geldera – nikt, a w każdym razie nikt z żyjących, nie wiedział, że to Jefferson polecił go Gusowi – i przeszedł wszystkie testy. A jeśli jego dziennik w kilku miejscach był niejasny, to czego można się spodziewać po wyznaniach megalomana, który uważał, że Bog wybrał go po to, by zniszczył wszystkich, którzy zbratali się z Antychrystem? Opisowywał w tym dzienniku plan zabicia Golina, Jiltanith, Horsa, głównodowodzących i Lawrence'a Jeffersona; wprawdzie nie było szczegółowego opisu, co się stanie, kiedy zgina, ale fakt, że ukrył bomby wewnątrz narhanskiej rzeźby, wskazywał na jego cele. Obarczając Narhan odpowiedzialnością za zniszczenie Birhat, z pewnością miał zamiar sklonić ludzkosc do zwrócenia się przeciwko tym arcyzdrajcom i potraktowania ich tak, jak według Miecza Boga powinni być potraktowani.

Jefferson był dumny z tego dziennika. Przygotowywał go ponad dwa lata, tak na wszelki wypadek, a jeśli nawet było w nim parę niedociągnięć, świadczyły na jego korzyść. Unikali w ten sposób typowego błędu – próby ukrycia pewnych faktów przez odpowiedź na wszystkie wątpliwości. Gdyby go popełnił, ktoś – na przykład Ninhursag MacMahan – mógłby uznać, że jest za idealny, a więc podejrzany.

Ponieważ wszyscy wspomniani w dzienniku ludzie zostali zwerbowani przez Jourdaina – być może na rozkaz Jeffersona, ale nikt o tym nie wiedział – najważniejsi członkowie spisku Jeffersona nie zostali ujawnieni, a kilka najcenniejszych wtyczek dostało nawet awans za pomoc w odnalezieniu lotrow, których dziennik zdemaskował. Co najważniejsze, wszyscy ci zbrodniarze przesłuchiwani pod imperialnymi wykrywaczami kłamstwa potwierdzali jedynie, że to Jourdain ich zwerbował i że wszystkie rozkazy pochodziły od niego.

Zegar zabrzeczał cicho i Jefferson przybrał odpowiednio poważną minę, zanim otworzył drzwi. Ruszył do ziemskiej Sali Delegatów powolnym, poważnym krokiem, który pasował do tej okazji, powtarzając w myślach przysięgę, którą miał za chwilę złożyć.

Był w połowie drogi do Sali, kiedy za jego plecami rozległ się lodowaty głos.

–Lawrence McClintocku Jeffersonie, jest pan aresztowany za usiłowanie dokonania zamachu stanu, szpiegostwo, morderstwa i zdradę stanu.

Zdawało mu się, że serce przestało mu bić, gdyż ten głos należał do Colina I, cesarza ludzkości. Stał bez ruchu jedna przerażająca chwila, po czym powoli się odwrócił i przelknął ślinę, gdy ujrzał, że ma przed sobą cesarza oraz Hectora i Ninhursag MacMahanów. General miał w dłoni karabin grawitacyjny wycelowany w brzuch Jeffersona, a jego zimne, pełne nienawiści oczy błagały, by zastępca gubernatora spróbował stawiać opór.

–Co... Co powiedzieliście? – wyszeptał Jefferson.

–Popelniliście jeden błąd – odparła zimno Ninhursag. – Tylko jeden. W dzienniku Jourdaina wciągnąłeś go we wszystko, z wyjątkiem zbrodni, która sprawiła, że zaczęliśmy cię szukać, Panie X. Nie było tam ani słowa o zaboju Seana i Harriet... i mojej córki.

–Zabójstwo? – powtórzył słabo Jefferson.

–Być może we wszystko bym uwierzyła – mówiła dalej głosem niczym płynny azot – lecz megaloman, którego stworzyłeś w tym dzienniku, nigdy nie zapomniałby się pochwalić swoim największym osiągnięciem. To oczywiście sugerowało, że to podrobka, więc zaczęłam sprawdzać, kto jeszcze mógł mieć odpowiednie doświadczenia, by ukręcać plany bomby, zbudować ją, przesznurować przez trans-mat, zmienić logi trans-mat, by później śledczy wiedzieli, że to zrobił, i wprowadzić grupę zbrojczyków do Białej Wieży. I zgadnij, na kogo wskazały wyniki śledztwa?

–Ale ja... – Odchrząknął. – Ale jeśli podejrzewaliście mnie o tak straszne zbrodnie, dlaczego czekaliście z aresztowaniem aż do dzisiejszego dnia?

–Czekalismy, poniewaz Ninhursag chciała zobaczyc, kto sie wyrozni w twoim "sledztwie" w sprawie Jourdaina. – Glos Colina byl rownie lodowaty jak Ninhursag. – Dzieki temu mogliśmy sie dowiedziec, kto jeszcze dla ciebie pracowal. A czas twojego aresztowania? – Uśmiechnal sie paskudnie. – To byl moj pomysl, Jefferson. Chcialem, zebys mogl posmakowac zycia gubernatora... i zebys pamietal, jak ono smakowalo, az do chwili, gdy pluton egzekucyjny pociagnie za spusty.

Odsunal sie na bok i Jefferson ujrzał stojacych za cesarzem ponurych marines. Marines, na ktorych twarzach malowalo sie to samo blaganie o probe stawiania oporu, co na twarzy ich dowodcy.

–Bedziesz miał uczciwy proces – powiedzial Colin beznamietnie – i przy odrobinie szczescia... – znow sie usmiechnal z zimnym, okrutnym zadowoleniem, ktorego Jefferson nigdy nie spodziewal sie zobaczyc na jego nieładnej twarzy – kazdy czlonek plutonu egzekucyjnego bedzie strzelal w brzuch. Niech pan o tym pomysli, panie Jefferson.

Colin i Jiltanith siedzieli na ulubionym palacowym balkonie i spoglądali na miasto Fenix. Colin trzymal na kolanach coreczke Anne Zyrnowski MacIntyre, matka chrzestna dziewczynki pilnowala wejścia na balkon, a matka karmila piersia jej mlodszej braciszka Horusa Gaherisa MacIntyre. Amanda i Tsien Tao-ling stali obok, opierajac sie o balustrade, zas Hector i Ninhursag siedzieli obok Colina. Szczenieta Dzwoneczka – w tym Gaheris ze zregenerowana lapa – wygrzewaly sie na rozgrzanych plytach balkonu. Wsrod zebranych byli tez Gerald i Sharon Hatcherowie, Brashieel i Ewa.

–Nawet teraz nie do konca rozumiem ludzi, panie gniazda westchnal przywodca Narhan. – Jestescie wyjątkowo skomplikowanym i trudnym do pojecia gatunkiem.

–Byc moze, kochany – powiedziala lagodnie Ewa – lecz sa takze konsekwentni i szczodrzy.

–To prawda – przyznal Brashieel – lecz mysl, ze Jefferson chcial nas wmieszac w zabojstwo naszego pana gniazda... Pochylil glowe w narhanskim gescie zdenerwowania, a jego podwojne powieki zamrugaly z konsternacja.

–Po prostu byliscie pod reka, Brashieelu – powiedzial Colin zmeczonym glosem. – Podobnie jak achuultanski komputer potrzebowal poczucia zagrozenia, by dalej wiezic twoj lud, tak Jefferson potrzebowal poczucia zagrozenia, by uzasadnic przejecie przez niego wladzy.

–A historia Achuultan sprawia, ze mogliśmy byc potraktowani jak prawdziwe zagrozenie – zauwazyla Ewa.

–W rzeczy samej – odparł Dahak. – To był niezwykle trudny do wykrycia spisek, a zwiasek Jeffersona z Francine Hilgemann był mistrzowskim pociągnięciem. Nie tylko pozwalał mu na podgrzewanie antynarhanskich uprzedzeń, które uosabiał Kościół Armagedonu, ale też dawał mu bezpośredni dostęp do Miecza Boga. To kontynuacja taktyki Anu, by wykorzystywać terrorystów.

–Aha – przytaknął Colin i popatrzył na malutką twarz swojej córki. Próbowala spojrzeć na czubek swojego własnego nosa, i w tej chwili to było dla niego o wiele ważniejsze niż Lawrence Jefferson czy Francine Hilgemann.

Przesłuchanie Jeffersona pod imperialnym wykrywaczem kłamstw doprowadziło do aresztowania całej jego grupy. Ostatni z nich zostali rozstrzelani przed tygodniem. W Kościele Armagedonu panowało teraz całkowite zamieszanie. Ich przywódczyni duchowa została zdemaskowana jako zimny i cyniczny manipulator, a fakt, że ona i Jefferson chcieli wykorzystać uprzedzenia wobec Narhan dla celów ludobójstwa i dokonania zamachu stanu, wstrząsnęła podstawami kościoła. Colin przypuszczał, że najbardziej zagorzali wierni znajdą jakiś sposób, by obarczyć Narhan winą za swoją obecną sytuację, lecz ci, których mózgi nie do końca jeszcze skamieniały, mogli w końcu trzeźwo spojrzeć na samych siebie.

Ale to wszystko nie wydawało mu się teraz ważne. Na razie jego rany i rany przyjaciół były zbyt świeże i wciąż krwawiły. Stracenie Jeffersona nie mogło przywrócić życia ich dzieciom, tak samo jak nie mogło ożywić Horusa ani Marines, którzy zginęli w obronie Jiltanith. Colin musiał uczciwie przyznać, że czuł radość, gdy Jefferson ginał, chociaż wiedział, że takie uczucie w zbyt wielkiej dawce może być gorsza trucizna niż arszenik.

Anna zrobiła bankę powietrza ze sliny i Colin spojrzał na Jiltanith, czując, jak opuszcza go pełna gorczy melancholia, a ona odpowiedziała mu uśmiechem. W jej uśmiechu wciąż były mrok i smutek, lecz także łagodność, gdy jej palce głaskały głowę synka. Inni także uśmiechali się do jego żony i syna, i serce Colina zalała łagodna fala ciepła, gdy poczuł ich radość z powodu obecności jego i Tanni. I ich miłość.

Być może, pomyślał, to jest prawdziwa lekcja. Świadomość, że życie oznacza wzrost, zmiany i często upadek, i że są to bardzo bolesne sprawy, a także poczucie, że jedynie ci, którzy kochają mimo bólu, są prawdziwymi dziedzicami ludzkich marzeń o wielkości.

Zamknął oczy i wtulił twarz w delikatne włosy córki, wdychając słodki zapach jej skóry, zasypki i mleka. Przepelnilo go ogromne zadowolenie z tej krótkiej, spokojnej chwili.

I wtedy Dahak wydal z siebie cichy elektroniczny odgłos, który oznaczał u niego

odchrzakniecie.

–Przepraszam, Colinie, ale właśnie otrzymałem przez hiperkom priorytetowa wiadomość, która, jak sądzę, powinienem ci przekazać.

–Wiadomość przez hiperkom? – Colin unosił głowę. – Jaka wiadomość?

–Wiadomość pochodzi z planety Pardal.

–Pardal? – Colin spojrzal na Hatchera. – Geraldzie, czy wysłałeś misję badawczą w miejsce zwane Pardal?

–Pardal? – Hatcher potrząsnął głową. – Nigdy nie słyszałem o takiej planecie.

–Jestes pewien, że dobrze zrozumiałeś nazwę, Dahaku? – spytał Colin.

–Tak.

–To gdzie, u diaska, ona jest i jakim cudem nigdy o niej nie słyszałem?

–Nie jestem jeszcze pewien odpowiedzi na żadne z tych pytań, Colinie. Wiadomość podpisał "pełniący obowiązki gubernatora kadet jego cesarska wysokość Sean Horus MacIntyre" – odpowiedział spokojnie Dahak. Jiltanith sapnęła, a Colin poderwał się z szeszlona. – Informuje, że załoga podświetlnego okrętu wojennego Izrael w składzie: kadet księżniczka Isis Harriet MacIntyre, kadet hrabia Tamman, kadet księżna małżonka Sandra MacMahan MacIntyre i kadet dziedzic gniazda Brashan odzyskała dla Cesarstwa zamieszkaną planetę Pardal.

Colin gwałtownie obrócił głowę. Jego pełne niedowierzania spojrzenie napotkało równie nieufne – i radosne – spojrzenie Jiltanith, a później przeniosło się na przyjaciół, którzy z taką samą radością poderwali się na równe nogi.

–Czy mam przekazać odpowiedź? – spytał komputer; nawet w jego ciepłym głosie słychać było ogromną radość.

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2009-12-01

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/